

Graham Masterson

Diabelski Kandydat

(Przekład Piotr Kuś)

Wydanie I

Poznań 1994

Jeżeli pragniesz stać się prawdziwym magiem i realizować moje czyny, powinieneś osiąść wiedzę zarówno Boga, jak i innych stworzeń; nie wolno ci jednak czcić go w żaden sposób, gdyż nie uraduje to Księcia Świata.

Ty, który pragniesz uprawiać moją sztukę, pokochaj duchy piekła i tych, którzy panują w powietrzu; bo tylko oni mogą uszczęśliwić nas w tym życiu; ty, który poszukujesz mądrości, szukaj jej u diabła samego.

Bo czyż istnieje rzecz na świecie, której najlepszym wyrazicielem nie jest diabeł, Książę Świata? Proś, czego pragniesz: bogactwa, zaszczytów, chwały? To wszystko otrzymasz od niego. Lecz jeśli oczekujesz dobra po swojej śmierci - oszukujesz samego siebie.

Z przedmowy do Udręk piekielnych przypisywanych doktorowi Faustowi

KSIĘGA PIERWSZA
WALKA

ROZDZIAŁ I

Po tym jak Hunter Peal wybrany został prezydentem, często pytano mnie, kiedy nabrałem przekonania, że wygra wybory.

Odpowiadałem wówczas, że nastąpiło to tego dnia, kiedy w gorące przedpołudnie w Billings, w stanie Montana, podał mi rękę i potrząsnął nią energicznie, a ja zobaczyłem, jak jest spokojny, opanowany i pewny siebie. Tego dnia stwierdziłem, że Hunter wygląda tak, jak właśnie powinien wyglądać człowiek, który będzie w stanie podejść do problemów całej Ameryki w taki sposób, w jaki ojciec podchodzi do problemów swoich dzieci.

Czasami odpowiadałem też, że nastąpiło to wówczas, kiedy pewnego dnia wyszedłem na werandę rancza Huntera Peala w Kolorado Springs, w stanie Kolorado, rancza, które wybudował jeszcze jego ojciec, i zobaczyłem go stojącego samotnie, szczupłego, wysokiego, z fryzurą rozwiewaną przez wiatr, wpatrującego się dalekosiężnym, skupionym spojrzeniem we wschodni horyzont, z wyrazem twarzy, który przywodził na myśl oblicze amerykańskiego pioniera z odległych czasów.

Kiedy nie byłem w tak sentymentalnym nastroju, odpowiadałem też, że ostatecznego przekonania nabrałem wówczas, gdy w wieczór wyborów NBC podała, iż Ohio i Illinois głosowało za Pealem i najprawdopodobniej Kalifornia głosować będzie tak samo.

Mówiłem tak, ponieważ na tym polegał mój zawód. Byłem szefem personelu Peala, a ściślej tej jego grupy, która odpowiadała za kontakty z massmediami i wizerunek Huntera w środkach masowego przekazu. Płacono mi więc, abym powtarzał te brednie tak często, jak to tylko było możliwe.

W gruncie rzeczy jednak, słowa te niewiele odbiegały od prawdy, a co najważniejsze, składały się na oświadczenia, które Ameryka bardzo pragnęła słyszeć. Zapewne pamiętacie wszyscy tak samo dobrze jak ja nasze wspólne oddanie Hunterowi Pealowi, gdy ogłosił, że Ameryka wchodzi w „decydujące lata”.

Niezależnie jednak od tego, jak Hunter Peal był spokojny i opanowany, jak oddany Ameryce, jak odkrywca - a, wiercie mi, posiadał te wszystkie cechy - coś zupełnie innego w jego osobowości ujawniło się podczas kampanii prezydenckiej, co upewniło mnie, że wygra. Coś mrocznego, nieopisanego, coś dziwnego. Coś tak potężnego, że nie mogło samodzielnie zrodzić się z jego osobowości.

Wielu ludzi nie uwierzy mi, nawet teraz, jednak ci ludzie nie znali go tak blisko jak ja. Zapytajcie żonę, Huntera, Micky, a ona powie wam, jak wyglądały te dni. Powie wam, kiedy to się zaczęło - w trzecim tygodniu marca 1980 roku, mniej więcej w piątym tygodniu kampanii Huntera o uzyskanie nominacji Partii Republikańskiej.

Zatrzymaliśmy się wówczas na trzy dni i trzy noce w Allen's Corners, w Sherman, w stanie Connecticut, jako goście republikanów z New Milford. To wtedy poczułem po raz pierwszy, że świat kołysze się nagle pod moimi stopami. To wtedy właśnie Hunter Peal, dobry, silny mężczyzna z Kolorado, opanowany został przez coś, co pozwoliło mu stać się najsilniejszym i praktycznie niepowstrzymanym kandydatem; takim, jakiego jeszcze nigdy przedtem Ameryka w swojej historii nie знаła.

Wiele lat temu Bob Haldeman zwykł mawiać, że Richard Nixon miał osobowość o jasnych i ciemnych stronach. Te jasne doprowadziły do jego sukcesów, a te ciemne - do upadku. Lecz ciemne strony Huntera Peala nie były ani trochę podobne do ciemnych stron Nixona. Ciemne - a w praktyce słabe - cechy osobowości Nixona miały związek z jego brakiem opanowania, niepewnością, kompleksami. Ciemność, która posiadała Huntera Peala, była tak porywista i dzika, jak zima

powietrze w tunelu kolejowym. Była silna, a zarazem pociągająca, i mogła przerazić cię tak, że stawała się wręcz ekscytująca.

Bo ciemność, która posiadała Huntera Peala, nie miała swego źródła w ziemskim świecie.

ROZDZIAŁ II

Allen's Corners był potężnym, niezbyt eleganckim kolonialnym domem, umiejscowionym na dwudziestoakrowej działce, na której dominowały gęsto rosnące drzewa, jakieś pół mili od nowego centrum miasteczka Sherman. Można tu było dojechać długą szosą ciągnącą się wśród drzew, wciąż pełną mokrych liści, pozostałych po ubiegłorocznej jesieni. Od podjazdu do drzwi wejściowych prowadziły szerokie schody. Na trawniku przed frontem domu stały niszczone, kamienne figury cherubinów, w milczeniu przypatrujących się domowi.

Dom ten został opuszczony i zaniebany ze względu na jego nadmierne rozmiary. Dla jakiegoś bogacza z Nowego Jorku stał za daleko, żeby używać na weekendy, a wśród mieszkańców Sherman nie znalazł się nikt, kto miałby dość pieniędzy na jego odbudowę, a potem utrzymanie. Było tu aż dziesięć sypialni, cztery bawialnie, galerie, salony i biblioteki. Były też ciepłarnie, pokoje bilardowe i wyłożona czarnymi i białymi kafelkami kuchnia, tak wielka, że można by w niej urządzać wystawne bale dobroczynne.

Z każdego okna tego domu widać było smutne, opadające w dół trawniki i poplątany gąszcz. Kort tenisowy okalała zardzewiała druciana siatka. Drzwiczki na kort dyndały na jednym zawiasie. Spacerując po domu, od pokoju do pokoju, można było słyszeć szept kominów i słuchać oddechu wiatru.

Był to stary, majestatyczny dom, teraz zniszczony i zmęczony latami trwania, oczekujący jedynie na ostateczną rozbiórkę. Jednak Dan Klippers, szef komitetu republikanów z New Milford popierającego Peala, wyrażał się o nim wprost entuzjastycznie:

- To miejsce coś w sobie ma - powiedział, wioząc nas pod niebem, na którym jedynie niewielkie chmurki przypominały o spadłym niedawno przelotnym deszczu. Swojego cadillaca prowadził - dosłownie - jednym palcem. - To miejsce ma wdzięk i godność, przypomina o starym stylu życia, który ludzie w Connecticut wciąż sobie cenią. Ma swoją reputację i przypomina nam, w Connecticut, wiele wspaniałych chwil. Zamieszkując tutaj, pokażecie wszystkim dookoła, co nasz kandydat na prezydenta ceni najbardziej.

Skręcił w szosę prowadzącą do Allen's Corners i po chwili, przez wciąż gołe drzewa, zobaczyliśmy po raz pierwszy białe, mokre deski, składające się na ściany tego budynku.

- Wygląda mi trochę na zniszczony - zauważył Hunter, jednak bez sarkazmu w głosie.

- Dlatego właśnie uważamy, że powinniście tutaj pozostać - powiedział Dan Klippers. - Ale, oczywiście, jeśli nie zgadzacie się z nami albo jeśli uważacie, że to miejsce jest zbyt niewygodne...

- Kochanie, co o tym sądzisz? - Hunter zapytał Micky.

Micky leciutko, jakby z zażenowaniem, uśmiechnęła się.

- Myślę, że tu jest bardzo elegancko. I myślę, że pan Klippers ma racje.

- Mówcie do mnie Dan - powiedział Dan Klippers. Jeszcze jeden zakręt i cadillac stanął przed domem.

Wysiedliśmy z samochodu i staliśmy przez chwilę w chłodnym marcowym wietrze. Z gołych gałęzi ciągle ociekały krople wody, woda ściekała też z dziurawych rynien, pozatykanych starymi liśćmi.

- Wszystkie łóżka są przygotowane, poza tym od wczoraj utrzymujemy ogień we wszystkich kominkach - powiedział Dan Klippers, otwierając bagażnik cadillaca. - Zainstalowaliśmy kompletny system telekomunikacyjny i kilka odbiorników telewizyjnych. Przygotowaliśmy też pokój dla stenografów oraz kserokopiarki, maszyny do pisania i tym podobne przedmioty.

- Ciężko pracowaliście - stwierdził Hunter. - Jesteśmy naprawdę wdzięczni.

Otworzyły się drzwi frontowe i z budynku wyszło dwóch młodych mężczyzn ubranych w

dwurzędowe marynarki, o krótko ściętych włosach. Przywitani nas bardzo wylewnie. Jednym z mężczyzn był Jim Klippers, syn Dana, a drugim Woodward Grant, odpowiedzialny za organizację naszej kampanii na tym terenie. Po kilku minutach komplementów i uścisków dłoni zaproszeni zostaliśmy do środka.

- Mamy potwierdzenia od wszystkich stacji telewizyjnych i najważniejszych gazet, że ich reporterzy przyjadą tutaj jutro na dziewiątą - powiedział mi Jim Klippers. - Po ogólnym spotkaniu z massmediami nastąpiłby wywiad dla tygodnika „Connecticut” i dwóch innych.

Wyciągnąłem rękę. Jim Klippers wahał się przez chwilę, po czym sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął z niej złożoną kartkę papieru. Rozłożyłem ją i przebiegłem wzrokiem. Była to lista wszystkich dziennikarzy, spodziewanych następnego ranka oraz informacje o ich poglądach politycznych. Na przykład: „Gloria Schaumberg, «Nutmeg State News», lat 36, prawicowa demokratka, zajmuje się raczej sprawami o zasięgu lokalnym, chociaż szczególnie ciekawi ją brak zainteresowania rządu federalnego spadkiem liczby ludności w okręgu Conn i upadająca gospodarka tego rejonu”.

- Czy to kompletna lista? - zapytałem.

- Oczywiście - odpowiedział Jim Klippers. - Zamierzałem przedstawić ją Hunterowi dziś wieczorem.

- To moja robota - stwierdziłem. - Teraz, gdybyś był tak dobry, obdzwonił wszystkich miejscowych zwolenników Huntera Peala i spraw, żeby jak najwięcej z nich przyszło tutaj jutro rano. Kiedy Hunter wyjdzie na spotkanie z prasą, chciałbym słyszeć dużo wiwatów i oklasków. I żeby było głośno.

Jim Klippers zanotował moje polecenie na jakiejś wymiętej kopercie.

- W porządku - odparł. Widziałem jak bardzo stara się nie wyglądać na zbyt rozczarowanego. -

Iludzi chciałbyś tu zobaczyć?

- Trochę więcej niż ty, twój najlepszy przyjaciel i przyjaciółka twojego najlepszego przyjaciela, dobrze?

- Zrobię, co się da.

- Nie wątpię.

W tym momencie podszedł do mnie Hunter i położył dłoń na moim ramieniu.

- Czy przygotowałeś mój tekst na temat energetyki, Jack? - zapytał. - Chciałbym wystąpić z tym już jutro.

- Donald dopracowuje jeszcze ostatnie szczegóły. Wiem, że zajmował się tym przez całe popołudnie.

- Nie sądzisz, że Donald ma zbyt mało stanowcze poglądy w tej sprawie?

Zrobiłem zdziwioną minę.

- Zawsze uważałem go za agresywnego jastrzębia.

- Nie chodzi mi o jego postawę, a raczej o sposób, w jaki ją wyraża. Pisze te teksty tak, że wychodzi na to, iż jestem gotowy do kompromisu, nawet jeśli tak nie jest. Wiesz, co mam na myśli? We wszystkim, co pisze Donald, występuje czynnik MZP.

MZP w slangu Huntera Peala oznaczało czynnik „Możliwej Zmiany Poglądów”. Chodziło o zamierzony lub niezamierzony ton wystąpienia polityka wobec dużego grona słuchaczy, sugerujący, iż „takie jest moje przekonanie, ale jeśli moje przekonanie wam się nie podoba, zawsze mogę je zmienić”.

Popatrzyłem za zegarek. Była czwarta trzydzieści jeden po południu.

- Donald będzie tutaj w każdej chwili - powiedziałem. - Może od razu do tego się zabierzemy?

Zdaje się, że przyjechał tym autobusem.

- W porządku. - Hunter skinął głową. Uściśnął moje ramię, co zawsze było dla mnie sygnałem, że powinienem teraz odejść i zająć się czymś użytecznym, gdyż on zaczyna myśleć już o czymś zupełnie innym. Niemal każda taka zmiana zainteresowania Huntera w ciągu dnia wyrażała się uściśnięciem czyjegoś ramienia.

Lokalni aktywiści partyjni wyjmowali właśnie nasze walizki z samochodu Dana Klippersa i taszczyli je po schodach. Wally Greenschein, nasz doradca, siedział w hallu na dębowym, cennym starym kufrze i wykrzykiwał przez telefon na kogoś znajdującego się akurat w Waszyngtonie.

- Co to znaczy, że nie możesz zdobyć składanych krzeseł? - wrzeszczał. - To są prawyborcy prezydenckie, a ty nie potrafisz postarać się o składane krzesła?

W miarę jak przybywało ludzi, narastał chaos i zamieszanie. Co chwilę przybywali różni ochotnicy, pomocnicy, telefonistki, sekretarki, z wielkimi błękitnymi rozetkami przypiętymi do bluzek. Widniał na nich napis: „Hunter Peal”. Z powodu tego bałaganu nikt z nas nie zainteresował się samym domem. Biegaliśmy z pokoju do pokoju z notatkami w rękach, nie mając ani chwili czasu na dokładne rozejrzenie się po Allen's Corners.

Mimo hałasu, jaki wyczynialiśmy, niewątpliwie sprawiającego wrażenie, że to szerszenie brzęczą w butelce, sam dom pozostawał zadziwiająco cichy. Stopniowo ta cisza zaczynała ogarniać i nas, tak że po jakimś czasie zaczęliśmy rozglądać się niepewnie wokół siebie. W długim salonie, wyłożonym do połowy wysokości ścian ciemną dębową boazerią, drewno w kominku wypaliło się na szary popiół, a wysoki zegar, stojący w najciemniejszym kącie, był przez cały czas cichy i przez cały czas wskazywał, że jest pięć po dwunastej.

W cieplarni o oknach porośniętych zielonymi liszajami wszystko było zakurzone i tylko kilka zeschniętych roślin świadczyło o tym, że ostatni właściciel tego domu coś po sobie pozostawił. Suche, zwiędłe liście sterczały z kikutów gałązek niczym bolesne wspomnienie dawno minionego lata.

W pewnej chwili, gdy szedłem korytarzem na tyłach domu, wiodącym do kuchni, odniosłem wrażenie, że ujrzałem kogoś przecinającego tylny trawnik. Jednak kiedy zatrzymałem się i skupiłem wzrok w miejscu, gdzie powinien znajdować się nieznajomy, nie ujrzałem nikogo. Po chwili zastanowienia pomyślałem, że być może widziałem kobietę w czarnej sukni. W końcu doszedłem do wniosku, że to na pewno chmura, która na chwilę zakryła słońce, spowodowała u mnie przewidzenie.

Po kuchni kręciły się wesołe dziewczyny z Northfield, przygotowując jakąś zupę i pieczone kurczaki. Hunter zawsze jadał około piątej po południu, żeby niestrawność nie zakłócała mu snu, a skoro o tej godzinie jadł Hunter, to, oczywiście, jedliśmy wówczas my wszyscy, cały jego sztab. Tak więc w piecykach piekły się udka i kuchnia była jedynym miejscem w domu, gdzie nie dzwoniły telefony.

Wziąłem jedno jabłko ze skrzynki i powiedziałem do dziewczyny mielącej pieprz:

- Jak się masz, mała? Czy widziałaś już Huntera? Była piegowata, miała jasnozielone oczy i rude włosy.

- Widziałam go dzisiaj rano, w Northfield. Uważam, że jest wspaniały. Nie wiesz, czy z niego jest gorący facet? Bo ja myślę, że tak.

- Chyba wiesz, jakie ma stanowisko na temat energii?

- Tak, Hunter zdecydowanie popiera rozwój energetyki jądrowej. I chce, żebyśmy używali więcej węgla z własnych kopalni.

- Jesteś inteligentną dziewczyną.

- Dziękuję ci. Jestem Jennifer Dwyer. A ty jesteś Jack Russo, prawda?

- Zgadza się. Zajmuję się kontaktami z prasą, reklama, odpowiadam za kształt przemówień, no

i... jeszcze kilka podobnych spraw.

- Chyba jesteś bardzo dumny, że pracujesz dla Huntera Peala.

- Tak - skinąłem głową. - Poza tym jestem zapracowany na śmierć.

- Nie masz ani chwili wolnego czasu?

- Będę go miał, kiedy Hunter zostanie wybrany prezydentem. Do tego czasu ani chwili wytchnienia.

Uśmiechnęła się.

- Nie mów, że ci się to nie podoba.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do kuchni wszedł Woodward Grant. Gorąca para niemal natychmiast skropliła się na jego okularach, zawołał więc:

- Jack! Jack Russo! Jesteś tutaj? - Kompletnie nic nie widział.

- Jestem - odpowiedziałem. Patrząc na Jennifer Dwyer, wzruszyłem lekko ramionami, co miało oznaczać: „Sama widzisz”. Spojrzała mi w oczy i nie odwracała wzroku przez chwilę wystarczająco długą, aby znaczenie tego spojrzenia nie pozostawiło mi żadnej wątpliwości: „Jeśli o mnie chodzi, Jack, moglibyśmy jeszcze się spotkać trochę później”. Była bardzo miła. Spodobała mi się.

Woodward ściągnął okulary i energicznie zaczął przecierać szkła krawatem.

- Właśnie przyjechał Donald Zarowski. Pytał o Ciebie. I niejaki Speck telefonował z New Hampshire. Prosił, żebyś do niego oddzwonił.

- Gdzie jest Hunter?

- Na górze. Odpoczywa. Daliśmy mu główną sypialnię. Ty mieszkasz w pokoju gościnnym.

- Nie wiesz, czy Jim przygotował już nasze stanowisko na temat inwestycji w turystyce? Chciałbym jeszcze raz przejrzeć ten tekst, zanim zostanie ogłoszony.

Niczym dobrze pracujący mechanizm Woodward ruszył energicznie do wyjścia.

- Zaraz sprawdzę. Czy mam to posłać do ciebie? Zdaje się, że teraz będziesz z Hunterem, prawda?

Popatrzyłem na zegarek.

- Przynajmniej przez pół godziny. Spróbuj opóźnić ten posiłek o jakieś pięć minut. Wiem, że Hunter jest w tej sprawie aż za dokładny, ale musimy szczegółowo omówić jego programowe wystąpienie.

- Zrobię, co będę mógł.

- Dziękuję, Woodward-

Donald Zarowski czekał na frontowej werandzie. Był drobny, szczupły, miał duży nos i postrzępione włosy o trudnym do określenia kolorze, przypominające jednak mysią sierść. Z przyzwyczajenia ubrany był w szary tweedowy płaszcz z wypchanymi kieszeniami oraz w sportowe buty.

- Cześć, Jack - powiedział. - Jak leci w naszym cyrku?

- Nie ma co prawda publiczności, ale wszyscy clowni są na miejscu. Jak przemówienie?

Donald niczym prestidigitator wyciągnął kartki z zanadrza, prezentując mi je gwałtownym ruchem ręki.

- Kiepskie to miejsce - zauważył rozglądając się wokół Allen's Corners, podczas gdy ja szybko przeglądałem jego tekst traktujący o problemach energetycznych Ameryki. - Aż prosi się, żeby za chwilę w oknie na górze ukazała się zakrwawiona twarz Betty Davis.

- To kiepskie, jak twierdzisz, miejsce, wybrane zostało ze względu na jego elegancję i styl - mruknąłem. - Gdzie jest trzecia stronica?

- Och, na końcu. Zaraz po siódmej.

- Widzę.

Czytałem dalej, a Donald cofnął się trochę i patrzył na kolonialne filary i na gontowy dach.

- Dawniej robili solidne domy. Żebyś ty widział budę, w której mieszkałem w Jersey. Aż dziw, że nie było tam duchów.

- Duchów? - zapytałem mimo woli. Na krótką chwilę powróciło do mnie wrażenie, że jednak na trawniku za Allen's Corners widziałem ciemną sylwetkę.

- Oczywiście. W takich miejscach zawsze są duchy. Łatwo je wyczuć. Potrafiłbyś?

- Nie wiem. Na czym to polega?

Donald wysmarkał się i wcisnął chusteczkę do rękawa.

- Wiesz, to kwestia atmosfery. Na przykład jakaś zimna, pełzająca wibracja. Czuję ją już w tej chwili. To miejsce jest nią wprost przesiąknięte. Zimna, pełzająca wibracja.

- Może Teddy Kennedy przeklął ten dom?

- Może to jego sprawka. Jak ci się podoba przemówienie?

Skończyłem przeglądanie trzeciej strony.

- Podoba mi się. Jedno albo dwa MZP. Jak na przykład tutaj, na temat bezpieczeństwa nuklearnego. Hunter wolałby powiedzieć, że zbudujemy reaktory o niespotykanym do tej pory stopniu zabezpieczenia przed jakąkolwiek awarią, zamiast mówić, że będziemy budować reaktory, jeżeli będziemy mieli pewność, że są one bezpieczne. Widzisz różnicę?

- Oczywiście. Ale też jest istotna różnica między reaktorem o wysokim stopniu zabezpieczenia a reaktorem całkowicie bezpiecznym.

Złożyłem kartki na pół i włożyłem do mojej podręcznej teczki.

- Donald - powiedziałem. - Pisanie tekstów dla kandydatów w prawyborach to bardzo trudna sztuka, wymagająca przestrzegania wielu ważnych zasad. Jedna z nich mówi, że nie należy wysiadywać jajek, z których później mogą się wykluć niepotrzebne indyki.

- Rozumiem cię. - Donald popatrzył na zegarek. - Czas na żarcie, prawda?

- Czas na żarcie będzie wtedy, kiedy skończę omawiać twój tekst z Hunterem.

- Boże, proszę cię jedynie, żeby to nie były znów pieczone kurczaki.

- Niestety, to są pieczone kurczaki.

Weszliśmy do środka i przez hall, pełen płatających się ludzi i walizek, ruszyliśmy w kierunku głównych schodów. Zrobione były z ciężkiego drewna dębowego i otoczone również dębową, piękną balustradą. Skonstruowano je tak dobrze, że ani na moment nie zaskrzypiały, gdy szybko wznosiłem się, stopień po stopniu, ponad zgiełk krzyczących sekretarek, posłańców, kierowców i innych pracowników Huntera. Wstępowałem w obszar kompletnej ciszy.

Na górze było tak niemożliwie cicho, że stanąwszy na podeście aż cofnąłem się dwa albo trzy schody w dół, aby zorientować się, na którym stopniu kończą się odgłosy krzyków i telefonów dobiegające z dołu. To było niesamowite. Absolutna cisza. Zacząłem cofać się coraz niżej i dopiero na siódmym stopniu za zakrętem na półpiętrze odniosłem wrażenie, że ktoś wyjął bawełniane stopery z moich uszu.

Trzynasty stopień licząc od hallu. Siódmy - licząc od zakrętu.

Zanim dotarłem do głównej sypialni, musiałem przejść kilkanaście kroków korytarzem, udekorowanym czerwonym chodnikiem. Na drewnianych drzwiach sypialni wyrzeźbione były w drewnie owoce: jabłka i dynie. Podwójne drzwi można było otworzyć pociągając dwa mosiężne koła, trzymane w paszczach przez dwa okropne stwory. Wizerunki te przypominały psy, może kozy, ale można było też dopatrzeć się i cech ludzkich.

Zapukałem i czekałem w ciszy. Hunter mógł sobie być głównym kandydatem do nominacji z

ramienia Partii Republikańskiej, ale wciąż był również ludzką istotą, mającą prawo do odrobiny samotności i wypoczynku. Pilnował, abyśmy tego przestrzegali. Jeden z jego byłych pracowników wsunął kiedyś szkic przemówienia pod drzwi toalety podczas ранnego posiedzenia Huntera, aby być pewnym, że przeczyta go, zanim wyjdzie. Hunter dokładnie splukał po sobie, następnie otworzył drzwi i natychmiast zwolnił biedaka z pracy.

Z sypialni usłyszałem: - Chwileczkę - co oznaczało, że jeszcze muszę czekać. Znowu popatrzyłem na zegarek. Była czwarta pięćdziesiąt jeden po południu i zależało mi, żeby nasza rozmowa nie przeciągnęła się nadmiernie na czas posiłku Huntera. W tych dniach żył on z zegarkiem w ręku: nie dlatego, żeby był z natury bardzo punktualny, ale po prostu dlatego, że był to jedyny sposób, aby przetrwać kampanię, nie naruszając zbytnio zdrowia. Poza doktorem tylko Micky, ja i członkowie jego najbliższej rodziny wiedzieli, że Hunter cierpi na arytmie serca.

Czekając, aż Hunter się przygotuje, wyrząłem przez małe okienko przy drzwiach. Były w nim bursztynowe i rubinowe szyby, a widać przez nie było front domu i wszystkie autobusy i samochody naszej ekipy, zaparkowane w nieładzie przypominającym ławicę ryb. Widziałem ludzi rozładowujących skrzynki z dokumentami i przenoszących do południowego skrzydła domu, gdzie organizowaliśmy pokój łączności, maszyny do pisania i telewizory.

Zupełnie niespodziewanie zauważyłem ciemną sylwetkę poruszającą się ścieżką w kierunku domu, unoszącą się ponad drobnym zwirem tak płynnie jak cień. Gdy przycisnąłem twarz do szyby, sylwetka zniknęła. Chciałem otworzyć okno i wciąż walczyłem z zablokowaną klamką, kiedy otworzyły się podwójne drzwi sypialni i stanął w nich Hunter.

- Jack - powiedział. Był blady i bardzo zmęczony. - Wejdz. Myślałem, że to już mój kurczak.

- Ja po prostu chodzę jak kurczak, Hunter - zażartowałem. Ale żaden z nas się nie roześmiał. W sanktuarium ciszy na piętrze było coś takiego, że śmiech wydawał się tutaj nie na miejscu. Wszedłem do sypialni Huntera i po raz pierwszy tego dnia zdjąłem z ramion płaszcz. W pokoju była też Micky. Siedziała przed dogasającym kominkiem i czytała informacje agencyjne na temat kampanii Huntera. Uśmiechnęła się do mnie leciutko i powiedziała:

- Cześć, Jack. Jak mają się sprawy tam, na dole?

- Bitwa o Jerycho to nic, w porównaniu z tym, co tam się dzieje.

- Czy masz ten tekst o energetyce? - wtrącił się Hunter.

- Oto on - wyciągnąłem kartki w jego kierunku. - Myślę, że Donald wykonał generalnie dobrą robotę. Tylko jeden MZP.

Micky odłożyła egzemplarz „Time’a”.

- Czy naprawdę uważasz, że zwyciężymy w Connecticut, Jack? - zapytała.

Usiadłem na ciężkim drewnianym krześle przed kominkiem. Poczułem się jak bohater którejś z opowieści Edgara Allana Poe. Ściany sypialni od podłogi po sufit wyłożone były dębową boazerią, a samo łóżko ze wszystkich stron osłonięte było baldachimem i ciemnobrązowymi kurtynami zdobnymi w zakurzone złote frędzle. Wielość brązowych elementów tego pokoju czyniła trochę niesamowite i przygnębiające zarazem wrażenie. Bez trudu wyobraziłem sobie kruka Allana Poe wchodzącego do środka przez okno i sadowiącego się na futrynie ponad drzwiami.

- Niezbyt dobrze czuję się w tym eleganckim i dystyngowanym domu - powiedziałem. - Donald mówi, że to miejsce jest nawiedzone.

- Ale czy wygramy w Connecticut? - Micky powtórzyła swoje pytanie. - To jest ważniejsze od wszystkiego.

- Nie wiem - odparłem. - Dan Klippers uważa, że osiągniemy całkiem duże poparcie za tym pasem, w którym mieszkają ludzie pracujący w Nowym Jorku. Nie jest jednak pewny co do

wybrzeża. Możemy zdobyć New Haven. Ale w Stamford, Norwalk, Fairfield, aż do Bridgeport mogą być, zdaniem Dana, spore kłopoty.

Hunter usiadł na skraju łóżka i zaczął czytać. Mniej więcej co trzydzieści sekund ślinił palec i przekładał kolejną kartkę. Już nie pamiętam, ile razy próbowałem oduczyć go dokładania swojej śliny do każdej kartki, jaką przeczyta.

- Jak dotąd całkiem dobre - rzucił Hunter w przestrzeń.

- Nie rozumiem, dlaczego ci ludzie, zamieszkujący wokół Nowego Jorku, tak bardzo nie lubią Huntera - stwierdziła Micky. - Przecież akurat on jest takim umiarkowanym republikaninem, który powinien im odpowiadać.

- Jak na ich gust jest zbyt ojcowski - zauważyłem. - Już wystarczająco nie lubią swoich własnych ojców, więc tym bardziej nie będą popierali ojca przyszywanego. Kojarzą go z wtykaniem nosa we wszystko co możliwe, z ograniczeniem podstawowych wolności, wzrostem podatków i podwyżką cen benzyny.

Micky uśmiechnęła się.

- Chciałabym, żebyś żartował - powiedziała. - Ale zdaje się, że mówisz zupełnie poważnie.

Hunter skończył czytać. Odłożył kartki na łóżko i przetarł dłońmi oczy.

- Rozumiem, o co ci chodzi z tymi reaktorami - powiedział. - Czy mógłbyś poprosić Donalda, żeby to zmienił?

- Już to zrobiłem.

- Wiesz co? - zapytał Hunter. Zmarszczył czoło, jakby po głowie plątała mu się jakaś myśl, którą stara się za wszelką cenę uchwycić. - Czasami zastanawiam się, co ja tutaj, u diabła, robię. Patrzę na swoje odbicie w lustrze i zapytuję się, czy to naprawdę ja, Hunter Peal, ubiegam się o nominację prezydencką. Czy mógłbyś być, Hunterze, prezydentem?

- Jesteś zmęczony - powiedziałem. - Jak tylko coś zjesz i trochę się prześpisz, wszystko powróci do normy. I będzie jasne, Co ty tutaj robisz i co ja robię. Bo ja nie mam wątpliwości. Nie mam też wątpliwości, po co są tutaj, na dole, wszyscy ci ludzie.

- Jesteś dobrym przyjacielem, Jack - stwierdził Hunter. - Mam nadzieję, że nigdy nie będziesz musiał żałować tego, co teraz robisz.

- Hunter, pamiętasz, co powiedziałaś mi pewnego wieczoru w Nowym Jorku? O tym, że od czasu do czasu wyciągasz banknot dolarowy i czytasz to, co jest wydrukowane na jego odwrotnej stronie? „Wierzmy w Boga!” To wszystko.

- W Boga? - powtórzył Hunter, takim głosem, jakby to słowo było mu zupełnie obce. Popatrzyłem na Micky, ale ona nie wyczuła niczego w tonie głosu swojego męża. Patrząc na mnie, jedynie wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć, że Hunter po prostu jest zmęczony tymi wszystkimi konferencjami prasowymi, przemówieniami i przyjęciami, że po prostu potrzebuje jednego spokojnego wieczoru dla siebie.

Allen's Corners wokół nas był wciąż złowieszczo cichy. Słyszeliśmy nawet pojedyncze trzaśnięcia drzwiczek samochodowych na zewnątrz. Ogień na kominku palił się tak, że nie było słyhać najmniejszego trzasku, najmniejszego szmeru płonącego drewna.

Wstałem.

- Myślę, że posiłek jest już gotowy - powiedziałem. - Czy mam powiedzieć, żeby go tutaj przysłano?

Hunter spojrział na mnie. Patrzył przez długą chwilę w absolutnej ciszy.

- Tak. Niech mi przyniosą jedzenie tutaj. Przyjrzałem mu się i z jakiegoś nieokreślonego powodu nagle poczułem, że go nie lubię. Po raz pierwszy od dnia gdy spotkałem go w Billings, w

Montanie, i uścisnąłem jego rękę, stwierdziłem, że Hunter mnie denerwuje.

ROZDZIAŁ III

Nasze spotkanie w Billings nastąpiło osiem miesięcy przed wydarzeniami w Connecticut, no, najwyżej dziewięć, lecz teraz wydawało mi się, że to minęło aż dziewięć lat. Byłem dziennikarzem „Butte Independent”, miałem dwadzieścia dziewięć lat i żadnych obowiązków na bożym świecie z wyjątkiem jednego: regularnego dostarczania do redakcji moich tekstów. NQ, musiałem jeszcze często i dużo płacić za piwo Hubler's Mountain, nic dziwnego jednak, skoro spijałem je całymi hektolitrami.

Nie liczę wydatków na wychowanie Lucy, która miała pięć lat i mieszkała wraz z matką i nowym tatusiem w Van Nuys, w Kalifornii, cholernie daleko. Nie widywałem Lucy więc często - czasami na Boże Narodzenie albo Święto Dziękczynienia - jednak żyłem ze swoją córeczką w przyjaźni, która obojgu z nas odpowiadała. Pisywałem do niej listy, a ona w zamian przysyłała mi karteczki z rysunkami.

Jeśli chodzi o Anette - jej matkę - cóż, patrząc na nią dziękowałem Bogu i wszystkim jego aniołom, że nie jest już moją żoną. Była złośliwa i głupia, a ostatni raz, kiedy ją widziałem, wyglądała jakby codziennie zjadała piętnaście bardzo słodkich czekolad.

Posłano mnie do Billings, ponieważ przebywał tam Hunter Peal. Był gorący i suchy dzień, ale ja cieszyłem się na myśl o spotkaniu z Hunterem. Był wówczas starszym senatorem ze stanu Kolorado i całkiem niedawno zaczęto rozważać jego kandydaturę w walce o nominację Partii Republikańskiej do najbliższych wyborów prezydenckich. Miał bezkompromisowy trzynastopunktowy program poprawy sytuacji gospodarczej i był zwolennikiem twardego kursu Stanów w polityce międzynarodowej. Poza tym emanowała od niego stanowczość i dobro; był taki bardzo amerykański.

Mówiąc w ten sposób o Hunterze Pealu przedstawiani siebie jako politycznego żółtodzioba. W gruncie rzeczy takim właśnie wówczas byłem. Wychowywałem się w Butte, w stanie Montana, u boku matki - wdowy (ojciec zginął w 1954 roku w katastrofie lotniczej) i niewiele wiedziałem o świecie leżącym poza rogatkami Butte, dopóki nie osiągnąłem czternastu czy piętnastu lat życia. Bo i też nie musiałem. Ludzie w Butte byli spokojni i przyjaźni, zimy były bardzo zimne, a lata znowu bardzo gorące. Wraz z rówieśnikami jeździliśmy na rowerach, słuchaliśmy „The Beach Boys” i żalowaliśmy, że nie mieszkamy w Kalifornii, chodziliśmy na randki z dziewczynami i jakoś dorastaliśmy. Przez pewien czas pracowałem w supermarkecie jako młodszy sprzedawca, co oznaczało ni mniej ni więcej tylko zapychanie półek mrożoną wątróbką i zbieranie pustych wózków na zakupy ze sklepowego parkingu. Gdy jednak osiągnąłem dwadzieścia lat, Arnold Van Ryn, właściciel „Independent” i zarazem kolejny „chłopak” mojej matki, zaoferował mi posadę w gazecie.

„Chłopak” miał pięćdziesiąt sześć lat i niewiele włosów na głowie, a jego oferta związana była ściśle z cierpliwą batalią o serce mojej matki. Matka go jakoś polubiła, a ja dzięki batalii Arnolda dostałem się do mediów i też polubiłem swoją pracę.

Od niepamiętnych czasów interesowałem się polityką. Nie tą wielką, światową, taryfami celnymi czy połowami ryb na oceanach. Interesowało mnie, co sprawia, że jeden człowiek jest na tyle silny, iż nakazuje, aby go słuchano, a drugi na tyle słaby, że cichutko siada i słucha silniejszego. Czytywałem „Time'a” i „Newsweeka” i uważałem siebie za osobę doskonale zorientowaną w polityce. Przez dwa lata po rozwodzie byłem nawet członkiem Partii Republikańskiej w Butte, ale to głównie dlatego, że Adeline Sanko, urocza, zmysłowa brunetka była również jej członkinią i wprost uwielbiała Richarda Nixona.

A potem nadeszła afera Watergate i Gerry Ford i polityka okazała się czymś tak wstrętnym i nudnym jak zimna jesienna noc. Przynajmniej dla mnie, ponieważ do tej pory wierzyłem, że polityka to sztuka wygrywania. Jesienią 1978 roku nie było jednak dookoła żadnego zwycięzcy, żadnego

wielkiego i inspirującego kandydata do prezydentury, człowieka, który sprawiłby, że serca w narodzie znowu by drgnęły, krew zawrzała; człowieka, który sprawiłby, że znów chciałoby się krzyżeć: Ameryka jest piękna!

W listopadzie jednak komentatorzy telewizyjni zaczęli zauważać Huntera Peala. Mówił o przyszłej strategii Stanów Zjednoczonych w polityce zagranicznej tonem tak zdecydowanym, że moje serce rosło. Proponował gotowy plan wyjścia kraju z kryzysu energetycznego. Zabiegał o poparcie głównie w swoim rodzinnym stanie, w Kolorado, ale nie tylko. Powoli uzyskiwał coraz większe poparcie, a przy okazji zbierał pieniądze na kampanię wyborczą o zasięgu krajowym. Wśród republikanów zasiadających w Senacie nastąpiła swego rodzaju repolaryzacja i senator George Dwith z Illinois otwarcie głosił, że Ameryka potrzebuje nowego Kita Carsona. Nikt nie wątpił, że senator ma na myśli Huntera Peala.

Według mnie, w porównaniu z Hunterem Pealem stary gang Kennedych, Haigów, Brownów i Reaganów obiecywał niewiele, zaledwie przerobioną odmianę haseł Nowego Ładu czy Wielkiego Społeczeństwa. Hunter Peal mówił natomiast o narodzie, który odnajdzie na nowo siebie i swoją tożsamość. O narodzie, który musi uzmysłowić sobie, czym jest, a czym mógłby być, i wówczas obrać dla siebie właściwą, przeznaczoną mu drogę.

Cóż, wiem, że teraz, gdy Huntera Peala już nie ma, to wszystko wydaje się strasznie nudne. Mam jednak nadzieję, że wszyscy jeszcze pamiętacie te dni i potraficie szczerze i bez cynizmu przyznać, jak świeże i inspirujące zdawały się hasła Huntera Peala w te niezapomniane dni 1980 roku. W każdym razie ja, kiedy w pamiętny środowy poranek lądowałem w Logan Airport, w Billings, głowę wypełnioną miałem hasłami Huntera o Nowym Początku i dlatego właśnie chudy, trochę nie dowidzący młodzieniec z Butte bardzo ucieszył się, otrzymawszy propozycję pracy w sztabie kandydata na prezydenta. Oczywiście, zanim ta propozycja padła, ani mi się śniło, że coś takiego nastąpi. Jeśli o mnie chodzi, przygotowywałem się jedynie do piętnastominutowego wywiadu, po którym zjadłbym szybki lunch (cheeseburger na Division Street) i powróciłbym do Butte wieczornym samolotem, aby jeszcze przed zamknięciem numeru złożyć swój tekst.

Huntera Peala zobaczyłem po raz pierwszy, gdy wysiadał ze swojego samochodu przed Midland Empire Fair Grounds. Przed samochodem zatrzymał się, uniósł rękę i nastąpiła dzika wrzawa pisków i oklasków. Był tutaj popularny, ponieważ był człowiekiem z Zachodu, ponieważ znał się na bydle, ponieważ z zainteresowaniem oglądał rodeo, usiadłszy na sosnowej żerdzi, ponieważ pił piwo z butelki nie ocierając jej szyjki przed pierwszym łykiem. Pewny siebie, pełen ciepła, ojcowski. Bez trudu wyobrażałem sobie siebie przyłapanego na gorącym uczynku po wybiciu szyby i Huntera Peala otaczającego mnie ramieniem i cierpliwie tłumaczącego: „Chłopcze, w ten sposób nie powinniśmy zachowywać się w naszym kraju. Wszyscy powinniśmy szanować siebie nawzajem i swoją własność”.

Tego ranka zajął się mną Dick Unsworth, republikanin z Billings, facet o krótko obciętych włosach i jajowatej głowie. Miał jednak szerokie ramiona, którymi rozepchnął zgromadzony tłum, otwierając korytarz dla mnie. Oczywiście skwapliwie się w niego wepchnąłem. Dick ścisnął łokieć Huntera i powiedział:

- Panie Peal, przedstawiam panu Jacka Russo z „Butte Independent”. Chciałby zamienić z panem kilka słów.

Hunter Peal potrząsnął moją ręką. Był o wiele wyższy niż sobie wyobrażałem i to od razu wywołało u mnie nieśmiałość. Miał krótkie, przetykane siwizną włosy, siwe, gęste brwi i oczy o ostrym spojrzeniu, bladozielone, jak onyks. Jego podłużna, kanciasta twarz poprzecinana była zmarszczkami. Jakiś dowcipny dziennikarz z „Time’a” powiedział, że twarz ta przypomina mocno

zużyte końskie siodło.

- Miło mi pana poznać - powiedział Hunter Peal. Miał głęboki głos i akcent nie pozostawiający wątpliwości, że jego właściciel pochodzi z Kolorado.

Odwrócił się i otoczył ramieniem drobną, ciemnowłosą, śliczną kobietę w eleganckim kremowym kostiumie. Uśmiechnęła się wyciągając do mnie rękę. Jej przegub opasywały złote bransolety. - To jest Micky, moja żona, najwspanialsza kobieta w całym Kolorado - znów odezwał się Hunter. - Micky, najdroższa, oto pan hmm... z „Butte Independent”. - Russo - powiedziałem - Jack Russo. Chciałbym zadać panu kilka pytań, o ile to jest możliwe.

- Oczywiście, że jest możliwe: Niech pan pyta, o co pan chce. Proszę tylko poczekać, aż wypełnię tutaj wszystkie swoje obowiązki. Niech pan przyjdzie za pół godziny do mojego samochodu. Wtedy znajdziemy jakieś miejsce na spokojną rozmowę.

- Będę panu bardzo wdzięczny. Niestety, muszę jednak z góry uprzedzić, że...

- Uprzedzić? - Hunter Peal uściśnął moją rękę. Gdybym wówczas znał go lepiej, wiedziałbym już, że od tego momentu w ogóle mnie nie słucha.

- Właśnie. Jestem jednym z pana zwolenników. Jestem gorącym pana zwolennikiem, mówiąc szczerze. Będę się jednak musiał starać, żeby materiał, który przygotuję na temat pańskiej kampanii, nie był zbyt jednoznaczny i przesłodzony.

Roześmiałem się, a Micky uśmiechnęła się do mnie ledwie widocznym uśmieszkiem. Hunter Peal wyciągał już rękę w kierunku Crosby'ego McAllistera, prezydenta fundacji na rzecz budowy szpitala w Billings.

- Miło mi pana poznać - powiedział do Crosby'ego. - To jest Micky, moja żona. Niektórzy mówią, że jest najwspanialszą kobietą w Kolorado, i ja się z tą opinią zgadzam.

Krążyłem wokół ciemnoniebieskiej limuzyny Huntera przez prawie dwie godziny. Kilka budynków dalej w kierunku centrum miasta znajdował się bar, ale nie odważyłem się skoczyć na drinka w obawie, że mógłbym przeoczyć powrót Huntera do samochodu i na zawsze stracić okazję do porozmawiania z nim.

Przez blisko dwie godziny chodziłem w tę i z powrotem po chodniku obok auta, później zmęczony i spocony, oparłem się o maskę. Ale w końcu, stwierdziwszy, że robię przysługę Hunterowi Pealowi pisząc o nim, spocony jak świnia, wsiadłem do samochodu na miejsce kierowcy i przekręciłem kluczyk w stacyjce. Włączyłem klimatyzację i wkrótce owiał mnie delikatny, świeży podmuch powietrza, osuszając pot z mojego, umęczonego ciała.

Gdyby Hunter Peal wrócił do samochodu kilka minut później, spałbym już za kierownicą. A tak zdążyłem zobaczyć jego świtę zbliżającą się w moim kierunku. Otoczony był podnieconym, rozwrzeszczanym tłumem, składającym się z miejscowych ważniaków, politycznych zwolenników oraz korpulentnych kobiet o tłustych pośladkach i w krótkich szortach, nachalnie dopominających się o autografy. Dojrzałem krople potu na jego czole, a twarz, mimo ciągle obecnego na niej uśmiechu, wyrażała krańcowe zmęczenie.

Sięgnąłem do tyłu i otworzyłem mu drzwiczki. Micky wsiadła pierwsza, Hunter za nią. Gdy usiedli na tylnych siedzeniach, zamknąłem drzwiczki i wcisnąłem guzik centralnego zamka.

- A, to ty? - zdziwił się Hunter. - W każdym razie bardzo ci dziękuję. Przy okazji, nie widziałeś gdzie mojego kierowcy?

- Ani przez chwilę. Może poszedł gdzieś na piwo?

- Cieszę się, że pomyślał pan o ochłodzeniu dla nas samochodu - powiedziała Micky do mnie. - To bardzo uprzejme z pana strony.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- Czy znasz jakieś miejsce w tym mieście, gdzie można by zjeść dobry, niewyszukany lunch? Jakąś sałatkę, coś takiego? - zapytał Hunter. W tych dniach jeszcze jego kampania nie wymagała od niego przestrzegania diety i godzin posiłków.

- Oczywiście. „Beauvoir”. Chcecie, żebym was tam zawiózł?

- Pod warunkiem, że twoja godność zawodowa nie zabrania ci odegrania roli naszego szofera.

- Nie ma sprawy.

Pojechaliśmy na lunch do hotelu „Beauvoir”. Restauracja była chłodna, droga jak na Billings i niemal elegancka, w takim stylu plastikowego rokoko. Nastawiłem mój kieszonkowy dyktafon na nagrywanie i położyłem na wolnej przestrzeni stolika, ale byliśmy w połowie sałatki z krewetek, gdy nasze role odwróciły się i to Hunter Peal zaczął zadawać mi pytania, zamiast odwrotnie.

- Czy kiedykolwiek myślałeś o pracy w polityce? - zapytał Hunter, starannie przeżuując rzodkiewkę.

- Myślisz o próbie wystartowania do legislatury stanowej? O czymś takim? Chyba nie mam wystarczającej charyzmy, żeby pokusić się o coś takiego, nie mówiąc już o kompetencjach.

- Jesteś zbyt skromny - oświadczył Hunter. - Słuchałem dziś rano, co do mnie mówisz, i uważam, że jesteś inteligentnym, młodym człowiekiem.

- Dziękuję, ale jestem przekonany, że nie nadaję się do pracy za jakimkolwiek biurkiem.

- O niczym takim nie mówimy. Uważam, że byłbyś doskonałym pracownikiem sztabu wyborczego. Sztabu jakiegoś ważnego kandydata...

- Kogo? - zapytałem. - Chyba nie myślisz o swoim sztabie!

- Dokładnie o tym myślę. Widzisz, czas biegnie bardzo szybko, a ja potrzebuję coraz więcej młodych, zdolnych, energicznych ludzi do mojej kampanii. Ludzi pomysłowych, przedsiębiorczych, w dodatku przekonanych, że praca dla mnie ma sens.

Nabrałem sałatki na widelec.

- A więc naprawdę masz zamiar ubiegać się o nominację? - stwierdziłem raczej, niż zapytałem.

Micky uśmiechnęła się.

- Nie rozmawiamy przy Hunterze o nominacji. Po prostu mówimy, że Hunter ubiega się o prezydenturę. Jesteśmy też przekonani, że wygra, prawda, kochanie? - położyła swoją dłoń na dłoni Huntera.

Hunter oblizał sos z warg. - Takie są nasze założenia.

- Musiałbym to przemyśleć - powiedziałem.

- Oczywiście, że musisz to przemyśleć. Byłaby to w twoim życiu wielka zmiana. Jestem jednak pewien, że dałbyś sobie radę. Mam intuicję, jeśli chodzi o ludzi, i intuicja podpowiada mi, że byłbyś doskonały w pracy, którą ci proponuję. Masz przystojną twarz, jest jednocześnie młoda i poważna. Masz odpowiednie pochodzenie i, co najważniejsze, prawidłowy akcent. Pozwól, że ci coś powiem, Jack, głos Zachodu będzie miał wkrótce w tym kraju decydujące znaczenie, bo jest głosem tych, którzy wciąż jeszcze nie zapomnieli, czym jest prawdziwa Ameryka.

Hunter wyprostował się w krześle i włożył kciuki za pasek od spodni.

- Zbieram zespół młodych ludzi, bez żadnych politycznych uprzedzeń. Mam zamiar osobiście przygotować tę grupę do pracy i stworzyć z niej najdoskonalszy, najefektywniejszy, najskuteczniejszy sztab polityczny, jaki kiedykolwiek znała kampania prezydencka. Chcę, żebyś został członkiem tego sztabu, jego ważną częścią. Czy jesteś w stanie odmówić tej propozycji?

- Hunter jest bardzo przekonujący - zauważyła Micky.

Kończyłem sałatkę z krewetek.

- A co się stanie, jeżeli nie wygrasz? - zapytałem. - To znaczy, wierzę, że najprawdopodobniej

wygrasz, ale jeśli nie? Co wówczas stanie się ze mną?

Hunter rzucił mi nad stołem ostre, penetrujące spojrzenie.

- Jeśli tak się stanie, napiszesz pamiątniki z tej kampanii i zarobisz na nich krocie pieniędzy.

Usłyszałem cichy, skwierczący dźwięk i popatrzyłem na mój dyktafon. Właśnie skończyła się taśma i powinienem przełożyć ją na drugą stronę. Ale jedynie wyłączyłem zbędne urządzenie.

- W porządku - powiedziałem. - Skoro uważasz, że jestem ci potrzebny, przystępuję do tej gry. Od kiedy mam zacząć?

Hunter odłożył widelec i sięgnął po szklanekę wody sodowej. Nigdy nie pił wina ani żadnych innych alkoholi, przynajmniej nigdy tego nie zauważyłem. Uniósł więc swoją szklanekę wody i powiedział:

- Możesz zacząć od zaraz. Kiedy tylko oznajmisz szefowi tej twojej gazety, że rezygnujesz z posady.

- To bardzo szybko - zauważyłem. Hunter uśmiechnął się.

- Oczywiście, że szybko. Szybkie działanie jest podstawą wszelkich zwycięstw.

ROZDZIAŁ IV

O pierwszej dwadzieścia trzy nad ranem prawie już skończyłem robotę. Siedziałem w pokoju łączności, przygotowanym przez Dana Klippersa w południowym skrzydle domu. Do towarzystwa miałem jedynie maszynistkę w czerwonym sweterku i nocny film w telewizji. Właśnie poprawiałem ostatnie przecinki w tekście Donalda o energetyce, zdążywszy już całość wygładzić, poprawić, postawić w odpowiednim miejscu akcent, podkreślenia, pauzy, prawidłowo ustawić akapity.

„Eksplloatując bogactwa naturalne Ameryki (pauza)... Wykorzystujemy wrodzone i zróżnicowane umiejętności i talenty jej mieszkańców (pauza)...”

Pokój łączności urządono w ponurym salonie o wysokim suficie, wyłożonym dębową boazerią i obwieszonym na wszystkich ścianach zakurzonymi kinkietami. Podwójne szklane drzwi prowadziły do oranżerii, gdzie obecnie przechowywano większość kamiennych posągów i ozdób, które dawniej upiększały ogród. Przez brudne i popękane szyby widziałem twarz ogrodowej nimfy i jej rękę z marmuru, wzniesioną do góry w akcie strachu czy też rozpaczy. A może zawodu?

Maszyna IBM zaskrzeczała, jakby oddychając z ulgą, kiedy sekretarka zakończyła przepisywanie kolejnego tekstu dla dziennikarzy. Teraz do głosu doszedł telewizor, stojący w kącie, a raczej doszedł do niego D'Artagnan w wyblakłych kolorach, pędzący na koniu, aby uwolnić z więzienia Atosa. A może to chodziło o Portosa?

Czułem się wykończony. Sięgnąłem po puszkę Hublersa, stojącą na moim uwalanym od kawy biurku. Była pusta. Mało mnie to wzruszyło. Tak naprawdę to Hublers pity na wschód od Yellowstone River w ogóle mi nie smakował. Zawsze twierdziłem i będę twierdził, że Hublers smakuje tylko w domu, tam gdzie jest produkowany.

Maszynistka wreszcie uporządkowała swoje papiery, przykryła IBM pokrowcem i wstała od biurka.

- Dobranoc, panie Russo - powiedziała i na swoich wysokich obcasach, kręcąc pupą wyszła z pokoju. Mogła sobie nosić wysokie obcasy, bo akurat wyglądała w takich butach elegancko, choć, jak mi się zdaje, wyszły one z mody w 1964 roku.

W pokoju łączności zaległa głucha cisza. Wstałem i pomaszerowałem wzdłuż rzędów biurk, wyłączając po kolei wszystkie palące się lampki. Od czasu do czasu przystawałem i czytałem leżące na biurkach nie dokończone teksty, albo przeglądałem znajdujące się na nich stosy papierów. Biurek było trzydzieści i stały w trzech rzędach. Odbyłem swój patrol, gasząc zbędne światła, niby nocny strażnik w opuszczonym budynku.

Moje buty skrzypiały na podłodze pełnej ziarenek piasku, naniesionego z zewnątrz. Co chwilę spoglądałem na swoją sylwetkę, odbijającą się w szybach oranżerii. Wyglądałem niczym ta ciemna figura, którą zaobserwowałem zmierzającą do domu. Byłem podobny do sylwetki, którą zauważyłem na trawniku.

Kiedy na biurkach pozostały już tylko trzy zapalone lampki, nagle zastygłem w bezruchu. Z zewnątrz słyszałem lekki świst wiatru, a o szyby okienne co jakiś czas uderzało kilka samotnych kropel deszczu. Po drugiej stronie pokoju znajdował się zabity deskami kominek; słyszałem jak wiatr huczy w jego przewodach. To wszystko. Żadnych innych dźwięków. Allen's Corners był najcichszym, najspokojniejszym domem, jaki kiedykolwiek poznałem.

Wyłączyłem ostatnią lampkę i stanąłem przed ekranem telewizora, gapiąc się na bezsensowne - z wyłączonej fonii - przygody trzech muszkieterów. Jakiś impuls nakazał mi odwrócić się w kierunku drzwi do oranżerii i ujrzałem odbitą w szybie swoją sylwetkę, jednak z białą twarzą ogrodowej nimfy. Wyglądałem jak duch. Poczułem, jak ciarki przebiegają mi po plecach.

Znów ruszyłem przez ciemny już pokój, aż dotarłem do drzwi prowadzących do oranżerii.

Przyłożyłem twarz do szkła i zajrzałem do środka, osłaniając oczy, aby nie przeszkadzało mi odbicie w szybie ekranu telewizora.

Oranżeria miała kształt ośmiokąta i pełna była nimf, zwierząt i bestii wszelkiego rodzaju. Nimfa o białej twarzy tańczyła, zaciskając w dłoniach rąbki kamiennej sukienki. Na jej ustach błąkał się smutny uśmiech. Inna nimfa leżała na ziemi. Nie widziałem dokładnie, ale zdawało mi się, że na niej znajduje się jeszcze jedna sylwetka, strącona z cokołu, przyciskająca ją mocno do posadzki.

Szarpnąłem za klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz i nie miałem pojęcia, gdzie go szukać. Zapewne od wewnątrz wejście uniemożliwiała również zasuwka. Chciałem wejść do oranżerii i zobaczyć wszystko dokładnie, obejrzeć inne statuy. Widok przez szybę był zbyt zamazany, zbyt zaciemniony; rozróżniałem tylko niewyraźne kształty i sylwetki. Mimo że oranżeria miała szklany dach, znajdowało się na nim tyle liści i starych gałęzi, że nie przepuszczał z nocnego nieba ani odrobiny światła. Musiałem, niestety, zadowolić się tym, co byłem w stanie zobaczyć przez szyby, wyciągając wzrok.

Znów popatrzyłem na tańczącą nimfę. Dziwne, ale mógłbym przysiąc, że odrobinę zmieniła swoją pozycję. Jeszcze przed chwilą nie miała tak wysoko uniesionej ręki i z całą pewnością jej głowa pochylona była o wiele mocniej w lewo. Smutny, słodki uśmiech pozostał ten sam, chociaż... zdawało mi się, że przed momentem był o wiele mniej uwodzicielski.

Niesamowite. Jeszcze tego brakowało, żebym w tym starym, zniszczonym domu zwariował. Nieważne, co Donald powiedział o duchach. Ja w duchy nie wierzyłem. Ani w duchy, ani w tajemnicze damy krążące po trawnikach.

Usłyszałem jakiś cichy trzask. Odwróciłem się błyskawicznie. Pokój łączności był pusty. Wszystkie lampy na biurkach były wyłączone. W telewizorze pojawiły się wiadomości lokalne. Spiker apelował do wszystkich okolicznych idiotów, którym chciało się dosiedzieć do końca powtarzanego w środku nocy po raz nie wiadomo który, mającego trzydzieści lat z hakiem filmu o trzech muszkietierach, aby wsparli finansowo miejscową straż pożarną. Znów usłyszałem trzask. Powoli ruszyłem w kierunku źródła hałasu i po chwili zobaczyłem pogniecioną kopertę, prostującą się w koszu na śmieci.

Stałem bez ruchu, nasłuchując. Poza kopertą żadnego dźwięku. Nie potrafiłem oprzeć się ciekawości i powróciłem pod drzwi oranżerii, aby jeszcze raz popatrzeć na białą, uśmiechniętą nimfę.

- Jack - powiedziałem do siebie. - Jesteś bardzo zmęczony. Masz już od tego halucynacje. Uspokój się, idź do łóżka. Nad ranem wszystko dokładnie obejrzysz i nic cię nie będzie już dziwić.

I wówczas usłyszałem to po raz pierwszy. Bardzo delikatne i odległe. Jednak w dźwięku tym było coś takiego, co sprawiało wrażenie, że to, co słyszę, pochodzi nie z tego świata.

Przez moment miałem nadzieję, że ktoś po prostu pisze na maszynie, ale wszystkie maszyny do pisania były tu, w tym pokoju, starannie nakryte pokrowcami. Pomyślałem więc, że to może szczury biegają wzdłuż dębowej boazerii. W takim starym domu musiały być chyba setki szczurów.

Ale nie był to jednak żaden tupot. Przynajmniej szczurzych łap. Przypominało to już raczej tętent, odgłosy kopyt kucyka albo konia. Brzmiało, jakby ktoś jeździł wierzchem po całym domu, jednak ani na chwilę się do mnie nie zbliżając. Chwilami odgłos był tak słaby, że prawie go nie słyszałem.

Obraz telewizyjny nagle wyblakł, na ekranie pojawiło się kilka poziomych linii naraz telewizor zgasł. A ja stałem w pokoju łączności, teraz już w zupełnej ciemności.

- Kto tam? - zawołałem najspokojniejszym głosem, na jaki było mnie stać. Nie poznałem go jednak, jakby nie należał do mnie: był zdławiony, zduszony, drżał. Zadrżałem i ja. Zdawało mi się, że w ciemności nawet wiatr wstrzymał swój oddech, gdyż w ogóle go nie słyszałem.

Westchnąłem głęboko. Moje serce waliło jak młotem, z prędkością, która na przykład dla Huntera Peala mogłaby okazać się śmiertelna. Próbowałem uspokoić się, powtarzając głośno poszczególne zdania z tekstu Donalda na temat energetyki. To głupie, ale wynurzenia Donalda były w tej chwili jedyną normalną rzeczą, o jakiej byłem w stanie pomyśleć.

- „Wyrwiemy Amerykę z tej paranoi koncesji i kompromisów. Znowu postawimy ją mocno na jej własne nogi. Dumną, silną i samowystarczalną.”

Umilkłem. Działo się coś złego. Odwróciłem się w kierunku drzwi do oranżerii i zmarszczyłem czoło. Działo się coś cholernie złego.

Szybko, na palcach, aby nie spowodować najmniejszego hałasu, ruszyłem ku oranżerii i kiedy znalazłem się na wysokości biurka znajdującego się najbliżej szklanych drzwi, szybko podniosłem stojącą na nim lampkę i nacisnąłem włącznik. Światło skierowałem na oranżerię, gdyż koniecznie musiałem wiedzieć, co się tam dzieje.

Zamarłem. Myślę, że w tym momencie głośno krzyknąłem. Ale po sekundzie spojrzałem znowu i wszystko było jak przedtem. Nimfa o białej twarzy tańczyła, ze smutnym uśmiechem. Nimfa z uniesioną ręką wciąż walczyła z przyciskającym ją do ziemi napastnikiem. Przywidzenie, które miałem przed chwilą, próbowałem wytłumaczyć sobie niczym więcej jak tylko wzrostem adrenaliny w sytuacji skrajnego wyczerpania nerwowego, na dodatek po kilku wypitych już dzisiaj piwach.

Obniżyłem lampę. A jednak trząsałem się i nie potrafiłem opanować tego drżenia. Spraw Boże, pomyślałem, żebym teraz się nie załamał. Nie teraz, w czasie kampanii. Jak Hunter wygra, proszę bardzo. Mógłbym odpocząć, wyjechać gdzieś na wieś, doprowadzić wszystkie zmysły do normalnego stanu. Teraz nic mi się nie może przydarzyć. Przecież właśnie zaczynam tworzyć wizerunek Huntera Peala, taki jaki wkrótce prezentować będą massmedia w całym kraju.

To szaleństwo. Oczywiście, przez swoją głupotę o mało nie oszalałem. Na chwilę jednak dopuściłem jeszcze raz myśl, że widziałem te figury żywe. Widziałem szeroko otwarte oczy, uśmiechnięte usta i skoczny wesoły taniec, sprawiający wrażenie dziwnego rytuału z dawno zapomnianych czasów.

Uniosłem lampę nad głowę i znowu popatrzyłem. Nic. Nic, jedynie martwe, stare kamienie. Postawiłem lampę na biurko, przez chwilę wahałem się, ale jednak ją wyłączyłem. Nie odwracając się za siebie, wyszedłem z pokoju łączności, zamknąłem starannie za sobą drzwi i poszedłem na górę do swojej sypialni.

ROZDZIAŁ V

Czekała na mnie, świeża i pachnąca jak przed chwilą zerwane jabłko, w moim wielkim, staromodnym łóżku. Jej starannie wyszczotkowane, rude włosy lśniły, jej białe zęby szczyrzyły się do mnie w radosnym uśmiechu. Pachniała jak świeży owoc, jak przed chwilą wypieczony chleb, jak pole nie dojrzałej pszenicy. Jennifer Dwyer z Northfield, naga i uśmiechnięta.

- Widzę, że bawisz się do późnych godzin - powiedziała, gdy przemierzałem pokój i zmęczonym, zniechęconym ruchem odkładałem swoje dokumenty na ciemne dębowe biurko.

Popatrzyłem na nią. Byłem blady, spocony i z pewnością ostatnią rzeczą w mojej głowie były teraz amory.

- Dobrze się czujesz? - zapytała po chwili. - Jesteś blady jak śmierć.

- Śmierć? - zdziwiłem się. Z trudem wydobyłem głos z gardła.

- I to śmierć ciężko przestraszona - dodała. - Słuchaj, pozwól, że pomogę ci się rozebrać.

- Sam dam sobie radę - zaprotestowałem, ale było już za późno. Wskoczyła z łóżka i po chwili stanęła przede mną w oczywistym zamiarze rozebrania mnie.

Zabrawszy się do koszuli, rozpięła mi tylko cztery guziki, po czym ściągnęła mi ją przez głowę. Była śliczna dla kogoś, kto lubi bladą skórę, rude piegi no i ciężkie, sprężyste, pełne piersi, z dużymi, różowymi brodawkami.

Włosy pomiędzy jej udami były tak samo pomarańczowe jak te na głowie.

Ściągnawszy ze mnie koszulę, pchnęła mnie lekko na łóżko i powiedziała, żebym uniósł nogi, to zdejmie mi buty i skarpetki.

- Nie znoszę widoku nagich mężczyzn w butach - powiedziała zdecydowanym głosem. - To znaczy, nie mdleję na taki widok, ale zaraz wybucham śmiechem, a potem dostaję czkawki, której nie mogę powstrzymać przez całe godziny.

- Mówisz, jakbyś całkiem często miała przyjemność z gołymi facetami - zauważyłem, kiedy uwolniła mnie z pierwszego ciasnego buta marki „Gucci”.

- Och, nie. Naprawdę, tak to odebrałeś? Nie o to mi chodziło. Zdaje się, że jesteś dopiero czwarty. Tak, jesteś dokładnie czwarty. Pomyślałam sobie, że jesteś taki przystojny, taki zmęczony i robisz taką wspaniałą robotę dla Huntera Peala...

- Zachciało ci się mnie, bo jestem przystojny i zmęczony?

Uniosła się na chwilę i pocałowała mnie w czoło.

- Powinieneś się umyć - zauważyła. - Śmierdzisz stęchłym potem. Poza tym, piwem też śmierdzisz.

Wstałem. Rozpięła pasek od moich spodni i zamek błyskawiczny od rozporoka. Wydawała się niezbyt zachwycona, że mój ptak jest już taki sztywny; sięgnęła jednak w głąb moich majtek i zaczęła bawić się jądrami, niczym zręczna żonglerka. W zasadzie w tej chwili nie czułem już cholernego zmęczenia.

- Chyba miałeś już setki dziewczyn - szepnęła. Po chwilissała i gryzła sutki moich piersi. - Co nowy stan, to inna dziewczyna.

- Chciałbym mieć tyle czasu. I energii.

- Wiesz, bardzo dobrze się prezentujesz. Myślę, że wszystkie dziewczyny, które spotkasz, powiedzą ci to. Poza tym jesteś wspaniale zbudowany.

- Jesteś o tym przekonana?

- Tak.

Popatrzyłem na nią uważnie.

- A ja nie.

Podszedłem do umywalki, odkręciłem kran z ciepłą wodą i zacząłem się myć: twarz, pod pachami i między udami. Jennifer Dwyer siedziała na skraju łóżka, obserwując mnie i cicho pomrukując jakąś melodię. Była bardzo ładna i bardzo wiejska; jednym słowem, bardzo atrakcyjna, nawet dla kogoś, kto był wciąż jeszcze - jej słowa - blady jak śmierć.

- Słyszałaś ten dźwięk przed kilkoma minutami? - zapytałem.

- Jaki dźwięk? - zdziwiła się. - Szum wody?

- Nie, wcześniej. Kiedy byłem na dok. Coś przypominającego tętent konia.

Potrząsnęła głową.

- A powinnam była to słyszeć?

- Poczekaj chwilę. Nie słyszę cię, kiedy myję zęby. Dokończyłem tę czynność, wypłukałem usta i odwróciłem się. Jennifer powtórzyła:

- A powinnam była to słyszeć? To znaczy, ten tętent? Czy to było coś nadzwyczajnego?

- Nie wiem.

- W każdym razie - stwierdziła - nic nie słyszałam. Ciężko położyłem się na łóżku i przykryłem kołdrą.

Jennifer jednak od razu ją ze mnie ściągnęła. Westchnąłem. Była bardzo ciepła i tak seksowna, że w normalnych warunkach byłoby trzeba wylać na moją głowę osiem wiader zimnej wody, aby mnie od niej oderwać. To jednak nie były normalne warunki. Byłem wykończony, jeszcze ciężko przestraszony i rozpaczliwie potrzebowałem czterech godzin snu, zanim rano wstanę i zaprezentuję Huntera Peala przed kamerami telewizyjnymi.

- Jennifer - powiedziałem ciężko. - A może odłożymy to do rana? Jestem cholernie zmęczony.

Obróciła się i położyła się na mnie. Przed oczyma miałem jej piersi: duże, sprężyste, o delikatnej skórze, zwieńczone sutkami jak maliny. Zaczęła głaskać moje uda, powodując, że zadrżałem w mimowolnej, nie chcianej reakcji. Po chwili zaczęła kreślić kółka w mych włosach łonowych, budząc powoli do życia mego penisa.

- Rano mogę być zupełnie inna - szepnęła. - Kto wie, czy rano nie zamienię się w dynię.

Rytmicznie przesuwiała ręką po moim członku, w górę i w dół, a ja z każdą chwilą, mimo zmęczenia, czułem, jak między nogami robi mi się coraz cieplej. Jennifer zaczęła całować i lizać moje uszy. Przez cały czas cicho szeptała. Jej szept zapewne podniecał mnie bardziej niż ruchy, które wykonywała.

- Jesteś taki uroczy, taki przystojny. Pewnego dnia staniesz się sławny i potężny i zapomnisz o Jennifer. Ale ja będę pamiętała, kiedy zobaczę cię w gazetach, kiedy zobaczę cię na ekranie telewizyjnym, stojącego obok prezydenta. Będę pamiętała to, co zrobimy tej nocy, zapamiętam wszystko, ze szczegółami. Jak dotykałam twojego wspaniałego koguta, jak całowałam twoje usta...

Uniosła się i usiadła na mnie z rozłożonymi udami. Jej różowa cipka była otwarta i lśniąca. Do prawej ręki wzięła mojego sztywnego, ciemnego penisa, ruchem, jakim młoda księżniczka powinna brać do ręki berło, uniosła się odrobinę i wycelowała go pomiędzy swe uda, wprost pomiędzy swe błyszczące wargi.

Na moment zastygła w bezruchu. Nie mogłem już doczekać się chwili, kiedy w nią wtargnę, uniosłem więc odrobinę biodra nad łóżko, ale Jennifer także się podniosła, przedłużając moje oczekiwanie, moją frustrację, że przecież już prawie w niej jestem, prawie ją pieprzę, a wciąż czekam. Chwyciłem jej uda tak mocno, że moje paznokcie wbiły się w jej mięśnie i pociągnąłem ją w dół.

Z cichym jękiem poddała się i usiadła na moim członku, który z miejsca dotarł do samego dna jej cieplej, śliskiej pochwy.

- Jennifer, jesteś nadzwyczajna... - tylko tyle potrafiłem z siebie wydobyć. Zaczęła mnie ujeżdżać, wstawiała i siadała, z każdą chwilą wkładała w to więcej energii, z każdą chwilą coraz mniej kontrolowała swoje ruchy. Nasze włosy łonowe zaczęły plątać się ze sobą, tak że po kilku chwilach nie wiedziałem już, gdzie ja się kończę, a gdzie się zaczyna Jennifer.

W górę i w dół, w górę i w dół, ujeżdżała mnie rytmicznie. Słysząc było ciche zderzenia naszych ciał, zawrodoenie sprężyn w łóżku, jęki, szepty i przyspieszone oddechy. Czułem się, jakby jakiś przytłaczający ciężar uciskał moje jądra i byłem przekonany, że jeżeli za chwilę się od niego nie uwolnię, eksploduję na tysiące kawałków jak rozbite lustro i każda moja część pofrunie w innym kierunku.

Eksplodowałem. Nacisk na jądra zelżał. Pierwszy strumień mojej spermy wdarł się w Jennifer, ale w tej chwili ona też osiągnęła orgazm. Wysunąłem się szybko z niej i resztką mojego wytrysku poszybowała w górę ku jej piersiom, rozbryzgując się białymi kroplami na brzuchu i na jej udach.

I w tej właśnie chwili, w chwili wielkiej ulgi, fantastycznego spełnienia, popatrzyłem na jej twarz. A twarz Jennifer była tym białym obliczem nimfy, które niedawno widziałem w oranżerii: smutna, nieśmiała, ale uwodzicielska, z oczami bladymi jak żwir. Jej kręcone włosy przekształciły się w dwa długie rogi.

- Aaaach! - krzyknąłem i opuściłem wzrok.

- Jack! - zawołała Jennifer.

Znów popatrzyłem na jej twarz. Tak, to z pewnością była Jennifer Dwyer. Ruda, zadowolona, uśmiechnięta. Na jej wargach lśniły drobne kropelki potu. Jej rude włosy były poplątane, zmierzwione i lśniące. Jej piersi zaróżowiły się od orgazmu, a brodawki na nich wciąż sterczały.

- Myślałem... - jęknąłem. - Myślałem...

- Co myślałeś? - zapytała spokojnie.

- Nie wiem. Przez sekundę zdawało mi się, że jesteś kimś innym.

Uniosła dłoń i starannie otarła pot z ust.

- Rozumiem - powiedziała. - No cóż, myślę, że to musiało się zdarzyć.

Westchnąłem głęboko.

- Jennifer, przepraszam cię. To nie o to chodzi. Wcale nie wziąłem cię za kogoś innego, kogo znam. Przez moment odnosiłem wrażenie... przez krótką chwilę...

Wciąż na mnie siedziała. Popatrzyła na małe perełki mojej spermy, pokrywające jej włosy łonowe.

- Wiesz co? Nie jestem dziwką. Nie jestem też idiotką. Przyszłam do ciebie, bo poczułam taką potrzebę. Wciąż uważam, że jesteś miłym i rozsądnym facetem, niezależnie od tego, co ty myślisz o mnie.

- Posłuchaj - odezwałem się. - Nie myślę o tobie niczego złego. Nie uważam cię za idiotkę. To po prostu ten dom.

Zabawnie zmarszczyła nos.

- Ten dom? Nie rozumiem, o co ci chodzi. Ostrożnie wyszedłem spod niej i usiadłem, opuściwszy nogi na ziemię.

- Mam w marynarce papierosy, jeśli byś chciała zapalić - powiedziałem.

- Aha - mruknęła. - Na razie to chcę wiedzieć, co masz na myśli, kiedy mówisz „ten dom”. Wymawiasz to w taki sposób... nie jestem pewna, ale chyba przypuszczasz, że się tu dzieje coś złego.

- Nie jestem pewien. - Przetarłem dłońmi zmęczone oczy. - Być może po prostu jestem zmęczony. To takie zmęczenie przed konwencją.

- Czy to coś podobnego do zmęczenia przed menstruacją?

- A skąd mam wiedzieć? Mam wrażenie, jakby w tym domu zachodziły jakieś wibracje. Coś, właśnie coś, jest tutaj i spogląda na nas. Może duch, może jakaś niespokojna dusza? Kiedy byłem na dole, w pokoju łączności, odniosłem wrażenie, że porusza się jeden z posągów stojących w oranżerii. Widziałaś je już? Mógłbym przysiąc, że jeden się poruszał.

- Hmm - mruknęła. Usiadłszy na łóżku ze skrzyżowanymi nogami, okryła się do pasa kołdrą. Była naprawdę bardzo piękna.

- Nie wierzysz mi? - zapytałem. - Co to znaczy, to cyniczne „hmm”?

- Nie wyglądasz na faceta, który wierzy w duchy. Ludzie tacy jak ty nie są podatni na takie strachy.

- Ludzie jak ja? Masz na myśli zadzierających nosa typów, którzy zarabiają pieniądze na prowadzeniu kampanii politycznych? Cholera, pewnie masz rację. Ale kiedy to robiliśmy, tylko na jedną krótką sekundę spojrzałem na twoją twarz i ujrzałem w niej oblicze nimfy, jednej ze statuetek z oranżerii. Twarz anioła lub nimfy. Nie jestem tego do końca pewien.

- Przynajmniej nie był to gnom.

- Nabijasz się ze mnie - skrzywiłem się. Jennifer uśmiechnęła się szeroko.

- Nie, wcale nie. Myślę, że jesteś fantastyczny. Ale uważam też, że jesteś bardzo zmęczony. Pozwalasz, aby myśli o tym starym, wstrętnym domu zżerały ci nerwy, to wszystko.

Skinąłem głową.

- Masz całkowitą rację. Potrzebuję snu. Snu przez duże „S”. Czy zostaniesz ze mną na noc?

- A chciałbyś?

- Oczywiście, że chciałbym. Chyba nie sądzisz, że pozwolę ci odejść, zanim ci się w jakiś sposób nie odwzajemnię?

- Mówisz o wzajemności? Mój ojciec nazywa to jedynie cudzołóstwem.

Zabrałem jej kołdrę i rozłożyliśmy ją na całym łóżku.

- To on jest taki staroświecki? - zapytałem. - Mam na myśli twojego ojca.

- Nie całkiem, ale prawie. Jest gorliwym parafianinem w Northfield. Ma takie same ognistoczerwone włosy jak ja i taki sam ognisty temperament.

Weszliśmy do łóżka i zgasiliśmy nocną lampkę. Przyciągnąłem Jennifer do siebie. Nasze ciała wciąż lepiły się od potu, ale dziewczyna była ciepła i czuła. Byłem bardziej niż zadowolony, że jest teraz ze mną.

- Czy wciąż mieszkasz z rodzicami? - zapytałem.

- Nie. Próbowалам jeszcze po studiach. Bardzo się starałam, ale nie potrafiłam znaleźć wspólnego języka z ojcem. Kłótnie zaczynały się przy śniadaniu i trwały przez cały dzień, aż w końcu matka dostawała migreny, a ja i ojciec czuliśmy się jak George Foreman po piętnastorundowej walce.

- A jednak wciąż mieszkasz w Northfield?

- Cóż, jestem dziewczyną z Connecticut. Większość przyjaciół przeniosła się już dawno do Nowego Jorku, ale ja wciąż odczuwam sentyment do mojego rodzinnego stanu. Tu jest mój dom. Nie potrafię ci tego wyjaśnić. Pracuję w księgarni. To jest, pracuję w niej, kiedy nie uczestniczę w jakiejś kampanii.

- Albo kiedy nie cudzołożysz - powiedziałem, przyciskając ją mocniej do siebie.

Zapadła długa cisza. Pokój był tak ciemny, że niemożliwe było zatrzymanie wzroku na jakimkolwiek przedmiocie. Nie słyszeliśmy żadnych dźwięków. Żadnego wiatru. Żadnego skrzypienia desek w podłodze. Nie dochodził do nas ani warkot samochodów, ani pisk wodnych ptaków na jeziorze Candlewood. Poglaskałem Jennifer po włosach i zacząłem wsłuchiwać się w jej

oddech.

- Nie uważasz mnie za dziwkę, prawda? - zapytała.

- Nie - zapewniłem. - Nie uważam cię za dziwkę. Wymruczałem to już, gdyż zmęczenie brało nade mną górę. Nie byłem już w stanie odegnąć dopędzającego mnie snu, który kazał opaść moim ciężkim powiekom. Przez zamknięte oczy ujrzałem morze, czarne jak smoła. Usłyszałem czarne fale, jednostajnie, miarowo rozbijające się o równie czarny brzeg.

Poczułem jeszcze, jak Jennifer mnie pocałowała. A potem już spałem.

ROZDZIAŁ VI

Przebudziłem się tak gwałtownie, że nie potrafiłbym powiedzieć, czy spałem dwie godziny, czy dwie sekundy. Z niewiadomego powodu byłem napięty, a moje oczy były rozbiegane mimo panujących w pokoju nieprzeniknionych ciemności. Przez chwilę nasłuchiwałem, po czym odezwałem się:

- Jennifer? Jesteś przy mnie?

Cisza. Pomyślałem, że zapewne śpi. Nastawiłem uszu, aby wyłowić chociaż najdrobniejszy szmer. Słyszałem jedynie mój zegarek, miarowo tykający na nocnym stoliku. Jestem pewien, że w tej chwili dobiegłby do mnie nawet najmniejszy szmer w Allen's Corners.

Czekałem. Minęły dwie, może trzy minuty. Długie, wlokące się nieznośnie minuty niepewności i dziwnego strachu. Skoro Jennifer nie oddycha, zapewne już sobie poszła. Albo nie żyje. Albo...

Najczarniejsze myśli nachodzą człowieka w nocy, gdy leży w łóżku i nie może zasnąć. Zacząłem rozmyślać o tym domu, leżąc w ciepłym łóżku, zmęczony, w absolutnej ciemności, nie potrafiąc zamknąć oczu. Pomyślałem o oranżerii, o stojących nieruchomo posągach z twarzami z marmuru, białymi niczym u duchów. Pomyślałem o tańczącej nimfie, która skierowała twarz w moją stronę, i o innej, przerażonej, przyduszonej do ziemi przez uzbrojonego w kopyta napastnika, który przecież nie miał prawa tam się znaleźć.

Pomyślałem o dźwięku kopyt, który rozległ się w domu.

Leżałem w łóżku, coraz bardziej przerażony. Nasłuchiwałem i pociełem się, pociełem się i nasłuchiwałem, a im dłużej to trwało, tym bardziej wilgotne było moje ciało.

W duchu powtarzałem sobie: Jacku Russo, jesteś inteligentnym, o zdrowych zmysłach, energicznym młodym człowiekiem. Obce ci są halucynacje. Nie wierzysz w złe duchy. Wierzysz w Huntera Peala i w realia polityczne, w nic więcej.

A jednak w ciemnościach Allen's Corners, leżąc obok dziewczyny, która nie oddychała, obok dziewczyny, której twarz ukazała mi się jako oblicze kamiennej statuy, mimowolnie odrzucałem na bok mądrości Huntera Peala i realia polityczne Stanów Zjednoczonych; zastępowały mi je duchy, czające się na mnie gdzieś w ciemnościach nocy.

- Jennifer? - powtórzyłem głośniej.

Cisza. Żadnego oddechu. Żadnego ruchu. Żadnej reakcji.

Wyciągnąłem rękę w jej kierunku. Poczułem kołdrę, której powierzchnia zaokrąglona była przez kształt ciała Jennifer. A więc jest tutaj, leży obok mnie. W każdym razie ktoś tutaj leży. Albo coś.

- Jennifer - powtórzyłem raz jeszcze. Chciałem, aby zabrzmiało to stanowczo, zdecydowanie, jednak usłyszałem swój głos o niespodziewanie wysokim brzmieniu, piskliwy.

Oblizawałem wargi. W gardle miałem sucho, a w zatokach czułem zbyt dużo krwi. Serce biło mi powoli i nieregularnie. Zacisnąłem w dłoni kołdrę, aby szybkim ruchem ściągnąć ją z Jennifer.

A jednak to jest szalone, powtarzałem sobie. Jennifer po prostu spokojnie śpi, a że ma cichy oddech, powinienem tylko się cieszyć. Co bym powiedział, gdyby głośno chrapała? Do cholery, czego ja się boję? Z jakiego powodu tak się trzęsę? Powinienem być zimnokrwistym, spokojnym facetem, młodym republikańskim orłem.

A tymczasem? Gdyby zobaczył mnie teraz Hunter Peal, spoconego, drżącego, przerażonego, w jednej chwili wywaliłby mnie z pracy. W poniedziałek, jak niepyszny, znów pojawiłbym się w redakcji „Butte Independent”.

Delikatnie pociągnąłem kołdrę. Z cichym szelestem zsunęła się z ramion Jennifer, a po chwili równie cicho opadła na podłogę. Patrzyłem i patrzyłem wytrzeszczając oczy, ale ciemność była dla mnie zbyt gęsta, abym mógł dojrzeć choćby najmniejszy zarys ciała Jennifer. Obok mnie z pewnością

leżało coś bladego, ciepłego, ale co to było?

Sięgnąłem za siebie i znalazłem włącznik nocnej lampki. Wziąłem głęboki wdech i nadusiłem guzik. Nie wiem, co spodziewałem się zobaczyć albo co spodziewałem się, że się wydarzy. Wiem jedynie, że zęby miałem zaciśnięte aż do bólu, a każdy mięsień napięty do granic wytrzymałości.

Niespodziewanie, ku memu przerażeniu, lampa nie zapaliła się od razu. Po chwili dopiero zapulsowała słabym pomarańczowym światłem. Skierowałem wzrok na Jennifer, wysilając oczy, aby w gęstym półmroku dojrzeć w tym słabym świetle kontury jej ciała, nagiej, śpiącej albo martwej jak kamień, o ile to oczywiście była Jennifer, a nie jakaś straszliwa zjawą z moich koszmarów. Dzięki Bogu, po chwili, mimo słabego światła, byłem pewien: obok mnie leżała Jennifer.

Chwyciłem jej ramię i potrząsałem nim.

- Jennifer. Wszystko w porządku, Jennifer? Początkowo nie reagowała, mimo że bez wątpienia była ciepła, żywa i jedynie spała. Szarpnąłem nią jeszcze raz mocniej i zapytałem:

- Jennifer, czy się wreszcie obudzisz?

W tej chwili wreszcie otworzyła oczy i popatrzyła na mnie. A ja musiałem odwrócić wzrok. Cały mój system nerwowy był rozregulowany, tak że jej spojrzenie przeraziło mnie. Nie byłem w stanie mówić, poruszać się, nie byłbym też w stanie się bronić, gdyby mnie, na przykład, zaatakowała.

Oczy Jennifer były kompletnie białe, niczym z marmuru. Wpatrywały się we mnie dwie białe gałki, niczym oczy nimf z oranżerii. Patrzyły na mnie z chłodem, obojętnie i gdy znów byłem w stanie w nie spojrzeć, przeszedł mnie dreszcz. Jednocześnie z głębi pokoju dotarł do łóżka zimny powiew, jakby jakiś niewidzialny duch powrócił właśnie z innego, mroźnego świata i znalazł się w mojej sypialni.

- Jennifer, na miłość boską... - szepnąłem z desperacją.

Nocna lampka zadrżała i zaświeciła trochę jaśniej. Po chwili paliła się normalnie, a Jennifer patrzyła na mnie swoimi własnymi, jasnozielonymi oczami.

- Jack - powiedziała zasnany głosem. - Chyba coś mi się śniło.

- Śniło ci się? Co takiego? Potrząsnęła głową.

- Nie wiem. Nie pamiętam.

- A ja widziałem... - zacząłem niepewnie.

Przechyliła się nade mną, aby dojrzeć godzinę na zegarku leżącym na stoliku po mojej stronie łóżka. Jej rude włosy były potargane, a na piersiach wyraźnie widoczne były odciski po kołdrze.

- Och, mój Boże - powiedziała. - Czy wiesz, która jest godzina? Trzecia nad ranem.

- Znów wyglądałaś jak statua z oranżerii - odezwałem się. - Teraz, przed chwilą. Kiedy się budziłaś.

Powróciła na swoją poduszkę.

- Jesteś pewien, że z tobą wszystko w porządku? - zapytała z sennym zainteresowaniem. - Może źle się czujesz? Myślę, że jeśli tak, to trzeba kogoś powiadomić.

Popatrzyłem na nią.

- Nie chcę przez to powiedzieć, że przypuszczam, iż zwariowałeś - kontynuowała. Wyraźnie starała się, aby jej głos brzmiał życzliwie. - Ale wiesz przecież, jaki stosunek do zdrowia psychicznego ma nasz wielki naród amerykański.

- O co ci chodzi? Co mi chcesz wmówić? - zapytałem ją tonem bardziej opryskliwym, niż w gruncie rzeczy zamierzałem. Brak snu sprawiał, że czułem się jak pijany, a ze strachu nie potrafiłem zebrać myśli. - Chyba nie przyszłaś tu po to, żeby mnie sprawdzić? Mam nadzieję, że nie nastął cię Hunter Peal, żebyś badała, czy jestem przy zdrowych zmysłach.

- Och, co za straszne rzeczy opowiadasz...

- Wcale nie straszne. Tak już się w przeszłości zdarzało.

- No popatrz. Naprawdę? - zdziwiła się. Początkowo myślałem, że wybuchnie, ale jej ton szybko złagodniał. - Ale w tej chwili nic takiego nie ma miejsca.

Wstałem z łóżka. Podeszedłem do mojej marynarki i z kieszeni wyciągnąłem paczkę winstonów. Wracaly do mnie siły, ale kiedy przyszło potrzeć zapałkę o zaryskę reklamowanego pudełeczka z hotelu w Denver, okazało się to ponad moje możliwości. Zniechęcony, odłożyłem wszystko na stolik i usiadłem z powrotem na łóżku.

- Naprawdę uważasz, że coś zobaczyłeś? - zapytała Jennifer;

Pokiwałem głową. Nie patrzyłem na nią.

- Twoje oczy. Były całe białe. Śmiertelnie białe. Białe, jakby były z marmuru.

Sięgnęła na podłogę po kołdrę i przykryła się.

- Nie wiem, co ci powiedzieć - stwierdziła.

- Nic ci nie przychodzi do głowy? A może odgrywasz tu przede mną jakąś komedię? Na przykład ta migająca lampa? Czy to nie jest jakiś głupi żart?

Potrząsnęła w odpowiedzi głową. Wpatrywałem się w nią przez chwilę, po czym znów odezwałem się.

- No to ja już nie wiem. Nie wiem, co o tym myśleć. Może ty i twoje przyjaciółki z Northfield jesteście demokratkami i siejecie zamęt w obozie Huntera Peala? A może nasłał was tutaj Reagan?

Po długiej ciszy Jennifer przemówiła:

- Nie, Jack. Kompletnie się mylisz. Jestem tutaj, ponieważ wierzę w Huntera Peala. A w tej sypialni jestem dlatego, bo podoba mi się Jack Russo.

W lustrze nad biurkiem ujrzałem swoje odbicie. Moja twarz była bledsza i mizerniejsza, niż przypuszczałem. To było oblicze jakiegoś nieszczęśliwego upióra, a nie moja własna twarz. Wstałem z łóżka i podeszedłem bliżej do lustra. Upiór uczynił to samo. Upiór poruszał też ustami, gdy mówiłem do Jennifer:

- Co byś zrobiła, gdybyś doszła do wniosku, że postradałem zmysły? Zignorowałabyś to? A może szepnęłabyś coś na ucho Hunterowi? W końcu masz pewne obowiązki wobec swojej partii i wiesz o tym. Są one z pewnością większe niż wobec mnie, po jednej nocy.

- Nie uważam tak.

- Nie uważasz tak? Opuściła wzrok na pościel.

- Właściwie to nie wiem. Ale myślę, że obowiązki wobec osobistych przyjaciół są ważniejsze.

A ty przecież jesteś moim osobistym przyjacielem, prawda?

Cofnąłem się i usiadłem na skraju łóżka. Mój penis, mięciutki, położył się na moim lewym udzie. Popatrzyła na niego z nieskrępowanym zainteresowaniem.

- Wierzę, że jesteś całkiem przy zdrowych zmysłach - powiedziała ochryplym głosem.

- A ja wierzę, że jesteś ze mną całkiem szczerą - odparłem. - Co więcej, nie wierzę, że jesteś przebrany posągiem. Wierzę jednak, że dzieje się tutaj coś dziwnego i cholernie chciałbym wiedzieć, co to takiego.

Przez chwilę nie odzywaliśmy się. Wreszcie Jennifer położyła dłoń na moim kolanie.

- Lepiej zaśnij - powiedziała. - Może jutro znajdziesz jakieś wyjaśnienie tego wszystkiego.

Rozejrzałem się po pokoju. Był takt przytulny, miły, cichy.

- Tak - westchnąłem i nakryłem się kołdrą. - Może jutro coś się wyjaśni.

ROZDZIAŁ VII

Młoda dziewczyna o włosach koloru słomy i w fartuszkach stylizowanych na ludowo, weszła do sypialni Huntera Peala pierwsza. Niosła sok grejpfrutowy, kawę bez kofeiny, cieniutko pokrojone tosty i jajecznicę. Ja wkroczyłem do środka zaraz po niej.

Micky była jeszcze w swojej garderobie, właśnie kończyła się czesać. Hunter siedział na łóżku z porannymi wydaniem „Denver Post” i „New York Times” na kolanach. Jego ciężkie rogowe okulary ledwie trzymały się koniuszka nosa. Szary poranek zaciśnięty miał aż po szyję.

Ja byłem już kompletnie ubrany. Miałem na sobie lekkie szare spodnie, błękitną marynarkę i białą bawełnianą koszulę. Oczywiście, koszula non iron byłaby bardziej na miejscu, ale nie lubiłem pryszniców zimnego potu spływających mi po plecach. Po ciężkich nocach spędzonych w barze albo na jakimś politycznym przyjęciu, albo na poprawianiu jakiegoś cholernie ważnego przemówienia Huntera, świeża bawełniana koszula pozwalała mi swobodniej przeżyć następny dzień.

- Hunter - powiedziałem - przed tobą siedemdziesiąt osiem minut. Gdy one upłyną, musisz zadowolony, elegancki i uśmiechnięty stanąć na trawniku przed kamerami. Na pewno będą trzy lokalne rozgłośnie radiowe, na pewno będzie NBC i CBS, dziennikarze z „Hartford Chronicle”, „Stamford Herald”, „New Milford Gazette” i być może także z „Bridgeport Times”. Będzie ktoś z „Connecticut”, „Time’a” i „Newsweeka”. Będą korespondenci z AP i karykaturzysta z „Rolling Stone”.

- Z „Rolling Stone”? - powtórzył Hunter zdejmując okulary. - No, zdaje się, że wreszcie zaczynają brać nas poważnie.

Zerknąłem w swoje notatki.

- Zacznesz ogólnie o przyczynach, które skłoniły cię do ubiegania się o nominację prezydencką. Opowiesz o swojej wierze, że Ameryka musi odnaleźć się na nowo i być taką, jaką kreowali ją jej pionierzy. Opowiesz o swej wierze w siłę amerykańskich ideałów, w sens bezustannej wyętej pracy, w znaczenie więzi rodzinnych, w to, że Amerykanie, jak każdy naród, powinni być stale czujni i bronić swej dominacji i niezależności. Po niepewności i upokorzeniach, które przyniosła poprzednia prezydentura, musimy zacząć budować Amerykę od nowa, z energią, siłą i niezdartą wiarą, że jesteśmy wielkim narodem, który czyni tylko rzeczy wielkie.

- Tak, tak - powiedział Hunter. Dziewczyna tymczasem stawiała przed nim śniadanie i nalewała kawy do filiżanki. Skromny fartuszek ukrywał niewątpliwie wielkie piersi. Uświadomiłem sobie, że Hunter próbuje napotkać wzrok dziewczyny. W końcu spojrzała na niego i momentalnie uroczo się zaczerwieniła.

- Hunter - odezwałem się, próbując na powrót skupić jego uwagę.

- Kontynuuj, Jack. Z niezdartą wiarą, że jesteśmy narodem, który czyni tylko rzeczy wielkie. Wiem. Popatrzyłem na następną kartkę.

- Teraz przechodzimy do szczegółów. Przede wszystkim chodzi o kryzys energetyczny. O to, w jaki sposób wykorzystasz potęgę jądrową naszego kraju, jednocześnie realizując program intensywnej eksploatacji amerykańskich zasobów węgla kamiennego. Powiesz te wszystkie bzdury o energii słonecznej i biochemicznej. Potem zagrzmisz, że żaden z despotów współczesnego świata nie zdołałby dojść do władzy, gdyby wcześniej prezydentem był Hunter Peal. Zauważysz, że niektóre kraje by nie upadły i zaraz powiesz, dlaczego; będą chcieli to wiedzieć.

- Oczywiście, że będą chcieli. I im powiem. Należało spuścić bomby na niektórych skurwysynów.

Zamarłem. Czubek mojego długopisu dotykał właśnie słowa „pionierzy”. Uniosłem wzrok i popatrzyłem na Huntera z niedowierzaniem. Odkąd go znałem, chociaż trzeba przyznać, że nie trwało

to zbyt długo, nigdy nie używał wulgarnego języka. Wiem, że nigdy nie przeklinał. To nie jego słownictwo. Nie wspomnę już o tym, że zdanie „spuścić bomby na niektórych skurwysynów” w ogóle nie odpowiadało jego poglądom na sposób postępowania wobec despotycznych dyktatorów.

Hunter bez żenady wlepił gały to w twarz, to znowu w wielkie piersi dziewczyny i musiało minąć dziewięć albo dziesięć sekund, zanim zdał sobie sprawę, że zamilkłem i wpatruję się w niego.

- Tak? - powiedział, jakby nic się nie stało. - I co dalej?

Zmieszałem się i przez chwilę nie byłem w stanie wymówić ani słowa.

- Dalej, eee... dalej, dalej powiesz o pionierach.

- Dobrze. Rzuć mi jakieś hasła na ten temat.

Hunter wciąż wpatrywał się w dziewczynę, teraz zbierającą puste filiżanki i talerze po wczorajszym posiłku. W końcu zgromadziła już wszystko i wyszła z sypialni. Podążał za nią zachłanny wzrok Huntera; po raz pierwszy widziałem coś takiego w jego oczach. Pomyślałem, jak to dobrze, że Micky zajmuje się akurat suszarką do włosów i nie ma możliwości zaobserwowania zachowania Huntera w ostatnich minutach. Nie potrafiłem nawet sobie wyobrazić, co by pomyślała.

Dziewczyna starannie zamknęła za sobą drzwi. Szybko zanotowałem sobie, że muszę dowiedzieć się o jej nazwisko i zwolnić ją z obowiązków pokojówki Huntera.

„Zmienić pokojówkę HP na typ mniej rzucający się w oczy”, napisałem.

- Zdrowa dupa, co? - zauważył Hunter. - Z pewnością wszystkie dziewczyny w Connecticut mają takie wielkie cyce. Jack, gdybyś miał z nią spędzić Święto Dziękczynienia, co ty na to?

- Hunter, ja...

Hunter rozsmarował masło na toście i zaczął powoli przeżuwać.

- Tak? No, dlaczego zamilkłeś? Chcemy się przebić przez to przedstawienie, czy nie?

- Hunter - powtórzyłem, zażenowany. - To, co powiedziałeś przed chwilą o bombardowaniu despotów... cóż, mam nadzieję, że nie powtórzysz tego do kamer. Nie mogą tego usłyszeć dziennikarze.

- O bombardowaniu?

- Eee... tak.

Hunter roześmiał się. Był to krótki, złowieszczy śmiech.

- Dalej, Jack, kontynuuj tę swoją instrukcję. A bomby to moje zmartwienie.

- Przykro mi, że muszę się z tobą nie zgodzić, Hunter, ale w twoim interesie leży, aby zaprezentować się jako rozsądny, rozważny facet. Wiesz, co przydarzyło się Goldwaterowi, a przecież nie powiedział niczego chociażby w połowie tak...

- Co mi tu zrzędzisz? - warknął Hunter od niechcienia, wciąż mieląc w ustach tosta.

- Hunter, ja nie zrzędzę. Po prostu ostrzegam cię, że twój niewyparzony, nie wiadomo dlaczego, język...

Hunter uniósł w górę wskazujący palec prawej ręki, cały tłusty od masła. Umilkłem. Dziwny błysk w jego oczach podpowiedział mi, że dzisiaj Hunter Peal nie ma nastroju do zawierania kompromisów ani w ogóle do jakiegokolwiek dyskusji. Dzisiaj Hunter Peal zamierzał robić to, co postanowił Hunter Peal, nic innego. Kropka.

- W porządku - mruknąłem niechętnie. - A więc, pomówmy teraz o pionierach. W przeciwieństwie do elity politycznej ze Wschodu, ludzie z Zachodu Ameryki wciąż są świadomi swojego dziedzictwa i celów, jakie powinny im przyświecać. Stojąc z odkrytymi głowami pod jasnym amerykańskim niebem, mając pod stopami amerykańską ziemię, chlubią się jasną, prostą świadomością amerykańskiej przeszłości i wizją jej przyszłości. Są świadomi tego, w jaki sposób należy uczynić nasze wielkie miasta silnymi moralnie i samowystarczalnymi ekonomicznie. Są

przekonani, że różne grupy etniczne Ameryki powinny pracować wspólnie dla jej wielkości, nie ujmując niczego z jej wspaniałej kultury.

Przerwałem na chwilę, aby odchrząknąć.

- Hunter - powiedziałem - nie możesz nazywać despotów skurwysynami.

Hunter popatrzył na mnie uważnie. Jego oczy były dziwnie nabrzmięte i czerwone. Drobne żyłki na jego nosie również się zaczerwieniły, jakby przez całą noc pił alkohol.

Micky wyłączyła swoją suszarkę do włosów i w sypialni zaległa zupełna cisza. Nikt nic nie mówił i pokój rozbrzmiewał tą samą śmiertelną ciszą, jaka panowała w całym domu. Nie dochodziły do nas ani żadne okrzyki, ani szept. Nawet ptaki nie śpiewały na drzewach rosnących wokół domu. Absolutna cisza.

- Jack, może będziesz tak łaskawy i powiesz mi, kto prowadzi tę kampanię - odezwał się Hunter głuchym tonem.

Zmarszczyłem czoło.

- Cóż to za pytanie, Hunter? Prowadzisz ją ty i twój sztab. Nikt nie jest w stanie wygrać wyborów prezydenckich bez zespołu współpracowników, ale żaden taki zespół, rzecz jasna, nie wygra kampanii bez odpowiedniego kandydata na prezydenta.

- Ja - warknął Hunter - ja prowadzę tę kampanię. Ja nią kieruję.

- Oczywiście, że ty nią kierujesz. Nikt nie podaje tego w wątpliwość. Uważam jedynie...

- Ja nią kieruję. Ja i tylko ja. I postępuję tak, jak uważam za stosowne. Rozumiesz to? Cokolwiek powiem, ma być dla ciebie obowiązującym prawem. Skoro określę kogoś mianem skurwysyna, widocznie ktoś ten jest skurwysynem i wszyscy musicie się temu podporządkować. To moja kampania i ja tutaj decyduję.

Znów zapadła cisza. Zerknąłem na drzwi garderoby akurat w momencie, gdy stanęła w nich Micky, ubrana w turkusowy jedwabny kostium, wciąż z suszarką do włosów w ręce. Chyba słyszała ostatnie słowa Huntera, ale jakoś nie wydawała się zaskoczona. Skierowałem wzrok ponownie na Huntera; najwyraźniej wciąż trawiąc swoją złość, siedział na łóżku, na kolanach trzymał tacę ze śniadaniem. Filiżanka z kawą trzęsła się na podstawce.

- Hunter - powiedziałem - jeśli wątpisz w moją lojalność...

- Nie wydurniaj się! - wrzasnął. - Nie zwracaj mi tu głowy lojalnością. Zamierzam resztę życia poświęcić tobie, ty marny przygłupie, i wszystkim innym podobnym tobie durniom na tym zapomnianym przez Boga kontynencie! Czym w takim razie może być ta twoja lojalność?

Odrzucił za siebie tacę ze śniadaniem. Filiżanki, dzbanki, tosty i smażone jajka z hukem uderzyły w ścianę. Kawa powoli ociekała, podczas gdy Hunter jak nawiedzony biegał wzdłuż i wszerz pokoju, wrzeszcząc jak opętany. Chwilami jego głos przechodził w pisk.

- Ten kraj powoli robi się krajem tchórzy! Na ten kraj wkrótce znów ktoś zechce napaść! Byliśmy najwięksi, najwspanialszy w świecie i pozwoliliśmy, żeby liberałowie bez jaj i ugodowcy bez kręgosłupów zaprowadzili nas na skraj poniżenia! Daliśmy się wykastrować dziwakom i komunistom, pozwoliliśmy, żeby zawrócili nam w głowach głupcy, wykrzykujący bzdury o pokoju, miłości i honorze. Nasi prezydenci nie zdali sobie w porę sprawy, że sprawiedliwy pokój można osiągnąć tylko imperialną siłą, że dla miłości potrzeba spokoju i bezpieczeństwa, że honor to cecha właściwa jedynie silnym! Właśnie! - krzyknął Hunter, a jego twarz przybrała niemal purpurowy odcień. - Nie zdali sobie z tego sprawy! Oplakali koniec Ameryki Eisenhowera, nie zrozumiał, że to bomba wodorowa i nasze rakiety dalekiego zasięgu i nasza, kurwa, stanowczość, zapewniły nam bezpieczeństwo! Każda pojedyncza rakiet balistyczna ukryta w silosie oznacza bezpieczeństwo i szczęście jakiejś tam liczby amerykańskich rodzin! Każdy nasz karabin maszynowy to spokojne

wakacje dla radosnej rodziny! Każdy B-47 to bezpieczne kino dla zmotoryzowanych! To wszystko wiedział Eisenhower. I o tym zapomnieli jego następcy.

Po nim Ameryka zagubiła się! Słuchaliśmy hippisów, Kennedych i całego tego intelektualnego gówna lat sześćdziesiątych! Uważasz, że te lata były wspaniałe, pełne swobody? A gówno prawda! Były dla Ameryki katastrofą! To wtedy pokazaliśmy światu, jak jesteśmy słabi i głupi. To wtedy dumny, silny naród zaczął zachowywać się tak jak małe, nieodpowiedzialne dziecko. Sowietom wprost nie potrafili uwierzyć w swoje szczęście. Założę się, że gapili się na nas z daleka i zastanawiali, jak to możliwe, że wielki kraj w tak krótkim czasie do tego stopnia zdziecinniał.

Ale te dni już mijają. Nadchodzą dni Huntera Peala! Jeśli dziś nie mogę przyrzec ci niczego innego, to przyrzekam ci przynajmniej potęgę. Przyrzekam ci, że nasz kraj stanie się tak bezpieczny, że każdy mężczyzna, każda kobieta i każde dziecko stanie się dumne ze swego obywatelstwa! Przyrzekam ci najszybsze rakiety dalekiego zasięgu, najdoskonalsze systemy ostrzegania i niebo nad głową strzeżone przez najdoskonalsze myśliwce i bombowce, jakie kiedykolwiek skonstruowano. Przyrzekam ci noce bezpiecznego snu i dni wspaniałej prosperity. Przyrzekam ci, że rządzić będzie tobą kompetentny rząd, że prawo w tym kraju strzec będzie interesów wszystkich ludzi, że polityka gospodarcza będzie kompetentna i mądra.

Hunter powoli uspokajał się. Jego głos z wolna powracał do normy. Błyszczał jednak od potu, oczy miał szeroko otwarte, a dłońmi ścisnął oparcie łóżka, tak mocno, że kostki na rękach zrobiły mu się białe. Nie wiedziałem, co mam teraz robić ani co powiedzieć. Do tej pory nigdy nie widziałem go takim ani nie słyszałem z jego ust takich słów. Zgoda, wierzył w nowy start Ameryki. Był przekonany, że zadaniem Pentagonu jest odzyskać potęgę Ameryki na świecie. Ale przecież nigdy nie nawoływał do powrotu do zimnej wojny ani do czasów, gdy kciuk uniesiony nad małym guziczkiem był symbolem zagłady całego świata.

Z równowagi wyprowadzało mnie również to, że słuchając Huntera Micky ani słowem nie protestowała. Zwykle - przynajmniej w sytuacjach prywatnych - była jego najzyczliwszym krytykiem. Pewnego dnia w Galveston wygłosił przemówienie, po którym Micky uśmiechała się i zapamiętała klaskała, ale kiedy powrócili do hotelu, rzuciła się na niego jak doberman na starą poduszkę.

Teraz jednak stała w zupełnym milczeniu. Jej skręcone włosy lśniły, miała staranny makijaż i właściwie wyglądała tak samo jak wczoraj. A jednak odniosłem wrażenie, że w ciągu ostatnich godzin zaszła w niej ogromna przemiana. Jakby spochmurniała, jakby nagle zubożała na wszystko.

Hunter zakołysał się na nogach. Znow uniósł wskazujący palec, zapowiadając tym samym, że chce wygłosić uroczyste oświadczenie.

- Jeszcze jedno - jego głos był grobowy. - Chcę, żebyście zrozumieli, że silny naród nie musi być równocześnie narodem, w którym dominują represje i żelazna dyscyplina. Nie jestem despotą. Jestem silny, ponieważ jestem człowiekiem i kierują mną ludzkie dążenia. Chcę, żeby nasze kobiety były tak samo silne w swoich kobiecych dążeniach, jak silni są mężczyźni. Potęga nie oznacza konieczności ograniczonego myślenia. Możemy panować nad światem, nie będąc moralistami. Jesteśmy bogatym narodem, żyjemy na ziemi, która rodzi wiele wspaniałych owoców. Mamy co jeść, mamy co pić i mamy wspaniałe kobiety. Mamy wszystko, czego byśmy tylko zapragnęli i powinniśmy bez wstydu z tego korzystać.

Jego głos był coraz cichszy. Po chwili Hunter zerknął na mnie i usiadł na skraju łóżka. Podszedłem do niego, położyłem mu dłoń na ramieniu, ale mnie odepchnął.

- Hunter - powiedziałem. - Myślę, że najlepiej będzie, jeśli odwołam tę dzisiejszą konferencję prasową. Powiem, że się źle czujesz. Ból głowy, może grypa...

- Nie - warknął i potrząsnął głową tak gwałtownie, że aż zadrgały mu policzki. - Nic z tego.

- Ale Hunter, jeżeli wystąpisz przed nimi w takim stanie, pogrążysz się na samym starcie! Nie możesz opowiadać o Eisenhowerze albo Dullesie. Teraz jest rok 1980!

Hunter oblizał usta, a potem przetarł je wierzchem dłoni. Odchrząknął.

- Będą mnie słuchać - powiedział. - Będą mnie uważnie słuchać. Przypomnisz sobie moje słowa.

- Hunter...

- Słuchali Nixona. Słuchali naszego przyjaciela, aktualnego prezydenta. Czy kiedykolwiek przeczytałeś, rzeczywiście przeczytałeś, jakie bzdury wygadywali ci faceci? A jednak ludzie ich słuchali, wiesz o tym dobrze, i na nich głosowali. Głosowali na nich, bo czuli kuszący zapach kraju mlekiem i miodem płynącego, kraju, który kiedyś taki był, a który należy do przeszłości. Ja zamierzam przypomnieć Ameryce tę wizję! I zamierzam też zbudować kraj dojrzałej pszenicy, nowoczesnych fabryk i bogatych farm. Mam zamiar dać naszemu narodowi wszystko!

Ciężko oddychał, prawie charczał. Otoczyłem go ramieniem i zapytałem:

- Hunter, czy dobrze się czujesz? Hunter?

- Coś się z nim stało - odezwała się Micky głuchym głosem.

- Zawołaj doktora - powiedziałem do niej. - Niech tu natychmiast przyjdzie Sam Wieka. Pośpiesz się, Micky.

- Nie sadze, żeby on był chory - szepnęła.

- Nie jest chory? Czy słyszałaś, co wygadywał? Widzisz, jak wygląda?

- Słyszałam - pokiwała głową. - Zachowuje się tak od samego rana.

- Micky...

- Zawołam lekarza - powiedziała. - Ale wiem, że on nie jest chory.

- Czy pił? Może brał jakieś lekarstwa? Zaprzeczyła kręcąc głową. Oczy zaszyły jej mgłą i wyglądało, że się zaraz rozplacze.

- Uderzył mnie - powiedziała. Jej usta drżały. Gdyby teraz zechciała jeszcze coś powiedzieć, wybuchnęłaby głośnym szlochem.

- Uderzył cię? Micky, jak?

- Nie mogę... - odwróciła się. Zakryła dłońmi usta, ale to nie uciszyło jej szlochu ani jęków.

Siedzący dotąd w milczeniu Hunter uniósł głowę.

- Naprawdę chcesz wiedzieć, co jej zrobiłem? - zapytał mnie.

- Hunter, co, do diabła, tutaj się dzieje? - zawołałem, - Za niecałą godzinę mamy bardzo ważne spotkanie z dziennikarzami, a ty zachowujesz się, jakbyś postradał zmysły.

Hunter tylko uśmiechnął się, szerokim, leniwym, zarozumiałym uśmiechem.

- Powiem ci, co zrobiłem - oznajmił. - Zrobiłem to, co każdy mężczyzna ma prawo zrobić ze swoją żoną. Wziąłem ją bez jej zgody. Wziąłem ją osiem razy pomiędzy północą a świtem. Wziąłem ją tak, jak mężczyzna powinien brać kobietę, a kiedy się zmęczyłem, wziąłem ją swoją pięścią.

Opadł na plecy, pomiędzy walające się w pościeli okruchy zbitych naczyń.

- Mężczyzna, który ma zostać prezydentem, powinien być kimś więcej niż tylko zwykłym człowiekiem - powiedział. - Bo też staje przed nim zadanie przerastające każdego zwykłego śmiertelnika.

Milczałem. Nagie poczułem się zagubiony, otumaniony, niepewny siebie. Poprzedniego wieczoru byłem przekonany, że mam przed sobą wspaniałą karierę polityczną. Dziś rano człowiek, na którego plecach miałem nadzieję dowieźć się do Białego Domu, nagle okazał się skrzyżowaniem Adolfa Hitlera z Larrym Flintem. A ja nie byłem w stanie ani trochę zrozumieć, co się z nim stało. Pragmatyczny, religijny Hunter Peal przemienił się w pracowitego rozpustnika, marzącego o

bombach wodorowych i Ameryce, która już dawno przeminęła.

- Przepraszam cię - powiedziałem do Micky. - Nie powinienem był o to pytać. Zejdź jednak na dół i sprawdź, czy nie ma gdzieś tam Sama Wieki. Powiedz mu, żeby tu do nas przyszedł. Potem znajdź dziewczynę o imieniu Jennifer Dwyer. W tej chwili pracuje w kuchni. Powiedz jej, co się wydarzyło, a ona pomoże ci, jak tylko potrafi najlepiej.

Micky w milczeniu pokiwała głową i podeszła do drzwi. Zanim wyszła, zatrzymała się na chwilę, odwróciła się i popatrzyła na swojego męża. Po chwili otworzyła drzwi, wyszła i delikatnie je za sobą zamknęła.

Hunter zachichotał.

- Co cię tak rozbawiło? - zapytałem. Uśmiechnął się.

- Kobiety są zabawne. Wszystko traktują tak serio. Zesztywniałem.

- Hunter, masz dzisiaj specyficzne poczucie humoru - zauważyłem. - Chcę ci powiedzieć jednak coś, co z całą pewnością cię teraz nie rozbawi. Otóż niedługo mamy rozpocząć cholernie ważną konferencję prasową, a ty znajdujesz się w stanie, który uniemożliwia ci wzięcie w niej udziału.

Hunter wciąż się uśmiechał.

- Wszystko pójdzie dobrze, nie martw się. Będzie to najbardziej wstrząsająca konferencja prasowa, jaką kiedykolwiek odbył kandydat na prezydenta Stanów Zjednoczonych.

- Hunter, jeśli dziś wyjdiesz z tego pokoju i zaczniesz pleść dziennikarzom te same bzdury, które opowiadałeś mi, możesz na zawsze pożegnać się z wizją Ovalnego Gabinetu.

- Będę prezydentem - oznajmił spokojnie, Wstał z łóżka i ściągnął porannik z ramion. Podeszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Miał doskonały widok na frontowy trawnik, gdzie ekipy z CBS i NBC już rozłożyły swój sprzęt.

- Juwenal powiedział: Hoc volo, sic iubeo, sit pro ratione voluntas - stwierdził Hunter uroczyście. - Co znaczy: „Ja rozkazuję, ja dowodzę. Niech moja wola zajmie miejsce rozsądku”.

Odwrócił się do mnie, znów z szerokim uśmiechem, i dodał:

- Będą mnie słuchali, Jack. Może jeszcze nie dzisiaj, w Connecticut. Ale już jutro w Pensylwanii, a potem w Wisconsin. Cały naród będzie mnie słuchał, cały naród będzie na mnie głosował. A potem zobaczymy.

ROZDZIAŁ VIII

Hunter usiadł przy oknie na ciężkim dębowym krześle, skrył twarz w dłoniach i spojrzał na mnie wyczekującym wzrokiem.

Jasne promienie słoneczne zdawały się postarzać jego rysy i nadawać jego twarzy wyraz niepewności i udręki. Popatrzyłem w swoje notatki i powiedziałem:

- Czy jesteś pewien, że chcesz wysłuchać do końca tego, co mamy powiedzieć dziennikarzom?

Zdaje się, że nie uważasz tego za konieczne.

- Mów, jeśli sobie życzysz.

- Hunter...

- Powiedziałem, mów, jeśli sobie życzysz. O co ci jeszcze chodzi?

Ciężko westchnąłem.

- Dokładnie o to. Uśmiechnął się.

- Uważasz, że się cholernie zmieniłem, prawda?

- Łagodnie mówiąc...

- No cóż - westchnął. - Rzeczywiście, zmieniłem się. I cieszę się, że to się stało właśnie teraz.

Nie miałbym szans na prezydenturę jako złotousty polityk środka, wiele obiecujący i nie gwarantujący niczego. A teraz?

- Czy naprawdę uważasz, że wszystko trzeba zaczynać od początku? Czy nie widzisz, że w ten sposób rozpoczniesz nową zimną wojnę?

- Upraszczasz sprawę. Ale masz rację.

Poczułem, jak ręka trzymająca notatki, bezwładnie osunęła mi się wzdłuż ciała.

- Hunter, nie rozumiem, co się stało. Przecież to nie jesteś ty sprzed kilkunastu godzin.

- Bo teraz to jestem właśnie ja. I będę sobą, nie zważając na bzdury, które powypisywałeś w tych swoich bezsensownych notatkach.

Ciężko westchnąłem.

- Hunter, to nie ma sensu - powiedziałem. - Jeżeli nie podporządkujesz się ludziom, którzy piszą twoje przemówienia, jeżeli nie podporządkujesz się mnie, odpowiedzialnemu za twoje kontakty ze środkami masowego przekazu, kontynuowanie tej kampanii nie będzie miało sensu.

Hunter zmrugał oczami i popatrzył na mnie uważnie.

- Masz zamiar odejść? - zapytał.

Opuściłem wzrok na podłogę. Od dnia, kiedy spotkałem Huntera, uważałem go za prostolinijnego faceta o jasnym spojrzeniu na przyszłość Ameryki, o jasnej wizji tego, jak powinien, jako prezydent, służyć swojemu krajowi. Być może dlatego jego poglądy stały się dla mnie tak bliskie. Były proste i nie pozostawiały wątpliwości, o co chodzi facetowi, który wszem i wobec je przedstawia. Niespodziewanie Hunter wyskoczył z bombą wodorową i poglądami na temat narodowego bezpieczeństwa, przypisywanymi politykom, których złota era już dawno minęła.

Dzisiaj zaskoczył mnie jego język i jego nieprzejednana postawa wobec wszystkich przeciwników. W jego obronie mogłem powiedzieć jedynie to, że część słuchaczy spodziewała się takiej postawy ze strony polityka zamierzającego zająć miejsce w Białym Domu. W końcu, nawet niespodziewanie odmieniony, Hunter Peal był wciąż Hunterem Pealem. Mimo że zmienił się niespodziewanie, jakby stał się swoim własnym bratem - bliźniakiem, o politycznych poglądach odwróconych o sto osiemdziesiąt stopni.

Najbardziej w tym wszystkim współczułem Micky. W sytuacji, gdy osobowość Huntera tak bardzo się odmieniła, gdy napięcie spowodowane kampanią wyborczą tak bardzo odmieniło jego polityczną i seksualną psychę, najbliższe miesiące musiały oznaczać dla niej poníženie i ból. Z tego,

co sugerowało zachowanie Huntera, wnioskowałem, że nie chodzi bynajmniej o ból fizyczny.

- Nie pracuję z tobą od zbyt dawna, Hunter - powiedziałem bardzo cicho. - Jednak dla ciebie zrezygnowałem z własnej kariery i nie możesz temu zaprzeczyć. Jeśli masz zamiar właśnie dzisiaj zmienić całą podstawę swojej kampanii, proszę bardzo. Tylko podaj jakieś przekonujące powody, dlaczego tak postępujesz. Musisz przekonać nas do tego. Mnie i cały swój sztab, jeżeli chcesz, żebyśmy nadal dla ciebie pracowali.

Hunter uśmiechnął się. Nie był to złośliwy uśmiech. W gruncie rzeczy mogłem uznać to za uśmiech czarujący.

- Wiem, Jack. Wszyscy potrzebujecie nowej motywacji.

- Że nie wspomnę o przekonaniu nas...

- Tak, tak, oczywiście. Nie śmiałybym przewrócić całej mojej kampanii do góry nogami, nie konsultując się i nie radząc moich najbliższych współpracowników. Bądź pewien, że w swoim czasie to nastąpi.

- Hunter, to musi stać się przed dzisiejszą konferencją prasową.

Hunter zmarszczył czoło.

- Nie mamy już na to czasu. Jeszcze się nawet nie przebrałem.

- A więc przełożę tę konferencję na jutro.

- Niemożliwe. Czy wyobrażasz sobie, jak na to zareagują dziennikarze? Pomyślą, że zachorowałem, a przecież to nieprawda, albo pomyślą, że nie potrafimy sobie zorganizować pracy, co również jest bzdurą. Nie, nie. Odwołanie konferencji jest niemożliwe.

- Hunter, musisz najpierw uprzedzić swoich współpracowników o zmianie. Jeżeli tego nie zrobisz, zapanuje chaos.

- Porozmawiam z ludźmi. Na wszystko przyjdzie właściwa pora. Jeszcze nie nadeszła.

- Na miłość boską, dlaczego nie? Czy na to nie zasługujemy?

Hunter zasłonił się ręką, jakbym na niego pluł. Po chwili powiedział spokojnie:

- Chcę, aby moi ludzie usłyszeli, co mam do powiedzenia, w tej samej chwili, gdy usłyszą to dziennikarze i wszyscy Amerykanie. Ma to na nich spaść zupełnie nieoczekiwanie. Mają we mnie uwierzyć, zanim zaczną się zastanawiać. Potrzebuję bardziej ich emocjonalnego poparcia niż jakiegokolwiek, nawet życzliwej krytyki. Dlatego właśnie wszystko usłyszą podczas konferencji.

Zamknąłem teczkę z moimi notatkami.

- Czy to twoje ostatnie słowo, Hunter? - zapytałem.

- Tak, to jest moje ostatnie słowo - potwierdził.

- W takim razie - oświadczyłem pełnym goryczy głosem - będziemy stali na tym trawniku razem z dziennikarzami i razem z najmamięjszymi z nich będziemy rozdziawiać gęby, dowiadując się, co się dzieje, nie w taki sposób, w jaki byśmy chcieli. Uważasz, że tak powinno być? Uważasz, że postępujesz właściwie, zaskakując swych pracowników i zwolenników, żonę, przyjaciół, w jednej chwili redukując do zera swoje polityczne szanse, rozwiewając nadzieje ludzi, którzy z tobą wiązali swoją przyszłość?

Hunter milczał. Odniosłem wrażenie, że myśli już o czymś zupełnie innym. Po chwili mruknął niewyraźnie:

- Lepiej już sobie idź. Zejdę na dół, gdy nadejdzie czas na konferencję.

- Zdaje się, że Sam Wieka wkrótce przyśle tutaj lekarza.

- Powiedz mu, że nie jest mi potrzebny żaden lekarz.

- Hunter, to tylko rutynowe badanie. Westchnął.

- Dobrze. Ale uprzedź doktora, żeby się cholernie śpieszył.

Podszedłem do drzwi. Jak wcześniej Micky, teraz ja zawahałem się, trzymając rękę na klamce, zawahałem się z tego samego powodu. Od wczoraj Hunter zmienił się tak bardzo, że miałem prawo wymagać od niego wyjaśnień. Na przykład, dlaczego nagle stał się takim reakcjonistą, opętanym wizją potęgi i siły militarnej? Dlaczego nagle nabrał przekonania, że dni Eisenhowera i Dullesa były dla Ameryki taką idyllą? Dlaczego nagle przypomniał sobie, że istnieje coś takiego jak seks? Zainwestowałem w tego faceta dziewięć miesięcy potu, wysiłku i nie przespanych nocy, tysiące przeprowadzonych rozmów telefonicznych, miałem więc prawo wiedzieć, co się nagle stało.

Hunter jednak siedział sobie spokojnie z obojętnym wyrazem twarzy, a promienie słoneczne wpadające przez okno rozjaśniały jego siwe włosy. Wiedziałem, że zadawanie teraz jakichkolwiek pytań nie ma sensu. Cokolwiek nawiedziło go podczas tej nocy, nie miał zamiaru nikomu tego zdradzić, dopóki sam nie zadecyduje, że nadeszła na to pora.

- Jeśli nie będzie cię na dole za dwadzieścia minut, przyjdę po ciebie - powiedziałem.

Hunter tylko milczał. Wyszedłem z sypialni i zamknąłem za sobą podwójne drzwi. Popatrzyłem na dwie ohydne gęby z obręczami pomiędzy zębami, wyrzeźbione na drzwiach i gdyby teraz zabrakło mi rozsądku, przyrzekłbym, że się ze mnie złośliwie śmieją.

Zerknąłem przez małe okienko z kolorowego szkła. Prawie że spodziewałem się ujrzeć postać w ciemnym płaszczu, jednak frontowy trawnik był teraz zbyt zatłoczony dziennikarzami, technikami i różnymi ciekawskimi obserwatorami. Był już najwyższy czas, abym zszedł na dół i się im wszystkim przedstawił.

W połowie schodów napotkałem Sama Wickę idącego do góry. Sam był niski, krępy, miał krótko ścięte, ciemne włosy i ubrany był w szary garnitur. Zanim dołączył do zespołu Huntera Peala, prowadził dobrze prosperującą firmę prawniczą w Denver i zyskał sobie opinię nieugiętego oskarżyciela, a jednocześnie magicznego wręcz adwokata. Był szefem kampanii Huntera i jego najbardziej zaufanym doradcą. Wszyscy wiedzieli, że jeśli Hunter zajmie miejsce w Białym Domu, Sam Wieka będzie prawą ręką prezydenta, jego politycznym doradcą i jednocześnie szefem jego sztabu.

Poglądy polityczne Sama oscylowały odrobinę bardziej w prawo niż poglądy Huntera. Przynajmniej do dzisiejszego poranka. Był głęboko przekonany, że trzeba przypomnieć Ameryce idee budujących ją pionierów, że należy tworzyć naród uczciwy i silny, wolny od pseudointelektualnej papki, którą zalewają go do tej pory niewydarzeni intelektualiści i liberałowie. Sam miał dwie dorosłe córki, żonę, która wciąż nosiła spódniczki nie sięgające nawet do połowy ud, oraz rancho niedaleko Barr Lake, gdzie hodował konie - miłość swojego życia.

- Sam - powiedziałem. - Zdaje się, że mamy poważne kłopoty.

- Micky coś mi próbowała powiedzieć. Niby, że Hunter doznał czegoś w rodzaju załamania nerwowego.

- Zadzwońeś po lekarza?

- Telefonowałem do dwóch. Lokalnego konowała i do mojego znajomego, specjalisty z Nowego Jorku.

- Kiedy się tu zjawia?

- Miejscowy za pięć minut. Specjalista za dwie godziny.

- Wcale nie jestem pewien, że któryś z nich coś pomoże - powiedziałem z obawą.

- To z nim aż tak źle? Co się w gruncie rzeczy stało?

- Nie jestem w stanie ci tego opisać. W każdym razie od dzisiejszego poranka Hunter to nie ten sam facet.

Sam popatrzył w kierunku sypialni Huntera i powiedział:

- Może powinienem z nim porozmawiać? Ścisnąłem jego rękę.

- Nie sądzę, żeby to coś pomogło. Hunter uważa, że wszystko jest w porządku. W gruncie rzeczy twierdzi, że ma się znacznie lepiej niż wczoraj.

Sam zmarszczył czoło. Zrobił jedną z tych swoich zatroskanych, pełnych współczucia min, które sprawiały, że nie sposób było nie żywić do niego sympatii.

- Upilnujesz go podczas konferencji prasowej? - zapytał. - Bo ta cała banda już tu czeka przed domem.

- Nie ma żadnej nadziei na to - odparłem. - Nie tylko jego osobowość uległa radykalnej zmianie. Również poglądy polityczne. Dał mi dziesięciminutowy wykład, w jaki sposób zbudować potężne państwo, jak rozpocząć kolejną zimną wojnę.

Sam stał przede mną z grobową miną.

- Mam nadzieję, że żartujesz, Jack. No powiedz, że to tylko głupie żarty.

- Chciałbym, żeby to były żarty.

- Jezu Chryste.

Przez chwilę obaj staliśmy w absolutnym milczeniu. Przerwały ją czyjeś gwałtowne kroki na schodach i po chwili podbiegła do nas Florence Shapkin z „Newsweeka”, w grubych rogowych okularach, z ołówkiem i notatnikiem w ręce i z uśmiechem na twarzy, który kazał zastanawiać się, czy Florence nie ma przypadkiem za chwilę wyjść na plan filmu Szczęki 2. Oczywiście, w głównej roli.

- Jakież kłopoty, panowie? - zapytała.

- Jakie? - przytomnie zareagował Sam.

- No, nie wiem. Ale naradzacie się tutaj z tak grobowymi minami, jakbyście mieli cholernie poważne problemy na głowach. Dlaczego Micky przełożyła na później swój wywiad dla kobiecej rubryki „Danbury Morning News”? Wietrzę jakieś problemy.

- Tylko to ci w głowie. Węszyłabyś skandal polityczny nawet w rozlewni wody sodowej.

- Mówią, że mam nosa do tych spraw - potwierdziła Florence.

Ruszyłem w dół po schodach, przeszedłem przez hall i gdy zauważyłem, że Florence podąża za mną, ująłem ją pod rękę.

- Panno Shapkin - powiedziałem - naszym jedynym problemem jest aktualnie, o ile to można nazwać problemem, nadmierny entuzjazm, wyrażany wobec naszego kandydata.

Obdarzyłem ją jednym z moich najbardziej czarujących uśmiechów i poprowadziłem na trawnik przed dom. Był ładny, ciepły poranek, przez niskie, lecz rzadkie chmury przebijały promienie słoneczne. Wiatr nie był dokuczliwy, jednak wiał na tyle silnie, żeby rozpościerać w całej okazałości naszą flagę, powiewającą na dachu Allen's Corners. Pomachałem ręką kilku reporterom, których już znałem i uściśnąłem dłonie kilku następnym, przedstawiając się im. Zauważyłem Dana Grossa z „Time'a”, w ciężkim płaszczu i z grubym cygarem zwisającym mu z kącika ust. Napotkałem wzrok Harriet Cohn z działu kobiecego „New York Times'a” w mało eleganckim białym kostiumie. Gazety prześcigały się w prezentowaniu kandydatek na Pierwszą Damę Stanów Zjednoczonych i Micky Peal była już dzięki temu bardzo popularna.

Uciszyłem ich wszystkich i na dzień dobry przedstawiłem im w skrócie drogę, którą przebył Hunter Peal na arenie politycznej. Powiedziałem też kilka słów o jego planach (Boże, żeby nic nie pozmieniał) i zasadach, jakimi kieruje się w działalności publicznej. Skończywszy wróciłem do domu i odszukałem Sama Wickę. Siedział w pokoju łączności i wydierał się do słuchawki telefonu.

- Rozmawiam właśnie ze specjalistą - powiedział w chwili przerwy, zakrywszy mikrofon dłonią. - Dureń jeszcze nawet nie wyjechał z Manhattanu.

Nerwowo podrapałem się po głowie.

- Nawet jak przyjedzie, i tak będzie już za późno. Właśnie skończyłem mówić do dziennikarzy i jeżeli teraz czegoś sensownego im nie zaprezentujemy, to możemy zwiijać manatki i zapomnieć, że chcieliśmy, aby Hunter Peal był prezydentem.

Sam znów skupił uwagę na rozmowie telefonicznej. Po krótkiej chwili zakończył ją gromkim „do zobaczenia” i trzasnął słuchawkę na widełki.

- Posłuchaj, Sam - powiedziałem. - Musimy zebrać teraz wszystkich najważniejszych ludzi, którzy pracują dla Huntera, i powiedzieć im, co się dzieje. A przynajmniej musimy ich przygotować na niespodzianki.

- Nie, nie zgadzam się. Nie teraz, kiedy kręci się tu tyłu dziennikarzy. Ktoś zauważy nerwową krzątanicę i narobimy sobie tylko dodatkowych kłopotów. A poza tym, co się stanie, jeżeli powiemy im, że Hunter zwariował, a tymczasem on wyjdzie i będzie się zachowywał normalnie? Czy możesz być pewien, jak taka sytuacja wpłynie na ludzi?

Wyciągnąłem winstona z paczki i zapaliłem. Ręce mi się trzęsły i nic na to nie mogłem poradzić.

- Zagrajmy wiec na zwłokę - zasugerowałem. - Zamknijmy Huntera w sypialni i nie pozwólmy mu występować dzisiaj publicznie.

- Nie możemy tego zrobić. Zapowiedzieliśmy triumfalny marsz przez Connecticut i takim ruchem moglibyśmy wszystko spalić. Poza tym, czy wydaje ci się, że jutro będziesz w stanie zgromadzić tutaj tych wszystkich dziennikarzy jeszcze raz? Większość z nich planuje sobie robotę co do godziny na kilka tygodni naprzód. Są inni kandydaci prezydency, którym się przypatrują. Jack, wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Do pokoju weszła Jennifer Dwyer. Na dużej tacy niosła lemoniadę i gorącą kawę. Ubrana była w obcisłą, żółtą koszulkę, pod którą wyraźnie odznaczały się brodawki na jej piersiach. Miała też na sobie bardzo krótką spódniczkę, wprost oślepiająco różową.

- Podajemy poczęstunek dla dziennikarzy - powiedziała. - Czy wy też coś chcecie?

Objąłem ją w talii.

- Co sądzisz o naszych kelnerkach? - zapytałem Sama.

Sam wziął z tacy kubek z kawą i cukierka.

- Sądzę, że wolałbym zajmować się teraz gastronomią niż polityką - powiedział bez odrobiny humoru w głosie.

- Jak się czuje Micky? - zapytałem Jennifer. - Czy ktoś się nią opiekuje?

- Jest na górze, z panią Wieka. Chyba powoli dochodzi do siebie. Nie jest jednak w najlepszym stanie.

- Czy powiedziała ci, co się stało?

- Niezupełnie. Po prostu stwierdziła, że przechodzi jakieś załamanie nerwowe. Poza tym chyba wszystko jest w porządku, prawda? Chyba nie doszło do jakiejś poważnej sprzeczki z Hunterem?

Sam pociągnął łyk kawy.

- To nic poważnego, kochanie - zapewnił ją. Powiedział to z takim przekonaniem w głosie, że i ja niemal mu uwierzyłem. - Zdaje się, że powietrze jest tutaj zbyt naelektryzowane, jeżeli rozumiesz, co mam na myśli.

- Jasne - pokiwała głową Jennifer. Po czym popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się. - Później pogadamy, co?

Spróbowałem zrobić wrażenie zadowolonego i uszczęśliwionego, mimo że nie było to łatwe. Tym bardziej, że w tym momencie nadszedł Donald Zarowski, w rozchełstanej niebieskiej koszuli, i zapytał:

- Jak tam mój tekst o energetyce? Czy Hunter był zadowolony?

- Uznał go za doskonały - powiedziałem, niepewnie spoglądając na Sama.

- Wykorzysta go w całości? - zapytał Donald.

- Mniej więcej - powiedziałem ostrożnie. - Nie martw się, jeżeli tu i ówdzie coś zmieni. Ma dzisiaj taki nastrój...

Donald skrzywił twarz z niechęcią.

- Nastrój? A za kogo on się uważa?

Otworzyły się drzwi i podszedł do nas Jim Klippers. Za nim szedł chudy mężczyzna o orlim nosie i wybrylantowanych włosach, z brązowym neseserem w prawej ręce.

- To jest doktor Unwin - powiedział Jim. - Zdaje się, że ktoś go tutaj wzywał.

- Tak, to ja. - Sam Wieka skinął głową.

- Coś poważnego? - zapytał Jim.

Sam zaprzeczył ruchem głowy i odezwał się do doktora Unwina.

- Przepraszam, że wezwaliśmy pana tak nagle, doktorze, ale mamy pewne kłopoty.

Jim Klippers wciąż stał przy nas, nastawiając uszu, chcąc koniecznie dowiedzieć się, w jakim celu wzywaliśmy lekarza. Nie mógł jednak poznać przyczyny jego obecności tutaj, odezwałem się więc ostro do niego:

- Jim, zająłeś się już naszymi zwolennikami przed domem? Czy wszyscy mają nasze emblematy?

Jim Klippers obdarzył mnie krótkim, niechętnym spojrzeniem i bez entuzjazmu sobie poszedł. Sam ujął doktora Unwina pod ramię i poprowadził go przez pokój do drzwi, które wiodły w kierunku głównej klatki schodowej. Ruszyłem za nimi, sprawdzając godzinę na zegarku i porównując czas z planem dnia, który miałem dokładnie rozpisany, aby zobaczyć, czy nie jesteśmy opóźnieni.

Do rozpoczęcia spotkania z prasa pozostało Hunterowi jedenaście minut. W ciągu jedenastu minut nawet kilka tabletek valium nie spełni swojego zadania.

- Nie wiem, jakie są pana poglądy polityczne, doktorze - mówił Sam Wieka, prowadząc doktora Unwina po schodach. - W każdym razie prowadzę pana do republikańskiego kandydata na prezydenta, kandydata, który ma potencjalne możliwości, aby przejść do historii Ameryki jako jej najlepszy prezydent, jakiego kiedykolwiek miała. Jest to człowiek, który wierzy w uczciwość i sprawiedliwość oraz w tradycyjne amerykańskie cnoty: ciężką pracę dla kształtowania swego bytu, oddanie swej rodzinie i szczerą, pełną wiary modlitwę.

- Rozumiem - pokiwał głową doktor. Obciągnął rękawy swojej sportowej marynarki, tak że zakryła niezbyt eleganckie spinki przy mankietach. Wydawał się odrobinę zaskoczony i zdezorientowany, ale, jak mi się zdawało, Samowi o to właśnie chodziło. Sam traktował go w taki sposób, jaki był najskuteczniejszy wobec najbardziej nerwowych świadków, których przesłuchiwał przed sądem.

- Nasz kandydat zapewne wygra wybory prezydenckie - powiedział Sam. - Jednak, niestety, od wielu miesięcy pracuje tak ciężko i tak mało odpoczywa, że, co chyba zrozumiałe, troszeczkę odbiło się to na... na jego kondycji psychicznej. Oczywiście, to tylko kwestia krótkiego załamania. Chcielibyśmy jednak, aby zbadał go pan w tej chwili, możliwie szybko, zanim rozpocznie swoją dzisiejszą konferencję prasową.

Doktor Unwin głośno odchrząknął.

- Jeżeli jest przemęczony, powinien odwołać dzisiejsze spotkanie z dziennikarzami.

Gdy stawiali stopy na trzynasty stopień, Sam zatrzymał się i popatrzył na doktora wzrokiem wyrażającym jedynie głębokie zatroskanie i smutek.

- Chciałbym, żeby to było możliwe, doktorze - powiedział. - Chciałbym powiedzieć, „spokojnie, Hunter, weź sobie wolne”. Jednak, niestety, jest to nierealne. Na szali leży przyszłość

naszego narodu. W tej sytuacji zafundowanie sobie odpoczynku byłoby ze strony Huntera Peala dowodem nieodpowiedzialności.

Doktor Unwin był zwykłym lekarzem z prowincji i nie mogłem nie zauważyć, że zaczyna się niecierpliwić.

- Wydaje mi się, że najlepiej będzie porozmawiać na ten temat z samym chorym, nie sądzi pan? - zapytał Sama.

Dotarliśmy do korytarza na piętrze i w milczeniu już ruszyliśmy w kierunku podwójnych drzwi sypialni Huntera. Na wyrzeźbione na nich mordy padał jedynie słaby blask przez kolorowe szybki małego okna, a jednak ten skąpy blask sprawiał, że wyglądały niemal jak żywe.

Sam przytrzymał lekarza za rękaw.

- Doktorze Unwin - powiedział. - Wiem, co pan teraz myśli. Wiem, że uważa pan nas za zdecydowanych na wszystko typów, których nic nie obchodzi zdrowie kandydata na prezydenta, byleby tylko został wybrany. - Przerwał na chwilę, po czym odezwał się znowu:

- Proszę mi wierzyć, że tak nie jest. I jeszcze jedno. Z tego, co mi wiadomo, od dzisiejszego poranka Hunter Peal zachowuje się jak zupełnie inna osoba. Proszę więc o tym pamiętać...

Doktor Unwin stał spokojnie, a pomarańczowe światło odbijało się od jego lśniących włosów. Wyglądał jak dobroduszny lekarz ze starych powieści. Powiedział jednak chłodno:

- Ocenę zachowania pacjenta proszę pozostawić mnie. Spędziłem cztery lata na oddziale psychiatrycznym szpitala w Hartford.

Sam chciał powiedzieć coś jeszcze, ale zrezygnował. Chyba po raz pierwszy w życiu zauważyłem, że brakuje mu słów. Uniósł tylko dłoń, jakby na znak zgody i trzykrotnie mocno zapukał do drzwi Huntera.

Nastąpiła długa cisza. Znowu zdałem sobie sprawę, jak dziwna jest ta cisza w Allen's Corners. Zdawało się, że nawet drzwi otwierają się tutaj i zamykają bezszelestnie. Popatrzyłem na zegarek; nie było słyhać nawet jego tykania. Czas przemijał bez najmniejszego dźwięku, tak łagodnie i cicho jak leniwa rzeka.

Nagle, bez ostrzeżenia, podwójne drzwi sypialni rozwarły się szeroko i stanął w nich Hunter. Uśmiechnął się do nas z zadowoleniem. Był już kompletnie ubrany, w elegancki garnitur i białą koszulę. Miał starannie uczesane włosy i dyskretnie pachniał dobrą wodą po goleniu.

- Panowie - powiedział. - Chyba już czas, abyśmy zeszli na dół.

Sam Wieka otoczył ramieniem doktora Unwina i lekko popchnął go do przodu.

- Hunter - powiedział - przedstawiam ci doktora Unwina. Doktor Unwin poświęci ci pięć minut, zanim rozpoczniesz konferencję prasową. Hunter uśmiechnął się.

- Czyżby w ciągu pięciu minut zamierzał wyrobić sobie opinię na temat mojego zdrowia? No cóż, skoro jednak uważacie, że to jest konieczne...

Sam, widząc, że zachowanie Huntera nie odbiega od normy, zaczął powoli się uspokajać.

- Zapewne wszystko jest w najlepszym porządku, Hunter. Prawdopodobnie jesteś zdrowszy ode mnie. Jednak po tym, co Jack powiedział mi o dzisiejszym poranku, uważam, że takie rutynowe badanie nie jest najgorszym pomysłem.

Hunter popatrzył na mnie. Wciąż się uśmiechał, jednak w jego oczach pojawił się na chwilę złowrogi, jadowity błysk, którego nie mogłem przeoczyć.

- Nie powinieneś wierzyć we wszystko, co opowiada Jack - zauważył. - W końcu wymyślanie bzdur to jego zawód. No, ale skoro doktor Unwin zechciał pofatygować się aż tutaj, pozwól mu przystąpić do jego obowiązków.

Weszliśmy do sypialni. Hunter zdjął marynarkę i podwinął rękawy koszuli, a tymczasem doktor

wyciągnął z walizeczki swoje przyrządy. Zanim przystąpił do pracy, głośno się wysmarkał.

- Zdaje się, że z nas czterech jest pan najbardziej chory - zadrwił Hunter. Ja i Sam spojrzeliśmy po sobie; wyraz jego twarzy mówił, że nie ma wątpliwości, iż przesadziłem ze swoimi alarmistycznymi opowieściami. Sam nie lubił ludzi, którzy do przesady dmuchali na zimne. Co więcej, nie lubił wychodzić na idiotę, a już szczególnie wobec takich ludzi jak na przykład doktor Unwin.

Podczas gdy doktor Unwin mierzył Hunterowi ciśnienie krwi, Sam zapytał go:

- Jak oceniasz tekst Zarowskiego na temat energetyki? Czy o to ci właśnie chodziło?

Hunter pokiwał głową.

- W generalnych zarysach tak. Dzisiaj jednak zacznę od tego, że powiem, dlaczego ubiegam się o prezydenturę. Potem zaprezentuję im wizję tego, co zamierzam uczynić w Ameryce. A dokonam rzeczy, których zrealizować nikt inny, oprócz mnie, nigdy nie będzie w stanie.

- Czy mógłby pan przez chwilę być spokojny, senatorze? - zapytał doktor Unwin. - W przeciwnym wypadku odczyt będzie nieprawidłowy.

- Muszę wyjaśnić, czego Amerykanie powinni oczekiwać głosząc na mnie - kontynuował Hunter, nic sobie nie robiąc z doktora. - W dniu dzisiejszym rozumieją, że wraz z tym wyborem otworzy się przed nimi nowa era. Zrozumieją, że ich życie nabierze nowej jakości.

- Ile czasu zamierzasz poświęcić rozwojowi turystyki? Tutaj, w Connecticut, to bardzo poważny temat - powiedział Sam.

Hunter podniósł wzrok i popatrzył na Sama, jakby nie zrozumiał, co ten przed chwilą powiedział.

- Pamiętasz chyba - mówił Sam - jak omawialiśmy tę sprawę. Należy rozwijać infrastrukturę turystyczną wszystkich stanów. „Ameryka podróżników” to twoje hasło.

Hunter wbił wzrok w ścianę. Po długiej chwili odezwał się:

- Eee... nie jestem tego taki pewien.

- Czy będzie pan spokojny? - zniecierpliwił się doktor Unwin. Sam nie ukrywał zdziwienia.

- Nie jesteś pewien? Hunter, turystyka to potężna gałąź gospodarki. W kształcie, jaki uzgodniliśmy, program inwestycji w turystyce stanowi jeden z najmocniejszych punktów całego twojego programu wyborczego! Jeśli przekonasz Amerykanów, że wakacje i urlopy powinni spędzać w swoim kraju, dolary, które będą wówczas wydawać, ożywią gospodarczo wiele regionów.

- Jasne. Masz rację, Sam - powiedział Hunter.

Doktor Unwin już po raz trzeci próbował zmierzyć ciśnienie krwi Huntera, znów bez powodzenia. Zdesperowany, warknął:

- Dobra, mam tego dosyć. Jeżeli nie zależy panu, abym zbadał ciśnienie krwi, ja nie będę się przy tym upierał. Nie moja sprawa.

- Co się dzieje, Hunter? - zapytał Sam. - Bądź spokojny przez chwilę. Pomóż doktorowi.

- Jak mam być spokojny, kiedy ten zasraniec łązi naokoło mnie, potrząsa swoimi pierdolonymi instrumentami i zrzędzi co chwilę.

Twarz Sama w jednej chwili zrobiła się kredowo biała. - Hunter - powiedział drżącym głosem. - Hunter, co ty mówisz?

- Mówię, żebyście się już ode mnie odczepili - warknął Hunter. - Tylko dlatego że dla mnie pracujecie, dlatego że pomagacie mi w prowadzeniu mojej kampanii, nie jesteście jeszcze upoważnieni, żeby łązić naokoło mnie i traktować mnie jak piłkarza ze średniej szkoły. Moje ciało należy wyłącznie do mnie. Powiedzcie temu zasrańcowi, żeby się odpierdolił.

Doktor Unwin zaniemówił. Zastygł w dziwnej pozie i przenosił spojrzenie po kolei z Huntera na

Sama i na końcu na mnie. Hunter siedział na krześle, tak się zdenerwował, że jego twarz przybrała kolor purpury. Widziałem, jak pracują mięśnie jego policzków; jakby grube, silne dźdźownice chodziły mu w ustach i wypychały policzki do zewnątrz. Otoczyła go trudna do opisanego ciemność. Zdawało się, że to powietrze w pokoju zagęściło się. Wszyscy niemalże fizycznie odczuwaliśmy siłę wściekłości Huntera.

- Zjeżdżaj! - wrzasnął Hunter i w tej samej chwili walizeczka lekarza poleciała do góry. Z impetem trzasnęła o sufit i powylatywały z niej różne scyzoryki, skalpele, termometry i jeszcze inne przyrządy, w które wyposażony był doktor Unwin. Spadający skalpel skaleczył rękę doktora.

Ostatni termometr spadł na podłogę i roztrzaskał się w drobny mak. Wszyscy trzej - Sam, doktor Unwin i ja - wpatrywaliśmy się w Huntera z niedowierzaniem. Nie wiadomo dlaczego, zacząłem się bać; atmosfera w pokoju zrobiła się tak napięta, że na kilka sekund z tego wszystkiego straciłem słuch.

Hunter ani na chwilę nie wstał z krzesła. Wciąż siedział i powoli się uspokajał. Teraz on spoglądał po naszych twarzach, jakby szukając w nich zapewnienia, że to, co się przed chwilą wydarzyło, nie jest niczym nadzwyczajnym, a jedynie drobnym incydentem w pełnych napięcia chwilach przed ważną konferencją prasową. Po chwili zwilżył wargi językiem.

- Ja... zdaje się, że rzuciłem pańską torbę, doktorze Unwin. Bardzo pana przepraszam. Zdaje się, że trochę mnie poniosło.

Sam popatrzył mi w oczy. Już teraz wierzył. I podobnie jak ja, nie miał wątpliwości, że Hunter nawet nie dotknął walizeczki doktora, że ona sama poleciała w górę.

Doktor Unwin, bardzo blady, opadł na kolana i zaczął zbierać z podłogi swoją własność. Po chwili i ja pochyliłem się, aby mu pomóc. Wkrótce wszystko znalazło się w walizeczce. Doktor wstał przyciskając ją do piersi niczym najdroższy skarb. Nie mógł oderwać oczu od twarzy Huntera i nie mógł też wypowiedzieć ani słowa.

- Doktor Unwin już sobie pójdzie - powiedziałem ostrożnie do Huntera.

Hunter pokiwał głową.

- Powiedz mu, że go bardzo przepraszam. To wszystko z powodu tego cholernego napięcia. Powiedz mu, że prześlę mu czek, aby mógł odkupić to, co mu zniszczyłem.

- Odprowadzę pana do wyjścia:- powiedziałem do doktora.

Zostawiłem Sama z Hunterem i ruszyłem szybko korytarzem. Doktor posłusznie dreptał za mną. Tym razem korytarz wydał mi się jeszcze ciemniejszy i dłuższy niż zazwyczaj.

Dotarliśmy do schodów. Doktor miał właśnie zamiar postawić stopę na pierwszym stopniu, gdy go powstrzymałem. Spojrzał na mnie oczyma, w których wciąż malowało się skrajne przerażenie.

- Na pana miejscu nie wspominałbym nikomu o tym wydarzeniu - poradziłem mu. - Pan Peal ma doskonałych prawników.

Doktor Unwin dotknął nerwowo swojego policzka, jakby chciał w ten sposób upewnić się, że to nie sen, a jawa. Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale w końcu tylko odepchnął mnie i ruszył szybko po schodach. Widziałem go jeszcze, jak przebiegał przez hall i zniknął we frontowych drzwiach.

Kiedy się odwróciłem, Sam stał na korytarzu, kilka kroków za mną. Niby wyglądał normalnie, a jednak w ciągu ostatnich kilku minut jakby niżej opadły mu ramiona, a na twarzy wypisane miał takie zdziwienie, jakiego jeszcze u niego nie widziałem. Zobaczyłem za jego plecami, jak Hunter zamyka drzwi swojej sypialni w oczywistym zamiarze rozpoczęcia konferencji prasowej.

Hunter odwrócił się i powoli ruszył w naszym kierunku. Przez moment jego sylwetkę oświetlały promienie słoneczne przebijające pomarańczowe szybki małego okienka na końcu korytarza. W tym

dziwnym oświeceniu sprawiał wrażenie niesamowicie wysokiego, wyższego niż drzwi do sypialni. Jednak w miarę jak się do nas zbliżał robił się mniejszy i gdy minął Sama, jego wzrost wrócił do normy.

- Czy doktor już poszedł? - zapytał mnie, stanąwszy u szczytu schodów.

- Tak - odparłem. - Poszedł.

- Czy ostrzegałeś go, co się stanie, jeśli będzie miał zbyt długi język?

- Tak.

Hunter uśmiechnął się, chociaż byłem przekonany, że nie jest to uśmiech przeznaczony dla mnie.

- Dobry, stary Jack - powiedział. - A teraz chodźmy na dół i zajebmy tę bandę pismaków na śmierć.

ROZDZIAŁ IX

W hallu nastąpił niezręczny moment. Micky czekała już na Huntera, ubrana skromnie w jasnozieloną suknię. Na głowie miała wiosenny kapelusz o szerokim rondzie, ręce trzymała zaciśnięte przed sobą. Nie uniosła wzroku, jak wszyscy pozostali, wpatrujący się w nadchodzącego Huntera. Wyraźnie też można było zauważyć jej niechęć, gdy Hunter całował ją w policzek i podawał jej ramię.

Była jednak zawodową żoną polityka i mimo napięcia i złości, która w niej niewątpliwie wrzała, musiała z uśmiechem na ustach odgrywać swoją rolę. Uśmiechnęła się więc, pomachała dłonią zgromadzonym dziennikarzom i ramię w ramię wraz z mężem wyszła na zielony trawnik.

Lokalni zwolennicy Huntera, których Jim Klippers ściągnął chyba z całej okolicy, zaczęli głośno krzyczeć i wiwatować na cześć swojego kandydata, a Woodward Grant, odpowiedzialny za kontakty z „naszymi” ludźmi w Connecticut, namiętnie dmuchał w gwizdek i biegał po całym trawniku, zachęcając wszystkich zgromadzonych do wznoszenia gromkich okrzyków: - Hunter! Hunter! Hunter Peal!

Hunter, z Micky u boku, zatrzymał się, wyprostowany i dumny, w centrum całego zgromadzenia, a tymczasem fotografowie wykorzystywali swoją minutę, przystając przed nim, klękając i wykonując nieprawdopodobną ilość zdjęć. Te zdjęcia, z tak wczesnej fazy kampanii, nie ukażą się na lepszych niż piętnastych stronicach najpoważniejszych dzienników, z podpisami: „Nadzieja Republikanów, Hunter Peal, oraz jego żona, Micky, pozdrawiają swoich wiwatujących zwolenników”.

Mogło się zdawać, że tańczący wokół Huntera fotografowie zachowują się czołobitnie, składając mu pokłony, jednak doskonale wiedziałem, że bardzo starają się, aby uchwycić przyszłego - być może - prezydenta w jak najgorszej pozie, z wykrzywioną ze zdziwienia twarzą albo pochylającego się, żeby pocałować żonę, kaszlącego lub kichającego; zgromadzeni wokół reporterzy gotowi byli w każdej chwili dopisać do tych fotografii coś złośliwego. Przed kilkoma miesiącami zdążyłem nauczyć Huntera, aby w takich sytuacjach był uśmiechnięty i spokojny, by jak najmniej się poruszał, ale żeby był naturalny. Jak do tej pory przestrzegał moich wskazówek. Teraz jednak stałem obok Sama Wieki i oboje zaciskaliśmy pięści, z przerażeniem myśląc, co nastąpi, gdy Hunter zacznie trąbić o Ameryce Eisenhowera i wspaniałych czasach Dullesa.

- Patrz, zjawił się Fred Mendel z AP - szepnął mi Sam do ucha. - Jeśli Hunter zacznie nawijać o zimnej wojnie, jutro zostanie zrównany z ziemią.

Zapaliłem kolejnego już dzisiaj papierosa, wykorzystując niedopałek poprzedniego.

- Sam, zdaje się, że dzisiaj zakończymy tę cholerną kampanię - powiedziałem do Wieki. - Spójrz na Huntera. Strzeli z grubej rury. Czy kiedykolwiek widziałeś, żeby miał taką minę?

Sam przykrył usta ręką.

- Nie wytrzymam tego - mruknął. - Cholera, nie wytrzymam.

Fotografowie powoli zaczęli się wycofywać, zbierając swoje aparaty z długimi obiektywami niczym Południowcy pobici pod Antietam. Teraz była moja kolej, abym formalnie przedstawił naszego kandydata na prezydenta.

Położyłem dłoń na umięśnionym ramieniu Sama, a on szepnął:

- W ręce Twoje, o Panie...

Nie słuchałem go już. Szybkim krokiem wyszedłem przed Huntera i Micky i stanąłem pomiędzy nim a frontem zgromadzonych dziennikarzy.

Unosząc w górę ręce poprosiłem o ciszę. Szmer rozmów i nawoływań powoli ustawał, gdy niespodziewanie Dan Gross z „Time’a” zaniósł się kaszlem. Nie trwało to długo, gdyż uciszył go solidny cios pięścią w plecy, który zadała mu Edna Mulley z „New York Post”. Jeden z kamerzystów

z CBS potrafił fotografa z „Newsweeka” i głośno zaklął: - O, cholera.

- Panie i panowie - zacząłem. - Chwila jest historyczna. Oto dzisiaj, na trawniku przed tym pięknym, starym domem w Connecticut, będziecie mieli okazję porozmawiać z pierwszym reprezentantem Zachodu, który wygra prawyborzy prezydenckie w większości wschodnich stanów. Jest to przynajmniej jego zamiarem i obiecuje nam, że uczyni wszystko, co tylko leży w jego mocy, aby ten zamiar zrealizować.

Reakcją był chóralny sarkastyczny śmiech. Znów uniosłem rękę i kontynuowałem, niezrażony:

- Możecie się teraz śmiać. Jednak wspomnicie moje słowa: kompetencja Huntera Peala nie ogranicza się jedynie do krainy cowbojów. Hunter Peal to człowiek, który pozwoli nam wszystkim zrozumieć, że powinniśmy rozpocząć budowanie Ameryki zupełnie od nowa, że powinniśmy z powrotem sięgnąć do idei i pragnień, które czyniły ten kraj wielkim u samego jego początku. Hunter Peal uświadomi to wszystkim Amerykanom, niezależnie od tego, czy są wyszukanyymi nowojorczykami, czy też prostymi ludźmi z Nebraski.

- Co się czepiasz Nebraski? - krzyknął jakiś dziennikarz z tylnych rzędów. - Moja matka pochodzi z Omaha i jest, jak mówisz, bardzo wyszukana.

Hunter Peal, z ciepłym uśmiechem na ustach, zrobił kilka kroków do przodu i zrównał się ze mną. W ten sposób, że nie mógł tego zauważyć nikt ze zgromadzonych, warknął do mnie kącikiem ust:

- Nie próbuj mnie zastępować, Jack. Po prostu przedstaw mnie i się odpiardol.

Odwróciłem się i popatrzyłem na Micky. Stała w miejscu, z grymasem bólu na twarzy. Dopóki stał obok niej Hunter, tak mocno ścisnął ją za ramię, że dosłownie nie mogła nim poruszyć. Teraz rozcierała bolące miejsce. Skinęła do mnie głową, co miało znaczyć „Rób, co on chce, i jak najszybciej zakończmy to przedstawienie”. Ze swoim zawodowym uśmiechem odwróciłem się do dziennikarzy.

- Panie i panowie, na tym moja rola się kończy. Przedstawiam wam najbardziej dynamicznego i najbardziej kompetentnego kandydata prezydenckiego współczesnych czasów. Panie i panowie, oto stoi przed wami Hunter Peal, starszy senator stanu Kolorado, oraz jego żona, Micky.

Hunter uniósł głowę i popatrzył po twarzach zgromadzonych dziennikarzy. W nienagannie skrojonym szarym garniturze sprawiał wrażenie modela podczas prezentacji najnowszej mody. Pewien dziennikarz z Zachodniej Wirginii napisał o nim później: „Gdyby wyniki wyborów zależały wyłącznie od prezencji kandydatów, Hunter Peal bez trudu znalazłby się w Białym Domu”. Przypadkowo wiatr rozwiewał mu włosy w tym samym rytmie, w jakim poruszał flagą zatknietą na dachu.

Wycofałem się dyskretnie, wzdłuż szpalery dziennikarzy i zwolenników Huntera z New Milford, kierując się ku Samowi. Po drodze uśmiechnąłem się do Dana Klippersa i jego koszmarnej blondwłosej żony.

W ciągu kilkudziesięciu sekund, które zajęła mi ta droga, Hunter Peal nie powiedział ani słowa, jednak potrafił utrzymać dziennikarzy w kompletnym milczeniu. W tych dniach, kiedy spoglądałem na Huntera w podobnych sytuacjach, za każdym razem odnosiłem wrażenie, że widzę go w pozie, która kiedyś zostanie uwieczniona w brązie, podobnie jak uwieczniono Lincolna, siedzącego w fotelu w swoim gabinecie, dzierżącego w dłoni flagę Iwo Jima.

Nagle Hunter uniósł do góry rękę ze wskazującym palcem wycelowanym w niebo. Głębokim, budzącym zaufanie głosem, rozpoczął:

- Zgromadziliśmy się dzisiaj w tym miejscu, aby oddać honory odradzającej się Ameryce. Znaleźliśmy się wśród tych wzgórz i lasów, wśród miasteczek tej cichej części stanu Connecticut, aby moc uświadomić sobie, że najwcześniejsze idee, które kierowały postępowaniem twórców tego

kraju, muszą się odrodzić, muszą znów zostać wcielone w życie, nie tylko w Stanach Zjednoczonych, ale na całym świecie.

Jak dotąd nie było źle. Można to było podciągnąć pod jego pomysł Nowego Początku. Być może, rodziła się we mnie nadzieja, te poranne brednie zimnowojenne nie znajdą tutaj swojego ujścia.

- Powiem wam coś - kontynuował Hunter - był taki czas, i to znowu nie tak bardzo dawno temu, kiedy naszym krajem rządili mężczyźni, którzy niezachwianie wierzyli w prawość i słusność tego, co nazywaliśmy Amerykańską Drogą. Ludzie ci gotowi byli w obronie tej wiary posunąć się aż na skraj wojny, a kiedy było potrzeba, również ten skraj przekroczyć.

Krajem naszym rządili ludzie, którzy głęboko wierzyli, że nasz rząd i nasza przyszłość jest sprawą tylko nas samych i nikt, żadna obca siła, nie ma prawa ingerować w to, co my postanawiamy. Kiedy mówię o ingerencji, rozumiem to słowo w jego najprostszym ekonomicznym i politycznym znaczeniu, od arabskich ograniczeń w produkcji ropy naftowej po komunistyczny podbój Ameryki Środkowej.

Ci ludzie pragnęli Ameryki takiej, jaka była ona w zamysłach Boga. Pragnęli prężnego, zdrowego społeczeństwa, zdolnego nie tylko do ochrony swojego własnego świętego spokoju, ale potrafiącego też reagować na krzywdę i niesprawiedliwość, dziejące się na całym świecie. Ci ludzie, niestety, nie doprowadzili swoich idei do pełnej realizacji. Nie rozumiano ich wówczas i krytykowano. A kiedy przeminęli, ich idee i wysiłek poszły na marne. Zostali zapomniani. Przypomnijmy sobie tylko pełne podziałów, złorzeczeń i niepewności dni Kennedy'ego i Johnsona. Zostaliśmy poniżeni. Ludzie, którzy wówczas nawoływali do budowy silnej Ameryki, nie zyskali poparcia. Ci, którzy mimo wszystko pragnęli podążać w tym kierunku, zostali zdradzeni. Ci, którzy chcieli, aby dumna flaga wolnej Ameryki powiewała na każdym skrawku globu ziemskiego, zostali sprzedani na bazarach Bliskiego Wschodu, jak niepotrzebny, zużyty towar.

Obserwowałem twarze zgromadzonych dziennikarzy. Emmet Polk z „Hartford Chronicle” stał z rozdziawionymi ustami i długopisem zastygłym dwa cale nad kartką papieru. Dan Gross notował słowa Huntera niemalże z furją, z furją też zaciągał się co chwilę papierosem.

Reakcja słuchaczy nie obchodziła jednak teraz Huntera. Znów wznosił rękę do góry, tym razem jednak jego dłoń zaciśnięta była w pięść.

- Kiedy byłem młodym kongresmenem, w roku 1953 powiedziałem jednemu z naszych najbardziej szacownych polityków, że wierzę w możliwość zawarcia pokoju z komunistami. Ten szacowny polityk odparł wówczas: „Tak, masz rację. Ale zanim przystąpisz do rozmów o pokoju, wpierw powinieneś okazać im swoją siłę, swoją wolę niezrezygnowania ze zdobyczy wolnego świata i zdolność do wcielenia swej woli w życie. Innymi słowy - mówił ów polityk - powinieneś wpierw zademonstrować swą potęgę, a dopiero później swoją chęć do zawarcia pokoju”.

Hunter przerwał na chwilę, a potem rzucił głosem, w którym rozbrzmiewał szacunek:

- Politykiem tym był John Foster Dulles. Harriet Cohn z „New York Times'a” zmarszczyła czoło i zawołała:

- John Foster Dulles? Czy mógłby pan to przeliterować? Hunter uśmiechnął się.

- Wiem, co sobie teraz myślicie. Czytam wasze niedowierzające myśli, jakbym miał przed sobą otwartą gazetę. Jesteście teraz podejrzliwi, uprzedzeni, niepewni, czy dobrze usłyszeliście wszystko to, co przed chwilą powiedziałem. Ale nie winie was za to, gdyż wasze poglądy polityczne spaczone są przez całe lata sprawowania władzy w tym kraju przez nieudacznym prezydentów. Gdyby, magicznie wskrzeszeni, stanęli tu teraz przed wami Dulles i Eisenhower, ich słowa przyjęlibyście z takim samym niedowierzaniem jak to, co ja do was mówię.

W tej chwili zamierzam jednak ukazać waszym oczom perspektywę Ameryki, jaką chcę dla was zbudować. Zamierzam ukazać wam życie pod administracją Huntera Peala, zanim jeszcze ta administracja zainstaluje się w Białym Domu.

Popatrzyłem na Micky. Jej twarz, mimo obowiązkowego uśmiechu, była blada i wyrażała krańcową niepewność. Cofnęła się o kilka kroków, potem jeszcze o kilka i w końcu w centrum uwagi wszystkich pozostał już tylko sam jeden Hunter Peal, błogosławiący dziennikarzy wzniesionymi rękami.

Spojrzałem na Sama Wickę.

- Co ten facet chce im pokazać? - zdziwiłem się. - On chyba do reszty zwariował.

Sam ukrył twarz w dłoniach.

- Nie wiem - wymamrotał. - Nie mogę na to patrzeć. Czy wiesz, ile forsy już zebraliśmy na tę kampanię? Czy wiesz?

Tymczasem Dan Gross zawołał:

- Senatorze Peal, czy pan naprawdę uważa, że naszemu krajowi będzie się wiodło lepiej w atmosferze zimnej wojny?

Hunter nie odpowiedział mi. Zamknął natomiast oczy i rozpostarł szeroko ręce. I znów spostrzegłem tę dziwną ciemność nad jego brwiami, jakby przy nich właśnie powietrze zgęstniało, jakby wszystkie cienie z trawnika nagle zgromadziły się wokół jego głowy.

Emmet Polk podniósł w górę swój ołówek i zapytał:

- Senatorze Peal, czy jest pan pewien, że stan zdrowia pozwoli panu ubiegać się o nominację?

- Czy był pan kiedyś leczony psychiatrycznie? - zapytał ktoś inny.

- Senatorze, czy zamierza pan stąd zaraz odfrunąć, czy co?

- Senatorze, kiedy nawiążemy kontakt z Marsjanami?

- Czy jest pan wciąż z nami, senatorze?

Po kilku sekundach ciszy Hunter wreszcie otworzył oczy.

- Zamierzam coś wam pokazać - powiedział głębokim i tak donośnym głosem, jakby wzmacniały go potężne urządzenia elektroniczne.

Sam uniósł głowę. Na jego twarzy ujrzałem napięcie.

- Jack - odezwał się. - Czy coś słyszysz?

Zacząłem nasłuchiwać. Z bardzo daleka zaczynał dobiegać do nas bardzo słaby, nieokreślony dźwięk. Tak, jakby ktoś rysował ołówkiem po dachówce.

Niespodziewanie do tego dźwięku dołączyło potężne dudnienie. Poczułem, że trawnik drży pod moimi stopami. Dudnienie z każdą chwilą stawało się coraz głośniejsze i wreszcie stało się tak potężne, że zagłuszyło wszelkie rozmowy. Zgromadzeni z niepokojem rozglądali się na wszystkie strony. Nie sposób było cokolwiek z tego zrozumieć.

Wkrótce hałas był tak wielki, że miałem wrażenie, iż za chwilę rozsadzi mi głowę. Nadbiegał dziwnymi falami, atakującymi wszystkie zmysły. Wkrótce drżały mi nawet zęby w dziąsłach. Hałas uniemożliwiał normalne widzenie. Niektórzy reporterzy padli na trawę i wili się w bólu.

Tylko Hunter Peal pozostał nieporuszony, z wciąż rozpostartymi rękami, ściągający na nas z nieba ten kataklizm dźwięków. Jego twarz wyrażała siłę i triumf, a jego oczy lśniły niemalże oslepiająco. Sylwetka, którą ujrzałem, przeraziła mnie do tego stopnia, że musiałem odwrócić wzrok. Wprost nie wierzyłem, że to jest ten sam Hunter Peal, człowiek, dla którego pracowałem.

I wówczas ukazały się.

- Popatrzcie! - ktoś krzyknął. - Na miłość boską, popatrzcie!

Nie mogliśmy ich nie spostrzec. Leciały tak nisko, że pochylały się pod nimi drzewa, a w

powietrzu zaczęły wirować suche liście, pokrywające do tej pory trawnik. Wielkie bombowce B-52, z potężnymi, zasłaniającymi niemal całe niebo, skrzydłami. Właśnie nadlatywały z zachodu. Nie trzy, nie cztery, ale pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, a być może jeszcze o wiele więcej. Zdawało się, że są ich setki, skrzydło przy skrzydle, wkrótce pokryły niebo na przestrzeni wielu mil, w każdym kierunku.

Na statecznikach namalowane miały wielkie amerykańskie flagi; pasy i gwiazdy. Każdy samolot miał wymalowany na kadłubie białymi literami nie pozostawiający wątpliwości napis: U.S. AIR FORCE.

Sam Wieka z osłupieniem wpatrywał się w niebo.

- Ja w to nie wierzę! - zawołał, próbując przekrzyczeć grzmiące samoloty. - Ja to widzę, ale nie wierzę!

Samoloty wciąż dudniły majestatycznie nad naszymi głowami, jeden za drugim i jeden przy drugim; gigantyczna i nie kończąca się migracja największych ptaków wojny. W tej paradzie było coś wspaniałego, coś intrygującego: wszystkie one należały do nas, wszystkie były amerykańskimi maszynami, mającymi bronić nas, naszej godności, naszego bytu. Mimo osłupienia nie mogłem powstrzymać rosnącej we mnie dumy, która wywoływały te wielkie ptaki, dumy, że jestem Amerykaninem, że jestem obywatelem tego wspaniałego, potężnego, wielkiego kraju.

- Mój Boże! - znów krzyknął Sam. - One są wspaniałe. Mój Boże, ja w nie nie wierzę!

Rozejrzałem się dookoła. Mimo że większość dziennikarzy i wszelkich innych obserwatorów zakrywała dłońmi uszy, prawie wszyscy otwarcie płakali. Oto dokładnie nad głowami mieliśmy jak na dłoni ukazaną potęgę, niemalże wszechmoc naszego kraju, ludzi i samoloty zapewniające nam bezpieczeństwo. Nawet najbardziej cyniczni z dziennikarzy nie mogli zaprzeczyć oczywistej wymowie tego zjawiska.

I wówczas wydarzyło się coś jeszcze. Rozejrzeliśmy się wokół i już nie staliśmy na trawniku przed starym domem w Connecticut. Znajdowaliśmy się wśród łąnów dojrzałej, dorodnej pszenicy, falującej i pochylającej się w rytmie podmuchów powodowanych przez B-52, wciąż dudniących nad naszymi głowami. Byliśmy gdzieś w centrum Ameryki, pod błękitnym, czystym jak kryształ niebem. Jedynie w oddali, na zachodzie, widzieliśmy kłębiące się poduszki kumulusów.

Ostatni z bombowców potężnie dudniąc odleciał w kierunku wczesnoporanego słońca. Nagle pozostaliśmy sami, w ciszy - reporterzy, sztab Huntera oraz jego lokalni zwolennicy. Popatrywaliśmy po sobie w zdumieniu, otoczeni dojrzałą pszenicą, jakbyśmy przed chwilą wszyscy zostali zrzućeni tutaj na spadochronach. Dan Gross pochylał się i urwał kłos pszenicy. Tarł go w dłoni tak długo, aż oddzielił ziarno. Ugryzł jedno ziarenko i krzyknął:

- Ludzie! Na Boga, to jest prawdziwa pszenica! Niespodziewanie otrzymał gromkie, potężne oklaski.

- Tak, to prawdziwa pszenica - ktoś potwierdził. - Ludzie, znajdujemy się w samym środku, starej Ameryki, na polu najdorodniejszej pszenicy!

Z przerażeniem patrzyłem na Sama Wickę. Spojrzał mi głęboko w oczy. I on był ciężko przestraszony. Poczułem ciepły wiatr wiejący mi w plecy, poczułem pszenicę pod stopami. Widziałem motyle wesoło latające dookoła i linię odległego horyzontu. W pofałdowanym Connecticut byłoby to niemożliwe.

- Sam - odezwałem się. - Czy my zwariowaliśmy, czy naprawdę tu jesteśmy?

Sam wierzchem dłoni otarł spocone czoło.

- Nie wiem - wyszeptał. Nagle usiadł na ziemi i tak pozostał wśród dojrzałej pszenicy, wzrok utkwivszy gdzieś w pustce.

Uklęknąłem obok niego.

- Czy dobrze się czujesz? - zapytałem.

- To Hunter - powiedział. - Nie wiem, jak on to zrobił, ale to jego sprawa. Na miłość boską, poszukaj Huntera.

Uniosłem głowę i rozejrzałem się dookoła. Hunter stał dwadzieścia, a może trzydzieści stóp od nas. Dłońmi dotykał swych policzków, a ramiona miał opadnięte. Z jakichś powodów nikt nie chciał się do niego zbliżyć. Nawet nie z powodu niezwykłości tego, co się przed chwilą wydarzyło. Po prostu była w nim jakaś siła, która nakazywała: trzymajcie się ode mnie z daleka.

Ktoś się śmiał, a Harriet Cohn krzyknęła radośnie:

- To jest wspaniałe! Absolutnie wspaniałe! Dziennikarze chodzili w tę i z powrotem wśród łanów pszenicy, ciesząc się jak dzieci.

Usłyszeliśmy odgłos silnika samochodowego. Wszyscy odwróciliśmy się, a ja po raz pierwszy ujrzałem szosę, zupełnie niedaleko przecinającą pola pszenicy. Błyszcząc w porannym słońcu, drogą jechał samochód: nowiutki, jakby prosto z hali fabrycznej, osobowy desoto fire dome, rocznik 1954, dwutonowa maszyna w pomarańczowo-kremowym kolorze. W środku znajdowała się szczęśliwa amerykańska rodzina, matka, ojciec oraz syn i córka. Mijając nas pomachali wesoło i wkrótce zniknęli z naszych oczu, oddalając się w kierunku południowym.

Usłyszałem, jak lka jakaś kobieta:

- Artur, och, Artur - powtarzała.

Wówczas słońce nagle przyblakło, jak stara fotografia, rozplynęła się w powietrzu pszenica i znów znaleźliśmy się na trawniku przed Allen's Corners w stanie Connecticut. Na dachu powiewała amerykańska flaga, a przed nami stał Hunter Peal, z pewnym siebie uśmiechem na twarzy. Myślę, że wszyscy byliśmy oszołomieni. Z pewnością wszyscy staliśmy w absolutnej ciszy. Niektórzy z nas wciąż połykali łzy po wzruszeniach, które spowodował widok przez kilka minut rozpościerający się przed naszymi oczami. Nawet Sam Wieka musiał wyciągnąć chusteczkę. Wreszcie ciszę przerwał Dan Gross.

- Senatorze Peal! - zawołał. - Czy to, co przed chwilą pan wobec nas zademonstrował było swoistym rodzajem zbiorowej hipnozy? Bo ja widziałem bombowce i pola pszenicy. Mój logiczny umysł mówi mi, że tak naprawdę, to ich tu oczywiście nie było. Chciałbym więc dowiedzieć się od pana, jak pan sprawił, że je zobaczyłem?

- To było bardzo wzruszające, senatorze Peal - powiedział Mike McKay z gazety z Bridgeport. - Chciałbym usłyszeć od pana, jak wywołuje się coś takiego?

- Senatorze, co to za sztuczki? - krzyknął Emmet Polk.

Hunter uśmiechnął się.

- Niczego nie widzieliście. Niczego, oprócz obietnic. Te bombowce, te pola były po prostu obrazowymi przykładami tego, co przyniesie wam moja administracja. Śmialiście się ze mnie, gdy mówiłem o Dullesie i Eisenhowerze. Czy teraz, po tym, czego byliście świadkami, jest wśród was ktoś, kto nie wybrałby życia w Ameryce, w której nieba pilnuje tak wiele samolotów? Ilu z was jest w stanie powiedzieć, że nie tęskni za wspaniałymi polami dzieciństwa, za samochodami, których posiadanie było marzeniem, za takim życiem, w którym najważniejszą rzeczą było życie rodzinne i jego pomyślność, dążenie do wspólnego bogactwa i dobrobytu?

- Ja wciąż nie rozumiem, jakim cudem to wszystko zobaczyliśmy - powiedział Dan Gross.

Hunter uniósł wysoko głowę.

- Zobaczyliście to, ponieważ takie było moje pragnienie. Ale przede wszystkim zobaczyliście to dlatego, bo w głębi duszy wasze pragnienia nie różnią się od pragnień przeciętnych współczesnych Amerykanów. Tęsknicie za rządem, który da wam to, czego z głębi serca pragniecie. Tęsknicie za

rządem, który będzie dbał o wasze zdrowie, wasze szczęście, wasze rodziny i waszą wolność. To, co widzieliśmy, jest po prostu tym, za czym tęsknicie. To wszystko.

- Czy nie był to przypadkiem jakiś efekt laserowy? - zapytał jakiś młody dziennikarz ze Stamford. - Wie pan, taki, jakie stosuje się na koncertach rockowych.

Hunter uśmiechnął się.

- Tego nie widziały wasze oczy, ale wasze serca.

- To przecież jest niemożliwe - upierał się dziennikarz. - Jestem patriotą i podoba mi się wymowa tego, co zobaczyłem, ale przecież nawet nie pamiętam tamtych czasów, byłem zbyt młody. Jak więc mogłem je zobaczyć, jeżeli nie były spowodowane optycznymi sztuczkami?

Hunter znów uniósł głowę. Kilku dziennikarzy stojących najbliżej niego profilaktycznie zrobiło krok do tyłu.

- Panie i panowie - powiedział Hunter ciepłym głosem. - Nie zgromadziliśmy się tutaj, aby mówić o magicznych trickach czy efektach optycznych. Mamy mówić o Ameryce, o przyszłości Ameryki. Jak zamierzacie zrelacjonować to, czego dzisiaj doświadczyliście, nie wiem, pozostawiam to waszemu uznaniu. Możecie powrócić do swoich redakcji i pisać o tym, co się tutaj wydarzyło, jako o tricku. Ale możecie również postąpić inaczej. Możecie głęboko wejrzeć w wasze serca, przeanalizować swoje uczucia, przemyśleć, co to wasze dzisiejsze doświadczenie oznacza, i napisać o tym jako o wizji współczesnej Ameryki Huntera Peala.

- Senatorze Peal, my to wszystko nagraliśmy na taśmie wideo - odezwał się Dane Eastman z CBS News. -

NBC również to nagrało. Co mamy mówić o tych bombowcach i o tych polach, kiedy wieczorem będziemy przedstawiali materiał na antenie? Czy zechciałby pan coś na ten temat powiedzieć?

Hunter znów się uśmiechnął.

Najpierw obejrzyjcie swoje taśmy - odparł. - Potem zatelefonujcie do mnie, abym wyjaśnił wam to, co na nich zobaczycie. Oczywiście, jeżeli odczujecie taką potrzebę. Z radością udzielę wam odpowiedzi.

- Czy sugeruje pan, że samoloty nie zostały zarejestrowane na taśmach?

- Niczego nie sugeruję, panie Eastman. A teraz, chciałbym jednak porozmawiać o polityce, jeżeli nie macie nic przeciwko temu. Nasz mały pokazik posłużył za wstęp do rozmowy, za nic więcej. Zajmijmy się więc teraz polityką.

- Czy zamierza pan te pokazy prezentować w całym kraju, senatorze Peal? - zapytał Dan Gross. - Czy każdy stan może liczyć na coś podobnego?

- Panie Gross - odpowiedział Hunter. Uważnie, długim, ostrym spojrzeniem objął zgromadzonych na trawniku. Kiedy jego oczy przebiegały po mojej twarzy, z niewiadomego powodu wstrząsnął mną lekki dreszczyk dumy, ale jednocześnie strachu. Dziwne uczucie przynależności, jakby fakt pracy dla Huntera Peala czynił mnie kimś specjalnym w tym tłumie. - Włączyłem się do tej kampanii, ponieważ spoczywa na mnie obowiązek podjęcia przewodnictwa temu krajowi, obowiązek uczynienia go silnym, szczęśliwym, radosnym. Być może momentami moja kampania przyjmie formy zadziwiające i bezprecedensowe, jak na przykład dzisiaj. Zwykle jednak będę rozmawiał z ludźmi, wszystkimi Amerykanami, którzy zechcą mnie słuchać, o ich potrzebach, troskach, dążeniach. Chciałbym już teraz pana zapytać, zanim odejdzie pan stąd i opiszę dzisiejszą konferencję: czy wierzy pan w słuszność tego, co pan zobaczył?

- Słuszność? - powtórzył Dan Gross. Wreszcie wyciągnął papierosa z ust.

Hunter skinął głową.

Nastąpiła chwila absolutnej ciszy, aż dziwnej na tym trawniku, otoczonym szumiącymi drzewami. Nawet flaga na dachu Allen's Corners, za plecami Huntera Peala, opadła żałośnie.

- Tak, proszę pana, uważam, że to jest słuszne - odparł Dan Gross chrapliwym głosem.

- Tyle tylko chciałem wiedzieć. - Hunter Peal uśmiechnął się, po czym bez słowa odwrócił się na pięcie i samotnie pomaszerował do domu, pozostawiając Micky wspartą o ramię żony Sama Wicky i nas wszystkich milczących, oszołomionych i głęboko wstrząśniętych.

- Mój Boże - westchnął Sam Wieka. - Nie wiem, co się tutaj, do cholery, dzieje, ale coś się stało z Hunterem. Coś dziwnego, niepojętego.

Usłyszałem, jak jakaś kobieta za moimi plecami mówi:

- On jest jak mesjasz. Zahipnotyzował nas. Byłem wstrząśnięty. Zapaliłem kolejnego papierosa i stałem w milczeniu obok Sama, rozmyślając i co chwilę wciągając dym. Sam wciąż mruczał:

- Mój Boże. Co się stało z Hunterem? - i kręcił niedowierzająco głową.

Podeszła do mnie, z rozszerzonymi oczyma, dziewczyna z tygodnika „Connecticut”.

- Czy myślicie, że mimo wszystko udzieli mi wywiadu? - zapytała. - Czy będzie to teraz miało dla niego znaczenie?

- Nie wiem - odparłem szczerze. Naprawdę, nie wiedziałem.

- Jest nadzwyczajny, prawda? - powiedziała z zachwytem. Wypowiedziawszy te słowa, wyciągnęła spinkę z włosów i rozpuściła je, niszcząc piękny kok, upięty na czubku głowy. Było coś takiego w jej geście, coś takiego w blasku jej oczu, że poczułem w sercu ukłucie, jakie niektórzy nazywają złym przeczuciem.

ROZDZIAŁ X

Hunter zamknął się w swoim pokoju i przez cały poranek nie otwierał drzwi. Wchodziłem na górę cztery albo pięć razy i pukałem do niego, ale za każdym razem kazał mi, abym sobie poszedł do diabła.

Zdruzgotaną Micky otoczyła opieką Arlene Wicka, która, nim nadszedł czas lunchu, doprowadziła ją do takiego stanu, że Micky była w stanie udzielić wywiadów trzem lokalnym gazetom; wesoło i z pewnością siebie mówiła o ulubionych potrawach Huntera i o tym, w jaki sposób zamierza on zmienić wystrój Białego Domu. Kiedy na ekranach telewizorów pojawiły się pierwsze informacje z naszej konferencji prasowej, wszyscy znajdowaliśmy się w pokoju łączności. Atmosfera pełna była napięcia, a w pokoju było niemal siwo od dymu z papierosów. Od czasu do czasu, wbrew sobie, rzucałem ukradkowe spojrzenie w kierunku szklanych drzwi oranżerii, za którymi rysowała się blada marmurowa twarz nimfy zastygłej w smutnym tańcu. Na krótko przed rozpoczęciem dziennika podeszła do mnie Jennifer i usiadła obok mnie, kładąc mi dłoń na udo. Myślę, że w tym właśnie momencie, którego znaczenia żadne z nas właściwie nie zrozumiało, staliśmy się dla siebie kimś więcej niż kochankami jednej nocy.

Już po chwili na ekranie telewizora pojawił się Ken Orrey z NBC News. W tle znajdował się wielki portret Huntera Peala oraz napis FENOMEN Z CONNEC-

TICUT. Wszyscy obecni w pokoju łączności w jednej chwili ucichli. Zauważyłem, jak Donald Zarowski, stojący w rogu, nerwowo obgryza paznokcie.

- „W niezwyklej sposób swoją kampanię przedwyborczą rozpoczął dziś w Connecticut starszy senator stanu Kolorado, Hunter Peal... Naoczni świadkowie jego programowego wystąpienia na wspaniałych trawnikach jednego z największych domów kolonialnych w tym stanie twierdzą, że przemówienie Peala było tak sugestywne, iż wywołało wśród nich masową halucynację, wizję lepszej Ameryki. Oto Dave Klein i jego reportaż...”

W pokoju łączności można było w tym momencie usłyszeć brzęczenie muchy. Wstrzymaliśmy nawet oddech. Paznokcie Jennifer wbiły się w moje udo, a ja sam zacisnąłem pięści aż do bólu. Rozejrzałem się dookoła. Zauważyłem tylko pełne napięcia, skoncentrowane twarze. W końcu w tej chwili ważyły się losy każdego z nas, każdego pracownika Huntera. Jeżeli media wyśmieją zaprezentowaną przez Huntera wizję urodziwej pszenicy, jeżeli roześmieją się nad obrazem szczęśliwej amerykańskiej rodziny, przemierzającej kraj wielkim, ciężkim samochodem, jeżeli zmieszają z błotem wizję Ameryki Eisenhowera, wszyscy stracimy pracę. I, co gorsze, będziemy mieli małe szanse, aby jeszcze kiedykolwiek zająć się polityką. Nikt nie będzie chciał współpracować z ludźmi, którzy skompromitowali się dążeniem do powrotu Dullesa, a raczej jego czasów.

Na ekranie ukazał się Dave Klein, z kędzierzawymi włosami, w ciemnych okularach, stojący przed frontem Allen's Corners. W tle ujrzałem samego siebie, w eleganckim garniturze. Zdaje się, że wyglądałem na równie szczęśliwego jak figura ustawiona w gabinecie figur woskowych.

Dave Klein mówił:

- „Jeżeli dzisiejsze wydarzenia w Sherman, w stanie Connecticut, mają jakieś znaczenie, okaże się, że dotychczas najsilniejsi kandydaci Partii Republikańskiej do nominacji prezydenckiej, znajdują się w poważnych tarapatach. Aż do dzisiejszego poranka najważniejszym spośród nich był Johnson Wilmot, gubernator stanu Michigan, którego umiarkowany program ekonomiczny pozwolił mu zebrać aż 67,4 procent głosów w prawyborach w New Hampshire, które odbyły się w ubiegłym miesiącu. Eksperti uważali również, że Randolph Kress z Kalifornii, akcentujący głównie swój zamiar gwałtownego obniżenia podatków w razie dostania się do Białego Domu, uzyska przeważające

poparcie w Ameryce zachodniej i środkowozachodniej, mimo że jego wyniki w New Hampshire były co najmniej słabe...

Jednakże teraz, po bezprecedensowej, spektakularnej konferencji prasowej w Sherman, wydaje się, że kandydatem nie do pobicia Partii Republikańskiej będzie Hunter Peal, starszy senator stanu Kolorado. Swych zwolenników i dziennikarzy doprowadził do łez, kiedy mówił o Ameryce, którą kochaliśmy i utraciliśmy. Mówił, iż Ameryka żąda od nas wzrostu swej siły militarnej i ożywienia ekonomicznego. Mówił o dniach, które przeminęły, i o dniach, które nadejdą... Jego przemówienie było tak obrazowe, że ludzie, którzy słuchali go, przysięgają teraz, że widzieli na niebie setki amerykańskich bombowców, a wokół siebie niezmierzone pole dojrzewającej pszenicy...”

Kamera ukazywała twarze uczestników porannej konferencji prasowej. Nie było wątpliwości, że ludzie są oszołomieni, a wielu z nich płacze. I na tym skończyło się nagranie z Allen's Corners. Żadnych B-52. Żadnych stateczników samolotowych z amerykańskimi flagami. Jedynie błękitne niebo.

Po chwili jednak na ekranie pojawił się jeden z najstarszych mieszkańców New Milford. Miał siwiuteńkie włosy i brakowało mu większości zębów.

- „Widziałem je - mówił. - Nie dbam o to, czy mi uwierzycie, czy nie, ja je widziałem. Widziałem amerykańskie bombowce, równie wyraźnie jak teraz wszystko dookoła, i kiedy je ujrzałem, moje serce zabiło mocniej ze wzruszenia. Nie kocham wojny. Odsłużyłem swoje we Francji i widziałem tyle wojny, że wystarczy mi już do końca życia. Ale wierzę w to, co mówi Hunter Peal, i widziałem dzisiaj te bombowce”. Kobieta, w której oczach wciąż błyszczały łzy, mówiła:

- „Nigdy dotąd nie słuchałam kogoś takiego jak on. Sprawił, że rozplakałam się z żalu za utraconą Ameryką. Tak, widziałam samoloty. Ale widziałam też precudne pola pszenicy, które pachniały jak ciasteczka pieczone przez moją zmarłą już matkę. Ujrzałam moją kuzynkę razem z całą rodziną, jak jadą do nas, tak jak to bywało wiele lat temu. Dzisiaj spotkałam po raz pierwszy Huntera Peala i chcę wam powiedzieć, że z miejsca go pokochałam”.

Wówczas na ekranie pojawił się sam Hunter Peal.

- „Ilu z was jest w stanie powiedzieć, że nie tęskni za wspaniałymi polami z dzieciństwa, za samochodami, których posiadanie było marzeniem?... Czy jest wśród was ktoś, kto nie wybrałby życia w Ameryce, w której nieba pilnuje tak wiele samolotów?...”

Nastąpił teraz krótki wywiad z doktorem H. Linkertem z Uniwersytetu z Wisconsin, specjalistą z zakresu masowych sugestii. Kiwał głową, mrugał oczami i w końcu dziennikarz z NBC wyciągnął od niego stwierdzenie, że wielu Amerykanów ma jakąś swoją wizję idealnej Ameryki i dla wprawnego mówcy nie nastęcza wielkich trudności wywołanie jej obrazów w umysłach słuchaczy. Na przykład na farmie „Rin Tin Tin” albo w domu Dorothy, w stanie Kansas...

Na ekranie znów ukazał się Ken Orrey. Na chwilę uniósł wzrok znad leżącego przed nim pliku notatek z następnymi informacjami.

- „Zdaje się, że nasz następny prezydent najlepszy będzie w urządzaniu masowych przedstawień - zażartował. - A teraz zmieniamy temat. Co u ciebie, Barry?...”

W pokoju łączności w Allen's Corners wciąż panowała głucha cisza. I nagle jeden z najstarszych i najwierniejszych zwolenników Huntera, biznesmen z Kolorado, o nazwisku James Evans, podrzucił do góry swój biały stetson i zawołał:

- On jest wielki! Cholera, on jest wielki! Będzie prezydentem!

Nagle wszyscy zaczęliśmy klaskać, podawać sobie dłonie, wstawać z miejsc. Byliśmy zdziwieni, oszołomieni, a jednak wręcz szczęśliwi, ujrzawszy przed sobą wspaniałą przyszłość. Sam

aż stanąłem na krześle i ogromne brawa dla Huntera wybijałem nad swoją głową, mimo że jeszcze w to wszystko nie wierzyłem. W jaki sposób by Hunter nie wywołał tej masowej halucynacji, zagrał cholernie ryzykownie i... zwyciężył. Jego zimnowojenne przemówienie dziennikarze odebrali nie tylko poważnie, ale wręcz z entuzjazmem.

Podszedł do mnie Sam Wieka. Miał przepoconą koszulę, a pod szyją rozpięte aż dwa guziki. Potrząsał głową jak człowiek, któremu właśnie powiedziano, że Księżyc składa się z sera i na dowód zaprezentowano mu kawałek na talerzu.

- Czy zdajesz sobie sprawę, co on zrobił? - zapytał mnie. - Czy masz pojęcie?

Pokiwałem głową.

- To stara technika - powiedziałem - ale posłużył się nią lepiej, niż ktokolwiek dotąd przed nim. Pokazał ludziom coś tak niezwykłego, że musieli w to uwierzyć, zobaczywszy to na własne oczy. A kiedy uwierzyli w ten widok, uwierzyli również w Huntera.

- Czy masz teraz coś przeciwko tej zmianie platformy politycznej? - zapytał Sam.

- On wygra, prawda? - zapytała Jennifer, ujmując mnie pod rękę. Sam popatrzył na nią.

- Ooo, mamy i nasz oddział gastronomiczny. Cześć. Tak, Hunter raczej wygra. Jeżeli będzie działał w ten sposób do końca, wygra na pewno.

- A więc jakie znaczenie mają jego poglądy? - zapytała znów.

Ostrożnie popatrzyłem na Sama i nie mogłem powstrzymać uśmiechu.

- Popierałem Huntera, kiedy mówił o Nowym Początku - powiedział Sam. - Nie wiem, czy mogę współpracować z nim, kiedy podstawą jego poglądów będzie przekonanie o konieczności powrócenia do zimnej wojny.

- Może to tylko czasowa rzecz - zasugerowała Jennifer. - A poza tym, to wcale nie brzmi źle. Moim zdaniem Hunter ma dziewięćdziesiąt dziewięć procent racji.

- Wierzysz w to, co powiedział dziś rano? - zapytał ją Sam.

- Prawie we wszystko.

- Widziałaś B-52?

- Oczywiście, że widziałam. Otoczyłem Jennifer ramieniem.

- Co o nich sądzisz? - zapytałem. Widziałem już, w jakim kierunku zmierzają pytania Sama.

Zmarszczyła czoło spojrzawszy na mnie.

- Sadze, że powinny przerażać. Ale były też piękne.

- Czy masz pojęcie, co one oznaczają?

- Co masz na myśli?

Sam wyciągnął z kieszeni zmiętą chusteczkę i otarł pot z czoła.

- Te bombowce reprezentują przeterminowaną już doktrynę zmasowanego odwetu. Reprezentują filozofię polityczną opartą na straszeniu przeciwnika, że za każdą bombę, którą zrzuci na ciebie, ty zrzucisz na niego sześćdziesiąt pięć bomb. Filozofia ta nie brała pod uwagę - i dlatego umarła na początku lat sześćdziesiątych - że zmasowany odwet nie ma najmniejszego sensu, jeżeli i przeciwnik, i ty dysponujecie zdolnością do ataku nuklearnego. Jeżeli nasze główne miasta w ciągu kilku minut legną w gruzach, a atmosfera na całym świecie zostanie zanieczyszczona w wyniku setek wybuchów jądrowych, jaki będzie sens jakiegokolwiek odwetu?

- W dniu, w którym będziesz w stanie powiedzieć mi, że Rosjanie myślą tak samo, przestanę wierzyć w Huntera Peala - powiedziała Jennifer. - Na razie w niego wierzę. Uważam go za najwspanialszego człowieka, jakiego kiedykolwiek słuchałam.

- Czy mogę zadać ci bardzo osobiste pytanie? Jestem pewien, że Jack nie będzie przeciwko temu oponował.

- Pytaj.

- Hmm, trudno to sformułować. Powiedz jednak, Jennifer, czy Hunter Peal w jakiś sposób cię podnieca?

Jennifer uśmiechnęła się. Nie był to jednak ani uśmiech wstydlivy, ani uśmiech zażenowania. Kiedy odezwała się, jej głos był silny.

- Tak - powiedziała. - W pewnym sensie. Popatrzyłem na nią, a potem jeszcze raz na Sama.

- To chyba jednak nie rozwiązuje naszego politycznego dylematu, prawda? - zapytałem go.

- Nie - odparł. - Nie rozwiązuje. Ale mówi nam, jak silny wkrótce będzie Hunter.

- Tak - powiedziałem. - Silny i niepowstrzymany.

ROZDZIAŁ XI

Tego wieczoru, nad hamburgerami i sałatką, spędziłem prawie godzinę w bibliotece na rozmowie z Micky. Przez cały dzień nie poszła na górę i nie rozmawiała z Hunterem. Piła wino chablis z Kalifornii. Chyba tego dnia pierwszy raz w życiu widziałem ją spożywającą alkohol. Była wciąż bardzo zdenerwowana.

- Widziałas relację CBS? - zapytałem ją.

Potrząsnęła przecząco głową. Bez przerwy obracała między palcami nóżkę swojego kieliszka. Obok niej, na obitym skórą blacie biurka, stał talerz pełen hamburgerów, jednak Micky, jak mi się zdawało, ani jednego nie ruszyła. Była blada, ale mimo to wciąż piękna, i żałowałem, że nie mogę rozwiązać jej problemów, mówiąc po prostu, że wszystko jest w porządku, że jutro może sobie pójść, dokąd zechce, i zapomnieć o Hunterze.

Jednak oboje wiedzieliśmy, że Hunter prawie na pewno uzyska republikańską nominację; a jeśli uzyska nominację, prawie na pewno zostanie prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Właśnie wtedy, podczas tej godziny w bibliotece w Allen's Cbrners, ogarnęła mnie pewność, że Hunter Peal zostanie prezydentem. Czuję to w zachowaniu Micky, jej pełnym rezygnacji poczuciu obowiązku i jej nieszczęściu. Czuję to w moim własnym ledwie kontrolowanym entuzjazmie. A przede wszystkim czuję to w samym tym domu, w starym, tajemniczym budynku, który przez ponad dwieście lat nagromadził tyle siły, że potrafił odmieniać ludzi w ciągu jednej nocy.

Zacząłem zdawać sobie sprawę, że ten właśnie dom, w jakiś niezrozumiały sposób, odpowiedzialny jest za to, co przydarzyło się Hunterowi. Był tak dziwny, tak pełen niesamowitości, że dochodziłem do oczywistego wniosku, iż pomiędzy naszym przybyciem tutaj a drastyczną odmianą osobowości Huntera istnieje ścisły związek.

- Czy był dobry? - zapytała Micky bez zainteresowania. - Ten reportaż CBS?

- Tak dobry jak wszystkie pozostałe przekazy. Wszyscy przedstawiają te wydarzenia w świetle korzystnym dla Huntera. On ich oczarował. Wygrał ich dla siebie.

- Czy zszedł już na dół? - chciała wiedzieć.

- Nie, jeszcze nie. Ostatnio pukałem do jego drzwi o siódmej, ale powiedział mi tylko, że bym przyszedł o dziesiątej.

- Czy mówił coś o mnie?

- Nie, nic więcej nie mówił. Uniosła przemęczony wzrok.

- Zdaje się, że wciąż spodziewa się, że będę go popierała, współpracowała z nim.

- Tak, myślę, że na to liczy.

Znów wlała sobie wina do kieliszka. Kiedy piła, wstałem i zacząłem powoli spacerować po bibliotece. Wszystkie półki były puste, z wyjątkiem jednej, na której i tak znajdowała się tylko jedna książka, bardzo zniszczony egzemplarz przewodnika Wielki Nowy Jork. Sięgnąłem po nią i bez zaciekawienia zacząłem przeglądać. Podpisy pod zdjęciami głośniły, że drapacze chmur „wybijają się ponad horyzont, niczym kwiaty wśród trawy na wiosennym trawniku”.

- Nie wiem, co powinnam zrobić - powiedziała Micky.

- Cóż, nie tylko ty jesteś w rozterce - odparłem. - Jednak zapewne twój problem jest o wiele poważniejszy niż nas wszystkich.

- Nie mogę wrócić do niego i znów z nim spać. Ostatnia noc wykluczyła tę możliwość.

- Nie musisz ze mną o tym rozmawiać, jeśli nie chcesz. Znów popiła solidny łyk wina.

- Jesteśmy małżeństwem od osiemnastu lat. Przez te wszystkie lata...

- Czy zamierzasz go zostawić? - zapytałem.

- Nie wiem - odparła głuchym tonem. - Czy myślisz, że on wygra te wybory?

- To bardzo prawdopodobne. Zależy to trochę od szczęścia i od Bellmera. Jeżeli Bellmer zdecyduje się kandydować, możemy znaleźć się w poważnych kłopotach. Ale on nie zgłosił jeszcze swojej kandydatury i według mnie będzie czekał do 1984 roku.

- Czy Sam mówił coś, że wezwał jakiegoś lekarza z Nowego Jorku?

- Tak, dzisiaj wieczorem. To doktor Gartenbaum. Spóźnia się.

Popatrzyła na swój kieliszek.

- Jak mogę go zostawić, skoro on wygra?

Znów usiadłem i spojrzałem na nią uważnie. Za oknem rysowały się liście na drzewach, czarne na tle zadziwiająco srebrzystego nieba. W bibliotece było bardzo cicho i czuć było zapach garbowanej skóry.

- Jak możesz być Pierwszą Damą, jeżeli on cię nadal będzie obrażał?

Przez kilka minut milczała. Ugryzłem kilka kęsów hamburgera i nabrałem na widelec porcję sałatki. Nie jadłem od czasu, gdy Jennifer poczęstowała mnie kawą i ciasteczkami, byłem więc cholernie głodny.

- To wszystko stało się tak nagle - powiedziała. - Wciąż tego nie rozumiem...

- Czego?

- Tego, że to się stało tak nagle. Był zupełnie normalny jeszcze o jedenastej, kiedy wchodził do łóżka. Jednak wkrótce potem, naprawdę niewiele - minut później, wszystko się zaczęło.

- Jesteś pewna, że pragniesz mi o tym opowiedzieć?

- Tak, jestem pewna - odparła. - Im więcej ludzi dowie się prawdy, tym lepiej. Zdaje się, że wkrótce wielu zapyta się w niego jak w obrazek, zaufają mu i wybiorą go spośród innych. Przypuszczam, że ty będziesz jednym z nich. Możesz jeszcze dziś pójść do niego i powtórzyć mu wszystko, co ci opowiem. Nie wiem, jak zareaguje. Ale przynajmniej będziesz wiedział, być może będziesz pamiętał w najważniejszych chwilach, co naprawdę wydarzyło się w nocy.

- Nigdy nikomu nie powtórzę tego, co od ciebie usłyszę - zapewniłem ją. - Jeśli o mnie chodzi, wszystko, co za chwilę powiesz, będę uważał za rzecz wyłącznie między nami.

- Hmm, nie sądzę, aby to miało wielkie znaczenie - powiedziała Micky z rezygnacją. - Tym bardziej gdy Hunter zostanie prezydentem.

- Myślę, że właśnie wtedy będzie to miało o wiele większe znaczenie.

Wychyliła kieliszek do dna i otarła usta skrawkiem rękawa.

- Wszystko zaczęło się od bólu głowy - zaczęła. - Niespodziewanie Hunter usiadł na łóżku i powiedział, że boli go głowa i że nie może oddychać. Powiedziałam mu, żeby się położył i starał się odprężyć. Od razu pomyślałam o jego sercu. Powtarzał jednak, że za chwilę zabije go ból głowy i żądał, żebym mu dała trochę kodeiny. Oczywiście, dałam mu lekarstwo i szybko je połknął. Pomyślałam, że zaraz zaśnie i reszta nocy minie spokojnie.

Ale mniej więcej pół godziny później doznałam dziwnego uczucia. Zaczęło mi się wydawać, że w pokoju jest ktoś obcy. Było to dziwne i teraz nie potrafię tego dokładnie opisać. Widziałam zarys jakiejś postaci, ale nie miał on w ogóle ludzkich kształtów. Poczułam chłód. I byłam pewna, że słyszę czyjś oddech, szybki, gwałtowny oddech, jakby psa.

Początkowo myślałam, że to Hunter, ale kiedy pochyliłam się nad nim, żeby upewnić się, czy z nim jest wszystko w porządku, oddech miał zupełnie spokojny. Przestraszyłam się. Te pokoje są tak wygłuszone, że zdaje się, iż nikt nie będzie w stanie usłyszeć za drzwiami czy ścianami żadnego wołania o pomoc.

Zapaliłam światło, ale żadna żarówka nie zabłysnęła. Jedyne zapłonęły tak słabiutko, że prawie nic nie widziałam. Zastony na oknach zaczęły falować, mimo że wszystkie okna były zamknięte, i w

tym momencie byłam już pewna, że ktoś za nimi stoi. Wciąż słyszałam ten wstrętny, ciężki oddech. Usiadłam na łóżku i zaciągnęłam kołdrę aż po szyję. Po chwili postanowiłam jednak zobaczyć, co dzieje się za zasłonami, ale w tej samej chwili światło zgasło kompletnie.

Przez jedną chwilę, tak krótką, że nie mogę być do końca pewna tego wrażenia, przez jedną chwilę zdawało mi się, że widzę parę białych oczu wpatrujących się we mnie. Kiedy mówię „białe”, mam na myśli taką zupełnie bladą biel, oczy bez źrenic. Tak się przeraziłam, że nawet nie krzyknęłam. Siedziałam po prostu na łóżku, w ciemności, zdrętwiała ze strachu.

W pewnym momencie rzucił się na mnie Hunter. Serce niemal przestało mi bić. A jednak wiedziałam, że to Hunter, i po chwili roześmiałam się z ulgą. Jednak Hunter nie wypuszczał mnie z objęć, ścisnął mnie i szarpał, aż w niedługim czasie poczułam ból. Powiedziałam mu, że dosyć głupich żartów, że ma się odczepić, ale w tym momencie zmieszał mnie po prostu z błotem. Nie potrafię powtórzyć, jak okropnych użył słów.

- A jednak spróbuj - przerwałam jej. - To może nam pomóc. Szczególnie, kiedy będę rozmawiał z doktorem Gartenbaumem.

Ciężko westchnęła.

- Powiedział... cóż, powiedział...

- Powoli, Micky. Nie śpiesz się.

- Powiedział: „Rozkładaj nogi, ty ludzkie ścierwo, suko jedna. Pokażę ci teraz, na czym polega prawdziwe pierdolenie”. I wiele innych, podobnych rzeczy. Tak było przez całą noc. Niektórych rzeczy już nie pamiętam, w każdym razie były to straszne słowa. I był bardzo gwałtowny, ranił mnie. Płakałam i błagałam go, żeby dał mi spokój, ale nie robiło to na nim żadnego wrażenia. Nad ranem poczułam się chora. Zmusił mnie, żebym wzięła jego członek do ust. A potem przydusił moją twarz do poduszki, na którą zwymiotowałam jego spermę, a on próbował zmusić mnie, bym wszystko zlizwała z powrotem. Powtarzał, że jestem suką, ludzkim ścierwem.

- Nie wiesz, o co mu chodziło? - zapytałam. Zadałam to pytanie tylko po to, żeby coś powiedzieć, a nie z rzeczywistej potrzeby. Byłam wstrząśnięta tym, co mi opowiedziała. Wstrząśnięta i przerażona. Bo nieważne, jak wielki sukces odniósł Hunter przed dziennikarzami - zmienił się w potwora. W nieokrzesanego brutala o poglądach politycznych bazujących na tanim sentymencie i nietolerancji. Człowiekowi, który nie uszanuje honoru swojej żony, nie wolno w żadnym wypadku powierzać losów całego narodu!

- Podczas tej nocy czasami zachowywał się jak dawny Hunter, a czasami zupełnie inaczej - mówiła Micky. - Były chwile, że nawet pod dotykiem moich dłoni to nie był Hunter. Hunter ma gęste owłosienie na piersiach, ale to, czego wówczas dotykałam, to była sierść. Poza tym śmierdział, okropnie śmierdział jakimś dziwnymi perfumami czy kadzidłem!

Wyciągnęłam z kieszeni świeżą paczkę winstonów i zdarłem celofan. Poczęstowałam Micky, minio że wiedziałem, iż nie pali. A jednak tym razem wzięła jednego papierosa. Przypaliliśmy od jednej zapałki i paliliśmy bez słowa, co chwilę spoglądając na siebie. Micky była bardzo blada z powodu przeżytego szoku i braku snu. Widziałem, że prędzej wypije kolejną butelkę wina, niż się uspokoi.

- Rozmawiałem z Samem Wieka - powiedziałem cichym głosem. - Zastanawiamy się, czy pozostać z Hunterem mimo zmiany jego poglądów, czy odejść. Decyzja jest bardzo trudna, gdyż raczej nie mamy wątpliwości, że Hunter wygra te wybory.

- A więc jeszcze nie zdecydowałaś? - zapytała Micky.

- Ja już podjąłem decyzję - odparłem. - Zostaję.

- Mimo wszystko? Mimo że mnie zgwałcił?

- Micky - powiedziałem. - Musi przy nim zostać ktoś, kto zna go takim, jakim był jeszcze wczoraj. Ktoś, kto wierzy w prawdziwego Huntera i jego oryginalną teorię „nowego początku”. Jeśli odejdę ja, odejdzie Sam Wieka, Donald Zarowski i James Evans, wówczas Hunter po prostu zatrudni nowych ludzi na nasze miejsce. Takich, dla których zabawa w zimną wojnę będzie równie atrakcyjna jak kibicowanie Aniołom Piekieł.

Micky milczała. Paliła papierosa, zezując na jego końcówkę, aż wreszcie zdusiła duży niedopałek w popielniczce.

- Jeśli Hunter nie wygra z nami - mówiłem - wówczas wygra bez nas. Według mnie pozwolenie mu na działanie bez naszej kontroli i wiedzy jest o wiele gorszym z obu złych rozwiązań.

- A co będzie, jeśli Hunter zostanie prezydentem, a ciebie mianuje swoim sekretarzem prasowym? - zapytała Micky. - Co będzie, jeżeli każe ci wówczas mówić rzeczy, które będą wbrew twojemu sumieniu? Czy podporządkujesz się Hunterowi, jak żołnierze podporządkowywali się Hitlerowi? Czy będziesz wmawiał sobie, że pracujesz tylko dlatego, żeby pilnować Huntera i że jedynie wykonujesz jego polecenia?

- Micky... Opuściła wzrok.

- Przepraszam. To było niesprawiedliwe z mojej strony.

- Problem sumienia będziemy rozważać, kiedy przyjdzie na to czas. Teraz naszym obowiązkiem jest pozostać przy Hunterze i mieć go na oku - powiedziałem.

- Naszym obowiązkiem, rzeczywiście - westchnęła Micky. - To imponujące, jak wiele można zawrzeć w tym jednym słowie.

Wielki mahoniowy zegar na ścianie zaczął wybijać godzinę dziesiątą.

- Lepiej pójdę na górę - powiedziałem do Micky. - Nie pij za dużo, dobrze? Jutro masz wywiad z „Redbook”.

W tym momencie do środka zajrzała Arlene Wieka, tleniona blondynka o starannie ułożonej, trwałej fryzurze.

- Micky, najdroższa - powiedziała. - Napijesz się kawy? A ty, Jack? Kawy dla ciebie?

- Nie, dziękuję - odparłem. - Mam teraz spotkanie z naszym panem i władcą.

ROZDZIAŁ XII

Korytarz prowadzący do pokoju Huntera oświetlony był przez dwa kandelabry z elektrycznymi żarówkami. Oba dawały nieprzyjemne pomarańczowe światło. Już u szczytu schodów mogłem dojrzeć dwa koła z brązu świecące na drzwiach Huntera i dwie ohydne paszcze, które ich strzegły.

Zbliżając się do drzwi, czułem się, jakbym podchodził do zakazanego miejsca. Powietrze na korytarzu nie poruszało się, przywodząc mi na myśl tunele prowadzące do podziemnych komnat i sanktuariów. Pod pachą zaciskałem teczkę z notatkami, ale fakt, że reprezentują one realny świat, wcale nie dodawał mi otuchy. Razem z Donaldem spędziłem tego popołudnia ponad dwie godziny, próbując przekształcić zimnowojenną filozofie Huntera w coś, co opinia publiczna mogłaby zaakceptować, jednak zachowanie Huntera do tej pory wskazywało, że nasz trud był zbędny.

Rządził teraz tylko jeden człowiek i był nim Hunter Peal.

Dotarłem do drzwi. Szyba z matowego szkła nad nimi wskazywała, że w pokoju jest ciemno.

Nabrałem głęboko powietrza w płuca i ciężko westchnąłem. Zwierzęce twarze z obręczami w paszczach obserwowały mnie z uwagą. Dotknąłem jednej z nich - prawdopodobnie, żeby się przekonać, że jest to tylko rzeźbione drewno. Nie ugryzła mnie. Jednak drewno zdawało się nienaturalnie delikatne i śliskie pod moimi palcami. Tak jakby niezliczona już liczba przerażonych ludzi dotykała tego miejsca przede mną.

- Hunter! - zawołałem. - Jesteś tam? Wówczas usłyszałem czyjeś głosy. Głos Huntera i czyjś jeszcze. Głęboki, ochryply, niewyraźny głos.

- Hunter! - zawołałem jeszcze raz.

Nikt nie odpowiadał, przyłożyłem więc ucho do drzwi. Usłyszałem jak Hunter mówi:

- Ale przecież tu nie ma wyboru, nie dajesz mi żadnego wyboru...

Drugi głos odparł:

- Pragniesz być największym przywódcą swoich czasów, prawda? Nie powinieneś więc martwić się o wybór. Ci, którym przeznaczenie poda dłoń, już dokonali wyboru.

- Nie będę tego kontynuował, jeżeli...

- Musisz.

Gwałtownie otworzyłem drzwi. Hunter siedział na fotelu przy oknie, z głową przechyloną lekko w bok, ręce miał uniesione tak, jakby przed chwilą gestykulował, rozmawiając z kimś siedzącym na łóżku. Być może zagrała w tym momencie moja nadmiernie pobudzona wyobraźnia, być może był to tylko refleks lustra stojącego za toaletką, jednak byłem pewien, że ujrzałem przezroczyisty cień kogoś lub czegoś poruszającego się od łóżka w kierunku miejsca, w którym siedział Hunter. Czegoś tak szybkiego, że ludzkie oko niemalże nie było zdolne tego zauważyć. Czegoś brązowego.

Znieruchomiałem w drzwiach. Popatrzyłem w kierunku łóżka. Na samym środku zielonej narzuty rysowało się wgłębienie, tak jakby jeszcze przed chwilą ktoś tam siedział, jednak dosłownie na moich oczach wgłębienie samo wygładziło się. Spojrzałem na Huntera. Wciąż siedział w nie zmienionej pozycji, jedynie palcami przeczesywał teraz włosy. W pokoju panował dziwny stęchły zapach, jakby przed chwilą palono tu potpourri.

- Hunter - powiedziałem niepewnie. Byłem tak spięty, że z trudnością wymówiłem jego imię.

- Tak? - zapytał niskim głosem.

- Czy ja... czy przed chwilą słyszałem cię z kimś rozmawiającego? Zdawało mi się, że słyszałem przez drzwi twój głos.

- Mój głos? - zdziwił się. Milczał przez chwilę, a potem powiedział: - Tak, mówiłem sam do siebie. Ćwiczyłem jutrzejsze przemówienie.

Rozejrzałem się po pokoju.

- Czy jesteś pewien, że nikogo tu z tobą nie było? Zdawało mi się, że słyszę kogoś jeszcze?

Hunter wzruszył ramionami, ale nic nie odpowiedział. Ostrożnie przeszedłem się po pokoju, ale nie napotkałem nawet śladu czyjejś obecności. Zza zasłon na oknach nie wystawały niczyje buty. Drzwi do szaf nie przytrzymały niczyje ręce.

- Jutro w programie Election News stajesz twarzą w twarz z Johnsonem Wilmotem - przypomniałem Hunterowi.

Hunter pokiwał głową.

- Tak, zgadza się. Właśnie nad tym się zastanawiałem. Jutro mam zamiar rozszerzyć temat wolności jednostki. Chodzi mi głównie o wolność seksualną.

- Czy jesteś pewien, że to dobry pomysł? - zapytałem go tak ostrożnie, jak tylko potrafiłem.

- A dlaczego nie?

- No cóż, wolność seksualna... Szczególnie w starciu z Wilmotem... Wilmot jest wymuskanym, ucześniejącym do kościoła mieszczaninem. W Connecticut jest co najmniej dwa razy tak popularny jak ty. U wszystkich nowojorczyków, którzy ciągną tu za świeżym powietrzem i ulgami podatkowymi. U tych wszystkich zmęczonych życiem starców, którzy pragną ciąć i podlewać swoje trawniki i mieć święty spokój. Oni go niemal uwielbiają. Jeśli do nich zaczniesz mówić o wolności seksualnej, tylko stwardnieją jak cement w poparciu dla niego. Jednym słowem, umocnisz jego pozycję.

- Nie masz racji - stwierdził Hunter.

- Nie mogę się z tobą zgodzić, Hunter - powiedziałem. - To, co teraz mówisz, jest receptą na szybką katastrofę. Zakończysz kampanię, zanim ją na dobre zaczniesz.

- Zamierzam dać im to, czego w duchu pragną, być może nawet o tym nie wiedząc. Zamierzam pomachać im flagą amerykańską, a oni na jej widok zapłaczą patriotycznymi łzami - powiedział Hunter z lisim uśmiechem. - Przedstawię im wroga z zagranicy, na myśl o którym zadrżą ze strachu i zapalają żądzą zemsty. Roztoczę przed nimi wizję domu, domu bogatego i romantycznego, a zarazem pełnego wszelkich materialnych dóbr...

Odchrząknął i kontynuował:

- Ale opowiem im też o „Playboyu”. Ukażę im wizję dorodnych dziewcząt o słodkich uśmiechach i z piersiami wielkimi jak balony. Ukażę im wizję silnych, wysportowanych mężczyzn, którzy codziennie myją włosy i nigdy nie są zmęczeni...

- Hunter... Uniósł dłoń.

- Wiem, co chcesz powiedzieć. A jednak się mylisz. Ten naród jest już zmęczony zbytnim samokrytycyzmem. Ludzie zmęczeni są szarością codzienności. Pragną szczerości, prostoty i niczym nieskrępowanego seksu. To im właśnie zaoferuję.

- Co chcesz więc zaprezentować jutro w telewizji? - zapytałem. - Czy chcesz wywołać wizję tańczących półnagich dziewcząt?

Milczał. Jego oczy, ukryte za szarymi, gęstymi brwiami były ciemne i nieprzeniknione. Tak ciemne, że nie mogłem powiedzieć, czy spoglądają na mnie, czy też nie.

- Wilmot jest sprytny i inteligentny i dobrze o tym wiesz - powiedziałem z naciskiem. - Bardzo dobrze wypada w telewizji. Jest uczciwy, wiarygodny, chodzi do kościoła i ma doskonałe maniery. Otrzyma poparcie solidne jak twarda skała od każdego republikanina, któremu nie zależy na niczym więcej, jak na mocnym dolarze, taniej benzynie i zawsze pełnej lodówce w domu.

- A wiec?

- A więc, jeżeli zaczniesz rozprawiać o zimnej wojnie, o uzupełnianiu naszego arsenału nowymi bombami i nowymi raketami, o konieczności zastraszania czerwonych, kiedy zaczniesz mówić o polach pszenicy i samochodach z 1954 roku, o „Playboyu” i niczym nieskrępowanym seksie, Wilmot

na oczach milionów widzów po prostu cię ośmieszysz, rozerwie na strzępy.

- A jednak ludzie tego właśnie chcą.

- Wiem. Ale nigdy do tego się nie przyznają. Nie przyznają się przed sobą, przed swoimi żonami, mężami, i wreszcie nie przyznają się do takich dążeń podczas głosowania. To polityczny paradoks, ale tak właśnie jest. Ludzie głosują tak, jak uważają, że powinni głosować, a nie tak, jak rzeczywiście chcą głosować.

- Wilmot ma nieślubną córkę - powiedział Hunter. Odwróciłem się i popatrzyłem na niego.

- Co powiedziałaś? - zapytałem.

- Słyszałaś dobrze. Wilmot ma nieślubną córkę.

- Co to ma za znaczenie? Na samym początku powiedziałeś mi, że nie będziemy się posługiwać takimi rzeczami.

- Naprawdę?

- Tak. I to był jeden z powodów, dla których do ciebie dołączyłem. Powiedziałeś: „Żadnych brudnych sztuczek, żadnych ciosów poniżej pasa. Liczą się tylko fakty. Fakty, rzeczowe argumenty i nic poza tym”.

Hunter wzruszył ramionami. Jedna z jego dłoni spoczywała na oparciu fotela, blada i jakby bez życia; niczym martwy krab z brzuchem wywróconym do góry.

- Zdaje mi się, że pozamałżeńska córka Wilmota jest faktem - powiedział. - Szczególnie w sytuacji, gdy będziemy dyskutować na temat seksu.

- Hunter, nie możesz po prostu stanąć przed telewizyjną kamerą i obwieścić, że Wilmot ma córkę nie pochodzącą z małżeństwa. A co będzie, jeżeli się po prostu do tego przyzna?

Hunter uniósł głowę. Szeroko się uśmiechał. Nie był to jednak ani przyjemny, ani przyjacielski uśmiech. Był to uśmiech człowieka, któremu błędzą po głowie szalone myśli.

- Lubię cię, Jack - odezwał się. - Masz głowę do polityki, muszę to przyznać. Twoją jedyną wadą jest to, że nie rozumiesz, co zamierzam uczynić. Przynajmniej do tej pory jeszcze nie zrozumiałeś. Nie masz pojęcia, jak ogromny odniosę sukces. I nie rozumiesz, w jaki sposób.

- Hunter... - zacząłem, ale uniósł dłoń, uciszając mnie.

- Obserwuj mnie i czekaj - powiedział. - Jeżeli Wilmota nie uciszymy za pomocą skandalu, może się na niego znaleźć mnóstwo innych sposobów.

- Czy wynajęłaś detektywów? - zapytałem. Popatrzył na mnie uważnie.

- Co masz na myśli? Zawahałem się.

- Cóż... w jaki sposób dowiedziałeś się, że Wilmot ma tę córkę? Ja o tym nie wiedziałem. Przypuszczam, że Sam również nic nie wie.

Hunter uniósł obie ręce i opuszkami palców dotknął swoich skroni. Delikatnie, ostrożnie, jakby to, co mieściło się w jego mózgu, było potężne i tajemnicze.

- Mógłbyś nazwać to przecuciem - powiedział.

Nie wiedziałem, jak na to zareagować. Hunter zachowywał się tak dziwnie, że jakakolwiek sensowna rozmowa z nim stawała się niemożliwa. Rzuciłem okiem na tekst, który razem z Donaldem przygotowaliśmy dziś po południu dla Huntera i schowałem kartki do teczki. Mogliśmy sobie zaoszczędzić tego wysiłku.

- Będę pracował dla ciebie - powiedziałem do Huntera głosem tak beznamietnym, na jaki tylko mogłem się w tej chwili zdobyć. - Będę pracował na swoim stanowisku tak długo, jak długo będziesz uważał, że mnie potrzebujesz. Ale chcę, żeby dwie rzeczy były dla ciebie jasne. Zostają tylko dlatego, że przywiązałem się do twojej idei „nowego początku” i wciąż mam nadzieję, że opamiętasz się i do niej powrócisz przed republikańską nominacją.

- A to drugie? - zapytał.

- Druga przyczyna, dla której tutaj zostanę... Mam zamiar chronić Micky przed tobą, nieważne, w jaki sposób. Jeżeli jeszcze raz potraktujesz Micky tak jak ostatniej nocy, będziesz miał ze mną do czynienia.

- Naprawdę sądzisz, że to, co ma miejsce między mną a Micky, powinno cię interesować? - zapytał Hunter, wyraźnie zdziwiony.

- Pewnie nie. Jednak Micky jest damą i to dla mnie się liczy. Być może zostanie pierwszą damą w tym kraju, więc tym bardziej leży mi na sercu jej los.

- Widzę, że mianowałeś się jej osobistym gorylem.

- Jeżeli tak chcesz to traktować, rzeczywiście, mianowałem się jej gorylem.

Hunter uniósł lewą rękę. Wpatrywał się we mnie przez chwilę, a potem powoli zacisnął pięść, z całą siłą, jaką posiadał, wbijając paznokcie w swoją dłoń.

Ból, który mnie ogarnął, przyszedł natychmiast i był wprost niemożliwy do wytrzymania. Mimo że Hunter znajdował się pięć albo sześć metrów ode mnie, poczułem tak paralizujący ból w całym ciele, że natychmiast upuściłem teczkę z dokumentami, a potem sam bezwładnie upadłem na podłogę. Owładnął mną potworny ból. Czulem, jak jakaś nieznana, a potężna siła zaciska się na mojej mosznie i wykręca ją aż do oporu. Przed oczyma widziałem jedynie jasne szkarłatne płatki, a mój żołądek wirował jak oszalały.

Myślałem, że chciałem krzyknąć i wyć głośno z bólu, ale nie potrafiłem wydobyć z siebie głosu. Wkrótce wszystkie moje myśli skupiły się na potwornym bólu w kroczu. Rzuciałem się na podłogę, nie kontrolując swych ruchów, waliłem piętami o podłogę, zaciskałem zęby, ale nic nie mogłem poradzić na potworny, paralizujący wszystkie zmysły ból. Zdaje się, że zacząłem godzić się z myślą, że za chwilę umrę.

A jednak nagle wszystko minęło. Koniec. Jakby to wszystko mi się śniło. Otworzyłem oczy i rozejrzałem się dookoła.

Hunter wciąż siedział na swoim miejscu i uśmiechał się do mnie jak stary przyjaciel. Nie spuszczać z niego wzroku, ostrożnie podniosłem się i pozbierałem z podłogi wszystkie porzucane papiery. Hunter milczał tak długo, dopóki nie zebrałem wszystkiego i nie byłem gotowy do opuszczenia sypialni. Trząsałem się na całym ciele.

- Micky to ty pozostaw mnie, przyjacielu - powiedział. - Ogranicz się do tego, co robisz najlepiej, a więc do bajerowania dziennikarzy.

Byłem roztrzęsiony i przerażony.

- Jutrzejszym dniem także nie musisz się martwić - mruknął Hunter. - Zobaczysz jutro w telewizji coś, czego jeszcze w życiu nie widziały twoje gały. Spektakl. Demonstrację politycznego geniuszu. Będziesz podziwiał każdą chwilę tego przedstawienia.

- Jeśli uważasz, że będę podziwiał cię zarzucającego Wilmotowi posiadanie pozamałżeńskiego dziecka, to się mylisz - odparłem.

Hunter zachichotał.

- Czy czułeś przed chwilą jakiś ból? - zapytał.

- Tak - przyznałem.

- Czy zastanawiałeś się, w jaki sposób wywołałem ten ból, nawet cię nie dotykając?

- Nie. I mnie to nie interesuje. Sądzę, że mnie zahipnotyzowałaś, to wszystko.

- Zahipnotyzowałem - powtórzył Hunter z lekceważeniem. - To nie była hipnoza. Ty to czułeś naprawdę. To był przecież prawdziwy ból, czyż nie? Pozwól więc, że nasunę ci pewną myśl. Skoro potrafiłem doprowadzić cię do takiego stanu, jedynie zaciskając rękę, jak uważasz, co mogę jutro

zrobić biednemu, staremu Johnsonowi Wilmotowi?

- Nie przestraszysz mnie - powiedziałem trzęsącym się głosem. - Będę przy tobie jutro i będę pilnował, żebyś prowadził tę kampanię w cywilizowany sposób.

Nie możemy pozwolić sobie na żadne brudne sztuczki, szantaż i reakcyjne pustosłowie, które zastosowałeś dzisiaj rano. Hunter, weź się w garść. Uśmiechnął się, ale nic nie odpowiedział.

- Może powinniśmy jak najszybciej opuścić ten dom - zauważyłem. - Jest jakiś dziwny, nie sądzisz? Może ma na ciebie jakiś zły wpływ? Może powinniśmy przenieść się do tego motelu po drugiej stronie jeziora?

Hunter zmarszczył czoło. Twarz mu poczerwieniała; wyraźnie się rozłościł.

- Zostaniemy tutaj - powiedział chłodno.

- Cały sztab mógłby zostać tutaj - zgodziłem się. - Wszystko to, co zainstalowaliśmy na dole. Ale chyba nie ma przeciwwskazań, abyś ty, Micky, państwo Wieka...

- Zostajemy tutaj! - wrzasnął. - Przez najbliższe trzy doby, tak jak to zostało ustalone. Nie krócej niż przez najbliższe trzy doby.

- Hunter, zaczynasz...

Uniósł lewą rękę i trzasnął nią o oparcie fotela. W tym samym momencie jakaś niewidzialna siła pchnęła mnie na drewniane drzwi. Głową i ramieniem uderzyłem o framugę. Zdezorientowany dotknąłem dłonią skroni. Była na niej krew.

- Jesteś bardzo rozkojarzony - zauważył Hunter zgryźliwie. - Powinieneś bardziej uważać, jak stawiasz stopy.

Wyciągnąłem chusteczkę. Wytarłem krew z rozciętej skroni i z policzka. Byłem obolały, zły i przestraszony i straciłem resztę ochoty na rozmowę z Hunterem.

- Później jeszcze porozmawiamy - powiedziałem. - Kiedy odzyskasz rozsądek - dodałem. Otworzyłem drzwi, wyszedłem na korytarz i zatrzasnąłem je za sobą.

Zmierzając ku schodom, przez cały czas słyszałem głośny śmiech Huntera. Chwilami odnosiłem wrażenie, że to śmieją się dwie, a nawet trzy osoby, ale szybko uzmysłowiłem sobie, że zniekształcanie ludzkiego głosu to kolejne z dziwactw nieobliczalnego Allen's Corners.

ROZDZIAŁ XIII

Obudziwszy się w środku nocy, ze zdumieniem stwierdziłem, że Jennifer leży obok mnie. Kiedy kładłem się spać, nie było jej przy mnie; zapewne wpełzła pod kołdrę krótko po północy, gdy skończyła pracę kuchnia. Zapaliłem nocną lampkę i zobaczyłem ubranie Jennifer przewieszane przez oparcie krzesła. Suknia, bluzeczka i para cienkich nylonowych majtek. Zdaje się, że do Connecticut nie dotarła jeszcze wiadomość, iż biustonosze znowu są w modzie.

Popatrzyłem na zegarek. Zatrzymał się na godzinie drugiej. Nakręciłem go, ale chodził przez kilka sekund i znów stanął. Potrząsałem nim, nasłuchiwałem przez chwilę i stwierdziłem, że najprawdopodobniej cały mechanizm wymaga przeczyszczenia. Otrzymałem go w prezencie od matki w dniu, w którym rozpocząłem pracę w „Butte Independent”.

Dom, jak zwykle, był śmiertelnie cichy. Jednak po kilku minutach odniosłem wrażenie, że słyszę kogoś łkającego albo wołającego o pomoc. Wstrzymałem oddech i zacząłem nasłuchiwać. Co kilka sekund dobiegały mnie odgłosy tego nawoływania. Było tak słabe, że z wielkim trudem wyławiałem je z głuchoj ciszy. Jakby miauczał kot albo płakało dziecko. Usiadłem i to obudziło Jennifer.

- Co się dzieje? - zapytała sennie.

- Jestem pewien, że słyszę czyjś płacz - odpowiedziałem jej. - Tylko posłuchaj.

Oboje zaczęliśmy nasłuchiwać, ale tym razem nie dotarł do nas już żaden dźwięk. Jennifer ziewnęła i podrapała się po głowie.

- Wstanę i rozejrzę się - powiedziałem. - To może być Micky.

Jennifer przytuliła się do mnie. Jej naga pierś zetknęła się z moim ramieniem.

- Jack, zostań tutaj i kochaj się ze mną. Kiedy weszłam do łóżka, nie mogłam cię nawet obudzić.

- To zmęczenie - powiedziałem. Wciąż uważnie nasłuchiwałem.

- Ale teraz nie śpisz. Przecież nie będziesz krążył po tym starym domu i szukał źródeł jakichś wymyślonych hałasów.

Delikatnie, lecz stanowczo wyzwoliłem się z jej objęcia i uniosłem kołdrę.

- Cholernie chciałbym zostać w tym łóżku. Ale obiecałem Micky, że będę nad nią czuwał.

- Przecież oni dzisiaj nawet nie śpią razem. Wciągnąłem na siebie pogniecione spodnie i koszulę.

- Myślę, że nie - przyznałem. - Ale jednak muszę sprawdzić, co to za hałasy.

Podszedłem do drzwi. Jennifer siedziała w łóżku, patrząc na mnie zalotnie.

- Mam nadzieję, że to nie potrwa długo - powiedziała.

- Pięć minut - obiecałem. - Jeśli nie będzie mnie dłużej, zacznij się bawić sama ze sobą.

Posłała mi pocałunek. Oddałem go jej, otworzyłem drzwi i wyszedłem na ciemny korytarz. Stałem przez chwilę, nasłuchując i próbując pozbyć się nieprzyjemnego wrażenia, że to Jennifer jest marmurową nimfą, która tańczyła w oranżerii.

Moja sypialnia znajdowała się za załomem korytarza i jej okno, w przeciwieństwie do okna sypialni Huntera, wychodziło na tyły domu. Ruszyłem po omacku wzdłuż ściany, aż dotarłem do miejsca, w którym dwie odnogi korytarza łączą się u szczytu schodów. Znowu zatrzymałem się na chwilę i nasłuchiwałem, i znów usłyszałem ten zawodzący jęk.

Skręciłem i na palcach ruszyłem pod drzwi Huntera. Jedno z ich skrzydeł było nie domknięte i na korytarz padał cieniutki promyk światła. Z sypialni Huntera znowu dobiegł do mnie ten dziwny jęk; nie miałem już wątpliwości, że głos dochodzi właśnie stamtąd, ponieważ jedynie jego drzwi były otwarte i mogłem słyszeć tylko to, co się dzieje w jego pokoju. Wszystkie drzwi w Allen's Corners były bardzo ciężkie, grube i tłumiły wszelkie odgłosy.

Podchodziłem ostrożnie bliżej. Nie potrafiłem powstrzymać szalonego, głośnego bicia serca,

mówiłem sobie jednak, że poza mną nikt go nie słyszy i jedynie ta sugestia powstrzymywała mnie przed natychmiastowym odwrotem i schronieniem się w zaciszu mojej własnej sypialni. Przez okno na końcu korytarza wpadała do środka słaba pomarańczowa poświata, co oznaczało, że zbliża się świt.

Dotarłem w końcu do drzwi Huntera. Wstrzymałem oddech i pochyliłem się tak, że przez wąską szparę mogłem zajrzeć do wnętrza sypialni.

Z pozycji, w jakiej się znalazłem, widziałem jedynie przeciwległą ścianę i kominek. Cokolwiek działo się w sypialni, ja nie mogłem tego zobaczyć. Jednak pokój był jasno oświetlony. Słyszałem szelest pościeli i ruch ciał na łóżku oraz głębokie westchnienia i przyśpieszone oddechy. I znów rozległ się jęk. Tym razem jednak zdałem sobie sprawę, co on oznacza. To był odgłos dziewczyny lub kobiety uprawiającej miłość.

Nie wiedziałem, co teraz robić. Jeżeli Hunter kochał się z Micky, nie miałem tu nic do Szukania, pod warunkiem, że nie zagrażał jej życiu. Jeżeli pieprzył jakąś stenotypistkę lub jakąkolwiek dziewczynę z naszego personelu, również nie powinienem się w to mieszać. W gruncie rzeczy tylko ciekawość wobec wydarzeń rozgrywających się w sypialni spowodowała, że pchnąłem drzwi, aby otworzyły się trochę mocniej, i zajrzałem do środka.

Włożyłem kciuk do ust i mocno go ugryzłem. To było idiotyczne. W sypialni panowała atmosfera tak przesycona erotyzmem, że zamarłem na długie minuty, nie mogąc wycofać się spod drzwi. Jęki i skowyty nie ustawały, co chwilę powtarzało się kobiece „oooooch... aaaaach...”, sprawiające, że ciarki przebiegały mi po krzyżu. Policzki mi zapłonęły i poczułem, jak członek twardnieje w moich spodniach.

Powinienem być jak najszybciej stamtąd pójść. To już było nie tylko idiotyczne, ale niebezpieczne i szalone. W mojej własnej sypialni czekała na mnie Jennifer, gotowa, naga, bardzo chętna, a ja tymczasem sterczałem pod drzwiami pokoju swego chlebodawcy, człowieka, którego od dzisiejszego dnia zacząłem podejrzewać o wszystko, co najgorsze, podpatrując jego życie seksualne.

A jednak sterczałem w miejscu. Z każdą chwilą erotyzm w powietrzu gęstniał, stawał się coraz silniejszy, a ja byłem coraz bardziej podniecony. Wydawało się, że drzwi i ściany pulsują w rytmie ruchów kochanków. Czułem zapach potu i jakiś inny zapach, surowy, ordynarny, ale podniecający. Niewątpliwie zapach kobiecych soków i męskiego nasienia. Zapach krańcowej podnieci, wyczerpania i odgłos przyśpieszonych, ciężkich oddechów.

Mój penis był już tak sztywny, że sprawiał wrażenie, jakby za chwilę miał eksplodować. Wstydiłem się swojego zachowania, a jednak w jakiś niezrozumiały sposób wstyd jeszcze bardziej mnie podniecał i trzymał w miejscu. Słyszałem, jak kobieta jęczy, wzdycha i szepcze coś do człowieka, który ją posiada. Słyszałem śliski odgłos członka rytmicznie i szybko poruszającego się w pochwie.

Postąpiłem dwa kroki do przodu i wsunąłem głowę w lekko otwarte drzwi. Być może nie mógłbym niczego zobaczyć bezpośrednio, jednak gdy odrobinę jeszcze pchnąłem nie domknięte skrzydło, zobaczyłem wszystko w ściennym lustrze, znajdującym się obok kominka.

Wstrzymawszy oddech, oparłem się o framugę. Brązowe kółko zastukotało lekko o drzwi, więc obawiałem się, że para, którą oglądałem, na chwilę przerwie swoją zabawę, któreś z nich wstanie i zamknie drzwi, pozostawiając mnie na korytarzu. Jednak nic takiego nie nastąpiło. Wręcz przeciwnie, jęki kobiety stały się jeszcze głośniejsze, wyrażały, choć zdawało się to nieprawdopodobne, jeszcze większą rozkosz, a ruchy mężczyzny stały się jeszcze szybsze, zapowiadając, że oboje bliscy są orgazmu. Prawdopodobnie w tej chwili nie zauważyliby, gdybym stanął nad nimi i wykonał fotografię.

To pomyślawszy, otworzyłem drzwi na tyle szeroko, że wreszcie mogłem dokładnie ujrzeć w lustrze kopulującą parę.

Kobieta westchnęła:

- Oooooch... już... już... nie mogę... - i zaczęła gwałtownie trząść głową w spazmach orgazmu. Patrzyłem w lustro, wyteżając wzrok i poczułem, jak cierpnie mi skóra - ze strachu, zaskoczenia i kompletnego oszołomienia.

Widziałem nagą dziewczynę leżącą na plecach, z nogami uniesionymi wysoko do góry. Była ładna i, o ile mogłem zauważyć, miała długie, ciemne włosy. Jej policzki były bardzo zaróżowione i przez cały czas wyła i jęczała z rozkoszy.

Ale to nie ona, lecz ujeżdżająca ją istota przeraziła mnie. Nie widziałem jej wystarczająco dokładnie. Sprawiała wrażenie brązowego zwierzęcia o kudłatej, gęstej sierści. Miała ostre, długie rogi i coś, co na dobrą sprawę mogło być ogonem. Ale to przecież musiało być złudzenie, bo gdy bestia zerknęła prosto w lustro, ujrzałem twarz Huntera Peala, nabrzmiałą, wykrzywioną w grymasie zadowolenia.

Popatrzyłem na tę twarz w krańcowym przerażeniu. Hunter oblizwał wargi językiem, który wydał mi się ciemnoniebieski i niemalże trójkątny. A potem trzasnąłem drzwiami i pędem ruszyłem przez ciemny korytarz do mojej własnej sypialni. W drzwiach wpadłem na Jennifer i przewróciłem ją na podłogę. Szybko zamknąłem drzwi za sobą i przekręciłem klucz w zamku.

- Jezu Chryste - wyszeptałem. - O Boże wszechmogący...

Jennifer pozbierała się z trudem:

- Jack, co ci jest? Co się stało?

- Nie wiem. Widziałem Huntera. To znaczy, przypuszczam, że to był Hunter, ale to przecież nie mógł być on. To było raczej jakieś zwierzę.

Ciężko usiadłem na skraju łóżka. Poczułem, że mięśnie nóg odmawiają mi posłuszeństwa, wydawało mi się, że pękają jak stare, zardzewiałe sprężyny. Ręce mi się trzęsły i co chwilę przełykałem ślinę, aby uzyskać choć trochę wilgoci w gardle. Zasychało mi w nim ze strachu i zaskoczenia.

Jennifer, naga, podeszła do mnie i objęła mnie ramionami. Wydawała miłe, kojące westchnienia, rozczesywała palcami moje włosy, ale ja nie potrafiłem ani odrobinę się uspokoić. Wciąż widziałem zadowoloną twarz Huntera i dziewczynę z rozłożonymi nogami, szeroko uniesionymi do góry, wzdychającą z rozkoszy, jęczącą z pożądania.

- Poszedłem korytarzem... - zacząłem opowiadać. - Dotarłem aż do drzwi sypialni Huntera... - nie mogłem złapać oddechu. - Usłyszałem ich, jak w środku... dwoje ludzi, kochających się...

- Kochających się? - powtórzyła z niedowierzaniem. - Myślałam, że usłyszałeś płaczące dziecko. Albo Micky.

- Oni kochali się. Drzwi były otwarte, a oni się kochali. Cholera, pieprzyli się zapamiętali. Trudno to nazwać miłością.

- Ale kto? - chciała wiedzieć Jennifer. - Czy to był Hunter? Mówiłeś o jakiejś bestii.

- Nie wiem - odparłem. - Nie wiem, co, do cholery, dzieje się w tym przeklętym domu. Nic nie wiem. Myślałem, że powinienem panować nad całą sytuacją, w końcu odpowiadam za obraz kampanii Huntera w środkach przekazu. Myślałem, że Hunter Peal jest normalnym facetem. Ale to wszystko jest szalone. Szalone! W jednej chwili facet zachowuje się normalnie, mówi z sensem, a w następnej wychodzi z niego głupia, faszystowska świnka! W jednej chwili facet jest uprzejmy i miły dla swojej żony, a w następnej traktuje ją jak najgorszą kurwę. A teraz pieprzy jakąś dziewczynę, której nigdy dotąd nie widziałem.

Zamilkłem. Zimny wilgotny pot oblał całe moje ciało, jakby jakiś niewydarzony dowcipniś wylał na mnie wiadro lodowatej wody. „Dziewczynę, której nigdy dotąd nie widziałem”. A może? Jakby coś znajomego było w jej zachowaniu, w wyrazie jej twarzy. Coś ulotnego, ale przerażająco znajomego, tak przerażająco, że natychmiast wyrzuciłem z głowy wszelkie myśli na ten temat. Nie chciałem już myśleć, nie chciałem już wstawać z łóżka i narażać się na to, że moje mgliste podejrzenia okażą się prawdą.

Jennifer pocałowała mnie i zaczęła masować moje stężałe mięśnie na szyi.

- Jesteś zmęczony - powiedziała. - Widzisz rzeczy, które w rzeczywistości nie istnieją.

Ścisnąłem jej dłoń i popatrzyłem jej uważnie w oczy.

- Jestem zmęczony, tak - powiedziałem ochryłym głosem. - Ale nie mam przywidzeń, do takiego stanu jeszcze się nie doprowadziłem.

- Nie wiem, czym się tak bardzo przejmujesz - westchnęła Jennifer. - To znaczy, Hunter Peal nie sprawiał do tej pory wrażenia człowieka, który zdradza swoją żonę. Ale przecież wielu sławnym osobom w końcu odbija. Na przykład Jack Kennedy, przecież nie był aniołem, prawda? A nawet Franklin D. Roosevelt ze swoim paraliżem i...

- Oni byli demokratami - powiedziałem z naciskiem. Zważywszy okoliczności, było to absurdalne stwierdzenie, ale myślę, że facet odpowiedzialny za publicity kandydata nigdy tak naprawdę nie przestaje być na służbie. - A poza tym Hunter Peal nie jest tego typu człowiekiem. Przynajmniej do tej pory go takim nie znałem.

- Co więc zamierzasz teraz zrobić? - zapytała Jennifer. Wyglądała na bardzo zmartwioną.

- Teraz to zejść do pokoju łączności. Pójdiesz ze mną?

- Tak, oczywiście, że pójdę. Ale co będziemy tam robić?

- Włóż coś na siebie - poradziłem jej, zignorowawszy pytanie. - Opowiem ci o moich podejrzeniach, jeżeli nie okażą się bezpodstawne. Jeżeli nie będę miał racji, cóż, być może nawet zrezygnuję z posady.

- Co, chcesz zrezygnować? Nie możesz tego zrobić.

- Jennifer, jeżeli to, o czym myślę, jest bezsensowne, to znaczy, że postradałem zmysły, a najlepszym miejscem dla facetów, którzy stracili zdrowy rozsądek jest „Butte Independent”. I tam powrócę.

Jennifer szybko włożyła spódniczkę i do połowy zapięła bluzkę. O majtkach zapomniała. Przyglądała włosy dłońmi i powiedziała:

- W porządku, chodźmy.

Ostrożnie otworzyłem drzwi sypialni; tylko odrobinę. Korytarz był zupełnie ciemny, mimo że zbliżał się świt. Nie zauważyłem więc nikogo, chociaż świadomość, że za rogiem może czaić się Hunter - bestia, wprost mnie paraliżowała.

- Wygląda na to, że wszystko jest w porządku - szepnąłem do Jennifer. - Chodź za mną. Ale kiedy będziemy mijali pokój Huntera, nie waż się spowodować najmniejszego hałasu.

Na palcach zagłębiliśmy się w ciemność. Zamknąłem drzwi do sypialni i aż zacisnąłem zęby ze strachu, kiedy automatyczny zamek zatrzasnął się głośno. Chwyciłem Jennifer za rękę i poprowadziłem ją korytarzem. Na zakręcie zatrzymaliśmy się i popatrzyłem w kierunku pomarańczowego okna i podwójnych drzwi do sypialni Huntera.

Drzwi były zamknięte. Zwierzęce mordy na nich wyrzeźbione nie wyrażały niczego. Dojrzałem za oknem blade słońce, wznoszące się nad drzewami. Świtało.

- Szybko - szepnąłem do Jennifer. - I bądź cicho.

Minęliśmy sypialnię Huntera, trzymając się przeciwległej ściany korytarza. Gdy stanęliśmy u

szczytu schodów, znów ogarnęła nas kompletna ciemność.

- Dokąd się tak śpieszysz? - zapytała Jennifer.
- Zobaczysz. Chodź, bo zaraz może być za późno.
- Za późno na co?
- Dowiesz się, kiedy dotrzemy na miejsce.

Gdy byliśmy w połowie schodów, zobaczyłem coś, co sprawiło, że włosy stanęły mi dęba na głowie. Zatrzymałem się gwałtownie. Jennifer zderzyła się ze mną, lecz znalazłem w sobie tyle przytomności umysłu, że chwyciłem ją i zdołaliśmy utrzymać się na nogach.

Naprzeciwko nas, w naszym kierunku, otoczony światłem, które zdawało się nie mieć swojego źródła, szedł Hunter Peal. Wyraźnie widoczna była jego siwa czupryna. Miał na pół przymknięte oczy, jakby poruszał się we śnie, a na jego ustach błąkał się, dziwny uśmiech.

Wkrótce zbliżył się do nas na tyle, że widoczna stała się cała jego sylwetka; najpierw ramiona, a potem całe potężne ciało, okryte ciemnym płaszczem kąpielowym z jedwabiu. Ujrawszy nas, zatrzymał się, z jedną ręką opartą na drewnianej poręczu schodów.

Zapadła przerażająca cisza. Staliśmy, spoglądając po sobie nawzajem, oddaleni od siebie tylko o kilka stóp. Nie byłem jednak pewien, czy Hunter naprawdę nas widzi, mimo że pozostawał sztywny i nieruchomy, jakby oczekiwał, aż Jennifer albo ja coś powiemy.

- Hunter... - zacząłem ostrożnie.

Uśmiech na jego twarzy rozszerzył się.

- My, eee... właśnie schodziliśmy na dół, żeby wcześniej zjeść śniadanie. Chcę zacząć przygotowania do popołudniowego programu telewizyjnego.

- Być może powinniśmy jeszcze o tym porozmawiać, Jack - odezwał się głębokim, spokojnym głosem.

- Tak, oczywiście - pokiwałem głową. - Kiedy tylko zjemy...

- Myślę, że powinniśmy porozmawiać od razu - przerwał mi. Podszedł do nas i spojrzał z góry; przewyższał nas wzrostem. Cień zakrył jego twarz niby czarna maska i nie widziałem, czy wciąż się uśmiecha, czy jego rysy stężały. Ton jego głosu nie zmienił się, był spokojny, obojętny, chłodny i przenikliwy niczym styczniowy wiatr.

- Hunter, nie bardzo potrafię myśleć z pustym żołądkiem - odezwałem się. Chciałem, aby mój głos brzmiał lekko, swobodnie, ale zdaje się, że zabrzmiał po prostu fałszywie.

- Każę przysłać kawę na górę - powiedział Hunter. - Zapewne twoja młoda przyjaciółka zechce to załatwić.

- Hunter, chciałbym jednak pójść do kuchni.

W odpowiedzi położył dłoń na moim ramieniu. Była ciężka. Gest ten oznaczał, że kończymy dyskusję i Hunter nie chce już słyszeć żadnych sprzeciwów. Z bliska czuć go było potem zmieszonym z dobrą wodą po goleniu. Być może unosił się wokół niego również ten zapach, który wyczułem, gdy podglądałem go podczas kopulacji. Nie byłem tego jednak do końca pewien.

Nerwy odmawiały mi posłuszeństwa. Nie potrafiłem wypowiedzieć słowa. Ciszę, która zapadła, przerwała więc Jennifer:

- Jack?

Przymknąłem oczy zrezygnowany. Tylko na sekundę. Kiedy otworzyłem je znów, zauważyłem jakiś ruch na schodach, za szerokimi ramionami Huntera. Był to tylko ułamek sekundy, ale nie miałem wątpliwości, że coś się poruszyło. Jakaś blada, nieokreślona sylwetka, nie powodująca żadnego odgłosu, bo przecież znajdowała się poniżej trzynastego stopnia. Zniknęła, zanim zdołałem jej się przyjrzeć.

Działalem instynktownie. Odtrąciłem dłoń Huntera i błyskawicznie pobiegłem w dół schodów. Gdy znalazłem się w hallu, wpadłem na walizkę, zostawioną przez kogoś przypadkowo na posadzce, ta z kolei przewróciła wielki wazon pełen róż, jednak nic nie mogło mnie powstrzymać. Jak szalony zając pobiegłem dolnym korytarzem, już oświetlonym przebijającymi się nieśmiało promieniami słońca. Ujrzałem przed sobą, jak zamykają się drzwi do pokoju łączności. I usłyszałem odgłosy stóp na podłodze. Ciężkie, głośnie dźwięki, jakby ktoś biegł w drewnianych chodakach.

Jak burza wpadłem do pokoju łączności. Za sobą słyszałem Huntera wrzeszczącego: Jack! Wracaj! Wracaj natychmiast! - tym samym grzmiącym głosem, którego używał wczoraj na trawniku. Teraz jednak nawet zaprzęg koni pociągowych ani ciężka ciężarówka na mej drodze nie powstrzymałyby mnie przed tym, co zamierzałem.

Jak szalowiec przebiegłem przez pokój łączności, miotając się desperacko pomiędzy biurkami, rozrzucając dookoła dziesiątki kartek papieru. Dotarłem do drzwi oranżerii i szarpnąłem nimi.

Były już zamknięte na klucz. Spóźniłem się. Byłem spóźniony albo szalony. Z trudem łapiąc oddech sterczałem przed zakurzoną szybą drzwi, z głową opuszczoną. Nie było w niej teraz żadnej składnej myśli. Tylko zamęt.

Otworzyły się za mną drzwi do pokoju. Wszedł Hunter, a za nim podążała Jennifer. Nie poruszyłem się. Nie odwróciłem się, aby cokolwiek powiedzieć, ponieważ nie dowierzałem sobie. Nie dowierzałem, że w tej chwili potrafię powiedzieć coś grzecznego albo chociażby sensownego.

Hunter ostrożnie, uważając, gdzie stawia stopy, podszedł do drzwi oranżerii i stanął przy mnie. Jennifer zatrzymała się w pewnej odległości od nas.

- Czy zechciałbyś teraz wyjaśnić mi, co to wszystko ma znaczyć? - zapytał Hunter. - Czy w tej oranżerii znajduje się coś, czemu obaj powinniśmy dobrze się przyjrzeć? Coś, co pomogłoby nam. Oczywiście, w kampanii. Wiem naturalnie, że w środku znajduje się kilka posągów, przedstawiających piękne, nagie damy.

Na szklanych ścianach odbijała się, powiększona do wielkich rozmiarów, twarz Huntera.

- Zdawało mi się, że zauważyłem kogoś obcego - powiedziałem. - No i pobiegłem za nim, oczywiście. To wszystko.

- Czy jesteś pewien, że nie masz przywidzeń? Ostatnio dziwnie się zachowujesz - zauważył Hunter. Trudno było mi ocenić ton jego głosu. Nie był totalnie wrogi, ale też nie można było nazwać go przyjaznym.

- Nie, raczej nie - odpowiedziałem. Odwróciłem się i posłałem Hunterowi wymuszony uśmiech.

- Myślę, że to wszystko nerwy spowodowane kampanią.

Hunter objął mnie ramieniem.

- Posłuchaj, Jack - powiedział ciepłym głosem. - Jesteś jednym z moich najlepszych, najbardziej kompetentnych pracowników. Kiedy znajdę się w Owalnym Gabinetcie, zapragnę, abyś i ty przy mnie był. Jesteś dobrym człowiekiem i zapewne znajdziesz dla siebie odpowiednie miejsce w administracji federalnej Stanów Zjednoczonych.

Jennifer obserwowała nas uważnie. Była jedynie pracownicą kuchni, zatrudnioną na czas kampanii i dobrze wiedziała, że nie powinna mieszać się do prywatnej rozmowy kandydata na prezydenta z jego pracownikiem odpowiedzialnym za kontakty z dziennikarzami. Nie powinna tego czynić, nawet pomimo tego, że z tymże pracownikiem sypiała.

- Zapytam cię o coś, Jack, ponieważ wiem, że szczerze mi odpowiesz - znów odezwał się Hunter. - Wiem, że niezupełnie rozumiesz przemianę, jakiej dokonałem w tej kampanii podczas ostatnich dwudziestu czterech godzin, i wiem, że pewne aspekty mojego życia osobistego wywołują twoje zdumienie.

Popatrzyłem na niego. Czyżby znów stary, dobry Hunter Peal? Tak przynajmniej brzmiał jego głos. Znów był ciepły, przyjazny, nieformalny. Kiedy usiadł na skraju jednego z biurek i splótł ręce na piersiach, posyłając mi jednocześnie ciepły, niemalże czuły uśmiech, przypomniał mi się dzień, kiedy po raz pierwszy go spotkałem i zjadłem z nim lunch w hotelu „Beauvoir”.

- Muszę przyznać, że nie byłem zbyt uprzejmy podczas ostatnich dni - powiedział Hunter. - Ale to, co wydarzyło się tutaj, ba, to, co wydarzyło się w moim umyśle, było tak samo nowe dla mnie, jak i dla wszystkich z was. Być może uważacie, że coś się we mnie zbyt gwałtownie odmieniło. A jednak ja po prostu, niczym światelko w tunelu, ujrzałem sposób na wygranie tych wyborów. Odkryłem drogę, którą należy prowadzić Amerykanów, dla ich własnego dobra. Zobaczyłem możliwość uczynienia Ameryki wielką, dumną i bogatą.

- A co powiesz o wczorajszych halucynacjach podczas konferencji prasowej? - zapytałem. - O tych bombowcach, o polach pszenicy?

Hunter uniósł w górę palec wskazujący.

- To, co wówczas powiedziałem i pokazałem, było prawdą, a jednak muszę oznajmić wam, że była to jedynie uproszczona wersja prawdy. Wówczas wszyscy doświadczyli jedynie mirażu, słyszalnego i widzialnego mirażu, krótkotrwałego epizodu; coś podobnego stało się i twoim udziałem, Jack, kiedy wczoraj wieczorem musiałem zadać ci ból. Źródłem takiego mirażu jest siła woli, którą potrafię narzucać ludziom. Możesz to nazwać sztuczką, ale we właściwych rękach zdolność ta może stać się sprawczynią wielkich rzeczy.

- Wielkich rzeczy, powiadasz? Czy jesteś jednak pewien, że twoje ręce są właściwymi?

Hunter uśmiechnął się.

- Tak do końca to nie jestem tego pewien. Być może są, a być może nie. Jestem na tyle uczciwy, że nawet przed sobą potrafię przyznać, że będę po prostu starał się działać jak najlepiej dla naszego kraju, a historia mnie osądzi.

- Hunter - westchnąłem. - Czy mogę w to wszystko wierzyć? Naprawdę? W ciągu ostatnich dni zachowujesz się bardzo dziwnie. A dziś w nocy...

- Dziś w nocy? - powtórzył Hunter gwałtownie. - Co takiego?

- W sumie to jest wyłącznie twoja sprawa - powiedziałem. - Mijałem w nocy twoją sypialnię i usłyszałem, że z kimś jesteś. To nie była Micky.

Hunter popatrzył na mnie uważnie zza gęstych, szarych rzęs. Było to głębokie, pełne wyrzutu spojrzenie, które sprawiło, że nagle poczułem się małym, zbędnym śmieciem: niepoprawnym masturbatorem i przyjacielem niegodnym tego słowa.

- Jack - odezwał się Hunter. - Miałem nadzieję, że nikt nigdy się o tym dowie. Nie chodzi w tym wypadku tylko o mnie, o opinię na temat mojej osoby, ale również o Micky. Prawda jest taka, że jeżeli chodzi o życie seksualne, nie układa się ono pomiędzy mną a Micky najlepiej. Pamiętasz, co się wydarzyło ostatniej nocy? Cóż, to, co wówczas zrobiłem Micky, jest niewybaczalne. Przyznaję. Ale przecież, gdybyś przez całe lata męczył się z zimną, nie gustującą w seksie żoną, w końcu skorzystałbyś z pierwszej nadarzającej się okazji, tak jak ja dzisiejszej nocy, prawda?

- Micky oziębla? - zmarszczyłem czoło. - Nie wierzę w to.

- Ukrywa to dobrze przed wami, nie da się zaprzeczyć. Jest wspaniałą partnerką w mojej kampanii i moim najlepszym przyjacielem. Ale każdej nocy, od dnia, w którym się pobraliśmy, miewa migreny i bóle głowy i swoje niezmiennie „nie dzisiaj, kochanie”, dzień za dniem, tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem i rok za rokiem. - Hunter uśmiechnął się zmęczonym uśmiechem. - Powiem ci coś, Jack. Jestem mężczyzną. Stuprocentowym mężczyzną. Lubię jeździć konno, pływać, grać w squasha, ale i lubię też spuścić od czasu do czasu co nieco z krzyża. Dlatego właśnie nakryłeś

mnie dzisiaj w nocy z tą dziewczyną.

- Jeżeli prasa się o tym dowie, będziesz miał poważne kłopoty - ostrzegłem go. - Czy nie mógłbyś powstrzymać się od tego przez jakiś czas? Przynajmniej do dnia, kiedy zostaniesz wybrany lub nie?

- Jesteś dobrym człowiekiem - powiedział Hunter. - Wiesz, co jest dla mnie dobre.

- Co więc zamierzasz uczynić z tą dziewczyną?

- Nie wiem. Czy masz jakiś pomysł?

- Cóż, kim ona jest? Jak się nazywa? Skąd się tu wzięła?

Uśmiech Huntera stał się odrobinę zimniejszy. Podrapał się za lewym uchem; ruch ten zawsze odbierałem u niego jako oznakę niepewności.

- Na imię jej eee... Susie. Spotkałem ją po raz pierwszy w eee... w Trenton, w stanie New Jersey.

- Gdzie ona teraz jest? Czy mógłbym z nią porozmawiać?

Hunter wstał. Ścisnął mój łokieć i cholernie dobrze wiedziałem, co to oznacza. Nasza rozmowa dobiegła po prostu końca. Nie zamierzał rozmawiać o swojej kochance o imieniu Susie z Trenton w stanie New Jersey, i nie mogłem się temu przeciwstawić.

- Może więc porozmawiajmy o dzisiejszym programie telewizyjnym - odezwałem się. - Muszę też do jutra przedstawić jakąś naszą odpowiedź do Hartford. Wally Greenschein zaproponował scenariusze otwarcia, które przypominają albo rozpoczęcie Mickey Mouse Club, albo uroczystości Niedzieli Palmowej.

- Najpierw zjedźmy jakieś śniadanie, dobra? - powiedział Hunter.

Już miałem zaprotestować, gdy spojrzałem na Jennifer. Potrząsała gwałtownie głową. Miała racje. Hunter troszeczkę zmiękł, ale o ile postanowił stracić kilka minut na wyjaśnienie mi powodów zmiany swojego zachowania, nie było pewne, czy ze spokojem zareaguje na sprzeciw w kwestii pory zjedzenia śniadania.

- W porządku, Hunter - powiedziałem. - Zjedźmy śniadanie. Później się z tobą skontaktuję. Pamiętaj, że o trzeciej musimy wyjechać do studia. Z tego, co pamiętam, program nagrywany będzie w studio w Danbury.

Hunter w zamyśleniu pokiwał głową, pomachał mi ręką i opuścił pokój łączności. Zostałem tylko z Jennifer. Zza okien wpadały do środka pierwsze promienie słoneczne.

- Świt - powiedziałem. - O tej porze wampiry powracają do swoich trumien.

Jennifer podeszła do mnie bliżej. Wyciągnęła w moim kierunku rękę i przytuliła się. Przez cienki materiał spódniczki i bluzeczki czułem jej nagość.

- Uwierzyłeś mu? - zapytała.

- Czy mu uwierzyłem? W co?

- We wszystko. Na przykład w to o Micky. Potrząsałem przecząco głową.

- Dlaczego nie? - zapytała. - Mówił tak przekonująco, szczerze.

- Masz na myśli to, że był wiarygodny. Ale Micky z pewnością nie jest taka, jak on mówi. A poza tym, gdybyś widziała i słyszała to, co ja widziałem i słyszałem, z pewnością nie byłabyś tak łatwowierna. Daj spokój, Jennifer, od dwóch dni Hunter wykrzykuje tutaj o zimnej wojnie, wychwala Eisenhowera, wykrzykuje pochwały rozwiązłego seksu i inne brednie. Zranił Micky, seksualnie i umysłowo. A dzisiaj w nocy? Dlaczego chciał nas powstrzymać przed zejściem tutaj? Dlaczego mnie ścigał?

- Nie wiem. - Jennifer zmarszczyła czoło. - Wszystko to jest takie poplątane.

Otoczyłem ją ramieniem.

- Pozwól tylko - powiedziałem i poprowadziłem ją do drzwi oranżerii. - Stań blisko szyby, osłoń oczy i popatrz do wewnątrz. Co widzisz? - zapytałem.

Patrzyła uważnie przez szkło, w końcu powiedziała:

- Jakies statuy. W większości nagie.

- Możesz je opisać?

- Tak, oczywiście. Widzę tańczącą kobietę. Jest bardzo nieszczęśliwa. Może właśnie przeczytała The Women's Room? Jest też jakiś mężczyzna, albo chłopak, z fletem, czy czymś w tym rodzaju. Ma wspaniałą, okrągłą pupę. Prawie taką jak ty. Poza tym widzę kobietę, którą ktoś atakuje.

- O, właśnie. Tę, która leży na ziemi?

- Tak. - W porządku - powiedziałem. - Teraz powiem ci, dlaczego ani przez moment nie wierzę słowom Huntera Peala.

- Nie rozumiem cię. Nie wierzysz mu z powodu tych posążków? Przecież to tylko martwe posągi.

- Może tak, a może nie. Czy pamiętasz pierwszą noc, którą spędziliśmy razem? Kiedy mówiłem ci, że wyglądasz jak jedna z tych figur? Przypominałaś mi jedną z nich, tańczącą nimfę. Jej twarz nagie nałożyła się na twoją. Nie wiem, dlaczego, ale właśnie to zauważyłem.

- W pewnym sensie jest śliczna - zauważyła Jennifer. - Ale co to ma wspólnego z Hunterem?

- Tu chodzi o tę drugą, o tę dziewczynę na ziemi. Spójrz tylko na nią uważnie. Po obu stronach zobaczysz wyraźne odciski stóp, a może kopyt. Ktoś na niej leżał, jakieś zwierzę. Koziół albo coś podobnego. Być może taka bestia, jaka zobaczyłem w sypialni Huntera. Najbardziej przekonuje mnie jej twarz. To jej twarz.

- Czyja?

- Dziewczyny, którą widziałem w łóżku Huntera. Dziewczyny, którą on określa jako Susie z Trenton w stanie New Jersey. Dziewczyna, która zbiegła schodami do oranżerii, zanim ją zatrzymałem.

Jennifer popatrzyła uważnie na mnie, a później znów zajrzała do oranżerii.

- Jack - powiedziała niepewnym głosem. - Ta dziewczyna to przecież tylko marmurowa rzeźba. W jaki sposób mogłaby chodzić, biegać albo pieprzyć się z Hunterem Pealem?

- Nie wiem - odparłem. - Ale to jest ta sama dziewczyna. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

- Być może. - Jennifer pokiwała głową. - Ale jak zamierzasz to udowodnić?

Odwrociłem się.

- Bóg jeden wie - powiedziałem. W tej chwili czułem się bardziej samotny i bezradny niż kiedykolwiek dotąd w życiu.

ROZDZIAŁ XIV

Po południu Dan Klippers zawiózł nas Drogą nr 7 do Danbury. Był rubaszny, w doskonałym nastroju i opowiadał nam, ile telefonów wykonał z Ken Yates w Hartford, gratulując republikanom z New Milford Huntera Peala.

Był pogodny wiosenny dzień. Kiedy przejeżdżaliśmy przez Brookfield, drogę otaczały wysokie drzewa, lśniące świeżymi, jasnozielonymi liśćmi, ostro rysującymi się na tle jasnoniebieskiego nieba. Hunter siedział na tylnym siedzeniu cadillaca, a wiatr rozwiewał mu włosy. Obok Huntera spoczywała Micky, w pięknej sukni koloru wodnych kwiatów. Ja natomiast siedziałem na przodzie obok Sama Wieki i prowadzącego pojazd Dana Klippersa.

- Z tego, co słyszałem, Johnson Wilmot może liczyć na niemal stuprocentowe poparcie na Wybrzeżu - odezwał się Sam.

- Oczywiście - potwierdził Dan Klippers. - Jest spokojny, gwarantuje więc święty spokój i bezpieczeństwo, nie kojarzy się z żadnymi gwałtownymi zmianami. A to jest właśnie program, którego potrzeba ludziom pracującym w Nowym Jorku i mieszkającym w szerokim pasie otaczającym metropolię. Ciszy, spokoju i od czasu do czasu jakichś ulg podatkowych.

- Co się więc stanie, kiedy zobaczą Huntera ziejącego ogniem i wrzeszczącego „Boże, pobłogosław Amerykę” z siłą jednoosobowej orkiestry symfonicznej?

Zadowolony Hunter głośno roześmiał się ze swojego miejsca. Musiałem przyznać, że od chwili naszej porannej rozmowy stał się o wiele bardziej wyważony i niemal zupełnie przypominał Huntera Peala, którego przed wieloma miesiącami poznaliśmy i na którego zdecydowaliśmy się głosować.

- Poczekamy, zobaczymy - stwierdził Dan Klippers. - Przeprowadziliśmy sondaż na obszarze Lichtfield i co? Przecież tam również mieszkają ludzie, którzy pracują na Manhattanie, a otrzymaliśmy wyniki, no cóż, radosne! Z Hunterem zgadzało się przynajmniej sześćdziesiąt pięć procent badanych, całkowicie albo z pewnymi zastrzeżeniami.

- Czy zechciałbyś wyjaśnić nam tę różnicę pomiędzy „całkowicie” a „z pewnymi zastrzeżeniami”? - zapytał Sam Wieka.

- Językowo jest prawie żadna - wtrącił się Hunter. - Politycznie to taka różnica jak pomiędzy przegrać a zwyciężyć.

- Masz rację - powiedział Dan Klippers, zadowolony z siebie, najwyraźniej ucieszony, że nie musi tego wyjaśniać sam.

- Dobrze się dzisiaj czujesz? - zapytała Micky Huntera.

W samochodzie zapanowała cisza. Dobrze wiedzieliśmy, że jest to osobiste pytanie, a jednak wszyscy zaczęliśmy nasłuchiwać odpowiedzi.

- Oczywiście, że dobrze się czuję - odparł Hunter. - Dlaczegoż by nie? Czy wyglądam na chorego?

- Wyglądasz doskonale - powiedziała Micky.

- Chciałbym móc to samo powiedzieć o tobie.

- No cóż...

- Sam - zawołał Hunter trochę głośniej. - Czy kiedykolwiek słyszałeś o tym, żeby zżerany przez raka lekarz badał pacjentów?

Sam milczał.

- Taką sytuację przywodzi mi na myśl Micky, kiedy mówi, że doskonale wyglądam - Hunter roześmiał się. - „Wyglądasz doskonale” - powtórzył, przedrzeźniając niepewny, smutny głos Micky.

- Przepraszam cię, Hunter - odezwała się Micky. - Zapomnij o tym, co powiedziałam.

- Oczywiście. Zaraz zapomnę. W końcu, jakie ma dla ciebie znaczenie, jak się czuje. Prawie się

nie widzimy. Zwłaszcza w nocy.

Sam trącił mnie łokciem. Uporczywie gapiłem się na pola i na odległe drzewa przed nami. Miałem zamiar puszczać mimo uszu wszelkie dziwactwa i złośliwości Huntera, przynajmniej do czasu, aż nagramy dzisiaj program. Chciałem, żeby pozostał spokojny, rzeczowy i opanowany, mimo że jego poglądy budzą gwałtowne reakcje i takich należało się spodziewać podczas telewizyjnej debaty.

Micky zamilkła i reszta podróży minęła nam w nieprzyjemnym milczeniu. Dan Klippers pewną ręką prowadził cadillaca i wreszcie zajechaliśmy pod studio telewizyjne w Danbury.

Johnson Wilmot już tam był. Jego zakurzonego białego chryslera otaczały dziesiątki lokalnych dziennikarzy i fotografów, a Wilmot udzielał właśnie wywiadu Willie'emu Reynoldsowi z „Wall Street Journal”. Kiedy wysoki policjant w ciemnych okularach wskazywał nam miejsce do zaparkowania, Hunter powiedział sarkastycznie:

- Oto on. Usta Michigan. Założę się, że opowiada teraz brednie, jak zamierza obniżyć ceny benzyny, podatki od nieruchomości i jeszcze, kurwa, jak to będzie chodził i sprzątał im chodniki przed domami, kiedy go wybiorą prezydentem.

Johnson Wilmot był wysokim mężczyzną, zapewne o jakiś cal wyższym od Huntera. Hunter był jednak barczysty, a tymczasem Johnson chudy, kostyczny. Miał wielki nos i zbyt długie włosy, śmiesznie rozwiewane przez silny wiatr. Wymachiwał energicznie wielkimi rękami, jakby właśnie łapał ćmy. Obok stała jego komicznie niewielka żona, Nancy, ukazująca rząd wielkich, białych zębów, w aż zanadto sztucznym, krzywym uśmiechu. Nogi miała tak krzywe, że mimo woli przywodziła mi na myśl kaczkę.

Wysiedliśmy wszyscy z samochodu, a Hunter stanął przy nim wyprostowany, bez uśmiechu, czekając, aż dziennikarze zauważą jego przybycie i opuszczając Wilmota, ruszą w jego kierunku. Zawsze lubił przybywać o kilka minut za późno i zakłócać nieformalne rozmowy swoich rywali z dziennikarzami; nawet wtedy, gdy był jeszcze, cóż, normalny. Dzisiaj zagrał swoją rolę jeszcze lepiej niż kiedykolwiek dotąd. Dziennikarze niemal natychmiast opuścili biednego Johnsona Wilmota, jakby facet wysikany był starym, śmierdzącym dezodorantem. Nawet Willie Reynolds, zwolennik Wilmota od niepamiętnych czasów, urwał rozmowę z nim w połowie zdania i popędził przez parking w kierunku Huntera.

Hunter stał wciąż nieporuszony, podczas gdy wokół niego gromadzili się fotoreporterzy i dziennikarze. Nie drgnął mu nawet najdrobniejszy mięsień na twarzy, dopóki wszyscy nie ucichli i nie przygotowali długopisów do pisania. Zerknąłem na samochód Wilmota i ujrzałem Johnsona i Nancy siedzących ramię w ramię na tylnym siedzeniu, niczym starsza para, która nie ma już przyjaciół, aby zaprosić ich na swe bardzo spóźnione wesele.

Już wówczas byłem pewien, że Hunter uzyska tę swoją nominację. Wiedziałem, że Johnson Wilmot nie ma w starciu z nim żadnych szans.

- Czy zamierza pan zaprezentować nam dzisiaj jedną z naszych politycznych iluzji? - zapytał Huntera jakiś dziennikarz. - Czy ujrzymy bombowce lub pola pszenicy?

Hunter uniósł rękę.

- To, co wydarzyło się wczoraj, było zdarzeniem jednorazowym. Czymś, czego nie ma już potrzeby powtarzać. Była to ni mniej, ni więcej tylko nasza wspólna, kolektywna wizja Ameryki. Wizja kilkudziesięciu Amerykanów, stojących ramię w ramię, oglądających Amerykę taką, jaką mogłaby być. Jaką powinna być.

- Czy to oznacza, że coś podobnego już nigdy się nie powtórzy? - zapytała dziennikarka w obcisłych spodniach.

- Nie stwierdziłem tego - powiedział Hunter z grobowym uśmiechem. - Następnym razem takiej wspólnej wizji zazna równocześnie każdy mężczyzna, każda kobieta i każde dziecko w Stanach Zjednoczonych. Kiedy bowiem wybieriecie Huntera Peala swoim prezydentem, grzmiące samoloty nad waszymi głowami, strzegące niezależności i wolności tego kraju, staną się faktem. Prawdziwa stanie się wizja bezkresnych pól dorodnej pszenicy, wizja bogatego, szczęśliwego kraju, od oceanu do oceanu.

- Widzę, że pańska wiara w to, że znajdzie się pan w Białym Domu, jest niezachwiana - zauważył jakiś młody dziennikarz.

Hunter w czarujący sposób wzruszył ramionami.

- Dysponując niezachwianą wolą, dysponując mocą, będąc świadomy potrzeb i dążeń wszystkich Amerykanów, czy mogę przegrać?

- Gubernator Wilmot twierdzi, że jest pan niebezpiecznym człowiekiem. Zbyt agresywnym.

Hunter znów uniósł rękę.

- W porównaniu z gubernatorem Wilmotem nawet wróbelek jest agresywnym ptakiem. Po prostu wierzę w konieczność zapewnienia Amerykanom właściwej obrony przed agresywnym komunizmem oraz w niezbędną taką politykę zagraniczną, która nie będzie stawiać na szali suwerenności Stanów Zjednoczonych.

Czułem, że ta wymiana zdań zaraz przejdzie na Dullesa i wspaniałe, zdaniem Huntera, lata pięćdziesiąte, wystąpiłem więc przed niego i odezwałem się do dziennikarzy:

- Proszę państwa, musimy na razie kończyć. Senator Peal za chwilę stanie przed kamerami i musi się do tego przygotować.

Przez moment Hunter wyglądał na zirytowanego. Ale wiedział tak samo dobrze jak ja, że powinien zachować swoje argumenty i energię na konfrontację z Wilmotem. Poza tym przybycie Huntera już dosyć przygnębiło Wilmota i należało iść za ciosem. Im szybciej, tym lepiej.

W tym momencie pojawił się Len Bailey z Election News, aby nas powitać. Len był jednym z najostrzejszych komentatorów politycznych w Nowej Anglii i Hunter lubił go. A przynajmniej sprawiał takie wrażenie. Bailey miał krótkie włosy na jeża, błękitną koszulę w paski i szeroką, otwartą twarz. Potrząsnął dłonią każdego z nas, nie wyłączając Micky, opowiedział jakiś ciężki dowcip na temat Randolpha Kressa, kandydata prezydenckiego z Kalifornii i poprowadził nas do studia telewizyjnego.

Ukazały się dwie młode dziewczyny, solidnie zbudowane, z wielkimi piersiami wyraźnie rysującymi się pod niebieskimi koszulkami, pod którymi nie miały biustonoszy: Zabrały Huntera i Johnsona Wilmota do garderoby, by uczesać ich i przypudrować im twarze na wizję. Len Bailey poprowadził tymczasem resztę przybyłych do samego studia. Jedna jego ściana wyłożona była ciemnoniebieskim płótnem, na którym zawieszono olbrzymi znak zapytania. Kropką pod tym znakiem była pieczęć prezydenta Stanów Zjednoczonych. Przed znakiem stał zwykły stolik z plastikowym blatem, a obok trzy krzesła i dwie karafki z wodą na jeszcze jednym, małym stoliczku. Po studiu kręcili się technicy sprawdzający po raz ostatni wszystkie połączenia. Dwie dziewczyny w purpurowych bluzeczkach przygotowywały materiały do notowania dla obu kandydatów na prezydenta.

- Naprawdę wolę kandydatów republikańskich - mówił Len Bailey. - Wypadają w telewizji o wiele lepiej od demokratów. Są, jakby to powiedzieć, o wiele bardziej pozytywnie nastawieni do świata, chyba rozumiecie, co mam na myśli.

- Oczywiście - powiedział Sam Wieka, do nikogo w szczególności. - Albo są bohaterami, albo łajdakami. W każdym razie żaden z nich nie ma w programie kompromisów.

- Kim z tych dwóch typów jest Hunter? - zapytał mnie Bailey z błyskiem w oku.

Zanim zdołałem odpowiedzieć, odezwał się Sam:

- Hunter Peal jest bohaterem. Wiecie jednak, co Ralph Waldo Emerson powiedział o bohaterach?

Len Bailey otrzepał niewidoczny pyłek z kłapy marynarki i spojrzał na Sama z rozbawieniem.

- Wiem, co masz na myśli. „Każdy bohater staje się w końcu nudziarzem”.

- Sam - warknąłem.

Sam wyciągnął tymczasem markowe cygaro i zaczął przetrząsać kieszenie marynarki w poszukiwaniu zapalniczki.

- Mówi pan, jakby był pan rozczarowany Hunterem Pealem, panie Wieka - odezwał się Len Bailey. - Ma pan jakiś szczególny ku temu powód?

Sam znalazł w końcu zapalniczkę i zaczął przypalać cygaro.

- Czy powiedziałem, że jestem rozczarowany Hunterem Pealem? Czy naprawdę tak się wyraziłem?

Len uśmiechnął się.

- Nie, oczywiście, że nie - powiedział.

Ta krótka wymiana zdań nie pozostawiła mi wątpliwości, że Sam i Len Bailey zawarli właśnie swego rodzaju małe porozumienie. Jeśli nadejdzie kiedyś dzień, że rozczarowany Sam zacznie wieszać psy na Hunterze, Len będzie pierwszą osobą, która go uważnie wysłucha. W tej chwili Sam powiedział Lenowi, żeby był cierpliwy i czekał. Było to zupełnie oczywiste.

W drzwiach do garderoby ukazał się Hunter. Charakteryzatorki przypudrowały mu policzki, aby podczas nagrania nie było widać na nich ani śladu potu oraz rozjaśniły mu rzęsy, by zlikwidować to onieśmielające ludzi groźne spojrzenie spod nich, gdy były czarne. Hunter zdawkowo pokiwał mi i Samowi, a potem zajął swoje miejsce przy stoliku.

Znów doskonale obliczył czas. Wszedłszy do studia jako pierwszy, korzystał z tego, że technicy i specjaliści od oświetlenia poświęcili mu kilka minut więcej, a to oznaczało, że bez wątpienia będzie o wiele lepiej pokazywany na ekranie. Poza tym mógł wygodnie rozsiąść się na swoim miejscu i poświęcić kilka minut na całkowite uspokojenie się i skupienie myśli.

Johnson Wilmot wszedł do studia po dłuższej chwili. Towarzyszyła mu Nancy, a dwa kroki za nimi szedł ciągle wyglądający na zmartwionego, nieprawdopodobnie niski Nat Slotnik, odpowiedzialny za kontakty Wilmota z massmediami. Przeszedłszy przez studio, Wilmot miał problem z przeciśnięciem się na swoje miejsce pomiędzy Hunterem a stolikiem, jednak Hunter nie uczynił nic, aby mu pomóc. Popatrzyłem na Sama i powiedziałem:

- Wilmot już jest wytracony z równowagi. Cholernie wytracony.

Wraz z Danem Klippersem i Samem usiedliśmy na krzeselkach w kącie studia. Micky zaoferowano wygodny fotel i usiadła bliżej planu, z twarzą bladą i napiętą. Ekipa Wilmota stanęła w najciemniejszym miejscu pod ścianą i co jakiś czas dodawali sobie odwagi, wypowiadając słowa w rodzaju:

- Czy nie sądzisz, że Hunter wygląda bardzo staro?

- Johnson ma doskonałą fryzurę, lepszej już nie można było mu zrobić. Włosy są krótkie, ale w sam raz.

W końcu do stolika podszedł Len Bailey. Zatrzymał się na chwile wyprostowany, podczas gdy kolejna młoda dziewczyna starannie otrzepywała jego garnitur. Po chwili Len uznał, że dziewczyna dobrze wykonała swoją robotę i z krzywym uśmiechem podszedł do obu kandydatów i zasiadł na swoim miejscu. Krótko skinął głową, kierując ją ku realizatorom programu, co oznaczało, że jest

gotowy. Election News był programem nagrywanym, nie był nadawany „na żywo”, jednak z zastrzeżeniem wobec kandydatów, że wszelkie poprawki i ingerencje w zawartość nagrania są raczej niemożliwe. To, co wieczorem ukaże się na ekranie telewizyjnym, będzie efektem decyzji wyłącznie Lena, sztaby kandydatów nie będą miary możliwości ingerencji albo chociażby przejrzenia taśm przed ich projekcją.

Światła w studio zapłonęły jaśniej. Johnson Wilmot zamrugał oczami i wpatrzył się w obiektywy kamer tak przestraszonym wzrokiem, że Nat Slotnik ukrył twarz w dłoniach. Hunter pozostawał spokojny, nieporuszony, z lekkim uśmiechem na ustach; w tym momencie, nawet gdybym wiedział, że jest wielokrotnym mordercą, głosowałbym raczej na niego niż na Wilmota.

- Dobry wieczór - powiedział Len Bailey... - Mówi do państwa Len Bailey z Kanału 55 w Connecticut, w programie Election News. W dzisiejszym specjalnym wydaniu w studio spotykają się twarzą w twarz dwaj moi goście: starszy senator stanu Kolorado, Hunter Peal oraz gubernator Johnson Wilmot z Michigan. Obaj starają się o nominację swojej partii w zbliżających się wyborach prezydenckich.

W krótkich, zwięzłych słowach Len Bailey określił gubernatora Wilmota jako „ekonomicznego żółwia, przekonanego, że gospodarkę USA należy odbudowywać starannie i powoli, strzegąc się politycznych zajęcy, takich jak Randolph Kress czy Henry DeVine”.

Bardziej dramatyczne słowa zachował dla Huntera.

- Po mojej lewej stronie, a po waszej prawej, znajduje się najbardziej kontrowersyjny kandydat, jaki dotąd objawił się w tych wyborach. Senator Hunter Peal rozpoczął kampanię, wołając, raczej mało przekonująco, o wprowadzenie republikańskiej wersji Nowego Ładu. Jednak w swoim wczorajszym przemówieniu w Sherman, w stanie Connecticut, wezwał do masowych wydatków na zbrojenia, aby Amerykę uczynić bardziej bezpieczną i umocnić jej dominację na prawie czwartej części ziemskiego globu. Świadkowie wystąpienia senatora w Sherman twierdzą, że jego przemówieniu towarzyszyła masowa halucynacja wszystkich słuchaczy, którzy gotowi są przysiąc, iż w momencie, gdy przemawiał pan Peal, nad ich głowami pojawiły się na niebie setki bombowców B-52.

Len Bailey zmienił pozycję na swym krześle i zwrócił się do gubernatora Wilmota:

- Pozwolę sobie najpierw zapytać pana, gubernatorze, co pan pomyślał, kiedy po raz pierwszy usłyszał pan o politycznej pirotechnice senatora Peala? Johnson Wilmot odparł:

- No, cóż, Len, pirotechnika oznacza fajerwerki i do czegoś takiego właśnie sprowadziłbym wystąpienia senatora Peala. To po prostu fajerwerki. Niebezpieczne, jak zawsze, gdy ktoś nie obeznany zabawia się materiałami wybuchowymi. Dzisiaj, w erze zaawansowanej technologii nuklearnej, bezpieczeństwo świata opiera się na równowadze wynegocjowanej podczas rozmów SALT, a nieodpowiedzialne nawoływania senatora Peala przywodzą mi na myśl tylko jedną rzecz. Przypominają mi dzień w San Francisco Cow Palace, w 1964 roku, kiedy to z przykrością słuchałem senatora Barry'ego Goldwatera, krzyczącego, że ekstremizm w obronie wolności jest cnotą.

Senator Goldwater zwyciężył wówczas w walce o nominację, ale niewiele to oznaczało. Cow Palace był tego dnia przepełniony zwolennikami segregacji rasowej i ekstremistami o mózгах nie skażonych głębszą myślą.

I niechby nie wiadomo jak głośno wychwalali go wówczas, tak głośno jak dzisiaj wiwatują na cześć Huntera Peala, nie reprezentują oni większości amerykańskich wyborców, ba, nie reprezentują oni nawet jednej dziesiątej procentu z nich. Musze stwierdzić, Len, że Hunter Peal może ogłupić wielu, w tym i samego siebie, na kilka tygodni. Jednak fajerwerki, choćby nie wiem jak wspaniałe, w końcu zawsze się wypalają i gdy nadejdzie czas głosowania, ci, którzy podążali za

nieodpowiedzialnymi nawoływaniami Huntera Peala, albo przejrzą na oczy, albo znajdą się wśród tych, którzy są ignorowani lub z szyderstwem wytykani palcami.

Nie była to zła odpowiedź, jednak według mnie była zbyt wyszukana, zbyt literacka. Brakowało jej ostrego stylu i odwagi. Znajdowaliśmy się przecież na planie telewizyjnym, słuchani przez ludzi o bardzo krótkiej i wybiórczej pamięci. Gdy Johnson Wilmot mówił więc o „erze zaawansowania technologii nuklearnej”, gdy mówił o „tych, którzy są ignorowani lub z szyderstwem wytykani palcami”, błyskawicznie tracił poparcie tych republikanów, których Hunter nazywał „rewolwerowcami życia publicznego”.

Hunter zaczął mówić bez zaproszenia ze strony Lena Bailey'a:

- Czy chce mnie pan utwierdzić w przekonaniu, senatorze, że gotów pan jest siedzieć spokojnie, podczas gdy sowieckie samoloty zagrażają naszemu niebu, podczas gdy chińskie pociski dalekiego zasięgu zagrażają naszym miastom, podczas gdy komunistyczna infiltracja w Ameryce Środkowej pozwala wrogowi podejść do samych bram naszego państwa? Czy gotów pan jest tolerować jeszcze chociażby przez tydzień ekonomiczny szantaż, jakiemu poddają nas Arabowie? Czy gotów jest pan obserwować, jak dzień za dniem kilkadziesiąt nieszczęsnych krajów cierpi pod komunistyczną dominacją? Czy chce pan obserwować, jak ten kiedyś wielki i potężny kraj traci swe wpływy i pozycję na świecie, jak z wolna, nagi i drżący, ulega sowieckiej presji?

Gubernatorze - kontynuował Hunter - niech pan pozwoli, że panu coś powiem. Może mnie pan nazwać podżegaczem wojennym. Jeżeli moje podżeganie będzie równoczesne z dążeniem do zapewnienia Amerykanom prawa do życia we własnym kraju bez strachu, to owszem, jestem takim podżegaczem. Może mnie pan nazwać ekstremistą. Jeżeli znaczy to, że wynoszę mój własny kraj i jego flagę ponad wszystko, to owszem, jestem ekstremistą. Może mnie pan oskarżać o to, że rozpalam fajerwerki. No i owszem, rozpalam je. Rozpalam fajerwerki. Czynię to dlatego, że w tym kraju jeden szczególnie dzień w roku tradycyjnie czcimy fajerwerkami! Hunter mówił coraz szybciej, jednak jego głos wciąż był czysty, wyraźny i pełen uczucia. Kontynuował:

- Co roku czcimy fajerwerkami dzień czwartego lipca, aby wyrażać naszą radość z faktu życia w pięknym i niepodległym kraju. Czy rozumie pan, co to znaczy, gubernatorze? Czy rozumie pan, co znaczy niepodległość? Nasza niepodległość? Rozpalam fajerwerki, ponieważ wierzę, że uzyskamy nową niepodległość. Nową wolność i nowy powód do świętowania. To wszystko.

Len Bailey skierował się twarzą do Huntera i powiedział:

- Słuchając pańskiej retoryki, senatorze Peal, wielu ludzi jednak boi się, że wcielanie w życie pańskich poglądów może ściągnąć nam na głowy wojnę, przed którą tak dobitnie nas pan ostrzega i pragnie bronić. Co na przykład znaczą dla pana porozumienia SALT i jak zamierza pan odnieść się do międzynarodowych porozumień, które obowiązują już od długiego czasu?

Johnson Wilmot pochylił się do przodu.

- Czy mógłbym w tej chwili coś powiedzieć, w uzupełnieniu tematu, który senator Peal właśnie...

Urwał w połowie wypowiedzi i wykrzywił usta w sztucznym, dziwnym uśmiechu. Len Bailey odwrócił się na krześle w jego kierunku.

- Tak, gubernatorze? - powiedział.

- Ja, aaa... eee...

Johnson Wilmot momentalnie zrobił się biały jak kreda. Nawet z mojego miejsca obok Sama Wieki mogłem dojrzeć pot, który pojawił się na jego czole. Pochylał się coraz bardziej do przodu, jakby niespodziewanie poczuł ogromne bóle w żołądku.

- Gubernatorze, czy dobrze się pan czuje? - zapytał Len Bailey. Wyciągnął rękę w kierunku

techników przy stołach mikserskich i uczynił jakiś ponagląjący gest.

Hunter Peal nawet się nie poruszył, chłodny i zrelaksowany, wciąż z leciutkim uśmiechem na twarzy.

Mój Boże, pomyślałem, czyżby Hunter uczynił z Wilmotem to samo, co ze mną? Przypuśćmy, że zacisnął pięści w identycznym psychokinetycznym uścisku... Wilmot będzie teraz sparaliżowany, niezdolny do wypowiedzenia słowa i program się skończy. Wstałem. Sam Wieka natychmiast uczynił to samo.

Johnson Wilmot zdołał jednak wyciągnąć z kieszeni chusteczkę i obetrzeć nią spocone czoło. Był blady i roztrzęsiony, ale powoli wracał do siebie. Niespodziewanie uniósł się, ociężale i niezgrabnie, i w tej samej chwili usłyszałem słowa Lena Bailey'a:

- Gubernatorze, nie sądzi pan, że najlepiej będzie, jeżeli...

Len dał jakieś znaki członkom ekipy Wilmota. Rozległy się wśród nich szepty i zanim zdołałem zrozumieć, co się dzieje, do Johnsona Wilmota podbiegli Nat Slotnik i Nancy Wilmot. Znalazłszy się przy nim, pomogli mu wstać z krzesła. Po chwili już wyprowadzali go ze studia. Jeden z techników zawołał:

- Zgaście te cholerne światła.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, światła zgasły. Len Bailey wciąż z niedowierzaniem potrząsał głową, a Hunter Peal, sztywny i dumny, zaczął wstawać z krzesła. Przez moment jego sylwetka ostro rysowała się na tle prezydenckiego symbolu, przypominając mi statuy i posągi z oranżerii w Allen's Corners. Nawet jego włosy, przed rozpoczęciem nagrania starannie przygładzone i uczesane, teraz zdawały się przybierać kształty zakręconych rogów.

Podszedłem do Lena Bailey'a i zapytałem:

- Co jest grane? Co stało się Wilmotowi? Len wzruszył ramionami.

- Nie sądzę, abym mógł panu powiedzieć. Przypuszczam jednak, że nagranie konfrontacji dwóch kandydatów mamy z głowy.

- To niemożliwe! Czy wie pan, jak wielu Amerykanów pozbawi to możliwości ujżenia Huntera w telewizji?

- Nikogo niczego nie pozbawi. Kiedy tylko przygotujemy studio, nagramy po prostu wywiad z Hunterem Pealem.

- Wywiad wyłącznie z Hunterem? Czy to oznacza, że Wilmot w ogóle nie weźmie udziału w nagraniu?

Len skinął głową.

- Proszę mi dać dwadzieścia minut na opanowanie bałaganu.

- Dobrze - zgodziłem się, wciąż zaintrygowany, co też takiego przytrafiło się Johnsonowi Wilmotowi. - Oczywiście, ma pan te dwadzieścia minut.

Podszedł do nas Hunter. W pierwszej chwili nie miałem pojęcia, co do niego powiedzieć. Był zbyt ułożony, zbyt spokojny i opanowany po tym, co się stało. Cokolwiek przytrafiło się Wilmotowi, gotów byłem postawić swoją roczną pensję, że sprawił to Hunter. Trzymał ręce splecione z tyłu, a jego szeroki uśmiech sprawiał, że przechodziły mi ciarki po grzbiecie.

- Cóż - powiedział głośno. - Biedny ten Johnson Wilmot.

- Zachorował - powiedział Sam Wieka. - A to nie oznacza, że wycofuje się z walki o nominację.

- Wszystko zależy od tego, czy prasa dowie się, co naprawdę się wydarzyło - stwierdził Hunter, a ton jego głosu świadczył, że dobrze postara się o to, aby prawdy o dzisiejszym incydencie dowiedziały się całe Stany Zjednoczone.

- Naprawdę? - zapytał Sam podejrzliwie.

- Naprawdę. - Hunter roześmiał się. - Pomyśl tylko. Nie może tym krajem rządzić człowiek, który nie potrafi zapanować nad własnymi zwieraczami.

ROZDZIAŁ XV

Oczywiście, prawda o przyczynie przerwania nagrania przez Wilmota szybko wyszła na jaw. Różne gazety różnie ją komentowały. „Christian Science Monitor” był chyba najbardziej dyskretny, komentując, iż wycofanie się gubernatora Wilmota spowodowane zostało „kłopotami żołądkowymi”. Większość gazet jednak nazywała rzecz po imieniu, pisząc o „ataku biegunki”, który dopadł kandydata na prezydenta.

Hunter, zaprezentowany w Election News w wywiadzie przeprowadzonym przez Lena Bailey, był pełen współczucia dla gubernatora Wilmota i życzył mu szybkiego powrotu do zdrowia.

- Wyścig nie ma już tego samego smaku w sytuacji, gdy nie biegnie w nim mój najdoskonalszy konkurent - powiedział.

„New York Post” skomentował te słowa, stwierdzając, że kontekst, w jakim użył Hunter słowa „biegnie” jest „nieszczęśliwy, ale odpowiedni”.

Usunąwszy na bok Wilmota, Hunter doskonale wykorzystał czas na antenie, w godzinach najlepszej oglądalności. Len Bailey przepytował go ostro i bardzo długo, atakując głównie jego ekstremalne poglądy na tematy militarne, jednak Hunter wpadł w trans i w pięknej, długiej wypowiedzi przekonał do swoich poglądów chyba nawet samego Lena Bailey. Czego bym nie powiedział na temat jego poglądów politycznych, jak bardzo bym nie pogardzał jego życiem erotycznym, musiałem przyznać, że Hunter zwietrzył pismo nosem i dokładnie zidentyfikował obawy, nadzieje i życzenia większości Amerykanów. Oglądając wywiad Huntera w Allen’s Corners, byłem tak zafascynowany, że niedopałek papierosa poparzył mi rękę, a serce biło mi w przyspieszonym rytmie.

W porządku, Hunter mówił zimnowojennym tonem. Ale czyż nie był to wreszcie czas, aby powiedzieć Rosjanom: „Koniec ustępstw”? Czyż nie był to czas, abyśmy wreszcie zażądali zwrotu ekonomicznych i politycznych długów za pomoc, której udzielaliśmy zagranicy, i za pieniądze, które utopiliśmy na Bliskim Wschodzie? Czyż nie był to najwyższy czas, abyśmy wreszcie poczuli się dumni z tego, że jesteśmy Amerykanami?

Siedziałem, sztywno wyprostowany, na jednym z krzeseł w pokoju łączności i wprost nie mogłem oczu oderwać od sylwetki Huntera Peala, widniejącej na telewizyjnym ekranie. Jennifer siedziała na biurku i trzymała swoją dłoń w mojej. Sam Wieka spoczywał, wygodnie rozwalony, na miękkim krześle po mojej lewej ręce. Było nas tu trzydziestu, a może czterdziestu, niemal cały sztab Huntera; tylko nasz mistrz i chlebodawca zamknął się samotnie w sypialni. Micky także była u siebie. „Odpoczywała”.

Wywiad dobiegał końca, gdy do pokoju wszedł Jim Klippers i skinął na mnie. Przeprosiłem Jennifer oraz Sama i podszedłem do niego, by spytać, czego chce.

- Nie przeszkadzaj, zamierzam obejrzeć ten program do końca - rzekłem opryskliwie.

- Pieprz ten program, wyjdźmy na zewnątrz - odparł.

Znalazłszy się na korytarzu, zamknąłem za sobą drzwi.

- O co chodzi? - zapytałem.

- Właśnie wróciłem z Danbury. Johnson Wilmot zwołał na dziewiątą konferencję prasową i jest niemal pewne, że właśnie wtedy wycofa się z walki.

- Z powodu tego incydentu w studio? Niemożliwe.

- Och, daj spokój, Jack. Przecież nie może ubiegać się o prezydenturę facet, o którym wszyscy wiedzą, że zesrał się w spodnie.

Zaciągnąłem się papierosem.

- Myślę, że masz rację - powiedziałem. - A więc jesteśmy najlepsi.

Jim nie potrafił powstrzymać radosnego uśmiechu. Odrobinę otworzyłem drzwi do pokoju łączności, tylko na tyle, aby widzieć ekran telewizora.

- Kilku poprzednich prezydentów odeszło, pozostawiając wiele naszych spraw za granicą nie rozwiązanych - mówił Hunter. - Pozostawili sprawy, które tykają w naszych sercach niczym bomby zegarowe w skrytkach bagażowych na największych dworcach lotniczych. Wkrótce na nowo rozgorzeje wojna wietnamska, a później na Bliskim Wschodzie wybuchnie rewolucja.

- Myślałem, że wojna wietnamska już dawno się zakończyła - zauważył Len Bailey ostrożnie.

Hunter przecząco potrząsnął głową.

- Wojna wietnamska nigdy się nie skończy. A przynajmniej tak długo, dopóki władzy nad Sajgonem nie obejmie rząd wybrany w wolnych, niezależnych wyborach. Przynajmniej tak długo, dopóki ostatni północnowietnamski partyzant nie zostanie przepędzony z Kambodży.

- Nie chce mi się w to wierzyć - powiedział Len Bailey zdziwionym głosem. - Czyżby chciał mi pan wmówić, że startuje pan do wyborów prezydenckich z hasłem odgrzania wojny wietnamskiej?

Hunter popatrzył na niego oczami tak zimnymi jak oczy ślepego orła.

- A czy pan chce mi wmówić, panie Bailey, że dopuszcza pan myśl, iż już do końca świata Ameryka będzie żyła ze świadomością, że została pokonana i upokorzona przez jedno z najbiedniejszych i najprymitywniejszych społeczeństw południowo - wschodniej Azji?

Znow zamknąłem drzwi pokoju łączności. Mój papieros dopalił się, otworzyłem więc okno korytarza i wyrzuciłem niedopałek na klomb, rozpościerający się tuż pod murem.

- Czy chcesz, żebym pojechał na konferencję Wilmota? - zapytał mnie Jim Klippers.

- Oczywiście - odparłem. - Myślę, że to doskonały pomysł. A ja pójdę do Huntera i powiem mu, co się wydarzyło.

- Zatelefonuję do ciebie, kiedy wszystko będę mógł ostatecznie potwierdzić.

- Dzięki.

Ruszył w kierunku wyjścia, ale zawołałem za nim:

- Jim! Odwrócił się.

- Co jest?

- Ile masz lat?

- Dwadzieścia jeden. A bo co? Milczałem przez chwilę.

- Zastanawiałem się właśnie, jak byś się czuł, gdyby ci teraz kazali jechać na wojnę do Wietnamu.

Przez kilka sekund myślał nad odpowiedzią. W końcu odparł:

- Nie wiem. Gdybym musiał, pewnie bym pojechał. Tak przypuszczam.

- Ale dlaczego? W jakim celu byś tam jechał?

- Nie wiem. Może po to, żeby pokazać Wietnamczykom, że wcale nas nie pokonali.

- To wszystko?

Milczał przez chwilę, po czym wyszczerzył zęby w uśmiechu i powiedział:

- Nie całkiem. Myślę, że chciałbym też postrzelać sobie na prawdziwej wojnie. Wiesz, paf! Paf!

Przez chwilę patrzeliśmy na siebie. Uśmiech nie zniknął z twarzy Jima. W końcu przerwałem ciszę. - W porządku. Skontaktuj się ze mną jak najszybciej. - Obserwowałem go, jak idzie długim korytarzem i znika za rogiem.

Rozważałem, czy nie wrócić do pokoju łączności i nie obejrzeć reszty wywiadu Huntera. Zdecydowałem jednak, że lepiej będzie, jeżeli popatrzę sobie na niego na żywo. Im dłużej Hunter pozostawał zamknięty w sypialni, im mniej go widziałem, tym bardziej wydawał mi się tajemniczy i przerażający. Ruszyłem w zamyśleniu śladem Jima Klippersa, aż dotarłem do schodów. Dobiegł

mnie głos z telewizora stojącego w bibliotece. Wciąż mówił Hunter.

- Tysiące młodych Amerykanów zginęło w Wietnamie. Boli mnie ich śmierć jeszcze dzisiaj, śmierć ich wszystkich razem i każdego z osobna, tak jakby byli wszyscy moimi synami. Kiedy Richard Nixon wycofywał naszą armię z Wietnamu, sprawiał równocześnie, że każda z tych śmierci stawała się bezsensowna i bezużyteczna. Czy ktokolwiek z nas pragnie, aby tak już pozostało?

Zacząłem wspinać się po schodach. Jeszcze kilka dni temu przysłuchiwałem się podobnym słowom z dreszczem przerażenia. Stary Hunter, Hunter, którego poznałem w Montanie, był spokojnym i miłym człowiekiem, takim, który wolał raczej leczyć rany, niż je jątrzyć i rozdrapywać. Dzisiejszy Hunter zdawał się szalony na punkcie dumy i potęgi Stanów Zjednoczonych. Zdaje się, że niczym była dla niego nawet groźba światowego konfliktu nuklearnego.

A jednak Hunter intrygował mnie. Nie mogłem pozbyć się przeświadczenia, że w gruncie rzeczy to, co przez cały czas mówi, jest w rzeczy samej słuszne, a w dodatku miłe dla amerykańskiego ucha. Oczywiście, że łatwiej jest zapomnieć o Wietnamie. Ale czy naprawdę nasi żołnierze musieli zginąć tam na próżno?

Bardzo wątpiłem, czy wizja kolejnej wojny w południowo - wschodniej Azji może doprowadzić Huntera na urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych, jednak tkwił we mnie przez cały czas cień sprzeciwu wobec tej myśli. Przecież w sumie wszystko zależało od charyzmy Huntera i od tego, czy inwazję Wietnamu przedstawi rodakom jako piękną amerykańską przygodę, czy brutalną, krwawą wojnę.

Gdy dotarłem do trzynastego stopnia, głos Huntera zanikł. Pomyślałem o młodym chłopaku, którego znałem w Butte. Nazywał się David Riches. Powrócił z Wietnamu na wózku inwalidzkim. Ciało miał zdeformowane, a nocami nawiedzały go przerażające koszmary. Wietnam zniszczył jego życie. Ale gdy usłyszał, że Nixon i Kissinger zawarli „honorowe porozumienie” z Le Duc Tho, przez cały dzień łkał w bezsilnej rozpacz.

Powoli dotarłem do drzwi Huntera i zapukałem.

- Kto tam? - zapytał Hunter.

- Jack Russo.

Cisza. Po chwili jednak usłyszałem:

- W porządku, Jack. Wejdz.

Pchnąłem ciężkie, drewniane drzwi. Hunter stał przy oknie i obserwował długie wieczorne cienie, kładące się na trawniku. Cień domu miał kształt rombu, z wyraźnie widocznymi zarysami kominów.

Zdziwiłem się, ujrawszy tu również Micky, w błękitnej bluzeczce i prostej spódnicy, stojącą przed lustrem i poprawiającą makijaż.

- Halo, Jack - powiedziała, gdy wszedłem. W jej głosie nie brzmiało nic szczególnego, nic nadzwyczajnego. Uśmiechnąłem się do niej i skinąłem głową.

- Oglądałeś mój wywiad w telewizji? - zapytał Hunter.

- Tak. Był bardzo dobry. Możemy być z niego zadowoleni.

- Możemy mieć kłopoty, gdy gazety zaczną rozpisywać się o Wietnamie. Dziennikarze rzucają się na to jak wściekłe psy.

- Też tak sądzę. Zawsze możemy jednak opublikować jakieś wyjaśnienie, sprostowanie. Coś, co mógłbym mówić, kiedy rozzwonią się telefony.

- Dobrze mówisz. Już coś takiego naszkicowałem - powiedział Hunter. Ruchem głowy wskazał mi nocny stolik. Podeszedłem i wziąłem do ręki pojedynczą kartkę papieru, zapisaną wyraźnym, starannym pismem Huntera.

Szybko przebiegłem tekst wzrokiem. Był wprost wzruszający. Miałem nadzieję, że gazety nie podejną do niego zbyt cynicznie.

- Hunter, przyszedłem powiedzieć ci, że gubernator Wilmot wycofał się - oznajmiłem, przeczytawszy tekst. - Zwołał konferencję prasową na dziewiątą wieczorem. Posłałem tam Jima Klippersa.

- Tak - mruknął Hunter.

- Nie jesteś zdziwiony?

- Nie, ani trochę. Zabrudzenie kałesonów to jedyna rzecz, jakiej nie powinien uczynić. Przecież to taki schludny mężczyzna, tak dbający o higienę, a tu taki klops. Poza tym Wilmotowi zdarzały się takie przypadki jeszcze w wieku siedmiu czy ośmiu lat i ma kompleks na tym tle. Sraczkomania, można by rzec. - Roześmiał się krótkim, chrapliwym, urywanym śmiechem. - Teraz, Jack - powiedział po chwili bardzo cicho - musimy się zainteresować przede wszystkim Randolphem Kressem. Po wycofaniu się Wilmota wzmoże się nacisk na niego. Znasz chyba Cyrusa Parrota z Krajowego Komitetu na Rzecz Wyboru Kressa, prawda? Może byś wziął go na spytki i wybadał, jak się czuje stary, dobry Kress.

- Skąd jednak wiedziałeś o Wilmocie? - zapytałem. - O tym, że robił w spodnie, kiedy był chłopakiem?

- Skąd wiedziałem? - powtórzył Hunter, jakby było to najgłupsze pytanie, jakie usłyszał w życiu.

- No, cóż, po prostu wiedziałem. Przeczucie.

- A więc jego pozamałżeńskiego dziecka nie uznałeś za swój dostateczny atut?

- Nie, nie o to chodziło. Po prostu sztuczka z kałesonami dawała znacznie szybszy efekt. I przyznasz, że o wiele bardziej dla niego kłopotliwy. Wielu ludzi znalazłoby jakieś wytłumaczenie dla pozamałżeńskiego dziecka. Ale jak wytłumaczyć się z pary brudnych kałesonów.

- Mówisz, jakbyś to ty spowodował.

- Tak uważasz? - zapytał Hunter, wpatrując się we mnie rozbawionym wzrokiem.

Opuściłem oczy i wbiłem wzrok w podłogę. - Nie wiem. Przez kilka ostatnich dni robisz takie rzeczy, że już nie wiem, co o tobie myśleć. Hunter podszedł do mnie i ujął mnie pod rękę.

- Jutro stąd wyjeżdżamy i udajemy się do Hartford. A stamtąd, już bez konkurencji Wilmota, ruszymy wzdłuż wybrzeża, od Greenwich do New Haven, aby zdobywać głosy tych cholernych tępaków ze średniej klasy, przyzwyczajonych do wygodnego fotela i telewizora, na chwałę Huntera Peala i Partii Republikańskiej.

- Powiedziałeś już o tym Wally'emu?

- Nie, jeszcze nie. Ale możesz zrobić to sam. Podbijemy ten kraj niczym burza. A potem prosto na prawybory do Pensylwanii i zmieciemy z powierzchni ziemi Randolpha Kressa.

Westchnąłem ciężkim, a jednak kontrolowanym oddechem.

- W porządku, Hunter. Zaraz skontaktuję się z Wallym. Myślę, że i Sam powinien wiedzieć, co się dzieje. W końcu odpowiada za finanse tej kampanii. Ta nie przewidziana podróż może wiele kosztować.

- Tak - stwierdził Hunter. - Ale przyniesie zwycięstwo.

Popatrzyłem na Micky. Przez cały czas obserwowała mnie w lustrze. Zdawało mi się, że mrugnęła do mnie okiem, jakby chcąc mnie uspokoić: ze mną wszystko w porządku, nie przejmuj się. Nie odpowiedziałem jej, ponieważ Hunter przez cały czas wpatrywał się we mnie uważnie.

- Bądź więc gotów do wyjazdu jutro o siódmej rano - powiedziałem do Huntera, nie spuszczając wzroku z Micky.

- W porządku. Właściwie to już jestem gotowy.

- Czy życzysz sobie, żebym zajął się czymś szczególnym? Czy o coś mam zadbać szczególnie pieczołowicie? Czy wysłać jakiś bagaż do Trenton?

Hunter dobrze wiedział, co mam na myśli, nie dał jednak tego poznać po sobie. Po prostu znów odwrócił się twarzą do okna i powiedział:

- Wszystko jest przygotowane. Zdążyłem już rozmawiać z Danem Klippersem na temat transportu bagaży.

- A więc do jutra - mruknąłem i wyszedłem z pokoju. Minąłem okienko o bursztynowej szybie, nie spoglądając na zewnątrz, mimo że miałem na to wielką ochotę. Jeszcze w sypialni zauważyłem, że Hunter spogląda na trawnik tylko dla jednego znajdującego się tam przedmiotu. Przedmiotu, którego zawartość wkrótce uczyni jego kampanię prezydencką wstrętnym, przerażającym koszmarem. Przedmiotem tym był duży, drewniany kufer na bagaże.

ROZDZIAŁ XVI

Nigdy wcześniej bym w to nie uwierzył, a jednak było to prawdą: w Hartford, w stanie Connecticut, Hunter powitany został jak bohater, powracający ze zwycięskiej wojny. Wylądowaliśmy w porcie lotniczym Brainard krótko po dziewiątej nad ranem, opadłszy na pas startowy sponad płaskich Wethersfield i wijącej się ostrymi zygzakami rzeki Connecticut. Mimo że dzień dopiero powoli budził się do życia, świeciło ostre słońce i było nieprawdopodobnie gorąco. Hunter jednak, w stalowoszarym, letnim garniturze, był rześki i radosny.

Gdy nasz odrzutowiec manewrował na pasie, Sam Wieka ciekawie wypatrywał przez iluminator.

- Czy widzicie tych ludzi? - wołał, bardzo zdziwiony. - Nie uwierzycie, ale oni czekają wszyscy na nas.

- Oczywiście, że czekają na nas. - Hunter pokiwał głową. - A raczej na mnie.

- Jezu Chryste - jęknął Sam, a Hunter nie wiadomo dlaczego, skrzywił się na dźwięk tych słów.

- Mam nadzieję, że przyszli tu w przyjaznych zamiarach - zauważył Donald Zarowski. - Nie chciałbym zostać rozdarty na strzępy przez rozwścieczonych Nowoanglików.

- Przyjaznych to słabo powiedziane - uśmiechnął się Hunter.

Oczywiście, miał rację. Jego telewizyjny wywiad poprzedniego wieczoru rozbudził nie tylko republikanów z prawego skrzydła mieszkających w Hartford, ale też większą część umiarkowanych. Sondaże prowadzone przez kilka następnych dni wykażą, że niemal wszyscy uprzedni zwolennicy Wilmota zaczęli identyfikować się z programem Peala, kompletnie ignorując Kressa czy DeVine'a.

Hunter mógł sobie być jastrzębiem, mógł prezentować linię konfrontacji, mógł prezentować konserwatywne poglądy. A jednak to on oddychał powietrzem zwycięstwa. Wyglądał jak zwycięzca i zachowywał się jak zwycięzca. I kiedy wzięło się pod uwagę, że Partia Republikańska po raz pierwszy od wielu lat miała szansę zrzucić z siebie piętno hańby Richarda Nixona, że po raz pierwszy mogła przezwyciężyć nieufność dotyczącą ją po aferze Watergate, nic dziwnego, że Hunter Peal cieszył się wśród jej członków z każdym dniem coraz większym poparciem. Nowy polityczny Mesjasz.

A ja bałem się go jak ognia. Jeszcze bardziej bałem się jego poglądów politycznych. No i poza tym nie dawało mi spokoju pytanie, co przydarzyło się Hunterowi w Allen's Corners. Wiedziałem jedynie, że było to coś bardzo złego.

W tym wszystkim obserwowałem już nie polityczne, ale niemalże religijne uwielbienie, jakim go darzono. Podważało ono gruntownie cały obraz Partii Republikańskiej, jaki sobie dotąd wyrobiłem. Przecież nie znajdowaliśmy się na północnym zachodzie Stanów czy też w Kalifornii. To był Connecticut. I po raz pierwszy od niepamiętnych czasów republikański, agresywny kandydat na prezydenta podbijał serca ludzi, którzy zawsze woleli popierać polityków złotego środka.

Zamówiłem szybkie badanie opinii wyborców po wieczornym wywiadzie Huntera na Kanale 55. Rezultatów spodziewałem się około południa. Jednak teraz, widząc te ogromne tłumy na lotnisku Brainard, mogłem jedynie pytać siebie, czego właściwie się obawiałem. Bez ryzyka błędu mogłem określić, że Hunter uzyska w Connecticut 60 do 70 procent głosów w prawyborach, a może i więcej.

Wyszliśmy z samolotu na płytę lotniska. Dziennikarze już na nas czekali. Po raz pierwszy w tej kampanii zauważyłem spora liczbę reporterów zagranicznych. Tłoczyli się przy schodkach prowadzących do samolotu i kiedy Hunter zrobił po nich pierwszych kilka kroków, rozległy się głosy:

- Tędy, senatorze.

- Tutaj, bardzo prosimy.

- Senatorze Peal!

Wyprzedziłem Huntera i znalazłszy się między dziennikarzami, rozpostarłem szeroko ręce, prosząc o ciszę.

- Senator Peal wygłosi pełne oświadczenie później, w Civic Center - oznajmiłem. - Wcześniej otrzymacie wydrukowane egzemplarze przemówienia, z góry jednak ostrzegam, że senator Peal przeważnie tylko w zarysach trzyma się tekstu wcześniej przygotowanych wystąpień. Zdaje się, że również dzisiaj czeka na was wiele niespodzianek. Takich, które zaskoczą nawet jego najbliższych osobistych przyjaciół.

Nastąpił wybuch śmiechu, po czym jakiś dziennikarz zapytał:

- Czy moglibyście nas uprzedzić, jeżeli planujecie taką niespodziankę jak gubernator Wilmot? Zdążylibyśmy uciec z hali.

Pomachałem rękami.

- Zechcą państwo przyjąć do wiadomości, że dziś nad ranem senator Peal napisał list do gubernatora Wilmota. Wstał z łóżka o godzinę wcześniej, aby to uczynić. Wyraził w nim swoje współczucie dla gubernatora i podziw dla jego osobistych zalet. Możecie później otrzymać kopie tego listu.

Głos zabrał dziennikarz „New York Post”:

- Senatorze Peal, rozmawialiśmy z senatorem Kressem z Kalifornii. Poinformował nas, że zdecydował się rozpocząć kampanię pod hasłem „Powstrzymajmy Peala”. Kress twierdzi, że reprezentuje pan niebezpieczne skrzydło Partii Republikańskiej i stanowi zagrożenie dla całego narodu.

Hunter uśmiechnął się.

- Zdaje się, że ostatnia taka kampania „powstrzymania” w Partii Republikańskiej miała miejsce w roku 1968, kiedy Nelson Rockefeller próbował powstrzymać Richarda Nixona.

- No i co przydarzyło się Nixonowi? - rzucił jakiś reporter ostrym tonem.

- Oczywiście, dobrze nie skończył - odparł Hunter. - Ale weźcie też pod uwagę późniejszy los Rockefellera.

- Czy to prawda, senatorze Peal, że ma pan zamiar na nowo rozpocząć wojnę wietnamską? - zapytał dziennikarz z Anglii.

Hunter, wciąż stojący na schodkach prowadzących do samolotu, zmarszczył czoło.

- Kto to powiedział?

- Ja, proszę pana. George Walker, z Londynu, z „Daily Telegraph”.

Hunter ścisnął kapelusz. Uczynił to pięknym gestem, jakby właśnie teraz oddawał hołd wszystkim poległym w wojnie.

- Chciałbym pana o coś zapytać, panie Walker - powiedział głębokim, pełnym uczucia głosem. - Gdyby Wielka Brytania zakończyła wojnę z Hitlerem w taki sam sposób, w jaki Ameryka zakończyła ją z Wietnamem, jak by się pan teraz czuł? Przypuśćmy, że Churchill poszedłby na jakiś wymuszony kompromis, który zachowywałby niepodległość Anglii, lecz oddawałby Europę na łaskę i niełaskę Hitlera. Co by pan o tym myślał? Czy nie uważa pan, że krew tych wszystkich młodych żołnierzy, którzy oddali życie nie dla jakiegoś hańbiącego kompromisu, lecz dla ideału ocalenia wolnego świata, nie wołałaby z grobów o pomszczenie? A co by pan wówczas myślał o tych wszystkich nieszczęśnikach we Francji, w Belgii i w Polsce, którym Wielka Brytania gwarantowała poparcie? Jak by pan się czuł, gdyby pański rząd pozwolił im przegrać nierówną walkę z faszystowskim reżimem? Czy byłby pan dumny, że pański kraj przetrwał wojnę? Czy czułby się pan dobrze? Czy czułby się pan bezpieczny w obliczu niezrównoważonego totalitarnego wroga, wciąż stojącego u

pańskich drzwi? Nie! - krzyczał Hunter. - Po prostu by się pan wstydził. Czułby się pan jak śmieć bez honoru. Czułby się pan jak tchórz! A grzech popełniony przez pański kraj wcale nie nazywałby się tchórzostwem. Byłaby to po prostu polityczna głupota! Nie mogę teraz przysiąc, że rozpocznę wojnę w Wietnamie od nowa. Musiałbym posłuchać rad Połączonych Szefów, musiałbym wcześniej przeczytać wiele raportów wywiadowczych. Ale jedno wam obiecuję. Nasz wielki naród będzie mógł pewnego dnia z dystansu spojrzeć na to, co uczyniła w południowo-wschodniej Azji prezydentura Huntera Peala i nie będzie w tym kraju ani jednej kobiety, mężczyzny czy dziecka, które będzie się tego wstydziło.

W końcu, otoczeni i poszturchiwani przez tłum dziennikarzy, precyzyjnie się do stojącego nieopodal i czekającego na nas lincolna continentala. Zza płotu obserwowały nas tłumy ludzi; kiedy Hunter ukazał się im, zaczęli wrzeszczeć i wiwatować, machając kolorowymi chorągiewkami. Zanim wsiedliśmy do samochodu, Hunter długo pozdrawiał ich, machając rękami.

- Hunter, Hunter - rozlegało się po całym lotnisku.

- Nigdy nie widziałeś czegoś takiego - stwierdził Sam Wieka. - Nie wiwatowali tak nawet samemu JFK.

Samochód ruszył. Przez pierwszych kilkanaście metrów towarzyszyli mu jeszcze fotoreporterzy, próbując wykonać przez szyby ostatnie zdjęcia. Wyjechaliśmy z lotniska i skręciliśmy w lewo, na szosę numer 91. Tłumy pozdrawiały nas jeszcze wzdłuż drogi, wykrzykując imię Huntera i zapamiętane wymachując flagami i chorągiewkami. Przypominało to zapał, z jakim wyznawcy Billy'ego Grahama wiwatowali na cześć swojego mistrza. Właśnie ten aspekt charyzmy Huntera uderzał mnie najbardziej po dniach spędzonych w Allen's Corners. Uwielbienie dla niego było niemalże religijne. Ludzie prosili, aby ich dotykał, aby zmówił modlitwę za czyjąś chorą żonę albo żeby pocałował czyjeś nieuleczalnie chore dziecko.

Wkrótce, w drodze do centrum miasta, mijaliśmy Colt Park.

- Kennedy i Unsworth oszaleją, gdy usłyszą o dzisiejszym poranku - stwierdził Hunter z satysfakcją. - Naprawdę oszaleją. To przecież do dzisiaj wydawało im się niemożliwe. Oto agresywny republikanin podbija ich Hartford.

- Wręcz nieprawdopodobne - rzuciłem.

- Poczekaj, aż znajdziemy się w Massachusetts - roześmiał się Hunter.

Reszta tego poranka była jednym szalonym chaosem. Hunter wziął udział w lunchu wydanym na jego cześć przez Komitet na Rzecz Wyboru Huntera Peala (łosoś na zimno i sałatki), a potem wszyscy pośpieszyliśmy do Mark Twain Hall na spotkanie z miejscowymi zwolennikami Huntera. Nastrój był niemal euforyczny. Wszędzie było pełno kamer i aparatów fotograficznych, a nieprawdopodobną gorączkę potęgowały jeszcze potężne reflektory ekip telewizyjnych. Rozhisteryzowane republikanki w kolorowych kapeluszach dotykały dłoni Huntera, jakby był Bogiem albo co najmniej prorokiem.

Przepchnąwszy się wreszcie przez tłumy, Hunter stanął na podwyższeniu, otoczony czerwono-białymi i niebieskimi flagami i wielkimi rozetami. Za jego plecami znajdował się ogromny napis, głoszący po prostu: „Peal prezydentem”. Tłum przed nim szalał i trząskał składanymi krzesłami. Powiewały flagi, co chwilę z jakiegoś końca sali rozlegały się oklaski; zdawało się, że cała sala jest pijana pewnością przyszłego zwycięstwa.

I ja zaraziłem się tym entuzjazmem. Niespodziewanie stwierdziłem, że stoję przy podwyższeniu, wiwatując i klaszcząc jak wszyscy pozostali na tej sali. W tej samej chwili podeszła do mnie jakaś młoda dziewczyna. Gdy pociągnęła mnie za rękaw, w pełni opamiętałem się.

- Jest telefon do pana - powiedziała. - To pani Dwyer.

- Powiedz jej, że zadzwonię do niej później.

- Mówiła, że ma bardzo pilną wiadomość. Popatrzyłem na zegarek. Nerwowy ruch, który właściwy jest mężczyznom na moim stanowisku.

- W porządku. Powiedz jej, że zaraz się z nią skontaktuję.

Podszedłem do Donalda Zarowskiego, siedzącego za sceną z filiżanką kawy, i powiedziałem mu, żeby miał oko na Huntera. W planie jego wystąpienia było omówienie planowanej reformy Kongresu i rozwinięcie projektu interwencji w południowo-wschodniej Azji, ale Bóg wie, co facetowi tym razem przyjdzie do głowy. Oczywiście, z szybkością huraganu zdobywał dla siebie nowych wyborców, jednak do Krajowej Konwencji Republikanów były jeszcze trzy miesiące i wszystko miało prawo wydarzyć się w tym czasie.

W ciągu trzech miesięcy, zakładając, że Hunter Peal wciąż będzie odnosił sukcesy, reprezentant Leonard Oliver z Illinois może przecież zgłosić swoją chęć kandydowania na najwyższy urząd, mimo że powszechnie wiadomo było, iż zachowuje swe szanse na rok 1984. A poza wyjątkową charyzmą, Leonard Oliver posiadał bezgraniczne poparcie demokratów z Południa, co sprawiało, że był siłą, z którą należało bardzo się liczyć. O ile Hunter z pewnością zechciałby po wyborze dość brutalnie naciskać na Kongres, czego tenże raczej nie tolerowałby po doświadczeniach z Haldemanem i Ehrlichmanem, Oliver z pewnością postępowałby w bardziej subtelny i wyszukany sposób, tworząc misterną sieć powiązań i zależności.

Znalazłem telefon na ścianie przy drzwiach prowadzących na scenę. Podniosłem słuchawkę i wystukałem numer Jennifer.

- Jennifer?

- Jack? Czy jesteś bardzo zajęty?

- Hunter właśnie rozpoczyna przemówienie.

- A ja właśnie zameldowałam się w Holiday Inn. Jim Klippers mi pomógł.

- A więc teraz pora na randki z Jimem Klippersem.

- Nie wygłupiaj się. Chcę być z tobą. Podrapałem się po szyi. Słyszałem, jak w sali orkiestra gra Znow w Kolorado; Hunter zaadoptował ten utwór jako hymn swojej kampanii. Za kilka minut więc rozpocznie się jego wystąpienie.

- Jennifer, czy nie moglibyśmy porozmawiać trochę później? W którym jesteś pokoju?

- Jack, stało się coś strasznego.

- Co, na przykład? Posłuchaj, Jennifer. Dłużej naprawdę nie mogę rozmawiać.

- Jack, proszę cię - nalegała. - Czy pamiętasz specjalistę, którego wezwaliśmy z Nowego Jorku, żeby zbadał Huntera w Allen's Corners?

- Tak, doktor, jak mu tam, zapomniałem nazwiska. Doktor Gartenbaum. Zdaje się, że bardzo się spóźnił. Nie wiem, co się potem z nim stało.

- Znaleźli go - powiedziała Jennifer.

Orkiestra grała teraz crescendo, a ja słyszałem tłum grzmiący: „Kolorado, Kolorado, przyjmij mnie do serca swego”.

- Znaleźli go? Co przez to rozumiesz? Kto go znalazł?

- Policja stanowa. Dziś nad ranem jego ciało zostało znalezione na parkingu przed New Milford.

- Jego ciało? Żartujesz!

- Nie żartuję, Jack. Był telefon do Allen's Corner krótko potem, jak wyjechaliście z Hunterem. Jim podniósł słuchawkę, bo nikogo innego już nie było. Powiedzieli, że doktor Gartenbaum nie żyje i że w grę absolutnie nie wchodzi samobójstwo, gdyż ciało jest strasznie okaleczone.

Wyciągnąłem z kieszeni koszuli paczkę winstonów i wytrząsałem jednego, aby zapalić. Szybko

zaciągnąłem się głęboko dymem. Uwaga: Departament Zdrowia ostrzega, że angażowanie się w politykę może ujemnie wpłynąć na twoje zdrowie.

- Co się stało? - zapytałem zachrypniętym głosem. - Powiedzieli coś?

- Został zmiażdżony. Ściśnięty na miazgę. Jakby spadło na niego coś ciężkiego. Problem w tym, że policja nie znalazła niczego, co mogłoby spowodować taką śmierć.

- Och, Jezu.

Po długiej ciszy Jennifer zapytała:

- Czy to będzie miało wpływ na kampanię?

- Nie wiem - odparłem. - Zależy, kto się o tym dowie. Zdaje się, że był specjalistą od zaburzeń schizofrenicznych. Jeżeli gazety wyniuchają, że jechał właśnie do Huntera, aby sprawdzić, czy facet jest przy zdrowych zmysłach... Boże, lepiej o tym nie myśleć.

W wielkiej sali Hunter grzmiał już w najlepsze: „Zamierzam odbudować prestiż naszego narodu za granicą i wyleczyć choroby drażące nas tutaj, w Ameryce. Nadszedł czas, abyśmy opuścili dolinę rozczarowań i desperacji, abyśmy wspięli się na szczyty, z których widać chwałę i świt nowego, wspaniałego dnia Ameryki, z których widać początek wspaniałości, potęgi i prosperity gospodarczej.”

- Jeżeli Hunter naprawdę jest, chociażby odrobinę, szalony, czy nie lepiej byłoby, żeby gazety dowiedziały się o tym lekarzu? - zapytała Jennifer cichym głosem.

- Nie wiem - odparłem. - Nie sądzę, aby łatwo było podjąć decyzję w tej sprawie.

- Nie rozumiem cię.

- Być może nie rozumiesz dlatego, bo nie ma cię tu w tej chwili przy mnie. Musiałabyś zobaczyć, co się tu teraz dzieje. Hunter jest jak sztorm, niepowstrzymany.

- Ale przecież w Sherman zachowywał się...

- No i co z tego? - przerwałem jej. - Jest dziwny, szalony i wszystko wskazuje na to, że się nie zmieni. Ale zyskuje przez to coraz więcej zwolenników. Ludzie śpiewają na jego cześć i na jego cześć płaczą najautentyczniejszymi łzami. Może to my straciliśmy w Sherman równowagę przez te jego iluzje i tym podobne.

- Nie mów, że taki Hunter ci się podoba.

- Nic takiego nie twierdzę. Ale twierdzę, że taki Hunter może wygrać wybory prezydenckie.

- Czy dla ciebie liczy się tylko to zwycięstwo? Jack, mówisz, jakbyś był pijany.

- Oczywiście, że mówię, jakbym był pijany. To, co się tutaj dzieje, to prawie świętowanie zwycięstwa. Hunter ma za sobą niemal całą Partię Republikańską. Jeśli tylko nie straci głowy albo jeśli Oliver nie wystartuje przeciwko niemu, to ma w zasadzie zwycięstwo w kieszeni.

- Jack, zginął człowiek. Nie żyje doktor Gartenbaum i ktoś go zabił. Zrobił z niego miazgę.

- Wiem, Jennifer. Ale to jeszcze nie znaczy, że jesteśmy zobowiązani poinformować dziennikarzy, iż jechał właśnie na wizytę do Huntera Peala, prawda? Nie ma żadnych powodów, aby wiązać tę śmierć w jakikolwiek sposób z Hunterem. Hunter czyni tu właśnie wspaniałe rzeczy. I skoro ci ludzie wierzą mu, chcą go, nie mogą zakłócać ich wiary opowiadaniem brukowym dziennikarzom o jego problemach psychicznych. To nic nie pomoże doktorowi Gartenbaumowi, zgodzisz się? Za to mogłoby zdyskredytować najlepszego prezydenckiego kandydata, jakiego kiedykolwiek miała Partia Republikańska.

- A jeżeli, przypuścimy tylko, jeżeli Hunter miał jednak z tym coś wspólnego? - Głos Jennifer był roztrzęsiony.

- Ze śmiercią doktora Gartenbauma? W jaki sposób?

- Och, nie wiem. Tylko ci coś sugeruję. Przecież mógł łatwo kogoś na niego nasłać.

- No, w każdym razie nie mnie - zapewniłem ją. - Również Sama Wickę wykluczyłbym z kręgu podejrzanych, ponieważ doktor Gartenbaum był jego przyjacielem. No i, oczywiście, nie mógł to być Hunter osobiście, ponieważ przez całe trzy dni, kiedy nie przebywał w moim towarzystwie, był zamknięty w swojej sypialni.

- Czy jesteś tego pewien?

- No cóż, nie widziałem go wtedy przecież.

- Skąd więc wiesz, że nigdzie nie wychodził?

- Jennifer - westchnąłem z rosnącą niecierpliwością - czy chcesz dowieść, że starszy senator, ubiegający się o prezydenturę, pewnej nocy wyskoczył przez okno swojej sypialni, zniknął z pola widzenia swoich pracowników, swoich goryli i w ciemną noc oczekiwał na jakimś zapomnianym parkingu na lekarza, którego nawet nie znał osobiście, aby go zabić, zmasakrować i pozostawić zwłoki, żeby świadczyły przeciwko niemu? Przecież to jest niedorzeczne.

Przez moment milczała, po czym przyznała:

- Cóż, chyba masz rację.

- Chyba?

Westchnęła ciężko, ze zrezygnowaniem.

- Masz rację. Ale zdaje się, że Hunter poważnie zawrócił ci w głowie.

- Nie zapomniałem jeszcze Allen's Corners - zapewniłem ją. - Nie zapomniałem, jaki był Hunter, zanim tam się znaleźliśmy. Nie zapomniałem tego wszystkiego, co tam zobaczyłem i co mnie przeraziło. Ale przecież nikomu nic się nie stało, prawda? Micky czuje się już zupełnie dobrze. A Hunter rozgrywa swoją partię tak, że może tylko wzbudzać mój podziw i zazdrość. To jest fantastyczne, szkoda, że cię tu nie ma. Zamów taksówkę i przyjedź.

- Jack. Jeszcze coś...

Usłyszałem wielki aplauz dla Huntera dochodzący z sali i tłumy znów zaczęły śpiewać, tym razem zupełnie spontanicznie. A nad tym wszystkim grzmiał głos Huntera, głośniejszy niż do tej pory:

„Pozwoliliśmy się zwodzić i oszukiwać politykom, którzy wbijali nam do głów, że działają racjonalnie. Że mamy już dość pocisków dalekiego zasięgu, że więcej nam i tak nie potrzeba. Pozwólcie jednak, że coś wam powiem: jeżeli mamy chociaż jedną rakietę za mało, chociaż jedną, oznacza to, że jesteśmy nadzy i bezbronni, tak jak byśmy nie mieli nic. Wszystkie dolary z naszych podatków wydane na obronę mogłyby wówczas z równym powodzeniem zostać wyrzucone w błoto. Przyjaciele, z waszym poparciem zamierzam zmienić tę sytuację, i to bardzo szybko. Słowo racjonalność jest nieodpowiednie, gdy rozmawiamy o zbrojeniach nuklearnych. Według mnie powinno zastąpić je inne, jedyne odpowiednie: dominacja.

Słuchacze jakby oszaleli. Słyszałem gwizdy, krzyki, śpiewy, a i orkiestra znalazła się na miejscu, rozpoczynając hymn kampanii Huntera. Nawet z mojego miejsca za sceną widziałem wzlatające w górę kolorowe serpentyny i kapelusze. Jeden z nowojorskich dziennikarzy zauważył później: „Czyżbyśmy znajdowali się w Arizonie? A może w Kolorado? A może to jakaś zapadła dziura w Pensylwanii? Nie, to wszystko wydarzyło się w Hartford, w stanie Connecticut. Człowiekowi trudno jest objąć umysłem to, czego dokonał Hunter Peal. Stał oto na podwyższeniu i zachowywał się jeszcze agresywniej niż Goldwater w 1964 roku, przemawiając do ludzi, którzy chyba nie pamiętali o tym, że w tymże 1964 roku Johnson wygrał z Goldwaterem w Connecticut aż o 435 tysięcy głosów. Jeszcze przed kilkunastoma godzinami, kiedy gubernator Wilmot ogłosił swoje wycofanie się z walki, można było sądzić, że Peal prezentuje postawę zbyt ekstremistyczną jak na Connecticut Fairfield County, jedyny tradycyjnie republikański dystrykt w całym stanie. Mówiono, że powtórzy się rok 1964 i w listopadzie znów zwyciężą tu demokraci. To, co wydarzyło się w

Hartford, jest swego rodzaju politycznym cudem”.

- Jack? Jesteś tam jeszcze? - zapytała Jennifer.

- Przepraszam cię - odpowiedziałem. - Oczywiście, że jestem. Nasłuchiwałem odgłosów z sali.

Słyszysz, jak wiwatują?

- Widzę to w telewizorze.

- Muszę tam iść.

- Ale jest coś jeszcze... Czy mnie słyszysz?

- Tak, słyszę cię. Ale mów szybko.

- Właśnie przywieźli furgonetką bagaż Huntera z Sherman.

- Wiem o tym. Wally Greenschein był za to odpowiedzialny.

- Jest wśród tych rzeczy wielki drewniany kufer. Przynieśli go razem ze wszystkimi walizkami.

Widziałam, jak rozładowywali furgonetkę na zapleczu Holiday Inn.

- Jennifer...

- Proszę, pozwól mi dokończyć. To jest wielki drewniany kufer i wwieźli go do apartamentu Huntera służbową windą. Wygląda, jakby ważył tonę. Zaciekawiał mnie, zapytałam więc jednego z portierów, co to takiego.

- No i?

- Powiedział, że nie wie, ale jest to cholernie ciężkie. Huntera nie było, kiedy to przywieźli, ale mieli polecenie, żeby zostawić kufer w jednej z sypialni. Portier powiedział, że w tej sypialni wszystkie zasłony były zasłonięte, mimo wczesnego poranka.

- Jennifer - westchnąłem. - Muszę zajmować się kontaktami Huntera z prasą, a nie jego bagażami. Nie wiem, co on wozi ze sobą i jeśli chodzi o mnie, uważam to za jego osobistą sprawę.

- Tak jak kochanie się z jakąś nieznaną dziewczyną? Wówczas mówiłeś coś zupełnie innego.

- Co dziwnego widzisz w tym kufrze? - zapytałem pokonany. - Może wozi z sobą jakieś ulubione książki?

- Jakie książki? Zdaje się, że nie miał ani jednej w Sherman, prawda? A furgonetka załadowana została właśnie w Allen's Corners i przyjechała prosto do Holiday Inn w Hartford.

- Jennifer, kochanie. Jestem zbyt zajęty, żeby teraz o tym myśleć. Na razie poszukam Sama Wickę i opowiem mu o doktorze Gartenbaumie.

- Jednak portier powiedział, że ten kufer przeraził go.

- Dlaczego? Czyżbyśmy za mało zapłacili za wtaszczenie go do apartamentu Huntera?

- Ja mówię poważnie. Powiedział, że usłyszał jakieś głosy dobiegające ze środka. Zawołał coś w rodzaju „Kto tam?”, ale wówczas głosy zaraz umilkły.

- Czy był pijany? - zapytałem ze zniecierpliwieniem. - Wygląda, że raczej tak, prawda?

- Był zupełnie trzeźwy. Przysięga, że słyszał te głosy.

- No i co one mówiły? „Wypuście nas”?

- Jack, ten facet naprawdę nie był pijany. Przeraził się. Powiedział, że głosy były chrapliwe, niewyraźne i zupełnie nie zrozumiał, co też takiego szepczą. Stwierdził, że używały języka, którego on nie rozumie.

- Jennifer, dosyć tego. Przepraszam cię, ale tu się dzieją właśnie cholernie ważne rzeczy. Tłumy szaleją na widok Huntera. Za trzy minuty mam spotkanie z dziennikarzami na temat projektu reformy Kongresu, wysuniętego przez Huntera. Doktor Gartenbaum nie żyje. A ty mi tu pleciesz o jakichś szepczących kufkach.

- Czy ciebie to nie przeraża? Po tym wszystkim, co się stało w Allen's Corners?

- Cholera, jestem zbyt zajęty, żeby się czegoś bać!

Z wielkiej sali dobiegał do mnie głos Huntera, zniekształcony, dudniący, jak głos człowieka krzyczącego coś z maleńkiej łodzi na morzu w kierunku brzegu. Odgłos fal oceanu przypominały okrzyki i oklaski znajdujących się w ekstazie dwóch tysięcy republikanów, którym zdawało się, że znaleźli swojego nowego lidera.

„Poprzedni prezydenci doprowadzili ten kraj od dominacji nad światem do tego, co uważali za radosny i pełen zadowolenia spokój i dobrobyt. Chcieli zbudować kraj zapatrzony w siebie, kraj, który zajmuje się tylko sobą i pozwala reszcie świata pograżać się w piekle chaosu i nienawiści”.

- Jennifer, zadzwonię później - powiedziałem do słuchawki.

Hunter wciąż grzmiał:

„Nie możemy jednak pozwolić sobie na egoizm wobec świata. Jeśli przyjmujemy taką postawę, komunizm wkrótce zaleje cały glob ziemski i będziemy już tylko mogli sobie pomarzyć o wolnym handlu, swobodzie podróżowania i, co najważniejsze, o tym, że kiedyś będziemy bezpieczni w naszym kraju. Czy uważacie, że Barry Goldwater przed szesnastu laty nie miał racji? Czy uważacie, że John Foster Dulles nie miał racji dwadzieścia sześć lat temu?”

Odwiesiłem słuchawkę. Aplauz słuchaczy był wprost ogłuszający. Myślę, że w tej chwili nieważne już dla nich było, co mówi Hunter. Wysunąłem się na scenę i ujrzałem go, stojącego na swym podium, oświetlonego potężnymi reflektorami, zaciskającego pięści. Na jego twarzy malowała się taka siła, tak wielkie podniecenie i tak słuszny gniew, że mimo woli zadrżałem na całym ciele - z podniecenia i strachu zarazem.

Wówczas, w chwili gdy przecierałem oczy, piekące mnie z powodu ostrego światła bijącego z reflektorów, odczułem pełen ciężar odpowiedzialności za to, co robi Hunter. Jego słuchacze zapomnieli o swoich krzesłach, stali, podskakiwali, wymachiwali zaciśniętymi pięściami i wywoływali imię Huntera rozhisteryzowanymi głosami. Ich twarze wyrażały oszołomienie i ekstazę. Hałas, jaki wywoływali, był wręcz nieprawdopodobny.

Obok mnie, za kurtyną, stał Donald Zarowski. Jego twarz błyszczała pokryta kropelkami potu. Kiedy zbliżyłem się do niego, spojrzał na mnie uważnie i rzekł:

- Nie mogę uwierzyć w to wszystko. Czy ty słyszysz, co on wygaduje? A popatrz na nich.

- On mówi tylko to, co ci ludzie pragnęli usłyszeć od wielu lat.

- Naprawdę tego chcieli? Naprawdę pragną walczyć z komunistami, powrócić do Azji południowo-wschodniej, marnować podatki na rakiety balistyczne? Jack, jak my wszyscy jestem republikaninem, ale to, co tu słyszysz dookoła, to jest zwykłe rozrabiactwo. Nie przeraża cię to?

Popatrzyłem uważnie na Huntera, wciąż krzyczącego ze swego podwyższenia.

- Oczywiście, że przeraża. Boję się tak bardzo, że aż nie chcę o tym myśleć. Skoro jednak tego chce słuchać większość Amerykanów z ust swojego prezydenta, to jest właśnie demokracja, czyż nie?

Donald potrząsnął głową.

- Moim zdaniem bezsensowna jest demokracja, która z całą pewnością doprowadzi do atomowej zagłady.

- Jesteś zbytnim pesymistą.

- Bo się boję. Chciałbym raczej głosować na kogoś, kto zapewni mnie, że nigdy żadna bomba atomowa nie spadnie mi na głowę.

Podszedł do nas Sam Wieka. Wyglądał żałośnie, przemęczony, w pogniecionym garniturze, ze zmarszczonym czołem i dopalającym się cygarem w dłoni.

- Jack - powiedział krótko. - Właśnie rozmawiałem z Jimem Klippersem.

- A więc słyszałeś już o doktorze Gartenbaumie. Pokiwał głową twierdząco.

- Jedźcie do nas policja. Chcą zadać kilka grzecznych pytań.

Powiedziałem do Donalda przepraszam i ująwszy Sama za łokieć poprowadziłem go w jakiś ciemny kąt za sceną. Staaliśmy pod plakatem reklamującym Śpiącą piękność. Donald popatrzył za nami ze złością, jednak doskonale zdając sobie sprawę, w jakim stopniu rozwiązują mu język dwie małe szklaneczki whisky, nie zamierzałem ryzykować żadnych przecieków w sprawie doktora Gartenbauma.

- Co im powiesz? - zapytałem Sama.

- Powiem, że cała ta kampania bardzo mnie osłabiła. Powiem, że zatelefonowałem do Aarona? Gartenbauma, żeby mnie zbadał i zapisał jakieś tabletki.

- Zatelefonowałeś do eksperta psychiatrii?

- Był moim przyjacielem.

- Przyjaciel czy nie, przecież nie wzywałbyś wybitnego chirurga, żeby obciął ci zawadzający paznokieć, prawda?

- Chyba nie. Ale myślę, że bajeczka jest w tym przypadku przekonująca. A poza tym muszę chronić Huntera.

- Zdawało mi się, że Hunter cię rozczarowuje - powiedziałem, sięgając po kolejnego już dzisiaj papierosa.

- Spójrz na tych ludzi - zatoczył szeroki łuk ręką. - Oni go potrzebują. To, co ja o nim sądzę, nie ma znaczenia.

Zapaliłem papierosa.

- Jak blisko byłeś z doktorem Gartenbaumem?

- Z Aaronem? Przez wiele lat siedzieliśmy w szkole w jednej ławce. W czasie studiów trochę straciliśmy kontakt, nie byliśmy więc już tak sobie bliscy, ale wciąż spotykaliśmy się kilka razy w roku. Lubiłem go. Był miłym, inteligentnym facetem.

- Czy, eee... czy nie wiesz...

- Nie - powiedział Sam zdecydowanie. - Nie mam pojęcia, kto mógłby go zabić i dlaczego. W obecnych czasach nie można być niczego pewnym. Dzieciaki zabijają starsze panie dla kilku dolarów. Gówniarze podpalają domy dla zabawy. To mógł być ktokolwiek i z jakiegokolwiek powodu.

Otoczyłem go ramieniem. Zagryzł wargi. Czułem, że z trudem powstrzymuje łzy.

A Hunter niestrudzenie krzychał:

„Nie dajcie sobie wmówić, że rozbudowa naszej potęgi nuklearnej będzie nas zbyt wiele kosztować. To nieprawda. Potęga oznacza zaufanie, zaufanie ze strony innych krajów, a to właśnie zaufanie umocni amerykańskiego dolara”.

ROZDZIAŁ XVII

Po spotkaniu w Mark Twain Hall odbyliśmy dziewięćdziesięciminutową konferencję prasową. To było gorsze niż piekło z Boskiej Komедii Dantego. Krzyki, wrzaski, wyzwiska, wybuchy aplauzu, oklasków. A wszystko to wśród co chwilę błyskających fleszy, przywodzących na myśl pioruny podczas letnich burz.

Jeszcze dwa dni temu, na początku kampanii w Connecticut, Hunter Real uważany był przez massmedia za jeszcze jednego mało ważnego kandydata, który nie ma żadnej realnej możliwości, aby liczyć się w zmaganiach o prezydenturę. W momencie rezygnacji gubernatora Wilmota zaczęto go brać trochę bardziej poważnie, chociaż i tak „Washington Post” nazwał go lekceważąco „kowbojem, który stał się magikiem”.

Dzisiaj wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Nawet najbardziej cyniczni komentatorzy nie mogli zaprzeczyć temu, że Hunter ma ogromną szansę, aby zostać kandydatem prezydenckim republikanów i Kress oraz DeVine będą musieli bardzo się starać, żeby wyprzedzić go podczas krajowej konwencji w Detroit. Hunter Peal był na pewno ekstremistą, ale zyskiwał coraz większe poparcie i nie powstrzymany parł do swojego celu.

Dzień wcześniej dziennikarze poprosili go, żeby pokazał im jeszcze trochę magicznych sztuczek.

- Chcielibyśmy zobaczyć jeszcze trochę B-52, senatorze...

Dzisiaj jednak pytano go już o kryzys energetyczny i o to, co rzeczywiście zamierza przedsięwziąć w południowo-wschodniej Azji. Pytano go też, w jaki sposób zamierza powstrzymać rozkwit przestępczości w wielkich miastach.

- Powiem wam coś, przyjaciele - mówił Hunter, wznosząc wzrok ku niebu. - Będę pierwszym prezydentem, który otwarcie zechce przyznać, że biedacy Ameryki zawsze pozostaną biednymi i żadne programy socjalne, medyczne czy edukacyjne nie zmienią tego faktu. Możemy wierzyć, że wszyscy ludzie rodzą się równi, możemy być przekonani, że segregacja rasowa to przestępstwo, ale, niestety, wiary i przekonań nie da się zamknąć w paragrafy. Nasze miasta stają się coraz bardziej niebezpieczne, ponieważ dopuściliśmy do tego, aby rozpanoszyła się w nich biedota. A tam, gdzie gnieździ się biedota, tam muszą być i wszystkie zjawiska towarzyszące biedzie: kradzieże, gwałty, uzależnienie od narkotyków, podpalenia... Nic więc dziwnego, że nasza klasa średnia coraz gwałtowniej ucieka z wielkich miast. A wraz z nią nasze miasta tracą nie tylko moralnych i intelektualnych przywódców, ale i podatki, które ci ludzie by płacili. Miasta zamieszkałe przez biednych są biedne, a bieda i przestępczość to dwie siostry.

Zamierzam powstrzymać taki rozwój sytuacji, i to powstrzymać bardzo szybko. W tym celu zaprojektowałem program federalny, o jakim żaden prezydent do tej pory nie śmiał nawet pomyśleć. Zamierzam przywrócić naszym miastom świetność. Zaczę od tego, że utworzę w miastach, w głównych miastach, enklawy, w których ceny będą tak cholernie wysokie, że na zamieszkanie w nich pozwolą sobie tylko bogaci. Wyobraźcie sobie piękne, chronione przez policję enklawy, z luksusowymi sklepami i doskonałym zaopatrzeniem. A potem zaczniemy rozwijać się w kierunku centrum, w każdym mieście, aż biedota zrozumie, że nie tu jej miejsce.

Reporter „New York Timesa” zapytał przytomnie:

- Senatorze Peal, brzmi to, jakby zamierzał pan wydać wojnę nie biedzie, ale samym biedakom.

- Czy wszystkie problemy społeczne zamierza pan rozwiązywać metodą eliminacji słabszych? - zapytała dziennikarka z UPI.

Hunter uniósł dłoń.

- Biedni wydali wojnę bogatym już wiele lat temu, jednak bogaci byli wówczas, i wciąż są, zbyt naiwni, aby przyjąć to do wiadomości. To straszne, ale biedni niemalże już wygrali tę wojnę.

Zdominowali nasze miasta i stopniowo doprowadzają je do upadku. A czy chce pani rozmawiać o innych konfliktach społecznych? Najpierw niech się pani przespaceruje przez Brownsville, Brooklyn albo przez Południowy Bronx. O ile ukończy pani ten spacer żywa, przyzna mi pani, że dzielnice te są bardziej zniszczone niż Drezno podczas drugiej wojny światowej. W Bostonie są dzielnice, w których śmiertelność niemowląt jest wyższa niż w Kongo.

Głos Huntera brzmiał coraz donośniej i powoli przybierał te tony, które po raz pierwszy usłyszałem w Allen's Corners. Przestraszył lub zachwycił dziennikarzy do tego stopnia, że nie ośmielali się już zakłócać wypowiedzi Huntera pytaniami. Zauważyłem, że nawet kamerzyści mimowolnie cofają się o kilka kroków.

- Klasa średnia nie rozumiała do tej pory, że wcale nie toruje drogi biednym do dostatniego życia. Czy myślicie, że jakiś tępy narkoman chciałby osiedlić się w miłym domku na przedmieściach Westchesteru i każdego sobotniego poranka myć przed garażem jakiś dobry samochód? Jesteście szaleni, jeżeli coś takiego w ogóle przychodzi wam do głowy. Biedni tylko kradną i niszczą, gdyż w ich tępym mózgu zawsze jest tylko jedna dominująca myśl: sprowadzić wszystkich do swojego, marnego poziomu! Kradną nie dlatego, żeby zyskać bogactwo dla siebie, ale po to, żeby innych pozbawić dobrobytu. Gwałcą bogate kobiety nie dlatego, że je pożądamy, ale dlatego, żeby je zeszmacić, sprowadzić do swojego poziomu. Już prawie wygrali swoją wojnę! Zaatakowali nas, sterroryzowali! Zrujnowali nasze najpiękniejsze miasta! Ale jeżeli zagłosujecie na Huntera Peala, zobaczycie, że wkrótce zostaną powstrzymani i zawróceni z drogi, na którą nigdy nie powinniśmy byli pozwolić im wkroczyć. Wyobraźcie sobie coś.

Wyobraźcie sobie własne córki, gwałcone przez zdegenerowanych czarnuchów. Wyobraźcie sobie swoje własne mieszkania, zdewastowane, splądrowane, okradzione. Wyobrazicie sobie dzielnice, w których mieszkacie, zaśmiecone butelkami po tanim alkoholu, śmierdzące od ludzkich ekskrementów, pełne wałęsających się bez celu seksualnych dewiantów.

Ale możecie też wyobrazić sobie coś innego. Wyobraźcie sobie piękny, lśniący czystością, bogaty Manhattan. Wyobraźcie sobie Waszyngton, stolicę tego kraju, o czystych ulicach i przytulnych kawiarniach. Wyobraźcie sobie amerykańskie miasta takimi, jakimi zawsze chcielibyście, żeby były: czystymi, bezpiecznymi, zamożnymi.

Wszystko zależy od waszego wyboru, moi państwo. Dziś wybór należy do was, do Ameryki. Niechby to, co dzisiaj proponuję, wydawało się wam nie wiadomo jak trudne i skomplikowane, zapewniam was, że jest to jedyna i ostatnia droga, aby zachować piękną, radosną i wolną Amerykę, aby oddalić od nas wizję zła, brudu i strachu.

Zauważyłem Micky, stojącą zaledwie o metr za Hunterem. Klaskała odruchowo, nawet nie udając, że słucha tego, co mówi Hunter. Z jej twarzy nie było można odczytać żadnej myśli. Od czasu do czasu jednak unosiła głowę i uśmiechała się, ale całkiem mechanicznie. Obserwowałem ją przez chwilę, zupełnie nie potrafiąc zrozumieć jej zachowania. Może wzięła jakieś środki uspokajające? Przypuszczalnie w obliczu przemówień Huntera wszyscy takowych potrzebowaliśmy.

W pewnej chwili szarpnął mnie za rękaw Sam Wieka.

- Słyszałeś najnowsze wiadomości? - zapytał mnie.

- Jakie wiadomości?

- Właśnie przed chwilą senator Stanwood oświadczył, że jego zdaniem Hunter Peal będzie doskonałym prezydentem.

- Nie wierzę.

- Ani ja, ale to prawda. Przed godziną zakończył konferencje prasową.

Byłem zdumiony. Senator Dan Stanwood z Alabamy, sześćdziesięcioośmioletni facet, który palił

cygara nawet w łóżku, a garnitury wieszał na swoim szerokim cielsku jak pałatki, był jednym z najpotężniejszych demokratów z prawego skrzydła. Pochodził z Południa i był przewodniczącym Komitetu Finansów Kongresu oraz zadeklarowanym zwolennikiem Leonarda Olivera. Jego poparcie dla kandydata republikanów, w tak wczesnej fazie kampanii, jeszcze przed nominacją, było rzeczą bezprecedensową.

- To dziwne, prawda? - powiedział Sam. - Ja popieram Huntera, bo wierzę w jego idee i mam nadzieję, że zwycięży. Ale co przyświeca Stanwoodowi?

Popatrzyłem na niego uważnie.

- Nie mam pojęcia, Sam.

ROZDZIAŁ XVIII

Gdy dotarłem wreszcie do Holiday Inn na Morgan Street, byłem spocony, cholernie zmęczony i marzyłem o czterech zimnych jak lód puszkach najlepszego piwa: Hubler's Mountain Spring. W pokoju dosłownie padłem na łóżko, buty rzuciłem gdzieś pod ścianę, poluźniłem krawat i od tej chwili bezmyślnie gapiłem się w ekran telewizora z ustami zachłannie pijącymi z pierwszej puszki piwo, gdy kolejne trzy oczekiwały na swoją kolej na blacie nocnego stolika. Byłem cholernie głodny, ale postanowiłem, że nie będę nic jadł, dopóki nie wezmę prysznic i się nie przebiorę.

Na pierwszym kanale, który wybrałem, akurat leciał Star Trek. Gapiłem się, jak kapitan Kirk i pan Spock debatują, czy wylądować na jakiejś jasnopurpurowej planecie, ale po chwili chyba zasnąłem na jakieś pięć minut. Przez sen usłyszałem, jak ktoś wali w drzwi do mojego pokoju czymś, co mogło być puszką ze śledziami.

Przyglądziwszy dłonią włosy, podszedłem do drzwi i je otworzyłem. Ujrzałem Jennifer. Ubrana była w obcisłą, białą koszulkę i turkusowe dzinsy. W drzwi uderzała obcasem swojego pantofla. Wyglądała ślicznie, a przede wszystkim świeżo i pachniała dobrymi perfumami.

- Wejdz - mruknąłem.

Przekrzywiła głowę na bok i jej długie rude włosy, świeżo umyte, zafalowały, niemalże prowokująco.

- Cieszysz się, że mnie widzisz? - zapytała. - Nawet nie raczyłeś mnie poinformować o swoim powrocie.

- Jestem cholernie zmęczony. Chcesz piwo?

- Nie, dziękuję. Widzę, że mimo zmęczenia postarałeś się o swoje ulubione.

- Nic na to nie poradzę. Coś mi się od życia należy. Objęliśmy się i pocałowaliśmy. Taki długi, miły powitalny pocałunek.

- Z ust ci śmierdzi jak ze starych worków pocztowych.

- Skąd wiesz? - zapytałem. - Wąchałaś je kiedyś? Uśmiechnęła się do mnie słodko.

- Śliczna jesteś - powiedziałem zgodnie z prawdą. - Czy będziesz miała coś przeciwko temu, że wezmę teraz prysznic i w ogóle przestanę śmierdzieć? Chciałbym zjeść kolację w twoim towarzystwie.

- Będę się czuła zaszczycona.

Wszedłem do łazienki i się rozebrałem. Spojrzałem na swoje odbicie w lustrze. Zmęczony facet, przygarbiony, z sinymi obwódkami pod oczyma. A na prawym policzku miałem nawet ropny pryszcz, o którym w ciągu dnia nikt nie ośmielił się mnie poinformować.

Odwróciłem się, usłyszawszy, że Jennifer wchodzi za mną. Jak gdyby nigdy nic opuściła kłapę toalety i rozsiadła się w najlepsze, obserwując mnie. A ja wszedłem pod prysznic, puściłem wodę i zacząłem się myć.

- Trochę się uspokoiłam, widząc cię znowu - powiedziała Jennifer. - Myślę, że trochę zaczęłam panikować z powodu śmierci doktora Gartenbauma. To straszne, prawda?

- Zdaje się, że jacyś policjanci chcą porozmawiać z Samem Wieka.

- Sam bardzo tę śmierć przeżywa. Wiesz, podoba mi się twoje ciało. Śmieszą mnie mężczyźni, którzy koniecznie chcą wyglądać jak Arnold Schwarzenegger.

Z przyjemnością popatrzyłem jej w oczy. - Czy wiesz coś więcej o kufrze Huntera? - zapytałem.

- Nie. Ale, jeżeli pójdziesz ze mną do apartamentu Huntera, to ci go pokażę. Co ty na to?

- Zgoda. Po kolacji, a przed odprawą.

- Jaką odprawą?

- Musimy podjąć jakieś decyzje co do dalszego przebiegu kampanii.

- Jak długo to potrwa?

- Jak źle pójdzie, to przez większą część nocy... Wiesz, to niewiarygodne, jak Hunter oddziałuje na ludzi podczas swoich wieców. Mówi jak pełen nienawiści faszysta, a ludziom to się podoba. Nawet ja jestem oczarowany, kiedy słucham z jego ust tych wszystkich złowrogich zapowiedzi. Dopiero później, kiedy je analizuję, jestem przerażony.

- On ma charyzmę.

- Chyba tak - zgodziłem się. Zacząłem namydlać się pod pachami. - Chociaż więcej w tym wszystkim jest bezczelnej, bezwstydnej zuchwałości.

Jennifer pokiwała głową.

- Skoro zamierzasz przez całą noc rozmawiać z Hunterem o polityce, kiedy będziemy razem?

- Zdaje się, że razem zjemy kolację...

- To nie jest razem. Wiesz, co mam na myśli, wypowiadając to słowo?

Wstała. Skończyłem właśnie płukać włosy i spojrzałem, co robi. A Jennifer skrzyżowała ręce i ściągnęła koszulkę. Jej piersi podskoczyły do góry, a po chwili opadły swobodnie. Sutki były jeszcze bardziej różowe, niż gdy je widziałem poprzednio. Z uśmiechem Jennifer ściągnęła dzinsy, ukazując długie nogi i gęsto porośnięte rudymi włosami łono. Żadnych majtek.

Szybko odnalazła białą plastikową czapkę, którą sieć Holiday Inn dostarcza do łazienek z myślą o goszczących w hotelach kobietach. Wprawnym ruchem założyła ją na głowę, nie chcąc zamoczyć włosów.

- Jak widzisz, nie jestem taka do końca spontaniczna - powiedziała z uśmiechem i dopiero wtedy, naga, weszła pod prysznic. Nachyliła się i podniosła mydło, które zdążyło wypaść mi z ręki.

Zamknąłem oczy, kiedy zaczęła mydlić moje plecy, ręce, klatkę piersiową. Dopiero w tym momencie zrozumiałem, jak bardzo jestem przemęczony i jak wykańczająca jest kampania prezydencka. Zastanawiałem się, czy dotrwam do listopada.

- To jest wspaniałe - powiedziałem. - Mogłabyś mi tak robić przez całą noc.

Nic nie powiedziawszy, Jennifer jedynie uśmiechnęła się.

Woda płynęła wąskimi strumykami na jej białe ramiona i osiadała małymi błyszczącymi kropelkami na ciężkich, nagich piersiach Jennifer. Mimo zmęczenia, mój penis zeszywniał i stanął niemalże w pionie.

Jennifer wzięła do ręki moje jądra i namydliwszy je, zaczęła masować worek mosznowy i członka powolnymi, spokojnymi ruchami. Podniecony, zapragnąłem ją pocałować i przypadkiem nabrałem do ust za dużo wody. Zakaszlałem, a potem oboje się roześmialiśmy. Ręce Jennifer poczynały sobie coraz śmieiej i w końcu zacząłem niemal drżeć z podniecenia.

Wciąż mokrzy, rzuciliśmy się na łóżko jak nagie delfiny. A potem pieprzyliśmy się na kilkanaście sposobów, aż wreszcie potężnie wytrysnąłem. Wówczas, już powoli, spokojnie, kochaliśmy się, pieściliśmy, całowaliśmy, delikatnie i czule. Potem długo leżeliśmy, schnąc, odpoczywając.

- Wiesz co? - zapytałem w pewnej chwili. - Mógłbym nawet cię kochać.

Przyłgnęła do mnie całym ciałem.

- Nawet? Co to takiego?

- My, republikanie, zawsze zostawiamy sobie otwartą jakąś furtkę. Nie znasz nas z tej strony?

Sięgnąłem po papierosa i zapaliłem go. Pociągaliśmy na zmianę, patrząc, jak dym unosi się ku sufitowi i ginie, wciągany przez urządzenie klimatyzacyjne.

- Zostaniesz przy Hunterze? - zapytała Jennifer. Odwróciłem głowę i popatrzyłem na nią uważnie.

- Oczywiście, że przy nim zostanę. Dlaczego pytasz?

- Jeszcze niedawno nie byłeś tego taki pewien.

- Przeżywałem coś w rodzaju szoku. Sposób, w jaki przemawia teraz, w porównaniu z tym, co mówił jeszcze przed tygodniem, to dwie zupełnie różne sprawy. No i, poza tym, Hunter jest o wiele ostrzejszy niż Goldwater w 1964 czy Nixon w 1973 roku. Do tego trzeba przywyknąć.

- Czy wciąż cenisz Nixona?

- Nie wiem, co o nim myśleć. Co by jednak o nim nie powiedzieć, jakich błędów mu nie wytknąć, jest to facet, który wyprowadził nas z Wietnamu i doprowadził do pokoju z Chińczykami. Z tego, co mówi Hunter, wynika, że cena pokoju była jednak zbyt wysoka. Może ma rację, nie wiem. Nie jestem politykiem.

- Ale czy Hunter cię nie przeraża?

- Oczywiście, że mnie przeraża. Pytam się jednak sam siebie: co jest bardziej przerażające, czy konfrontacja twarzą w twarz z przeciwnikami, czy zawieranie z nimi fałszywego pokoju i egzystencja pełna niepokoju i podejrzliwości.

Po tych słowach leżeliśmy w milczeniu obok siebie prawie przez pięć minut. Wypaliliśmy całego papierosa i zdułem niedopałek w popielniczkę.

- Jak myślisz, co właściwie stało się w Allen's Corners? - zapytała Jennifer w końcu.

Usiadłem.

- Kto wie? Myślę, że swoje zrobiła mieszanka nerwowej atmosfery i ciągłego napięcia. Mógłbym przecież się założyć? że dziewczyna, z którą widziałem Huntera, była idealnie podobna do rzeźby z oranżerii, ale przecież, gdy myślę o tym teraz, wydaje mi się to zupełnie idiotyczne.

- Bardzo się upierasz, żeby do wszystkiego podchodzić racjonalnie - zauważyła Jennifer. Światło nocnej lampki nadawało różową barwę całemu jej ciału.

- A powinienem przyjąć inną postawę?

- Chodź, obejrzymy ten kufer.

- Do diabła, po co?

- Jack, ten kufer przyjechał z Allen's Corners. Nie wiem, co się w nim znajduje, ale ma to na pewno związek z przemianą Huntera.

- Naprawdę w to wierzysz?

- A co tam może być? Zapasowe guziki, majtki?

- Jesteś złośliwa - zauważyłem.

- Być może - zgodziła się. - Ale ty lekceważysz sytuację. Próbujesz wyjaśniać dziwaczne rzeczy, które widziałeś w Allen's Corners. Jesteś skłonny uznać za coś normalnego gwałtowną przemianę dobrego, umiarkowanego Huntera Peala w prawicowego bandziora, a nawet uznajesz za normalne to, że widziałeś dziewczynę, która nie jest żywą istotą, a statua. A wiesz dlaczego? Bo po prostu jesteś jeszcze jednym z takich facetów, którzy kręcą się wokół prezydenckich kandydatów z nadzieją na zrobienie własnej kariery. Jeżeli kandydat ma szansę na zwycięstwo, pozwala mu się dosłownie na wszystko. Wybaczają mu się gwałty i morderstwa. Wszystko.

- Hunter nie jest winien żadnego takiego przestępstwa.

- Zgwałcił swoją żonę, prawda? Nie oznacza to, że naruszył prawo, ale w kategoriach moralnych jest gwałcicielem. Oszukał tych ludzi z prasy, pokazując im te bombowce i pola z pszenicą. Przecież to nie jest normalne. A co powiesz o doktorze Gartenbaumie? Cokolwiek powiesz, nie przekonasz mnie, że Hunter nie maczał łap w jego śmierci.

- Zwariowałaś - stwierdziłem. Otworzyłem puszkę piwa. Uczyniłem to tak gwałtownie, że piana prysnęła na pościel.

- W porządku, zwariowałam, ale przynajmniej próbuję w tym wszystkim zachować jakąś niezależność w myśleniu.

- Co mi jest obce, jak wnoszę.

- Tak, o ile nie sprawdzisz ze mną tego kufra. Popatrzyłem na Jennifer surowo. Odpowiedziała mi takim samym spojrzeniem, po czym oboje wybuchnęliśmy śmiechem.

- W porządku - powiedziałem. - Do diabła, zrobię to. Ale tylko po to, żeby ci udowodnić, że się mylisz w tych swoich bzdurnych podejrzeniach. Dobra, Huntera jeszcze nie ma w hotelu i myślę, że Sam da mi klucze od pokoju.

Jennifer podniosła się i usiadła na łóżku ze skrzyżowanymi nogami.

- A teraz poproszę o jedno z tych cudownych piw - powiedziała. - Zawsze mam ochotę się napić, kiedy zmuszę faceta, żeby robił to, co mu każę.

Rzuciłem puszkę w jej kierunku. Złapała ją bardzo zręcznie.

- Cholera jasna, jesteś zbyt ładna, inteligentna i seksowna - stwierdziłem z goryczą w głosie.

- Tak - przyznała łaskawie, otwierając puszkę.

ROZDZIAŁ XIX

Kiedy zapukałem do drzwi pokoju hotelowego, otworzyła mi Arlen ubrana w jaskrawoczerwony płaszcz kąpielowy. Sam był akurat pod prysznicem. Z kieszeni jego szerokich spodni wyciągnęła dodatkowy klucz do apartamentu Huntera. Z łazienki dobiegł mnie głos:

- Jack, widziałem, jak ta mała ruda z Sherman szła do twojego pokoju!

- To chyba kolejna iluzja wywoływana przez Huntera! - odkrzyknąłem mu.

- Raczej kolejna zdobycz Jacka Russo! - zawołał. Arlene jedynie uśmiechnęła się z pobłażaniem.

Z kluczem w dłoni udałem się do mojego pokoju. Dwukrotnie, w umówiony sposób, zapukałem. Jennifer otworzyła, już ubrana w turkusowe dżinsy i bluzeczkę. Miała nagie stopy.

- Masz? - zapytała, a ja w odpowiedzi pokiwałem głową.

Ruszyliśmy korytarzem. Szliśmy ramię w ramię. Kiedy znaleźliśmy się przy drzwiach windy, nadusiłem guzik i czekaliśmy przez prawie dwie minuty, nie wymieniając słowa.

- Boże, mam nadzieję, że Hunter nie zdecyduje się na wcześniejszy powrót - powiedziałem, kiedy winda wreszcie dotarła do nas. Otworzyłem drzwi i oboje weszliśmy do środka.

- Znasz Huntera - stwierdziła Jennifer. - Bezustannie się spóźnia. A poza tym zawsze możesz mu powiedzieć, że chcesz mu wręczyć egzemplarz kolejnego oświadczenia dla prasy.

- Naprawdę? A, tak, rzeczywiście. Wszystko się zgadza, z wyjątkiem tego, że nie mam akurat przy sobie żadnego oświadczenia dla prasy.

- Jack, kochanie, to drobiazg.

Apartament Huntera znajdował się na pierwszym piętrze. Dywany były tu o wiele grubsze niż w pozostałych pomieszczeniach hotelu, a w powietrzu unosił się zapach wywoływany działaniem urządzenia klimatyzacyjnego. Na ścianach, umieszczone w ładnych ramach, znajdowały się litografie domów Noaha Webstera i Marka Twaina oraz rzeki Podunk. Było tak cicho, że nasze oddechy, kiedy szliśmy korytarzem w kierunku apartamentu numer 1203, brzmiały niemal jak charkoty, i byłem pewien, że jeśli ktokolwiek znajduje się za anonimowymi drzwiami ciągnącymi się po obu stronach korytarza, doskonale słyszy, jak przechodzimy.

Nasze oddechy mogły zostać usłyszane przez... - cokolwiek to jest - co znajduje się w kufrze w apartamencie Huntera. Była to chyba najgłupsza z obaw, które w tej chwili drażyły mój mózg.

- Tutaj - odezwałem się wreszcie do Jennifer. - Dwanaście zero trzy.

Wkładając klucz do dziurki, nerwowo obejrzałem się za siebie. Korytarz był pusty. Przekręciłem klucz w zamku i otworzyłem drzwi. Nie skrzypnęły, ale pchnięte przeze mnie, rozwarły się bezszelestnie i takie, szeroko otwarte, pozostały, co wystarczyło, aby wywołać u mnie przyśpieszone bicie serca. W środku światło miało odcień ciemnożółty; to popołudniowe słońce z trudem przebijało się przez całkowicie zasunięte szafranowe zasłony. Z progu mogłem dojrzeć fragment łóżka Huntera, a na nim otwartą walizeczkę, zawierającą wszystkie te przedmioty osobistego użytku, które niezbędne są kandydatom w kampanii wyborczej, jak na przykład tubki pasty do zębów, czyste skarpetki i suszarka do włosów marki „Remington”, z łamaną rączką. Sam Wieka poinformował mnie któregoś wieczoru:

- Nawet kandydat na prezydenta nosi gacie. I w gruncie rzeczy musi ich mieć więcej i zmieniać częściej niż inni ludzie.

Wszedłem wreszcie do pokoju, Jennifer postępowała za mną, deptając mi niemal po piętach. Poczulem zapach perfum Micky. W środku, jak się spodziewałem, nikogo nie było. I Hunter, i Micky znajdowali się na przyjęciu wydawanym na ich cześć przez republikanów z Hartford i trudno było spodziewać się ich z powrotem w hotelu przed dziewiątą wieczorem. Mimo to, czułem się, jakbym

wkraczał niczym intruz do czyjejś prywatnej świątyni.

- Micky nie nosi czegoś takiego, prawda? - szepnęła Jennifer.

Popatrzyłem na łóżko. Leżał na nim czarny pas do podwiązek, ozdobiony wstążeczkami oraz para czarnych pończoch. Odwróciłem wzrok od tej bielizny, zdezorientowany.

- Coś takiego jest teraz w modzie - powiedziałem, broniąc Micky.

- Seksowne, jeśli chcesz znać moją opinię.

- Zapewne, ale...

- Cicho. Nie przyszliśmy tutaj, żeby kłócić się na temat bielizny.

- Ty zaczęłaś.

Obeszliśmy łóżko i doszliśmy do drzwi prowadzących do salonu. Na drzwiach znajdowało się, przykręcone śrubami, wielkie lustro i przez chwilę przyglądaliśmy się swoim odbiciom w nim; dwoje zalęknionych, spiętych młodych ludzi. Jennifer zrobiła do lustra głupią minę, mi jednak nie przyszło na myśl nic, co mógłbym zrobić, żeby samemu pozbyć się nieprzyjemnego uczucia, że żołądek skurczył mi się do minimalnych rozmiarów.

- Kufer stoi tam - Jennifer wskazała palcem. - Portier powiedział mi, że Hunter polecił, aby ustawiono go przy sofie.

Pokiwałem głową.

- Jesteś gotowa?

Jennifer na chwilę wstrzymała oddech, po czym, za pośrednictwem lustra, posłała mi spojrzenie, które najprawdopodobniej znaczyło „tak”.

Otworzyłem drzwi. Również w salonie, zasłony zaciągnięte były tak samo szczelnie jak w sypialni. Mało tego, ktoś pościągał zapasowe koce z łóżek i powiesił je na zasłonach, tak że było tu jeszcze ciemniej.

Trudno było nie zauważyć kufra. Wielka drewniana skrzynia przypominała taką, w jakich w General Motors pakują do wysyłki części zapasowe do samochodów. Niczego nadzwyczajnego nie sposób było w tym kufrze zauważyć. Miał jakieś pięć stóp długości i trzy szerokości i spokojnie stał na podłodze w salonie apartamentu Huntera Peala. Podeszedłem i przyjrzałem się mu uważnie. Jennifer, drżąc ze zdenerwowania, pozostała przy drzwiach.

- Co o tym sądzisz? - zapytała mnie.

- A co mogę sądzić? Aha, jedno mogę ci powiedzieć. Cały kufer jest solidnie skręcony grubymi śrubami.

- Czy to znaczy, że zamierzasz stąd wyjść, nie próbując dowiedzieć się, co jest w środku?

Wyprostowałem się. Na mojej twarzy widoczny był zapewne strach i wahanie. No i tchórzostwo, bo nie miałem zamiaru otwierać tego przeklętego pudła. Strach i wahanie, bo przecież była ze mną kobieta, na której trochę mi zależało i dla której uczyniłbym wiele.

- Posłuchaj - powiedziałem - ta skrzynia jest własnością Huntera. Nie mogę tak po prostu włamać się do niej, żeby zaspokoić moją ciekawość.

- Albo ciekawość pewnej głupiej pomocy kuchennej, której nawet dobrze nie znasz.

- Jennifer, sarkazm nic nam nie pomoże. Nie powinniśmy nawet znajdować się sami w tym apartamencie, a ty chciałybyś, żebym jeszcze na siłę otworzył kufer. To kufer Huntera i to wszystko, co mam do powiedzenia.

- Popatrz - powiedziała nagle Jennifer.

Ton jej głosu uległ tak gwałtownej przemianie, wyraz jej twarzy tak się zmienił, że w pierwszej chwili nie pojąłem, o co jej chodzi. W jednej sekundzie przekonała mnie, żebym otworzył kufer, a w następnej stała wyprostowana i sztywna, z bladą i bez wyrazu twarzą.

- Co?... - zapytałem, a Jennifer powtórzyła wówczas:

- Popatrz! Popatrz na kufer. Spójrz na śruby.

Odwrociłem się. Według mnie pudło wyglądało zupełnie normalnie. Znow popatrzyłem na Jennifer z pytającym wyrazem twarzy. Jennifer jednak niemal krzyknęła:

- Popatrz!

Znow popatrzyłem więc na kufer. Włosy stanęły mi dęba na głowie, gdy zdałem sobie sprawę, czemu przygląda się Jennifer. Główki śrub, które przytrzymywały wieko kufra - wszystkie - powoli się obracały. W kierunku odwrotnym do ruchu wskazówek zegara, a więc pokrywa powoli się poluzowywała.

Cofnąłem się. Z trudem przełknąłem ślinę. Usłyszałem swój własny głos, dziwnie odmieniony:

- To musi być jakieś zakłócenie magnetyczne. Tak, z całą pewnością. Zakłócenie magnetyczne, nie sądzisz, Jennifer?

- Och, Boże - wyszeptała tylko.

Wcale nie chcieliśmy pozostawać w tym pokoju, jednak nie byliśmy w stanie się ruszyć. Jedną po drugiej śruby odkręcały się całkowicie i po kolei wypadały ze swoich otworów na dywan. Gdy znalazła się na nim ostatnia śruba, wieko leżało luźne na kufrze.

- Och, mój Boże - jęknęła Jennifer, ściskając mnie za rękę. - Mój Boże, co jest w środku?

Czekaliśmy, aż pokrywa podniesie się albo zsunie z kufra, tak jak to dzieje się na filmowych horrorach. Nie poruszała się jednak; odkręcona, leżała na swoim miejscu. Po minucie albo dwóch zdałem sobie sprawę, że zagryzam wargi aż do bólu.

- Jak to się stało?- zapytała Jennifer szeptem. - Jaka siła odkręciła te śruby?

Nie spuszczałem wzroku z kufra. Serce biło mi jak oszalałe. W tym momencie jeden niespodziewany trzask, jedno poruszenie wieka na kufrze, spowodowałoby, że wybiegłbym z tego pokoju jak wystrzelony z katapulty i biegłbym jak szalony, nie mogąc i wcale nie pragnąc się zatrzymać.

- Może to jakiś automat - powiedziałem do Jennifer. - Nie wiem. Może to jakieś urządzenie zegarowe kazało tym śrubom odkręcić się właśnie w tej chwili.

- Zajrzysz do środka?

- Oszalałaś?

Jennifer popatrzyła na mnie.

- Nie uważasz, że wręcz powinieneś zajrzeć do środka? Czy nie sądzisz, że jesteś to winien przynajmniej Micky? A właściwie to i wszystkim innym pracownikom Huntera.

- A czy pomyślałaś o mnie? - zaprotestowałem. - Zapewne funkcjonuje tu swojego rodzaju pilot, urządzenie, za pomocą którego można sterować tymi śrubami z daleka, a ty chcesz, żebym wsadzał swój nos pod pokrywę tego kufra. A jeżeli to jakaś pułapka? Jeżeli w momencie, gdy zajrzy do środka ktoś niepowołany, wybuchnie bomba?

- Boisz się - stwierdziła Jennifer.

- Cholera, masz rację. Boję się. A ty nie?

- Tak - przyznała, ale wciąż patrzyła to na mnie, to na kufer, jakby cała nasza sprzeczka jedynie opóźniała nieodwołalną chwilę, kiedy spełnię swój obowiązek wobec Wielkiej Partii Republikańskiej i społeczeństwa Ameryki i podniosę wieko kufra, potem niech moja głowa rozleci się na kawałki, niech bestia, o ile takowa drzemie wewnątrz, zje ją, jeszcze żywą, to już nieważne.

- Cholera, nie zrobię tego. Niech się dzieje, co chce, nie podniosę tej pokrywy - oświadczyłem.

- Jeśli nie ty, to ja to zrobię. Ktoś musi - powiedziała Jennifer stanowczo.

- Jennifer, nie pozwolę ci podejść ani na krok bliżej do tej skrzyni.

- Ale, Jack...

Nerwowo popatrzyłem na zegarek. W zasadzie Hunter wraz z Micky nie powinni zjawić się tutaj wcześniej niż za godzinę, jednak dobrze wiedziałem, jaki ostatnio bywa Hunter. Gdy tylko pokaże swoją twarz wystarczająco wielu ludziom i uściśnie wystarczająco - jego zdaniem - wiele rak, będzie chciał jak najszybciej znaleźć się w zaciszu swojego pokoju. Będę miał cholernego pecha, jeżeli Hunter za chwilę zachrobcze kluczem w zamku i stanie nade mną, zły, zdziwiony i rozwścieczony, jak to tylko on potrafi.

- Jennifer, najlepiej będzie, jeżeli się stąd jak najszybciej zwiniemy - powiedziałem.

- Jack, musimy zajrzeć do środka. Nie rozumiesz, jakie to jest ważne? Może właśnie w tym kufrze kryje się wyjaśnienie, dlaczego Hunter nagie stał się takim jastrzębiem?

Odchrząknąłem.

- Tak - powiedziałem, po czym rozejrzałem się po pokoju, aby znaleźć coś, czym mógłbym podważyć wieko skrzyni, znajdując się w jak największej od niej odległości. Mój wzrok padł na parasolkę Huntera, spokojnie opartą o stół. Wziąłem ją do ręki i uważnie obejrzałem.

- Naprawdę uważasz, że w tej skrzyni kryje się jakaś pułapka, prawda? - zapytała Jennifer.

Zrobiłem niechętną minę.

- Nie wiem. Ale wolę nie ryzykować. Lepiej zniszczyć połowę parasolki własnego chlebodawcy niż połowę własnej głowy. To stare polityczne przysłowie.

Wziąwszy głęboki oddech, podszedłem do kufra kilka kroków i wyciągnąłem parasolkę na taką odległość, że wkrótce jej koniec niemal dotykał krawędzi drewnianej przykrywy. Czułem się jak jakiś na pół zidiociały Zorro z telewizji. Za nic w świecie nie zbliżyłbym się jeszcze bardziej do kufra; nawet Jennifer Dwyer nie była w stanie nakłonić mnie do tego. Oparłem parasolkę o pokrywę i zapytałem Jennifer:

- Gotowa?

- Pchnij - odparła.

- Mam nadzieję, że wiesz, co nam grozi.

- Popchnij to, Jack. Daj już spokój. Musisz to zrobić.

Wyprostowałem się. Moje ręce trzęsły się. Byłem jednocześnie wkurzony na Jennifer i przestraszony.

- Posłuchaj - powiedziałem rozdrażniony. - Co to znaczy to „musisz”? Niczego nie muszę, nie musimy. A najlepiej zrobimy, jeżeli damy sobie spokój z grzebaniem w prywatnej własności Huntera Peala i pójdziemy spokojnie na kolację.

Twą Jennifer była niemal biała. Nie drgał na niej żaden mięsień. Z powodzeniem Jennifer mogła mieć teraz na sobie maseczkę, tak niesamowicie sprawiała wrażenie.

- Jack, czuję, że nie mamy wyjścia - wyszeptała. - To jest nasz obowiązek. Uważam, że naprawdę musimy otworzyć ten kufer.

Znów uważnie popatrzyłem na skrzynię.

- Obowiązek? - rzuciłem. Nie było to pytanie. Wiedziałem, co Jennifer ma na myśli. Wszystko, co wydarzyło się z Hunterem Pealem i wokół Huntera Peala w ciągu ostatnich kilku dni, mogło mieć swoje wyjaśnienie w tej dziwnej skrzyni, mogło okazać się starannie obmyśloną planem, skomplikowanym, lecz skutecznym, ze starannie wyznaczonym celem.

Oczywiście, znałem ten cel. Był nim bez wątplenia Owalny Gabinet. Ale nie miałem pojęcia, jakie są źródła tych dziwnych masowych hokuspokus i maszerujących posągów. Ludzki mózg raczej nie był w stanie tego pojąć.

Znów pochyliłem się nisko nad kufrem i patrzyłem na niego w zamyśleniu. Prawdę mówiąc,

wcale nie miałem ochoty wiedzieć, co kryje się w środku. Rozumiałem obawy Jennifer w kwestii zawartości skrzyni, sam miałem nawet jakieś niejasne podejrzenia. W końcu Hunter nie miał niczego o tych rozmiarach, nawet nie miał tylu książek, żeby wozić je ze sobą w tak potężnej skrzyni. A jednak skrzynia należała do Huntera, była jego prywatną własnością i niezależnie od tego, jak dziwna by nam się nie wydawała, ani Jennifer, ani ja nie mieliśmy żadnego prawa do włamywania się do niej, ani w ogóle plądrowania po apartamencie Huntera i Micky.

- Czy ten portier naprawdę mówił, że słyszał jakieś głosy dochodzące z wnętrza tego kufra? - zapytałem Jennifer.

- Tak. Ciężkie szepty. Jakby ktoś z chroniczną astmą chciał koniecznie coś powiedzieć. Tak powiedział mi portier. Zna się na tym, bo jego syn ma właśnie astmę.

- Ludzie z astmą - powtórzyłem, potrząsając głową.

- Jack, mówiłeś, że słyszałeś głosy w Allen's Corners. Może to te same?

Nie odpowiedziałem jej. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Skrzynia, zagadkowa, tajemnicza, leżała przede mną. Nie wydobywały się z niej żadne głosy. Nie powodowała nawet żadnych złych wibracji, ani niczego w tym stylu, chociaż wietrzyłem w niej coś dziwnie nieprzyjemnego i drażniącego. Nie wiem, może chodziło mi o sposób, w jaki leży na dywanie w tym ciemnym, pustym pokoju? Mogło to nie być nic więcej niż efekt działania mojej wybujałej wyobraźni, a jednak miałem przeczucie, że cokolwiek znajduje się w środku, nie jest to nic przyjemnego. Skrzynia za bardzo przypominała trumnę, była zbyt spokojna.

Ostro zapukałem w nią pięścią. Nie usłyszałem echa, żadnego pustego odgłosu, który mógłby świadczyć, że w środku jest pusto. Popatrzyłem na Jennifer i wzruszyłem ramionami.

- Tam może być cokolwiek, chociaż myślę, że to, co tam jest, sporo waży. Zobacz, jak głęboko to leży w dywanie.

- Portier był pewien, że ktoś jest w środku.

- Ktoś chory na astmę? Przestań, to nie ma sensu. Nie przenosi się żywych ludzi w pudłach skręconych śrubami. Nawet Hunter nie zdobyłby się na coś takiego. Wygląda, że skrzynia jest hermetyczna.

- Mam przy sobie pilniczek do paznokci - powiedziała Jennifer. - Może podłożyłbyś go pod wieko i wtedy skrzynia zassa powietrze.

Popatrzyłem na śruby leżące na dywanie. Były solidne, ciężkie, stalowe, o średnicy dziesięciu lub nawet dwunastu milimetrów.

- Wątpię, czy pilnik do paznokci coś tu zdziała - stwierdziłem. - A poza tym nie podejmę się takiej próby.

Zapadła chwila ciężkiego milczenia. Zastanawiałem się, spoglądając to na Jennifer, to na kufer i w końcu powiedziałem:

- No dobra, cholera jasna. Raz kozie śmierć. Jeszcze raz uniosłem parasol i dotknąłem pokrywy skrzyni. Jakiś głos niespodziewanie wyszeptał:

- Ostrożnie...

Zamarłem. Odwróciłem się do Jennifer i zapytałem:

- Czy to ty?

- Co ja?

- Czy szeptałaś do mnie przed chwilą? Potrząsnęła przecząco głową.

- Może to tylko nerwy - stwierdziłem z nadzieją. - A może jednak nie?

Popchnąłem pokrywę czubkiem parasola. Poruszyła się bez problemu, chociaż wyglądała na ciężką i wcale nie miałem pewności, czy parasol nie pęknie. Natarłem zdecydowanie i wewnątrz

skrzyni zaczęło się powoli odsłaniać.

- Ostrożnie - wyszeptał głos. Przełknąłem ślinę i próbowałem go ignorować. Ze strachu jednak niemalże zeszywniałem. Strach odebrał mi tyle sił, że z trudem zebrałem je, aby zadać decydujące pchnięcie, po którym odsłoniło się wnętrze skrzyni, a pokrywa opadła na dywan.

- Ach... - jąknęła Jennifer, tłumiąc przerażenie. Przez bardzo krótką chwilę, tak krótką, że trudno było dokładnie się zorientować, co się dzieje, w otwartym kufrze coś się poruszało, jakby jakaś istota o zakurzonej brązowej skórze albo jakby szczury biegały w tę i z powrotem pod ciemną płachtą. A potem wszystko ucichło i oboje pochyliliśmy się nad ciemnym wnętrzem i zajrzeliśmy do środka.

To była ona. Statua dziewczyny z oranżerii w Allen's Corners, ta sama, która była przyciskana do wyrzeźbionej w marmurze twarzy przez swego napastnika. Była nieziemsko biała, naga i piękna i emanował z niej przeogromny erotyzm.

Jej nogi pokryte były jakąś starą brązową płachtą. Zdawało się, że płachta miała służyć temu, aby zapobiec uszkodzeniom w transporcie. Odsunąłem ją; poczułem, że takiego materiału jeszcze nigdy w życiu nie dotykałem. Był bardzo giętki i łagodny, jednak wystające z niego włosie było sztywne, twarde i poskręcane. Szybko przetarłem dłoń o własne spodnie. Płachta sprawiała bardzo nieprzyjemne wrażenie, jakby była to skóra zdarta z diabła, albo co najmniej z pawiana.

W milczeniu oglądaliśmy posąg dziewczyny. Po raz pierwszy miałem okazję przyjrzeć się mu tak uważnie. Przedtem patrzyłem na niego jedynie przez szklane drzwi oranżerii, jak stał pomiędzy wieloma innymi.

- To wspaniałe dzieło sztuki - szepnęła Jennifer. - Popatrz, jak wspaniale wykonane, jak doskonale zostały oddane wszystkie szczegóły...

Był to, a raczej była ona jedna z najwspanialszych marmurowych postaci, jakie kiedykolwiek widziałem. Nie znaczy to wcale, że bym był koneserem sztuki rzeźbiarskiej, wielbicielem Lewisa albo darka. Nic z tego. Jednak ta statua miała w sobie coś dziwnego, postać miała jakby żywą skórę, zdawało się nawet, że lśniąca drobnymi kropelkami potu. I, jak zauważyła Jennifer, wszystkie detale, szczegóły ludzkiego ciała, zostały przez rzeźbiarza wprost nadzwyczajnie uchwycone. Włosy układały się jej niczym naturalna fryzura, a wprost nie chciało się wierzyć, że jej oczy i usta, doskonała szyja, są tylko wytworem pracy rzeźbiarza, kształtami wypracowanymi w kamieniu.

I coś jeszcze. Pomiędzy szeroko rozłożonymi udami jej seks wykonany był wprost z niewiarygodną dbałością o szczegóły i był otwarty, jakby po brutalnym gwałcie. A bestia, która tego gwałtu dokonała, pozostawiła po sobie sterczący, oderwany kikut swojego penisa. Prawdę mówiąc - i to zdumiało mnie najbardziej - w dziewczynie, jeżeli można tak powiedzieć, tkwiły kikuty dwóch penisów, jeden penetrował jej pochwę, a drugi odbył.

- Myślę, że nie powinnaś na to patrzeć - powiedziałem do Jennifer.

- Jestem już w tym wieku, że wolno mi oglądać filmy pornograficzne.

- Ale czy to nie jest dziwaczne? Nie tylko obsceniczne, ale też dziwaczne, prawda? Co to, do cholery, może oznaczać? To przechodzi ludzkie pojęcie.

Jennifer przyjrzała się rzeźbie z bliższej odległości, zabawnie marszcząc nosek.

- Może były tam dwie bestie, jedna leżąca na drugiej?

- A może bestia miała dwa członki? Jennifer pokiwała głową.

Sięgnąłem do kufra i dotknąłem kamiennych organów.

- Wygląda, jakby te członki wepchnięto dopiero później, prawda? - odezwała się Jennifer. - Jakby dziewczyna i gwałcąca ją bestia były dwiema odrębnymi rzeźbami.

Próbowałem wykręcić kamienny członek ze statuy najdelikatniej, jak tylko byłem w stanie, ale

w końcu zrezygnowałem z tego i gwałtownie szarpnąłem. Członek wyszedł. Jennifer wyciągnęła w moim kierunku rękę.

- Pokaż mi go, niech mu się przyjrzą dokładniej. Wzruszyłem ramionami.

- Chacun a son gout. To tylko kamienny penis. Wziąwszy go ode mnie, położyła go ostrożnie na dłoni, jakby to była jakaś maskotka i zaczęła go głaskać.

- Jest wspaniały - oznajmiła. - Wygląda niemal jak prawdziwy. I jaki jest przy tym gładki...

- Chcesz, żebym był zazdrosny? - zapytałem. - Oddaj mi, go, proszę. Najlepiej włożę go na miejsce.

- Najpierw chciałabym zobaczyć jeszcze drugiego.

Popatrzyłem na nią uważnie. Jej oczy, mimo półmroku, lśniły jasnym blaskiem. Jedną dłoń zaciskała na kamiennym członku, a druga wyciągała w moim kierunku w oczekiwaniu, aż dam jej kolejnego penisa.

- Jennifer, daj spokój - poprosiłem.

- Musimy go obejrzyć - stwierdziła zdecydowanym tonem. - Przecież może okazać się zupełnie inny. Może dać nam jakąś wskazówkę, co do swego właściciela. Na przykład jak wyglądał, jakiego był ciężaru.

Zawahałem się, ale Jennifer wciąż się uśmiechała i wyciągała prosząco rękę, więc, niechętnie, zrezygnowałem z oporu. Nachyliłem się nad kufrem i wyciągnąłem drugiego penisa. Czuję się, jakbym wyciągał zatyczkę z otworu odpływowego w umywalce. Był wyrzeźbiony i wypolerowany tak dobrze, że wyslizgnął się z otworu w rzeźbie z odgłosem i poślizgiem prawdziwego członka. Rzeźba dziewczyny nie była z pewnością rzeczą, którą można by postawić sobie spokojnie w salonie, chociaż niewątpliwie była arcydziełem.

Jennifer wzięła drugiego penisa do prawej ręki. - Oba są piękne - powiedziała. - Stanowią taki śliczny komplecik.

- Może już je jednak odłożymy, co? - warknąłem nerwowo. - Wiem, że Hunter nie powinien tu wrócić przed dziewczątą, ale wiem też, że nie powinniśmy naruszać jego prywatnej własności.

Jennifer przycisnęła kamienne członki do swoich piersi.

- Czy sądzisz, że Hunter by za nimi tęsknił, gdybym je zatrzymała?

- Czyś ty oszalała? Hunter najprawdopodobniej kupił tę rzeźbę. Nie możesz tak po prostu zabrać sobie jej części. Najprawdopodobniej w komplecie to wszystko warte jest setki tysięcy dolarów!

- Ale to taka rzadkość - westchnęła, robiąc do mnie oko. - Są takie piękne... Tylko popatrz na nie.

Uniosła je do góry, sztywne i lśniące, i oba po kolei czule pocałowała w same czubki. Sprawilo jej to wyraźną przyjemność.

- Jennifer - zdenerwowałem się - to zaczyna być nieprzyjemne i niezdrowe. Odłożymy te przeklęte rzeczy na miejsce i chodźmy stąd. Cokolwiek ta rzeźba przedstawia nic nam nie powie o Hunterze.

- Ostrożnie - szepnął głos.

Wyciągnąłem obie ręce do Jennifer i powiedziałem:

- Jennifer, przestań się wygłupiać. Oddaj mi je. Jennifer popatrzyła na marmurową dziewczynę spoczywającą w kufrze.

- Wiesz co, ona wygląda, jakby się to jej podobało. To znaczy, być pieprzoną przez dwa takie członki. Ja też je polubiłam...

- Jennifer, zaczynasz mówić bez sensu. A teraz, bardzo cię proszę, oddaj mi je i sobie stąd pójdziemy.

Zbliżyłem się do Jennifer, ale ona zrobiła zaraz kilka kroków do tyłu. Zaczęliśmy gonić się dookoła drewnianego kufra. Za żadne skarby nie chciała oddać mi marmurowych fallusów. Na jej twarzy widać było serdeczne rozbawienie.

- Posłuchaj, kochanie - próbowałem przekonywać. - Te cholerne członki mają na ciebie jakiś magiczny wpływ. Mają w sobie coś, co wyprowadza cię z równowagi, robi z ciebie idiotkę. Uwierz mi, proszę, i oddaj mi te rzeczy, dobrze?

- Ostrożnie. - Kolejny szept. Tym razem jednak bardziej zdecydowany.

- Jennifer, oddaj mi te cholerne koguty! Powoli, złośliwie pokręciła głową.

- Są moje i je sobie zatrzymam. Należą do mnie.

- Jennifer, ja wprost nie mogę w to uwierzyć. Przecież one należą do Huntera. W żadnym wypadku, nie możesz ich zatrzymać, rozumiesz? To własność Huntera. Huntera!

Usłyszałem głęboki głos z akcentem z Kolorado:

- Masz rację, Jack, są moje.

Nagle poczułem się, jakby ktoś wrzucił mnie do głębokiej studni. Jednej z tych głębokich i pustych studni, w których wszelkie krzyki giną, zanim jeszcze dolecisz do dna. Odwróciłem się. W drzwiach, ciemny, wysoki, nieporuszony, stał Hunter Peal.

- Hunter - wydusiłem z siebie. Na nic więcej w tej chwili nie było mnie stać.

ROZDZIAŁ XX

Hunter wkroczył do pokoju i nie mówiąc słowa, zatrzymał się na środku. Nie włączył światła, mimo że było już tak ciemno, iż z trudem rozróżnialiśmy swoje sylwetki. Cofnąłem się kilka kroków od kufra, niby chcąc podkreślić, że wcale nie jestem zainteresowany jego zawartością i spróbowałem się uśmiechnąć.

Jennifer odezwała się pierwsza. Wciąż zaciskała dłonie na marmurowych członkach i wcale nie wyglądała na zdenerwowaną.

- Przyszliśmy, tu żeby podziwiać twoją rzeźbę - powiedziała. - Jest przepiękna. I bardzo zmysłowa.

Hunter powoli podszedł do kufra i popatrzył do wewnątrz. Na tle okna wyraźnie rysował się przez chwilę jego ostry profil, na tej podstawie nie mogłem jednak stwierdzić, czy Hunter jest spokojny, zdenerwowany, zły, czy tylko zdziwiony.

- Jack - powiedział.

- Tak.

- Podaj mi pokrywę, proszę.

Pochyliłem się i podniosłem z dywanu drewnianą pokrywę kufra.

W milczeniu ułożyłem ją znów na skrzyni i wycofałem się.

- A więc - odezwał się Hunter - rozumiem, że wasza ciekawość została już zaspokojona.

- Chyba tak... - powiedziałem niepewnie.

- Skąd wzięliście klucz? Od Sama?

- Tak. To nie jego wina. Powiedziałem mu, że chcę do ciebie przynieść jakieś papiery.

- A tymczasem penetrowałeś mój prywatny bagaż. Głośno przełknąłem ślinę.

- Tak - przyznałem.

Nastąpiła długa, bardzo długa cisza. Żadne z nas nie poruszyło się nawet. Pokój zdawał się już tak ciemny, że w ogóle się nie widzieliśmy. Z równym powodzeniem mogło tam nas nie być. Były tylko nikle, nie poruszone cienie. Wszyscy tłumiliśmy w sobie nasze myśli tak dokładnie, jak pokerzyści ukrywają karty przed innymi grającymi.

- Sądzę, Hunter, że powinienem teraz zrezygnować - odezwałem się w końcu.

- A niby dlaczego? - zdziwił się Hunter. - Uważam, że postępowałeś zgodnie z pojmowanym przez ciebie najlepszym interesem partii. I pośrednio też moim. Zdaje sobie z tego sprawę.

- Naprawdę? Cóż, rzeczywiście, masz rację... To znaczy, cieszę się, że to widzisz w ten sposób.

- Ależ oczywiście, mój drogi. Przecież nie straciłem umiejętności logicznego myślenia. Zdaje sobie sprawę, że w ostatnim czasie bardzo się odmieniłem, a to cię martwi i, jak każda normalna ludzka istota, wierzysz, że musi być jakieś proste, namacalne wytłumaczenie tej mojej przemiany.

- Hunter, cóż, rzeczywiście, tak właśnie myślę. Co nie znaczy, że nie akceptuję twojego zachowania. Po dzisiejszym wieczu...

- To spotkanie to dopiero początek. To, o czym mówiłem dzisiaj, to jeszcze noc w porównaniu z wystąpieniem, które przygotowuję na jutro. Do tej pory mówiłem tylko o polityce zagranicznej i o tym, w jaki sposób mam zamiar rozwiązać problem upadku miast i bezrobocia. A to są dopiero małe fragmenty całej wielkiej układanki...

- Hunter, posłuchaj - niemal mu przerwałem. - Przykro mi z powodu tego, co tu się stało.

Jego ciężka ręka spoczęła na moim ramieniu. W ciemności nie widziałem go zbyt dobrze, chociaż zdawało mi się, że znajduje się ode mnie zbyt daleko, żeby mnie dotknąć. A jednak fakt był faktem, czułem ciężar jego dłoni na ramieniu.

- Nic złego się nie stało - powiedział łagodnie. - W gruncie rzeczy cieszę się, że się tu znalazłeś.

Możemy od razu omówić moje jutrzejsze wystąpienie telewizyjne.

Niespodziewanie odezwała się Jennifer:

- Te... rzeczy... Czy chcesz, żebym je odłożyła na miejsce? Te... rzeczy?

W dłoniach trzymała kamienne fallusy, po jednym w każdej. W ciężkim półmroku wyraźnie lśniły.

- Podobają ci się? - zapytał Hunter.

- Czy mi się podobają? Myślę, że mają właściwości hipnotyczne. Bardzo je polubiłam.

- A więc możesz je sobie wziąć. Albo zostaw mi je jeszcze na noc, zrobię w nich otwory i zawieszę na skórzanym rzemieniu. Będiesz mogła nosić je na pasku wokół bioder. Takie sobie skalpy współczesnej wyzwolonej kobiety.

- Naprawdę? - zapytała Jennifer. Z niechęcią odłożyła członki na stolik.

- Oczywiście. Bardzo się cieszę, że ci się podobają.

Hunter zdjął wreszcie dłoń z mojego ramienia i poprowadził nas do sypialni. Po ciemnościach salonu i dziwnej zawartości kufra, wszystko wydawało się tutaj niesamowicie normalne. Palły się nocne lampki przy łóżku. Przez oparcie krzesła przewieszony był płaszcz Huntera. A z łazienki dobiegały do nas odgłosy Micky, biorącej prysznic. Telewizor był włączony; spiker właśnie odczytywał wiadomości, jednak głos był wyciszony do minimum.

Oboje z Jennifer usiedliśmy. Ona na skraju łóżka, a ja naprzeciwko, w jednym z tych cholernie niskich foteli hotelowych, w których człowiek czuje się, jakby tyłek spoczywał poniżej pięt. Hunter stanął przed lustrem w ten sposób, iż wydawało mi się, że widzę ich dwóch: jednego przemawiającego do mnie i Jennifer oraz drugiego, w milczeniu uważnie nas obserwującego.

- Jutro - zaczął Hunter - zamierzam rozpocząć prezentację społeczeństwa, które zacznę budować, gdy tylko wygram wybory. Czy pamiętasz, w jaki sposób Nixon parafrazował Kennedy'ego, po czym powiedział: „Nie pytajmy się nawzajem, co dla nas zrobił rząd, raczej myślmymy o tym, co możemy zrobić sami dla siebie”. No cóż, Nixon był zbyt słaby i w zbyt ciemne interesy się wdał, aby budować takie społeczeństwo. Kiedy zostanę wybrany, nie tylko zacznę to społeczeństwo budować, ale też doprowadzę je do doskonałości. Będzie to społeczeństwo ludzi zaradnych, ale też ci, którzy będą zasługiwali na nagrody, otrzymają je hojną ręką, nic nie warcie nie otrzymają niczego.

- Jak to daleko odbiega od twojego hasła Nowego Początku - zauważyłem.

- Wcale nie. - Hunter nie miał zamiaru się ze mną zgodzić. - Jak mi się wydaje, ludzie nie rozumieją, że moje poglądy polityczne niemalże się nie zmieniły. Po prostu wypowiadam je śmieiej, bardziej otwarcie, jaśniej. A dlatego, że wreszcie zdałem sobie sprawę, iż półśrodkami niczego w Ameryce nie zwojujemy. Amerykanie oczekują od swojego prezydenta, że wskaże im drogę do nowego, łatwiejszego i sensowniejszego stylu życia. Dość mają już ugodowości, bzdur i kompromisów, które zaprowadziły nas do Wietnamu, a potem wyprowadziły z Wietnamu ze spuszczonymi głowami, które wpakowały nas w kryzys naftowy, kryzys w Środkowej Afryce, w kryzys na Bliskim Wschodzie i kryzys czort wie gdzie jeszcze.

Zakrztusił się, kaszlał przez chwilę, ale zaraz kontynuował:

- Idea Nowego Początku bazowała na założeniu, że Amerykanie powinni odzyskać ducha swoich pionierów.

Moja nowa platforma polityczna sięga daleko głębiej. Uznaję, że pionierzy odnieśli sukces, gdyż byli zaradni we wszystkich sytuacjach, gdyż nie krępowała ich biurokracja, gdyż w każdej chwili, gdy było to potrzebne, walczyli albo pracowali, albo w pocie czoła wszelkimi środkami dążyli, by uzyskać to, czego pragnęli.

Moja administracja zniesie wszelkie prawa ograniczające dążenia Amerykanów do zarabiania pieniędzy jak również do wydawania ich w dowolny sposób, nawet na najbardziej zakazane obecnie rozrywki. Państwo to powstawało jako kraj wolności, który przynigdy nie będzie ograniczał żadnych praw swych obywateli. Gdzie są dzisiaj te prawa? Gdzież jest prawo zatrudnienia, kogo się chce, płacenia, ile się chce, i zwalniania z pracy, kiedy tylko stanie się to uzasadnione? Gdzież jest to prawo do wznoszenia budynków i fabryk i czerpania z tego tytułu zysków? Gdzież jest fundamentalne prawo do posługiwania się własnym ciałem w taki sposób, w jaki właściciel uzna za najwłaściwszy? Socjalizm i biurokracja te prawa nam odebrały. Zamierzam je odbudować.

Wyciągnąłem papierosa.

- Zdaje się, że chcesz, żeby znów tu powrócił Dzikie Zachód - zauważyłem.

Z pewnością zauważył niechętny ton w moim głosie, ale ciągle się uśmiechał.

- Masz rację - stwierdził. - Więcej w tym Dzikiego Zachodu niż Nowego Początku. - Przyjął pozycję Lonela Ramera i dotknął palcem runda niewidzialnego stetsona. - Teddy Kennedy - zaintonował najdoskonalszym akcentem z Kolorado - masz dwie godziny na opuszczenie tego miasta. Biały Dom jest za mały dla nas obu.

Roześmiał się głośno śmiechem tak złowieszczym, że mimowolnie zadrżałem.

- Lepiej już pójdziemy - powiedziałem. - Chcieliśmy z Jennifer razem zjeść kolację, zanim rozpoczniemy wieczorną naradę.

- Dobrze zrobicie - przytaknął Hunter. - Później jeszcze porozmawiamy.

Wstałem.

- Pozdrów Micky ode mnie - powiedziałem do Huntera. - Zdaje mi się, że dziś rano wyglądała na zmęczoną.

- Pozdrowię ją, bądź spokojny.

Wstaliśmy z Jennifer i w tym momencie otworzyły się drzwi łazienki.

- W porządku, Micky, właśnie wychodzimy - odezwałem się do sylwetki za drzwiami.

- Micky? - zapytał kobiecy głos.

W połowie drogi do wyjścia odwróciłem się, zdziwiony. W drzwiach do łazienki stała, owinięta w biały ręcznik, drobna, ładna, czarna dziewczyna. Włosy związane miała w kitkę, zieloną wstążeczką.

Popatrzyłem na Huntera, a on jedynie szeroko się uśmiechnął.

- Przepraszam - powiedziałem cicho. - Zdaje się, że zaszła pomyłka.

ROZDZIAŁ XXI

Udział Huntera w Dave Dunglas Show następnego dnia wywołał sensację. Tak jak przyrzekł, przedstawił w programie po raz pierwszy wizję społeczeństwa, jakie zamierzał budować po dostaniu się do Białego Domu. Po emisji linie telefoniczne do stacji telewizyjnej obłożone były przez długie godziny.

Niektóre telefony pełne były nienawiści. Przynajmniej osiem procent z nich zawierało pogróżki i określało Huntera jako „najgorszą ludzką bestię od czasów Hitlera”. Było to jednak nic w porównaniu z setkami telefonów z deklaracjami poparcia i pochwałami, nie tylko od białych mieszkańców z klas średnich, ale też od bogatych Murzynów i tych robotników, którym wizja zhierarchizowanego społeczeństwa dawała przynajmniej nikłą nadzieję, iż pewnego dnia staną się bogaci i przeniosą do lepszych dzielnic, kupią luksusowe samochody i zostaną wreszcie zauważeni przez świat.

Wizja społeczeństwa, w którym każdy pracuje tylko dla siebie i na siebie, Hunterowski nowy Dzik Zachód, zdawał się docierać do wszystkich. Jego słowa zgadzały się z najgłębszymi i najbardziej egoistycznymi dążeniami ludzi, niezależnie od ich pochodzenia społecznego, inteligencji czy dotychczasowych poglądów politycznych. Bogaci widzieli dla siebie szansę zostania jeszcze bogatszymi. Cieszyły ich zapowiadane obniżki podatków, cła zaporowe i polityka zagraniczna agresywnie broniąca amerykańskiego eksportu. Klasy średnie widziały dla siebie szansę okopania się w swoich domach na przedmieściach wielkich miast, w otoczeniu gromadek dzieci zapatrzonych bez reszty w swoich ojców i matki. Widziały możliwość spokojnej egzystencji w izolacji od zagrożeń, jakie niesie ze sobą życie w wielkich miastach. Nawet biedni wydawali się zadowoleni. Hunter obiecywał, że zniesie wszelkie ograniczenia związane z prostytutką czy handlem narkotykami i pozwoli biedakom zajmować się, czymkolwiek zechcą, pod warunkiem, że nie będą zakłócać egzystencji bogatych i pozostaną w swoich wyznaczonych gettach.

Liberałom obiecywał wolność: „Nowa generacja amerykańskich myślicieli będzie się rodzić już w przyszłym roku”. Przyrzekał spełnienie intelektualistom: „Ten rząd zamierza nagradzać inwencję i twórcze myślenie w sposób, w jaki nie czynił tego żaden amerykański rząd do tej pory”. Rysował przed oczyma słuchaczy kraj błyszczącego Disneylandu, w którym każdy będzie mógł odebrać od myszki Minnie Mouse swoją część czekoladowego ciastka i jeszcze więcej.

Obiecywał Amerykę, o jakiej marzył każdy Amerykanin: szczęśliwą, o jasnym, błękitnym niebie. Obiecywał kraj, w którym nie będzie rzeczy niemożliwych. Nawet nie próbował tłumaczyć, w jaki sposób chce zaspokoić egoistyczne dążenia 250 milionów, często zdesperowanych i przestraszonych ludzi, w jaki sposób zamierza zbudować z tego zlepku idylliczne społeczeństwo, ale wcale nie musiał. Kiedy przemawiał, wszyscy, włącznie ze mną (i z tobą drogi czytelniku, jeżeli go akurat słuchałeś), oczyma duszy widzieli swoje marzenia i pragnienia spełnione.

Hunter wprost czarował swoich słuchaczy. Miał w sobie taką charyzmę, że nie sposób było nie wierzyć jego słowom. Oferował przecież wolność i szczęście, to samo, co jak pamiętam, obiecywali wszyscy prezydenci, począwszy od Eisenhowera. Przemawiał spokojnie, niemalże dystyngowanie. Czasami odrobinę podnosił głos, ale zawsze się kontrolował. Gdyby sam Jezus Chrystus stanął przed kamerami telewizyjnymi i zaczął głosić swoją naukę, chyba nie zrobiłby tego lepiej od Huntera. „Washington Post” przyznał niechętnie, że senator Peal zdaje się posiadać charyzmę, z którą dotąd utożsamialiśmy tylko Kennedych.

Cóż, mogli to nazywać charyzmą. Mogli nazywać hipnozą. Sadzę, że padły wszystkie określenia, z wyjątkiem tego prawdziwego. Nie było jednak wątpliwości, że Hunter Peal wysunął się na pierwsze miejsce w Partii Republikańskiej i że niemal wszyscy jego słuchacze byli zafascynowani

wizją nowego Dzikiego Zachodu. Nie chodziło, oczywiście, o prawdziwy Dzikie Zachód, ze śmierdzącymi krowami i zawszonymi prostytutkami. Hunter prezentował Dzikie Zachód chroniony przez całe zastępy bombowców, uzbrojonych w rakiety z głowicami nuklearnymi, Dzikie Zachód, na którym komunizm, narkomani, mordercy i złodzieje nie zakłócają rodzinnego szczęścia.

Taksówkarz, który wiozł mnie przez Hartford, nie wiedząc, kim jestem, powiedział do mnie:

- Ten facet, Peal, mówi całkiem do rzeczy. Wiesz dlaczego? Bo doskonale rozumie, czego chcą Amerykanie.

Oczywiście, wkrótce odezwało się lobby antywojenne. Jane Fonda powiedziała, że raczej da sobie odciąć dłonie, niż będzie żyła w Ameryce Huntera. Jednak ruchy antywojenne straciły swoje wpływy na kampanię prezydencką już wówczas, gdy o prezydenturę ubiegał się George McGovern, Hunter mógł więc je zbywać ironicznymi komentarzami. Poza tym w programie Chet Williams Talk-In doprowadził pacyfistów do łez i zmusił ich do przyznania, że każdy chętnie zastrzeliłby dziesięciu Wietnamczyków za jednego przyjaciela, który zginął w walce.

Po dwóch dniach kampanii na wybrzeżu, Hunter wygrał prawybory w Connecticut, uzyskując 79,2 procent głosów. Daleko za nim uplasowali się Leonard Oliver i Randolph Kress. Gdybym był Kressem, w tym szczególnym momencie historii politycznej Stanów Zjednoczonych, postępowałbym co najmniej ostrożnie. A tymczasem nowojorskie gazety cytowały jego słowa: „Niezależnie od naszych poglądów etycznych i społecznych, musimy zdać sobie sprawę, że choroba, jaka nam grozi w tym roku, nazywa się reakcją. Rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty w zasadzie nie różni się niczym od lat pięćdziesiątych”.

Wszyscy byliśmy zadowoleni z sukcesu Huntera. Czego byśmy teraz o nim nie sądzili, nie można nas za to winić. Zapręgliśmy wszystkie swoje umiejętności i całą swoją energię w działania zmierzające do tego, żeby został wybrany prezydentem, i odnosiliśmy sukcesy. Sam Wieka jakby zawarł pokój z Hunterem, przynajmniej na jakiś czas, a ja po raz dziesiąty już chyba od czasu opuszczenia Allen's Corners zadecydowałem, że lepiej pozostać z Hunterem, niż go teraz opuszczać. Sądzę, że można przypuszczać, iż wszyscy byliśmy prześladowani przez zupełnie różne poczucia winy, jednak potężny argument w postaci 79,2 procent głosów oddanych na Huntera nie mógł być dla nas obojętny, niezależnie od naszych sumień. Ten też argument nakazał nam zgromadzić się w apartamencie Huntera w Holiday Inn i popijając szampana z wysokich kieliszków, wykrzykiwać pozdrowienia i gratulacje pod jego adresem.

Kiedy znalazłem się tam, pierwszą rzeczą, która mnie uderzyła, był brak drewnianego kufra. Ktoś nawet starannie wyszczotkował dywan, aby z miejsca, w którym kufer się wcześniej znajdował, zniknęły wszelkie ślady. Pod koniec tygodnia mieliśmy zjawić się w Filadelfii, aby kontynuować naszą kampanię w Pensylwanii. Zgadywałem, że Hunter kazał już wysłać kufer do nowego miejsca przeznaczenia. Skoro włókł go ze sobą do Hartford, zamiast od razu odesłać do Kolorado, z pewnością zamierza wozić go ze sobą przez cały czas kampanii.

Ta myśl sprawiła, że poczułem się niezbyt pewnie. Czyżby Hunter był współczesnym Pigmalionem?

Apartament hotelowy zatłoczony był przez dziennikarzy, członków sztabu Huntera, różnych facetów, którzy na plecach Huntera chcieli zrobić jakieś swoje własne interesy, oraz przez kilka ładnych dziewcząt, które od razu rzucały się w oczy. Ale kiedy tylko postanowiłem, że przedstawię się wysokiej blondynce o nieprawdopodobnie długich i kształtnych nogach, w drogiej, strojnej sukience od Ceruttiego, w drzwiach ukazała się Jennifer i skinęła na mnie. Od razu zmieniłem pozycję, niczym pocisk balistyczny, poszukujący źródła ciepła i posłałem Jennifer powitalny pocałunek. Ubrana była w białą bluzeczkę w stylu lat pięćdziesiątych i obcisłą spódniczkę i, prawdę

mówiąc, wyglądała o wiele ładniej niż zgromadzone w pokoju wszystkie dziewczyny. Blondynka, która od razu odgadła przyczynę mojej odmiany, posłała mi tylko pełen rezygnacji uśmiech.

Hałas w apartamencie był niewiarygodny. Zewsząd rozlegały się okrzyki, wybuchy śmiechu i strzały odkorkowywanych butelek szampana, a powietrze było ciężkie i gęste od dymu papierosowego. W tym wszystkim nie słyszałem głosu Huntera, a sylwetka Micky była dla mnie tylko szarą plamą w drugim końcu pokoju.

- Przepraszam cię na chwilę - powiedziałem do Jennifer, gdy podeszła do mnie, i zbliżyłem się do Micky, aby zapytać, jak się czuje.

- Micky, gratuluję - powiedziałem. - Zdaje się, że będziesz Pierwszą Damą w tym kraju.

- Jack - uśmiechnęła się, wznosząc w górę kieliszek. - Dziękuję ci.

- Jak się czujesz? Czy wszystko w porządku?

Skinęła głową. Popatrzyła na Huntera, który obejmował ramieniem jakąś dziennikarkę w sukience koloru cytryny, a potem spojrzała znów na mnie.

- Jesteś pewna? - znów zapytałem.

- Dogadaliśmy się - powiedziała.

- Czy chcesz, żebym w czymś ci pomógł?

- Nie. To miłe z twojej strony, ale sadzę, że zawarłam z Hunterem najlepsze porozumienie, jakie tylko było możliwe.

Nie wiedziałem, o czym jeszcze moglibyśmy porozmawiać. Micky wydawała mi się trochę spokojniejsza niż w Allen's Corners, jednak przez te kilka dni, jakie minęły od naszego wyjazdu stamtąd, jej zwycięski uśmiech przyszłej Pierwszej Damy wciąż był tak samo smutny. Do czegokolwiek doszła z Hunterem, z pewnością nie było to łatwe. Być może zgodziła się, aby sypiał z innymi kobietami, pod warunkiem, że jej samej da spokój. Być może oboje uzgodnili, że jeżeli Hunter nie uzyska nominacji, oboje zgodzą się na rozwód.

- Później jeszcze porozmawiamy, dobrze? - powiedziałem. - Kiedy cała ta impreza się skończy.

- Tak - odpowiedziała. Szybko uściśnęła moją rękę i odwróciła się.

Powróciłem do Jennifer, którą nagabywał chwiejący się już na nogach reporter z „Hartford Chronicle”, z dwoma kieliszkami szampana i w grubych okularach.

- Przepraszam cię, stary, ta pani jest mi teraz potrzebna - powiedziałem do niego i odciągnąłem Jennifer na bok.

- Dziś po południu dostałam te... rzeczy - powiedziała do mnie.

- Jakie rzeczy? - zapytałem bez zainteresowania. - Masz może papierosy?

- Wiesz, te rzeczy, które Hunter mi podarował. Te ze statuy.

- Och, te?

- Goniec przyniósł mi je w pudełeczku na biżuterię. Hunter przewiercił w nich dziurki i przeprowadził przez nie rzemyk, taki jakiś złocony. Są niezwykle.

- Chyba nie będziesz ich nosić, co?

- A dlaczego nie? - zapytała, szukając w torebce paczki papierosów.

Zmarszczyłem czoło.

- Bo to w złym guście, dlatego.

- Uważasz, że penisy to rzeczy w złym guście?

- Jeżeli przewiążesz je na sznurku wokół bioder, to owszem, są w złym guście.

- Cóż, twój właśnie zwisa ci gdzieś w tych okolicach, o ile dobrze pamiętam. Nie mam papierosów.

- W takim razie - powiedziałem, patrząc gdzieś w przestrzeń - zrobię to, o czym marzyłem przez

ostatnie pięć lat i rzucę palenie.

- Ze względu na zdrowie?

- Nie, ze względu na to, że akurat nie mam ich pod ręką. Może jednak oddasz te penisy Hunterowi?

- Nie, nie oddam. W końcu dostałam je w prezencie. Powiedział, że skoro mi się podobają, mogę je sobie wziąć. A poza tym zadał sobie tyle trudu, żeby przewiercić w nich dziurki... No i są takie seksowne...

- Cóż - westchnąłem. - To zależy tylko od ciebie. Nie życzę sobie jednak, żebyś je nosiła, kiedy jesteś ze mną. Nie zamierzam pokazywać się w mieście w towarzystwie obwieszonych trofeami Amazonki.

Wspięła się na palce i pocałowała mnie w ucho.

W tym samym momencie przez hałas przedarł się głos Sama Wieki. Prosił wszystkich o ciszę. Konwersacja nie ucichła ani o odrobinę, więc wrzasnął jeszcze raz:

- Cisza! Ludzie, uciszcie się na minutę! Rozmowy powoli zamierały. Nagle wszyscy zdaliśmy sobie sprawę, że włączony jest telewizor. Na ekranie widniał Len Bailey z Election News, właśnie przekazujący najnowsze wiadomości:

- „W obliczu wyraźnego zwycięstwa senatora Huntera Peala w Connecticut - mówił - i wobec prognoz przewidujących jego wysokie zwycięstwo w Pensylwanii, reprezentant Leonard Oliver z Illinois zwołał w trybie pilnym konferencję prasową, podczas której spodziewane jest jego ważne polityczne oświadczenie.

Jak dotąd kongresmen Oliver nie zgłaszał swojej kandydatury do nominacji prezydenckiej z ramienia Partii Republikańskiej, twierdząc, że czas nie sprzyja politykom o jego poglądach. Jednak ze względu na jego ogromną popularność w New Hampshire i w Connecticut odzywają się głosy, przede wszystkim z kręgów zbliżonych do niezwykle aktywnego w ostatnich dniach Komitetu na Rzecz Wyboru Olivera, iż mógłby on być jedyną osobą, która uchroni kraj przed ekstremizmem Peala albo przed zbyt umiarkowanym Randolphem Kressem.

Jest zbyt późno, aby Oliver mógł osiągnąć jakieś znaczące wyniki w pozostałych prawyborach, jednak znany jest on powszechnie jako człowiek silny i zręczny manipulator opinii partyjnej. Nikt nie wyklucza, że właśnie Oliver byłby w stanie wydrzeć Pealowi niemal pewną nominację prezydencką republikanów podczas konwencji tej partii w lipcu”.

Patrzyłem w tym momencie na Huntera. Widziałem, jak ze sztuczną swobodą wychyla potężny łyk szampana. Dziewczyna w cytrynowej sukni wciąż stała przy nim i było jasne, że zamierza pozostać z Hunterem przez cały wieczór, jeżeli nie do rana.

Len Bailey jeszcze nie skończył:

- „Pozwolę sobie przypomnieć, że senator Hunter Peal, czarny koń republikanów z Kolorado, prawie na pewno wygrał prawyborcy republikanów w Connecticut. ABC News ocenia, że zdobył tam grubo ponad siedemdziesiąt procent głosów. Kampania senatora Peala przebiega pod znakiem czegoś, co bezstronni obserwatorzy określają jako wybuchy masowej histerii wśród jego zwolenników. Jego pierwsze ważne wystąpienie w Connecticut zawierało elementy masowej halucynacji, której poddali się nawet dziennikarze”.

Przerwał niespodziewanie i zapowiedział:

- „Proszę państwa, uzyskaliśmy właśnie połączenie z Danem Robertsem w Waszyngtonie, gdzie reprezentant Oliver za chwilę właśnie wygłosi swoje oświadczenie”.

Zmienił się obraz na ekranie i ujraliśmy Leonarda Olivera. Miał wąską, przystojną twarz i nadające mu powagi krótkie siwe włosy. Jego twarz emanowała wielką troską. Podniósł do góry

rękę, żeby uciszyć dziennikarzy, słuchających go w sali konferencyjnej w Waszyngtonie.

- Popatrzcie na tego osła - odezwał się Hunter. - Czy jesteście w stanie brać go na poważnie?

- Ciii - syknęła Micky i zignorowała ostre spojrzenie, które rzucił jej Hunter w odpowiedzi.

Leonard Oliver wbił wzrok w obiektywy telewizyjnych kamer.

- „Przed miesiącem - zaczął - zadeklarowałem, że w bieżącym roku w żaden sposób nie będę ubiegał się o nominację mojej partii na stanowisko prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki.”

- No właśnie - mruknął ktoś stojący w kącie pokoju.

- „Jednak - kontynuował Oliver - pewne wydarzenia polityczne, które miały miejsce podczas republikańskich prawyborów w stanie Connecticut, zmusiły mnie do ponownego rozważenia mojej decyzji o nieubieganiu się o nominację, i to rozważenia bardzo pilnego. Pojawił się wśród nas polityczny fenomen, i to pojawił się z siłą i subtelnością huraganu. Fenomen ten nazywa się Hunter Peal. Jest to człowiek, którego przez wiele lat znałem i poważałem, za jego umiarkowane poglądy i wyważone opinie. Jednakże człowiek ten nagie, dla doraźnych politycznych korzyści, zaprzedał swoje zasady i w pogoni za stanowiskiem w Owalnym Gabinetcie zachowuje się, jakby co najmniej zaprzedał duszę diabłu.

Senator Peal pragnie wygrać tegoroczne wybory, apelując do ludzkiego egoizmu, agresji, nienawiści klasowej, rasizmu, zachłanności, rozwiązłości seksualnej, wychwalając wszelkie, jakie tylko istnieje, zło, drzemiące w naturze ludzkiej. Kiedy po raz pierwszy usłyszałem jego przemówienie, wydało mi się tak przepełnione złem i głupotą, że byłem pewien, iż nikt, ani na chwilę, nie potraktuje czegoś takiego poważnie. Nie wierzyłem, że tak ohydne poglądy choćby przez chwilę utrzymają się? na powierzchni naszego życia politycznego.

Mylłem się jednak. Senator Peal o wiele lepiej odwołuje się do słabości naszego narodu niż byłem w stanie sobie uzmysłowić. Dzisiaj wieczorem jest już jasne, że wygrał prawyborów w stanie Connecticut i że prawdopodobnie zwycięży również w Pensylwanii. Nie można wykluczyć, że odniesie sukces także w stanie Massachusetts pod koniec maja.

Nie wolno mi pozwolić, aby ten trend się utrzymywał. Nie zezwala mi na to przede wszystkim mój honor. Nie zezwala mi moje sumienie. Nie zezwala mi miłość do mojej ojczyzny. Zamierzam stanąć przeciwko Hunterowi Pealowi w tej kampanii wyborczej i w tej chwili po raz pierwszy wołam do wszystkich ludzi, aby mnie w moich zmaganiach ze złem poparli”.

Wreszcie Hunter popatrzył po raz pierwszy na ekran. Takiego wyrazu twarzy nie widziałem u niego od wielu dni. Był spięty, rozszłoszczony, skupiony. Jego spojrzenie było ostre, przenikające wszystko na wskroś. Pod tym spojrzeniem sylwetka Leonarda Olivera na ekranie zaczęła blednąć, a głos z każdą chwilą cichł. Nikt w pokoju, poza mną, nie zdawał sobie w tym momencie sprawy z tego, że to właśnie Hunter sprawia, iż występują zakłócenia w odbiorze. Sam Wieka uklęknął przy telewizorze i zaczął kręcić wszystkimi gałkami, przyciskać wszystkie guziczki, walić pięścią w obudowę. Oczywiście, bezskutecznie.

Oczy Huntera ukryte pod gęstymi rzęsami, były ciemne, nieprzeniknione. Wszystkie mięśnie na jego twarzy były napięte. Obraz i głos Leonarda Olivera zanikł ostatecznie.

Jednak na krótką chwilę coś innego pojawiło się na ekranie, coś tak strasznego, że włosy stanęły mi dęba na głowie. Chyba nikt tego nie zauważył, bo wszyscy byli już znudzeni bezowocnymi wysiłkami Sama, aby naprawić telewizor, i powracali do rozmów oraz szampana. A ci, którzy zobaczyli, z całą pewnością niczego nie zrozumieli.

Ja jednak widziałem to już wcześniej. Widziałem ten cień w studio telewizyjnym w Danbury i, co gorsze, widziałem go też w sypialni Huntera w Allen's Corners.

Była to ciemna, przerażająca sylwetka rogatej bestii. Cień stworzenia, które teraz władało duszą

czołowego kandydata na stanowisko prezydenta USA. Był to cień, który mógł rzucić jedynie diabeł.

KSIĘGA DRUGA
UPADEK

ROZDZIAŁ I

Do dzisiejszego dnia nikt jeszcze nie zrelacjonował ze szczegółami nieudanego zamachu na życie Huntera Peala, który miał miejsce przed Benson Hotel w Portland w dniu, w którym Hunter wygrał prawyborcy w stanie Oregon.

W „Rolling Stone” ukazał się długi, napuszony artykuł, zawierający wywiad z niedoszłym zabójcą Huntera („zamierzam usunąć to białe ścierwo z powierzchni ziemi...”), nagrany podobno dla jakiejś radykalnej murzyńskiej rozgłośni radiowej na trzy dni przed zamachem. Żadna z gazet jednak nigdy nie próbowała napisać, że wie, co tak naprawdę wydarzyło się tego wieczoru przed hotelem, a tylko dwoje spośród trzynaściorga świadków zeznało, że widzieli Duke’a Willitsa trzymającego rewolwer.

Byłem tam wówczas, kilka kroków za Hunterem i Micky, i wszystko widziałem. Nie tylko widziałem, ale także rozumiałem. Przynajmniej częściowo; znając już zdolności psychokinetyczne Huntera, łatwo mogłem się domyślić, w jaki sposób unieszkodliwił zamachowca.

Oregon miał być stanem, w którym Hunter chciał zakończyć swój udział w prawyborach. Oczywiście, ciągle pozostawały przed prezydenckimi kandydatami prawyborcy w Kalifornii, jednak Hunter uznał za rozsądne nie startować tam przeciwko ukochanemu przez kalifornijczyków Randolphowi Kressowi i wycofał swoje nazwisko. Nie dlatego, że nie odpowiadało mu ewentualne minimalne, 2-3 procentowe zwycięstwo nad Kressem, ale dlatego że wciąż pamiętał gorzki kalifornijski konflikt pomiędzy Goldwaterem a Rockefellerem i jego zgubne następstwa, a ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było zjednoczenie się przeciwko niemu w Detroit umiarkowanych elektorów. Pokonanie Kressa w Kalifornii nie było warte tego ryzyka.

Oczywiście, ryzykiem było też odpuszczanie sobie prawyborów w Kalifornii. Sam Wieka wypalił cztery cygara, przekonując Huntera, aby jednak wziął w nich udział. Ten był jednak niemalże arogancko pewny swego. Niech Kress i umiarkowani kandydaci mają swoją godzinę. Ich dobre wyniki w jednym stanie mogą uczynić ich jedynie bardziej podatnymi na wpływ Huntera w decydujących chwilach. Kiedy Hunter wypowiadał słowo „wpływ”, zaciskał pięści, jakby chciał dać nam do zrozumienia, że zmiażdży jądra każdemu, kto będzie chciał mu się oprzeć. Zadrzałem. Znałem już to uczucie.

Tego wieczoru w Oregonie, kiedy siedzieliśmy w pokoju hotelowym Huntera i na ekranie telewizora obserwowaliśmy, jak spływają wyniki, zdawało się, że Hunter Peal ma w dłoniach nie tylko jądra elektorów. Miał w swych rękach cały świat. Brał udział w prawyborach w trzydziestu jeden stanach i w dwudziestu siedmiu z nich zdecydowanie wygrał. Poparcie, jakie uzyskał w konserwatywnych stanach Środkowego Zachodu, było wręcz imponujące i przestraszyło Kressa i McCreary’ego tak bardzo, że zrezygnowali z walki w Iowa, Nebrasce i Kansas w obawie, że Hunter pogiębi ich tak mocno, iż zawsze będą już uważani za ludzi, którzy są przegrani.

Co więcej, cała Ameryka nie mówiła już o niczym innym jak o nowym Dzikim Zachodzie. Kiedy zastanawiamy się nad tym wszystkim dzisiaj, gdy emocje już opadły, musi nam się to wydawać absurdalne. Pamiętajmy jednak, że wówczas każda gazeta w kraju kreowała Huntera na bohatera, który przywróci „silną Amerykę”, że z każdym kolejnym sukcesem w prawyborach rosła niezachwiana wiara w niego, z każdym dniem rosło przekonanie, iż głosowanie na Huntera w listopadowych wyborach jest niemal patriotycznym obowiązkiem Amerykanów.

W miarę jak kampania nabierała tempa, z coraz większą częstotliwością przekonywałem ludzi, że Hunter jest spokojnym, przykładowym farmerem, kimś takim jak Lorne Green z Bonanzy. Jeśli poczytacie moje publikacje prasowe z tego okresu, niemalże poczujecie przebijający z nich zapach starego rancza, wieprzowiny i fasoli. Powstały całe tuziny „naukowych interpretacji” na temat tego,

jaki wpływ miał prezydent Hunter Peal na myślenie Amerykanów w latach 1979-1980. Jestem jednak głęboko przekonany, że głosowaliśmy na niego tylko z jednego powodu: głęboko wierzyliśmy, iż uczyni nasze życie znów tak prostym, jakim było w latach pięćdziesiątych. Hunter obiecywał nam spokojne wschody i zachody słońca, wesołe życie i radość. Wszystko takie, jakie było, zanim zanieczyszczenia atmosfery odebrały nam radość z oglądania wspaniałych zachodów słońca, zanim kryzys energetyczny nakazał nam skrócić nasze samochody o dobre pięć stóp, zanim cholesterol nakazał nam baczniej przyglądać się temu, co jemy. I tak dalej, i tak dalej. Hunter obiecywał każdemu z nas spełnienie najskrytszych pragnień i nikt ani na chwilę nie pomyślał, że spełnienie tych obietnic, nie jest możliwe. Poprzednie administracje tak obniżyły nasze morale, że po prostu ślepo mu uwierzyliśmy. Przynajmniej większość z nas.

Duke Willits był wyjątkiem. Był dwudziestoczteroletnim czarnym młodzieńcem z Drew County w stanie Arkansas, który od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzał Huntera na telewizyjnym ekranie, uwierzył, że jego życiową misją jest uwolnienie świata raz na zawsze od tego białego dyktatora. Podczas gdy Hunter i jego sztab leciał do Portland na pokładzie czarterowego odrzutowca.

Duke zmierzał do tej samej miejscowości autobusami, samochodami, a chwilami nawet na piechotę.

Myślę, że zawsze byłem zafascynowany tym, co kryje się w ludzkim przeznaczeniu. I myśl o Hunterze przemawiającym na podium podczas republikańskich wieców w Eugene, Keizer, Salem i Corvallis, gdy Duke Willits spał z ogoloną głową opartą o szybę w jakimś autobusie Greyhounda zmierzającym na północ, myśl o tym, że ci dwaj mężczyźni stopniowo, ale nieuchronnie, zbliżali się do miejsca swego spotkania przed Benson Hotel, do dnia dzisiejszego skłania mnie do głębokiej refleksji nad tym, jak bardzo jednostki mogą wpływać na bieg historii. Duke Willits mógł całkiem zmienić bieg historii, gdyby tylko zdawał sobie sprawę, na co się porwał.

Ale, oczywiście, nie mógł mieć zielonego pojęcia. Zresztą, nawet ci spośród nas, którzy wiedzieli, albo przynajmniej się domyślali, nie byli w stanie wówczas nic uczynić. Senator Hunter Peal dominował nad nami jak ciemna gwiazda o świcie i jego wpływ na nas był wszechogarniający.

Była godzina jedenasta piętnaście wieczorem, gdy Hunter postanowił, że pójdzie na spacer wzdłuż South-west Boulevard, żeby zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Mieliśmy, co prawda, zarezerwowany stolik w Trader Vic's, ale nie czuł się głodny. W pokoju hotelowym Huntera znajdował się wówczas Sam Wieka z Arlene oraz Wallie McGilchrist z oregońskiego Komitetu na Rzecz Wyboru Huntera Peala, James Evans, który przyleciał z Kolorado, aby z bliska obserwować ostatnie prawybory Huntera, i Donald Zarowski.

Hotelowy hol wypełniony był dziennikarzami, stojącymi niemal wszędzie telewizyjnymi kamerami, wreszcie hotelowymi gośćmi, którzy nie chcieli przepuścić okazji poobserwowania z bliska, co też takiego się dzieje. Na chodniku przed hotelem, powstrzymywane przez policjantów z Portland, świętowały tłumy zwolenników Huntera, powiewające transparentami na jego cześć i krzyczące bez chwili wytchnienia: „Hunter, Hunter!” Gdy stanęliśmy w drzwiach wyjściowych z hotelu, zapaliły się dziesiątki reflektorów i zrobiło się jasno jak w dzień.

Według policjantów, Duke Willits oczekiwał na tę chwilę już od dwóch godzin po przeciwnej stronie Oak Street. Na głowie miał czerwoną wełnianą czapkę, zakrywającą łysinę, poza tym płaszcz przeciwdeszczowy dla kamuflażu i znoszone drelichowe spodnie. W lewej kieszeni płaszcza (był mańkutem) miał ukryty rewolwer marki Smith and Wesson, kaliber czterdzieści cztery, automatyczny, załadowany trzema pociskami. W prawej kieszeni znajdował się list, napisany długopisem na kiepskim papierze.

O jedenastej dwadzieścia dwie, opóźniony przez powstrzymujących go dziennikarzy i tłumy

ciekawskich, Hunter Peal ukazał się na chodniku przed Benson Hotel. W tym momencie miał pięćdziesiąt dziewięć lat, miał wkrótce zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych. Był absolwentem Akademii Lotnictwa Wojskowego w Colorado Springs i Uniwersytetu w Denver. Miał sześć stóp i dwa cale wzrostu, 205 funtów wagi, był jednym z najważniejszych członków Komitetu Sił Zbrojnych Senatu.

W tym samym momencie ruszył w jego kierunku Duke Willits, zdecydowanym krokiem przechodząc przez jezdnię. Duke Willits był sprzedawcą w sklepie spożywczym, miał dwadzieścia cztery lata, ukończył szkołę średnią w Monticello, w stanie Arkansas i, jak się przypuszcza, był członkiem Ruchu na Rzecz Wyzwolenia Czarnych. Miał pięć stóp i dziewięć cali wzrostu, 128 funtów wagi i wszystko to, co posiadał, mieściło się w tej chwili w kieszeniach jego płaszcza. Rewolwer, list i 12,97 dolarów w gotówce.

Mniej niż piętnaście sekund zabrało Duke'owi Willitsowi przejście przez jezdnię, przepchnięcie się do pierwszej linii tłumów przed wejściem do hotelu i wyciągnięcie z kieszeni rewolweru. O wiele mniej czasu potrzebował Hunter Peal, żeby go zniszczyć.

ROZDZIAŁ II

Jestem cholernie głodna - powiedziała Jennifer. - I chce mi się pić. Zrobię wszystko za chociażby łyk soku Menehune.

- Wszystko - zapytał Donald, poruszając brwiami niczym Groucho Marx.

- Co to takiego sok Menehune? - zdziwiła się Arlene Wieka.

- Widzisz - odparła Jennifer - to taki drink, który podają w Trader Vic's. W środku jest zawsze mały facet z kauczuku.

- Zdaje się, że chcieli to najpierw nazwać Chappaquiddick Special - zauważyłem.

Szliśmy przez jasno oświetlony hall hotelu Benson. Hunter kroczył przed nami, otoczony po bokach przez dwóch agentów FBI, których nazywaliśmy ArtooDeetoo oraz See-Threepio, a to dlatego że jeden był zaprzeczeniem drugiego i pod względem osobowości, i budowy ciała. Micky szła u boku Huntera, chociaż wyraźnie starała się nawet nie ocierać o niego. Jego skłonność do zdrad rosła z każdym dniem kampanii, kulminację osiągnęła chyba w hotelu Galleria Plaza w Huston. To tam nakryłem go w pokoju hotelowym z trzema nagimi dziewczętami. Żadna z nich nie wyglądała na więcej niż siedemnaście lat. Moje podejrzenia, że Micky zawarła swego rodzaju porozumienie z Hunterem w kwestii życia seksualnego, nie były więc bezpodstawne. Dotykaj każdej dziewczyny, na jaką masz ochotę, bylebyś tylko nie dotykał mnie - tak chyba brzmiało to porozumienie.

Na czoło naszego pochodu dostał się reporter „Portland Mail” ubrany w jasnoczerwony płaszcz. Oczywiście, nie omieszkał rzucić pytania:

- Senatorze Peal czy wybranie pana prezydentem będzie oznaczało zwiększenie liczby żołnierzy stacjonujących w Oregonie? Czy, na przykład, powinniśmy w takim wypadku spodziewać się nowej bazy samolotów bojowych?

- Cóż, synu - zaczął odpowiadać Hunter. - Naprawdę, jest zbyt wcześnie, aby mówić o tym W szczególach. Ale możesz przyjąć, że moim osobistym życzeniem jest, żeby Oregon był tak samo silnie strzeżony jak Waszyngton.

Delikatnie, ale stanowczo, ująłem dziennikarza pod łokieć.

- Nazywam się Jack Russo - powiedziałem. - I odpowiadam za kontakty senatora z prasą. Czy chcesz dowiedzieć się jeszcze czegoś?

- Chciałbym wiedzieć, czy senator zamierza zainwestować trochę federalnych pieniędzy w Oregon. Poza tym chciałbym usłyszeć odpowiedź na dziesięć innych pytań.

- Senator Peal wychował się w zachodnich stanach. Wy, ludzie z zachodu, stoicie przed wielką szansą, gdy tylko zostanie wybrany prezydentem. Sam pochodzę z Montany i gorąco w to wierzę.

- Richard Nixon obiecywał nam to samo. I co z tego wyszło?

- Czasy są zupełnie inne - odparłem.

Hunter i Micky tymczasem nie zatrzymywali się i musiałem dobrze się starać, żeby do nich dołączyć. Właśnie wychodzili przez wielkie drzwi na chodnik przed hotelem. Zobaczyłem i usłyszałem tłumy na zewnątrz, ludzi wpatrujących się w Huntera niemal jak w obrazek, wymachujących flagami i transparentami, krzyczących:

- Hunter! Hunter! Hunter!

- Czy to nie jest fantastyczne? - zawołała Jennifer i ujęła mnie pod rękę.

W tym samym momencie ujrzałem Duke'a Willitsa wysuwającego się do pierwszego rzędu w tłumie. Miał czerwony, wełniany kapelusz, młodą, czarną twarz i rękę ukrytą głęboko w kieszeni przeciwdeszczowego płaszcza. Wyraz jego twarzy był tak odmienny od twarzy otaczających go ludzi, że natychmiast wyczułem coś złego.

- Hunter! - krzyknąłem.

Ale Hunter nawet nie usłyszał. Tłum był o wiele głośniejszy ode mnie. Powtórzyłem swój okrzyk:

- Hunter!!!

W tej samej chwili zobaczyłem, jak Duke Willits wyszarpuje rękę z kieszeni i wyciąga ją w naszym kierunku. Zza pleców usłyszałem głos Donalda:

- Na miłość boską, Jack, ten facet ma rewolwer! Istnieją dwa odrębne nagrania na taśmie video tego, co się wydarzyło, jednak można je oglądać do znudzenia, klatka po klatce i nie dojdzie się prawdy. Ukazują ArtooDeetoo, niższego i lepiej zbudowanego z dwóch agentów FBI, jak próbuje wypchnąć Huntera z linii strzału. Ukazują też SeeThreepio, wyższego i chudsze, wysuwającego się przed Micky, z rewolwerem gotowym do strzału. Ukazują tłum i policjantów, z przerażonymi twarzami, nie zdających sobie sprawy z tego, co się dzieje; te zdjęcia przypominają słynną fotografię wykonaną przez Boba Jacksona, ukazującą moment zastrzelenia Lee Harveya Oswalda przez Jacka Ruby'ego.

Nie pokazują natomiast tego, jak Hunter odsunął ArtooDeetoo jednym ruchem ręki, popchnąwszy go otwartą dłonią, jednak w ogóle go nie dotykając. Po prostu uniósł rękę i za pomocą jakiejś magicznej siły pchnął agenta w otwarte drzwi hotelu.

Nie pokazują też chwili, w której Hunter uniósł obie dłonie do swojego czoła, w sposób, w jaki czyni to każdy człowiek, kiedy pragnie się skoncentrować, i wbił tak intensywne spojrzenie w twarz Duke'a Willitsa, że gdyby próbowano je sfotografować, najprawdopodobniej spłonąłby cały film i aparat fotograficzny, albo kamera.

Spojrzenie to podziałało na Duke'a Willitsa natychmiast i to w sposób przerażający. Usłyszałem odgłos jednego strzału - suchy trzask, któremu towarzyszył tępy odgłos rykoszetu. A potem Duke Willits krzyknął. Ujrzałem, jak jego usta otwierają się szeroko, a głowa pęcznieje straszliwie. Ujrzałem, jak żyły nabrzmiwiają na szyi zamachowca, a potem pękają i krew leje się na wszystkie strony. Ujrzałem, jak jego ciało sztywnieje, a potem zaczyna drżeć, jakby zaczął przez niego przepływać prąd elektryczny.

- Matko Boska! Matko Boska! - tylko te słowa zdołałem z siebie wydobyć.

W tej samej chwili potężna fontanna krwi, wypływającej z każdego niemal zakamarka ciała Willitsa, zaczęła pokrywać chodnik. Zaraz potem z jego ciała wydobyły się dwa białoczerwone balony płuc, po których ukazał się błyszczący, oślizły żołądek, wątroba i całe metry poskręcanych, błękitnych jelit, które zaczęły układać się na chodniku przed oczyma przerażonych ludzi niczym w jakiejś potwornej magicznej sztuce.

Wszystko to trwało zaledwie sekundy, w czasie których na zewnątrz, na chodniku przed hotelem, znalazły się wszystkie wewnętrzne organy Duke'a Willitsa.

Rozległy się paniczne krzyki i piski. Ktoś nawoływał gromkim głosem:

- Ambulans! Na miłość boską, ludzie, niech ktoś zadzwoni po ambulans.

Ludzie wokół poszaleli z szoku i niedowierzania. Poza tym, gdzie by się nie spojrzęło, wszędzie była krew. Duke Willits, teraz już zupełnie szary, upadł na wyrwane z niego przed chwilą wnętrzności. Musiałem się odwrócić. Zwymiotowałem, obserwując swą własną twarz w lustrzanych drzwiach hotelu, teraz obficie spryskanych krwią. W drzwiach zobaczyłem też kogoś innego.

Huntera Peala, spokojnego, nieruchomego. I uśmiechającego się.

Poczułem dotknięcie Jennifer na ramieniu. Jak i ja, trzęsa się i była śmiertelnie blada.

- Jack - powiedziała. - Proszę cię, wydostań mnie stąd. Proszę cię.

Arlene, Wieka znalazła się przy nas. Pociągnąłem ją za rękaw i poprosiłem:

- Słuchaj, zabierz Jennifer na górę.

Arlene była tak samo zszokowana jak Jennifer, ale pokiwała głową i obie kobiety ruszyły w kierunku windy.

W hotelowym holu nagle jakby wszyscy zwariowali. Ludzie krzyczeli, wrzeszczeli, jęczeli i biegali w tę i z powrotem bez żadnego celu i sensu. Policjanci starali się uspokoić tłumy przed hotelem, a fotoreporterzy niczym hieny rzucili się na zwłoki Duke'a Willitsa, starając się wykonać jak najdokładniejsze zdjęcia zamachowca, spoczywającego na stosie swych własnych wnętrzności. Nagle Southwest Broadway zaroił się policyjnymi radiowozami, zewsząd rozległy się syreny, a wszystkie odgłosy razem wzięte i nerwowe bieganie tłumów ludzi w zasięgu mojego wzroku, przywodziły na myśl podejrzenie, że oto następuje koniec świata.

- Tutaj zemdlą kobieta! - krzyknął ktoś. - Nie zadcpcie jej! Uważajcie na nią, błagam!

ArtooDeetoo zdołał się pozbierać i szarpnąwszy Huntera bezceremonialnie, ruszył z nim przez hotelowy hol. SeeThreepio, wciąż z rewolwerem w dłoni, zajął się Micky. Sam Wieka i ja ruszyliśmy za nimi, ale kiedy dotarliśmy do windy, agenci odepchnęli nas ze słowami;

- Nic z tego. Skorzystajcie z innej windy. Takie są przepisy.

Czekaliśmy z Samem trzy lub cztery długie minuty, zanim przybyła następna winda. Milczeliśmy. Sam czuł się chyba tak samo jak ja. Zaszokowany i otepiały z przerażenia. Wreszcie wyciągnął cygaro z kieszeni na piersi i odezwał się:

- Jack, chyba będziesz w stanie to wszystko wyjaśnić?

- Widziałeś, co się stało? - zapytałem. Podniósł wzrok.

- Miałeś na myśli, czy widziałem, kto to zrobił? Nie, ale bez trudu mogę się domyślić.

- Ja nie mam wątpliwości - powiedziałem cichym głosem. - Hunter wlepił spojrzenie w tego faceta i w tej samej chwili to wszystko się zaczęło. Krew, wnętrzności... Mój Boże.

Wreszcie nadjechała winda. Była pełna gości z wyższych pięter, którzy usłyszeli syreny policyjne i teraz zjeżdżali w dół, ciekawi, co też takiego się wydarzyło. Zanim wszyscy wyszli, zanim przedostaliśmy się do windy i nacisnęliśmy guzik dziesiątego piętra, na którym mieszkał Hunter, minęły kolejne minuty.

Sam pochylił się ku mnie, kiedy przypalałem jego cygaro.

- On posiada pewien rodzaj mocy... W żaden sposób nie potrafię tego zrozumieć - powiedział. - Rozmyślam nad tym już od dłuższego czasu. Ma taką moc, która ogarnia cię natychmiast, kiedy znajdziesz się blisko niego. Rozumiesz, co mam na myśli? Nie czujesz tego samego? Ten facet jest w stanie, kiedy tylko chce, pozbawić cię twojej własnej woli.

- Myślę, że wszyscy wokół to czują - odparłem. - Popatrz tylko, jak zachowuje się Micky, jak potulnie zaakceptowała swoją rolę u jego boku. Wiem, że walczy, aby zachować przy nim choć odrobinę swojej własnej osobowości. Ale czy wyobrażasz ją sobie akceptującą obecną sytuację, chociażby przed naszym pojawieniem się w Connecticut? Bo ja nie.

Zaciągnął się cygarem.

- Widziałeś tego faceta? - zapytał, potrząsając głową. - Czy widziałeś, w jaki sposób wyleciały z niego te wnętrzności? Przez resztę życia będzie to do mnie powracało w nocnych koszmarach.

- To wydarzenie każe mi znów powrócić myślami do doktora Gartenbauma - powiedziałem.

Sam popatrzył na mnie z ukosa. Winda cicho zatrzymała się, rozsunęły się drzwi i wyszliśmy na hotelowy korytarz.

- W tej akurat chwili, Jack - powiedział Sam flegmatycznym tonem - wolę w ogóle o nim nie rozmyślać.

- Ale skoro Hunter był w stanie zabić tego czarnego faceta, nawet go nie dotykając...

Sam położył dłoń na moim ramieniu.

- Wiem - powiedział. - Mógł to samo uczynić Aaronowi. Ale nie mamy żadnych dowodów, Jack. Tam, na dole, Hunter nawet nie zbliżył się do zamachowcy. Znajdował się od niego w odległości co najmniej dziesięciu stóp. Poza tym, nawet, gdybyśmy byli w stanie udowodnić, że go zabił, przecież ten facet trzymał w ręce rewolwer. Hunter zabił go we własnej obronie.

- Ale sposób, w jaki się to odbyło, Sam...

- Wiem. Policja pokazywała mi fotografie Aarona. Był zmiażdżony jak królik przejechany przez ciężarówkę. Ale nigdy nie udowodnisz, że sprawcą tej śmierci jest Hunter. Znajdował się wówczas we własnym łóżku, w odległości dobrych sześciu mil od miejsca śmierci Aarona.

- Sam, łatwo byłoby zapomnieć o jego śmierci. Łatwo jest powiedzieć, cóż, to niemożliwe, a więc to, co widziałem, się nie wydarzyło.

- Co więc, do cholery, zamierzasz zrobić? Na chwilę przygryzłem swój kciuk.

- Nie wiem. Ale nie wolno nam o tym zapomnieć. Przed hotelem zginął człowiek. Czy nie sądzisz, że rozwiązanie zagadki jego śmierci będzie jednocześnie odpowiedzią na pytanie, co przydarzyło się Hunterowi w Allen's Corners?

- Przecież od tygodni się nad tym zastanawiamy! I co osiągnęliśmy, do czego doszliśmy? Przestań, Jack. Czego byśmy nie powiedzieli, Hunter nie jest zwyczajnym człowiekiem. Jest najważniejszym kandydatem Partii Republikańskiej do nominacji prezydenckiej. Wygrał wolne, demokratyczne prawybory w dwudziestu siedmiu stanach. Nie możemy w tej chwili starać się o zagęszczenie atmosfery wokół niego.

- Sam, przecież on jest w stanie zabijać ludzi samym tylko spojrzeniem. A może nawet nie musi na nich patrzeć w tym celu. Pomyśl tylko o Aaronie.

Sam zatrzymał się i wbił we mnie ostry, stanowczy wzrok. Jego przemęczoną twarz przecinała niepewność i ból.

- Cały czas myślę o Aaronie - odezwał się. - Był moim przyjacielem i zginął, ponieważ chciał mi pomóc. Teraz obaj wiemy, że Hunter posiada zdolności, które mogły spowodować śmierć Aarona. Być może Hunter wiedział, że Aaron posiada wiedzę wystarczającą do wykrycia, co tak gwałtownie zmieniło jego osobowość. Chyba wiesz, że specjalizował się w leczeniu schizofreników. A jednak niczego nie jesteśmy w stanie Hunterowi udowodnić. Nie możemy dowieść nawet tego, że Hunter wiedział, iż Aaron jedzie do Allen's Corners. Dlatego właśnie musimy zrezygnować z zajmowania się tą sprawą.

- Moglibyśmy opuścić Huntera - powiedziałem cicho. - Już się nad tym zastanawialiśmy.

Sam wbił wzrok w podłogę.

- Chciałbym mieć tyle odwagi - powiedział, a ja doskonale wiedziałem, co ma na myśli.

ROZDZIAŁ III

Przez ponad tydzień gazety nie pisały niemalże o niczym innym, jak o wydarzeniach przed hotelem Benson. Całe szpalty wypełnione były ociekającymi krwią fotografiami, schematami ukazującymi ruchy zamachowca, komentarzami, a przez programy telewizyjne przewijały się wywiady z poważnymi ludźmi i poważnymi lekarzami. Prezydent przesłał list, zawierający zapewnienie, iż wiadomość o cudownym ocaleniu Huntera przyjął z ogromną ulgą, i zawiadamiający go, że modli się o jego zdrowie.

Koroner z Portland nazywał śmierć Duke'a Willitsa „niejasną i niezwykłą”, ale dodał też, że historia notuje przypadki dziwnych i nagłych śmierci ludzi, znajdujących się pod wpływem ogromnych emocji. Na przykład w 1761 roku pewna nieszczęsna żona z Ventimiglia, we Włoszech, niespodziewanie przestała oddychać, pękła jej czaszka i otworzyło się ciało, a nogi wręcz się połamały. W roku 1931 pewien nowojorski dziennikarz odnotował, że jakiś człowiek na pokładzie niemieckiego parowca padł bez życia na deski pokładu, a jego czaszka pękła na pół. A w roku 1962, a więc nie tak dawno, młody południowoafrykański robotnik nagle zmarł, gdyż niespodziewanie otworzyła się jego klatka piersiowa.

Hunter określił raport Koronera „niekompletnym”, ale, głównie za moją poradą, postanowił nie wypowiadać się w tej sprawie. W kilkadziesiąt minut po zamachu pojawił się w telewizji, aby uspokoić swoich zwolenników, że „nieszczęśliwy fanatyk” nic złego mu nie uczynił i że „tragiczny incydent” nie wpłynął na jego zamiar ubiegania się o nominację i prezydenturę.

Powiedział jednak jedną rzecz, nie skonsultowany z nikim komentarz, który mną wstrząsnął:

- Duke Willits przybył pod hotel z oczywistym zamiarem zamordowania mnie i zapewne mojej żony. Jestem w stanie mu to wybaczyć. I wybaczam mu to, ponieważ niezależnie od tego, jakie były jego przekonania, był gotowy oddać za nie życie, był gotowy dla nich zabijać, a jest to siła woli i jakość, której brakuje naszemu narodowi od wielu, wielu lat.

Dziennikarz zapytał Huntera w tym momencie, czy ta wypowiedź oznacza, że Amerykanie, jeżeli tylko wierzą w coś wystarczająco mocno, powinni wybiegać z domów i strzelać do siebie, z powodu różnic w przekonaniach politycznych, religijnych czy innych. Jak to by się skończyło? Czy zwolennicy McDonalda powinni strzelać do tych, którzy bardziej lubią Burger Kinga?

Hunter wbił w dziennikarza głębokie, niezadowolone spojrzenie, a ten niespodziewanie skulił się w sobie i powiedział:

- Przepraszam. Nie chciałem tego powiedzieć. Żartowałem.

Po tych słowach zapadła pełna napięcia cisza, telewidzowie usłyszeli w głośnikach odgłos kartkowanego papieru i wywiad niespodziewanie się skończył.

Oglądałem to wszystko w moim pokoju hotelowym, wraz z Jennifer i Donaldem Zarowskim.

- On znów to zrobił - powiedziała Jennifer. - Widzieliście? Wystarczyło, że zmierzył wzrokiem tego faceta, a ten od razu zmiękł.

Donald wzruszył ramionami.

- Nie przesadzaj, Jen - westchnął. - Naprawdę uważasz, że dziennikarz powiedział „przepraszam” tylko dlatego, iż Hunter na niego popatrzył? Nie wierzę w to. Z pewnością ktoś dał mu jakieś znaki zza kamery.

- Donald, w ogóle nie masz wyobraźni.

- Mam, mam, nie bój się. Gdybym jej nie miał, nie pisałbym przemówień dla Huntera. A zdaje się, że szczególnie ostatnio, bardzo mu się podobają moje teksty. Stajecie się powoli neurotykami.

- Uważasz, że skoro Hunterowi podobają się twoje teksty, to wszystko jest wspaniale? - zapytała Jennifer z sarkazmem.

Donald wyciągnął z kieszeni fajkę i zaczął ją nabijać tytoniem.

- Jeśli chodzi o mnie osobiście, tak. Na co mam narzekać, skoro lubię swojego szefa, a praca przynosi mi satysfakcję?

Nerwowo zapaliłem kolejnego papierosa, a rozmowa tymczasem się urwała. Wpływ Huntera na nas wszystkich był przemożny. Dosięgnął Donalda, dosięgnął Sama, dosięgnął nawet mnie. Niezależnie od tego, jak denerwował i martwił mnie Hunter, kiedy oglądałem go w telewizji, albo kiedy czytałem o nim w gazetach, gdy rozmawiał ze mną osobiście, natychmiast wszelkie moje wątpliwości znikwały i zdawały się zupełnie bezsensowne. Hunter był taki ciepły, życzliwy, nieustraszony, pewny siebie, spokojny, że wszystkie te dziwne noce w Allen's Corners, dziwne dni kampanii ulatywały z mojej pamięci, jakby nigdy nie miały miejsca. Czy kiedykolwiek zamiast twarzy Huntera widziałem oblicze złe, oblicze brutalnej bestii? Nie, to nie wydawało się możliwe.

Tylko wtedy, kiedy Huntera akurat nie było w pobliżu albo gdy ten wstrętny drewniany kufer znów przygotowywano do drogi, rosła moja niepewność. Ten cholerny kufer jeździł za nami niczym Nemesis przez całą kampanię. Sam Wieka nazywał go „albatrosem”. Zdawało się, że otaczają go jakieś ciemne siły, jakby zamknięte w nim były wszystkie problemy i nieszczęścia tego świata. Po moim pierwszym doświadczeniu w Hartford unikałem zbliżania się do niego. W pobliżu tej skrzyni czułem się cholernie przygnębiony. Pewnego dnia, kiedy, wynoszono ją z hotelu Hilton Valley Forge w miejscowości King of Prussia, w stanie Pensylwania, wysunęła się z rąk bagażowemu i przygniotła mu nogę.

Kilka razy - a może nawet więcej niż kilka - odczuwałem pokusę, aby poinformować o tym pudle dziennikarzy. Gdyby Huntera publicznie zapytano, co to jest i dlaczego tak bezustannie to za sobą wozi, wówczas, być może, była szansa na pozbycie się kufra. Szósty zmysł jednak mówił mi, że taki przeciek nie miał sensu. Hunter zapewne wykipiłby się jakimś pełnym czaru, mesmerycznym wyjaśnieniem i każdy by mu uwierzył. Co gorsze, zaraz potem zwróciłby się o wyjaśnienia do mnie, a po tym, co przydarzyło się Aaronowi Gartenbaumowi i Duke'owi Willitsowi, nie miałem wątpliwości, jak marny byłby wówczas mój los.

Hunter potrafił ranić i zabijać ludzi samym tylko spojrzeniem. Nie sposób więc było wchodzić w drogę takiemu człowiekowi, niezależnie od tego, jak bardzo szlachetnymi przesłankami bym się nie kierował.

Komisja Lehmana, po zakończeniu prezydentury Huntera, zadała mi pytanie, dlaczego pozostawałem lojalny wobec Huntera, skoro wiedziałem (albo podejrzewałem) tak wiele. Senator Lehman osobiście zapytał: - Skoro był pan przekonany, że senator Peal zamordował Duke'a Willitsa za pomocą psychokinezy albo innych, podobnych środków, dlaczego nie skontaktował się pan z policją albo z FBI?

Cóż mogłem powiedzieć? Nie miałem nic na swoje usprawiedliwienie. Nic, z wyjątkiem tego, że byłem śmiertelnie przerażony. Chociaż i przerażenie niczego nie tłumaczy. Mogę tylko powtórzyć słowa Boba Haldemana, który, odpowiadając na zarzuty, że był ślepo lojalny wobec prezydenta Nixona, powiedział: - Jestem winien lojalności, ale nie ślepoty. Moja lojalność opierała się na pełnej świadomości wszystkich wielkich zalet i wielkich wad człowieka, dla którego pracowałem.

Cóż, mimo że mnie przerażał, Hunter trzymał mnie w kręgu swojej wszechmocy tak jak i wszystkich innych. Czułem zło i niebezpieczeństwo kryjące się w tym, do czego zmierzał. Wiedziałem niemal wszystko o jego nadzwyczajnych zdolnościach. A jednak mimo to zdawało mi się czasami, że to Hunter właśnie niesie szczęście dla wszystkich Amerykanów, że to Hunter ma siłę, aby pragnienia Amerykanów zrealizować. Poza tym zwyciężał, a ciężko jest zrezygnować z poparcia i pracy dla ustawicznego zwycięzcy, niezależnie od tego, jak wielki wzbudzałby gniew i przerażenie.

Poza tym przecież, cała moja kariera polityczna uzależniona była od Huntera.

Odpowiedziałem Lehmanowi, że pytania, jakie zadaje mnie, mógłby równie dobrze zadawać każdemu z milionów Amerykanów, którzy oddali w wyborach prezydenckich swoje głosy na Huntera Peala. Przecież wszyscy oni znali jego program. Wiedzieli, jaki świat im obiecuje. A tymczasem za wszystko obwinia się tylko mnie, Sama Wickę i Jamesa Evansa. My powinniśmy skontaktować się z policją. My powinniśmy w porę ostrzec wszystkich ludzi, w tym przede wszystkim dziennikarzy. To my nie powinniśmy byli pozwolić, aby Hunter kontynuował swój marsz. Nieważne, że w dniach zwycięskiej kampanii Huntera ani policja, ani dziennikarze, ani społeczeństwo amerykańskie nie dałoby odrobiny wiary temu, co byśmy mówili. Hunter parł przed siebie niepowstrzymanie. Był nie tylko politycznie niepowstrzymany, ale miał też nieujarzmioną osobowość i siłę fizyczną.

Gdyby Bob Haldeman zdradził Nixona i ostrzegł naród, że ten wkrótce zhańbi instytucję amerykańskiego prezydenta, czy ktokolwiek dałby wiarę jego słowom?

Cokolwiek więc byście o mnie teraz myśleli, jak głęboko byście wierzyli, że powinienem być zmusić Huntera do wycofania się z wyścigu o prezydenturę, mogę wam jedynie odpowiedzieć wprost i zgodnie z prawdą: nie było to możliwe. Jestem przekonany, że mogłem postąpić wówczas, i postąpiłbym, w jedyny możliwy sposób: starałem się strzec interesów naszego narodu, pozostając przy Hunterze i obserwując z bliska wszystkie jego poczynania.

Hunter zjawił się na Narodowej Konwencji Republikanów w Detroit w absolutnie komfortowej sytuacji. Jego zapowiedź nowego Dzikiego Zachodu wywoływała wręcz dziki zachwyty wśród najbardziej prawicowych zwolenników, a ci umiarkowani czuli dla niego sympatię i uznanie, szczególnie wobec wyjścia cało z niedawnego zamachu. Wyglądał na rozluźnionego, był przystojny i przemawiał w sposób zdecydowany, pewny siebie. Miał uroczą, chociaż za bardzo pozostającą w cieniu, żonę. Miał farmę w Kolorado, dom w Waszyngtonie oraz doskonałe maniery. Dla zdecydowanej większości komentatorów jego nominacja na prezydenckiego kandydata republikanów pozostawała poza jakimikolwiek wątpliwościami.

Tylko jeden człowiek stał na jego drodze. Leonard Oliver, członek Izby Reprezentantów, który przysiągł w wystąpieniu telewizyjnym, że Hunter nigdy nie uzyska nominacji republikańskiej i nigdy nie zasiądzie w Białym Domu.

ROZDZIAŁ IV

Duke Willits nie żył od dobrych dwóch tygodni, gdy wreszcie nasze stosunki, tzn. moje z Jennifer Dwyer, powróciły do stanu sprzed zamachu, czyli takiego, który mógłbym określić jako normalny. W koszmarach widywała krew i wypływające wnętrzności za każdym razem, gdy w nocy zamykała oczy. Bała się obejmować mnie ramionami w obawie, że moje płuca w każdej chwili mogą eksplodować i wypłynąć przez usta. O seksie przez te dwa tygodnie nie było nawet mowy.

Pewnego poranka, gdy cieszyliśmy się sobą zaledwie drugi raz po zamachu (w tych dniach kładąc się spać zbyt zmęczony, żeby kochać się z Jennifer, tak wyczerpująca była praca dla Huntera), zadzwonił telefon stojący na nocnym stoliku. Spróbowałem sięgnąć po słuchawkę bez konieczności uwalniania się z ramion Jennifer, ale aparat stał zbyt daleko. Wraz z nią przeturlałem się więc szybko, tak że ona znalazła się na mnie, a ja przynajmniej miałem słuchawkę telefonu w zasięgu ręki.

- Jack? - To był Hunter. Miał miły głos człowieka najwyraźniej z siebie zadowolonego.

- Dzień dobry, Hunter. Która godzina?

- Szósta jedenaście. Mógłbyś wpaść do mnie?

- Daj mi tylko dziesięć minut, żebym się ubrał. Jennifer zmarszczyła czoło i zaczęła poruszać na mnie biodrami.

- Hunter, potrzebuję piętnastu minut - poprawiłem się.

- Niech tylko ta dziewczyna nie wyssa z ciebie wszystkich sił - usłyszałem Huntera i zaraz potem trzask słuchawki odkładanej na widełki. Zostałem z słuchawką w ręce niczym facet, do którego przed chwilą zatelefonowano z Europy, aby natychmiast przestał dłubać sobie w nosie.

- O co chodzi? - zapytała Jennifer. Odłożyłem słuchawkę.

- Trudno w to uwierzyć, ale Hunter wie, co w tej chwili robimy.

- Niby skąd? Chyba nie wysyła oczami promieni Roentgena...

- Chcesz się założyć? Wydeła wargi.

- Zdaje się, że mamy zepsuty poranek - powiedziała. Posuwałem się jeszcze w niej, ale już bez większego przekonania, coraz bardziej miękki. Cały nastrój prysł w jednej chwili; poranek nie był już jasny i uroczy, ale zimny i ponury, a ekstazę spółkowania zastąpiła nerwowa rzeczywistość i napięcie, związane z funkcjonowaniem w świecie polityki. - Weź prysznic - usłyszałem od Jennifer słowa, które definitywnie zakończyły zabawę.

Kiedy stojąc przed lustrem, wiązałem krawat, Jennifer Stała kilka kroków za mną i spoglądała na mnie z rozdrażnieniem. Jej twarz odbita w lustrze, miała dziwny Wyraz. Była równie urocza jak zawsze, ale bardzo blada. Przejmująco blada. Miała na sobie jedynie nie dopięte dzinsy; poranne słońce lśniło na jej zmierzwionych rudych włosach i brodawkach piersi, tak bladoczerwonych, że przypominających niedojrzałe truskawki. W jej sylwetce było jednak coś, co skrajnie mnie przeraziło, a jednocześnie zadziwiło.

- Przykro mi, Jennifer - odezwałem się. - Wiesz o tym dobrze. Postaram się jednak wszystko naprawić w nocy.

- Nie przywrócisz już chwil, które minęły - powiedziała.

- Słucham?

- Mówiłam, że chwil, które minęły, nie można już przywrócić. Gestów, pocałunków, uśmiechów, penisów, radości...

Uniosłem wzrok i uważnie przyjrzałem się jej odbiciu w lustrze. Przez jedną szaloną sekundę odniosłem wrażenie, że jej rude włosy rzeczywiście płoną, zżerane przez pomarańczowe płomienie, a ona sama patrzy na mnie oczyma tak bladobiałymi jak oczy statuy. Odwróciłem się błyskawicznie i wszystko powróciło do normy. Jennifer była posępna, to prawda. Ale poza tym taka sama jak zawsze.

- Wyglądasz, jakbyś zobaczył co najmniej swój własny grób - zauważyła, schwyciwszy mnie za rękę, aby przerwać pieśczętę.

Uśmiechnąłem się do niej nieśmiało, niepewnie.

- Naprawdę mnie kochasz? - zapytała.

- Czy tego nie widać?

- Ostatnio jesteś bardzo spięty. Nie rozumiem, dlaczego nie zażywasz środków uspokajających.

- Nie potrzebuję tabletek.

- Pijesz za dużo piwa. Może jeszcze nie zauważyłeś, ale tyjesz od tego. Jeśli weźmiesz pod pachę kilka płyt Merle'a Haggarda, bez charakteryzacji będziesz wyglądał jak typowy farmer z Montany.

- Dziękuję ci.

Przeszła kilka kroków i zatrzymała się pod ścianą. Z każdym ruchem jej piersi kołysały się prowokująco. Naciągnąłem marynarkę, jeszcze raz szybko uczesałem włosy i powiedziałem:

- Może znajdę dziś trochę czasu na wspólny lunch.

Jennifer zawiesiła na szyi dwa kamienne fallusy. Ozdabiały teraz jej klatkę piersiową. Kiedy ruszyła się, wydały dźwięk jak ocierające się o siebie krzemienie.

- Nie chciałbym, żebyś nosiła te przeklęte rzeczy - oznajmiłem.

- Muszę - stwierdziła, wkładając ręce w rękawki cienkiej bluzeczki w pasy. Lubiłem tę bluzeczkę, głównie dlatego, że odkrywała tyle, iż żaden szczegół tułowia Jennifer nie krył się przed moim pożądanym wzrokiem. Problem był tylko w tym, że gdy Jennifer pokazywała się w niej publicznie, bluzeczka ujawniała to samo również innym, równie pożądanym oczom. Chyba zaczynałem być zazdrosny.

Jennifer zapięła kilka guziczków. Znów spojrzałem na nią. Cholera, tak, z całą pewnością zaczynałem być zazdrosny.

- Wychodzisz? - zapytała.

Podszedłem do niej i pocałowałem ją w czoło. Miała nienaturalnie zimną skórę.

- Wychodzę - odparłem. - Skontaktuję się z tobą tak szybko, jak tylko będę mógł. Spróbuj wpaść do baru „Summit” o pół do pierwszej.

Skinęła głową. Popatrzyłem na zegarek. Z jakiegoś niejasnego powodu odnosiłem wrażenie, że nie kończymy rozmowy, że jest jeszcze coś bardzo ważnego, o co powinienem zapytać Jennifer, albo coś, co jeszcze powinienem powiedzieć. Jennifer jednak wciąż milczała, nie pozostało mi więc nic innego, jak sobie pójść. W drzwiach usłyszałem szept: Ostrożnie.

Ruszyłem korytarzem do windy. Stanąwszy przed jej drzwiami, spojrzałem w okno kończące korytarz. Daleko, hen przede mną, widziałem holownik sunący po szarozielonej powierzchni Detroit River. Znajdowałem się w Detroit Plaza, błyszczącym czystością hotelu o wysokiej cylindrycznej wieży. To tutaj właśnie Hunter, w dwóch przyległych apartamentach na dwudziestym siódmym piętrze, założył swoją kwaterę główną na czas konwencji. Po krótkiej chwili otworzyły się przede mną drzwi szybkiej windy i momentalnie znalazłem się w tłumie delegatów z nazwiskami wypisanymi na tabliczkach wpiętych w klapy marynarek. Wszyscy świeżo ogoleni i wykąpani śpieszyli na śniadanie. Powiedziałem „cześć”, oni chórem odpowiedzieli mi to samo, lecz postanowiłem jednak nie wciskać się do przepełnionej klatki. Spacer schodami pożarowymi dobrze mi zrobi.

Na dwudziestym siódmym piętrze, w pokoju, który Hunter używał jako swoje główne biuro, zaciągnięte były wszystkie zasłony, a na podłodze wały się najprzeróżniejsze papiery, czasopisma i dzienniki, niektóre w strzępach. Włączony był telewizor, jednak głos przyciszony był do minimalnego

słyszalnego poziomu. W powietrzu unosił się zapach dawno wypalonych cygar i perfum.

Sam Wieka już tu był. Siedział w fotelu, z piętami opartymi o stolik do kawy, i czytał poranną gazetę. Na nosie miał okulary w ciężkiej oprawie, nadające mu nadspodziewanie mądrego, niemalże uczonego wyglądu.

- Czuj się jak u siebie, Jack - powiedział. - W ekspresie jest jeszcze trochę kawy. Poczęstuj się. Usiadłem i nalałem sobie gorącego płynu do filiżanki.

- Czy Hunter powiedział ci, dlaczego nas wezwał tak wcześnie? - zapytałem.

W odpowiedzi Sam przecząco potrząsnął głową.

- Nie, powiedział mi jedynie, żebym tu przyszedł. Zapaliłem papierosa.

- O dziewiątej rano spodziewam się nowych wyników badań opinii publicznej - powiedziałem.

- Czego się spodziewasz?

- Do końca nie wiem. Być może nasze notowania spadną o trzy albo cztery procenty. Ten tekst o segregacji rasowej, z którym Hunter wyskoczył wczoraj wieczorem, nie może nam wyjść na dobre. Mógłby sobie dać spokój z atakowaniem czarnych.

- A niby dlaczego? - zapytał Sam, pochylając się ku mnie nad gazetą. - I tak czarni nie będą na niego głosowali, niezależnie od tego, co powie. Niech im dołoży.

Popatrzyłem na niego uważnie.

- Nigdy bym nie zgadł, że nadejdzie dzień, w którym powiesz coś takiego.

Sam zdjął okulary.

- A ja nigdy nie przypuszczałem, że nadejdzie dzień, w którym cały ten kraj odrzuci zdrowy rozsądek i niczym owce na rzeź ruszy ślepo za facetem głoszącym nienawiść i zło. I nigdy nie przypuszczałem, że osobiście będę pracował dla takiego faceta.

Z niesmakiem pociągnąłem łyk kawy.

- „Washington Star” poświęca dzisiaj całą stronę idei nowego Dzikiego Zachodu. Nazywają to powrotem do czasów, gdy wszyscy ludzie sami mogli decydować o swoim losie. Zabawne, co?

- Chciałbym, żeby dotarło do ich pustych mózgownic, że w czasach, gdy każdy decydował o sobie sam, społeczeństwa popadały w nędzę - warknął Sam. - Ale to się nie uda. Jakśmy do płomienia, wszyscy lgną do Huntera. Z pewnością Teddy nie ma w rywalizacji z nim żadnych szans.

- Jest jeszcze Leonard Oliver - powiedziałem, mrużąc oczy, gdyż zaczął je gryźć dym z papierosa.

- Nie sadze. - Sam potrząsnął głową.

- I masz rację - powiedział Hunter. Drgnąłem nerwowo. Hunter stał w drzwiach, owinięty błękitnym tureckim ręcznikiem. Ciało miał jeszcze lśniące i zaróżowione po wyjściu spod prysznica. Mógł stać w tym miejscu już od dobrych pięciu minut. Szybko przypomniałem sobie, czy nie powiedziałem w tym czasie czegoś niestosownego. Hunter przeszedł przez pokój, wyciągając ku nam rękę na powitanie.

- Przeczytałem kilka twoich materiałów prasowych, Jack - odezwał się do mnie głębokim głosem. - Doskonałe teksty. Naprawdę, są nadzwyczajne. Będziesz doskonałym prezydenckim sekretarzem. Mam rację, Sam?

Sam jedynie uśmiechnął się krzywo.

- Czy kawa jest gorąca? - zapytał Hunter. - Jeśli nie, to zamówimy. Myślę, że mam doskonały pomysł i chciałbym go z wami przedyskutować.

- Czy dotyczy Leonarda Olivera? - zapytał Sam. Hunter rozsiadł się na środku szerokiej kanapy.

- W rzeczy samej, tak. Przez ostatnie kilka dni myśl o tym człowieku nie dawała mi spokoju. Odnoszę wrażenie, że mimo tego wszystkiego, co do tej pory zrobiliśmy, mimo sukcesów, jakie

odnieśliśmy w prawyborach, Oliver ma wciąż szansę na nominację jako ktoś, kto nagle wypłynie z zewnątrz. A nawet, jeżeli mu się to nie uda, może zniweczyć mój zamiar odniesienia zwycięstwa w pierwszym głosowaniu.

- Jaki jest więc twój doskonały pomysł? - zapytał Sam. Pytanie było niby bardzo proste, ale kryło w sobie różnorodne podteksty, które niczym ciężka chmura zawisły w powietrzu. Sam równie dobrze mógłby dodać do swojego pytania: „Czy zamierzasz sprawić, że Leonard Oliver narobi w spodnie, albo że zwymiotuje własne wnętrzności, albo może chcesz zdusić go jak pchłę?”

- Chcę pozbyć się kongresmena Olivera bardzo subtelnie - odparł Hunter. - Nikt nie może pomyśleć, że rzucił ręcznik na ring z powodu nacisków, jakie na niego wywarłem. Mało tego, nawet samemu Oliverowi nie może przyjść nic takiego do głowy. Chciałbym, gdy będzie już po wszystkim, aby został moim przyjacielem i chciałbym, żeby popierał moją politykę. Zapewne byłby doskonałym sekretarzem stanu, nie sądzicie? Jest gładki, wygadany i inteligentny. Rosjanie z pewnością od razu go znienawidzą.

- Zdaje się, że teraz przesadziłeś - powiedziałem do Huntera. - Mówisz to w chwili, gdy powszechnie wiadomo, iż kongresmen Oliver uważa senatora Huntera Peala za stworzenie, które dopiero co zeszło z drzewa i podobne jest do człowieka tylko dlatego, że nosi marynarki od Dormeuila... To tylko cytat - zastrzegłem się.

- Czytałem to - przyznał Hunter niechętnie. - Musisz jednak pamiętać, że każdy facet, który ubiega się o prezydenturę, po porażce znajduje się w bardzo nieprzyjemnej sytuacji. Taki ktoś, kto ubiegał się o Owalny Gabinet, uważany jest przez prezydenta - elekta za swojego potencjalnego wroga, za potencjalne zagrożenie dla prezydenckiego autorytetu. Jeżeli więc pokonany nie udzieli wyraźnego poparcia nowej administracji, może popaść w biedę, tym bardziej, że w grze na tym szczeblu nikt nie wie, co to jest litość. Mówię ci, Sam, jeżeli Oliver przegra, a jestem cholernie pewien, że przegra, otrzyma ode mnie propozycję nie do odrzucenia i w trosce o swoją dalszą karierę polityczną, propozycję tę przyjmie.

- W porządku - pokiwał głową Sam. - W jaki jednak sposób zamierzasz wyeliminować go z walki przed konwencją?

- W tym właśnie potrzebuję pomocy naszego obecnego tutaj przyjaciela. - Popatrzył na mnie. - Jack, cieszący się takim wzięciem u dziewczyn, otrzyma zadanie na miarę swoich talentów.

Zmarszczyłem czoło. Nie lubiłem, gdy Hunter patrzył na mnie w ten sposób.

- Czy zamierzasz posłać mnie, żebym uwiódł panią Oliver? - zapytałem. Miał to być żart, ale ton mojego głosu sprawił, że pytanie zabrzmiało zupełnie serio.

Hunter skrzywił się niechętnie.

- Nawet dobry pomysł, ale nie mamy na to czasu. Musimy zrobić coś takiego, co głęboko wstrząśnie kongresmenem Oliverem, nie dyskredytując jednocześnie ani jego, ani jego żony. Skoro ma zostać moim sekretarzem stanu, musi mieć nieskazitelną opinię.

Słowo „nieskazitelną” wypowiedział takim tonem, jakby delektował się właśnie jakimś nadzwyczajnie dobrym winem. Wciąż z krzywym uśmiechem spoglądał na mnie. Wytrzymałem jego spojrzenie, spoglądając mu w oczy tak długo, jak tylko byłem w stanie, ale w końcu nie wytrzymałem i odwróciłem wzrok. Złowrogi blask, Jaki emanował z oczu Huntera w tych dniach, był nie do wytrzymania. Przypomniiał zimny, bezlitosny blask oczu aligatora. Zdawał się mówić: „odgryzę ci rękę, albo nie, nie sprawi mi to różnicy”.

- Jaki jest twój plan? - zapytał Sam. Wyczuł napięcie między mną a Hunterem.

Hunter rozparł się wygodnie na kanapie.

- Bardzo prosty. Chcę, żeby Jack odszukał córki kongresmena Olivera, bliźniaczki zresztą. Na

imię mają Fay i Gale i obie studiują medycynę na Uniwersytecie w Chicago. W teczce na stole znajdują się ich fotografie.

Pochyliłem się i otworzyłem tekturową teczkę bez żadnych oznaczeń. W środku znajdowało się kilka błyszczących zdjęć, osiem cali na pięć. Dość słaba ostrość i nie najlepsza jakość fotografii wskazywały, że wykonano je bardzo mocnym obiektywem, z dłuższej odległości, a następnie powiększono twarze sfotografowanych osób. Przedstawiały dwie ładne, ciemnowłose dziewczyny, wysokie i zgrabne. Spacerowały alejką nad wodą. Miejsce to od razu rozpoznałem jako Lake Shore Drive, w Chicago.

- Śliczne dziewczyny - zauważyłem. - Co mam z nimi zrobić?

- Niewiele - odparł Hunter. - Są teraz na wakacjach w Los Angeles. Masz je tylko odnaleźć, porozmawiać z nimi i każdej wręczyć niewinny prezencik.

- Co masz na myśli? Jaki prezencik?

- Małe paczuszki zawierające kokainę i anielski pył. Niewiele, ale jednak wystarczającą ilość, żeby zainteresowała się nią policja w Orange County. Wystarczającą ilość, żeby złamać karierę kongresmena Olivera w tak ważnym momencie.

Odłożyłem fotografie.

- Hunter, czy ty oszalałeś? Jeżeli damy im te narkotyki, a potem wezwiemy policję, a chyba taki masz właśnie plan, podejrzenie z miejsca padnie na mnie. W tej sytuacji...

Hunter powoli potrząsnął głową.

- Będiesz występował w przebraniu. W przebraniu tak dobrym, że nikt nie rozpozna cię, nawet po tysiącu latach, a tym samym nie doprowadzisz nikogo do mnie, jako do faktycznego sprawcy.

- Hunter - odezwał się Sam - to brudna robota. Poza tym, nie mamy żadnej pewności, że odniesie swój skutek. David Kennedy był po samą szyję zamieszany w aferę narkotykową i w niczym nie zmniejszyło to szans Teddy'ego.

- Właśnie, zgadzam się - powiedziałem. - A ponadto nie będę brał udziału w tak czarnej robocie.

Hunter zmierzył mnie chłodnym wzrokiem.

- Nie chcesz tego zrobić?

- Cóż, nie, nie chcę. Uważam ten pomysł za niemoralny i prymitywny. I właściwie zupełnie niepotrzebny. Wcale nie musisz tego robić. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że i tak uzyskasz nominację.

- W pierwszym głosowaniu?

- Może nie na pewno w pierwszym, ale... Hunter wyciągnął w moim kierunku wskazujący palec, jakby chciał wetknąć go w jakiś niewidoczny otwór.

- Powiem ci coś, gówniarzu. Do jasnej cholery, zamierzam zdobyć nominację Partii Republikańskiej w pierwszym głosowaniu, w żadnym innym. A potem mam zamiar wygrać wybory prezydenckie i to z takim wynikiem, jakiego nie uzyskał żaden z moich poprzedników. Mam ambicję osiągnąć najbardziej błyskotliwe zwycięstwo polityczne, jakie kiedykolwiek widział ten kraj i, do cholery, pozwól, że ja będę decydował, co robić, żeby to osiągnąć.

Milczałem po tym ataku, a Sam Wieka odezwał się cicho:

- Skoro Jack nie chce przyjąć tej misji, Hunter, nie widzę żadnego sposobu, żebyś mógł go do niej zmusić. Poza tym, na Boga, nie chcesz chyba rozpętać nowej Watergate, zanim jeszcze zasiądziesz w Białym Domu.

Hunter otarł usta wierzchem dłoni.

- Uważasz, że nasz młody Jack odmówi mi wykonania zadania?

Może więc zapytasz o to samego Jacka? I nie pieprz mi tutaj o Watergate. Ja organizuję swoje przedsięwzięcia tak, że wszystko pracuje jak najlepszy szwajcarski zegarek. Poza tym wszystkie szczegóły, oprócz mnie, znać będzie tylko Jack. Żadne mięczaki typu Liddy'ego czy McCorda. Nie będzie żadnych nagrań, żadnych taśm magnetofonowych.

- Hunter - nalegałem. - Ale to przecież nie ma żadnego sensu. Oliver odegra w efekcie rolę wstrząśniętego, ale wybaczącego tatusia, i wszystko rozejdzie się po kościach. Miliony rodziców w Ameryce stają co roku przed podobnym problemem. Niesforne dzieciaki i narkotyki to po prostu fakty towarzyszące naszemu codziennemu życiu. „Oliver może nawet zyskać na popularności w wyniku tego, co chcesz zrobić, niż ją stracić.

- To naiwny numer, Hunter - znów zabrał głos Sam. - Przyjeżdża dziwny człowiek z akcentem z Montany i pozostawia córkom kongresmena dwie paczki z narkotykami na tydzień przed ogłoszeniem nominacji prezydenckiej Partii Republikańskiej... Czy myślisz, że ktokolwiek uzna to za zbieg okoliczności? Daj spokój, to jest głupie, amatorskie i śmierdzi wręcz kryminałem.

Hunter przekrzywił głowę na bok i spojrzał na Sama wzrokiem, od którego włosy stanęły mi dęba na głowie. Sam uniósł nagle dłoń do ust, ale było już za późno. Zakrztusił się głęboko, a potem zwymiotował strumieniem czarnej kawy na swoje spodnie i koszulę.

- Nigdy nie odzywaj się do mnie w ten sposób, Sam - powiedział Hunter. - Czy ty naprawdę uważasz, że nie wiem, co robię? Czy uważasz mnie za głupca, który nie potrafi skutecznie opracować tak prostego przedsięwzięcia?

Sam był śmiertelnie blady i trząsł się na całym ciele. Podałem mu czystą chusteczkę i powoli się wytarł.

- Nie musiałeś tego robić, Hunter - powiedziałem, starając się panować nad swoim głosem. - Uważam, że tak samo jak mi, również Samowi powinieneś zezwolić na wyrażenie opinii.

Hunter powstał. Wydawał się jeszcze wyższy i potężniejszy niż zwykle, mimo że przepasany był jedynie ręcznikiem kąpielowym.

- Wydaje mi się, panowie, że w ogóle nie zdajecie sobie sprawy, co jest stawką w tej grze - powiedział stanowczo. - Zresztą, to jest coś o wiele poważniejszego niż gra o Biały Dom. Gdy tam się znajdziemy, wkrótce zapanujemy nad całym światem. Przez najbliższe cztery lata z Ovalnego Gabinetu w Białym Domu to ja będę decydował o wszystkich wydarzeniach na globie ziemskim. Obejmę swoją władzę każde miejsce na ziemi, od szczytu Wieży Olimpijskiej do najbardziej obskurnej chaty z wielbłądziejego gówna w środkowej Afryce. To, co powiem... to, co ja powiem, wywrze na losach tej planety większy efekt niż wola samego Boga!

Sam wreszcie skończył wycieranie mokrych plam po kawie.

- Dostyc tego - powiedział. - Rezygnuję. Zwalniam się.

- Zwalniasz się? - wrzasnął Hunter. - Nie pozwalam ci.

- Gówno mnie to obchodzi. - Sam odpowiedział mu krzykiem. - Idę stąd i nie zamierzam już tu wracać. Jestem prawnikiem i politykiem i nikomu nie pozwolę, aby traktował mnie w ten sposób. Rozumiesz? Nikomu!

Hunter miał mu coś odkrzyknąć, ale niespodziewanie zmienił zamiar i obdarzył Sama ciepłym, przyjaznym uśmiechem.

- Sam - powiedział. - Przepraszam cię.

Sam powstał. Ręką przytrzymał przemoczoną koszulę, aby nie kleiła się do klatki piersiowej.

- Tak, powinieneś przeprosić. Nie tylko mnie, ale wszystkich dookoła. Jacka. Micky. A przede wszystkim Boga Wszechmogącego za to, że chociażby przez moment miałeś czelność uważać się za potężniejszego od niego. Ale i tak zgnijesz w piekle.

Hunter wyglądał na zaskoczonego.

- Sam, nikt z nas nie zgnije w piekle. Piekło jest wieczne. Kto tam się znajdzie, może w nieskończoność oddawać się takim rozkoszom, jakie tylko uzna za stosowne.

- Tak, to by ci odpowiadało - stwierdził Sam. - A teraz kończę współpracę z tobą, czy ci się to podoba, czy nie. A jeżeli zrealizujesz swój szalony pomysł z narkotykami dla córek Olivera, bądź pewien, że każda gazeta i każda stacja telewizyjna od Wschodniego do Zachodniego Wybrzeża, dowie się szczegółów na ten temat.

Hunter odwrócił się od niego i wzruszył ramionami.

- W porządku, Sam. Skoro nie chcesz przyjąć moich przeprosin, nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić.

- Sam, bądź ostrożny - powiedziałem. Hunter uśmiechnął się do mnie.

- Nie musi być ostrożny, nie skrzywdzę go. Każdy człowiek ma prawo samodzielnie decydować o swoim losie. Skoro Sam chce zrezygnować z pracy dla mnie, ma do tego pełne prawo.

- Jack, jeszcze później z tobą porozmawiam - odezwał się Sam do mnie. - Muszę teraz poinformować o mojej decyzji Arlene. Sądzę, że będzie zadowolona, iż wreszcie przejrzałem.

- O pół do pierwszej umówiłem się w barze z Jennifer - powiedziałem. - Spotkajmy się tam i wypijmy pożegnalnego drinka.

Sam wyszedł z pokoju, trzasnąwszy drzwiami. Przez długą chwilę Hunter spoglądał za nim w milczeniu. W końcu popatrzył na mnie i powiedział:

- Ty chyba nie myślisz o rezygnacji, co?

Potrząsnąłem przecząco głową.

- Nie myślę. Uważam, że tutaj jest moje miejsce.

- Chcesz mi pomóc, czy mnie pilnować?

- Czy chcesz usłyszeć prawdę?

- Prawdę? - zdziwił się Hunter. - Czy wiesz, co napisał Blake? „Prawda wypowiedziana w złej intencji jest gorsza od każdego kłamstwa, jakie zdołasz wymyślić”.

- W tym przypadku nie ma mowy o złych intencjach, Hunter. Gdybym w ciebie nie wierzył, gdybym nie wierzył, że jesteś dobrym politykiem, zrezygnowałbym z pracy dla ciebie już przed wieloma tygodniami.

- Rozumiem - mruknął Hunter. Zdusiłem w popielniczce niedopałek papierosa.

- Najważniejsze jednak, co trzyma mnie przy tobie, to wiara, że Hunter Peal, którego spotkałem w Billings, jest wciąż przy mnie. Ten sam Hunter Peal, który wierzył w Nowy Początek i wyznawał chrześcijańską wiarę pionierów tego kraju.

Hunter skrzywił się.

- On tutaj jest - powiedział. - Zapewniam cię, on tutaj jest.

- Ostatnio nie zauważyłem wielu rzeczy, które mogłyby to potwierdzić.

- Przyznaję, masz rację. Ale przecież przez cały czas obserwujesz zwycięzcę. I mimo że zwyciężanie to jeszcze nie wszystko, w polityce lepiej jest jednak zwyciężać niż przegrywać. Nie ma sensu głoszenie zasad, których i tak nigdy nie będziesz miał szansy skutecznie wcielić w życie.

Nie odpowiedziałem na te słowa. Były zbyt niemoralne. Wówczas miałem świadomość, że powinienem pozostawać tak blisko Huntera, jak to tylko było możliwe, ponieważ nadejdzie czas, kiedy ktoś będzie w końcu musiał go powstrzymać, a skoro odszedł Sam Wieka, ja byłem jedyną zdolną do tego osobą.

- A teraz mów - kontynuował Hunter - co myślisz o tej historii z narkotykami?

- Naprawdę, chcesz to zrobić?

- Oczywiście. Jeżeli Fay i Gale Oliver zostaną w ten weekend aresztowane za posiadanie narkotyków, wówczas szanse ich ojca na nominację Partii Republikańskiej prysną jak bańka mydlana. Tym bardziej, gdy ktoś zasugeruje dziennikarzom, że tatuś też od czasu do czasu raczy się kokainą.

- A jeśli pójdą do więzienia? Hunter machnął lekceważąco ręką.

- To im się nie przydarzy. Córkom kongresmena? Dotąd nie karanym? Wystarczy szloch i łzy przed sędzią i zapewnienie tatusia, że już nigdy więcej.

W zamyśleniu potarłem policzek.

- Hunter, nie mam na to specjalnej ochoty - powiedziałem.

- Wiem, że nie masz - odparł łagodnie. - I wiem, że ten pomysł wydaje ci się wyjątkowo brudny i ohydny. Zdecydowałem się jednak na takie działanie, ponieważ w gruncie rzeczy nie uczyni ono nikomu żadnej rzeczywistej szkody, a ponadto nie chcę zniszczyć kariery politycznej Leonarda Olivera. Już wielu innych prezydenckich kandydatów przede mną wymyślało sztuczki, które w efekcie niszczyły innych ludzi. Pomyśl tylko o starym, biednym Edym Muskie. Nie chcę nikogo skrzywdzić tak głęboko, jak skrzywdzono jego.

- Johnsona Wilmota potraktowałeś jednak okrutnie. Hunter uniósł brwi.

- Johnsona Wilmota? Przecież nawet go nie dotknąłem. Cóż mogłem poradzić na to, że poprzedniego wieczoru naźarł się zbyt wielu surowych owoców? Wcinał nawet senes całymi garściami. Sam się doprowadził do takiego stanu! - Hunter zaśmiał się gwałtownie, po czym kontynuował: - No i jak, Jack? Obecnie dziewczyny przebywają w Los Angeles na wakacjach. Musiałbyś jedynie tam polecieć, spotkać się z nimi, zdobyć ich zaufanie i podrzucić im kukułcze jajo do mieszkania;

- Mówiłeś coś o przebraniu - odezwałem się niepewnie.

- A, tak, oczywiście. Przecież gdyby policja aresztowała członka mojego sztabu przy tej robocie, miałbym małe szanse wytłumaczenia się z tej akcji, prawda?

Zniknąłbym z horyzontu szybciej, niż się na nim pojawiłem. Chodź więc na chwilę, podejdź do tego lustra.

Zmarszczywszy czoło, ruszyłem za Hunterem w kierunku małej toaletki.

- A teraz usiądź przed lustrem - powiedział - i popatrz na swoje odbicie.

Usiadłem. Patrząc na siebie, stwierdziłem, że wyglądam całkiem dobrze jak na faceta, który od trzech miesięcy kieruje kampanią wyborczą kandydata na prezydenta, a od dziewięciu miesięcy nie dosypia. Hunter stanął za moimi plecami i położył dłonie na moich ramionach. Jego wielki owłosiony brzuch znalazł się już tylko w odległości kilku cali od mojego lewego ucha. Pachniał mydłem i zjełczałym dezodorantem.

- Popatrz na swoje włosy - odezwał się Hunter. Jego głos przybrał dziwny, podwójny ton, jakby przemawiały do mnie jednocześnie dwie osoby. Popatrzyłem na swoje włosy; ich odbicie w lustrze było bardzo nieostre.

- O co chodzi z moimi włosami? - spytałem.

- Bądź cierpliwy. Po prostu na nie patrz. Powoli, jak na filmie odtwarzanym w zwolnionym tempie, moje włosy zaczęły wydłużać się i zmieniać kolor. Wkrótce sięgały mi do kołnierzyka i przybrały jasny, słomiany kolor. Zdziwiony, przestraszony, dotknąłem ich. Naprawdę istniały. Prawdziwe włosy, gdy mocno za nie pociągnąłem, poczułem ból w czaszce.

- Hunter...

- Poczekaj - powstrzymał mnie. - Popatrz teraz na swoją twarz.

Własnymi, przerażonymi i zdziwionymi oczami obserwowałem w lustrze, jak rysy mojej twarzy

zmieniają się. Czoło poszerzyło mi się, nos stał się krótszy, oczy większe i głębiej osadzone. Po kilku sekundach w lustrze widziałem odbicie kogoś innego, zupełnie do mnie niepodobnego. Byłem młodym blondynem z Kalifornii.

Opuszkami palców dotknąłem obydwu policzków, nawet powierzchnia mojej skóry zdawała się inna niż dotąd.

- Jak to zrobiłeś? - wyszeptałem. Hunter uśmiechnął się.

- W taki sam sposób, w jaki wywołałem wizję B-52. Za pomocą siły woli. Potrafiłem sprawić, że jesteś absolutnie przekonany, że wyglądasz zupełnie inaczej niż przed kilkoma minutami, a twoja niezachwiana wiara przepływa na innych ludzi, którzy również widzą cię w ten sposób. To bardzo ciekawa odmiana zespołowej halucynacji.

- A mógłbyś tę halucynację odwrócić? Nie chcę do końca życia wyglądać w ten sposób. Hunter, nawet mój głos brzmi inaczej! Mam zupełnie inny akcent. Cholera, mówię jak jakiś przeklęty Kalifornijczyk!

- O to właśnie mi chodziło.

Zacząłem drzeć na całym ciele. Nie wiedziałem jeszcze, czy powinienem być teraz zadowolony, czy przerażony. Możliwości wynikające z całkowitej zmiany wyglądu zdawały się nieskończone i nieocenione. Mógłbym słuchać, jak rozmawiają o mnie inni ludzie, mógłbym prowadzić podwójne życie, robić, na co tylko miałbym ochotę, i nigdy nie ponosić konsekwencji najgłupszych nawet uczynków. Ile przyjaciółek mógłbym zaliczyć! Jeść za darmo! Mógłbym przez całą noc pić na umór w barze, a na koniec wejść do toalety, zmienić się i nigdy nie zapłacić rachunku. Mógłbym być każdym i wszystkim, kiedykolwiek bym zechciał.

Wszystkie te myśli jak huragan przeleciały przez mój mózg i nawet nie przyszło mi na myśl, że to przecież Hunter i tylko Hunter decyduje o tym, jak wyglądam. Zapomniałem, że chodziło mu wyłącznie o bliźniaczki Olivera. Hunter kusił mnie i ja tej pokusie uległem.

- Chciałbym zapewnić cię - odezwał się Hunter ciepłym głosem - że ani przez chwilę nie będziesz żałował, że się na to zgodziłeś. Ani przez chwilę.

Podziwiałem się w lustrze na toalecie: opalony, nordycki blondyn, wysoki i przystojny. Ostatnie słowa Huntera zdawały mi się nawet niepotrzebne. Oczywiście, miał rację. Ani przez chwilę nie będę tego żałował. Miałem przecież przed sobą nowe, długie, wspaniałe życie.

ROZDZIAŁ V

Wyniki najnowszych badań opinii Amerykanów specjalny posłaniec przyniósł kilka minut po dziewiątej. Hunter Peal stracił około cztery punkty na rzecz Leonarda Olivera i należało się spodziewać, że straci więcej. Jeśli chodzi o mnie, nie miałem wątpliwości, że spowodowane to zostało ostrym antymurzyńskim wystąpieniem Huntera w wywiadzie telewizyjnym poprzedniego wieczoru. Mógł nim zadowolić reakcjonistów ze Skokie czy konserwatystów z Oklahomy, odrzucił jednak od siebie wielu umiarkowanych białych ze średnich klas, no i tych czarnych, którzy doszedłszy do pewnego bogactwa, skłonni byli głosować na Huntera za cenę utrzymania swoich wygodnych domów z równymi, zielonymi trawnikami oddzielającymi je od ulicy.

Mimo tego spadku popularności, na Huntera wskazywało wciąż pięćdziesiąt siedem procent potencjalnych wyborców, podczas gdy Oliver popierany był tylko przez dwadzieścia dziewięć procent. Hunter musiałby w ciągu tygodnia przed konwencją partyjną republikanów zrobić Coś naprawdę cholernie głupiego, żeby utracić nominację na rzecz Olivera, mimo że Oliver w tych dniach starał się zdobywać poparcie delegatów w każdy możliwy sposób, obiecując wszystkim wszystko, co tylko chcieli. A jako nowy człowiek w kampanii, miał w zanadrzu wiele świeżych obietnic, które jeszcze nie zostały rzucone.

Sama próba zrealizowania wszystkich obietnic, które rzucał, zajęłaby mu o wiele więcej niż cztery lata prezydenckiej kadencji. Oliver jednak nie dbał o to. Chodziło mu wyłącznie o powstrzymanie Huntera Peala. Sądzę, że w tych dniach miał o wiele więcej wyobraźni i odwagi niż ktokolwiek z nas.

Posłałem wyniki ankiety na dwudzieste siódme piętro i resztę poranka spędziłem w pokojach hotelowych, rozmawiając przez telefon z najważniejszymi redakcjami i agencjami prasowymi na temat propozycji prawnego uregulowania różnic rasowych, rzuconej poprzedniego wieczoru przez Huntera. Nie, podkreślałem, Hunter wcale nie zamierzał cofnąć praw obywatelskich, już od dawna przysługujących na równi wszystkim Amerykanom. Nie, Hunter nie miał osobistych uprzedzeń wobec czarnych. Wręcz przeciwnie, był przekonany, że kultura murzyńska powinna być popierana i rozwijana. Apartheid? To nonsens, oczywiście. Chodzi o niezakłócony rozwój etniczny, to wszystko.

Później dziennikarze zaczęli wypytywać mnie o osobistą popularność Huntera. Czy to prawda, że projekt nowego Dzikiego Zachodu jest nie dopracowany? Czy naprawdę tak gwałtownie spada popularność Huntera we wschodnich stanach? A potem pytanie jak grom z jasnego nieba: czy to prawda, że Micky Peal siedzi właśnie w barze w Detroit Plaza i popijając martini, opowiada zgromadzonym tłumnie reporterom, że jej mąż to stary nieudacznik i zbereźnik?

Wyprysnąłem z pokoju niczym Marvelman chcący złapać meteor, zanim zderzy się z ziemią. Zjechałem w dół windą, przebiegłem cały labirynt korytarzy, aż wreszcie, gdy znalazłem się w barze, zupełnie zabrakło mi tchu. Przy stoliku pod wielkim oknem siedziała Micky, ze szklaneczką alkoholu w ręce, twarzą roziskrzoną, i przemawiała do dwóch dziennikarzy głosem, w którym, nawet z odległości dwudziestu stóp, rozpoznałem nadmiar wypitego alkoholu. Micky dosłownie bełkotała.

Przez długą minutę stałem bez ruchu, usiłując odzyskać oddech. W końcu poprawiłem krawat i powoli ruszyłem w kierunku baru, szeroko uśmiechając się do wszystkich dookoła. Wreszcie zmieniłem kierunek i podeszedłem do Micky. Otoczyłem ją ramieniem i powiedziałem:

- Cześć, Micky. Czy uznacie to za łapówkę, jeżeli postawię wam drinka na koszt kampanii Huntera? - zwróciłem się do otaczających ją dziennikarzy.

- Jack! - wykrzyknęła Micky skrzekliwym, pijackim i zdziwionym głosem, po czym pocałowała mnie głośno w policzek. - Panowie, to jest Jack Russo, doradca mojego męża do spraw kontaktów... tak, z wami właśnie. Jack potrafiłby sprawić, że nawet o gorylu pisalibyście jako o doskonałym,

inteligentnym kandydacie na prezydenta. W gruncie rzeczy już mu się to udało. Goryl to zwierzę stojące trochę wyżej w rozwoju niż Hunter Peal.

Bez przerwy uśmiechałem się.

- Zdaje się, że pani Peal jest ostatnio odrobinę przemęczona - odezwałem się. - Prawda, Micky?

Odpowiedział mi Walt Kunst, pryszczaty dziennikarz z działu politycznego „Detroit Evening Post”:

- Ona wcale nie wygląda na zmęczoną, panie Russo. Wręcz przeciwnie, jest niezwykle ożywiona. I udziela nam wielu ciekawych informacji.

- Jestem zmęczona Hunterem, jeżeli to masz na myśli, Jack. Wciąż się uśmiechałam. Moim mottem było: nigdy nie dać się ponieść nerwom w obecności dziennikarzy. Jeżeli zobaczą cię w takim stanie, od razu pomyślą sobie najgorsze. Jutro napisaliby, że byłam opryskliwa, grubiańska, chamowata, nawet gdybym zdenerwowała się na kelnera, który przyniósłby mi whisky zamiast ulubionego piwa.

- Pani Peal opowiada nam, że nie bardzo w ostatnich dniach potrafi się porozumieć z senatorem - powiedział Bill Cooper z „Detroit News”. - Mówi, że zastanawia się nawet nad rozwodem.

Popatrzyłem na Micky z uśmiechem przyklepionym do ust, ale w głębi duszy czułem się jak facet, który właśnie wyskoczył z samolotu bez spadochronu. Oczywiście, od dni w Allen's Corners wiedziałem, co Micky przeżywa z Hunterem, wiedziałem, że w ogóle ze sobą nie sypiają. Ale przecież udało jej się pozostać lojalną wobec niego podczas wszystkich z tych wyczerpujących trzydziestu jeden prawyborów, tylko dlatego, aby został wybrany prezydentem. Nie mogłem uwierzyć, że chce go zniszczyć właśnie teraz, zaledwie na tydzień przed ogłoszeniem nominacji prezydenckiej republikanów.

- Panowie, chyba niedokładnie zrozumieliście słowa pani Peal - powiedziałem głośno. - Miała na myśli to, że każde normalne małżeństwo rozpadłoby się pod wpływem napięć i stresów kampanii prezydenckiej. Kampania jest bardzo wyczerpująca, i dla pani Peal, i dla jej małżonka. Pani Peal pragnie wam jednak przypomnieć, że jej małżeństwo z Hunterem Pealem to związek o wiele silniejszy niż przeciętny związek dwojga ludzi.

- Powtórz, co powiedziałam - warknęła Micky, skinąwszy na Billa Coopera. Ten bez wahania otworzył notes i zaczął czytać:

- Pani Peal stwierdziła, że senator Peal jest człowiekiem gwałtownym, pozbawionym wszelkich zasad i okrutnym. Dokładnie zapisałem jej słowa, panie Russo.

Uśmiechaj się, wmawiałem sobie. Uśmiechaj się. Po chwili usłyszałem swoje własne słowa:

- Musicie, panowie, pamiętać, że współczesna polityka czasami wymaga poczynań gwałtownych, okrutnych i zdecydowanych. Aby osiągnąć cel, często trzeba podejmować działania noszące znamiona braku skrupułów u człowieka je podejmującego. Pani Peal pragnęła więc powiedzieć, że aktualna sytuacja jej męża wymaga większego zdecydowania i konsekwencji z jego strony w postępowaniu niż do tej pory. Sądzę, że te słowa mogłyby dotyczyć każdego kandydata, biorącego udział w tej kampanii.

Micky zaczęła powoli potrząsać głową z boku na bok. Moje wyjaśnienia nie były najrozsądniejsze, ale nic mądrzejszego w chwili obecnej nie przychodziło mi do głowy. Pocieszałem się, że przynajmniej zamknąłem usta Micky.

- Panie Russo, niech pan nas tutaj nie czaruje - powiedział Walt Kunst. - Małżeństwo Huntera Peala wyraźnie się rozpada i to właśnie napiszemy.

- Właśnie. I nie powstrzyma nas pan - dorzucił swoje Bill Cooper. - To jest doskonała historia na pierwszą stronę i z pewnością nie zaprzepaścimy takiej okazji.

- Drukujcie, drukujcie - Micky pokiwała głową i potężnie czknęła.

Kunst i Cooper zaczęli zbierać się do odejścia, porządkując notatki i dopijając swoje drinki.

- Poczekajcie chwilę - powiedziałem. - Chyba nie myślicie poważnie o wydrukowaniu wynurzeń pani Peal przed rozmową z Hunterem.

- A co powie nam Hunter? Że to wszystko kłamstwo? Przestań, Russo, mamy już, co chcieliśmy.

- Poczekajcie, zróbcie mi przysługę, dobrze? Zaprowadzę was prosto do Huntera.

- Tylko nas dwóch? Billa i mnie?

- Właśnie, tylko was dwóch. Dajcie mi jedynie szansę, żebym telefonicznie uprzedził go o wizycie.

Walt Kunst pokiwał głową na znak zgody.

- Dobra, kupuję to - oznajmił.

Dałem, znak barmanowi i natychmiast przyniósł mi telefon. Wykręciłem numer pokoju Huntera i z głupim uśmiechem na twarzy czekałem, aż ktoś podniesie słuchawkę. Micky oparła głowę na moim ramieniu i co chwilę głośno czkała. Raz czy dwa razy mruknęła:

- Skurwysyn. Skurwysyn bez zasad.

W końcu ktoś po drugiej stronie podniósł słuchawkę.

- Pokój senatora Peala - oznajmił jakiś młody chłopak. - Kto mówi?

- Jack Russo. Powiedz senatorowi, że natychmiast musze z nim porozmawiać. To bardzo pilne.

- Przykro mi, ale senator właśnie odpoczywa.

- Nie obchodzi mnie, co teraz robi senator. Powiedz mu, że telefonuje Jack Russo i że to cholernie ważny telefon.

- Mógłby pan rozmawiać odrobinę innym tonem. Zdenerwowany chłopaczek odłożył jednak słuchawkę i po chwili usłyszałem niski głos Huntera, pytający:

- Jack? O co ci, do licha, chodzi?

- Jestem w barze na dole, Hunter, i obok mnie jest Micky. Tak, dokładnie przy mnie. Zdaje się, że wypłała trochę za dużo... Tak, oczywiście... Ale to nie wszystko. Rozmawiała z Walterem Kunstem z „Detroit Evening” i Billem Gooperem z „Detroit News”.

- Czyżby była niedyskretna, co? - zapytał Hunter.

- Hmm, no właśnie.

- Co takiego powiedziała?

- Powiedziała, że tak jak każde normalne małżeństwo, i wasze może się rozpaść, tym bardziej, że trudy kampanii prezydenckiej wystawiają je na ciężką próbę.

- Co jeszcze?

- No, cóż, wspomniała coś o rozwodzie. Nastąpiła głucha, głęboka, pełna napięcia cisza. Wyobrażałem sobie w tej chwili minę Huntera.

- O rozwodzie? - odezwał się w końcu. - Mówiła, że się ze mną rozwiedzie?

- Właśnie.

- I powiedziała to przy dziennikarzach?

- Niestety, tak.

Hunter przykrył mikrofon dłonią, ale mimo to słyszałem go, jak mówi w pokoju: - Adrian, wynoś się stąd. Nie zaraz, ale natychmiast.

Po chwili, która zapewne wystarczyła Adrianowi na opuszczenie pokoju, odezwał się do mnie:

- Jack? Jak zareagowałeś?

- W jedyny możliwy sposób. Zaprosiłem dziennikarzy na górę, żeby prawdę usłyszeli z twoich ust.

- Bardzo dobrze, Jack. Czy Micky wciąż tam jest? Micky napierała na mnie coraz mocniej, aż w końcu zacząłem obawiać się, że spadnie z krzesła. Walt Kunst i Bill Cooper obserwowali nas z fascynacją i zadowoleniem. Złapali naprawdę doskonały temat, a to, co się teraz działo, jeszcze go ubarwiało. Oto żona senatora Huntera Peala, najpotężniejszego i najbardziej charyzmatycznego kandydata republikańskiego na fotel prezydencki w dwudziestym wieku, pijana jak bela głośno czka i bredzi o rozwodzie. Odłożyłem słuchawkę.

- Senator Peal powiedział, że z przyjemnością się z wami zobaczy - oznajmiłem z uśmiechem, wciąż niezbędnym. Nie stało się nic złego, wszyscy jesteśmy na luzie i zadowoleni z siebie, stąd ten uśmiech, uśmiech, uśmiech i jeszcze raz uśmiech.

Pomogłem Micky wstać z krzesła; musiałem do tego użyć całej swojej siły. Wciąż uśmiechałem się, wlokąc ją długimi korytarzami w kierunku windy. Kunst i Cooper szli krok w krok za nami. Obaj milczeli, obaj zapewne obmyślali już, co też takiego napiszą w swoich gazetach.

- Jack? To ty, Jack? - mruknęła Micky.

- Oczywiście, że to ja - odpowiedziałem, modląc się do Boga Wszechmogącego, aby Micky nie walnęła głową o ziemię, zanim nadjedzie winda. - To ja, Jack. Wszystko jest w porządku.

Popatrzyła na mnie. Miała zaróżowione policzki i strasznie potargane włosy.

- Chyba nie zabierasz mnie do Huntera, Jack? Nie możesz tego mi zrobić.

Walt Kunst wyszczerzył zęby w złośliwym, radosnym grymasie.

- Oczywiście, że zabieram cię do Huntera - odpowiedziałem. - Jesteś bardzo zmęczona. Ale zaraz wszystko będzie dobrze. Hunter położy cię do łóżka.

- Proszę cię - szepnęła chrapliwie, ciągnąc mnie jednocześnie za rękaw. - Proszę cię, tylko nie prowadź mnie do Huntera. On mnie przeraża. Jack, ja się go boję.

- Micky, uspokój się - powiedziałem.

- Ale on mnie przeraża, Jack. Nawet nie potrafię ci powiedzieć, jak bardzo go się boję. Czasami wydaje mi się, że jest wcielonym diabłem.

Poczułem się dziwnie. Jakby grunt zaczął wirować pod moimi nogami. Nagle, tysiące mil od domu, zacząłem odnosić wrażenie, że podłoga w hotelu nie jest już podłogą, że w ogóle nic dookoła nie jest realne.

Gdzieś w kącie mojego mózgu odezwał się dźwięk, który usłyszałem podczas pierwszej nocy w Allen's Corners - odgłos kopyt rozlegający się w ciszy uspiętego domu. Oczyma wyobraźni ujrzałem tę niesamowitą, mroczną sylwetkę, zmierzającą w kierunku domu. Ujrzałem posągi, które się poruszały, i wyrzeźbione twarze, które się uśmiechały. Ujrzałem brązowe, szczeciniaste bestie i nagie dziewczyny, z szeroko rozwartymi udami. Ujrzałem ludzi, którzy ludźmi nie byli i ludzi rozmawiających z demonami.

„Czasami wydaje mi się, że jest wcielonym diabłem.”

- Czy coś się stało, Russo? - zapytał mnie Walt Kunst. - Nagle zrobiłeś się strasznie błydy. Być może, stary, chciałbyś, żebym pomógł ci transportować tę damę.

Uśmiechnąłem się.

- Nie, dziękuję ci. Wszystko jest w porządku. Naprawdę.

Wreszcie nadjechała winda. Usłyszałem cichutki dzwonek i otworzyły się drzwi. Walt Kunst i Bill Cooper równocześnie dworskim gestem wskazali, abym wraz z Micky wszedł do środka jako pierwszy. Stanęliśmy w windzie w milczeniu, uśmiechając się nawzajem do siebie, a tymczasem Bill Cooper nacisnął guzik dwudziestego siódmego piętra i ruszyliśmy w kierunku apartamentów Huntera.

Hunter czekał już na nas w drzwiach. Ubrany był w jaskrawe, proste spodnie i ciemnoniebieską koszulę; wyglądał, jakby właśnie wybierał się na partyjkę golfa.

- Micky! - zawołał. Po chwili objął ją w pól i uściskał jej dłoń w swojej. - Moja biedna dziewczynka...

Micky odrzuciła dumnie głowę do tyłu i popatrzyła w oczy swojemu mężowi. Cała jej twarz wyrażała jedną wielką nienawiść.

- Nie jestem twoją biedną dziewczynką, Hunter. Nie jestem niczyją biedną dziewczynką. Jestem Michaela van Dam i mam cię głęboko w dupie.

- Właśnie, senatorze - powiedział Bill Cooper uprzejmie. - Przez cały czas powtarza, że ma pana głęboko w dupie.

Hunter popatrzył na niego zjadliwie.

- Panie Cooper, mimo wszystko chodzi tu jednak o dupę mojej żony. W związku z czym nie powinien pan się tym interesować. Prawda, kochanie? - te ostatnie słowa skierował do Micky.

Micky jakby zeszywniała. Akurat przechodziliśmy przez drzwi do pokoju Huntera i nie mogłem w tym momencie dojrzeć jej twarzy, ale zaraz odwróciła się. Przez krótką chwilę spoglądała na mnie oczyma tak rozszerzonymi jak oczy śnieżnego królika, po czym całe napięcie z niej opadło. Westchnęła głęboko i powiedziała:

- Oczywiście, Hunter, oczywiście. A moja dupa to tak jak twoja, przecież łączy nas węzeł małżeński.

- Ale przecież chce pani rozwodu, prawda? - zapytał Walter Kunst.

Hunter uniósł do góry rękę, aby przerwać rozmowę.

- Proszę państwa, usiadźmy najpierw wygodnie, a potem porozmawiamy. Czy któryś z panów napije się czegoś?

- Nie, dziękuję - powiedział Bill Cooper. - Pana rzecznik próbował przekupywać nas już na dole.

- Cóż, wasza sprawa - stwierdził Hunter. - Obawiam się jednak, że poza drinkiem nic z całej tej historii nie wyciągniecie. Micky jest przemęczona czterema ciężkimi miesiącami kampanii, być może trochę dziś za dużo wypila, ale to przecież nie jest temat, który zainteresuje kogokolwiek z waszych czytelników, o ile reprezentujecie poważne gazety. Walt Kunst ciężko usiadł na kanapie i z kieszeni na piersi wydobyl okulary.

- Senatorze, nie przyszliśmy tutaj, żeby rozmawiać o trzech albo czterech szklaneczkach martini. Chcemy rozmawiać o pańskim małżeństwie.

- Moim małżeństwie? - powtórzył Hunter, takim tonem, jakby po raz pierwszy w życiu usłyszał, że z jego małżeństwem dzieje się coś niedobrego. - Przyznam, że pana nie zrozumiałem.

Teraz Bill Cooper wyciągnął swój notatnik.

- Pani Peal powiedziała nam na dole, że podczas tej kampanii bardzo się pan zmienił, i to zmienił na gorsze, Od czasu prawyborów w Connecticut bywa pan gwałtowny, okrutny, złośliwy i arogancki. To słowa pańskiej żony, nie moje. Powiedziała nam, że nie sypiacie już razem i że życzy sobie uzyskać rozwód najszybciej, jak to tylko będzie możliwe.

Hunter zaczął bawić się swoją ślubną obrączką.

- Jesteście w błędzie, panowie - powiedział bardzo cicho. - Ja i moja żona nigdy dotąd nie byliśmy sobie tak bliscy jak teraz.

- Odnotowałem tutaj dokładnie wszystkie słowa pańskiej żony - oznajmił Bill Cooper i zaczął szukać właściwej strony w notesie.

Nastąpiła dłuższa cisza. Bill Cooper, poruszając ustami, wpatrywał się w swoje notatki. Widziałem, że usiłuje odczytać to, co wcześniej zapisał.

- No dalej, Bill - popędził go Walt Kunst. - Przeczytaj to wreszcie, niech wszystko będzie jasne.

Hunter rozsiadł się wygodnie w fotelu i bawił się swoimi dłońmi.

- No, słucham pana, panie Cooper. Jestem przygotowany na najgorsze.

Bill Cooper wciąż gapił się w swój notes. Gdy wreszcie po minucie albo dwóch, podniósł wzrok, jego twarz była śmiertelnie blada i malowało się na niej ogromne zdziwienie.

- Je... eee... ja musiałem się pomylić - wykrztusił wreszcie.

- Pomylić? - zdziwił się Kunst. - Pokaz to. Cooper przycisnął notes do piersi. Za nic w świecie nie oddałby go teraz nikomu.

- Nie wygłupiaj się - powiedział Kunst. - Przecież potrafisz czytać twoje bazgroły.

Bill Cooper przecząco potrząsnął głową.

- Ale nie tym razem, Walt. Daj spokój, po prostu daj mi spokój.

- Czy nie ma tam tego, co zapisałeś w barze? - nalegał Kunst.

Bill Cooper znów potrząsnął głową.

- Nie wiem, co to jest. Nie wiem, skąd to się wzięło w moim notesie. Wiem jednak, że najlepiej będzie, jeżeli zapomnimy o całej tej sprawie.

- Nie wygłupiaj się, Bill, nie po to przyszliśmy do senatora.

- Sam sobie porozmawiaj z senatorem. Dla mnie sprawa jest zakończona.

Nagle, bez ostrzeżenia, Kunst ruszył w kierunku Coopera i wyrwał mu notes z rąk.

- Walt, na miłość boską! - zawołał Cooper. Próbował odzyskać swoją własność, ale Kunst odepchnął go zdecydowanym ruchem.

- Tu jest wszystko zapisane, senatorze - powiedział Kunst, ostrym tonem zwracając się do Huntera. Mówił bardzo szybko. - Tu, w tym notesie zapisana jest historia o utalentowanym, szanowanym polityku, który zdecydował ubiegać się o prezydenturę w tym kraju. Zdecydował się na to, ponieważ wydawało mu się, że dysponuje nowymi, świeżymi pomysłami, których realizacja jest w stanie zmienić oblicze tego kraju. Ale wkrótce sam pomysł zostania prezydentem zaćmił wszystkie inne i polityk ten całkowicie zaprzedał wszystkie swoje ideały. Wyalienował się od otaczających go ludzi, zapomniał, że ma przyjaciół, pracowników i, przede wszystkim, żonę.

Hunter przez cały czas szczerzył zęby do Kunsta, ale znając go doskonale wiedziałem, jaki jest wewnątrz spięty. Dłonie zaciskał na poręczach fotela, jakby chciał je zgnieść.

- Senatorze, jak do tej pory, pańska popularność była zbyt duża, a szczegóły pana życia prywatnego zbyt ukryte, aby można było napisać o panu prawdę - kontynuował Kunst. - Teraz jednak, po tym wszystkim, co w barze opowiedziała nam pani Peal, dobierzemy się do pana tak, jak powinniśmy. Zrzucimy maskę z pana twarzy, ukażemy pańskie prawdziwe oblicze i w porę ostrzeżemy wyborców przed błędem, którego o mało by nie popełnili.

Hunter popatrzył na Micky, siedzącą na prostym krześle pod ścianą.

- Micky - zapytał - kochasz mnie?

Micky wahała się przez chwilę, a potem pokiwała twierdząco głową.

- Czy chcesz rozwodu? Potrząsając głową, Micky zaprzeczyła.

Hunter wyciągnął przed siebie nogi, pięty oparł na blacie stolika do kawy.

- Oto jest odpowiedź dla was, panowie. Moja żona mnie kocha i nie zamierza rozwodzić się ze mną, mimo że sprawi wam tym przykrość, głupi nieudacznicy, marzący o karierze Woodwarda czy Bernsteina. Wbijcie sobie do waszych zakutych łbów, że przez cały czas tej kampanii prowadziłem taki styl życia, któremu nie zarzucicie nic, co by mnie obciążało.

Walt Kunst popatrzył na notes Billa Coopera, a potem zaczął uważnie przyglądać się stronie, na której był otwarty. Po chwili, zdziwiony, podniósł wzrok i popatrzył na Huntera z nie ukrywanym zdziwieniem.

- Co to ma znaczyć? - zapytał. - To jest o córce Billa. To nie są słowa, które Bill zapisał w barze.

- O córce Billa? - powtórzył Hunter niewinnym tonem.

- Córka Billa utonęła podczas kąpieli w jeziorze Maceday, dwa lata temu. Bill próbował jej pomóc, ale mu się nie udało. Nie zdążył na ratunek.

- Walt! - zawołał Bill Cooper. - Daj spokój.

- Nie, nie dam spokoju - warknął Walt Kunst. - Chcę wiedzieć, w jaki sposób w notesie Billa znalazły się słowa, że Susan utonęła dlatego, bo Bill był zbyt wolny i zbyt bał się o własną skórę, żeby jej skutecznie pomóc? Chcę wiedzieć, kto to wymyślił. I chcę wiedzieć, skąd znalazły się tu słowa, że Susan błagała o litość, będąc już dwie stopy pod wodą, szeroko otwartymi oczyma?

- Panie Kunst - przerwał mu Hunter gwałtownie. - Skąd, do diabła, mógłbym znać odpowiedź na te pytania. To jest notes pana Coopera, a nie mój.

- Nie dam się nabrać! - wrzasnął Walt Kunst. - Widziałem, jak Bill w barze robił notatki w tym notesie i nie pisał ani słowa o Susan!

Bill Cooper powstał, wziął od Kunsta notes i wsadził go sobie do kieszeni.

- Myślę, że zaszło tutaj nieporozumienie, senatorze - powiedział cicho. - Czy ma pan coś przeciwko temu, że już sobie pójdę?

- A idź pan - odparł Hunter. - Przykro mi z powodu halucynacji, których stał się pan ofiarą.

Walt Kunst nie dawał jednak za wygraną.

- Senatorze, pozwoli pan, że tu zostanę i zadam panu jeszcze kilka pytań?

- Ależ oczywiście - zgodził się Hunter. - Może jednak napije się pan tego drinka?

- Nie.

- Szkoda. Nie wygląda pan najlepiej. Ale dobrze, przejdźmy do rzeczy.

Bill Cooper, wyglądający na zupełnie załamane, machnął nam wszystkim ręką i wyszedł z pokoju. Po jego wyjściu podszedłem do barku i nalałem sobie potężną porcję burzona, natychmiast ją wychyliłem. Ręce trzęsły mi się tak mocno, że nie byłem w stanie umieścić z powrotem nakrętki na butelce. Przez chwilę stałem więc bez ruchu, gapiąc się przez okno na lekko zamglony, zielony kształt wyspy Belle na środku Detroit River.

Walt Kunst tymczasem przystąpił do ataku.

- Przynajmniej trzy osoby widziały dziewczynę opuszczającą pański apartament, senatorze, w „Crown Center Hotel” w Kansas City, o godzinie drugiej piętnaście nad ranem. Czy zaprzeczy pan temu?

- A niby dlaczego miałbym zaprzeczać? Nikomu nic do tego, kto i kiedy wychodzi z mojego pokoju hotelowego.

- Czy zaprzeczy pan, że pańska skłonność do młodych dziewczyn, szczególnie w ostatnich tygodniach, doprowadziła do kryzysu w pańskim małżeństwie?

- Nie ma żadnego kryzysu. Ubzdurałeś coś sobie, człowieku.

- Czy wierzy pan w świętość swej przysięgi małżeńskiej?

- A czy pan wierzy w świętego Mikołaja?

- Senatorze Peal, zadaję w tej chwili bardzo poważne pytania. Dochodzę do wniosku, że człowiek, który nie ma szacunku dla własnego małżeństwa, nie ma również prawa do przewodzenia krajowi, który świętość związku małżeńskiego uznaje za jedną z fundamentalnych zasad swego rozwoju.

Hunter popatrzył uważnie na dziennikarza.

- Przepraszam, że przerywam, panie Kunst, ale naprawdę nie wygląda pan najlepiej.

- Dziękuję za troskę, senatorze, ale czuję się znakomicie. Jest tu jedynie trochę za gorąco, to wszystko.

- A może chciałby się pan położyć? Może podać panu szklankę wody?

- Senatorze, chcę jedynie zadawać panu pytania.

- Tak, tak, oczywiście - powiedział Hunter łagodnie. - Ale powinien pan chyba jak najszybciej zmierzyć sobie ciśnienie krwi.

Walt Kunst nerwowym ruchem wyciągnął z kieszeni chusteczkę i wytarł nią wilgotne czoło.

- Czuję się dobrze - wymamrotał. - Jedynie ta temperatura...

- Temperatura, panie Kunst? - zapytał Hunter beznamiętnym głosem.

Popatrzyłem na Micky. Wciąż sztywno siedziała na swoim krześle, nie dając mi cienia szansy, że uzyskam od niej jakąś pomoc. Mimo wszystko przeszedłem jednak przez pokój, stanąłem pomiędzy Hunterem i Waltem Kunstem i uniosłem ostrzegawczo dłoń.

- Hunter, dosyć już tego. Naprawdę.

- Pan Kunst powiedział przecież, że czuje się doskonale - stwierdził Hunter przesadnie niewinnym tonem. A potem popatrzył na dziennikarza spojrzeniem tak mrocznym i wrogim, że zadrżałem, mimo iż spojrzenie to nie było przecież skierowane do mnie.

- Hunter... - powiedziałem. Ale było już za późno. Walt Kunst stracił przytomność i stoczył się z kanapy na podłogę. Po drodze rąbnął potężnie głową o stolik do kawy. Uklęknąłem przy nim i zacząłem mierzyć mu puls. Hunter nawet się nie poruszył, stopy wciąż opierał na stoliku. Wciąż się uśmiechał, jakby zupełnie nic się nie wydarzyło.

- On wciąż żyje - powiedziałem. - Czuję wyraźnie jego puls.

- Rzeczywiście - stwierdził Hunter. Podeszedłem do telefonu i uniosłem słuchawkę z widełek.

- Proszę przysłać lekarza na dwudzieste siódme piętro, do apartamentu senatora Peala - powiedziałem, gdy zgłosiła się centrala. - Zdaje się, że ktoś doznał ataku serca.

- Słuszna diagnoza - stwierdził Hunter z uznaniem. Odłożyłem słuchawkę.

- Naprawdę? - zapytałem go. - Naprawdę to jest atak serca?

- Powiedziałbym, że tak.

- Powiedziałbyś? Ty go przecież wywołałeś. Hunter uśmiechnął się.

- Fantazjujesz, Jack. Od razu powinienes zauważyć, że ten cały Walt Kunst jest typem faceta podatnym na coś takiego. Dużo pije, mało je, pracuje nieregularnie i w ciągłym napięciu. Niespodziewanie stanął przed szansą zabłyśnięcia w skali całego kraju. I to go dobiło, nie wytrzymał.

Znów zbadałem puls dziennikarza. Był słaby, ale regularny.

- Przynajmniej go nie zabiłeś - westchnąłem z ulgą.

- Oczywiście, że nie. Ale dopiero efekty uboczne pokażą nam, jak groźny był ten atak.

- Efekty uboczne?

- Oczywiście. Zaburzenia mowy, częściowy paraliż...

- Żartujesz.

Hunter wreszcie podniósł się i podeszedł do swojej ofiary, aby ją zbadać. Uniósł nawet powieki Kunsta i przez chwilę uważnie wpatrywał się w jego przekrwione oczy.

- Widzisz, Jack, chodziło jedynie o charakter tych osobników. Na Coopera wystarczył głęboki wstrząs psychologiczny. A ten? Był twardszy, dlatego musiałem aż tak ostro go potraktować. Nigdy już nic nie napisze, nigdy już niczego nie powie z sensem, ale będzie mógł wygrzewać się na słońcu w wiklinowym fotelu i podziwiać krajobraz. Przekażę pewną kwotę pieniędzy jego rodzinie. Myślę, że nigdy nie będą czuli do mnie urazy.

Wstałem i wyciągnąłem papierosa. Brakowało mi słów, więc po prostu milczałem. Przypalając papierosa, popatrzyłem na Micky. Wciąż sztywno siedziała, wciąż nie widzącymi oczyma spoglądała w przestrzeń i była przy tym blada jak papier.

ROZDZIAŁ VI

Dopiero krótko przed pierwszą zdołałem dotrzeć do baru na spotkanie z Jennifer. Sam Wieka też już tam był, w bladobłękitnym swetrze; wyglądał jak facet, który ma właśnie wsiąść do samolotu i polecieć gdzieś bardzo daleko. Bladobłękitny sweter safari zawsze wydawał mi się nieoficjalnym umundurowaniem wszystkich Amerykanów podróżujących samolotami.

Usiadłem na wysokim stołku przy barze, obok Jennifer i otoczyłem ją ramieniem.

- Sam wszystko mi opowiedział - rzuciła bez wstępu.

- Nawet o Olivierze? - zapytałem Sama. Sam potrząsnął przecząco głową.

- Niech to pozostanie między nami, chyba że rzeczywiście zadecydujesz, że chcesz to zrobić i pojedziesz do Kalifornii.

Podszedł barman i zamówiłem Jacka Danielsa z lodem.

- Nie wiem, co powinienem zrobić - przyznałem.

- Mógłbyś porzucić Huntera, tak jak ja to zrobiłem.

- Myślisz, że to by coś pomogło?

- Pokazałoby przynajmniej Hunterowi, że nie pochwalamy tego, co on wyczynia. A poza tym, gdybyśmy zostawili go teraz obaj, z całą pewnością jego szanse na nominację znacznie by spadły.

Wyciągnąłem papierosa, ale po chwili zmieniłem zdanie i wepchnąłem go z powrotem do paczki. Za dużo palę, za dużo piję i za dużo myślę, stwierdziłem.

- To nic nie da, Sam - powiedziałem. - Huntera mało obchodzi, czy ktoś pochwała jego postępowanie, czy też nie. Poza tym uważam, że nie doceniamy jego potęgi. Doprowadzi do swojej nominacji, nawet gdyby miał zamordować każdego cholernego delegata na tej konwencji.

- A więc, zostajesz? Pokiwałem głową.

- Ktoś musi.

- Czy jesteś pewien, że powody, które tobą kierują, są właściwe? Czy nie chodzi ci jedynie o to, aby podjąć pracę w Białym Domu?

Powoli sączyłem alkohol. Zwyczajny zimny burbon wprawiał moje ciało w drżenie.

- Pytanie mnie o powody, dla których zostaję, jest nie w porządku z twojej strony, Sam. Do dzisiejszego poranka pracowałeś dla Huntera tak samo jak ja. Powiem ci więc: nie wiem dlaczego, ale jednak zostaje.

- Czy dziennikarze już wiedzą, że Sam zrezygnował? - wtrąciła Jennifer.

- Nieee - odparłem. - Prosto stąd pójdę do pokoju, żeby przygotować stosowne oświadczenie. Sam, zrobiłbyś mi wielką uprzejmość, gdybyś go publicznie nie komentował.

Sam westchnął.

- Nie zrobić niczego takiego, co zmniejszyłoby szanse Huntera, jeżeli o to ci chodzi.

- Nie obiecuj mi niczego. Po prostu milcz, nie przeszkadzaj mi.

W drzwiach pojawiła się Arlene. Na głowie miała nową fryzurę, a pod pachą dzierżyła nową, kosztowną torebkę.

- Wygląda to raczej na stypę niż rozmowę przyjaciół - stwierdziła, podszedłszy do nas.

- Cóż, przykro nam, że się żegnamy - powiedziałem, oferując jej miejsce na moim stołku przy barze.

Usiadła i starannie obciągnęła mini - spódniczkę. Mogłaby być piętnaście lat młodsza, ale nogi i tak miała doskonałe.

- Będziemy za wami tęsknić, Jack, bądź pewien - powiedziała ze smutnym uśmiechem na ustach.

Ujęła mnie pod rękę. Nie żartowała. Ja również wiedziałem, że wraz z Jennifer będę tęsknił za towarzystwem Arlene i Sama. Sam bywał czasami gburowaty i nie do zniesienia, ale wiedziałem, że

zawsze mogę na niego liczyć w potrzebie. Hunter nie miał raczej szansy zastąpienia Sama kimkolwiek chociażby w połowie tak dobrym jak on.

- Uważaj na siebie, Jack - powiedział Sam cicho. - Hunter jest cholernie niebezpieczny. I, moim zdaniem, staje się coraz bardziej okrutny.

- Czy widziałeś mój naszyjnik, Jack? - zapytała mnie Jennifer. - Wiesz, chodzi o te dwa kamienie, no wiesz...

- Nie mów, że je zgubiłaś.

- Nie wiem. Założyłam je nad ranem, a przed chwilą zauważyłam, że ich nie ma. Może się zerwały?

Arlene, sącząca powoli whisky, roześmiała się gwałtownie.

- Jak je teraz opiszesz przed dyrekcją hotelu? Dwa członki na sznurku?

Zbliżył się barman i grzecznie dotknął mojego ramienia.

- Czy pan Russo? Odebrałem właśnie telefon z „Detroit Evening Post”. Powiedzieli, że piszą artykuł o dziennikarzu noszącym nazwisko Walt Kunst. Czy nie zechciałby pan zamienić z nimi kilką słów?

- Oczywiście, że tak - potwierdziłem.

- Jack, musimy już jechać - powiedział Sam. - Zadzwoń do ciebie, kiedy wrócę do Denver. I, posłuchaj, dziękuję ci za wszystko. Będę się modlił, aby okazało się, że obaj podjęliśmy właściwe decyzje.

- I ja również - powiedziałem, potrząsając jego dłonią. - Myślę, że czas udzieli nam wkrótce odpowiedzi w tej sprawie.

Arlene pocałowała mnie w policzek i szepnęła:

- Bądź ostrożny.

Patrzyłem na nią przez chwilę i znów poczułem to dziwne mrowienie w plecach. Bądź ostrożny, ostrzegał mnie szept, bądź ostrożny.

Tak jakby miało się wydarzyć coś dziwnego i przerażającego, jakby nasze życie było zagrożone.

ROZDZIAŁ VII

Poleciałem do Los Angeles jeszcze tego samego wieczoru, przebrany jako David Soul. Było to najdziwniejsze doświadczenie w całym moim życiu, potęgowane, kiedy spoglądałem w lustra i przyciemnione szyby odbijały moją sylwetkę. Dokąd bym nie poszedł, podążał za mną opalony blondyn z Kalifornii, odrobinę sepleniący. Każdy jego ruch paraliżował moje ruchy.

Przez cały czas starałem się pamiętać, że jest to żywa, poruszająca się halucynacja, ale nie będę ukrywał: przez cały czas byłem przerażony. Miałem swoje własne myśli, swoje własne uczucia, ale nic więcej nie przypominało Jacka Russo. Zdawało mi się, że jeżeli zbyt długo pozostanę w tym przebraniu, z całą pewnością skończę w domu wariatów.

W mojej walizeczce znajdowały się dwie paczuszki, starannie owinięte w brązowy papier i oklejone szczerze taśmą samoprzylepną. Jedna paczuszka przeznaczona była dla Fay Oliver, druga dla Gale. Hunter uprzedził mnie, że czarnorynkowa wartość obu paczuszek wynosi 95 tysięcy dolarów, „a więc proszę cię bardzo, nie zagub ich, dobrze?”

Kiedy wypowiedział te słowa, zauważyłem jak blondyn z Kalifornii, widoczny w wielkim lustrze, pokiwał krótko głową. Miał niebieskie oczy i był ubrany zupełnie nijak, bez gustu. Stanowił kompletne przeciwieństwo Jacka Russo. Zastanawiałem się, czy Jack Russo jeszcze kiedykolwiek pojawi się na świecie, po aferze polegającej na podłożeniu dwóm córkom reprezentanta Olivera zawiniątek z kokainą najwyższego gatunku.

Muszę przyznać, że ze wszystkich rzeczy, jakie uczyniłem dla Huntera Peala, zanim został prezydentem i już jako prezydenta, ta podróż do Los Angeles była najgorsza i dla mnie osobiście najtrudniejsza. Nie mogę sobie wybaczyć, że podjąłem się tego zadania, tym bardziej że wiedziałem już wówczas, jak okrutnie i z jakim niszczyielskim zacięciem potrafi Hunter postępować wobec ludzi. Jednak zdecydowałem przeciw, że pozostanę przy nim, dla siebie i dla tego, co uważałem za dobro narodu: podjąwszy tę decyzję, musiałem postępować tak, jak nakazywał mi Hunter. A przed Narodową Konwencją Republikanów Hunter był w fatalnym nastroju: wymagający, złośliwy i pamiętliwy. Jeszcze dziś jestem przekonany, że gdybym wówczas czegoś mu odmówił, zraniłby mnie fizycznie, psychicznie, a może nawet by mnie zabił.

Wcale nie próbuję w ten sposób uzyskać wybaczenia od reprezentanta Olivera. Pragnąłbym zbyt wiele. Myślę jednak, że za pojawienie się straszliwego fenomenu Huntera Peala odpowiedzialna jest cała Ameryka, nie tylko ja, a to, co wydarzyło się w Los Angeles, było wydarzeniem symptomatycznym dla moralnego i duchowego upadku całego kraju. Kiedy ludzie stoją na stanowisku, że należy im się wszystko i nie muszą niczego dawać w zamian, na horyzoncie życia politycznego pojawiają się tacy ludzie jak Hunter Peal, a przy okazji tacy jak ja, uwięzieni między młotem a kowadłem, między swoimi obowiązkami a ambicjami, między swoim poczuciem lojalności a strachem.

Było ciemno, kiedy Boeing 747 nadlatywał, jakby zza mgły, nad rozjaśnione Los Angeles. Przez cały niemal lot spałem, z głową opartą o szybę iluminatora. Obudziłem się, podrapałem się po moich sztywnych, obcych włosach i spojrzałem w dół na płataninę ulic i autostrad. Mężczyzna siedzący obok mnie, najwyraźniej komiwojażer, w średnim wieku, zapytał:

- Nareszcie w domu, co?

- W domu? - zdziwiłem się. - Zaraz jednak uśmiechnąłem się i dodałem z akcentem rodzimego Kalifornijczyka: - Jasne, wreszcie w domu.

W porównaniu z Detroit, tutaj noc była gorąca i parna. Stałem w kolejce po taksówkę za dwojgiem oszołomionych londyńczyków na zagranicznych wakacjach i Brazylijczykiem, który przyciskając do nosa chusteczkę, głośno narzekał na smog. Gdy nadjechała moja taksówka,

poprosiłem o kurs do hotelu „Sunset Marquis” w Hollywood. Był to hotel tani i zapewniający anonimowość w przeciwieństwie do „Chateau Marmont” czy „Bonaventure”.

Chętniej wypożyczyłbym raczej samochód, ale wypożyczalnie wymagają okazywania się prawem jazdy, a zdjęcie na tym, które nosiłem w kieszeni, nie przypominało w najmniejszym stopniu wizerunku Davida Soula. Rozsiadłem się więc wygodnie w taksówce i zapaliłem papierosa, a tymczasem kierowca ruszył na północ San Diego Freeway. Nasunęła mi się dziwna myśl, dziwna w tych okolicznościach: przecież moja mała córeczka znajduje się zaledwie o pół godziny jazdy samochodem, w Van Nuys. Gdybym teraz chciał ją zobaczyć, nawet by mnie nie rozpoznała.

Taksówka zatrzymała się na opadającej w dół ulicy przed „Sunset Marquis”. Zapłaciłem kierowcy i ruszyłem do hallu, wymachując swoją walizeczką. Minąłem dwóch młodych muzyków, opartych o mur hotelu, grających na gitarach i wyśpiewujących coś głosami rozstrojonymi bardziej niż gitary. Zameldowałem się jako Rudie Selzer (były to najdziwniejsze personalia, jakie akurat mogłem wymyśleć) i pojechałem windą na górę.

Wykąpałem się, zmieniłem bieliznę i udałem się na krótki spacer do sklepu spożywczego nieopodal, gdzie kupiłem trochę piwa i sera. Noc była gorąca, w sklepie cały tłum ludzi, nikt więc nie zwrócił na mnie uwagi. Ot, jeszcze jeden młodzieniec z Hollywood, w dzień sprzedający benzynę, a w nocy hamburgery. W sklepie nie było Hublera, kupiłem więc sześć puszek Coorsa.

Pozostałem w swoim pokoju w „Sunset Marquis” aż do jedenastej następnego wieczoru. Przez okna obserwowałem ludzi pijących kalifornijskie wino, siedzących na werandach przed domami, oglądających telewizję czy leżących po prostu w swoich łóżkach i palących papierosy. Jeszcze jeden wieczór w Los Angeles. Zaczynałem dochodzić do wniosku, że nie tylko wyglądam jak Rudie Selzer, ale naprawdę jestem Rudim Selzerem. Modliłem się do Boga Wszchemogącego, aby po wszystkim Hunter jak najszybciej mnie przywrócił do pierwotnej postaci.

Z poręczy łóżka zwisał nylonowy worek, zawierający dwie przygotowane przez Huntera paczuszki.

O jedenastej zatelefonowałem po taksówkę. Zjawiała się przed hotelem w ciągu dziesięciu minut i bulwarem Santa Monica pojechałem do restauracji o nazwie „Ocean”. Jak sama nazwa wskazuje, „Ocean” specjalizował się w daniach morza, z marynowanymi stekami i ogonami homarów na pierwszej stronie karty dań. Dawniej była to jedna z najlepszych restauracji w mieście, bywały w niej gwiazdy filmowe i wielu zamożnych ludzi. Podczas mojego pobytu „Ocean” okupowali już w większości turyści i tylko czasami wpadali tu aktorzy mniejszego formatu. Nie przeszkadzało to parom z Omaha czy Teksasu szeptać pomiędzy sobą, co chwilę palcami wskazując na kogoś innego z konsumentów:

- Czy to jest Dyan Cannon? Czy to jest naprawdę Sylvester Stallone?

Tej nocy nie przyjechałem jednak do „Oceanu” ani dla rozkoszowania się jedzeniem, ani dla podziwiania gwiazd filmowych. Hunter powiedział mi w Detroit, że Fay Oliver romansuje z jednym z tutejszych kelnerów i że właśnie ta restauracja będzie najlepszym miejscem, do rozpoczęcia moich poszukiwań bliźniaczek. Skąd Hunter tego się dowiedział, nawet nie śmiałem zapytać. W tych dniach odnosiłem wrażenie, że Hunter wie niemal wszystko, dzięki swojej intuicji, mocy nadprzyrodzonej, a może dzięki nieprawdopodobnie rozbudowanej sieci prywatnych detektywów, choć przecież wiemy już, że żadnych detektywów nie zatrudniał. Podczas przesłuchań przed Komitetem Lehmana zapytano mnie chyba dziewięć razy, przy różnych okazjach, co sędzę o inteligencji Huntera; pytający chcieli udowodnić jakiś spisek Peal-FBI, a może Peal-FBI-John Birch, ale moja odpowiedź była zawsze jedna i taka sama - nieprawdopodobna wiedza Huntera o jego wrogach i przeciwnikach była tak samo całkowita, jak i niewytłumaczalna.

Kiedy przybyłem do „Oceanu”, restauracja była już pełna gości. Przycisnąłem moje paczuszki mocno pod pachą, a kelnerka w czerwonych, aksamitnych, obcisłych dżinsach, wskazała mi miejsce za niewielkim przepierzeniem w kącie sali. Zamówiłem whisky bez wody i bez lodu, głównie dlatego, że nigdy nie pijam whisky bez wody i lodu, a chciałem, żeby przemiana mojej osobowości była kompletna. A potem po prostu siedziałem, gryząc orzeszki i czekając cierpliwie na pojawienie się Fay Oliver.

Mimo półmroku zauważyłem, że drugą stronę sali obsługuje para przystojnych młodych kelnerów. „Ocean” zaludniony był niczym pokład strzelecki starego, drewnianego okrętu wojennego. Konsumenci oddzieleni byli od siebie przepierzeniami mającymi przywołać na myśl drewniane okrętowe balustrady. Na każdej z nich stała miniaturowa okrętowa armata. Na scenie skąpana w szkarłatnym świetle, czarnoskóra piosenkarka z czołem przewiązanym szeroką szarfą i z pirackimi kolczykami w uszach, grała na pianinie i śpiewała Don't Let Me Be Misunderstood.

Wypaliłem już kilka papierosów, a w restauracji nie było ani śladu po Fay Oliver, mimo że dochodziła północ. Whisky pomieszana z nikotyną wyprawiała z moim żołądkiem nieprawdopodobne historie; oblewając się potem, czułem jak w restauracji staje się coraz bardziej gorąco.

Wreszcie jednak się pojawiła. Nie tylko Fay, ale również Gale, obie wysokie, o długich włosach, uderzająco piękne. Fay ubrana była w skromną sukienkę w stylu lat czterdziestych, a Gale nosiła dżinsy i indiańskie buty. Usiadły dokładnie naprzeciwko mnie, po przeciwnej stronie sali i jeden z kelnerów natychmiast ruszył w kierunku sióstr. Gdy się przy nich znalazł, ostentacyjnie pocałował Fay w czoło. Już wcześniej odgadłem, że to właśnie on jest szczęśliwym kochankiem. Miał czarne włosy, grecki profil i wyglądał, jakby cały swój wolny czas poświęcał ćwiczeniom kulturowym. Z całą pewnością „aktor”, czekający na swoją życiową rolę, facet, który być może statystował w jakiejś produkcji i już uważa się za Montgomery'ego Clifta.

Kelner rozmawiał tak długo z bliźniaczkami, że w końcu zdenerwowana grupa turystów z New Jersey głośno gwizdnęła na niego, domagając się następnej kolejki drinków. Wyglądało, że przez następnych kilkanaście minut kelner będzie bardzo zajęty, zdecydowałem więc, że oto nadchodzi moja szansa. Podeszedłem do miejsca, gdzie siedziały bliźniaczki i pochyliwszy się nad przepierzeniem, powiedziałem:

- No, coś takiego! Dwie urocze senatorskie córki w takim miejscu.

Fay przymrużyła oczy. Były duże, szare, jakby przydymione. - Czy my cię znamy? - zapytała.

- Oczywiście. - Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu i usiadłem przy ich stoliku. - Jestem Rudie Selzer.

- Rudie Selzer? - powtórzyła Gale, marszcząc czoło.

- Właśnie. Powinniście pamiętać mojego brata. Miał na imię Alka.

- Czy ty nas przypadkiem nie nabierasz? - zapytała Fay. - Bo jeżeli tak, to lepiej daj sobie spokój.

Uniosłem w górę obie ręce.

- Nie nabieram was, naprawdę. Spotkaliśmy się już, co prawda bardzo krótko, w Chicago, podczas zbiórki pieniędzy na fundusz Partii Republikańskiej. W Kennedy-King College, w zeszłym roku we wrześniu. Pamiętacie?

- Och, byłeś tam? - zapytała Gale z ulgą. - Nic dziwnego, że twoja twarz od razu wydała mi się znajoma.

Pomyślałem sobie, że rzeczywiście, nic w tym nie ma dziwnego. Hunter był na tyle przebiegły, że mógł przemienić mnie w jakiegoś młodego zwolennika republikanów, którego Fay i Gale naprawdę już kiedyś spotkały. Ta myśl zwiększyła moją dezorientację. Kim ja właściwie jestem? Co

tutaj robię?

- Naprawdę, cieszę się, że wasz ojciec ubiega się o nominację - powiedziałem. - Nie mógłbym znieść myśli, że Hunter Peal jest moim prezydentem.

- Tata uważa dokładnie to samo - zauważyła Fay. - Nie chciał w tym roku walczyć o prezydenturę, ale uważa, że walka o ocalenie kraju jest jego obowiązkiem. O ocalenie kraju i partii, tak mówi.

- Czy przez cały wieczór będziemy rozmawiać o polityce? - zapytała Gale. - Jeśli tak, od razu idę do łóżka.

- Gale jest niepolitycznym członkiem rodziny - powiedziała Fay.

- Mając ojca kongresmena i siostrę walczącą o wyzwolenie kobiet, muszę się jakoś zachowywać - odparła Gale.

- Walcząc o wyzwolenie kobiet? - zdziwiłem się. - Mając takiego chłopaka? - skinąłem w kierunku kelnera.

Fay uśmiechnęła się.

- Arnold nie jest takim szowinistą, na jakiego wygląda. W gruncie rzeczy jest łagodny jak baranek, naprawdę.

- Arnold? - zdziwiłem się. Zachichotała.

- Straszne, prawda? Woli, jak ludzie mówią do niego Steve.

Skończywszy obsługiwać ludzi z New Jersey, Arnold powrócił do nas i zostaliśmy sobie przedstawieni. Okazało się, że Fay ma rację. Arnold był dobrze zbudowany, ale mówił bardzo cicho i był nieśmiały. Staralem się, aby dobrze mnie zapamiętał, zdając sobie sprawę, że będzie dla policji wiarygodnym, cennym świadkiem, kiedy bliźniaczkom przydarzy się coś złego. Nawet przed Komitetem Lehmana biedny Arnold Steve potrzasał przecząco głową, kiedy senator Lehman prosił go, żeby mnie zidentyfikował. - Nie, senatorze, to nie jest człowiek, którego spotkałem w restauracji „Ocean” - powtarzał uparcie, mimo że przytaczałem całe długie fragmenty rozmowy, którą wówczas prowadziliśmy we czworo.

Fay i Gale były pełne werwy i dobrego humoru. Były sobie tak bliskie, jak tylko bywają bliźniaczki. Wymieniały tylko sobie znane, sekretne spojrzenia, ale czyniły to w taki sposób, że ani mnie, ani Arnolda to nie raziło. Rozmawialiśmy o muzyce, o medycynie, polityce, filmach, śmialiśmy się wesoło, trochę piliśmy. W momencie, kiedy „Ocean” zamykano, postanowiliśmy, że pojedziemy na przyjęcie do Beverly Hills.

Nie wydawały go żadne znane gwiazdy filmowe, chociaż rozpoznałem aktorów grających pośledniejsze role w Szczęśliwych dniach i Waltonach. Gospodarzem był scenograf, jego dom był więc co najmniej dziwną konstrukcją, z niezliczonymi małymi okienkami i schodami ręcznie rzeźbionymi. W powietrzu unosił się mocny zapach trawy, a głośna muzyka rockowa uniemożliwiała prawie rozmowy. Dziewczyny w koszulkach bez rękawów i faceci w butach do kolan siedzieli więc na schodach i pokrzykiwali do siebie, która wytwórnia, kim jest akurat zainteresowana, kto z kim akurat żyje, kto z kim się rozstał i (na przykład): - Chryste, przez sześć dni powtarzaliśmy tę scenę do znudzenia, a w końcu skreślili ją ze scenariusza.

Przez kilka godzin tańczyłem tylko z Gale i muszę przyznać, że podczas kilku ostatnich tańców czuliśmy się już sobie bardzo bliscy.

- Jesteś dziwnym facetem - powiedziała, kiedy z zadymionej sali przenieśliśmy się na trawnik i kołysaliśmy się w rytmie spokojnej muzyki Carlosa Santany.

- Dziwnym? - powtórzyłem.

- Wydaje mi się, że nigdzie nikogo blisko nie znasz. Jakbyś funkcjonował w próżni.

Popatrzyłem na nią. Miała pociągłą twarz swojego ojca i duże oczy matki. Jej brązowe, kręcone włosy zwisały luźno, sięgając do ramion. Pod obcisłą wełnianą bluzeczką rysowały się małe piersi. Nie nosiła stanika. Pachniała... nie wiem czym, może polnymi kwiatami?

- Masz jakichś przyjaciół w Los Angeles? - zapytała. - Jakichś znajomych?

- Oczywiście. Mój ojciec wykładał w Lorna Linda University, zanim odszedł na emeryturę. Teraz mieszka w Pasadenie.

- Nie wiem... - dotknęła mojego policzka. - Wydajesz mi się dziwny.

Spróbowałem uśmiechnąć się. Przez, chwilę zastanawiałem się, czy moja halucynacyjna maska nie blednie, nie szwankuje. Lecz Gale niespecjalnie zwracała uwagę na mój wygląd, pomyślałem więc, że maska Davida Soula musi być w porządku.

- Chyba wciąż szukam samego siebie - powiedziałem. - Ciągłe nie wiem, jaki naprawdę jestem i jakim chciałbym być.

Pokiwała głową.

- Pozwól więc, żeby uniosły cię prądy czasu. Zabiorą cię tam, gdzie chciałbyś się znaleźć w rzeczywistości.

- Mam jakieś ambicje...

- Ambicje? - powtórzyła. - Ambicje spełniają się po śmierci.

- Nawet ambicje polityczne?

- Te przede wszystkim.

- A więc nie podoba ci się, że twój ojciec chce zostać prezydentem?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Czy wyobrazasz sobie mnie i Fay pozujące na trawniku przed Białym Domem do oficjalnego zdjęcia Pierwszej Rodziny? Myślę, że prędzej pokazałbym tym fotografom goły tyłek, niż dała się ustawiać i pudrować. Kiedy powiedziałam to ojcu, wpadł w furję.

Wyobraziłem sobie tę scenę przed Białym Domem i uśmiechnąłem się.

- Tak - powiedziałem. - To by było zabawne. Gdzieś tak o czwartej nad ranem opuściliśmy przyjęcie i Arnold Steve ruszył swym rozklekotanym fairlanem w kierunku hotelu, w którym mieszkały bliźniaczki. Poranek był znów bardzo ciepły, jechaliśmy więc z otwartym dachem. Tłumik uderzał o powierzchnię drogi przy każdej nierówności, a silnik wył, jakby wiano do niego olejku kokosowego. Jednak rozparty na tylnym siedzeniu obok Gale, przez kilka długich minut czułem się znów nastolatkiem, bez prezydenckiej kampanii na głowie, bez potrzeby rozważania o krzywdzie ludzkiej i śmierci. Fay zaczęła śpiewać, wysokim, czystym tonem, a Arnold Steve akompaniował jej, naśladując dźwięki gitary basowej.

Bliźniaczki nie zamierzały pozwolić nam, abyśmy z nimi spali. Zrozumiałem to dużo wcześniej. W swoim towarzystwie czuły się tak bezpiecznie, że nie zapraszały do łóżka chłopaków tylko dlatego, że czuły się tym chłopakom bliskie. Rozgościliśmy się w salonie, a dziewczyny przygotowały gorącą kawę i wytrzasnęły skądś butelkę whisky. Rozmawialiśmy więc tak długo, aż słońce stanęło wysoko na niebie, a pokojówki zaczęły przeszkadzać, nawołując się i sprzątając na korytarzach. Dochodziła siódma, kiedy wyciągnąłem rękę do Gale i powiedziałem:

- Muszę już iść.

Pochyliła się ku mnie i pocałowała mnie czule, zmysłowo, prosto w usta. Senator Suckerman, podczas moich przesłuchań przed Komitetem Lehmana, nazwał ten pocałunek „współczesną odmianą pocałunku Jezusa z Judaszem”. Mój adwokat zaprotestował i senator Suckerman wycofał tę uwagę.

Zanim wyszedłem, zapytałem Gale, czy mogę skorzystać z ubikacji. Nie miała, oczywiście, nic przeciwko temu. Zabrawszy ze sobą torebkę, z którą nie rozstawałem się przez cały wieczór,

zamknąłem się od wewnątrz, błyskawicznie otworzyłem ją i wyciągnąłem dwie paczuszki, które Hunter wręczył mi w Detroit. Miały regularne kształty prostopadłościanów, każda liczyła jakieś siedem cali wysokości oraz po trzy długości i szerokości i była zdumiewająco ciężka. Hunter owinał je brązowym papierem, okleił taśmą i na każdej napisał coś, czego kompletnie nie rozumiałem. Dopiero później dowiedziałem się, że znaki te mają magiczne znaczenie.

Odkręciwszy wodę w umywalce, aby ukryć wszelkie podejrzanym odgłosy, otworzyłem małą szafkę i wcisnąłem do niej głęboko, aż pod tylną ściankę, oba zawiniątka. Musiałem być pewien, że ani Fay, ani Gale, nie odkryją przypadkowo mojego „prezentu”.

Zamknąłem drzwiczki do szafki i odwróciłem się. Z lustra popatrzył na mnie David Soul. Zrobiłem do niego głupią minę, a on odpowiedział mi tym samym. Moje serce waliło jak oszalałe. W tym momencie czułem się tak wstrętne, jak jeszcze nigdy w życiu.

SENATOR LEHMAN: - Czy w tym momencie nie czuł pan winy albo wstydu?

JACK RUSSO: - Czułem, że robię to, co w tej chwili powinienem robić. I robiłem to w przekonaniu, że ani Fay, ani Gale nic złego się z tego powodu nie stanie. Postępowałem wstrętne, przyznaję, ale na tym polega przecież polityka.

Kiedy wyszedłem, na zewnątrz czekała już na mnie Gale.

- Zobaczymy się jeszcze kiedyś? - zapytała przy drzwiach.

Nie zastanawiałem się nad tym wcześniej.

- Oczywiście. Bardzo mi na tym zależy - odparłem. - Masz czas dzisiaj wieczorem?

- Chciałabym pójść do kina na pewien francuski film.

- Komedia?

- Tak myślę. Częściowo tragedia, a częściowo komedia.

- Takie właśnie filmy lubię najbardziej - powiedziałem.

Uścisnąłem jej dłoń. Zawołałem „do zobaczenia” do Fay i Arnolda Steve’a i wkrótce znalazłem się na Franklin Avenue. Było słonecznie i ciepło, chociaż ciemny smog zdążył już unieść się ponad miasto. Skręciłem w opadającą w dół La Brea Avenue i dotarłem nią aż do Hollywood. Wreszcie gdzieś przystanąłem, zapaliłem papierosa i zacząłem rozmyślać.

Hunter nakazał mi umieścić paczuszki we właściwym miejscu i pierwszym samolotem powrócić do Detroit. Ktoś inny zajmie się już poinformowaniem policji o narkotykach w apartamencie hotelowym panien Oliver. Moje zadanie polegało teraz na błyskawicznym zniknięciu z Los Angeles i jak najszybszym pojawieniu się znów u boku Huntera; nikt nie powinien zorientować się, że choć na moment go opuściłem. Mimo że moje przebranie było doskonałe, Hunter wolał dmuchać na zimne i nawet w najmniejszym stopniu nie ryzykować, że ktoś może dojść prawdy. Ciągle pamiętał o tym, co przydarzyło się Richardowi Nixonowi.

A jednak z powodów, których nie jestem w stanie do końca wyjaśnić, postanowiłem pozostać w Los Angeles jeszcze przez jeden dzień. Przeszedłem jeszcze kilkaset jardów, aż wreszcie złapałem taksówkę, która zawiozła mnie do „Sunset Marquis”. Znalazłszy się w hotelowym pokoju, pijąc piwo i zagryzając je serem, zatelefonowałem do Huntera, do „Detroit Plaza”.

Słuchawkę podniosła Micky. Głos miała taki, jakbym wyrwał ją z głębokiego snu.

- To ja, Jack Russo - przedstawiłem się.

- Tak, Jack, co chcesz?

- Jest tam Hunter?

- Nie, biega gdzieś pod miastem. Ale za kilkanaście minut powinien być z powrotem. Czy ma oddzwonić do ciebie?

- Nie, nie potrzeba. Powiedz mu tylko, że zadanie wykonałem i że skontaktuję się z nim później.

- To wszystko? „Zadanie wykonałem i skontaktuję się później?”

- Dokładnie tak. I... Micky...

- Słucham cię?

- Czy u ciebie wszystko w porządku? Czy Hunter nie zrobił ci krzywdy?

W słuchawce zapadła długa cisza. Po chwili Micky odezwała się zrezygnowanym głosem:

- Nie, Jack. Nic złego mi nie zrobił. Przekażę mu twoja wiadomość.

Czekałem w milczeniu, aż Micky powie coś jeszcze, ale nic takiego nie nastąpiło. Odłożyłem więc słuchawkę i zapadłem się w głęboki fotel. Żując ser i pijąc piwo, wpadłem w nastrój takiej niepewności, że nie przypominam sobie, żeby coś podobnego przydarzyło mi się kiedykolwiek indziej. Rudie Selzer był bardzo zagubionym człowiekiem.

SENATOR LEHMAN: - Czy mógłby pan powiedzieć Komitetowi, co skłoniło pana do pozostania w Los Angeles, wbrew poleceniu senatora Peala, aby powrócił pan do Detroit tak szybko, jak to tylko możliwe?

JACK RUSSO: - Poczucie winy, jak sądzę. Kilka różnych odmian poczucia winy.

ROZDZIAŁ VIII

Tiara Street w Van Nuys nie jest miejscem, z którego posyła się wakacyjną pocztówką do przyjaciół. Biegnie od Coldwater Canyon Avenue aż do Los Angeles Valley Junior College i jest po prostu rzędem podmiejskich domków z pięcioletnimi chevroletami parkującymi przed nimi przy chodnikach. W domach nudzą się dwudziestodwuletnie gospodynie domowe, marzące, że któregoś dnia w szybę kuchennego okna zastuka Paul Newman i poprosi o szklanekę domowej lemoniady. Mógłby to być nawet Alan Alda. Albo zresztą ktokolwiek.

Taksówka zawiozła mnie na koniec tej ulicy. Zapłaciłem szoferowi i poleciłem mu, aby powrócił w to samo miejsce za dziesięć minut. O tej porze dnia było tu tak gorąco, że zdawało mi się, iż nawet krzyk dzieci bawiących się na podwórkach, połykany jest przez upał. Okazało się, że jestem jedyną ludzką istotą na całej ulicy. Wyciągnąłem z kieszeni chusteczkę i otarłem przepocone, obce mi czoło Davida Soula.

Dotarłem do domu numer 183 i zatrzymałem się. Był to parterowy budynek o dachu pokrytym gontami i zielonych ścianach. Drzwi od garażu były otwarte i ujrzałem w nim beżowego cutlassa z wybitym reflektorem z lewej strony. Z oddali dobiegał do mnie dźwięk radia grającego country and western, jedną z tych głupiotkich piosenek, jak na przykład Tears In My Ears. Annette zawsze uwielbiała country and western.

Właściwie nie do końca wiedziałem, co zamierzam zrobić. Czekałem przez chwilę, pocąc się niemiłosiernie, nikt jednak nie pojawił się w zasięgu mojego wzroku. Ruszyłem wolnym krokiem w kierunku domu i w tej samej chwili usłyszałem głos małej dziewczynki:

- Nie rób tego. Moja mama ci nie pozwoli. Nie rób tego.

Podszedłem jeszcze kilka kroków. Przez ogrodzenie przy garażu ujrzałem małą, ciemnowłosą dziewczynkę, ubraną w jasnozieloną sukienkę. We włosach miała dwie ładne kokardy. Wyglądało, że bawi się lalką.

- Nie rób tego - powiedziała znów. - Nie rób. Zatrzymałem się. Stałem bez ruchu przez pięć minut, albo dłużej, przyglądając się dziecku. Nie widziała mnie, a nawet, gdyby mnie zobaczyła, nie dowiedziałyby się, kim jestem. W gruncie rzeczy wątpiłem, czy rozpoznałyby mnie, gdybym przybył tu w skórze jej ojca, bez tego koszmarnego przebrania Davida Soula. Zbyt wiele czasu minęło, zbyt wiele ran zdążyło się zablźnić. Dziwnie się to wszystko odbyło. Zawsze wierzyłem, że nic nie powstrzyma mnie od miłości do mojej córki. Ani sądy, ani Annette, ani tysiące mil odległości między nami. A jednak. I czas... czas też zrobił swoje.

Lucy wyglądała bardzo ładnie, a uroku dodawała jej ta jasnozielona sukienka; Annette zawsze lubiła ten kolor. W tej chwili jednak nie była dla mnie nikim więcej niż jakiegokolwiek inne pięcioletnie dziecko w Van Nuys.

Otworzyły się frontowe drzwi i ukazała się w nich kobieta. Była niska i gruba, na głowie miała lokówki, ubrana była w niezwykle pstrokatą sukienkę. Gdy przystanęła, z rękami złożonymi na piersiach, miałem trudności, żeby ją rozpoznać. Jednak kiedy się odezwała, nie miałem już wątpliwości, kim jest.

- Hej, człowieku, czego chcesz? - zapytała z akcentem spotykanym tylko wśród ludzi, którzy wiele lat spędzili w Montanie.

- Annette? - zapytałem odruchowo.

Kobieta popatrzyła na mnie uważnie.

- Skąd zna pan moje imię? Kim pan jest? Co pan robi przed moim domem?

„Moim domem?” Zamyśliłem się. Och, Boże, kobieto, zasypiałem w twoich ramionach, myłem ci kiedyś plecy w wannie, tańczyliśmy razem, piliśmy razem i razem kochaliśmy się. Prawiłem ci

komplementy, mówiłem o twoich ślicznych oczach, teraz ukrytych w fałdach tłustej skóry na twarzy niczym guziki wszyte w materiał starego fotela. Całowałem twoją szyję. I te usta, wówczas pokryte szkarłatną szminką, kiedy swoim językiem szukałem twojego języka.

A ty teraz pytasz mnie, co robię przed „twoim domem”?

- Ja, eee... naprawiam urządzenia elektryczne - powiedziałem niezgrabnie.

Annette jeszcze przez chwilę przypatrywała mi się badawczo, po czym rzuciła szybkie spojrzenie na Lucy.

- Lucy! - zawołała. - Czy wszystko w porządku?

- Oczywiście, mamusiu - odskrzyknęła Lucy, nawet nie odwracając się i nie przerywając zabawy.

- Niech pan stąd idzie - powiedziała Annette do mnie.

- Nie robię nic złego - zaprotestowałem. - Przyszedłem tutaj jedynie po to, żeby zapytać, czy nie ma pani żadnego urządzenia elektrycznego do naprawy.

- Zawołam policję, jeżeli pan stąd natychmiast nie pójdzie.

- No dobrze, już idę - powiedziałem. - Kątem oka zauważyłem, że moja taksówka właśnie nadjechała. - Nie chciałem pani urazić.

Zrobiła kilka kroków i pochyliła się, gruba i niezgrabna, aby podnieść z trawnika ręcznik, który zsunął się ze sznurka do suszenia prania.

W tym momencie odezwałem się:

- Czy pamiętasz ten dzień w Elk Park? Ten dzień, kiedy zgubiłaś majteczki w krzakach? Czerwone majteczki...

Zachwiała się, jakbym co najmniej uderzył ją pięścią. Po chwili wyprostowała się i popatrzyła na mnie zimnym spojrzeniem. Czoło miała spocone. Szybko przetarła je wierzchem dłoni.

- Kto panu o tym opowiedział? - wyszeptwała.

- Kto co mi powiedział, proszę pani?

- Kto opowiedział panu o Elk Park? Skąd pan o tym wie?

Potrząsnąłem głową.

- Elk Park? Nie mówiłem nic o Elk Park. Gdzie jest Elk Park?

- Elk Park znajduje się niedaleko Butte, w stanie Montana - powiedziała. Przyłożyła dłonie do skroni, jak kobieta, która znajduje się w głębokim szoku. - Elk Park jest niedaleko Butte, w Montanie - powtórzyła.

Uśmiechnąłem się do niej pobłaźliwie i wzruszyłem ramionami.

- Dziękuję pani za informację. Następnym razem, kiedy będę w Butte, w Montanie, co pewnie prędko nie nastąpi, obejrzę sobie Elk Park.

Taksówkarz powoli ruszył w kierunku domu i nadusił klakson. Gestem wskazał na zegarek, informując, że moje dziesięć minut dobiega końca.

- Cóż, proszę pani - powiedziałem. - Muszę już iść.

Annette zdumiona spoglądała na mnie, jak przecinam chodnik i powoli wsiadam do taksówki. Zatrzasnąłem drzwi, pomachałem jeszcze Annette ręką i powiedziałem taksówkarzowi, żeby zawiózł mnie do „Sunset Marquis”. Kiedy wóz ruszył, nie potrafiłem odmówić sobie przyjemności spojrzenia za siebie. Annette ciągle tam stała, gruba, przeciętna kobieta z Van Nuys, teraz wstrząśnięta absolutnie niewytłumaczalną zagadką. Do śmierci nie dowie się, kto zjawił się przed jej domem tego popołudnia i dlaczego lakoniczny blondyn, zupełnie jej obcy, wiedział coś, o czym mogła wiedzieć tylko ona i jej były mąż.

Mam nadzieję, że po tym, co nastąpiło dzisiaj, wiele nocy spędzisz bezsenne, powiedziałem

sobie. Mam nadzieję, że przez długie godziny będziesz leżeć beczynn timer, gapiąc się w sufit i do szaleństwa doprowadzając się rozważaniem, kim był blondyn, który cię dzisiaj odwiedził.

Wiedziałem, że nawet tysiąc jej bezsennych nocy nie utuli mojego żalu za córeczką, którą utraciłem.

ROZDZIAŁ IX

To, co stało się z Fay i Gale Oliver, było tak gwałtowne i przerażające, że wciąż wierzę, iż jakieś niejasne przeczucia tego, co się miało wydarzyć, kazały mi w tym dniu pozostać w Los Angeles.

Jestem urodzonym sceptykiem i zawsze twardo chodziłem po ziemi. Celowo szedłem drogą tam, gdzie przed chwilą przebiegł czarny kot, celowo, jakby wyzywając los, przechodziłem pod drabiną, ale tego dnia wisiało coś w powietrzu i ja to czułem. Było bardzo gorąco, a w tej gorączce czaiło się zło. Czekałem na nie, niczym podróżny oczekujący na opóźniony pociąg w mroku samotnej stacji.

Zbliżało się coś groźnego i potężnego. Coś potężniejszego, niż byłem w stanie sobie wyobrazić. A gdy słońce ukryło się w purpurze wieczornego smogu, atmosfera jeszcze bardziej zgęstniała, zamiast się rozrzedzić. Stałem na balkonie w "Sunset Marquis", paliłem chyba już piętnastego papierosa tego wieczoru i zastanawiałem się, co, do diabła, robić.

Za mną, w hotelowym pokoju, telewizor rozbrzmiewał tonami The Gong Show, a od czasu do czasu w studio telewizyjnym rozlegały się brawa i śmiech.

Powinienem był zatelefonować do Detroit już przed wieloma godzinami. Wiedziałem, że Jim Anderson z działu promocji jest w stanie zająć się prasą podczas mojej nieobecności, ale przecież w poniedziałek zaczynała się konwencja i trzeba było udzielać mnóstwo wypowiedzi, aranżować wywiady, układać wystąpienia Huntera.

A jednak nie chciałem telefonować do Detroit. Gdybym zatelefonował, Hunter nakazałby mi natychmiast wracać. Wróciłbym i nigdy już nie miałbym szansy dowiedzieć się, w jakim naprawdę celu zostałem tutaj wysłany.

Hunter był bardzo pewny siebie w tej sprawie. Nie miał wątpliwości, że numer z podrzuceniem bliźniaczkom narkotyków spełni swoje zadanie. Mnie natomiast wydawało się to szyte tak grubymi nićmi, że przypuszczałem, iż może nas tylko ośmieszyć.

Hunter był doświadczonym i sprytnym politykiem, niezależnie od tego, jak ekstremalne były jego poglądy. Rzadko pozostawiał coś przypadkowi i niezależnie od tego, co akurat kombinował, zawsze uzyskiwał rezultaty, które przewidział. Uważał, że polityka jest trochę trudniejszą grą w szachy - jest kompilacją możliwości, prawdopodobieństw i pewników - i nigdy prawie nie wykonywał ruchów, nie mając stuprocentowej pewności ich efektów.

Dlaczego więc był taki pewien, że taki prosty, głupi numer jak podrzucenie narkotyków dwóm córkom największego przeciwnika, wyrzuci tegoż przeciwnika za burtę gry? Zgasilem kolejny niedopałek i sięgnąłem po kolejną puszkę z piwem. Z The Gong Show rozległ się wesoły śmiech.

Na dworze było już ciemno, dochodziło pół do dziesiątej. Od kilku godzin oglądałem wszystkie wiadomości lokalne, oczekując na wzmiankę o Fay i Gale, ale najwyraźniej drugi człowiek Huntera, który miał uruchomić policję, jeszcze nie zadziałał. Być może nie chciał telefonować do glin, zanim nie upewni się, że opuściłem miasto, ale wątpiłem w to. Do konwencji pozostały zaledwie dwa dni, a Hunter musiał zasiać wątpliwości w mózgach delegatów przynajmniej na kilkanaście godzin przed tym, zanim wypełnią salę. Jeżeli spóźniłby się, gorączka głosowań odrzuciłaby w kącie wiadomości o fatalnym prowadzeniu się córek Leonarda Olivera.

Wciąż piłem piwo, gdy obraz na telewizyjnym ekranie zaczął się trząść i migotać. Popatrzyłem uważnie i odstawiłem piwo. Na ekranie pojawiły się już tylko pasy, rozchodzące się od punktu w centrum, a głos zamilkł zupełnie. Podeszedłem do telewizora i zacząłem zmieniać kanały, jednak na ekranie było wciąż to samo. Cholera jasna. Teraz nawet nie obejrzę wiadomości.

Kiedy odwróciłem się, aby sięgnąć po piwo, ekran niespodziewanie zaczął jaśnieć. Odwróciłem się i to, co na nim zobaczyłem, sprawiło, że zamarłem. Stałem jak skamieniały. Ekran

stawał, się coraz bielszy, wkrótce zaczął mnie oślepiać. Po chwili nie widziałem już prawie nic, oprócz jednej potężnej bieli. A jednak byłem pewien, że przez chwilę na ekranie rysował się kształt głowy z rogami, taki, jaki widziałem w telewizorze w Hartford. Głowa emanowała złem i nienawiścią.

Z telewizora dobiegł jakiś trzask i przedstawienie było skończone. On tu był, w Los Angeles. Jego przerażający wpływ ogarnął w ciągu dnia całe miasto, a teraz przybył tu osobiście, przebrnąwszy przez smrodliwe powietrze nad miastem niczym ciemna fala przez ocean. Był tutaj i zaczynałem rozumieć, dlaczego.

Wybiegłem z pokoju, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Nacisnąłem na guzik, przywołując windę i aż drżałem z niecierpliwości, gdy kabina powoli sunęła, aby zabrać mnie na dół. Przypomniały mi się słowa Jennifer: „Założyłam je nad ranem, a przed chwilą zauważyłam, że ich nie ma. Może się zerwały? Założyłam je nad ranem, a przed chwilą zauważyłam, że ich nie ma...”

Jak oszalały wybiegłem z windy. Przeciąłem hotelowy hol i bez tchu wybiegłem na ulicę. Popatrzyłem w kierunku Sunset w poszukiwaniu taksówki. Nic z tego. Spojrzałem w kierunku Holloway Drive. Znowu nic. Żadnej cholernej dryndy w promieniu kilkuset jardów. Tylko jakiś chłopak ze znudzoną miną opierający się o pomarańczowego volkswagena, palący papierosy i bębniący palcami o karoserię w rytm muzyki Nilsa Lofgrena, dobiegającej z samochodowych głośników. Podbiegłem do niego i wykrztusiłem:

- Dam ci dziesięć dolców, człowieku, jeżeli zawiesz mnie na Franklin Avenue.

Popatrzył na mnie.

- Dziesięć dolców? Masz mnie za frajera?

- Moja dziewczyna właśnie rodzi - skłamałem. - Muszę się tam dostać.

Wyciągnąłem dwa banknoty pięciodolarowe i wsunąłem mu je do kieszeni dzinsów. Popatrzył na ich końce wystające na zewnątrz, ale nie uczynił żadnego wysiłku, aby je wyciągnąć i obejrzeć.

- No, człowieku? - powiedziałem. - Pojedziemy?

- Prawdę mówiąc, to na kogoś czekam.

- To ci nie zabierze więcej niż dziesięć minut. Proszę. Po długiej chwili zastanowienia młodzian pokiwał głową i pociągnął za klamkę drzwiczek samochodu. Otworzyły się z głośnym zgrzytem.

Facet nie był najlepszym kierowcą, a i jego samochód nie był najlepszą limuzyną pod słońcem. Potoczyliśmy się jednak całkiem żwawo do przodu. Samochód warczał niemiłosiernie, a z rury wydechowej wydobywały się kłęby dymu.

- Wcale nie miałem zamiaru wychodzić z domu dziś wieczorem - odezwał się mój kierowca.

- Naprawdę?

- W żadnym wypadku - potwierdził i dla wzmocnienia wagi swych słów pokiwał stanowczo głową.

Po chwili milczenia ciągnął dalej.

- Wyjechałem tylko dlatego, bo musiałem. Obiecałem kumplowi, że pomogę mu w przeprowadzce. A kiedy człowiek coś obieca, nie może potem odwrócić się tyłem i powiedzieć „przepraszam”, prawda?

- Myślę, że masz rację.

Westchnął i głośno odchrząknął. Zachowania charakterystyczne dla człowieka, który funkcjonuje w nieustannym smogu.

- Moja przyjaciółka wierzy w rzeczy nadprzyrodzone, uwierzyłbyś - ciągnął. - Poza tym jest medium. Odbiera jakieś fale z księżyca i z gwiazd, i tego typu rzeczy, a potem przepowiada różne sprawy. I zwykle ma rację. Pewnego dnia przepowiedziała mi: „Nie wychodź z domu” i wiesz, co

się wydarzyło? Ktoś walnął w mój samochód na parkingu, i to solidnie.

Popatrzyłem na niego. Nie żartował.

- A dlaczego nie powinieneś dzisiaj wychodzić z domu? - zapytałem cicho.

Musiał zwolnić i niechętnie zredukował bieg.

- Pierdolona ręczna skrzynia. Dlaczego ja muszę przekładać biegi? Czy wiesz, ile się na to traci energii? Ile energii tracą ci Europejczycy, zmieniając biegi w swych samochodach... A potem dziwią się, że ich gospodarka wciąż upada.

Urwał i znów westchnął.

- Twoja dziewczyna powiedziała, że nie powinieneś dzisiaj wychodzić z domu. Dlaczego? - powtórzyłem moje pytanie.

Nerwowo zabębnił palcami po kierownicy.

- Och, nie wiem.

- Nie powiedziała ci?

- Mówiła coś o przerażających falach. Jakby diabeł pojawił się w powietrzu. Ona ma te dzwonki, wiesz? Całą furę dzwonek, zawieszonych na czymś, co wygląda jak drzewo. Dostała je w Japonii trzy lata temu. To takie same dzwonki, jakie kapłani wieszają przed świątyniami. Kiedy ktoś umrze, duch umarłego kołysze dzwonekami, znacząc swoją drogę do światła zmarłych, informując o swoim przejściu w inny byt.

- No i? - zapytałem.

- No i nic. Tylko, że te dzwonki, które ma moja dziewczyna, nigdy jeszcze nie dzwoniły, aż do teraz.

Dzisiaj rano zaczęły dzwonić i nic nie jest w stanie ich powstrzymać. Dzwonią tak cichutko i równomiernie: dzyń - dzyń - dzyń - dzyń... Nie uwierzyłbym, ale słyszałem je na własne uszy.

- Może to z powodu jakichś drgań ziemi?

- Akurat. Te dzwonki nie mają tego, jak im tam... serc.

Trzeba je dotykać, żeby dzwoniły.

- Co o tym sądzi twoja dziewczyna? Popatrzył na mnie i znów głęboko westchnął.

- Według niej złe fale pojawiły się w powietrzu. Coś tak złego, że aż dzwonki zaczęły dzwonić. Jakby w Los Angeles pojawiły się całe zastępy złych duchów. Albo jakby groziła nam wielka, przerażająca katastrofa.

Popatrzyłem przez szybę na światła Hollywood Boulevard. W tym momencie byłem chyba bardziej przerażony niż kiedykolwiek przedtem w życiu. Mój Boże, pomyślałem. To chodzi o Fay i Gale. Że też, cholera, nie wpadłem na to wcześniej.

- Daj mi swój numer telefonu - powiedziałem do kierowcy.

- Mój numer telefonu?

- Może ci się to wydać dziwaczne, ale interesują mnie te dzwonki. Może mógłbym je kupić albo pożyczyć?

Popatrzył na mnie i zmarszczył czoło.

- Myślałem, że twoja dziewczyna spodziewa się dziecka.

- No... tak. Oczywiście, że się spodziewa.

- A ty masz w takiej chwili w głowie jakieś dzwonki?

- To nie jest jej pierwsze dziecko - odparłem. Jeszcze raz spojrział na mnie dziwnym wzrokiem. Nie zadawał już więcej pytań. Tymczasem volkswagen wspinał się w górę Franklin Avenue. Nakazałem kierowcy zatrzymać się przed „Franklin Plaza” i uczynił to bez słowa. Nie wyłączył silnika, zapisując dla mnie swój telefon na odwrocie rachunku z supermarketu. Powiedziałem

„dziękuję” i szybko ruszyłem w kierunku wejścia do hotelu.

Kiedy otwierałem drzwi, zawołał jeszcze za mną:

- Życzę ci szczęścia! Mam nadzieję, że to będzie chłopak.

Uśmiechnąłem się do niego i pomachałem mu ręką.

W holu za ladą siedział młody recepcjonista i czytał „PenthouseV. Ujrzawszy mnie, podniósł wzrok znad magazynu i powiedział:

- Cześć.

- Czy siostry Oliver są w pokoju? - zapytałem go.

- Wygląda na to, że są. Chyba, że wzięły ze sobą klucz do miasta.

- Mogę do nich pójść?

- A idź, człowieku.

Podszedłem do drzwi windy. Natychmiast przyjechała i wcisnąłem guzik drugiego piętra. W kabinie nerwowo drapałem się po policzku i głośno mówiłem do siebie, że powinienem zachować spokój. Krótka jazda do góry zdawała się trwać całą wieczność.

Spojrzałem na swoje odbicie w lustrze. Wciąż byłem Davidem Soulem, ale pewne szczegóły mojej twarzy zaczynały również przypominać Jacka Russo. Byłem jak dwie fotografie, nałożone jedna na drugą. Sięgnąłem do kieszeni po papierosa, w paczce był jednak tylko ostatni, dałem więc sobie spokój.

Drzwi windy otworzyły się i niczym sprinter popędziłem hotelowym korytarzem. Apartament bliźniaczek znajdował się na samym końcu, na wprost mnie, i już w połowie drogi zdałem sobie sprawę, że drzwi są lekko uchylone. Stopniowo zwalniałem bieg, przeszedłem do szybkiego marszu, a gdy znalazłem się przy drzwiach poruszałem się już naprawdę bardzo powoli i ostrożnie.

Od razu wyczułem coś złego. Fay i Gale przenigdy nie zostawiłyby drzwi otwartych w ten sposób. Zatrzymałem się przed nimi i zacząłem nasłuchiwać. Dochodził mnie jednak tylko odgłos pralki automatycznej dla gości, uruchamianej przez wrzucenie monety. Pracowała gdzieś w głębi korytarza.

- Fay! - zawołałem. - Gale!

Odpowiedziała mi tylko cisza. Zapukałem głośno w drzwi i zawołałem jeszcze raz: - Fay! Gale! Jesteście tam?

Przez chwilę czekałem. Może gdzieś wyszły i niedokładnie zamknęły drzwi? Nie będzie to wyglądało najlepiej, jeżeli w takiej sytuacji zostanę przyłapany jak plądruję ich apartament. Z drugiej strony, jeżeli sylwetka w telewizorze i dzwoniące japońskie dzwonki były ostrzeżeniami grożącego niebezpieczeństwa?

Jeżeli ciemna i potężna fala strachu, która przetoczyła się przez Los Angeles, zmierzała właśnie tutaj?

Pchnąłem drzwi. Salon pogrążony był w ciemności, jednak światło z korytarza wystarczyło mi, aby dojrzeć, że krzesła są przewracane, a wielka stojąca lampa jest kompletnie zniszczona. Głęboko odetchnąłem i wszedłem do środka. Nie muszę chyba nikomu mówić, że byłem śmiertelnie przerażony.

Spróbowałem zapalić światło. Nic z tego, daremnie dusiłem na kontakt. Do drzwi sypialni miałem siedem kroków i jeżeli chciałem tam pójść, musiałem to uczynić w zupełnej ciemności.

Jeszcze raz nabrałem sporo powietrza w płuca, aby dodać sobie odwagi, i w tym momencie zrozumiałem wszystko. W powietrzu unosił się ohydny, przerażająco znany mi odór starego kadzidła. Zapach bestii. Poczuję się, jakby ktoś nagle wysypał całą szufłę popiołu na mój język.

Drzwi do sypialni też były otwarte. W pierwszej chwili odniosłem wrażenie, że w środku jest

zupełnie ciemno. Ale zaraz dotarło do mojej świadomości, że pokój promieniuje błękitną poświatą, pulsującą, przez cały czas zmieniającą natężenie. I coś usłyszałem. Szelest pościeli i czyjeś jęki.

O, Chryste, pomyślałem. Po co tu przyjechałem? W tym momencie pragnąłem być gdziekolwiek, byle nie w tym pokoju.

Zrobiłem jeszcze dwa albo trzy kroki, po grubym dywanie i nasłuchiwałem. Jęki i szelest pościeli nie ustawały. Usłyszałem skowyt, jakby kogoś znajdującego się w głębokim śnie. Potem rozległ się chrapliwy śmiech.

Powoli, ostrożnie, zbliżałem się do sypialni. Wyciągnąłem prawą rękę i dotknąwszy ściany, posuwałem się wzdłuż niej. Usłyszałem kobiecy głos:

- Och, jesteś piękny. Och, Boże, jaki jesteś piękny.

Przymknąłem oczy. To była Gale. Było dla mnie jasne jak słońce, że to Gale.

Zajrzałem do sypialni przez niedomknięte drzwi. Błękitne światło było coraz jaśniejsze; wystarczyło, abym mógł ujrzeć przerażające szczegóły tego, co się działo.

Na jednym z łóżek leżało ciało Fay Oliver, całe we krwi. Była naga, a jej szyja i piersi poszarpane były pazurami bestii. Głowę miała odrzuconą do tyłu, a pomiędzy jej udami widniały dwie głębokie, krwawe dziury, dowód na to, że ktoś lub coś dwukrotnie strasznie ją zgwałciło.

Sztywny ze strachu, przerażony tek, jak tylko może być przerażony ktoś po nocnym koszmarze, skierowałem wzrok na drugie łóżko. Tam zobaczyłem bestię. Ujrzałem ją gwałcąca Gale, górującą nad jej rozłożonym bladym ciałem. Owłosiona bestia wygięta była w łuk, pośladki miała zaciśnięte, poruszała rytmicznie biodrami. Nagle odwróciła ku mnie głowę, dziko i nienaturalnie, o sto osiemdziesiąt stopni i ujrzałem w niej oblicze Huntera Peala.

Odebrało mi mowę. Nie byłem nawet pewien, czy długo będę w stanie utrzymać się w pozycji pionowej, i nie paść bez czucia na dywan. Bo bestia była prawdziwa, była w tym samym pokoju co ja, zaledwie sześć stóp ode mnie. To jej oczy promieniowały tym dziwnym, hipnotyzującym niebieskim światłem. Mokrym językiem oblizywała swe ciemnobrązowe wargi. Wpatrywała się we mnie i nie miałem wątpliwości, że to spojrzenie jest w stanie zatrzymać rytm mojego serca.

- Hunter - wyszeptalem.

Bestia patrzyła na mnie jeszcze przez chwilę, a potem odwróciła głowę. Bezlitośnie, jakby wiedziała, że nie potrafię ani stąd uciec, ani jej przeszkodzić, kontynuowała swój gwałt na Gale.

Podszedłem krok bliżej. Musiałem być szalony. Byłem szalony. Ale poziom adrenaliny podniósł mi się tak wysoko, że musiałem zrobić coś, aby przerwać ten koszmar. Nawet, jeżeli miałoby mnie to kosztować życie.

Gale rzucała się na łóżku, jęczała i wyła z rozkoszy. Oczy miała zamknięte, a z kącika jej ust płynęła krew.

- Jesteś piękny - skowyczała. - Jesteś taki piękny... Bestia wepchnęła się w nią kilkakrotnie, tak dzikimi i gwałtownymi ruchami, że zadrzałem na całym ciele. Zrobiłem jeszcze krok i powiedziałem ochrypłym głosem:

- Hunter. Kimkolwiek jesteś, zjedź z niej.

Bestia znów odwróciła głowę w moim kierunku. Jej oczy były przerażające. Wpatrywały się we mnie przez kilka minut, nawet nie drgnąwszy, a potem powoli bestia zaczęła się podnosić, oswobodzając Gale.

Nie byłem w stanie oderwać oczu od tego stwora. Byłem tak przerażony, że w każdej chwili mogłem zemdleć, ale nie byłem w stanie oderwać od niego wzroku.

Z pochwy Gale wysunął się długi, twardy penis, dłuższy od jakiegokolwiek penisa ludzkiego. Sunęło po nim różowe przekrwione mięso Gale, jakby nie chciało go z siebie wypuścić. Gdy bestia

unosła się odrobinę wyżej, ujrzałem drugiego penisa, równie grubego, wysuwającego się z odbytu dziewczyny.

Z otworów dziewczyny trysnęła krew i zalała pościel.

- Wynoś się stąd - powiedziałem drżącym głosem. - Wynoś się i zostaw te dziewczyny w spokoju.

Bestia stanęła na swych tylnych nogach. Miała kosmaty brzuch, a na nim kilka par piersi. Dwa penisy sterczały sztywno pomiędzy jej udami. Rogatą głowę trzymała wysoko, a jej niebieskie oczy błyszczały przerażająco złośliwie.

- Czyżbyś nie wiedział, kim jestem? - zagrzmiała bestia.

- Powiedziałem, wynoś się stąd.

- Nie rozpoznajesz mnie, nie pamiętasz mnie ze swoich nocnych koszmarów? - padło kolejne pytanie.

- Zabiłeś Fay Oliver, tyle o tobie wiem!

- Jestem twoim panem i władcą - powiedziała bestia. - Powinieneś kłaniać się przede mną i całować moje członki!

- Wynoś się stąd!

Bestia zdawała się rosnąć, z każdą chwilą wyżej, aż wreszcie była ode mnie kilkakrotnie większa, a rogami niemal dotykała sufitu. Odór seksu, krwi i kadzidła stał się niemal nie do zniesienia; czułem, jak moje gardło wypełnia się żółcią.

- Czy wiesz, dlaczego cię oszczędzę? - wycharczała bestia. - Czy wiesz, dlaczego cię oszczędzę?

Nagle usłyszałem odgłos, przypominający hałas, jaki wydaje pociąg kolejki podziemnej znikający w tunelu, i pokój zalała ciemność. Rzuciłem się przed siebie, próbując pochwycić bestię, ale złapałem tylko powietrze i uderzyłem się boleśnie, wpadłszy na nocny stolik. Usłyszałem, jak pęka lustro i pomyślałem: siedem lat nieszczęścia.

Potem była już tylko cisza. Podniosłem się z dywanu. Gale łkała żałośnie. Po omacku dotarłem do kontaktu i zapaliłem światło. Bestia zniknęła; jakby jej tu nigdy nie było. Ale nie bestia, lecz Gale była teraz moim zmartwieniem. Leżała na plecach w zakrwawionej pościeli, a oczy miała szeroko otwarte w krańcowym przerażeniu. Szkarłatna plama pomiędzy jej udami gwałtownie powiększała się.

Trząsałem się na całym ciele. Podniosłem słuchawkę telefonu i wystukałem numer centrali hotelowej. Dopiero po sześciu lub siedmiu sygnałach recepcjonista odłożył swojego „Penthouse’a” i odezwał się do mnie.

- Tu numer dwieście dwanaście - powiedziałem roztrzęsionym głosem. - Potrzebny jest ambulans, i to szybko.

- O. K. - odparł recepcjonista po chwili ciszy i odłożył słuchawkę.

Powróciłem do Gale. Położyłem dłonie na jej czole. Było zimne i wilgotne. Nie patrzyła na mnie.

- Gale - powiedziałem. - To ja, Rudie Selzer.

- Kto? - zapytała zdławionym głosem.

- Rudie Selzer. Poznaliśmy się poprzedniego wieczoru.

Nastąpiła długa cisza. Wreszcie, po oczekiwaniu, które zdawało się trwać całą wieczność, usłyszałem jej lekkie westchnienie:

- Och, to ty. Brat Alka.

Wzięłem jej dłoń i przytrzymałam w moich.

- Gale - szepnąłem. - Wyzdrowiejesz. Pomoc już jest w drodze. Leż tu tylko spokojnie, nie ruszaj się.

- Co z Fay? - zapytała.

- Z nią wszystko w porządku. Na razie śpi. Gale pokiwała głową, a potem powiedziała:

- Ja jedynie otworzyłam drzwi do łazienki. To wszystko. Otworzyłam te drzwi i on ruszył na mnie. Tutaj chciałam się schować.

Opuściłem wzrok.

- Tak - powiedziałem cicho.

Kłęczałem jeszcze przy łóżku przez trzy albo cztery minuty. Po tych trzech lub czterech minutach Gale umarła. Z powodu straszliwych ran wewnętrznych, jak później stwierdził coroner, w tym dziury w odbytnicy. Wstałem, trzęsąc się jak dziecko, i pochylilem się jeszcze nad Gale, aby upewnić się, że nie żyje. Oczy miała szeroko otwarte, jakby wciąż wpatrywała się w sufit, a jej usta ułożyły się w takiej pozycji, jakby za chwilę miała jeszcze coś powiedzieć.

Nie wiem, jak długo jeszcze przy niej stałem, ale ocknąłem się, kiedy usłyszałem syrenę ambulansu i czyjeś okrzyki na zewnątrz. Wyszedłem z sypialni, przebrnąłem przez salon i odruchowo przepchnąłem się przez tłumek dziesięciu czy jedenastu ludzi zgromadzonych przy drzwiach do apartamentu. Ktoś z ciekawskich rzucił pytanie:

- Co się tu dzieje? Czy widział pan?

Ja jednak potrząsnąłem tylko głową i ruszyłem w kierunku windy. Byłem już na ulicy i zmierzałem w kierunku wschodnim, zanim ktokolwiek zorientował się, co się wydarzyło w apartamencie bliźniaczek i kim mogłem być.

Tym razem noc była chłodniejsza. Napięcie panujące w mieście po południu i wczesnym wieczorem jakby rozplynęło się. Maszerowałem Alta Lorna Road, a potem Sunset Boulevard, a światła Los Angeles błyszcząły w ciemności poniżej niczym gwiazdy z opadłej konstelacji. Było mi zimno, chociaż temperatura z pewnością nie była niższa niż dwadzieścia pięć stopni Celsjusza. Gdyby podczas tego spaceru ktokolwiek zatrzymał mnie i o coś zapytał, wątpię, czy byłbym w stanie udzielić jakiegokolwiek sensownej odpowiedzi.

Dotarłem do „Sunset Marquis” i po schodach dowlókłem się do swojego pokoju. Starannie zamknąłem za sobą drzwi, założyłem nawet łańcuch, chociaż niewiele zdałby się wobec niebezpieczeństwa, które mi groziło. Piwo się skończyło, przygotowałem więc ekspres, aby wypić czarną kawę. Zacząłem krążyć po pokoju w tę i z powrotem, próbując zebrać myśli.

W końcu uspokoiłem się na tyle, że byłem w stanie zatelefonować do Detroit, do Jennifer. Telefon dzwonił bardzo długo, zanim ktoś podniósł słuchawkę po drugiej stronie. Ku swemu zdziwieniu usłyszałem męski głos:

- Słucham - powiedział podejrzliwie.

- Chciałbym rozmawiać z Jennifer. Powiedz jej, że telefonuje Jack.

- Och... Już ją wołam.

Po kilku sekundach Jennifer podeszła do telefonu.

- Jack? - zawołała. - Gdzie byłeś? Jesteś u siebie w hotelu?

- Na kilka godzin musiałem wyjść. Przepraszam. Wrócę jutro, wcześniej rano.

- O co chodzi? Twój głos nie brzmi najciekawiej.

- Zgadza się.

- Jack, gdzie ty teraz jesteś? Głęboko westchnąłem.

- Słuchaj, Jennifer, nareszcie odgadłem, z czym się zmagamy - powiedziałem. - To znaczy, podejrzewałem to już od dłuższego czasu. Ale teraz wiem już na pewno. I nie będę ukrywał,

cholernie się boję.

- Jack, o czym ty mówisz?

- Później ci powiem. Teraz jestem odrobinę załamany. Odpowiedz mi jeszcze tylko na jedno pytanie. Czy jest tam gdzieś Hunter?

- Hunter? Tak. Dopytywał się niedawno o ciebie.

- Kiedy to było?

- Jakies dwadzieścia minut temu.

Dwadzieścia minut temu. Popatrzyłem na zegarek. Minęło już dobre pół godziny od chwili, kiedy opuściłem Fay i Gale w „Franklin Plaza”. Jeżeli Hunter był tą bestią, był zdolny do niemal błyskawicznego przenoszenia się z jednego końca Ameryki na drugi. A może to jednak absurd? Ale przecież sam widziałem, jak Hunter wzywa zastępy B-52, jak sprawia, że nagle z człowieka wypływają wnętrzności, sam widziałem tricki, które można określić jedynie jako nienaturalne, nadprzyrodzone. Przeniesienie się w ciągu kilku sekund z Detroit do Los Angeles i z powrotem nie wydawało mi się bardziej skomplikowane, niż to wszystko, co Hunter uczynił do tej pory.

Zapaliłem swojego ostatniego papierosa. Był wymięty i pokruszony.

- Chcę, abyś wiedziała, że Fay i Gale Oliver nie żyją - powiedziałem do Jennifer.

- Fay i Gale Oliver? Masz na myśli córki kongresmena Olivera?

- Tak - odparłem cicho. Nie potrafiłem powstrzymać łez, które potoczyły się po moich policzkach.

- Jack - usłyszałem głos Jennifer. - Jack, czy dobrze się czujesz?

- Tak - powiedziałem, łkając.

- Jack...

- Wszystko w porządku - powtórzyłem. - Zaraz jadę na lotnisko. Rano będę z powrotem. Jeżeli oczywiście twój przyjaciel nie będzie miał nic przeciwko temu.

Nastąpiła długa cisza. Wreszcie usłyszałem:

- Jack, kocham cię. Wracaj szybko.

- W porządku - powiedziałem i szybko odłożyłem słuchawkę, bo poprzez szloch nie byłem w stanie wydobyć z siebie już ani słowa więcej.

ROZDZIAŁ X

Dostałem się na samolot United Airlines, lot numer 86, wylatujący z Los Angeles o jedenastej piętnaście wieczorem. Przez cały lot siedziałem spięty, z otwartymi oczami, podczas gdy współpasażerowie wokół mnie delikatnie pochrapywali. Wypiłem dwie porcje whisky i puszkę Budweisera, ale wcale mnie to nie uspokoiło. Wciąż byłem potwornie przerażony tym, co wydarzyło się w hotelu „Franklin Plaza”. Czuję się tak roztrzęsiony jak człowiek, który przed chwilą cudem uniknął śmierci w wypadku samochodowym. Oczywiście wyobraźni wciąż powracałem do sypialni Fay i Gale.

Ciągle widziałem się wchodzącego do sypialni. Widziałem migotające niebieskie światło. Widziałem okaleczone ciało Fay Oliver i wreszcie samą bestię o zimnych, okrutnych oczach.

Ponad drzemającym obok mnie pasażerem pochyliła się stewardesa i wyszeptała:

- Czy dobrze się pan czuje? Czy można panu coś przynieść?

Uśmiechnąłem się słabo i odparłem:

- Nie, dziękuję. Myślę, że jestem troszeczkę przemęczony, to wszystko.

- Rozumiem.

Lecieliśmy w kierunku świtu ponad uprawnymi polami Środkowego Zachodu. Kraj Huntera Peala, pomyślałem. Tam, na dole, w domach, farmach i sklepach, zwolennicy starszego senatora stanu Kolorado jeszcze śpią, przekonani o świetlanej przyszłości narodu. Tam, na dole, żyją kobiety i mężczyźni, którzy w listopadzie pójdą do urn i z entuzjazmem wybiorą swoim prezydentem kandydata z samego piekła. Zastanowiłem się, czy nie poprosić stewardesę o paczkę winstonów, ale jakoś nie miałem ochoty na palenie. Byłem wypruty z wszelkiej energii, byłem przewrażliwiony, przestraszony i zły i chciałem, żeby tak pozostało.

Zanim samolot wylądował w Detroit, ogoliłem się. Wciąż wyglądałem jak David Soul, ale już mniej wyraźnie niż na początku. Mój zarost był ciemniejszy, a oczy, które patrzyły na mnie z lustra w samolotowej toalecie, były zdecydowanie moimi własnymi. Spryskałem się płynem po goleniu, umyłem zęby i poczułem się mniej więcej człowiekiem.

Wylądowaliśmy na lotnisku w Detroit kilka minut przed szóstą piętnaście nad ranem. Moim jedynym bagażem była mała walizeczka, szybko więc wyszedłem z terminalu i złapałem taksówkę do „Detroit Plaza”. Przez jej okna obserwowałem, jak znad miasta powoli unosi się wczesnoporanna mgła. Co chwilę przecierałem oczy. Cóż za miejsce dla triumfu najstraszliwszej bestii, jaka kiedykolwiek istniała. Detroit, potężne centrum przemysłowe. W jakiś sposób widok wysokich budynków biurowych i wielkich fabryk samochodów osłabiał w moim umyśle horror poprzedniej nocy. Modliłem się jednak szeptem do Boga, by moja wściekłość na Huntera za to, co uczynił z Fay i Gale, nigdy nie osłabła.

- Czy wie pan, który z kandydatów republikańskich uzyska nominację? - zapytałem taksówkarza.

Szofer przyjrzał się mojemu odbiciu w lusterku. Na tablicy rozdzielczej woził mały wizerunek Matki Boskiej. Był Murzynem, a jego karta identyfikacyjna informowała, że nazywa się Woodrow Thomas.

- Hmm... - odchrząknął. - Wiem, kogo bym wołał.

- Kogo?

- Olivera, gdybym miał wybierać spośród dwóch.

- Rozumiem, że jest pan demokratą.

- Tak. Ale gdybym miał wybierać spośród dwóch republikanów, wybrałbym Olivera. Jest przynajmniej człowiekiem.

Znów zacząłem rozglądać się dookoła. Oglądałem samochody jadące równolegle z nami. Jakiś

facet w grubych okularach i kapeluszu o szerokim rondzie zmierzał w kierunku miasta w rozklekotanym coupe de ville i, odniosłem wrażenie, podśpiewywał sam do siebie. Chwał Boga! - chciałem krzyknąć, a potem pomyślałem: och, Boże, daj mi siłę, abym pokonał tę straszną bestię.

- Nie lubi pan Huntera Peala, co? - znów zapytałem taksówkarza.

- Oczywiście, że nie. Powiem panu coś. Jeżeli ten facet dostanie się do Białego Domu, to dla każdego czarnoskórego będzie najlepiej, żeby wziął nogi za pas i jak najszybciej przekroczył kanadyjską granicę.

Przymknąłem oczy. Czuję się niepewnie, słabo, ale wciąż moim dominującym uczuciem był gniew. Nawet jeżeli Hunter miałby zmiotnąć mnie tak, jak zmiotnął doktora Gartenbauma, nawet gdyby miał sparaliżować mnie, jak sparaliżował Walta Kunsta, musiałem uświadomić mu, że wiem już, kim jest. Zresztą, czy on sam już o tym nie wiedział? Skoro potrafił w ciągu kilku sekund pokonać dystans dwóch tysięcy trzystu mil z Detroit do Los Angeles, czyż było dla niego coś niemożliwego?

Musiałem też stanąć twarzą w twarz z czymś jeszcze. Z moim własnym poczuciem winy i z moim własnym wstydem. Gdybym nie był tak ochoczy i gorliwy w wykonaniu instrukcji Huntera, gdybym nie uwierzył w jego kłamstwa wbrew oczywistym faktom, bliźniaczki nie zginęłyby. A nawet gdyby Hunter znalazł jakiś inny sposób osiągnięcia ich, co prawdopodobnie by nastąpiło, przynajmniej nie byłoby w tym mojej winy. Zeznałem przed Komitetem Lehmana, że przyznaję się do winy i odpowiadam za to, co się stało, ale poprosiłem też, aby rozumiano, dlaczego zrobiłem dla Huntera to, co zrobiłem. Nie odnieśli się do tych słów i sądzę, że sami potraficie zrozumieć, dlaczego.

Taksówkarz wysadził mnie przed hotelem i dałem mu dwa dolary napiwku. Następnie szybko przeszedłem przez obrotowe drzwi i niemal wbiegłem do windy. Wszystkie moje ruchy były bardzo nerwowe, szybkie. Byłem wyczerpany po nocnym locie, ale poziom adrenaliny w moim organizmie znów się podnosił. Jakiś schludny, łysy biznesmen, z którym jechałem w kabinie, przyglądał mi się przez przyciemnione okulary, jakbym był co najmniej narkomanem.

Wysiadłem na dwudziestym siódmym piętrze. Było tu cicho, nie czuło się ruchu powietrza. Powoli ruszyłem korytarzem i kiedy dotarłem do drzwi apartamentu Huntera, zapukałem. Byłem tak zmęczony, że nie potrafiłem opanować powłóczenia nogami.

Drzwi otworzył mi osobiście Hunter, w płaszczu kąpielowym. Przez chwilę mierzył mnie wzrokiem, wysoki, godny, milczący.

- Hunter - powiedziałem przez zaciśnięte gardło. - Hunter, musimy porozmawiać.

- Wejdz - rzucił chłodno.

Wszedłem i stanąłem na środku pokoju z rękami opartymi na biodrach. Stwierdziłem, że pracowano tutaj do późna w nocy. Popielniczki pełne były niedopałków, na stolikach i podłodze stało siedem albo osiem pustych szklanek, ponadto wszędzie leżały gazety, magazyny, a nawet jeden poszarpany plakat z wizerunkiem Huntera.

- Już się o ciebie martwiłem, Jack - powiedział Hunter, zamykając za sobą drzwi. - Bałem się, że ci się przytrafiło coś złego.

- Wiesz cholernie dobrze, co mi się przydarzyło. Zostałem dzień dłużej w Los Angeles. I cholernie ci się to nie podoba, co?

Uśmiechnął się nieznacznie i ręką przyglądał siwiejące włosy.

- Przepraszam - powiedział. - Obawiam się, że niezupełnie rozumiem, co masz na myśli.

- Przestań pieprzyć, Hunter. Wiem, kim jesteś. Zmarszczył czoło.

- Wiesz, kim jestem? Owszem, wiesz. Ale co ma znaczyć to oświadczenie?

- Oświadczenie to powinienem złożyć już kilka tygodni temu, ale byłem zbyt dużym tchórzem,

kurwa mać.

- Jack, nie przesadzaj.

- Dziwisz mi się? Po tym, co zrobiłeś ostatniej nocy?

- Przez całą noc, Jack, znajdowałem się w tym pokoju. Z Donaldem Zarowskim i Wally Greenscheinem, Jimem Andersenem i jeszcze wieloma innymi ludźmi.

- Hunter, byłeś w nocy w Los Angeles. Niedługo, ale wystarczająco długo, żeby zrobić to, co zamierzałeś. Ty wiesz i ja o tym wiem, obaj dobrze wiemy, co zrobiłeś.

Hunter usiadł, zakładając nogę na nogę. Nie wyglądał na zbitego z tropu.

- Bredzisz, Jack - powiedział. - Naprawdę, bredzisz. Los Angeles leży o setki mil stąd. Nie mógłbym przemieścić się tam i z powrotem w ciągu doby, a co dopiero w czasie jednej krótkiej nocy. Żaden samolot nie jest taki szybki.

- Ty nie leciałeś. Ty... przeniosłeś się. Hunter uniósł brwi.

- Ach, przeniosłem się?

- Nie musisz sobie ze mnie drwić. Byłem tam. Nieważne, jak tego dokonałeś, to byłeś ty, ty zabiłeś bliźniaczki, i nie jesteś w stanie wmówić mi, że było inaczej.

- Napijesz się kawy? - zapytał Hunter. - Zdaje się, że nie jadłeś jeszcze śniadania.

- Ani nie spałem. Ale nie chcę spać, nie chcę kawy, nie chcę śniadania. I nie będę chciał tak długo, dopóki wreszcie sam nie powiesz mi, co się, u diabła, dzieje?

Hunter wydał wargi. Przez dłuższą chwilę milczał, po czym odezwał się:

- Jack, powoli zaczynasz mnie wnerwiać. Posłałem cię z odpowiedzialnym zadaniem do Kalifornii, przed trzema dniami, i spodziewałem się, że wrócisz najpóźniej wczoraj po południu. Rozumiem, że miałeś wątpliwości co do tej misji. I być może z etycznego punktu widzenia była ona wątpliwa, jednak była politycznie uzasadniona. Przez cały czas zdawało mi się, że rozumiesz naturę tej kampanii, przede wszystkim jej bezwzględność i miałem nadzieję, że zrozumiesz też konieczność wypunktowania reprezentanta Olivera.

- Czy twój człowiek w Los Angeles powiadomił policję o narkotykach? - zapytałem drżącym głosem.

- Z tego, co wiem, tak.

- Czy bliźniaczki zostały aresztowane?

- Nic jeszcze o tym nie słyszałem. Mam nadzieję, że tak.

Uderzyłem pięścią w swoją otwartą dłoń.

- Jak możesz siedzieć tu przede mną i w żywe oczy kłamać? - wrzasnąłem. - Jak możesz tu spokojnie siedzieć i udawać, że nie wiesz, że one nie żyją!

- Nie żyją? O czym ty mówisz?

- Nie żyją, Hunter. Fay Oliver i Gay Oliver zostały tak zgwałcone i sponiewierane, że zmarły! I ty to zrobiłeś! Albo inaczej: bestia, w którą potrafisz się zamieniać.

Hunter pobladł.

- Jack - powiedział. - Bredzisz. Niemożliwe, żeby one nie żyły.

- A jednak są martwe, zgwałcone na śmierć przez bestię o twojej twarzy. Zgwałcone przez bestię, która kryje się w tobie i za sprawą której w ciągu zaledwie jednego dnia odmieniłeś swoje poglądy polityczne.

Hunter powstał i wyciągnął przed siebie obie ręce.

- Nie wierzę w to - powiedział. - To niepodobne do ciebie, Jack. Chyba nie zażywałeś narkotyków, Jack? A może paliłeś trawkę?

Zacząłem się trząść. Czulem ogromny chłód ogarniający moje ciało, tak jakbym właśnie znalazł

się przed wielką lodówką w supermarkecie.

- Ani nie używałem narkotyków, ani nie majacze, Hunter - warknąłem. - Byłem tam i widziałem ciebie. I myślę, że wiem, jak to zrobiłeś.

- To mi powiedz - zażądał.

Z trudem przełknąłem ślinę. Bardzo pragnąłem w tej chwili, aby przynajmniej moje ciało przestało drzeć. Z trudem, najwyraźniej, jak tylko mogłem, powiedziałem:

- Paczuszki, które zawiozłem do Los Angeles, wcale nie zawierały narkotyków. Powiniennem być to sprawdzić, zbyt łatwo ci uwierzyłem.

- Miałem nadzieję, że tam są rzeczywiście narkotyki - westchnął Hunter. - Zapłaciłem za obie prawie sto tysięcy dolarów.

- Gówno tam było, nie narkotyki - krzyknąłem. Okrążyłem kanapę i oskarżająco wyciągnąłem wskazujący palec w kierunku Huntera. - To były dwa sztuczne, kamienne członki. Penisy, Hunter. Te same, które tak uprzejmię podarowałeś Jennifer Dwyer, mojej przyjaciółce.

- Członki? Żartujesz.

- Żartuję? A Fay i Gale Oliver zgwałcone na śmierć, to też żart?

Hunter wzruszył ramionami.

- W porządku, nie żartujesz. Przypuśćmy więc, że te paczuszki nie zawierały narkotyku. Przypuśćmy, że zawierały dwa kamienne fallusy. Nie wiem, jak to mogło się stać, ale nie to jest teraz ważne. Powiedzmy, że ktoś zdołał je tam włożyć. Co jednak z tego wynika, jaką krzywdę kamienne członki mogły wyrządzić tym dziewczynom?

- Nie wiem, nie jestem pewien - powiedziałem. - Ale przypuszczam, że jeżeli te dwa członki znajdują się u kogoś w mieszkaniu, wówczas jest tam w stanie przybyć sama bestia.

- I wierzysz nieugięcie, że tą bestią jestem ja?

- Tak.

Hunter w zamyśleniu potarł policzek, po czym powiedział:

- Powiedzmy, że przyznałbym ci rację, że byłem w stanie przemieścić się na trasie Detroit - Los Angeles - Detroit w ciągu sekund, że przeistoczyłem się w okrutną bestię i że to ja gwałciłem Fay i Gale Oliver tak okrutnie, że z tego powodu zmarły. Co z tym zrobisz?

- A więc przyznajesz się? Naprawdę się przyznajesz?

- Nie, oczywiście, że nie. Ale przypuśćmy, że to zrobiłem.

- Wtedy ja...

Zawahałem się. Co, w gruncie rzeczy, mogłem zrobić? Zatelefonować na policję albo do FBI? Poinformować o wszystkim konwencję republikanów? A może obdzwonić wszystkie gazety i stacje telewizyjne?

Kto by mi, do diabła, uwierzył w te rewelacje? A z drugiej strony, czy nie wzbudziłyby niczyjego zainteresowania moja dogłębna wiedza o okolicznościach zamordowania bliźniaczek? Nie miałem wątpliwości: za ich tragedią kryje się Hunter, nieważne, czy sam jest bestią, czy nią nie jest. Jego alibi było jednak niepodważalne. A nawet, gdyby cały wieczór i noc spędził sam, przecież nie mógłby w tym czasie polecieć do Los Angeles i z powrotem; nikt mi nie uwierzy, że mógł tam znaleźć się szybciej niż dzięki podróży lotniczej.

- To byłeś ty, prawda? - zapytałem. Uśmiechnął się szeroko.

- Nie - odparł.

Przez chwilę stałem w milczeniu, przyglądając się Hunterowi. Wciąż się do mnie uśmiechał. Zdałem sobie sprawę, że nic nie jestem w stanie zrobić. Skoro zaprzeczał, że jest bestią, nikt na świecie nie był w stanie udowodnić mu, że nie mówi prawdy. A poza tym przecież, wszystkie moje

przygody w Los Angeles mogły być częścią halucynacją, tak jak na przykład mój obecny wygląd.

Usiadłem na kanapie i ze srebrnego pudełka stojącego na stoliku wyciągnąłem papierosa. Hunter zbliżył się do mnie i przypalił mi go zapalniczką dunhilla. Zawahałem się, ale przyjąłem ten gest.

- Majaczysz, Jack - powiedział Hunter łagodnie, - Zdaje się, że widziałeś coś przerażającego i jeszcze po tym nie doszedłeś do siebie.

Głęboko zaciągnąłem się dymem. Milczałem. Hunter usiadł obok mnie i wpatrywał się w moją twarz z wyrazem ojcowskiego współczucia.

- Ciężko pracujesz, Jack. Zbyt ciężko. To moja wina, że nie zauważyłem wcześniej, w jak ogromnym napięciu pracujesz, szczególnie teraz, kiedy odszedł Sam Wieka. Czuję się odpowiedzialny za twój stan.

Zmierzyłem go szybko wzrokiem. Jego ciemne, głęboko osadzone oczy, wyrażały pełną troski powagę.

- Moim zdaniem przypadek z siostrami Oliver był kroplą, która przelała czarę - kontynuował Hunter. - Nie wierzyłeś w potrzebę i sens tego przedsięwzięcia, jednak twoja lojalność wobec mnie i mojej kampanii wzięła górę nad twoim sumieniem, i dla mnie zgodziłeś się polecieć do Los Angeles. Najlepiej to świadczy o tym, jak mi jesteś oddany. Świadczy to też o tym, jak bardzo utożsamiasz swoje powodzenie z powodzeniem tej kampanii. Zmęczony, zmagający się z własnym sumieniem, wciąż rozmyślający o mnie - taki byłeś w chwili, gdy do twojej podświadomości dotarł obraz Huntera Peala pod postacią jakiejś złej bestii. Nieważne, w jakiej sytuacji to było. Ja cię w nią wpakowałem. Stąd wszelkie zło, jakie w tej sytuacji odnotowałeś, związałeś z moją osobą. Takie to proste, widzisz?

Znow wydmuchnąłem długi, gęsty kłęb dymu. W dziwny sposób Hunter zdołał odebrać mi całą energię i złość, które mnie rozpierały, kiedy wchodziłem do tego pokoju. Było mi bardzo żal Fay i Gale, ale trudno było wywoływać w sobie jad wobec Huntera, nie będąc do końca pewnym, czy to rzeczywiście on spowodował śmierć sióstr.

- Wypiję jednak kawę - odezwałem się. Hunter pokiwał głową.

- Coraz bardziej zdaję sobie sprawę, jaką potęgą są moje nadzwyczajne zdolności mentalne i fizyczne - powiedział Hunter, z słuchawką przy uchu oczekując na połączenie z służbą hotelową. - Jestem świadom, że z daru tego powinienem korzystać w sposób bardzo wyważony i ostrożny.

- Na przykład paraliżując Walta Kunsta?

- Och, przestań Jack, nie możesz winić mnie za każde nieszczęście, jakie przytrafia się komuś w moim towarzystwie. Mam pewien wpływ na myślenie innych ludzi, fakt, jednak nic ponadto.

Zamówił kawę, następnie obszedł kanapę i stanął za mną. Trochę zdenerwował mnie tym, koniecznie chciałem go widzieć, jednak nie miałem tyle samozaparcia, aby się odwrócić. Poza tym, odwracając się ku Hunterowi, pokazałbym w tej chwili, że się go boję, a tego wolałem uniknąć.

- Rozumiem, że chcesz już pozbyć się swojej chwilowej postaci - powiedział Hunter.

- To dobry pomysł. Tym bardziej, że zauważono mnie, kiedy wychodziłem z apartamentu sióstr Oliver po tym, jak zostały zamordowane.

- Masz rację.

Dotknąłem swojej twarzy i włosów. Byłem wciąż Davidem Soulem.

- No więc? - zapytałem. - Co z tą dehalucynacją? Hunter podszedł do okna i popatrzył przez szybę.

- Cóż - westchnął. - Jestem politykiem.

- Co to znaczy?

Uśmiechnął się, nie patrząc na mnie.

- W największym zarysie oznacza to, że jestem wielkim zwolennikiem porozumień, które przynoszą korzyści wszystkim układającym się stronom.

- A w szczegółach, co to oznacza?

- Oznacza, że przywrócę ci twoją własną twarz tylko pod takim warunkiem, że zapomnisz o swoich absurdalnych oskarżeniach, iż to ja zabiłem bliźniaczki.

Pokiwałem głową. Byłem w potrzasku i raczej nie miałem z niego wyjścia. Zresztą z powodu własnej głupoty. Nie powinienem był pojawiać się tutaj i z miejsca opowiadać o tym, co przydarzyło się siostrze Oliver i o moich podejrzeniach. Taki scenariusz spodobałby się jedynie twórcom greckich tragedii, dziś już bardzo starych. Oto klasyczny przypadek człowieka, który raz się zeszmaciwszy, musi zeszmacić się ponownie. Oto upadek Jacka Russo.

- Czy to znaczy, że chcesz, żebym nadal dla ciebie pracował? - zapytałem Huntera.

- A chcesz dla mnie pracować?

- Ostatnio to, co chcę robić, a to, co naprawdę robię, to dwie zupełnie różne rzeczy.

- Cóż, być może masz takie odczucie. Ale w tym, co robisz, naprawdę jesteś dobry. Jesteś doskonały w swojej robocie.

- Też chciałbym tak uważać.

- W każdym razie, zostań.

Zrobił kilka kroków w moim kierunku i stanął blisko przy mnie. Następnie wyciągnął rękę nad moją głowę i zatoczył jakieś koło w powietrzu. Stopniowo rysy mojej twarzy zaczęły się zmieniać, a procesowi temu towarzyszyło dziwne uczucie, jakby ktoś marszczył skórę na mojej twarzy. Po kilku sekundach jednak, znów wyglądałem jak Jack Russo. Wstałem z kanapy i podszedłem do lustra, żeby się sobie dokładnie przyjrzeć.

- To moja część porozumienia - powiedział Hunter. - Pamiętaj o swojej.

Usłyszałem stukanie do drzwi.

- To chyba kawa - powiedziałem. - Otworzę. Podszedłem do drzwi i pociągnąłem za klamkę. To nie była pokojówka z kawą, a Jennifer, w ciasnych, białych dżinsach i w koszuli safari.

- Jack? - zawołała z oczyma rozszerzonymi ze zdziwienia. Po chwili popatrzyła w głąb pokoju i zapytała: - Czy jest Hunter?

Skinąłem głową.

- Jest. Musieliśmy przedyskutować kilka spraw.

- No i? Co on powiedział? Popatrzyłem szybko za siebie.

- Nic ciekawego. Zdaje się, że się pomyliłem.

- Ale przez telefon powiedziałaś...

- To była pomyłka. Rozumiesz?

Tym razem wreszcie pochwyciła dwuznaczny ton mojego głosu.

- Och - westchnęła po chwili. - Rozumiem. Wreszcie zbliżył się do nas Hunter i Jennifer powiedziała:

- Dzień dobry, Hunter. Przyszłam właśnie, żeby się zapytać, czy nie masz jakichś wiadomości od Jacka. Ale oto i on we własnej osobie.

Hunter popatrzył na mnie uważnie.

- Jack jest równym facetem, Jennifer. Warto o niego dbać. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Tak - odparła Jennifer, bardzo cicho. Stojąc przy mnie bardzo blisko, sięgnęła za szyję i zaczęła pociągać za sznurek, na którym wisały dwa kamienne członki, ukryte pod koszulą, między jej piersiami. Kiedy zderzyły się ze sobą, wydały głuchy odgłos.

Hunter spostrzegł, że gapię się na dekolt Jennifer i szeroko się uśmiechnął. Jeszcze jeden triumf

diabła.

„Jeszcze jeden błąd człowieka, jeszcze jedna obraza Boga” - powiedziałby Browning. Mnie zabrakło słów.

ROZDZIAŁ XI

W południe reprezentant Leonard Oliver wygłosił w telewizji specjalne oświadczenie. Wszyscy siedzieliśmy w pokoju u Huntera, kiedy jego wychudzona, blada twarz ukazała się na ekranie. Sam Hunter stał w kącie pokoju, ubrany w nienagannie skrojony, czarny frak, kołysząc się na piętach, z rękami złączonymi na plecach.

Wszyscy w milczeniu słuchaliśmy Olivera, chociaż, na Boga, chciało mi się krzyczeć i wyć.

Z oczyma ukrytymi za ciemnymi szklami okularów Leonard Oliver siedział przy małym biurku, mając przed sobą kilka odręcznie zapisanych kartek.

- „Wszyscy zapewne już słyszeliście o tragicznej śmierci moich córek, Fay i Gale, w Los Angeles - zaczął cichym głosem. - Pragnę powiedzieć wam, że moja żona i ja jesteśmy bardzo wdzięczni za wszystkie telegramy i listy z kondolencjami, które do nas dotarły. Udowodniły nam one, w tych trudnych chwilach szoku i osobistego załamania, że żyją w tym kraju jeszcze ludzie, którzy mają serce”.

Przerwał na chwilę, wzrok opuścił jeszcze niżej.

- „W tych trudnych chwilach zapytano mnie, czy mimo wszystko zamierzam ubiegać się o nominację prezydencką Partii Republikańskiej. Wielu z moich zwolenników uważa, że mimo śmierci córek powinienem uczynić wszystko, co tylko w mojej mocy, aby zapobiec wtargnięciu senatora Huntera Peala do Białego Domu.

Cóż, tym wszystkim zwolennikom i przyjaciółom muszę powiedzieć, że bardzo mi przykro, ale cios, który dziś uderzył moją rodzinę i mnie...”

Przerwał na chwilę i dłońmi przykrył usta. W jasnym świetle telewizyjnego studia wyraźnie było widać błyszczące łzy, toczące się po jego policzkach. Nieprzyjemna cisza przedłużała się, a tymczasem Leonard Oliver opanował swój ból na oczach setek milionów widzów. Wreszcie odezwał się:

- „Cios, który dzisiaj dotknął mnie i moją rodzinę, jest zbyt potężny, abym w obecnej chwili mógł rozważać możliwość ubiegania się o fotel prezydenta Stanów Zjednoczonych jeszcze tej jesieni. Mimo że jestem nieugiętym przeciwnikiem senatora Peala i jego polityki, mimo że moje ciało i dusza przeciwstawiają się jego awanturniczemu hasłom, mimo że jestem głęboko przekonany, iż naród nasz stanie się uboższy i słabszy, jeżeli Hunter Peal zasiądzie w Białym Domu, w ciągu najbliższych kilkunastu miesięcy całą swoją energię i moc życiową poświęcę rodzinie. Poświęcę mojej żonie, aby pomóc jej znieść ból, związany z ogromną stratą, która ją dzisiaj spotkała. Poświęcę ją moim żywym dzieciom. I wreszcie poświęcę ją sobie, aby odzyskać równowagę emocjonalną szczególnie niezbędną, jeżeli w ciągu najbliższych czterech lat naszym krajem miałby rządzić człowiek niezrównoważony, Hunter Peal”.

Uniósł głowę i popatrzył z ekranu prosto w oczy widzów.

- „Nie zamierzałem ubiegać się w tym roku o prezydencką nominację aż do chwili, w której zdałem sobie sprawę, jakim zagrożeniem dla naszego społeczeństwa staje się Hunter Peal. Żałuję, że nastąpiło to tak późno. Gdyby stało się to wcześniej, być może moje córki jeszcze by żyły. W każdym razie, w tej chwili mogę jedynie życzyć spokoju i szczęścia wszystkim Amerykanom. Wyciągam dłoń do tych wszystkich moich zwolenników, którzy dodawali mi odwagi i pomagali wytrwać w przekonaniu, że nie popełniam błędu, walcząc o prezydencką nominację. Będę wam wdzięczny, jeżeli przyłączycie się do mnie w krótkiej chwili zadumy nad duszami Fay i Gale oraz nad przyszłością naszego wielkiego narodu”.

- Wyłączcie to! - zawołał Hunter chrapliwym tonem.

Ale nikt nie ruszył się z miejsca.

ROZDZIAŁ XII

Reszta tego tygodnia była jednym wielkim chaosem. Po wycofaniu się z walki Leonarda Olivera, uzyskanie nominacji przez Huntera było raczej przesądzone. Trzeba jednak przyznać, że część jego zwolenników z zachodnich stanów, pochodzących ze średnich klas, porzuciła go, głównie z powodu jego wypowiedzi na temat samodzielnego rozwoju poszczególnych grup etnicznych. Poza tym i Randolph Kress i Johnson Wilmot podejmowali w tych dniach desperackie wysiłki, aby mimo wszystko pokonać Huntera. Partia Republikańska potrzebowała jednak bohatera i jeśli chodzi o mnie, rolę tę mógł odgrywać tylko Hunter Peal.

Kress zawarł nawet pakt z senatorem Ormondem Kanem z Alabamy i we dwóch robili wszystko, co było w ich mocy, aby głos po głosie odbierać poparcie Hunterowi. Skupili się na delegatach ze Słonecznego Pasa, a więc Zachodniego Wybrzeża, a także ze stanów południowych. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że jeżeli mieliby do dyspozycji jeszcze kilka dni więcej, przedłużyliby konwencję do co najmniej siedmiu albo ośmiu głosowań, systematycznie odbierając Hunterowi głosy umiarkowanych delegatów.

Johnson Wilmot mógłby również zaszkodzić Hunterowi, gdyby jeszcze przez kilka dni popracował nad delegatami ze Środkowego Zachodu. Nawet młody Keith Kendall z Oregonu mógłby okazać się groźnym przeciwnikiem, tym bardziej po poniedziałkowym oświadczeniu delegatów z Waszyngtonu, iż uważają go za znaczącego kandydata na urząd prezydencki. Wszyscy z osobna jednak mieli poparcie zbyt małe, no i przede wszystkim za mało czasu. A Hunter działał szybko i skutecznie. W środę po południu, po wielu godzinach nawiedzonych i elokwentnych przemówień, bukmacherzy obstawiali Huntera jako pewniaka, gdyż wciąż dysponował wystarczającą liczbą głosów, aby uzyskać nominację w pierwszym głosowaniu.

Wally Greenschein, Jim Anderson i James Evans krążyli wśród delegatów, aż do ostatniej chwili namawiając wszystkich do głosowania na Huntera. Jeżeli tylko znaleźli kogoś wahającego się, albo skłonnego poprzeć kogoś z trójki Kress-Kane-Wilmot, natychmiast obiecywali mu niebo i ziemię, dla kontrastu wskazując zagrożenia, jakie niesie za sobą głosowanie na kogoś innego niż Hunter, i przypominając o wspaniałych dniach Dullesa.

Hunter działał równie energicznie. Pojawił się na kilkunastu spotkaniach poszczególnych delegacji, rozdawał uśmiechy i czynił zwycięskie gesty, okraszając je wzruszającymi przemówieniami o tym, jak to dobrze będzie w kraju, którego niebo będzie aż czarne od strzegących go samolotów, który stanie się nowym Dzikim Zachodem, z pryncypiami i wolnościami tego starego Dzikiego Zachodu. Nie uczestniczyłem w żadnym z tych spotkań, jednak pewien delegat z Florydy powiedział mi, że „w takich chwilach prawie słyszał szczęk ostróg i dudniące porykiwania bawołów”.

Wierzyłem mu. Hunter był mistrzem iluzji. Był także mistrzem eufemizmów. To podczas spotkania z delegacją z Kansas wypowiedział swe słynne słowa o „konieczności ograniczenia materialnych oczekiwań ze strony mniej użytecznych członków społeczeństwa” - znaczyło to, że biedni powinni na zawsze pozostać biednymi.

Zagraniczni dziennikarze po zakończeniu prezydentury Huntera nieustannie zadawali mi to samo pytanie:

„Jak mogłem popierać takiego człowieka? Jak mogłem na niego głosować?” Te same pytania zadawano Haldemanowi i Ehrlichmanowi po upadku Richarda Nixona.

Zawsze odpowiadałem tak samo. Amerykańska polityka różni się zasadniczo od polityki w jakimkolwiek innym kraju świata. Dlaczego kilku z kandydatów nie miało żadnej szansy na zadomowienie się w Owalnym Gabinetcie? Kress - bo był zbyt liberalny i zbyt powolny. Oliver - bo

spotkał go poważny cios w życiu osobistym. Wilmot został skompromitowany przed kamerami, Kendall był zbyt zielony. Tylko Hunter Peal z gromady pretendentów nadawał się na prezydenta, a przecież na kogoś głosować musieliśmy.

Kiedy we wczesnych godzinach wieczornych w środę rozpoczęło się głosowanie, zgromadziliśmy się w apartamencie Huntera w „Detroit Plaza”. Hunter był w dobrym nastroju, odrobinę nadpobudliwy; rozparty wygodnie w głębokim fotelu, popijał piwo prosto z puszki i wykrzykiwał coś ostro w kierunku ekranu. Dobry, stary kowboj z Kolorado. Micky, wyglądająca na zmęczoną, siedziała na krześle obok niego i nerwowo paliła papierosa.

Donald Zarowski zamknął się w sypialni i na przenośnej maszynie „Olivetti” pisał dla Huntera przemówienie przyjmującego nominację. Ja siedziałem na kanapie, ręką otaczałem ramiona Jennifer i starałem się wypoczywać. Czy Hunter wygrałby, czy przegrał, następne dni i tak upłyną pod znakiem ataków dziennikarzy, nieustannych wywiadów prasowych i telewizyjnych i dziesiątków wypowiedzi dla przeróżnych tygodników i magazynów: „Jaki jest przyszły prezydent?” „Co pan powie o jego życiu prywatnym?” „Tak, senator Peal rzeczywiście uwielbia frytki i hamburgery”. I tak dalej, i tak dalej.

Wally Greenschein przez cały czas przebywał wśród delegatów. Po odejściu Sama Wieki został nieoficjalnie szefem jego sztabu, a młody, o świdrujących oczkach, Dave Dubuque z Arizony, awansowany został na stanowisko doradcy Huntera, w miejsce zwolnione przez Wally’ego. Nie lubiłem go zanadto; miał zbyt krótkie włosy, w taki jakiś nie męski sposób podawał dłoń na powitanie, no i nosił w klapie marynarki taki głupi znaczek: „Cześć, jestem Dave”. Jednak Wally i Dubuque doskonale się nawzajem uzupełniali w poczynaniach mających na celu zdobycie jak największej liczby głosów dla Huntera; pierwszy był otwarty i przyjacielski, a drugi śliski jak skora węża. Na godzinę przed rozpoczęciem głosowania w mistrzowski sposób przeciągnęli na stronę Huntera całą delegację ze stanu Illinois. Senator Dan Harvey, spodziewający się, że jego ekipa głosować będzie na Kressa, strasznie się zdziwił, gdy w decydującym momencie okazało się, że pozostał sam na placu boju. W chwili, kiedy na ekranie zobaczyliśmy, jak rozpoczyna głosowanie delegacja z Alabamy, Hunter zawołał do mnie przez cały pokój:

- No i co, Jack? Co ty o tym sądzisz? Pokiwałem głową.

- Myślę, że zwyciężył Hunter. Prawdę mówiąc, nie mam co do tego wątpliwości.

Jennifer ścisnęła mnie za rękę. Wiedziała, ile kosztuje mnie obecnie udawana serdeczność wobec Huntera. Po powrocie z Los Angeles opowiedziałem jej wszystko, co się tam wydarzyło, dokładnie, ze szczegółami, nie dbając o to, czy mi uwierzy, czy też nie. Musiałem to z siebie wyrzucić. Było mi wówczas nawet wszystko jedno, jak oceni moje postępowanie. Wysłuchiła mnie uważnie, a potem zapytała:

- Co zamierzasz teraz zrobić?

- Jeszcze zostanę u Huntera - odpowiedziałem. Przez chwilę milczała, zastanawiała się nad czymś, aż wreszcie pokiwała głową i powiedziała:

- W porządku, rozumiem. Ale jeżeli coś takiego wydarzy się jeszcze raz, będziesz musiał pomyśleć o uzyskaniu skądś pomocy.

- Pomocy? Od kogo?

- Nie wiem. Kto ci może pomóc w walce z czymś takim, jak ta bestia? Książdz?

- Hunter prawdopodobnie zabił doktora Gartenbauma - przypomniałem jej. - Nie zamierzam nikogo więcej narazić na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Popatrzyła na mnie uważnie.

- Właśnie. To jest strasznie niebezpieczne. Powiedziałabym, że coraz groźniejsze.

Niespodziewanie Hunter roześmiał się hałaśliwie i zostałem wyrwany z rozmyślań. Alabama głosowała 16:10 na rzecz Peala. Oznaczało to tylko jedno: Ormond Kane nie zdążył rozerwać łańcucha zwolenników Huntera, zabrakło mu czasu. A skoro nie udało mu się to w jego własnym stanie, wątpliwe już było, czy powiedzie mu się to z delegatami z Missisipi, Luizjany czy, przede wszystkim, z Teksasu.

Alaska prawie cała głosowała na Peala, z wyjątkiem dwóch delegatów. Arizona oddawała głosy na Peala jednomyślnie. Floryda, stan co do którego mieliśmy poważne obawy, oddał na Huntera 28 z 34 posiadanych głosów. I, dzięki nadludzkim wysiłkom Wally'ego i Dave'a Dubuque, stan Illinois niespodziewanie oddał na Huntera 52 ze swych 58 głosów.

Atmosfera w sali stała się niemal histeryczna, kiedy stan po stanie głosował za Pealem i jasne już było, że nic nie jest w stanie odebrać mu zwycięstwa. Telewizyjne kamery co chwilę pokazywały Randolpha Kressa, siedzącego w swoim krześle z poszarzałą twarzą. Okrzyki Hunter! Hunter! Zagłuszały już wszystko. New Jersey dało Pealowi 16 głosów z 40, Nowy Jork tylko 6. Ohio w całości głosowało za Kressem, ale Pensylwania podzieliła się na dwie równe części. Delegaci powiewali flagami i transparentami, a hałas narastający w sali był ogluszający, niczym letnia burza.

Jeszcze głosy z Wisconsin i to już koniec. Hunter wygrał. Wszyscy wstaliśmy i zaczęliśmy skakać i wrzeszczeć z radości. Hunter też podniósł się ze swojego fotela, uniósł ręce do góry, ukazując nam, jak przepocił koszulę pod pachami. Nie zważał jednak na nic. Był w euforii.

- Wy wspaniałe skurwysyny! - krzyczał do nas. - Wy kochane, wspaniałe skurwysyny.

Wyoming dodał jeszcze Hunterowi 10 głosów, więcej niż potrzebował, lecz radość zwolenników Huntera była tak wielka, że nikt nie zwracał już na to uwagi. Z sypialni wyszedł Donald Zarowski i wręczył Hunterowi jego przemówienie z takim spokojem, że Hunter walnął go z całej siły w plecy i roześmiał się; wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem, tak nie na miejscu był w tej chwili zimny spokój Donalda.

Jennifer ścisnęła moją rękę i powiedziała:

- Cóż, Jack, jesteście dobrzy. Załatwiliśmy mu tę nominację.

Na ekranie ujrzeliśmy Randolpha Kressa, siedzącego z twarzą ukrytą w dłoniach. Był przegrany i głęboko zrozpaczony. Było po wszystkim, nie udało mu się powstrzymać Huntera. Żona Kressa siedziała przy nim i ukradkiem ocierała chusteczką łzy z kącików oczu.

Gdy pierwsze emocje opadły, Hunter zawołał:

- Proszę państwa, a teraz niech mnie ktoś połączy z Leonardem Oliverem. Jack, może ty to zrobisz?

- Ja?

Hunter szeroko się uśmiechnął.

- Jesteś przecież ekspertem od jego rodziny.

Popatrzyłem na niego nienawistnie. Usta miał wykrzywione w uśmiechu, jednak w jego oczach czaiło się krańcowe zło. Poczulem delikatny ból między nogami, owiał mnie śliski chłód, jakby wąż zaczął pełzać wewnątrz mojego brzucha i z przerażeniem zdałem sobie sprawę, co nastąpi, jeżeli będę się wahał jeszcze choćby przez chwilę.

- Jasne, już się robi - powiedziałem. - Czy mogę skorzystać z twojego aparatu?

- Oczywiście.

Reprezentant Oliver zatrzymał się w „Michigan Inn”, w Southfield, na przedmieściach Detroit. Zbyt późno zdecydował się przyjechać, aby mógł zdobyć miejsce w hotelu w centrum miasta. Hunter rozmawiał już z nim kilka razy, osobiście i poprzez pośredników, o ewentualności wystawienia kandydatury Olivera na wiceprezydenta. Jak do tej pory Oliver zdecydowanie odmawiał przyjęcia

zaproszenia do takiej współpracy. Ale teraz sytuacja się zmieniła i zastanawiałem się, czy nie zrobiłby dobrze, gdyby postąpił tak jak ja. Lepiej byłoby, gdyby przyjął zaproszenie i czuwał z bliska nad Hunterem zasiadającym w Owalnym Gabinetcie, niż gdyby pozwolił, aby współpracowały z nim osoby nie zdające sobie sprawy, jak niebezpiecznym prezydentem jest Hunter.

Poza tym Oliver powinien zrozumieć, że jeżeli nie dojdzie do sojuszu Peal-Oliver, Partia Republikańska niebezpiecznie się podzieli.

Wykręciłem numer 559-6500 i poprosiłem kongresmena Olivera. Słuchawka w pokoju hotelowym podniesiona została niemal natychmiast i wiedziałem, co to oznacza. Oliver spodziewał się, że Hunter zatelefonuje.

- Czy to kongresman Oliver? - zapytałem. - Łączę rozmowę z senatorem Pealem.

- Tak, to ja - rzucił Oliver, głosem bardzo zmęczonego człowieka.

- Przypuszczam, że wie pan, w jakiej sprawie telefonuje senator?

- Byłbym cholernie tępy politykiem, gdybym się nie domyślał.

Popatrzyłem w kierunku drzwi do salonu i powiedziałem:

- Niech pan mnie posłucha, wiem, że nie powinienem tak z panem rozmawiać, ale mam osobiste pytanie: czy zaakceptuje pan propozycję Huntera Peala?

W słuchawce zaległa głucha cisza.

- Halo - rzuciłem.

- Z kim rozmawiam? - usłyszałem pytanie.

- Tu Jack Russo. Odpowiadam za kontakty senatora Peala z massmediami.

- Aha... Panie Russo, zachowuje się pan dość dziwnie.

- Dziwnie?

- Właśnie. Jakby miał pan jakiś szczególny powód, aby namówić mnie do współpracy z Hunterem. Powód... niepolityczny.

- Powiem w ten sposób: jeżeli pan mu odmówi, złożę propozycję komuś mniej popularnemu.

- No i co z tego? Być może to, co powiem, jest sprzeczne z interesem mojej partii, ba, na pewno jest sprzeczne, ale wolę, aby przez najbliższe cztery lata rządził Teddy Kennedy, a nie Hunter Peal.

- Nic pan nie rozumie - powiedziałem. - Hunter wygra i tak. Nikt w tym kraju chyba w to nie wątpi. Jeżeli jednak jego kandydat na wiceprezydenta będzie mniej popularny od pana, użyje bardziej drastycznych środków, gdyż więcej wysiłku będzie go kosztowało dostanie się do Białego Domu, i skrzywdzi dwa razy tyle ludzi. Poza tym, gdy się już znajdzie w Owalnym Gabinetcie, nie będzie miał obok siebie silnego, umiarkowanego, przyzwoitego wiceprezydenta, który by go kontrolował. Stanie się dyktatorem w Białym Domu, a z Kongresem postąpi tak, że Dick Nixon przy nim okaże się jedynie małym chłopcem.

Oliver milczał przez długą chwilę. W gruncie rzeczy tak długo, że znów musiałem rzucić:

- Halo...

- Jestem, jestem. Dlaczego mi pan to wszystko opowiada? - zapytał Oliver. - Czy to jakaś nowa forma gry politycznej?

- Chciałbym, żeby tak było.

- Co pan ma na myśli, mówiąc, że Hunter Peal skrzywdzi dwa razy tyle ludzi? Czy już kogoś skrzywdził?

- Johnsona Wilmota. Randoplha Kressa. Pana.

- Mnie? Nie bardzo rozumiem.

- Niech pan posłucha. Nie mam teraz czasu, żeby zagłębiać się w detale. Hunter gapi się w telewizor w sąsiednim pokoju i w każdej chwili może tutaj wejść.

Niech mi pan uwierzy, jestem pana przyjacielem. Jest pan tutaj potrzebny. I nie ja pana potrzebuję, ale cały naród.

- Chyba pan wie, że na pewien okres postanowiłem wycofać się z polityki?

- Oglądałem pana wystąpienie telewizyjne.

- To dobrze. Wie pan przynajmniej, że to było moje ostatnie słowo w tej sprawie. Przez najbliższy rok, a może i dłużej, na pierwszym miejscu będzie u mnie rodzina.

- Panie Oliver, nie będzie pan miał rodziny, jeżeli ten szaleniec, nie kontrolowany, zasiądzie w Białym Domu. Być może nie będzie pan miał również kraju. Już teraz ma pan poważne obawy, co do postępowania Huntera Peala jako prezydenta. Niech pan je pomnoży kilka tysięcy razy; dopiero wówczas zacznie pan rozumieć, co w rzeczywistości zagraża temu krajowi.

- Panie Russo... Nie jestem pewien, czy...

- Powiem panu coś jeszcze - przerwałem mu. - Jedyńą i ostatnią rzecz. Kto powiedział, że zaświeci gołym tyłkiem fotografom na trawniku przed Białym Domem, jeżeli tatuś zostanie prezydentem?

Leonard Oliver znów zamilkł. Na długą, znów bardzo długą chwilę. Kiedy odzyskał mowę, zapytał;

- To wszystko, co ma mi pan do powiedzenia?

- W tej chwili tak.

- Rozumiem. Czy jest tam gdzieś Hunter?

- Zaraz go poproszę.

- Dziękuję. I... panie Russo...

- Tak?

Jego głos zadrżał. Jąkając się, powiedział:

- Byłem bardzo zły, kiedy mi to oznajmiła. Naprawdę, bardzo, bardzo zły.

- Wiem - odparłem.

Położyłem słuchawkę na nocnym stoliku i poszedłem do salonu. Kierownictwo hotelu zdążyło już dostarczyć do apartamentu kilkanaście kieliszków z szampanem, a salon mieścił w tej chwili dwa razy więcej ludzi niż w momencie, kiedy stąd wychodziłem. Ujrzałem Jennifer w kącie, zadowoloną, w ramionach jakiegoś krzywonosego faceta z sekcji finansowej, wesoło śmiejącego się, z głową odrzuconą do tyłu. Hunter założył już na siebie marynarkę, a gdy ujrzał mnie w drzwiach sypialni, dumnie wyprostował się w oczekiwaniu, niczym aukcjoner oczekujący na pierwszy głos w licytacji.

Skinąłem na niego, wskazując na drzwi sypialni. Hunter przeprosił dwóch facetów, z którymi rozmawiał, po drodze do sypialni uścisnął jeszcze dłoń dyrektora hotelu i jego żony, po czym ruszył w kierunku słuchawki. Ale najpierw starannie zaniknął za sobą drzwi.

Czekałem kilka minut, jednak, ponieważ Hunter nie pojawił się, ruszyłem w kierunku Jennifer, aby uwolnić ją od faceta z krzywym nosem.

- Myślałam, że cię znów straciłam - powiedziała. - Już miałam zamiar przyjąć jego zaproszenie do restauracji na najwyższym piętrze, a potem, oczywiście, do łóżka.

- Wierność nie jest twoją cnotą - powiedziałem.

- Nie jesteśmy małżeństwem - odparła.

Nalaliśmy sobie szampana do pustych kieliszków i wypiliśmy w milczeniu. W pokoju pojawiała się coraz więcej ludzi. Wszyscy chcieli tutaj, z Hunterem, świętować jego zwycięstwo.

Wreszcie, po kilkunastu długich minutach, Hunter pojawił się w drzwiach sypialni i skinął na mnie.

- O co chodzi? - zapytałem podszedłszy do niego. Wyglądał na odrobinę rozkojarzonego.

- Zgodził się - powiedział.

- Wątpiłeś w to?

- Oczywiście, miałem nadzieję, że się zgodzi. Tylko dlatego, żeby się zgodził, przygotowałem tę całą historię z narkotykami. Tak to zrobiłem, żeby Oliver, jako polityk pozostał bez skazy. Ale teraz... sposób, w jaki ze mną rozmawiał, sposób, w jaki wyraził swoją zgodę... Cholera, coś w tym było dziwnego. Coś niepojętego, jakiś motyw, którego nie potrafię rozszyfrować.

- Powiedziałem mu, że powinien kandydować wraz z tobą dla dobra Partii Republikańskiej, dla uspokojenia ludzi z jej umiarkowanego skrzydła. Powiedziałem, że powinien uczynić to w imię jedności swej partii.

- Dobrze zrobiłeś. - Hunter poklepał mnie po ramieniu. - Ale mimo wszystko w jego głosie było coś dziwnego.

- Och, przestań, Hunter. Niedawno zginęły dwie jego córki. Musisz na to brać poprawkę.

Hunter przygryzł wargę i zmarszczył czoło, w szczególnie nieprzyjemny sposób, niczym drapieżne zwierzę, które podejrzewa, że wrogowie chcą je wymanewrować. W końcu jednak ujął mnie pod rękę i powiedział:

- Tak, masz rację Jack. Stracił swoje córki. Pewnie o to chodzi.

W drzwiach wejściowych ukazał się Wally Greenschein. Miał luźny krawat, a jego twarz cała lśniła od potu. Za nim, niski, drobny, pojawił się Dave Dubuque, spokojny, wciąż nienagannie ubrany, jakby dzisiejszego dnia jeszcze nie zakosztował żadnego wysiłku.

- Udało się! - wrzasnął Wally. - Nie daliśmy skurczybykom żadnej szansy!

- Jesteś geniuszem, Wally - powiedział Hunter z uśmiechem. Odwrócił się do mnie i dodał: - Cały mój sztab to geniusze.

Skinąłem mu poważnie głową w podziękowaniu za ten komplement, w tym momencie patrzyłem jednak na Micky. Przez cały czas nie ruszała się z miejsca, a jej twarz była blada jak papier. Kurczowo zaciśnięte dłonie trzymała przed sobą. Zaciskała je tak silnie, że kilka długich sekund minęło, zanim zdołałem zrozumieć, co ona robi.

Micky modliła się.

ROZDZIAŁ XIII

Hunter Peal wstąpił na podium przed wiwatującymi na jego cześć delegatami i uniósł w górę obie ręce w geście pozdrowienia. Delegaci zerwali się z krzesel z okrzykami. Z miejsca na scenie, gdzie stałem razem z Wallym, Davidem Dubuque i Jamesem Evansem, odnosiło się wrażenie, jakby sala nagle eksplodowała tysiącami flag, transparentów i kapeluszy.

Micky, w pastelowoniebieskim kostiumie, stała u boku Huntera, po jego lewej ręce, i wymachiwała wesoło rękami do delegatów z uśmiechem, jakiego u pierwszej damy nikt od czasów Pat Nixon nie widział. Po prawej ręce Huntera, wysoki, o pociągłej twarzy, nie potrafiący ukryć złości i smutku, stał Leonard Oliver; prawą ręką zakrywał usta, podpierając ją lewą dłonią. Też się uśmiechał, oczywiście, jednak jeżeli ktoś by się mu przyjrzał uważniej, bez trudu odgadłby jego stosunek do tego, co się wokół dzieje: sceptycyzm i pogarda. Musiał tam jednak stać, dla dobra swojej partii, dla swojej politycznej przyszłości, i doskonale sobie z tego zdawał sprawę.

W ciągu godziny, którą zabrało mi przywiezienie tutaj Olivera z Southfield, te kilkanaście stanów, które dotąd nie zadeklarowały swojego poparcia dla Huntera, zmieniło decyzję i w tej chwili para Peal-Oliver nie miała już w łonie Partii Republikańskiej żadnej opozycji.

Takie konwencje zawsze były specjalnością Partii Republikańskiej. Godziny nadętych przemówień, dużo hałasu, bieganiny i cudowne rozstrzygnięcia, dla większości wiadome od samego początku. „New York Times” napisał następnego poranka: „Zarówno nominacja Huntera Peala przyjęta przez konwencję republikanów poprzedniego wieczoru, jak i regularne powtórki Casablanki w naszej telewizji, dowodzą niezbicie, że Amerykanie niczego bardziej nie uwielbiają od dobrego show ze znanym z góry zakończeniem”.

Oczywiście, zdarzyły się demonstracje przeciwko takiemu wynikowi konwencji. Jednak, kiedy ogłosiliśmy, że kandydatem na wiceprezydenta będzie Leonard Oliver, protesty niemalże urwały się. Odezwało się tylko kilka odosobnionych głosów, że Pealowi i Oliverowi jest zupełnie nie po drodze i że taka decyzja Huntera jest szczytem hipokryzji. Jednak we dwójkę mogli już rozmawiać z całą Partią Republikańską, od arcykonserwatystów do ultraumiarkowanych. Jeżeli o mnie chodzi, nie miałem wątpliwości, że w tej sytuacji Hunter musi zostać prezydentem i wybory w listopadzie będą już tylko formalnością.

Okrzyki i pozdrowienia dla zwycięskiego Huntera stawały się coraz głośniejsze. On sam zaczął chodzić po scenie, z obiema pięściami zaciśniętymi wysoko nad głową. Co chwilę ktoś rzucał w jego kierunku serpentyny, a kobiety-delegatki obrzucały go nawet kwiatami. Nad całą wielką halą unosił się jeden gromki, dudniący okrzyk:

- Hun-ter! Hun-ter! Hun-ter!

W końcu Hunter powrócił na podium i zatoczył szeroki łuk rękami, prosząc o ciszę. Aplauz powoli cichł, mimo że delegaci z Kolorado wciąż wrzeszczeli jak najęci. W końcu umilkli i oni.

- Przyjaciele, dziękuję wam - zaczął Hunter. - Dziękuję wam za zaufanie, jakim mnie obdarzyliście. Dziękuję wam za wiarę w jasną przyszłość Partii Republikańskiej pod moim przywództwem. A przede wszystkim dziękuję wam za wiarę w Amerykę.

Wybór, którego dokonaliście dzisiaj, jest pierwszym krokiem na drodze do uczynienia naszego narodu ponownie wielkim. Ponownie potężnym. Ponownie bogatym. I znów bezpiecznym.

Wybór, którego dokonaliście dzisiaj, jest pierwszym krokiem na drodze do przywrócenia naszemu narodowi tego wspaniałego ducha pionierów naszego kraju, który przez blisko dwa stulecia unosił się nad naszymi lasami, górami, pustyniami i miastami, kształtując oblicze najpotężniejszego narodu na tej ziemi.

Wybór, którego dzisiaj dokonaliście, jest pierwszym krokiem na drodze do ponownego odkrycia samych siebie: kim jesteśmy, jacy jesteśmy i gdzie jesteśmy.

Moi drodzy, nie miejmy złudzeń, dzisiaj nasz wspaniały naród jest zagubiony. Ten naród błądzi w chaosie niepewności, słabości, źle pojętego idealizmu, demoralizacji i zwykłej głupoty. Błądzi, rządzony przez ludzi, którzy nie zdają sobie sprawy, że do celu można podążać tylko drogą, którą się zna, tylko drogą, której jest się pewnym, drogą, na której nie grożą niebezpieczeństwa ze strony najzwyklejszych insektów czy gadów, drogą, na której z całą pewnością nie ma pułapek, dziur, rozpadlin.

Ludzie, którzy budowali ten kraj, wiedzieli wszystko o tym, jakiej ku temu potrzebują siły, jakiej woli przetrwania, wiedzieli, którzy powinni się poruszać, aby dojść do celów, które sobie wyznaczyli. Jak uważacie, w jakim punkcie historii byśmy się dzisiaj znajdowali, gdyby nasi przodkowie nie byli stanowczy wobec Indian, gdyby układali się z Anglikami, gdyby byli grzeczni wobec Meksykanów? Jak byśmy dzisiaj wyglądali, gdyby George Washington zachował się jak osioł i zamiast atakować Cornwallis, usiadł przy stole i zaczął rozmowy o strategicznych limitach uzbrojenia w muszkiety? Jak byśmy wyglądali, gdybyśmy kiedyś pozwolili Hiszpanom zatrzymać Kalifornię? Gdybyśmy przestrzegali praw obywatelskich Apaczów i nigdy nie przystąpili do cywilizowania Arizony i Nowego Meksyku?

Dziwacznie to brzmi, prawda? Ale zapewniam was, nic dziwaczego w tym nie ma. Jest natomiast trwoga. Trwoga, ponieważ agresywny i bezkompromisowy duch, który kazał nam kiedyś zepchnąć Brytyjczyków do morza, bić Meksykanów i zasiedlać prerie, mimo oporu ze strony Indian - ten duch pogrzebany został przez ludzi, którzy jeszcze nie ponieśli za ta kary. Tak, kary!

Ale - Hunter uniósł w górę wskazujący palec - my tego ducha odrodzimy. Naród nasz znów stanie się silnym i poważanym. Będziemy silni i w ataku, i w defensywie. Będziemy silni ekonomicznie, najpotężniejsi zarówno w produkcji różnych dóbr, jak i w wydzieraniu ziemi surowców. Silne będzie nasze społeczeństwo, gdy odbudujemy potęgę naszych miast, zlikwidujemy nienawiść rasową oraz zawiść i zazdrość pomiędzy klasami społecznymi.

To, co nastąpiło po tych słowach, było najbogatszym pokazem nadprzyrodzonych możliwości Huntera, jaki kiedykolwiek widziałem. Do dziś nie jestem pewien, czy te obrazy wymyślił Hunter, czy po prostu były to spontaniczne wyobrażenia słuchających go ludzi. Wydarzyło się to jednak naprawdę, równie realnie jak przelot B-52 nad głowami dziennikarzy w Connecticut, ale w przeciwieństwie do innych, wcześniejszych halucynacji wywoływanych przez Huntera, wszystko było doskonale widoczne w telewizji.

To było niewytłumaczalne, zresztą nikt wówczas nie próbował niczego sobie wytłumaczyć. Ujrzelśmy obrazy tak bliskie naszym sercom, tak bliskie naszym oczekiwaniom wspaniałej Ameryki, że przyjęliśmy je jako polityczny cud i... tak zostało. Poza tym dla przeciętnego Amerykanina nie było w tym chyba niczego bardziej niezwykłego niż lądowanie Apollo na Księżycu.

Poza tym wydaje mi się, że efekty specjalne, które tak często pojawiają się na ekranach telewizorów, również miały wpływ na naszą reakcję w tym dniu. Przyzwyczailiśmy się już do akceptowania rzeczy niemożliwych jako realne. W chwili więc, kiedy rzecz niemożliwa wydarzyła się na oczach wszystkich uczestników Narodowej Konwencji Republikanów, intelektualnie i emocjonalnie nas to nie zaskoczyło.

Zacząło się delikatnym dudnieniem bębnow. Początkowo z trudem było je słyszeć, gdyż delegaci wciąż pokrzykiwali, kaszleli, chrząkali, a z wielkich głośników grzmiał głos Huntera. Ale kiedy Hunter zaczął grzmieć donośnie, że wydatki na obronę powinny stanowić nie 5 procent amerykańskiego budżetu, jak kiedyś błagał Kissinger, a 8 procent, albo jeszcze więcej, kiedy zaczął

krzyżeć, że należy powrócić do projektu budowy bombowca B-1 i przygotować jeszcze więcej ruchomych wyrzutni pocisków MX, dudnienie było już wyraźne i z każdą chwilą coraz bardziej natarczywe.

Usłyszeliśmy szybkie rat-a-tat-a-tat-ta werbli wojskowych. Dźwięk ten z każdą chwilą nasilał się, aż wreszcie nie było już nawet słycać słów Huntera. Wreszcie salę opanował już wyłącznie dźwięk werbli. Na delegatów wywarł on niesamowity wpływ. Wszyscy wstali z miejsc i zaczęli maszerować tam gdzie stali, waląc obcasami w podłogę tak donośnie, że zdawało się, iż to maszeruje cała armia żołnierzy. Piszczeli, gwizdali i głośno wykrzykiwali, kompletnie zagłuszając Huntera.

On jednak nie dawał za wygraną.

- Stoję tu przed wami - wrzeszczał do mikrofonu - jako ten człowiek, który przywróci Ameryce jej poczucie dumy!

Odgłosy bębnów były już jednak zbyt głośne, a okrzyki i tupot nóg delegatów tak hałaśliwe, że zdawało się, iż Hunter mówi już tylko do ściany.

Scenę zaczął spowijać dym.

- Jezu, palimy się - jęknął Wally Greenschein. Ścisnąłem jednak jego ramię i pokiwałem przecząco głową. To nie był gruby, falujący dym płonących draperii. Był to raczej dym z prochu strzeleckiego - niebieski, kwaśny i mglisty. Wił się w blasku reflektorów, który spowijał Huntera stojącego na scenie i otaczał go promieniami mglistego, białego światła, nadając mu wygląd świętego człowieka.

W tym momencie ujrzałem jak z półmroku za sceną wyłaniają się jakieś sylwetki. Dobosze. Wysocy, obszarpani dobosze, w błękitnych uniformach Rewolucji, w osmalonych białych bryczesach i postrzępionych białych pończochach. Ich głowy poowijane były okrwawionymi bandażami. Z cierpieniem na twarzach, z dumnie uniesionymi głowami doszli jednak na przód sceny i bili w swoje bębny z taką mocą i pewnością, że serce zaczęło mi bić szybciej z podniecenia i zazdrości. Żaden z doboszy nic nie mówił. Żaden z nich nawet nie spojrział w dół na krzyczący, falujący tłum delegatów. Stali, wyprostowani i dumni i wybijali na bębnach rytm.

Dym zgęstniał i z mroku wyłoniło się jeszcze więcej sylwetek. Tym razem były to cztery dziewczyny, uderzające w bębny z taką samą siłą i w takim samym rytmie jak mężczyźni. Ich długie włosy splecione były z tyłu w warkocze. Ubrane były w koszule związane w węzeł na brzuchu i wojskowe żakiety. Kobiety z najwspanialszych fantazji erotycznych. Piersi miały tak wielkie jak najlepsze dziewczyny z „Playboya”, a ich zęby lśniły wprost niewyobrażalną bielą. Do skraju sceny dotarły jednak z taką samą pewnością siebie jak mężczyźni i bębniąc stały z takim samym wyzywającym spojrzeniem. To polityczne wyzwanie było niemal tak samo podniecające jak ich ciała.

Większość spośród obecnych twierdziła później, że ta halucynacja trwała z pięć minut, a może i więcej. Ale ja tam znajdowałem się również, na skraju sceny, i według mnie to wszystko nie trwało dłużej niż dwadzieścia sekund. Pod sceną fotoreporterzy wprost walczyli pomiędzy sobą, aby zrobić jak najlepsze zdjęcia; przez kilka szalonych sekund sala rozbłyskiwała fleszami. Widziałem, jak pewien fotograf z „St. Louis PostDispatch”, pomagając sobie łokciami, stara się przedostać do pierwszego szeregu fotoreporterów. Kiedy wreszcie mu się to udało, sylwetki zaczęły zniknąć. Ich twarze przykrył biały dym, po chwili zniknęły w nim całe postaci. Gdy urządzenia klimatyzacyjne wciągnęły dym, doboszy i dobo-szek nie było. Jakby nigdy nie istnieli.

Sala zaległa w milczeniu. Czułem, że ludzie są przerażeni.

I wówczas ktoś z delegatów z południa wydał radosny okrzyk. Klasyczny, przenikający do szpiku kości radosny okrzyk amerykańskich pionierów. Nagle cała sala wybuchła potężnym

wrzaskiem, tupotem, klaskaniem. Hunter stał wysoko na podium, z wzniesionymi w górę rękami, z uśmiechem mroczniejszym i wyrażającym jeszcze większą satysfakcję, niż to dotąd widziałem u niego. Bóg pomiędzy ludźmi. Bohater.

Jennifer szybciej ode mnie zrozumiała, co się wydarzyło. Hunter pokazał swoim zwolennikom, że posiada magiczną moc, że jest w stanie montować z powietrza patriotyczne obrazy. Jednak w tej iluzji było coś o wiele bardziej ważnego: dziewczyny. Nie takie zwykłe znowu dziewczyny. Dziewczyny lśniące, ładne, o wielkich piersiach i jakby nawołujące, żeby popierać Huntera i Partię Republikańską. Były to dziewczyny, z którymi w sekrecie powinny identyfikować się kobiety republikanów, były to takie dziewczyny, które powinny wzbudzać sekretne pożądanie republikanów.

Co więcej, ukazanie się tych dziewczyn było moralnym i politycznym wyzwaniem dla tych wszystkich, którzy do tej pory odmawiali Hunterowi swojego uznania. Były prowokacyjnym symbolem Huntera i jego oczywistej intencji zbudowania społeczeństwa, w którym każdy, kto był wystarczająco biały i bogaty, mógłby pozwolić sobie na spełnienie wszystkich, nawet najbardziej wyuzdanych żądz.

Większość zgromadzonych była, oczywiście, zupełnie nieświadoma symbolicznych subtelności tego, co przed chwilą zaprezentował Hunter. Usłyszałem, jak gubernator Grogan, z Missisipi mówi do swojej żony:

- Najładniejsze dupenki, jakie widziałem od wielu lat...

Senator Trask z Północnej Karoliny powiedział później do mnie:

- Ta wyzywająca blondynka z lewej strony. Dałbym pięć lat życia, żeby spędzić z nią chociaż jedną noc.

Najbardziej zdumiewające było to, że tylko niewielu delegatów zdało sobie sprawę, że to, co przed chwilą widzieli, było zwykłą iluzją, ułudą, żywą projekcją ich niewyrażonych fantazji. Nawet prasa potraktowała to wydarzenie jako „sprytnie zaaranżowany trick”. A przecież wystarczyło przejrzeć filmy video, aby bez żadnych wątpliwości stwierdzić, że postaci, które przywołał Hunter, naprawdę rozplynęły się w powietrzu. Mądrzy eksperci dopatrywali się w tym wszystkim jednak czyichś kaskaderskich wyczynów. W końcu Superman latał. Luke Skywalker unosił się w powietrzu. Dlaczego więc dobosze Huntera Peala nie mieli rozplynąć się w powietrzu?

W wyniku tego pokazu hierarchia kościelna zaczęła wypowiadać się krytycznie o kampanii Huntera. Ewangelicki duchowny, Cal Gordon, który aż do zakończenia konwencji w Detroit wykazywał pozytywne zainteresowanie sukcesami Huntera, natychmiast wydał oświadczenie dla prasy, potępiające użycie „showgirls” na politycznej konwencji. Nazwał tę halucynację „niewłaściwym wykorzystaniem piękna kobiecego ciała” i „rażąco ordynarnym przykładem wykorzystania seksualnego kobiet”.

Kardynał Tuohy z Filadelfii powiedział, że Hunter mógłby być „mniej wyrachowany” w doborze dziewcząt, i wezwał go, aby publicznie potwierdził swoją wiarę w Jezusa Chrystusa. Annette Baird, żona filmowego kowboja, Douglasa Bairda, stwierdziła, że w dziewczynach było coś „wysoce prowokującego”, nie wiedziała jednak dokładnie co.

„Time” zauważył, że Hunter wzbudził „niezwykle zaniepokojenie wśród przywódców religijnych... ale dotychczasowa opinia o Pealu, wynikająca z jego pracy w Senacie, jego poświęcenia dla rodziny, wskazują raczej, że jego administracja nie będzie zmierzała do szerzenia w kraju wyuzdania i nieskrępowanego seksu...”.

Jeśli chodzi o Huntera, we wczesnych godzinach rannych, kiedy błąd świt budził się nad rzeką Detroit, powiedział:

- Czy potraficie w to uwierzyć? Oni wszyscy na własne oczy widzieli cud, a potrafią myśleć

jedynie o tym, jak seksowne były dziewczyny, które zobaczyli. Tak nisko upadła wiara w Boga w naszym kraju. Pokazałem im potęgę na skalę wszechświata, a oni potrafią myśleć jedynie o cyckach.

A ja? Wówczas nie bardzo wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć. Poszedłem spać o czwartej następnego popołudnia, z Jennifer przytuloną do mojej piersi, i śniły mi się wstrętne bestie, krew, kobiety Wołające o pomoc. Kiedy obudziłem się, była trzecia nad ranem, było bardzo ciemno, a Jennifer spała obok mnie, z twarzą ukrytą w poduszce.

Nagi wygramoliłem się z łóżka i odszukałem papierosy. A potem przez blisko godzinę stałem przy oknie. Palilem, myślałem i obserwowałem czerwone światła samochodów znikających w głębi Jefferson Avenue.

ROZDZIAŁ XIV

Spotkałem się z reprezentantem Oliverem w klubie golfowym Grosse Pointę nad jeziorem St. Clair. Umówiliśmy się wcześniej, że zjemy tam razem późną kolację. Znad wody wiał w naszym kierunku odświeżający wieczorny wiatr, ale wkrótce okazało się, że wewnątrz budynku klubowego jest zarówno przytulnie jak i nastrojowo. Zrezygnowaliśmy więc z posiłku na tarasie. Usiedliśmy za niewielkim przepierzeniem w tylnej części restauracji, gdzie nie byliśmy widoczni dla zbyt wielu ludzi, i na początek zamówiliśmy po drinku. Reprezentant Oliver wyglądał na przepracowanego i zmęczonego.

- To bardzo ładne miejsce - powiedziałem z uznaniem, rozglądając się wokół po suficie i ścianach wyłożonych dębową boazerią. - Czy często grywa pan w golfa?

Potrząsnął głową przecząco.

- Wręcz przeciwnie. W każdym razie nie poświęcam tej grze tyle czasu, ile bym chciał. Jeden z szefów „Chryslera” uczynił mnie członkiem honorowym tego klubu.

Otwarłem kartę dań i zacząłem ją uważnie przeglądać.

- Podają tutaj naprawdę znakomite żeberka w sosie - odezwał się reprezentant Oliver. - Smaczne, syte danie.

- Czyżby zamierzał pan zrujnować moje życie seksualne? - zapytałem go żartobliwie. - Jeżeli zbyt dużo zjem, zasnę, zanim cokolwiek zdziałam z moją przyjaciółką.

- To mnie pan zaskoczył. Po całych dniach u boku Huntera ma pan jeszcze dosyć energii na seks?

Kelner przyniósł mi zimny kufel Hublersa, a przed Leonardem Oliverem postawił porcję krwawej Mary.

- Czy panowie coś zamówią? - zapytał, wymownie spoglądając na zegarek.

- Oczywiście - odpowiedział Oliver. - Poproszę dwa razy żeberka, z brokułami i kandyzowanymi ziemniakami.

Kiedy kelner odszedł, Leonard Oliver założył ręce na piersiach i pochylił się ku mnie nad stołem. Po raz pierwszy zauważyłem, że jego lewe oko jest niebieskie, a prawe brązowe.

- A teraz, Jack - powiedział - chciałbym się wreszcie dowiedzieć, co się, do diabła, dzieje.

- Czy miałby pan coś przeciwko temu, gdy będę się do pana zwracał również po imieniu?

- Najlepsi przyjaciele mówią do mnie L.O. Jeśli podnoszę słuchawkę telefonu i mówię L.O., to już wiadomo, że to ja osobiście.

Wysunąłem z paczki papierosa i uderzyłem kilkakrotnie czubkiem o stół. Odruchowy gest faceta, który kiedyś palił old gold.

- Kiedy usłyszysz, co mam do powiedzenia - zacząłem - z całą pewnością już nigdy nie zechcesz zaliczać mnie do swoich najlepszych przyjaciół.

- Posłuchaj - przerwał mi Oliver. - Ty i ja będziemy pracowali razem niezależnie od tego, co się będzie działo. Niezależnie od tego, czy się będziemy kochali, czy nienawidzili. Biorę za te słowa pełną odpowiedzialność. Nieważne, co powiedziałaś do mnie przez telefon w dniu, kiedy Hunter uzyskał nominację. Moją decyzją było włączenie się w kampanię Huntera, nie twoją, i wcale nie pragnę uciekać przed jej konsekwencjami.

- Czy to znaczy, że i tak przyjąłbyś propozycję Huntera?

- Znam senatora Peala od bardzo dawna - odparł. - Nigdy nie był takim konserwatystą, jakim jest w tej chwili, nigdy tak gwałtownie nie wypowiadał się na temat armii, obronności, koloru skóry, sytuacji naszych miast, ale w jednym się nie zmienił: nigdy nie folgował swoim politycznym rywalom. Gdybym nie zgodził się uczestniczyć w kampanii jako proponowany przez niego

wiceprezydent, przez najbliższe cztery lata by mnie zniszczył. W Kongresie bym nie istniał. Hunter Peal zesłałby mnie na polityczną Syberię. Pociągnąłem łyk piwa i starłem pianę z górnej wargi.

- W każdym razie środki masowego przekazu zaakceptowały twoje stanowisko - powiedziałem. - Te wszystkie wypowiedzi o „dążeniu do przywrócenia jedności partii”, o tym, jak bardzo myliłem się w przeszłości co do Huntera Peala” wzięły za dobrą monetę.

Leonard uśmiechnął się, jednak nie było to oznaką humoru.

- Nigdy nie myliłem się co do Huntera Peala. Zawsze był gwałtowny i despotyczny. Bywał jednak czasami równie ludzki i pełen ciepła. Tak jak Lyndon Johnson w swoich najlepszych latach. Obecnie zachowuje się, jakby w ogóle nie miał serca. Nie zauważyłeś tego? A niektóre jego poglądy na temat ubóstwa, opieki medycznej, funkcjonowania miast... Jezu Chryste, to się niczego nie trzyma.

- A jednak elektorat tego właśnie pragnie - przypomniałem mu. - To efekt wielu lat, podczas których nikt nie zajmował zdecydowanego stanowiska w tych sprawach, efekt wielu lat liberalizmu. Ludzie potrzebują teraz człowieka, który stanie między nimi i zdecydowanym głosem powie: słuchajcie, ma być właśnie tak, a nie inaczej.

- Mam nadzieję, że się mylisz - powiedział Leonard z zadumą w głosie. - Ale z drugiej strony, wątpię, abyś nie miał racji. - Popatrzył na sok pomidorowy w wysokiej szklance. - Chyba tego nie wypiję. To kolor krwi.

Zapaliłem papierosa, zdmuchnąłem zapałkę i przyglądałem się przez chwilę mojemu rozmówcy. Po jakichś dwóch minutach oprzytomniał, znów powrócił myślami do mnie i do restauracji i posłał mi szybki uśmiech, aby mnie upewnić, że wszystko jest w porządku.

- Mógłbym opowiedzieć ci bardzo wiele - odezwałem się. - Ujawnić ci bardzo wiele podejrzeń, dziwnych zdarzeń, niby przypadkowych, opowiedzieć o rzeczach zagadkowych i niewytłumaczalnych. Na razie powiem ci jednak tylko o tym, co widziałem na własne oczy, i co mogę udowodnić. Nie chcę mieszać ci w głowie, opowiadając o moich odczuciach, przeczuciach, podejrzeniach i tym podobnych. Chyba sam zebrałeś ich już dosyć dużo.

- Wal - powiedział cichym głosem.

Spokojnie, rzeczowo, w największym skrócie opowiedziałem mu, jak ogromna przemiana zaszła w Hunterze po trzech dniach, które spędził w Allen's Corners. Opowiedziałem mu o Johnsonie Wilmocie, o prawyborach w Connecticut, o posągu w kufrze i dwóch kamiennych penisach. Opowiedziałem mu o tym, co stało się z biednym zamachowcem, Dukiem Willitsem, i o paraliżu, który nagle dosięgnął Walta Kunsta. Opowiedziałem mu o planie podrzucenia narkotyków do apartamentu hotelowego Fay i Gale.

Oczywiście, nie powiedziałem mu całej prawdy. Jego pomoc była mi niezbędna i gdybym opowiedział mu o swoich podejrzeniach co do zawartości dwóch paczuszek „z narkotykami”, gdybym przyznał się, że znajdowałem się w sypialni Fay i Gale, kiedy znęcała się nad nimi upiorna bestia, sądzę, że Leonard Oliver wybiegłby z klubu i wezwał FBI.

Powiedziałem mu, że zmieniłem swoje zamiary co do paczek z narkotykami i wrzuciłem je do oceanu na plaży Willa Rogersa. A potem poleciałem do Detroit i nie słyszałem nic o losie Fay i Gale aż do następnego ranka.

Kelner przyniósł wreszcie pachnące żeberka i zapytał, czy chcemy zamówić jakieś wino.

- Tak - odparł Leonard. - Poproszę Ritchie Greek.

Uniósł nóż i widelec, jednak nie tykał jeszcze swojego dania. Siedział bez ruchu, wpatrując się we mnie nieobecny wzrokiem i przygryzając wargę. W końcu jednak skupił spojrzenie na mojej twarzy i zapytał:

- Jack, czy w jakiś zawaolowany sposób chcesz mi przekazać, że Hunter miał coś wspólnego ze

śmiercią moich córek?

- Nie mam dowodów - powiedziałem ochryple. - A Hunter ma żelazne alibi. Nie było żadnej naturalnej możliwości, aby tej nocy, gdy zginęły twoje córki, mógł znajdować się w Los Angeles. Powtarzam, żadnej naturalnej możliwości.

- Z tego, co mówisz, wnoszę, że rozważasz jakieś możliwości nienaturalne, nadprzyrodzone, tak?

- Nie jestem tego pewien. Wszystko jest takie mętne...

Powrócił do nas kelner i odegrał przedstawienie z otwieraniem butelki. Leonard posmakował wino i pokiwał głową.

- Interesujący trunek - powiedział. - Nowy na rynku. Przygotowany całkowicie tradycyjną francuską metodą. Ciemny, o bogatym smaku i gęsty. Zaledwie kilkadziesiąt butelek rzucono do tej pory na rynek.

Przez najbliższe dwadzieścia minut jedliśmy, popijaliśmy i nie zamieniliśmy w tym czasie prawie słowa. Byłem tak spięty, że z trudnością połykałem mięso. Być może powiedziałem Leonardowi za wiele? A może nie wierzył ani jednemu mojemu słowu, może myślał, że chcę go wpłatać w jakąś skomplikowaną polityczną intrygę?

Kiedy jednak odłożył w końcu widelec i starannie serwetką otarł usta, powiedział:

- Wiesz co? Wszystko, co mi opowiedziałeś, brzmi niezwykle dziwnie, a mimo to jestem skłonny ci wierzyć.

Popiłem odrobinę wina. Nie byłem entuzjastą czerwonych win z Kalifornii, to jednak mi smakowało.

- Już gdy zaczął tę swoją gwałtowną kampanię w Connecticut, zdałem sobie sprawę, że z Hunterem coś jest nie w porządku - kontynuował. - Nigdy przedtem nie słyszałem go przemawiającego w ten sposób i z początku nie mogłem zrozumieć, o co mu chodzi. W gruncie rzeczy początkowo byłem przekonany, że facet właśnie przegrywa całą swoją karierę. No bo jak może kandydat na prezydenta głośno pochwalać segregację rasową i liczyć na głosy wyborców? A jednak Hunter na to postawił i mu się udało. Co więcej, zaczął zyskiwać entuzjastyczne poparcie. Zaczął zyskiwać głosy.

Wówczas doszedłem do wniosku, że niezależnie od tego, co Hunter chce osiągnąć, jego platforma wyborcza bazuje na nienawiści i przemocy. Myślę, że to dobre słowa. Żądał rozbudowy sił zbrojnych, aby Ameryka mogła zdominować cały świat, żądał umieszczania biednych w gettach, otwarcie żądał budowania społeczeństwa opartego na segregacji rasowej.

To, co mówię, wcale nie znaczy, że nie widzę konieczności wzmocnienia pozycji naszego kraju na świecie. Nie znaczy, że nie widzę upadku naszych miast, nie znaczy, że nie widzę, jak słaby jest nasz obecny rząd. Jestem republikaninem, Jack, i w wielu sprawach zgadzam się z Hunterem Pealem. Nie zgadzam się z nim jednak co do środków.

Ale jestem pragmatycznym politykiem. Bardzo często używam głowy do myślenia. I kiedy zastanawiałem się, czy przyjąć ofertę Huntera, czy też nie, myślałem przede wszystkim takimi kategoriami, jakimi powinien posługiwać się każdy polityk. Wyobraziłem sobie nie tylko, jak Stany Zjednoczone będą wyglądały pod rządami Huntera Peala, z brudnymi miastami i osiedlami bogaczy, z segregacją nie tylko rasową, ale także i finansową. Pomyślałem sobie również o społecznych konsekwencjach kilku lat rządów Huntera Peala.

Wypił jeszcze dwa łyki wina i odstawił pusty kieliszek. Patrzył na mnie bardzo poważnie, silnym, zdecydowanym spojrzeniem.

- Jeżeli Ameryka miałaby być dokładnie taka, jaką ją Hunter opisuje podczas kampanii

wyborczej, wkrótce nasz naród spowoduje wiele zła na całym globie. W polityce międzynarodowej nasze lekceważenie wszelkich umów o ograniczeniu zbrojeń doprowadzi do dziesiątków małych, lokalnych wojen i kryzysów. Hunter chce od nowa rozpętać wojnę wietnamską! Czy wyobrażasz sobie, w jaki sposób zareagują na to Rosjanie? Chce wygonić Sowieców ze Spitsbergenu, mimo że mają prawo nawet wydobywać tam surowce. Chce, aby Ameryka przejęła władzę w Angoli i na Bliskim Wschodzie! A to, według niego, jest dopiero początek.

A pomyśl o sytuacji wewnątrz kraju. Hunter wziął się na biednych, chce wyrzucać ich z dotychczasowych domów i osiedlać w specjalnie wyznaczonych miejscach. Uważa, że prawo do bogactwa mają tylko ci, którzy już są bogaci, a więc dąży do stworzenia wielkiej pogłębiającej się przepaści pomiędzy dwiema warstwami społeczeństwa. Pomyśl o jego poglądach na seks. Jest za bardzo daleko idącą swobodą, chociaż zapewne nigdy ze smakiem nie spojrzy na hippisów pieprzających się w publicznych parkach. Sądzę jednak, że jeszcze nie ujawnił wszystkiego, co ma do powiedzenia w tej dziedzinie. Przekonamy się, gdy wygra wybory. Nie jestem purytański, Jack, ale społeczeństwo rozwiązało to społeczeństwo ginące.

Leonard zdał sobie w tej chwili sprawę, że podnosi głos. Kilkoro gości uniosło głowy znad stołów i wpatrywało się w nas. Umilkł. Odłożył nóż i widelec, którymi do tej pory wymachiwał, a kiedy zjawił się kelner, żeby zebrać puste talerze, zamówił dwie filiżanki czarnej kawy.

- Jednym słowem - kontynuował, już ciszej - uważam, że platforma wyborcza Huntera prowadzi do kryzysów, buntów, rozprężenia społecznego, upadku ekonomicznego i, co najgorsze, do wojen, okrutnych wojen, z tą najstraszliwszą, nuklearną, włącznie.

Mówiłeś do mnie o demonach i diabłach. Cóż, to chyba temat na czasie. Hunter zamierza pogrążyć Amerykę w piekle.

Długo milczałem, zanim zapytałem go:

- A co z twoimi córkami? Zamierzasz kiedyś dowiedzieć się, jak zginęły?

- A powinienem? Czy dysponujesz dowodami, które mogłyby kogoś doprowadzić przed sąd?

- Jeszcze nie - westchnąłem. - Powiem więcej, uważam, że jeżeli teraz zacząłbyś grzebać w tej sprawie, tylko byś pogorszył sytuację. Zaufaj mi i przyjmij moją radę: poczekaj. Któregoś dnia dorwiemy Huntera.

- W porządku - powiedział Leonard. - Ufam ci.

Wyciągnął ku mnie prawą rękę. Ująłem jego dłoń i potrząsnąłem nią, chociaż czułem się w tym momencie wstrętne. Jego twarz bardzo przypominała oblicza jego córek. W wyobraźni ujrzałem je takimi, jakimi widziałem je ostatni raz: blade, cierpiące, przerażone. Nie byłem w stanie odsunąć od siebie myśli, że te dwie piękne dziewczyny przeżyły już z kaprysu Huntera piekło, które dopiero zapowiadał ich ojciec.

ROZDZIAŁ XV

Kiedy wróciłem do „Detroit Plaza”, o 2.30 nad ranem, Jennifer jeszcze na mnie czekała. Odniosłem wrażenie, że płakała.

- Gdzie byłeś tak długo? - zapytała. - Zdaje się, że wyszedłeś tylko coś zjeść.

- Zgadza się. Ale miałem dużo spraw do omówienia. Co się stało?

Potrząsnęła głową i podniosła z łóżka pognieciony egzemplarz „Denver Post”.

- Przeczytaj to - powiedziała.

- O budowie nowych autostrad?

- Nie. U dołu strony.

Popatrzyłem uważnie i znalazłem. Zadrzałem, gdzieś w podświadomości wiedziałem, że coś takiego musi nastąpić, że jest to nieuniknione i że jest tylko jedna z wielu tragedii, które mnie jeszcze czekają.

Powoli zacząłem czytać.

„Prokurator z Denver wraz z żoną ginie w wypadku samochodowym. Denver, czwartek. Czołowy prokurator z Denver, Samuel G. Wieka, lat 53, oraz jego 44-letnia żona, Arlene, zginęli w czwartek nad ranem, gdy ich samochód uderzył w ścianę w Eisenhower Memorial Tunnel na Drodze numer 40, a następnie stanął w płomieniach.

Świadkowie wypadku twierdzą, że pan Wieka stracił kontrolę nad pojazdem bez żadnych widocznych powodów, uderzył w ścianę tunelu, a następnie przekoziółkował. Samochód stanął w płomieniach, a jego bak z benzyną niemal natychmiast eksplodował, czyniąc wszelką ewentualną pomoc bezskuteczną i nierealną.

Pani K. Novato z Longmont powiedziała: - To było straszne. Widzieliśmy, że wewnątrz wciąż są ludzie; krzyczeli i usiłowali wydostać się na zewnątrz. Nikt jednak nie był w stanie do nich podejść i żywcem spłonęli.

W dniu dzisiejszym eksperci policji badali wrak samochodu państwa Wieka, próbując dociec, co było przyczyną tej koszarnej tragedii. Porucznik E. Sheridan powiedział nam, że przed wyjazdem z domu Wieka telefonował na policję i był właśnie oczekiwany w komisariacie w centrum miasta. O czym zamierzał tam rozmawiać, najprawdopodobniej nigdy już się dowiemy.

Pan Wieka był do niedawna szefem sztabu senatora Peala podczas jego kampanii o uzyskanie nominacji Partii Republikańskiej w tegorocznych wyborach prezydenckich. Wyjaśniając, że pan Wieka zrezygnował ze współpracy z nim ze względu na istotne różnice w poglądach na kluczowe zagadnienia, senator Peal powiedział dzisiaj w Detroit, że jest pogrążony w głębokim smutku z powodu śmierci wybitnego prawnika oraz przez długi czas oddanego mu, lojalnego pracownika”.

Artykuł nie kończył się jeszcze, ale dalej już nie czytałem. Odrzuciłem gazetę z powrotem na łóżko i stałem w milczeniu, nagle otępiały, nieszczęśliwy, przerażony. Ani przez moment nie wątpiłem, że to Hunter spowodował śmierć Sama i Arlene. Nie wątpiłem też, że Sam właśnie jechał na policję, aby opowiedzieć wszystko, co wiedział na temat sióstr Oliver i „paczuszek z narkotykami”.

- Czy odejdziesz teraz od Huntera? - zapytała Jennifer. - Czy w końcu teraz odejdziesz?

Popatrzyłem na nią. Z jej szyi zwisały dwa lśniące, białe fallusy.

- Nie - odparłem sucho. - Nie odejdę.

- Nawet po tej zbrodni?

- Nie odejdę właśnie ze względu na tę zbrodnię.

- Ale dlaczego? Czy nie widzisz, kim on jest? Odwróć się po prostu od niego i odejdz.

Opuszkami palców przetałem zmęczone oczy.

- Ktoś musi zostać.

- Czy to powiedział ci Leonard Oliver? Pokiwałem głową.

- A więc zostaniesz, a ten maniakałny zbrodniarz zostanie wkrótce prezydentem. Czy o to ci chodzi?

- Jennifer, on zostanie prezydentem niezależnie od tego, czy przy nim zostanę, czy nie. A wolę przy nim pozostać, bo w każdej chwili, kiedy tylko popełni jakiś błąd, będę w stanie to wykorzystać.

- Zgwałcił i zabił siostry Oliver, a ty ciągle czekasz na jego błąd?

- Nie jestem w stanie mu tego dowieść - warknąłem. - Nie jestem w stanie niczego mu udowodnić! Jest zbyt sprytny i zbyt ostrożny i ma zbyt wielką władzę i wpływ na ludzi. Popatrz na siebie - wciąż nosisz te głupie kamienne fallusy.

Jennifer dotknęła swojego dziwnego naszyjnika. Ostrożnie, niemal pieśczołliwie, jakby dotykała członki żywe, prawdziwe.

- Przepraszam cię - powiedziała. - Przepraszam. Pewnie masz rację.

Usiadłem na skraju łóżka. Nasze walizki walały się po podłodze, częściowo spakowane, ale nie zamknięte. O siódmej rano mieliśmy lecieć do Waszyngtonu. Po południu planowaliśmy przeprowadzenie pierwszej dużej konferencji prasowej w kampanii „Peal na prezydenta”.

Dotknąłem dłoni Jennifer.

- Posłuchaj mnie - powiedziałem. - Rozmawiałem z Leonardem Oliverem. Jest z nami, po naszej stronie. Wobec Huntera żywi takie same uczucia jak my. Prawdę mówiąc, nienawidzi go jeszcze bardziej, ze względu na śmierć swoich córek. Ale chce być pewien, że zanim zdemaskujemy Huntera, nie wykonamy żadnego nie przemyślanego ruchu. Teraz Huntera nie powstrzymamy, nawet nie próbujemy. Wyśmieje nas albo zrobi z nami to samo co z Samem i z Arlene.

- Sam był takim fantastycznym facetem - wyszeptała Jennifer. - Był taki miły. Jak Hunter mógł to zrobić?

- Nie wiem. Nawet nie potrafię udowodnić, że go zabił. Z tego, co nam wiadomo, mógł to być zwyczajny nieszczęśliwy wypadek.

W oczach Jennifer pokazały się łzy.

- To nie był wypadek, Jack. To nie mógł być wypadek. Sam zamierzał zdradzić Huntera, a ten usmażył go w piekielnym ogniu.

Otoczyłem Jennifer ramieniem i przycisnąłem ją do swojej piersi. Zaczęła płakać, a ja przez chwilę modliłem się do Boga Wszchemogącego, aby to wszystko okazało się jedynie sennym koszmarem. W perspektywie miałem trzy miesiące pracy ponad siły dla człowieka, który zamierzał zniszczyć Amerykę i amerykański naród. Jeżeli nie cały ten cholerny świat. Praca dla Huntera Peala nie była niczym innym, jak pracą dla współczesnego Adolfa Hitlera. Zacząłem drżeć, z wściekłości i nienawiści.

Pocałowałem Jennifer i pogłaskałem ją po włosach.

- Kocham cię - szepnąłem. - Nie płacz, Jennifer, jakoś damy sobie radę.

Oddała mi pocałunek, głęboki i zachłanny, była w nim jednak raczej chęć zapomnienia niż żądza. Poczułem, jak jej piersi napierają na moją koszulę.

- Jack - powiedziała. - Przepraszam cię. Tak bardzo mi przykro.

Dziwne, ale coś jeszcze przycisnęło się do mojej klatki piersiowej. Coś gumowego, elastycznego, ale twardego i ciepłego. Uniosłem wzrok i zapytałem:

- Jennifer?

Popatrzyła na mnie, zdziwiona. W jej zielonych oczach igrały bursztynowe ogniki.

- Co się stało? - zapytała. - O co chodzi? Poczułem, jak na mojej koszuli rozlewa się ciepła

ciecz.

Oderwałem się od Jennifer, przestraszony, że zraniłem się albo otrzymałem cios nożem, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Ale to nie była krew. Moją koszulę pokrywał szeroki strumień czegoś białego i bardzo lepkiego.

Po raz drugi tej nocy doznałem szoku, gdy zdałem sobie sprawę, co to może być. Popatrzyłem na dwa kamienne fallusy, dyndające na szyi Jennifer. Z czubka jednego z nich oderwała się właśnie kropla perłowego płynu. Sperma. Sperma diabła.

Zerwałem z siebie koszulę i cisnąłem ją najdalej, jak tylko byłem w stanie.

- Co się stało? - zdziwiła się Jennifer. - Na Boga, co się stało?

Nie byłem w stanie jej odpowiedzieć.

- Wyciągnij z mojej walizki butelkę Johnny Walkera i nalej mi pół szklanki - wydusiłem z siebie drżącym głosem. - To wszystko. Po prostu nalej mi, cholera, jednego solidnego drinka.

ROZDZIAŁ XVI

Kampania wyborcza Huntera Peala przejdzie do historii jako jeden z najdoskonalszych i najlepiej przygotowanych ataków na posadę w Białym Domu, niezależnie od tego, co wydarzyło się później. W sierpniu, po tym jak konwencja Partii Demokratycznej dopiero w piętnastym głosowaniu wyłoniła swojego kandydata, urzędującego prezydenta, Hunter zwołał wielką konferencję prasową, aby ogłosić, że jest jego „uroczystym i odpowiedzialnym zadaniem” uwolnienie Ameryki od kolejnych czterech lat sprawowania rządów przez „nieudacznika, jakiego dawno nie oglądano na arenie politycznej”. Stwierdził, że urzędujący prezydent jest zbyt śmieszną postacią, aby rządzić nadal „naszym wielkim narodem, który tyle już wycierpiał za sprawą nieodpowiedzialnych przywódców”.

W swoim senatorskim biurze w Waszyngtonie powiedział dziennikarzom:

- Gdyby Pierwsza Rodzina występowała w telewizyjnym przedstawieniu i jej oceny były tak niskie jak obecne oceny polityczne, bez wątplenia telewizja zrezygnowałaby z jej usług. Zrezygnowałaby dlatego, bo żadna stacja telewizyjna nie jest w stanie przetrwać, jeżeli jej program jest nieciekawym i nieprofesjonalnym albo jeżeli mija się z oczekiwaniami widzów.

Nasz prezydent jest żywym dowodem na to, że we współczesnym, skomplikowanym świecie nie ma miejsca dla przywódców-bufonów. Panie i panowie, cisną mi się na usta tylko cztery słowa w odniesieniu do tego, co obecnie dzieje się w Białym Domu: czas zakończyć tę bufonadę.

W następnym tygodniu, w towarzystwie swojego sztabu, kilkudziesięciu przepracowanych i nie dosypiających ludzi, Hunter rozpoczął najbardziej agresywną i energiczną kampanię wyborczą naszych czasów. W ciągu 73 dni odwiedził 49 spośród 50 stanów. Udzielił tak wiele wywiadów telewizyjnych, że przestałem już je liczyć, odbył dwie telewizyjne konfrontacje z urzędującym prezydentem. Odwiedzał centra wielkich miast i zapomniane przydrożne chaty i farmy. Fotografowano go, jak całuje dzieci i staruszki. Fotografowano go, jak ściska ręce czarnym, w większości nie mającym pojęcia, kim jest ten facet.

Pracował w takim tempie, że nie dotrzymywało mu kroku sześć sekretarek i jedenastu facetów piszących przemówienia, pracujących na zmiany. Kiedy Micky spała, Hunter wciąż jeszcze pracował, planując spotkania, wiece, parady i publiczne wystąpienia. Wciąż mówił i mówił, aż wreszcie złapałem się na tym, że nienawidzę jego głosu. Uciekałem do ubikacji na dziesięciominutowe posiedzenia tylko dlatego, aby choć przez chwilę nie słyszeć tego wstrętnego akcentu z Kolorado.

Począwszy od sierpnia, aż do pierwszych dni listopada, straciłem rachubę czasu, dzień mylił mi się z nocą, a noc z dniem. W niesamowitym tempie przeprowadzałem się ze stanu do stanu, z hotelu do hotelu, często nie mając czasu ogolić się ani umyć. Whisky wypilem tyle, ile przez ostatnie trzy lata, a papierosów to wypaliłem chyba pięcioletnią porcję. Czasami wyglądałem przez okno jakiegoś pokoju i przez dłuższą chwilę musiałem patrzeć na słońce, aby nabrać pewności, czy właśnie wstaje, czy zachodzi.

Pamiętam pewną noc w Wyoming. Leżałem wyciągnięty jak długi na swoim łóżku, kompletnie ubrany, zbyt wykończony, żeby ściągnąć z siebie rzeczy, w których przez ostatnią dobę pracowałem. Z hotelowego telewizora dobiegały mnie dźwięki muzyki country and western. Jennifer wyszła spod prysznic, świeża, różowa, pachnąca jak mydło, uklękła przy mnie i pocałowała mnie w usta:

- Wyglądasz strasznie - powiedziała. - Pozwól, że cię rozbiore.

Po raz pierwszy w życiu, ociążały i nieruchomy, pozwoliłem spokojnie, aby dziewczyna mnie rozebrała. Nic a nic jej nie pomogłem. Potem, oparty na jej ramieniu, pozwoliłem doprowadzić się do łazienki, wpakować do wanny, a Jennifer myła moje włosy, mydliła całe moje ciało, spłukując z

niego brud i pot.

Kiedy myła mi plecy, odezwałem się:

- Nie rozumiem tego. Hunter nigdy nie jest zmęczony.

- Cóż - westchnęła. - To dlatego, że nie jest człowiekiem.

Umyty, padłem na łóżko i spałem prawie przez cztery godziny. Krótco przed świtem Jennifer przyniosła mi hamburgera i kubek gorącej kawy. Usiadłem, oparty o poduszki. Czując się jak inwalida, jadłem i popijałem kawą. Raz nawet powiedziałem „mniam mniam” z pełnymi ustami.

- Coś mnie martwi - powiedziała Jennifer. - Nie chciałam wspominać ci o tym wcześniej, bo mogłoby to ci się wydać głupie.

- O co chodzi? - zapytałem, przełykając kolejny kęs.

- Chodzi o te marmurowe falusy. Czy uważasz, że jest coś szalonego w tym, że chcę je nosić?

Wzruszyłem ramionami.

- Co ci mam powiedzieć? Jeżeli o mnie chodzi, nie mogę znieść ich widoku.

Zaciskała je w dłoniach. Potrząsnęła nimi gwałtownie; uderzając o siebie, wydały odgłos zderzających się kości.

- Wydają mi się magiczne, wiesz? Zawsze, kiedy je na siebie włożę, czuję się bardzo dobrze, mam wspaniałą nastrój.

- Być może. Ja czuję się wręcz przeciwnie, kiedy widzę cię z tym obrzydliwem na szyi.

Wyciągnęła rękę i dotknęła moich włosów.

- Wiem. I bardzo mi przykro z tego powodu. Ale te penisy mają w sobie coś, jakieś magiczne znaczenie. Coś związanego ze mną. Czuję, że urodziłam się, żeby natrafić kiedyś w życiu właśnie na te penisy.

Ugryzłem kolejny kęs hamburgera. Smakował mi coraz mniej.

- Kochanie, urodziłaś się tylko dlatego, aby spotkać mnie i się we mnie zakochać - powiedziałem.

Uśmiechnęła się.

- Może masz rację? Ale to nie o to chodzi. Te kawałki marmuru jakby wibrowały, jakby mi coś mówiły. Odnoszę wrażenie, że są kluczem do jakiegoś ważnego wydarzenia w moim życiu. Wydarzenia, które jeszcze nie nastąpiło, ale wkrótce się to stanie.

- Czy to cię nie przeraża? - zapytałem. - Przecież otrzymałaś je od Huntera. A wiesz, co stało się z Fay i Gale Oliver.

Zmarszczyła czoło.

- Zapewne powinnam być przerażona, a jednak nie jestem. Są poranki, kiedy postanawiam sobie, że przenigdy już nie założę tych penisów, a jednak robię to i... uspakajam się, odprężam, mam dobry humor. Gdyby miały coś wspólnego ze sprawkami Huntera, nie sądzisz, że byłoby wprost przeciwnie?

- O co ci chodzi? Czy Chcesz mnie przekonać, że nie powinienem sprzeciwiać się, żebyś je nosiła? Nienawidzę ich i nie zmienię swojego zdania.

- Przesadzasz - powiedziała Jennifer. - Jesteś przemęczony i dlatego nadmiernie rozdrażniony.

- A pamiętasz tę spermę na mojej koszuli?

- Jaką spermę? Nie wiem, co to było. Skończyłem wreszcie z hamburgerem i wierzchem dłoni otarłem usta.

- Nie jesteś moją żoną - powiedziałem. - A zresztą, nawet gdybyś nią była, nie mógłbym powstrzymać cię przed noszeniem tych członków. Rób, co chcesz.

Jennifer siedziała przez chwilę, w milczeniu, a potem ściągnęła fallusy z szyi i trzymała je przed

sobą tak, jak rybak trzyma rybę na haczyku.

- Dla ciebie - powiedziała - zdejmę je na zawsze.

- Nie musisz tego robić. Nie proszę cię o to.

- Wiem - powiedziała cicho. - Ale dla ciebie chcę je zdjąć na zawsze i wyrzucić.

Wstała z łóżka, przeszła przez pokój i stanowczym ruchem wrzuciła członki do metalowego kosza na śmieci.

- Uff - westchnęła. - Wibracje nie wibracje. Przeznaczenie nie przeznaczenie. Już ich nie ma.

- Mam ci bić brawo?

Pochyliła się nade mną i pocałowała mnie.

- Poczekaj do nocy - powiedziała. - Wówczas będziesz bił mi brawo.

Pamiętam pewien dzień w Lincoln, w stanie Nebraska, pod zachmurzonym niebem, wśród gęstego deszczu i grzmotu piorunów, na trawniku, na który gęsto opadały liście z jesiennych drzew. Zwołaliśmy wiec na otwartym powietrzu nad jeziorem Antelope w Holmes Park. Tysiące ludzi zjechało się, aby na własne oczy zobaczyć kandydata na prezydenta, obiecującego powrót do szczęśliwych dni, kiedy ziemia dawała obfite plony, a po szosach i autostradach jeździło się solidnymi, ciężkimi samochodami. Przyjechali tutaj z Lancaster, Seward, Cass, z Emerald i Ceresco, a nawet z Beatrice i Yorku. Zgromadzili się w parku i zdjawszy kapelusze z głów, słuchali Huntera przez ponad godzinę.

Zacząło padać, a oni wciąż stali i słuchali. Nigdy nie zapomnę tej sceny: pioruny grmiące dookoła, wyładowania elektryczne co chwilę błyskające na niebie i Hunter przemawiający w zapadających ciemnościach do tłumu ludzi, z twarzą lśniącą od ciężkich kropel deszczu.

W końcu nie wytrzymałem i drżąc, przemoczony, usiadłem w czyimś samochodzie. Była to furgonetka i śmierdziała psami. Gdy tylko znalazłem się w środku, otworzyły się drzwiczki po stronie pasażera i do samochodu wcisnęła się Micky.

- Pomyślałam sobie, że lepiej będzie, jeżeli dołączę do ciebie, niż gdy dostanę zapalenia płuc podczas przemówienia, które słyszałam już ze dwadzieścia razy i znam na pamięć.

Wysunąłem z paczki dwa papierosy i poczęstowałem Micky. Wytarła chusteczką moką twarz i zdjęła z głowy kompletnie przemoczony błękitny kapelusz.

- Jak się masz? - zapytała Micky. - Prawdę mówiąc, wyglądasz na bardzo zmęczonego.

- Czyż wszyscy nie jesteśmy zmęczeni? Oprócz Huntera, oczywiście.

Zaciągnęła się papierosem i pokiwała głową.

- On jest niezniszczalny. Chyba w ogóle nie śpi. Nawet, kiedy kładzie się do łóżka, leży tylko, przez cały czas mając otwarte oczy.

Mimo ciasnoty w samochodzie przeciągnąłem się, a potem gwałtownie ziewnąłem.

- To wszystko dlatego, że koniecznie chce zostać prezydentem - powiedziałem.

Przez moką szybę Micky zerknęła w kierunku swojego męża. Nawet tutaj, wewnątrz zamkniętego samochodu, wyraźnie słyszeliśmy jego dudniący głos.

- Jest bardzo dziwny - powiedziała Micky. - Muszę powiedzieć, że stał się wobec mnie bardzo wyważony, wręcz delikatny. Ale żyjemy tak, jakbyśmy w ogóle do siebie nie należeli. Po prostu egzystujemy osobno, niezależnie od siebie. Oczywiście, nie dotyczy to polityki...

- Dziwi mnie, Micky, że jeszcze pozostajesz przy nim. Nie ma żadnego prawa, które by ci to nakazywało.

- Pewnie masz rację. Ale czasami mam wrażenie, że on mnie zahipnotyzował.

Wahałem się przez chwilę, zanim znów się odezwałem:

- Micky, kiedy Hunter zostanie wybrany prezydentem, być może znajdziemy jakiś sposób, żeby

go powstrzymać.

- Powstrzymać go?

- Hmm... przynajmniej uzyskać nad nim kontrolę. A może poddać go jakiejś obserwacji psychiatrycznej? Uczynić go znów takim, jakim był kiedyś...

- Myślisz, że to jest możliwe? - zapytała Micky, zmarszczywszy czoło.

- Nie wiem. Wiem jednak, że musimy spróbować. Tylko z całą pewnością będziemy musieli czekać, aż jakimś swoim ruchem Hunter spowoduje konieczność reakcji Kongresu.

- Jack, ja cię nie rozumiem.

Popatrzyłem na nią uważnie. Być może robiłem błąd, mówiąc jej to wszystko. Być może znajdowała się pod zbyt głębokim wpływem Huntera. Jeżeli pójdzie do Huntera i powie mu, że wraz z Leonardem przygotowuję usunięcie go z fotela prezydenckiego, zanim jeszcze na nim zasiadł, zareaguje, delikatnie mówiąc, niezbyt przyjaźnie wobec nas.

- Muszę zrobić to, co dla Huntera będzie najlepsze - powiedziałem.

- Będiesz chciał postawić go w stan oskarżenia?

- Niedokładnie. Powinni go jednak zbadać psychiatrzy, przy pełnej wiedzy i poparciu Kongresu. Inaczej mówiąc, należy wymusić na Hunterze rezygnację z powodu stanu zdrowia nie odpowiadającego wymogom, jakie spełniać winna osoba prezydenta. Tego jednak Micky nie powiedziałem.

Przykryła usta dłonią. Pomyślałem, że za chwilę będę żałował swoich słów. Ale nie. Pełnym emocji, drżącym głosem, Micky powiedziała:

- Dzięki Bogu. Nie wiem, co chcesz zrobić. Nie wiem, jak chcesz to zrobić, nie obchodzi mnie to. Ale błagam, ocal go.

- Ocalić Huntera?

Popatrzyła na mnie szeroko rozwartymi oczyma.

- Oczywiście! Chyba nie sądzisz, że monstrum, z którym mamy do czynienia, to prawdziwy Hunter. Przecież on nie zachowuje się jak Hunter, nie myśli jak Hunter, nie mówi jak Hunter.

W milczeniu paliłem papierosa. W tej chwili nie wiedziałem, jak powinienem się zachować wobec Micky.

W miarę jak zbliżał się listopad, przemówienia Huntera stawały się coraz gwałtowniejsze i coraz bardziej napastliwe, prezydent natomiast tylko się bronił, i to dosyć nieudolnie. Przemawiały na jego korzyść jedynie minione cztery lata, a Hunter mógł popuszczać wodze fantazji.

- Prezydent miał całe cztery lata, aby uczynić Amerykę krajem mlekiem i miodem płynącym! - grzmiał Hunter do republikanów zgromadzonych na wiecu z Massachusetts. - I chociaż nawet najwięksi optymiści spośród nas nie spodziewali się po nim cudów, nie spodziewali się tego mleka i miodu, to jednak mieliśmy nadzieję przynajmniej na zrównoważenie bilansu, na to, iż będziemy dysponowali wystarczającą ilością surowców energetycznych, aby przetrwać w wygodzie i ciepłe nowoangielskie zimy. A co dał nam prezydent podczas tych czterech lat? Całkowity upadek naszego handlu, w kraju i za granicą. Stratę kontroli nad bliskowschodnią ropą naftową. Ograniczył nasze zdolności obronne i doprowadził do spadku produkcji przemysłowej. Zamiast kraju mlekiem i miodem płynącego, w wyniku czterech lat rządów naszego prezydenta, codziennością Ameryki jest mizéria, niepewność i wysoka inflacja.

Na tydzień przed wyborami znajdowałem się w Nowym Jorku. Padał deszcz. Stałem przy oknie w biurze „Ruber, Gross i Yetman” - firmy, która prowadziła dla nas badania opinii publicznej. Trzydzieści jeden pięter pode mną widziałem sunące po ulicach centralnego Manhattanu taksówki oraz przechodniów skrytych pod ciemnymi parasolami. Natrętnie dudnienie samochodowych

klaksonów dobiegało do mnie echem, niczym płacz fok.

Doczekałem się wreszcie Franka Yetmana, który jedynie w kamizelce narzuconej na koszulę wszedł z sąsiedniego pomieszczenia. W ustach trzymał zapalone cygaro. Wręczył mi plik wydruków komputerowych i powiedział:

- Proszę bardzo. Oto najnowsze wasze notowania. Uważnie przyjrzałem się rzędom cyfr. Peal 53 procent.

Prezydent 34 procent. 13 procent Amerykanów nie było zdecydowanych, na kogo głosować. W stosunku do poprzedniego dnia Hunter stracił 2 procent głosów.

- Czy te liczby są wiarygodne? - zapytałem.

- O tyle, o ile jest to możliwe w podobnych badaniach. Nie ulega jednak wątpliwości, że Hunter traci grunt pod nogami we wschodnich stanach. Moim zdaniem początkowo zrobił tam wielkie wrażenie, ale kiedy do ludzi zaczęło docierać, jakie społeczeństwo chce on zbudować, masowo zaczęli się od niego odwracać. Jeżeli chcesz znać moją szczerą, prywatną opinię, strata Huntera jest obecnie tak mała z jednego prostego powodu: obecny prezydent nie jest wobec niego żadną rozsądną alternatywą.

- Czy opracowaliście jakieś prognozy?

- Oczywiście.

- No i co?

Frank Yetman usiadł na fotelu i położył nogi na biurko.

- Hunter Peal będzie czterdziestym prezydentem Stanów Zjednoczonych Ameryki, nie ma co do tego, wątpliwości. Ale jego wygrana będzie minimalna.

Złożyłem na pół kartki wydruku i podrapałem się po głowie.

- Taka prognoza nie spodoba się Hunterowi. Przygotowany jest raczej na przygniatające zwycięstwo.

Frank Yetman potrząsnął głową.

- Chcecie wygrać, proszę bardzo, wygracie, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Nie liczcie jednak na wielki, oszałamiający sukces.

Jeszcze tego samego wieczoru zatelefonowałem do Leonarda Olivera, który przebywał w ostatniej podróży przedwyborczej, w Kalifornii. Trzeba przyznać, że w tych dniach prowadził kampanie z takim samym zaangażowaniem i energią jak Hunter. Jego szczególna mieszanka konserwatyzmu i liberalizmu robiła wrażenie i zyskiwała mu przychylne recenzje w massmediach. „San Francisco Chronicle” określił go „lepszą połową Huntera Peala”.

- Nie odniesiemy druzgocącego zwycięstwa - powiedziałem mu. - Prawdę mówiąc, Frank Yetman stwierdził, że możemy odnieść równie minimalne zwycięstwo jak Richard Nixon w sześćdziesiątym ósmym. A co do tego, że Kongres będzie miał silną opozycję demokratyczną, nie ma wątpliwości.

- Powiedziałeś już o tym Hunterowi?

- Jeszcze nie, najpierw chciałem porozmawiać z tobą.

- Cóż, Jack, niewiele mogę ci pomóc. Staram się jak tylko mogę i jak tylko potrafię najlepiej. Musisz przekazać wszystkie dane Hunterowi; przynajmniej ja zrobiłbym to, gdybym był tobą. Powiedz mu, a potem po prostu czekaj na reakcję.

- W porządku, tak zrobię - powiedziałem bez przekonania. - Chociaż wcale mi się to nie uśmiecha.

Hunter mieszkał obecnie w apartamencie w hotelu „Pierre”. We wciąż padającym deszczu nie mogłem znaleźć taksówki, ruszyłem więc w drogę pomiędzy kałużami, z postawionym kołnierzem

płaszcz przeciwdeszczowego i parasolem wystawionym naprzeciwko zacinającym, zimnym kroplom deszczu. Kiedy przechodziłem przez General Motors Plaza, gwałtowny podmuch wiatru wyrwał mi parasol z rąk. Parasol wpadł pod samochód i właściwie nic z niego już nie zostało.

Kiedy, przemoczony i zziębnięty, dotarłem wreszcie do apartamentu Huntera, ciepłego i przytulnego, z szczelnie zasuniętymi draperiami na oknach, ten, w jedwabnym chińskim płaszczu kąpielowym, siedział właśnie przed telewizorem i oglądał w nim samego siebie. Pokaszując, trzęsąc się jeszcze z zimna, usiadłem naprzeciwko niego i wyciągnąłem z żółtej koperty ukrytej pod płaszczem wydruki komputerowe, które otrzymałem od Franka Yetmana. Wręczyłem je Hunterowi, który w milczeniu zaczął czytać materiał.

- Jakie przewidywania? - zapytał po dwóch lub trzech minutach absolutnej ciszy.

- Minimalne zwycięstwo.

- Minimalne? Jak minimalne?

- Być może nie o więcej jak o pięć setnych procentu. Hunter westchnął i oddał mi papiery.

Telewizja nadawała właśnie jego przemówienie:

- „W którym momencie bogactwo staje się czymś, czego należy się wstydzić i czym należy się dzielić? Nie wymaga się od żadnego posiadacza samochodu, aby używał go każdemu człowiekowi, który ma akurat ochotę na przejażdżkę. Od właściciela domu nikt nie wymaga, żeby zapraszał do siebie hipisów, żebraków i przybłądów i dawał im schronienie. Czy mamy więc prawo, aby wymagać od Amerykanów, ciężko pracujących Amerykanów, żeby dzielili swoje dochody, ciężko zapracowane pieniądze, z samotnymi matkami, z ludźmi uzależnionymi od narkotyków, z prostytutkami, wandalami i nielegalnymi imigrantami? Czy mamy prawo w ten sposób wyrzucać wasze podatki?”

- Masz jakieś pomysły? - zapytałem. - W gruncie rzeczy balansujemy na krawędzi.

Hunter uśmiechnął się do mnie szeroko. W jego oczach dziwnym sposobem odbijało się żółtawe światło wczesnego wieczoru; był to mętny, tępy, trupi odblask.

- Oczywiście, że mam pomysły. Jutro lub pojutrze powiem ci o nich kilka słów.

- Nie wyglądasz na zbyt zmartwionego.

- Bo nie jestem wcale zmartwiony. Przewidywałem spadek swojej popularności we wschodnich, stanach. To są tereny, na których mieszka zbyt wielu pieprzonych intelektualistów.

- Czy sądzisz, że jesteś w stanie poprawić nasze notowania przed dniem wyborów?

Hunter wyszczerzył zęby w uśmiechu. Zdawałem sobie sprawę, że to tylko efekt gry światła, jednak w duchu prosiłem Boga, żeby Hunter nie wyglądał tak śmiertelnie żółto.

- Tak myślę - powiedział niemal szeptem. Poczułem, że ściska mi rękę, mimo że był daleko ode mnie i w żaden sposób nie mógł tego zrobić. Stwierdziłem, że czas już iść.

Podszedłem do drzwi i je otworzyłem. Kiedy przechodziłem przez próg, usłyszałem:

- Jack!

- Tak?

- Mogę ci ufać, Jack, prawda?

Popatrzyłem na niego. Deszcz uderzał w szyby. Gdzieś w oddali, zdaje się, że z Piątej Alei, dobiegł aż tutaj dźwięk syreny policyjnego samochodu.

- Czy dałem ci kiedykolwiek powód, abyś w to wątpił? - zapytałem.

- Cóż, jeśli chodzi o Fay i Gale Oliver... Opuściłem wzrok.

- Byłem wstrząśnięty tym, co się stało.

- Wstrząśnięty? - zapytał Hunter z nie ukrywanym zdziwieniem.

Milczałem. Po długiej chwili ciszy odezwałem się wreszcie:

- Czy coś jeszcze, Hunter?

- Tak. Ten izraelski minister, Ben Hachanah. Zdaje się, że w czwartek przylatuje do prezydenta, prawda?

- Tak, w czwartek.

- Wspaniale. I jeszcze jedno. Przyślij do mnie Jima Andersena. Niech przygotuje mi wszystkie materiały, jakie może zdobyć, na temat bezpieczeństwa przewozów lotniczych w naszym kraju. Rejestr wypadków lotniczych i tym podobne rzeczy...

Zmarszczyłem czoło. Hunter patrzył na mnie z uśmiechem od którego drżały mi nogi.

- Tak, zaraz go tutaj przyślę - powiedziałem.

Jak się okazało. Jim Anderson powrócił tego dnia do hotelu dość wcześnie po południu, z silną grypą. Sam więc byłem zmuszony załatwić tę sprawę. Z mojego pokoju w hotelu „Doral” na Lexington Avenue (dawny „Belmont Plaza”, dla tych, którzy uwielbiali hotele z fatalną obsługą i brudnymi, ubogimi pokojami) wziąłem więc wszystkie materiały, jakie miałem pod ręką, włącznie z prezydenckim projektem ustawy o bezpieczeństwie cywilnego ruchu lotniczego.

Sprawa była niezwykle aktualna. Wszyscy Amerykanie mieli jeszcze świeżo w pamięci katastrofę pasażerskiego DC-10 na lotnisku O’Hare w Chicago, w 1979 roku. Prezydent osobiście zwracał uwagę na niektóre szczegóły, związane z bezpieczeństwem lotów. Zalecał prześwietlanie konstrukcji samolotów promieniami Roentgena i badania wytrzymałości materiałów, przede wszystkim zawieszenia silników pod skrzydłami samolotów.

Nie miałem najmniejszego pojęcia, dlaczego Hunter się tym zainteresował, niemniej postanowiłem wszystkie dane wręczyć mu osobiście.

Przestało padać i nagle okazało się, że ulicami Nowego Jorku jeździ mnóstwo wolnych taksówek, ja jednak postanowiłem pójść pieszo. Był chłodny wieczór, powietrze po długich opadach deszczu było świeże i orzeźwiająca. Po ponad roku spędzonym w hotelach, samolotach i samochodach z klimatyzacją, korzystałem z każdej chwili, aby odetchnąć normalnym, zdrowym powietrzem.

Kiedy dotarłem do hotelu Huntera, była niemal północ. Windziarz spróbował zabawić mnie rozmową.

- Przestało padać, co?

Uśmiechnąłem się do niego. Byłem zbyt zmęczony, aby wdawać się w bezsensowne dyskusje na temat pogody. Wypuścił mnie na piętrze Huntera i powiedział:

- Słodkich snów.

Wręczyłem mu jeszcze pół dolara napiwku i drzwi windy zamknęły się za mną.

W hotelowym korytarzu było cicho i za gorąco. Mijałem podwójne drzwi apartamentów, z których każdy miał co najmniej po dwie sypialnie. Wszystkie były zatrzaśnięte, zamknięte na klucz i ciche. Z tego, co wiedziałem o takich hotelach, mogłem sobie wyobrazić, że za tymi drzwiami młodzi mężowie pieszczą swoje żony podczas nocy poślubnych, brzuchaci siedemdziesięciolatki zabawiają się z dwudziestoletnimi dziewczynami, a podstarzałe, samotne i bogate kobiety masturbują się pod prysznicami. Poza seksem w hotelach ludziom przychodzi do głowy różne nieprawdopodobne rzeczy. Pamiętam, jak pewnego razu w Butte, w starym hotelu „Fairmont” pewien facet zamknął się w ubikacji swego hotelowego apartamentu, z ponad setką zdjęć Mamie van Doren, i odstrzelił sobie głowę z rewolweru potężnego kalibru. Widok był straszny.

W połowie drogi do drzwi Huntera niespodziewanie zacząłem się obficie pocić. Zrobiło mi się tak gorąco, że wyciągnąłem z kieszeni chusteczkę. Otarłem nią twarz, ale z każdym krokiem stwierdzałem, że w korytarzu jest coraz goręcej. Coraz trudniej było mi oddychać i się poruszać.

Zerknąłem przed siebie i nagle korytarz wydał mi się zupełnie inny niż zwykle. Był przede wszystkim ciemniejszy, z zewnątrz nie dochodziło żadne światło. Wydawał mi się też o wiele dłuższy. A dokładnie naprzeciwko siebie ujrzałem podwójne dębowe drzwi. Dębowe. Były na nich wyrzeźbione jakieś owoce oraz dwie przerażające twarze. Każda trzymała w ustach stalowe kółko.

Na moment zrobiło mi się słabo. Zachwiałem się i uderzyłem ramieniem o ścianę. Jeszcze raz podniosłem wzrok. Nie było wątpliwości. Koniec korytarza skąpany był w słabym pomarańczowym świetle, takim, jakie przenikało przez witraże na drzwiach sypialni Huntera w Allen's Corners. Panowała kompletna, totalna cisza, jakby miejsce to było całkowicie odcięte od zewnętrznego świata.

Znalazłem się przy drzwiach i uniosłem rękę. Nie pamiętam, żebym do nich podchodził, ale nagle po prostu przy nich byłem, stałem. Straszliwe rzeźbione twarze patrzyły na mnie ze złością; odnosiłem wrażenie, że żyją swoim własnym życiem.

Przycisnąłem wszystkie papiery do klatki piersiowej. To jest nierealne, to się nie dzieje naprawdę, powtarzałem sobie. To niemożliwe. Jestem przecież w hotelu „Pierre”, w Nowym Jorku. A jednak o kilka metrów ode mnie, po mojej lewej stronie, znajdowało się okno z Allen's Corners, z pięknym witrażem. Gdy w nie patrzyłem, widziałem na zewnątrz słoneczny, jasny dzień. O pierwszej po północy!

Zafascynowany i jednocześnie przerażony, postąpiłem kilka kroków w kierunku okna i wyjrzałem przez nie z zaciekawieniem. Na zewnątrz rozciągały się trawniki, alejki, stały posągi bladookich cherubinów, tak jak przed starym domem w Connecticut. Na trawie leżały gnijące liście, nieruchome przy wietrznej pogodzie. Żadnego, nawet najmniejszego podmuchu wiatru, żadnego dźwięku. Nie słyszałem niczego, poza moim własnym oddechem.

Ujrzałem ciemną sylwetkę opatuloną w płaszcz, sunącą szybkim krokiem przez trawnik w kierunku domu. Chciałem dowiedzieć się, kto to jest, ale zbyt szybko zniknęła, abym mógł się zorientować.

A potem usłyszałem głosy. Z całą pewnością głos Huntera. I głos dziewczyny, wysoki, cienki. A potem głęboki, dudniący głos, sprawiający wrażenie, że nie wydobywa się z gardła ludzkiej istoty.

Przycisnąłem ucho do zimnego drewna dębowych drzwi. Byłem tak przerażony, że zaciskałem zęby, a po moich policzkach spływał zimny pot. Ucieczka stąd wydawała mi się jednak niemożliwa. Skoro dopadły mnie halucynacje związane z Allen's Corners, gdzie mogłem uciekać? Nieważne, jak daleko bym się stąd oddalił, mógłbym nawet przekroczyć granice stanu, w każdej chwili znajdowałbym się w centrum tej iluzji. Pomyślałem, że oswobodzę się jedynie wówczas, gdy będę blisko źródła iluzji, a co do tego, gdzie ono się znajduje, nie miałem wątpliwości. Właśnie tutaj, w realnej albo nierealnej sypialni Huntera.

Trzęsącymi się dłońmi otworzyłem drzwi. Zrobiłem szparkę szeroką tylko na kilka cali. Nie mogłem przez nią wiele zobaczyć. Usłyszałem jednak Huntera, krzyczącego, pragnącego czegoś, niemal błagającego. A potem głos dziewczyny, cichy, spokojny. Jednak najgłośniejszy okazał się trzeci głos, ten, który uznałem za nieludzki. Jego długie, nieartykułowane dźwięki składały się na coś, co od biedy przypominało długą wypowiedź, przemówienie.

Uchyliwszy drzwi trochę szerzej, ujrzałem w końcu Huntera, skulonego w fotelu, z rękami szczelnie przyciśniętymi do ciała, jakby było mu zimno. Wyglądał na zniechęconego, zmęczonego, był potargany.

Na skraju łóżka, z nogami podwiniętymi pod siebie, siedziała statua dziewczyny z oranżerii w Allen's Corners. Biała jak marmur, sztywno wyprostowana, ale żywa, oddychająca i mówiąca. Nawet włosy były białe, co nadawało jej niezwykle i zarazem przerażający wygląd żywej i martwej

jednocześnie.

Była naga, jednak jej ciało pokrywała siateczka skórzanych pasków. Były mocno zaciśnięte, wpijały się głęboko w piersi, w brzuch i w krocze dziewczyny.

Ktokolwiek przemawiał do Huntera tym głośnym, nieludzkim głosem, pozostawał poza zasięgiem mojego wzroku. Jednak gdy powoli, bardzo powoli, otworzyłem drzwi jeszcze szerzej, ujrzałem coś, co mnie zmroziło. Była to ręka spoczywająca na poręczy krzesła z ciemnego drewna. Mogłem dojrzeć jedynie ten fragment napastliwego, głośnego gościa Huntera. Ręka porośnięta była gęstymi brązowymi włosami, a paznokcie na palcach dłoni przypominały długie stalowe pazury. Gdy właściciel tej ręki mówił, a raczej wydawał z gardła nieartykułowane wrzaski, ręka uderzała o poręcz, jakby dla podkreślenia znaczenia przemowy.

Z sypialni dochodził też smród. Smród tak niesamowity, że przesładuje mnie do dzisiejszego dnia. Smród jakby kadzidła, starej, zakrzepłej krwi i odchodów. Poczułem się nie jakbym otworzył drzwi do sypialni, nawet nie istniejącej, ale do jakiegoś innego wymiaru bytu, w którym posągi i demony rozmawiają ze sobą, a towarzyszem bytu jest przejmujący, potworny smród.

Ujrawszy to wszystko, zobaczywszy na własne oczy rzeczy tak niesamowite, nagle oteptałem. Ucieczka nie ma sensu. Walka - tym bardziej. Nie byłem w stanie zrozumieć, dlaczego ta halucynacja przydarzyła mi się akurat teraz, tutaj, wiedziałem jednak, że muszę zastosować pierwsze prawo postępowania polityka w takim wypadku: nie wchodzić do gry, jeżeli nie wiesz, co jest grane.

Wciąż stałem we wpół otwartych drzwiach, gdy marmurowa dziewczyna niespodziewanie podniosła się z łóżka, wykonując łagodne, płynne ruchy, i stanęła naprzeciwko mnie. Z trudem przełknąłem ślinę. Była wysoka, piękna, lecz jej śmiejąca się, radosna twarz, miała białą, śmiertelną barwę (przypominała Piętę Michała Anioła), a jej oczy świeciły jedynie bladobiałymi białkami. Skórzane rzemienie opasywały całe jej ciało. Skinęła na mnie, jakby dobrze wiedziała, że przez cały czas stoję w drzwiach i przyglądam się scenie w sypialni.

- Wejdz - powiedziała głosem, który zdawał się dobiegać z wnętrza mojego mózgu. Był to bezlitosny, zimny głos, a słowa tak chłodne jak ciekły tlen.

Nie ruszyłem się. Wpatrywałem się w brązową rękę uzbrojoną w szpony, wciąż opartą o poręcz krzesła. Jej właściciel przestał poruszać pazurami i dłoń zastygła, jakby w jakimś złowieszczym oczekiwaniu. Patrzyłem na nią tak, jak obserwuje się tarantulę.

- Wejdz - powtórzyła dziewczyna. Skinęła głową, zachęcając mnie do tego. Dopiero teraz popatrzyłem na mnie Hunter, nie byłem jednak pewien, czy mnie rozpoznał.

W tym momencie dotarł do mnie chrapliwy głos bestii. Był zarazem nienawistny i uwodzicielski, okrutny i pochlebny.

- Wejdz - powiedziała bestia. - Wejdz. Dlaczego się wahasz? Wiesz, kim jesteśmy. Podejrzywałeś od samego początku. Czy jesteś teraz tak przerażony, że musisz trząść się, stojąc w progu?

Otwartą dłonią otarłem pot z twarzy. Nie wiedziałem, czy powinienem teraz udzielić jakiejś odpowiedzi, czy też nie. W każdym razie nie byłem w stanie uwierzyć mojemu wysuszonemu, zapchanemu gardłu, iż będzie w stanie wydobyć z siebie coś sensownego i zrozumiałego.

- Możesz mieć wszystko, co tylko zechcesz - kontynuował głos bestii. - Wszystko. O czym zawsze marzyłeś? O władzy, jak twój przyjaciel, tu obecny Hunter? O pieniądzach? O kobietach? Żądaj, a dostaniesz wszystko, cokolwiek zechcesz.

Bestia umilkła na chwilę, po czym kontynuowała uwodzicielsko:

- A może chodzi ci o coś zupełnie innego? Może chodzi ci tylko o zaspokojenie wyrafinowanych fizycznych rządz? Takich, które nie każda kobieta potrafi zaspokoić?

W tym momencie ujrzałem własnymi przerażonymi oczami, jak marmurowa dziewczyna pochyła się do tyłu, robiąc popularny mostek. Wychyliła się tak mocno, że wreszcie jej dłonie dotknęły miękkiej powierzchni dywanu. Jej seks otwierał się, coraz szerzej i szerzej, aż ujrzałem śliskie, wilgotne wnętrze pochwy, wciąż jednak śmiertelnie białe. Dziewczyna zaczęła jęczeć w zmysłowej ekstazie i poruszać biodrami, jakby kochała się z mężczyzną. W mojej głowie rozległ się śmiech.

Po chwili dziewczyna zaczęła drżeć w konwulsjach. Ciągłe nie zmieniała pozycji, ale jej ręce i nogi zeszywniały i trzęsły się tylko biodra, jakby poddane działaniu prądu elektrycznego. Usłyszałem jej szept:

- Jack, och... Jack, głębiej, Jack, mocniej. Rznij mnie, wal mnie, dogodź mi, traktuj mnie jak ostatnią dziwkę, och, Jack...

Okręciła się wokół swej osi i wstała, wciąż uśmiechnięta, wciąż wpatrująca się we mnie zimnymi, niesamowitymi marmurowymi oczami. Podeszła do mnie i wyciągnęła ramiona przed siebie, aby mnie objąć. Kiedy to uczyniła, w ciągu kilkudziesięciu sekund przyjęła pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt różnych kobiecych postaci. Ujrzałem między innymi zmysłową Włoszkę, trochę podobną do Sophii Loren, ujrzałem dziewczynkę ze szkoły, z ledwie rozwiniętymi, małutkimi piersiątkami, ujrzałem Murzynkę, dużą, dumną z siebie i agresywną. Zobaczyłem też Chinę, uroczą, cichutką i jeszcze wiele innych postaci.

Mogłem mieć każdą z nich, zabawiać się z każdą z nich tak długo, jak tylko bym chciał, aż zabrakłoby mi sił.

Marmurowa dziewczyna stała przede mną, wystarczająco blisko, aby mnie pocałować. Jej białe ręce dotykały moich policzków, a białe usta rozwarły się w oczekiwaniu. Białe powieki opuściły się na białe oczy.

- Och, mój Boże - powiedziałem.

- Co? - zapytał Hunter.

Popatrzyłem na niego. Dziewczyny nie było. Zniknęła natychmiast, w jednej chwili, nagle. Stałem w drzwiach apartamentu Huntera w hotelu „Pierre”, a Hunter właśnie pojawił się w salonie; w jedwabnym płaszczu kąpielowym właśnie wyszedł z sypialni. Za oknami było ciemno i słychać było wycie silnego wiatru. Z 59 Ulicy dobiegały odgłosy pojazdów.

Popatrzyłem na dokumenty, które trzymałem w ręce. Niespodziewanie poczułem mdłości, ugięły się podę mną kolana. Nie czekając na zaproszenie Huntera, przeszedłem przez pokój i usiadłem na kanapie.

- Myślałem, że przyjdzie z tym Jim Anderson - powiedział Hunter.

- Miał przyjść do ciebie. Ale silna grypa powaliła go do łóżka. Postanowiłem, że sam przejdę się jeszcze raz do ciebie.

- Wyglądasz na zmęczonego. Czy dobrze się czujesz?

- Tak - odparłem. - Nic mi nie jest. Wręczyłem mu dokumenty o bezpieczeństwie ruchu lotniczego. Wziął je ode mnie bez słowa.

- Każę zawołać dla ciebie taksówkę - powiedział po chwili, jakby nieobecny głosem, uważnie przeglądając materiały. - Tej nocy już cię nie będę potrzebował.

Wyciągnąłem z paczki papierosa i zapaliłem go. Przez nie domknięte drzwi do sypialni widziałem fragment drewnianego kufra, należącego do Huntera.

- Wciąż wozisz ze sobą to ciężkie drewniane pudło? - zapytałem.

Hunter popatrzył w tym kierunku i odpowiedział:

- Tak. W środku jest wspaniała rzeźba. Myślę, że przynosi mi szczęście..

Wstałem.

- Dobranoc wiec, Hunter - powiedziałem. Hunter uśmiechnął się.

- Dobranoc - odparł. - I dziękuję ci za te dokumenty. Nawet nie wiesz, jak bardzo mi się przydadzą.

Wyszedłem z apartamentu i starannie zamknąłem za sobą drzwi. Ruszyłem przed siebie korytarzem, najpierw powoli, ale w miarę, jak oddalałem się od drzwi, przyśpieszałem kroku, aż w końcu mój szybki marsz przerodził się w bieg. Gdy dotarłem do drzwi windy, oddychałem ciężko, niczym po długim i wyczerpującym biegu. O mały włos zderzyłbym się z kelnerem, który na wysokim wózku na kółkach wioził komuś do pokoju kolację.

Nic mnie to jednak nie obchodziło. Pragnąłem tylko jednej rzeczy w tej chwili. Wydostać się z tego przekłętego hotelu, zanim zmieni się on w kolejne niesamowite miejsce, zaludnione przez marmurowe posągi, pojawiające się nie wiadomo skąd dziwki i Bóg wie przez kogo jeszcze.

ROZDZIAŁ XVII

W najbliższy wtorek dowiedziałem się, o co chodziło Hunterowi, kiedy żądał materiałów na temat bezpieczeństwa ruchu lotniczego. Bynajmniej nie dowiedziałem się tego od Huntera, który, gdy go o to zapytałem, uśmiechnął się tylko enigmatycznie. Powiedział mi Leonard Oliver.

Byliśmy wtedy znów w Waszyngtonie. Hunter powrócił do swego domu w Georgetown, aby przygotować się do ostatnich wywiadów telewizyjnych i konfrontacji przed wyborami prezydenckimi. Przez jakiś czas mieszkałem z Jennifer w hotelu „Mayflower” i prowadziłem sprawy Huntera z małego, wynajętego biura, mieszczącego się o kilka budynków od hotelu, na Connecticut Avenue.

W miarę jak zbliżał się dzień wyborów byłem coraz bardziej zmęczony. Funkcjonowałem jedynie dzięki kawie, papierosom i zimnym prysznicom. Z powodu zmęczenia i napięcia nerwowego nie mogłem normalnie jeść i moje posiłki ograniczały się zwykle do talerza pikantnej zupy i pajdy czarnego chleba. Dniami i nocami odbierałem telefony. Kiedy dziennikarze ze Wschodniego Wybrzeża kładli się spać, ci na Zachodnim Wybrzeżu właśnie się budzili, a kiedy noc zbliżała się na Zachodnim Wybrzeżu, właśnie otwierali swoje biura Japończycy.

Oczywiście, sztab Huntera pracował przez okrągłą dobę. Zawsze zdarzały się jednak pytania, z którymi dziennikarzy kierowano do mnie, jako najkompetentniejszej osoby, niezależnie od pory dnia albo nocy. Nasiliło się to przede wszystkim po ostatnich wypowiedziach Huntera na temat Kuby, Wschodniej Europy i po jeszcze kilku innych jego agresywnych wystąpieniach poruszających sprawy międzynarodowe.

Mojej sytuacji i stanu ducha nie poprawiał też fakt, że miłość moja i Jennifer zaczęła przeżywać kryzys. Mimo że Jennifer pomagała mi jak mogła, robiąc notatki, pisząc na maszynie, odbierając telefony i w moim zastępstwie udzielając informacji do kobiecych magazynów, pod koniec dnia nigdy nie była tak wykończona jak ja, siłą rzeczy więc zwykle zasypiałem, pozostawiając ją samą, sfrustrowaną i nie zaspokojoną. Byłem zmęczony i kłótniwy, a ona pragnęła się kochać. Ja nie sprawdzałem się w łóżku, w związku z czym i ona wpadała w rozdrażnienie. A to oznaczało, że większość wspólnych wieczorów spędzaliśmy tylko w swoim towarzystwie, przygadując sobie, warcząc na siebie i się wyzywając.

Do tego wszystkiego nie sypiałem najlepiej. Podczas krótkich nocy śniłem o śmiertelnie białych kobietach i wstrętnych dłoniach uzbrojonych w szponiaste pazury, spoczywające na oparciach różnych krzeseł, najczęściej tych, które naprawdę widziałem w ciągu dnia. Budziłem się często, spocony i przerażony, trzęsąc się niczym w wielkiej gorączce.

W końcu dopadła mnie grypa i dlatego w to wtorkowe popołudnie leżałem sam w łóżku, w pokoju, który dzieliłem z Jennifer w hotelu „Mayflower”. Spałem. Jennifer była na zakupach, miała bowiem kupić dla siebie nową sukienkę na przyjęcie, które komitet wyborczy Huntera Peala wydawał tego wieczoru i w którym oboje mieliśmy uczestniczyć. Leonard Oliver pojechał gdzieś z Jimem Andersonem; miał udzielić wywiadu sobotniemu wydaniu londyńskiego „Observera”.

Hunter, z tego, co było mi wiadome, wciąż przebywał w swoim domu Georgetown, pracując nad przemówieniem, w którym zamierzał podsumować cztery lata mijającej właśnie prezydentury. Przemówienie to uznano później za „wyjątkowo napastliwe i oszczercze, stanowiące jawne zagrożenie nie tylko dla Ameryki, ale dla światowego pokoju”.

Leżałem z twarzą wciśniętą w poduszkę, kiedy zadzwonił telefon. Momentalnie w mózgu ukształtowało mi się jedno tylko słowo: kurwa mać. Wyciągnąłem rękę i zdjąłem słuchawkę z widełek.

- Russo. Kto mówi?

- Jack? Tu Leonard. Słyszałeś już?

- A co miałem słyszeć? - zapytałem. - Od dwóch godzin próbuję spokojnie się przespać.

- Chodzi o izraelskiego ministra obrony, Bena Hachanaha. Jego samolot rozbił się, podchodząc do lądowania na lotnisku Dullesa. Ben Hachanah nie żyje. Zginęło jeszcze piętnastu innych dyplomatów izraelskich, cała załoga; jest szansa, że przeżyje jedna ciężko ranna stewardesa.

Odłożyłem słuchawkę na stolik. Byłem już rozbudzony, zresztą nie zamierzałem dalej spać. To, co opowiedział mi przed chwilą Leonard, przeraziło mnie. Z słuchawki wciąż dobiegał mnie jego głos, więc podniosłem ją i znów przyłożyłem do ucha.

- Jack, jesteś tam jeszcze?

- Tak, Leonardzie, słucham cię.

- To zdarzyło się dwadzieścia minut temu. Dziwię się, że o tym jeszcze nie słyszałeś. Telewizja mówi, że szczątki samolotu porozrzucane są po całej wyspie Teodora „Roosevelta.

- Nad Georgetown... - powiedziałem.

- Właśnie. Ale posłuchaj, myślę, że wiesz, co to znaczy. Ben Hachanah był ostatnią nadzieją prezydenta na rozwiązanie problemu Jerozolimy. Jego śmierć odebrała mu ją. Przed wyborami nie będzie w stanie wykonać już żadnego istotnego ruchu na arenie międzynarodowej, a to redukuje jego szanse wyborcze praktycznie do zera.

- Jeszcze gorzej, Leonardzie - powiedziałem. - Chociaż, z naszego punktu widzenia, sytuacja jest jeszcze lepsza.

- Co masz na myśli?

- Kiedy zakończy się śledztwo, okaże się, że jeden z bolców tytanowych, zabezpieczających zawieszenie silnika, nie wytrzymał obciążenia. Wówczas wyjdzie na jaw, że dokładne sprawdzenie tych bolców już wcześniej zalecał, na piśmie, prezydent. Rozumiesz więc...

W słuchawce zapadła długa cisza.

- Skąd to wiesz? - usłyszałem wreszcie drżący głos Leonarda.

- To bardzo proste. W zeszłym tygodniu Hunter poprosił mnie, abym dostarczył wszystko co związane jest z bezpieczeństwem ruchu lotniczego w naszym kraju, ze szczególnym uwzględnieniem projektu nowej ustawy, nad którym prezydent pracował osobiście. Zapytał mnie też wówczas, kiedy Ben Hachanah spodziewany jest w Waszyngtonie...

- Naprawdę, przekonany jesteś, że Hunter...

- Tak.

- O Chryste, ale przecież nie masz żadnego dowodu.

- Nie potrzebuję dowodów. Hunter chciał osiągnąć miażdżącą przewagę nad prezydentem i w tej sytuacji ją osiągnie, nie ma już teraz wątpliwości. Czy wyobrażasz sobie tytuły w dzisiejszych wieczornych gazetach? „Prezydent zlekceważony! Słabość prezydenta przyczyną śmierci Bena Hachanaha w amerykańskim samolocie!” A wyobrażasz sobie wystąpienia Huntera w tej sprawie? „Nie lubię wyciągać przedwczesnych wniosków, wydaje mi się jednak, że będę bezpieczniejszy, jeżeli ten nieudacznym, słaby polityk odejdzie z Białego Domu”.

Leonard ciężko westchnął.

- Chyba masz rację. Mój Boże, aż włosy stają mi dęba na głowie.

- Powinieneś się cieszyć - powiedziałem. - Zdaje się, że już bez żadnych kłopotów zostaniesz wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych.

- Tak - przyznał Leonard niechętnie. - Jednak nie w taki sposób chciałbym wygrać.

- Hunter podobnie postąpił z tobą - przypomniałem mu. W gruncie rzeczy postąpił i postąpi w ten sposób z każdą osobą, która stanie mu na drodze.

- Tak - szepnął Leonard. - Tak, on jest do tego zdolny - dodał po chwili.

ROZDZIAŁ XVIII

Tak jak przewidywałem, katastrofę DC-10 nad Potomakiem spowodowało pęknięcie tytanowego bolca. Inspektorzy federalni doszli do wniosku zadziwiająco szybko i ani przez chwilę nikt nie podważał wyniku ich prac. Hunter, rzecz jasna, odwiedził wyspę Teodora Roosevelta. Został uwieczniony na tysiącach fotografii, stojący w zamyśleniu i w głębokim smutku pomiędzy wciąż dymiącymi resztkami samolotu, z całymi dziesiątkami spalonych ludzkich ciał w tle. Wielokrotnie przytaczano słowa, które tam powiedział:

- Ta straszna tragedia pozwala nam jeszcze jaśniej niż do tej pory ujrzeć Amerykę prawdziwą, taką jaką jest w rzeczywistości, bez retuszu. Naród, który kiedyś był wielki, nie jest obecnie w stanie zapewnić swym obywatelom poczucia bezpieczeństwa... żyjemy w państwie, w którym śmierć może dopaść nas w najmniej spodziewanej chwili, na każdym kroku...

Uniósł palce w geście, który znała już cała Ameryka, i wypowiedział zdanie, które potem powtarzano do znudzenia:

- Nie obiecuję wam, rodacy, niczego nie zbadanego, nie sprawdzonego, podejrzanego ani niepewnego. Nie obiecuję wam niczego nowego, pociągającego jedynie przez swą nowość. Obiecuję wam jedynie powrót do źródeł, które legły u podstaw naszego kraju, obiecuję wam powrót do najlepszych wartości, które kierowały naszymi rodakami w przeszłości. Obiecuję wam dobrą, starą Amerykę. To wszystko.

Komitet Lehmana zadał mi pytanie, czy „na tym etapie wydarzeń” wciąż uważałem, że postępuję odpowiedzialnie, ukrywając swe podejrzenia przed społeczeństwem Ameryki. W końcu byłem przekonany, że senator Peal pośrednio lub bezpośrednio spowodował śmierć ponad dwustu ludzi i nawet jeżeli nie dysponowałem żadnymi konkretnymi dowodami, mogłem przecież przekazać jakąś informację policji albo FBI; śledztwo, które by przeprowadziły te instytucje, mogłoby doprowadzić do konkretnych rezultatów, podczas gdy ja w moich działaniach byłem osamotniony i praktycznie bezsilny.

Odpowiedziałem, że dzieliłem swe podejrzenia z reprezentantem Oliverem, z Jennifer Dwyer i z Micky Peal i że cała nasza czwórka zgadzała się, iż jeżeli zdradzę nasze podejrzenia przed policją albo FBI, wystawię na niebezpieczeństwo nie tylko nasze życia, ale utracimy szansę wyplenienia zła, które zagnieździło się w osobowości Huntera Peala. Leonard powiedział, że „Hunter był zbyt sprytny, aby pokonać go w otwartej konfrontacji. Należało pozwolić mu funkcjonować, aby czuł się coraz bezpieczniejszy i pewniejszy siebie, aby ufał nam... do czasu”.

Dlatego właśnie milczeliśmy po śmierci Bena Hachanaha, która odwróciła wszelkie notowania przedwyborcze na korzyść Huntera. Dlatego też, w dniu w którym cała Ameryka wybierała prezydenta, modliliśmy się, aby, dla dobra kraju, zwyciężył Hunter.

W dniu wyborów w Waszyngtonie padało. Nieustanny kapuśniaczek uczynił całe miasto szarym, ponurym, zimnym i mokrym. Około siódmej nad ranem, pozostawiłem Jennifer śpiącą smacznie w łóżku i poszedłem na spacer pod pomnik Waszyngtona, gdzie wypaliłem papierosa, obserwując deszcz i budzącą się do życia stolicę supermocarstwa. Nie wiem dlaczego, przypomniał mi się dzień, w którym zajechał w to miejsce Richard Nixon i rozmawiał z grupą młodych ludzi w desperackiej próbie zrozumienia ich i pokierowania nimi. Być może tego poranka kierowało mną to samo, co wówczas Richardem Nixonem: próbowałem zrozumieć, kim jestem i dokąd zmierzam. Jeszcze rok wcześniej nawet nie przyszło mi do głowy, że w dzień wyborów prezydenckich będę czuł się właśnie tak, jak w tej chwili. Byłem spięty i podekscytowany, ale też śmiertelnie zmęczony i zniechęcony. Pracowałem jak w transie, niemal automatycznie wykonując to wszystko, co należało do moich obowiązków, nie wkładając w to serca i żadnych uczuć.

Złapałem taksówkę z powrotem do hotelu. Jennifer wstała już i myła głowę. Wczorajsze badania zapowiadały cztertnastoprocentowe zwycięstwo Huntera.

- To dobra wiadomość, prawda? - zapytała mnie Jennifer.

Wzruszyłem ramionami i odpowiedziałem:

- Tak, dobra, oczywiście, że dobra, kochanie. Hunter zamknął się na ten dzień w swoim domu, w Georgetown. Oboje z Micky głosowali w El Paso County; nie chcieli lecieć aż do Kolorado, aby tam zrobić sobie fotografię nad urną do głosowania. Kilkakrotnie przed południem telefonowałem do Huntera, ale zawsze słuchawkę podnosiła pokojówka, Cheryl, i odpowiadała, że pan Peal odpoczywa. Telefonowałem raczej z przyzwyczajenia, bo nie miałem nic ważnego do Huntera. Dziennikarze skupili się na lokalach wyborczych i wszelkich prognozach i przewidywaniach, poza tym byłem pewien, że Hunter w odpowiedniej chwili rozpocznie pracę.

Był to pełen napięcia i niepokoju dzień. Wciąż nie wierzyłem, że śmierć Bena Hachanaha będzie dla obecnej administracji wystarczającym ciosem, aby ją pograżyć i wypromować Huntera jako niekwestionowanego zwycięzcę. Zabrałem Jennifer na wspólny lunch z Leonardem Oliverem. W czasie posiłku w „L'Egalite” wspomniałem im obojgu, że wcale nie jestem pewien, iż Hunter zwycięży. Popijając kawę, Leonard powiedział:

- Musi zwyciężyć. I mam nadzieję, że wygra te cholerne wybory, bo dopiero wówczas będę mógł się do niego dobrać.

- Czy nie lepiej będzie jednak dla Ameryki, jeżeli przegra?

Leonard odstawił filiżankę na stolik z przesadną ostrożnością.

- Może byłoby to lepsze dla kraju, ale w takim wypadku sprawiedliwość nie miałaby już nigdy szansy zatriumfować. Ten facet najprawdopodobniej przyczynił się do zaszlachtowania moich córek, Jack, i nigdy o tym nie zapomnę, ani na sekundę.

Wieczorem wszyscy zgromadziliśmy się w apartamencie Jamesa Evansa w hotelu „Madison”, aby obserwować na bieżąco w telewizorze ostatnie godziny wyborów. James zamówił całą tacę alkoholu i zakąsek, a potem usiadł nerwowo w kącie i gapił się w telewizor, gryząc precle. Wkrótce w apartamencie pojawił się również Dave Dubuque; ubrany był w czarną, wełnianą marynarkę, uśmiechał się nieprzyjemnym uśmiechem piranii. Pod ramię ujmował małą blondynkę, która miała usta wymalowane czerwoną, jaskrawą szminką i dekolt tak głęboki, że dla męskiej wyobraźni niemalże nie pozostawiał miejsca.

- Widzę, że przyzwyczajasz się do tego, co stolica ma najlepszego - powiedziałem do Dave'a. W odpowiedzi wykonał za plecami dziewczyny gest oznaczający pieprzenie i podszedł do tacy z alkoholami. Nalał sobie pół szklanki wódki. Uśmiechnąłem się do niego. Tacy faceci zawsze piją wódkę.

Wally Greenschein przybył kilka minut po pół do dziewiątej, ze swoją żoną, Norą, niczym się nie wyróżniającą, prostą, przeciętną kobietą, ubraną w wełniany kostium w krzykliwym kolorze. Sprawiała wrażenie, że przez cały czas jest pijana, mimo że naprawdę była trzeźwa. Bez przerwy coś się jej nie podobało. Wally jeszcze nie zdążył spokojnie usiąść, gdy zaczęła narzekać, że nie widzi dobrze telewizora i zaczęła zarzucać Jamesa pretensjami, że nie przydzielił jej krzesła w pierwszym rzędzie.

- W końcu, Wally, będziesz przecież najważniejszą osobą w sztabie Huntera - skrzeczała.

Jennifer uśmiechnęła się do mnie przez całą szerokość pokoju i wzniosła wzrok ku sufitowi. Cieszyłem się, że nie ma na sobie tych przeklętych marmurowych fallusów.

Pierwsze rezultaty zaczęły napływać kilka minut przed dziewiątą. Wynikało z nich, że 51 procent głosów otrzymał Hunter, a 34 urzędujący prezydent. Przez następne dwadzieścia minut nic się

specjalnego nie wydarzyło, chociaż pozycja prezydenta spadła jeszcze o dwa procent. Od dziewiątej dwadzieścia pięć wyniki zaczęły jednak wpływać lawinowo i nagle stało się jasne, że nawet śmierć Bena Hachanaha nie powstrzymała spadku popularności Huntera w Nowej Anglii.

Prezydent przegrał zdecydowanie w Massachusetts, co nie było specjalną niespodzianką. Dobrze natomiast wypadł w Vermont, Maine i New Hampshire. Connecticut okazał się jednak stanem wybitnie republikańskim; zwycięstwo Huntera okazało się tutaj wyższe, niż zwycięstwo jakiegokolwiek innego kandydata republikanów w historii Connecticut. Komentatorzy tłumaczyli to napływem do tego stanu nowych, młodych, bogatych ludzi, którzy deklaracje Huntera odnosili prosto i bezpośrednio do siebie.

Potem przez pół godziny czekaliśmy na rezultaty z Południa i Środkowego Zachodu. I nagle przytłaczające zwycięstwo Huntera poczęło stawać się faktem. Południowa Karolina, Tennessee, Kentucky - wszystkie opowiedziały się zdecydowanie za Hunterem. Georgia pozostała przy prezydencie, jednak Floryda opowiedziała się za Hunterem, podobnie jak Minnesota, Wisconsin, Iowa, Missouri i Arkansas.

- To przekracza moje wyobrażenie - wyszeptał Wally Greenschein nabożnie. - Cholera, to jest nokaut. To nokaut.

Illinois głosował za Hunterem i w tym momencie, kilkanaście minut przed północą, uwierzyłem, że wygraliśmy wybory. O pierwszej nad ranem ABC i NBC przepowiedziały, że należy spodziewać się zwycięstwa Huntera porównywalnego jedynie z tym, które w 1964 roku niespodziewanie odniósł Lyndon Johnson nad Barrym Goldwaterem. Obie sieci zgodnie twierdziły, że z całą pewnością zwycięstwo Huntera Peala będzie wyższe niż zwycięstwo Richarda Nixona w 1972 roku, najwyższe do tej pory zwycięstwo republikanina w wyborach prezydenckich.

Dokładnie o pierwszej piętnaście zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę i usłyszałem głos Huntera:

- Oglądasz telewizję? - zapytał.

- Tak, oczywiście.

- Czy wciąż masz wątpliwości co do znaczenia śmierci Bena Hachanaha?

Po chwili milczenia odpowiedziałem:

- Nie.

- To dobrze - powiedział Hunter. - Będziesz doskonałym sekretarzem prasowym Białego Domu.

- Dziękuję, Hunter. Jestem pewien, że będziesz wielkim prezydentem.

Jeszcze długo gapiliśmy się w telewizor. Teksas głosował za Hunterem. Podobnie Arizona. I kiedy wcześniej nad ranem zaczęły napływać wiadomości z Kalifornii, stało się jasne, że Hunter wygrał przytłaczająco, jak napisał później „Newsweek”, „większością głosów kompromitującą urzędującego prezydenta”. Gdy podliczono wszystkie głosy i podano oficjalne rezultaty, okazało się, że na Huntera głosowało 51.263.821 Amerykanów. Prezydent uzyskał 27.035.954 głosy.

Siedziałem w tym zadymionym pokoju hotelowym w Waszyngtonie i trzymałem Jennifer za rękę. Nie wiedziałem, co powinienem w takiej chwili powiedzieć, nie wiedziałem nawet, jak powinienem się czuć. James Evans spał, chrapiąc, oparty ramieniem o ścianę. Dave Dubuque najwyraźniej zniknął w przyległej sypialni ze swoją blondynką.

Wstałem i przeciągnąłem się. Pochyliłem się i pocałowałem Jennifer w czoło. Znowu zadzwonił telefon i niechętnie sięgnąłem po słuchawkę.

- Czy to pan Jack Russo? - padło pytanie.

- Tak, to ja.

- Nazywam się Russel Fairbanks, z „Denver Post”. Chciałbym przeprowadzić wywiad z

prezydentem - elektem.

- Słucham?

- Wywiad z prezydentem - elektem. Z Hunterem Pealem.

Przetarłem zmęczone oczy.

- Tak, rozumiem. Chyba wiem, o kogo panu chodzi.

ROZDZIAŁ XIX

Inauguracja Huntera Peala jako czterdziestego prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki odbyła się chłodnego, deszczowego dnia, okraszonego zacinającym co chwilę mokrym śniegiem. Bez kapelusza, Hunter stał na podwyższeniu. Wokół niego powiewały flagi, a on gromkim głosem obiecywał „przywrócenie ducha Dzikiego Zachodu, zarówno w kraju, jak i za granicą. Znow będziemy dumni i silni, znow będziemy niepokonani”.

Następnie, z Micky u boku, Hunter przeszedł na czele pochodu wzdłuż Pennsylvania Avenue, z rękami wzniesionymi w górę, niczym bokser, który właśnie wygrał walkę. Podążali za nim zziębnięci i przemoczeni członkowie sztabu oraz reprezentacyjne oddziały marynarki, straży pożarnej z Colorado Springs. Orkiestra grała The Liberty Bell March, The Stars And Stripes Forever i International Cakewalk. Ostatnią melodią była, na życzenie Huntera Marching Through Georgia, co miało świadczyć, jak napisał „Washington Star”, o „prymitywnych upodobaniach” nowego prezydenta.

„New York Times” pisał następnego dnia: „Wczoraj w przenikliwym wietrze prezydent Hunter Peal obiecał nam budowę społeczeństwa, w którym wszyscy będziemy wystawieni na działanie lodowatego wiatru, a tych, którzy na czas nie zaopatrzą się w ciepłe okrycia, pochłonie piekło.

Prezydent Peal obiecał nam drastyczne obniżki wydatków administracji federalnej we wszystkich dziedzinach z wyjątkiem obronności. Obiecał nam obniżenie podatków federalnych, drastyczne ograniczenie administracji federalnej i walkę z wszelką niekompetencją. Stwierdził, że nigdy i pod żadnym pozorem nie będzie rozważał możliwości wprowadzania ograniczeń do obecnego prawa pozwalającego praktycznie wszystkim Amerykanom na noszenie broni, gdyż uważa prawo do obrony za jedno z podstawowych praw obywatelskich.

Z wypowiedzi prezydenta jasno wynika, że obecnie wszyscy powinniśmy stanąć twardo na nogach i przestać oczekiwać pomocy od Kongresu, gdy tylko nasze sprawy toczą się źle.

Jak skomentował dzisiaj Lee Kurmanik, doradca poprzedniego prezydenta, najbliższe 1461 dni okaże się ciężkie dla każdego, kto nie potrafi strzelać z rewolweru, dla każdego, kto ma kłopoty z trafieniem w puszkę po coca-coli z odległości dwudziestu kroków.

Dzieci, starcy, mniejszości etniczne, inwalidzi i wszyscy Amerykanie zarabiający mniej niż 25 tysięcy dolarów rocznie - miejcie się na baczności. Jeżeli nie potraficie bronić się samodzielnie, proście o pomoc rodziny i przyjaciół. Jeśli pomoc z tej strony was zawiedzie, cóż, słyszeliśmy, że Kanada jest równie miłym krajem jak Stany Zjednoczone”.

Tego wieczoru Hunter wydał w Białym Domu, we Wschodnim Pokoju, okolicznościowe przyjęcie. Było głośno, co chwilę rozlegały się radosne, niemalże histeryczne wybuchy śmiechu; po sali chodziły w tę i z powrotem nikomu nie znane panienki w sukienkach więcej odkrywających niż zakrywających oraz cała chmara mężczyzn, wyróżniających się skórzanymi krawatami i butami na wysokich obcasach. Byli to, jak poinformował mnie Jim Anderson, ludzie cosa nostry z Kolorado, starzy, dobrzy przyjaciele Huntera Peala, tacy jak, na przykład, James Evans, którzy włożyli miliony dolarów, żeby zobaczyć jednego ze swoich w Białym Domu. Kręcili się w blasku drogocennych żyrandoli i pokrzykiwali do siebie takimi głosami, że gdy ich słyszałem, bardziej niż w innych chwilach zdawałem sobie sprawę, jakiego rodzaju prezydent rozpoczął swoje panowanie w Ameryce.

Mimo doskonałej okazji do świętowania, Hunter nie wydawał się w najlepszym nastroju. Większość wieczoru spędził w Owalnym Gabinetcie, rozmawiając z Wally Greenscheinem. Leonard, zmęczony, odrobinę pijany od nadmiaru szampana, stwierdził, że Hunter cierpi najprawdopodobniej na „poinauguracyjną depresję”. Nie interesowało mnie to. Zdawałem sobie jedynie sprawę, że

Hunter jest teraz prezydentem Stanów Zjednoczonych i bardzo uważnie muszę przyglądać się wszystkim jego poczynaniom. Kufer z Allen's Corners przyjechał tego dnia nad ranem z domu Huntera w Georgetown i został złożony w zachodnim skrzydle Białego Domu.

- Na początku Hunter musi być bardzo ostrożny - powiedział do mnie Leonard. - Raczej nie spodziewaj się po nim gwałtownych ruchów w najbliższych dniach.

Sięgnąłem po papierosa ze srebrnego pudełka, a mijający kelner przypalił mi go, nie zatrzymując się ani nie zmieniając rytmu swych kroków. Dwa razy zaciągnąłem się i zdusiłem niedopałek w popielniczce. Cholera, ten egzemplarz pochodził ze starych zapasów, najprawdopodobniej z inauguracji Harry'ego Trumana, tak był zjełczały.

- A jednak muszę uważać, żeby nie stworzył małej kliki, z Wallym i Dave'em Dubuque i nie trzymał nas z daleka od najważniejszych rzeczy - odparłem. - Jeśli to nastąpi, będzie to oznaczało jedynie, że wylansowaliśmy prezydenta, który jest najmniej odpowiednim człowiekiem na to stanowisko od czasu Warrena Hardinga. Musimy przez cały czas znajdować się tak blisko niego, jak to tylko jest możliwe.

- Denerwujesz się? - zapytał Leonard.

- Sam nie wiem. Czasami wydaje mi się, że Hunter doskonale zdaje sobie sprawę, co knujemy.

Leonard rozejrzył się dookoła w poszukiwaniu następnego kieliszka szampana.

- Jack, nie mamy wyboru, prawda? A najgorsze, że nie mamy pojęcia, przeciwko czemu walczymy. Owszem, wiemy, że przeciw jakiejś nadprzyrodzonej mocy. Ale co to za moc i jak się jej przeciwstawić?

- W przyszłym tygodniu biorę urlop na całe siedem dni - powiedziałem. - Jim Anderson przejmuje na ten czas moje obowiązki. Być może polecę do Connecticut i jeszcze raz obejrzę sobie Allen's Corners.

- Co chcesz tam znaleźć?

- Nie wiem. Pewnie nic. Ale to właśnie tam rozpoczęła się przemiana Huntera i jeżeli istnieje jakiegokolwiek rozwiązanie zagadki jego przeobrażenia, z pewnością można je znaleźć tylko w Allen's Corners.

- Życzę ci powodzenia - powiedział Leonard zmęczonym głosem. - Jeśli chodzi o mnie, zaczynam zastanawiać się, czy przypadkiem nie oceniliśmy źle całej sytuacji.

Popatrzyłem na niego ostro.

- Co masz na myśli? - zapytałem.

- Cóż, zadaję sobie pytanie, co kieruje tym człowiekiem. Jeżeli naprawdę znalazł się w szponach jakichś sił nadprzyrodzonych, dlaczego, do diabła, tak bardzo chce być prezydentem? Przecież pozaziemskim siłom nie są potrzebne ziemskie wybory, żeby sprawiać nam kłopoty. Przecież duch nie potrzebuje głosów od ludzi, aby tychże ludzi straszyć, prawda? Wilkołak nie potrzebuje biurka w ratuszu miejskim, żeby napadać na starsze panie w miejskim parku.

Odebrałem od przechodzącego kelnera szklankę z szampanem i jednym łykiem wychyliłem połowę jej zawartości.

- Myślę, Leonardzie, że nie wszystko pojmujesz - powiedziałem. - Jeżeli zastanowić się nad konfliktem między dobrem a złem, między tradycyjnie pojmowanym Bogiem i tradycyjnym złem, gdzież może diabeł uzyskać większą potęgę i swobodę działania niż w demokratycznych wyborach, które dadzą carte blanche jego działalności? Oczywiście, masz rację, zły duch może postępować tak, jak tylko chce, nie są mu potrzebne żadne wybory. Odnoszę jednak wrażenie, że kiedy Hunter przestąpił próg Allen's Corners, cokolwiek czaiło się w tym domu, zrozumiało natychmiast, że oto nadchodzi doskonała okazja zadomowienia się we współczesnym świecie. Leonard zachwiał się i

przeklął.

- Czy uważasz, że zjawiwszy się w Allen's Corners, będziesz w stanie znaleźć tam jakieś dowody?

- W każdym razie, spróbuję.

- Życzę ci powodzenia. Cholera, cała ta przeklęta sprawa przytłacza mnie.

Odwróciłem się i posłałem szeroki, fałszywy uśmiech, Zenie Coates z „Women's Wear Daily”.

- Może powinieneś czasami pomyśleć o Fay i Gale - powiedziałem do Leonarda.

Potrząsnął głową.

- Nie ma dowodów przeciwko Hunterowi, nawet na to. Wszystko ogranicza się jedynie do przypuszczeń.

- Tak uważasz?

- A czy tak nie jest? Och, Jack, tak jak i ty, jestem przygotowany na walkę z Hunterem, ale na razie potykamy się jedynie w ciemności. Obaj przez cały czas jesteśmy tak blisko niego jak mało kto. Kilka jego nadprzyrodzonych tricków widzieliśmy na własne oczy. Jednak Hunter jest ostrożny, nie daje nam szans i myślę, że w dalszym ciągu dać ich nam nie zamierza. Nawet teraz, kiedy jest prezydentem.

Ująłem go za przegub dłoni i mocno ścisnąłem.

- Posłuchaj mnie, Leonardzie - powiedziałem przez zaciśnięte zęby. - Zanim jednak powiem ci to, co mam zamiar ci przekazać, musisz obiecać mi, że nie puścisz pary z ust. Ani jednego słowa. Kiedy już usłyszysz to, co mam ci do powiedzenia, musisz zachować się tak, jakby nic ci się nie stało, musisz nadal stać przy mnie i spokojnie popijać szampana, w porządku? Leonard zmarszczył czoło.

- O czym ty, do diabła, mówisz?

- Musisz mi obiecać, Leonardzie.

W tym momencie podeszła do nas Jennifer, w błyszczącej, srebrnej sukience, i ujęła mnie pod ramię. Leonard zerknął na nią niechętnie, ale zaraz odgadł, że przecież Jennifer musi dobrze wiedzieć to, co ja chcę mu przekazać, i pokiwał głową.

- W porządku - bąknął niewyraźnie. - Kiedy skończysz mówić, nadal będę tu stał, popijał szampana i nie dam znać po sobie, że wywarłeś na mnie wrażenie.

- A więc posłuchaj - powiedziałem. - Byłem w Los Angeles, kiedy Fay i Gale zostały zgwałcone i zabite. Byłem w ich hotelu i widziałem mordercę.

- Widziałeś?

Na moment zacisnąłem wargi.

- Przykro mi, Leonardzie, nie opowiedziałem ci wszystkiego o tamtej nocy, ponieważ potrzebowałem twojego poparcia. Nie chciałem, abyś wiedział, że w jakikolwiek sposób przyczyniłem się do śmierci twoich córek.

- Co to znaczy? Czyżby zginęły przez ciebie?

- Leonard, uspokój się, proszę cię.

- Jack, o co ci chodzi? Mów, co masz mi do powiedzenia, szybko!

- Posłuchaj - wyszeptalem. - Te paczuszki, niby z narkotykami, wcale nie wrzuciłem ich do oceanu. Zostawiłem je w apartamencie hotelowym Fay i Gale, zgodnie z instrukcją Huntera.

- No i co?

Jeszcze bardziej ściszyłem głos.

- Sądzę, że one nie zawierały narkotyku. Uważam, że było w nich coś takiego, co w sposób nadprzyrodzony, nie znany nam, ludziom, pozwoliło Hunterowi przenieść się w ciągu sekund z

Detroit do Los Angeles. Nie pytaj mnie, w jaki sposób, bo sam tego nie wiem. Zupełnie tego nie rozumiem. Ale tej nocy, kiedy zginęły twoje córki, Hunter był w ich sypialni. Wiem, bo ja też tam byłem. Widziałem, jak Hunter gwałci i zabija Gale, wiem, że chwile wcześniej zabił Fay, bo Gale przed śmiercią zdążyła jeszcze rozmawiać ze mną.

Przez długą chwilę Leonard wpatrywał się we mnie w kompletnym milczeniu. A potem roześmiał się, krótkim, urywanym, głośnym śmiechem, w którym nie było ani jednej nutki radości.

- Co się stało? - zapytałem go. Wzruszył ramionami. Uśmiechnął się.

- Nie wiem, w co wierzyć, Jack. Ale... Kiedy zatelefonowałeś do mnie po raz pierwszy i po raz pierwszy rozmawialiśmy, pomyślałem, że być może naprawdę możesz coś wiedzieć o mordercy Fay i Gale. Naprawdę uwierzyłem w te bzdury o halucynacjach, które wywołuje Hunter i o tym, co wydarzyło się w Allen's Corners.

- To była prawda, Leonardzie - powiedziała Jennifer z naciskiem. - To wszystko było prawdą.

- Nie! - warknął Leonard. - Nabijaliście mnie w butelkę. Nabijaliście mnie w butelkę, sprytnie, bez skrupułów, perfekcyjnie. Wszystko dlatego, bo Hunter desperacko mnie potrzebował, potrzebny mu byłem do wygrania wyborów. Wreszcie przejrzałem tę grę. Metoda kija i marchewki! Tak obawiałem się kija, że w ogóle nie myślałem o marchewce. Ty, Jack, co jakiś czas przypominałeś mi o moich nieszczęsnych córkach. „Przyłącz się do nas, Leonardzie, a dowiesz się, kto je zabił”. Na miłość boską, co za głupota!

Ścisnąłem go za ramię.

- Jesteś pijany, Leonardzie - powiedziałem. - Opowiadasz bzdury i przyznasz to, kiedy wytrzeźwiejesz.

- Naprawdę? Daj już spokój, Jack, jak długo jeszcze chcesz nabierać mnie na ten numer, rodem z powieści science fiction? Mówisz, że zostawiłeś coś u moich córek w Los Angeles i to coś pozwoliło Hunterowi, niczym Supermanowi, przylecieć tam z Detroit i powrócić na miejsce w ciągu jednej nocy. Przecież to idiotyzm. Popatrz tylko, Jack, co ma większy sens: polityczny trick, aby doprowadzić mnie do walki o wiceprezydenturę u boku Huntera, czy jakieś opowieści o mumbo-jumbo, rodem z czarnej magii?

- Leonardzie - szepnąłem. - Ja ci to udowodnię. Parsknął śmiechem.

- Miałeś na to aż siedem miesięcy, i co? Nic! Wciąż słyszę tylko o jakichś podejrzeniach, przypuszczeniach, niejasnych przeczuciach. Teraz chcesz sobie jechać do Allen's Corners, żeby tam jeszcze powęszyć i powrócisz zapewne z kolejnymi tak zwanymi podejrzeniami. Takimi, które mają wystarczyć, żeby tępy i łatwowierny wiceprezydent dał się nabierać jak dziecko przez kolejnych sześć miesięcy, żeby nie rozglądał się dookoła i nie zdał sobie sprawy z tego, że wbrew swej woli poparł najbardziej reakcyjną administrację, jaka kiedykolwiek funkcjonowała w tym kraju!

Zauważyłem, jak Peter Karshoff z „Time'a” nadstawia uszu w naszym kierunku.

- Leonardzie - odezwałem się. - Nie masz racji. Jednak, jeżeli chcesz jeszcze o tym porozmawiać, uczynmy to w jakimś spokojniejszym miejscu. Dobrze? Rozumiesz?

Leonard odepchnął mnie od siebie.

- Rozumiem cię doskonale, wszystko rozumiem. Ale mam już dość rozmawiania na temat Huntera. Zostaw mnie w spokoju i rób, co ci się żywnie podoba. Jedź sobie do Allen's Corners, rób, co chcesz, tylko zostaw mnie w spokoju.

- Leonardzie, posłuchaj...

- Nie, ty mnie posłuchaj. Dość już naigrywania się ze mnie. To moja wina, że ci uwierzyłem, więc nie bój się, że się będę za to mścił. Dam sobie radę ze sobą. A teraz już odejdz.

Zbliżył się do nas Peter Karshoff.

- Czy coś nie w porządku, panie wiceprezydencie? - zapytał.

Leonard popatrzył na mnie złośliwie, po czym odpowiedział Peterowi:

- Nie, panie Karshoff, wszystko jest w najlepszym porządku.

Przyjęcie trwało do wczesnych godzin porannych. Nora Greenschein, głośniejsza i bardziej pijana niż kiedykolwiek, rozpięła koszulę brytyjskiemu ambasadorowi, bardzo układnemu i zasadniczemu człowiekowi o nazwisku Willard, i wdała się z nim w ponad godzinną dyskusję o tym, jak prowadzą się żony sławnych polityków. Ludzie cosa nostry z Kolorado objęli we władanie stół w rogu sali, po same skraje zastawiony butelkami z alkoholem i głośno wspominali, jak to było fajnie, kiedy w Kolorado jeździło się wierzchem, a przejechanie z jednego końca posiadłości na drugi zabierało cały tydzień czasu.

O czwartej nad ranem Jennifer powiedziała mi, że jest zmęczona. Dałem jej jeden z kluczy do naszego apartamentu w hotelu i obiecałem, że wrócę przed śniadaniem. Chciałem jeszcze porozmawiać z Hunterem.

Przeszedłem do zachodniego skrzydła, dwukrotnie gubiąc się w korytarzach, aż wreszcie dotarłem do drzwi Owального Gabinetu. Stało przy nich na straży dwóch marynarzy.

Okazałem moją kartę identyfikacyjną.

- Nie mam wyznaczonego spotkania, a sekretarz prezydenta jest wciąż na przyjęciu - powiedziałem.

Strażnik zlustrował mnie podejrzliwym wzrokiem. Po chwili zapukał do drzwi i poczekał na „wejść” Huntera Peala.

- Jest tutaj pan Russo - powiedział, wsadziwszy głowę w drzwi.

Usłyszałem, jak Hunter wydaje polecenie:

- Wspaniale. Wpuść go.

Wszedłem do środka, a strażnik natychmiast zamknął za mną drzwi. Hunter siedział wygodnie rozparty w fotelu za biurkiem, nogi umieścił na blacie, krawat miał poluźniony, marynarkę przewieszoną przez oparcie fotela, rękawy koszuli podwinięte. Palił cygaro. Wally Greenschein, również z cygarem w ustach, stał przy oknie. W pokoju znajdowało się jeszcze kilku facetów w pozach, które miały świadczyć, że nadzwyczaj intensywnie myślą: szef Pentagonu, George White, dyrektor CIA, Garlton Marsh i szef połączonych sztabów, Dudley Herrick.

Pokój tonął w półmroku, ponieważ paliła się w nim tylko jedna żarówka, na biurku Huntera, a atmosfera w nim gęsta była od dymu tytoniowego.

- Co to jest? - zapytałem Huntera. - Wygląda mi na radę wojenną - dodałem po chwili.

- Nie chodzi o wojnę, Jack - powiedział Hunter. - Raczej o zabezpieczenie całego naszego narodu.

- Naprawdę? A w jaki sposób zamierzasz nas zabezpieczać?

Hunter ściągnął nogi z biurka i wstał. W krótkim okresie czasu między wyborami a inauguracją przybrał na wadze, tak że obecnie brzuch przelewał mu się przez pasek od spodni. Jego twarz też nabrała tłuszczu i stała się otyła, nadęta. Z oczodołów przyglądały mi się małe, błyszczące, świńskie oczka.

- Zabezpieczamy się przed wszystkimi i wszystkim, co nam zagraża. Dzisiejszej nocy diskutujemy o Wietnamie. Według raportów wywiadu, które zaprezentował nam obecny tutaj pan Marsh, błyskawiczny nalot na Hanoi i Thanh-Pho, Ho Ghi Minh, połączony ze skomasowanym lądowaniem naszych sił na plażach w Thanh-Hoa, Cam-Pha, Phan Thiet i Vinh Loi oraz z helikopterowym szturmem na Da Nang, całkowicie zaskoczy Wietnamczyków i pozwoli w ciągu pięciu dni przywrócić w tym kraju demokratyczną władzę.

- W ciągu pięciu dni? - powtórzyłem z niedowierzaniem.

- Przeszliśmy trudną, ale wielce pouczającą lekcję walki w Wietnamie - powiedział George White głuchym głosem. - Dawniej atakowaliśmy tylko cele, które uprzednio zostały dokładnie rozpoznane. Później, kiedy stwierdziliśmy, że takie działanie jest tylko marnowaniem cennego czasu, rozrzucaliśmy bomby, gdzie się tylko dało, i mieliśmy nadzieję, że zadadzą wrogowi straty. Tym razem planujemy zmasowaną i błyskawiczną akcję; ujmujemy strategiczne problemy związane z walką przeciwko Wietnamczykom, pod zupełnie innym, nowym kątem. Podzielimy cały kraj na kilka stref, które odizolujemy od siebie dwóch w ciągu dwóch dni całkowicie sparaliżujemy wszelkie ruchy przeciwnika.

- Mówicie więc o wojnie - stwierdziłem. - Planujecie inwazję na niepodległy kraj.

- O wojnie? - westchnął Hunter. - A właściwie, dlaczego nie? Czyż nie należy im się coś za śmierć tylu wspaniałych, młodych Amerykanów? Za agresję na Kambodżę i Laos?

- Jack, nie chodzi o to, czy nazwiesz te działania wojną, czy też nie - odezwał się Wally Greenschein. - Jest to po prostu ćwiczenie dla naszej armii; musimy przekonać się, czy na dalszym etapie jest ona w stanie dbać o amerykańskie interesy w Azji Południowo-Wschodniej.

- Nie interesuje mnie nazwa - powiedziałem. - Jak myślicie, jak zareagują na coś takiego Rosjanie?

Hunter lekko poklepał George White'a, przechodząc za jego plecami.

- Rosjanie mają inne, ważniejsze problemy, prawda, George? - zapytał.

- Właśnie - stwierdził George. - Poza tym lądowanie w Wietnamie nie jest jedyną operacją, którą planujemy dla przywrócenia pozycji Ameryki na świecie. Przewidujemy interwencję w jeszcze sześciu innych krajach.

Wyciągnąłem papierosa i przypaliłem go. Ręce drżały mi ze zdenerwowania.

- Usiądź, Jack - powiedział Hunter. - Mamy jeszcze wiele spraw do omówienia.

- O jakie interwencje jeszcze chodzi?

- Na Bliskim Wschodzie wylądują elitarne jednostki, zawierające w swym składzie specjalne oddziały szkolne z myślą o unieszkodliwieniu czołowych przywódców. Grupa wojsk zaatakuje Spitsbergen, ze specjalną instrukcją, aby unieszkodliwić wszystkie znajdujące się tam sowieckie helikoptery, starając się jednak, aby straty Rosjan w ludziach były jak najmniejsze. Oddziały marines przeprowadzą inwazję na Angolę od strony plaży. Przeprowadzimy wielki nalot B-52 przeciwko bazom wojskowym na Kubie. Uwolnimy Hessa z więzienia Spandau w Zachodnim Berlinie. No i obsadzimy naszymi wojskami całą strefę Kanału Panamskiego.

Byłem zmęczony, a w głowie szumiał mi jeszcze szampan, którego wypilem chyba trochę za dużo. Myślałem jednak trzeźwo i stałem w Owalnym Gabinetcie, jakbym wrósł w ziemię, czując się jak świadek wykonania wyroku śmierci na krześle elektrycznym, przenosząc co chwilę wzrok z Huntera na Wally'ego, George White'a i na resztę tych typów. Zdawało mi się, że śnię. Oto przywódcy najpotężniejszej zachodniej demokracji całkiem serio dyskutują nad działaniami, które mogą doprowadzić jedynie do globalnego konfliktu zbrojnego.

- Czy rozważaliście, co Rosjanie pomyślą o tym wszystkim? - zapytałem Huntera.

- Oczywiście. Chcemy dać Rosjanom jasno do zrozumienia, że zamierzamy jedynie przywrócić sytuację polityczną, jaka istniała na świecie, zanim oni sami nie zaczęli się po nim panoszyć ze swoimi komunistycznymi ideami. Żadne nasze działanie nie ma na celu zadarcia z sowiecką armią. Gdy tylko osiągniemy cele, które sobie założyliśmy, natychmiast przerwiemy wszelkie działania wojenne. Wycofamy z powrotem na terytorium kraju nasze siły uderzeniowe. Ja to gwarantuję. Oczywiście, wszędzie pozostawimy pewne oddziały, których zadaniem będzie utrzymywanie

porządku. Jednak nikt nie będzie w stanie nazwać nas agresorami.

- Coś takiego! Zamierzasz napaść na Wietnam, Bliski Wschód, Angolę i uważasz, że nie jesteś agresorem!

George White skrzywił się i odkaszlnął. Dyskusję ze mną prowadził jednak nadal Hunter.

- Czy w dawnych, dobrych czasach starego Dzikiego Zachodu marszałka armii Stanów Zjednoczonych uważano za agresora, kiedy nakazywał zabić złodzieja albo gwałciciela? Powiem ci coś, Jack, jeżeli uważasz, że zasady, które panowały na Dzikim Zachodzie, były złe, musisz stwierdzić też, że złe są same podstawy amerykańskiego prawa i porządku społecznego. Nie wierzę, że myślisz w ten sposób.

- Oczywiście, że tak nie myślę, Hunter, i dobrze o tym wiesz! - zawołałem. - Jednak w tej chwili rozmawiamy o polityce międzynarodowej. O rzeczach, które wymagają międzynarodowych rozmów i negocjacji, o rzeczach bardzo delikatnych. Nie rozwiążesz ich przy pomocy sześciostrzałowego rewolweru, ani nawet całej armii!

Hunter zatrzymał się.

- Jack - powiedział głębokim głosem, pełnym troski o mnie. - Jeżeli wierzysz w słuszność amerykańskiego prawa i porządku, musisz w to wierzyć od początku do końca, nie wyliczając żadnych „ale”, „z wyjątkiem” i tym podobnych. Prawo i porządek nie zmienia się w cudowny sposób za granicami naszego kraju. Tam jest taki sam świat, tacy sami ludzie. Kierują nimi te same zasady, te same idee. Ten sam honor. Jeżeli któraś z tych pięknych rzeczy zostaje naruszona, reakcją może być tylko zdecydowane działanie. Nie ma wobec tego alternatywy.

Zapadła długa i nieprzyjemna cisza. Zdawałem sobie sprawę, że wszelka argumentacja z mojej strony nie ma sensu. Co gorsza, jeżeli bym się uparł, poważnie nadszarpnąłbym zaufanie, którym Hunter wciąż mnie darzył, a do tego nie mogłem dopuścić. Wciąż było mi potrzebne.

- Nie jesteśmy głupcami, panie Russo - powiedział wreszcie George White. - Bylibyśmy nimi, gdybyśmy nie doceniali Rosjan. Nasze wyjaśnienia i sytuacja, jaka wytworzy się po naszych działaniach, wcale ich, oczywiście, nie zadowolą. Zawsze będą zmierzali do celu, który raz na zawsze sobie postanowili. Celem tym jest chwycenie całej demokracji zachodniej za jaja. Być może mają nad nami już taką przewagę, że kwestią bliskiego czasu jest ich, tak, panie Russo, ich uderzenie. Jeśli chodzi o Pentagon, jesteśmy przekonani, że uratować nas może tylko jedno: uprzedzenie ich akcji. Szybki, dokładnie opracowany atak, z jak najmniejszymi stratami. Tylko w takim Wypadku zepchniemy ich na pozycje, które zajmowali na początku tego wieku. A potem będziemy ich dobrze pilnować.

- Jaką rolę przewidujecie dla mnie? - zapytałem cicho.

Hunter podszedł do mnie i otoczył mnie ramieniem. Jego przepocone pachy nieprzyjemnie śmierdziały.

- Chcę, żebyś robił to, w czym jesteś najlepszy, Jack. Chcę, żebyś zaczął przygotowywać środki masowego przekazu na to, co się wydarzy, jednak nie pozwalając im nawet domyślać się szczegółów.

Pokiwałem głową. Hunter spojrzał na mnie i rozpromienił się.

- Wiem, że mogę liczyć na ciebie, Jack - powiedział. - Czy napijesz się czegoś, zanim nas opuścisz?

- We wschodnim pokoju jest jeszcze wiele do picia. Jeżeli zapomniałeś, to przypominam ci, że trwa tam przyjęcie na twoją cześć.

Hunter roześmiał się, gwałtownie i głośno.

- Świętować będę dopiero wtedy, kiedy rosyjskiemu niedźwiedziowi zadam cios prosto w jaja.

Co ty na to, George?

George wyszczerzył nierówne zęby w uśmiechu. Miał do tego powód. Po raz pierwszy od dwudziestu lat Pentagon znów zajmie się tym, do czego został powołany. Zajmie się prowadzeniem wojny przeciwko wrogom Ameryki.

ROZDZIAŁ XX

Odgadłem, że coś jest nie w porządku, natychmiast po przekręceniu klucza w zamku hotelowego pokoju. Światła wciąż się paliły, a telewizor nastawiony był na pełen regulator. Jednak zamknąłem za sobą drzwi, zdjąłem płaszcz i dopiero wtedy zawołałem:

- Jennifer!

Sypialnia wyglądała, jakby właśnie przeleciał przez nią huragan. Po całej podłodze porozrzucone były książki i czasopisma. Mój żółty, różowy i zielony papier maszynowy walał się pod ścianami, jedna z zasłon była zerwana, a cały dywan pokrywały okruchy szkła. Na łóżku, w pogniecionej, poszarpanej pościeli, leżała Jennifer. Była blada, naga i spocona. Wpatrywała się we mnie, niezupełnie zdając sobie sprawę, kim jestem.

- Jennifer - powtórzyłem, klękając przy łóżku. - Jennifer, do diabła, co się tutaj dzieje?

- Aaa... - wydobyła z siebie. Nie była w stanie wypowiedzieć ani słowa. Miała szeroko otwarte, pełne przerażenia, oczy.

- Jennifer, co się stało?

Wyciągnęła ku mnie ręce i przycisnęła mnie mocno do siebie, jakbym był ratownikiem, który przybył na pomoc, aby ocalić ją przed niechybnym utonięciem.

- To było jak wiatr - wykrztusiła. - Latało po całym pokoju i porwało wszystko, co tylko tutaj leżało. A przecież nawet okno nie było otwarte.

- Czy coś ci się stało? - zapytałem. - Na miłość boską, Jennifer, trzęsiesz się jak galareta.

Potrząsnęła głową.

- To był tylko podmuch. Wszystko fruwało po całej sypialni. Kartki papieru, szkło, książki... I był przeraźliwy hałas. Jak w czasie huraganu.

Objąłem ją najczulej, jak potrafiłem.

- Może po prostu nawaliła klimatyzacja...

- Nie, popatrz...

Uniosłem głowę i rozejrzałem się dookoła.

- Na co mam patrzeć? - zapytałem.

- Tam, na to biurczko.

Wstałem i depcząc po kartkach papieru, ruszyłem we wskazanym przez Jennifer kierunku. Na biurku, pomiędzy porozbijanymi butelkami i szklankami, znalazłem dwa najbardziej przeze mnie w życiu znienawidzone przedmioty. Kamienne fallusy, które Hunter podarował Jennifer w Hartford, a które po prostu wyrzuciła w Chyenne, w stanie Wyoming. Były tutaj, z powrotem. Cichutkie, białe, złowrogie.

- Zdaje się, że nie pogodziły się ze swoim losem - powiedziałem cicho.

- Wiem! - wrzasnęła Jennifer wysokim, histerycznym głosem. - Ale jakim cudem znalazły się tutaj z powrotem? Przecież je wyrzuciłam! Pamiętasz, jak je wyrzucałam?

Popatrzyłem na fallusy ze wstrętem i przerażeniem.

- Są tylko trzy sposoby, w jakie mogły się tutaj dostać - powiedziałem. - Albo wyciągnął je z kosza na śmieci ktoś, kto chciał cię przestraszyć, a może zrobić głupi kawał, albo ty sama wzięłaś je z kosza, świadomie albo nieświadomie.

- A trzeci sposób? - zapytała Jennifer, wpatrując się szeroko rozwartymi oczyma w dwa fallusy,

jakby obawiając się, że za chwilę na nią skoczą.

- Trzecim sposobem może być taki, jakiego Hunter użył, aby dostać się do Los Angeles.

Transmisja materii.

Teleportacja. Rzecz, materia, znika w jednym miejscu, żeby natychmiast znaleźć się w innym.

- To niemożliwe.

- Tak myślisz? Pozwól więc, że ci zadam pytanie. Czy ktoś wchodził w nocy do tego pokoju?

- Nie.

- Kiedy wiał ten wiatr, czy widziałaś kogoś, jakiegoś złodziejaska, kogokolwiek?

- Nie.

- Czy to ty położyłaś te członki na biurku?

- Oczywiście, że nie.

- Jesteś pewna?

- Jack, przecież chciałam się ich pozbyć. Wyrzuciłam je, zdawało mi się, że na zawsze. Ciężko westchnąłem.

- A więc? Skoro ani ty ich tutaj nie przyniosłaś, ani nie przyniósł ich nikt inny, najprawdopodobniej zmaterializowały się tutaj same.

Jennifer usiadła na skraju łóżka i zaczęła nerwowo obgryzać paznokcie.

- Boję się, Jack. Pozbądź się tych okropieństw.

- Jak? Czego bym z nimi nie zrobił, w każdym przypadku zawsze tutaj powrócą.

- Czy nie możesz posiekać ich na drobne kawałeczki?

- W pokoju hotelowym o piątej nad ranem?

- No więc, co z nimi zrobisz?

- Na razie zostawię je tutaj, nie dotykając ich. A potem pójdę do Huntera i powiem mu, że wolisz, żeby zostały u niego.

Poszedłem do łazienki i z lodówki pod zlewem wyciągnąłem puszkę piwa. Pociągnąłem za wieczko i napełniłem złocistym płynem kubek do mycia zębów. Wróciłem do sypialni.

- Chyba nic mnie nigdy w życiu tak nie przerażyło, jak te dwa wstrętne penisy - powiedziała Jennifer. - Ale z drugiej strony, one wzbudzają we mnie jakiś nieopisany pociąg... Nie potrafię tego wyjaśnić.

- Nie musisz.

Usiadłem na łóżku i zacząłem rozpinać koszulę. Jennifer pocałowała mnie i odezwała się:

- Wyglądasz na zmęczonego. Jak było w Białym Domu, wszystko w porządku?

Pokiwałem głową.

- Powiem ci ściśle tajną wiadomość. W trakcie swego inauguracyjnego przyjęcia Hunter opracowywał strategię wojenną. Było to dla niego zbyt pilne, żeby mogło czekać do rana.

Kopnąłem prawą nogą stertę papieru.

- Popatrz na ten bałagan - westchnąłem. - Chyba nas za to wyrzucą z hotelu.

Jennifer znów mnie pocałowała i objęła ramionami.

- Jeśli tak się stanie, znajdziemy sobie jakieś małe, przytulne mieszkanie. Takie, gdzie będziemy mogli głośno grać muzykę, gotować makaron i często się kochać. Daleko od Huntera, polityki i całego tego wariactwa.

Dokończyłem piwo i otarłem usta wierzchem dłoni.

- Tak - powiedziałem i pokiwałem głową, jednak bez większego przekonania. - Może tak zrobimy.

Rozebrałem się, wziąłem prysznic i wskoczyłem do łóżka. Zaraz miało świtać, niebo było

jednak ciągle ciemne. Jeden z tych ponurych styczniowych dni, podczas których słońce ukazuje się na bardzo krótko i tylko chwilami przeziiera niepozornie przez szare chmury, niczym jakaś dziwna, szkarłatna planeta.

Jennifer otoczyła mnie ramieniem, a ja tylko leżałem, wpatrując się w fosforyzującą tarczę budzika, nawet nie próbując zasnąć.

No bo jak tu spać? W tym samym pokoju znajdowały się dwa przekłete marmurowe penisy; myśl o nich, a dokładniej, o tym, jak się tutaj dostały, nie dawała mi spokoju. Myśli jeszcze straszniejsze błąkały się po moim umyśle; myśl o agresywnych zamiarach Huntera wobec południowo-wschodniej Azji i Afryki. Czy on naprawdę zamierzał zbombardować Hawanę?

A jednak, około szóstej trzydzieści, kiedy w sypialni wciąż było ciemno, zacząłem zapadać w drzemkę. Dopadły mnie koszmary - krążyłem zagubiony po Białym Domu, próbując odszukać Huntera. Biegałem po szerokich błękitnych trawnikach, na których zeschnięte liście przypominały szkielety krabów. Śniła mi się walka, ucieczka i krzyk.

Usłyszałem tętent kopyt. Wyraźny, ostry tętent. Śniłem o marmurowym koniu, który biegał, i o marmurowych twarzach, które uśmiechały się do mnie przez zakurzone szyby. Potem koszmar zmienił się, ale tętent nie ustawał i nagle zdałem sobie sprawę, że łóżko podskakuje w jego rytmie.

Otworzyłem oczy. Już nie śniłem. Byłem rozbudzony. A obok mnie, Jennifer charczała, jęczała i rzucała się to w lewo, to w prawo. Przetarłem oczy i uważnie wpatrzyłem się w półmrok, mimo że byłem śmiertelnie przerażony. Na tle białej ściany ujrzałem sylwetkę ujeżdżającą Jennifer. Przyłożyłem dłoń do ust, żeby nie wrzasnąć ze strachu.

Była to wielka, zwalista istota, mroczna jak sam grzech. Jej oczy jednak lśniły pomarańczowo jak oczy wilka, a z jej głowy wyrastały dwa zakrzywione rogi. W powietrzu unosił się zapach stęchłego kadzidła i zwierzęcego potu. Bestia pomrukiwała w groteskowym zadowoleniu.

- Jennifer! - krzyknąłem. A potem nagie skoczyłem na równe nogi i dwiema gołymi rękami zacząłem walczyć z bestią.

To było przerażające i ohydne. Wszędzie miała sierść, kłujące włosy, które zdawały się znajdować pod napięciem. Ich ukłucia odbierały moim mięśniom wszelką siłę.

Usłyszałem dudniący dźwięk, jakby śmiech i nagle otrzymałem potężny cios w pierś. Poleciałem do tyłu i kręgosłupem boleśnie uderzyłem o kant biurka. Spróbowałem powstać, ale dopadł mnie tak potężny ból w kroczu, że opadłem na kolana.

- Hunter! - krzyknąłem. - Zostaw ją!

Znow ten wstrętny śmiech. Tak jakby ktoś uderzył młotem w zbiornik pełen wody. A potem głęboki, rezonujący głos:

- Wiesz, dlaczego zostałeś oszczędzony. Po to, żebyś mi pomógł, i po to, żebyś trzymał tę dziewczynę blisko mnie, aż nadejdzie właściwy dzień. Ten prawie już nadszedł. Ta dziewczyna ma mi służyć. Duch potępiony już znajduje się w niej. Duch tych, którzy zostali zmuszeni do czekania. A ona wkrótce będzie moja.

Podjąłem jeszcze jeden wysiłek, żeby się podnieść, ale moje jądra ogarnął tak przenikliwy ból, że momentalnie padłem na podłogę. Przeczółgałem się kawałek, ale przecież wiedziałem, że jeżeli zaatakuję bestię jeszcze raz, najprawdopodobniej zginę. Pociłem się i z trudem łapałem oddech.

Na moich oczach, w ponurym hotelowym pokoju, bestia gwałciła Jennifer, zadając jej z każdą chwilą coraz większy ból, czerpiąc z tego nieopisaną przyjemność. Spróbowałem zamknąć oczy, żeby nie być świadkiem tego upokorzenia, upodlenia, ale mój strach był tak wielki, że natychmiast je otworzyłem. Jennifer jęczała, a bestia pomrukiwała w radosnym zadowoleniu.

I nagle bestia razem z Jennifer uniosły się w powietrzu. Wkrótce pomiędzy nagim ciałem

Jennifer a pościelą były co najmniej trzy stopy pustej przestrzeni. Dokładnie widziałem białe, trzęsące się pośladki Jennifer. Wyraźnie słyszałem Jennifer wyjącą z bólu i w ekstazie nadchodzącego orgazmu; w bladym świetle poranka widziałem już dwa lśniące członki wbijające się w biel jej ciała.

Czułem się o wiele bardziej poniżony i bezradny niż w jakimkolwiek momencie kampanii Huntera Peala. W skrajnej rozpaczyc zacząłem zastanawiać się, dlaczego nigdy nie próbowałem powstrzymać Huntera, dlaczego go nie zabiłem? Dlaczego nie zrobiłem nic, co by zapobiegło temu bestialskiemu, przerażającemu gwałtowi?

Jennifer zaczęła krzyczeć. Nawet nie bardzo głośno. Ale odgadłem, że właśnie w tej chwili, dopiero teraz, w pełni zdała sobie sprawę z tego, co się z nią dzieje, co robi z nią bestia, jak głębokie i nieodwracalne rany jej zadaje. Zdała sobie sprawę, że grozi jej śmierć.

- Hunter! - krzyknąłem, mimo bólu w kroczu. - Hunter, na miłość boską.

Ale nawet imię Boga nie pomogło. Bestia robiła swoje. Ujrzałem, jak podryguje jej długie, czarne ogon, przypominający szczura, ale nienaturalnie wielki. A potem zobaczyłem pierwsze krople krwi na pościeli.

Po chwili krew leciała już w dół strumieniami. W miarę jak bestia zaczęła dochodzić do wstrętnego, gwałtownego orgazmu, krew rozlewała się coraz szerzej, pokrywając ściany, lustra; kilkanaście kropel spadło i na mnie. Usłyszałem Jennifer błagającą chrapliwym, niemal męskim głosem:

- Nie! Nie! Na miłość boską, nie!

Wcisnąłem twarz w dywan i już tylko modliłem się, aby to okropne widowisko wreszcie się skończyło, żeby okazało się tylko wstrętnym snem.

Nagle rozbłysło oślepiające niebieskie światło. Poczulem kwaśny swąd płonącego tlenu i futra. Na jedną krótką chwilę zobaczyłem wyraźnie biodra bestii trzęsące się w orgazmie i nagie odniosłem wrażenie, jakby wszystko na świecie się poodwracało, jakby biel stała się czernią, a czarny kolor stał się zbyt jaskrawy, żeby na niego spoglądać. Zacząłem tracić przytomność. Usłyszałem jeszcze, jak ciało Jennifer opadło na łóżko, a potem dotarł do mnie głos taki, jaki powinien być słyszany, gdy w ciemnym, okrutnym oceanie tonie wielki statek.

ROZDZIAŁ XXI

Zdałem sobie sprawę, że wokół panuje śmiertelna cisza.

Powoli podniosłem głowę z dywanu. Niedaleko ode mnie mój budzik, leżący na podłodze, wskazywał godzinę dziewiątą zero jeden. W pokoju wciąż był półmrok, o szyby uderzały krople deszczu. Był dzień 21 stycznia 1981 roku.

Pomagając sobie rękami, wstałem na kolana. Popatrzyłem na łóżko. Cała pościel zbryzgana była krwią, a na środku leżała Jennifer, blada jak śmierć, zwinięta w kłębek. Wyciągnąłem dłoń i dotknąłem jej kolana. Było ciepłe i wyczułem puls. Dzięki Bogu, wciąż żyła.

Powoli, z trudem, obszedłem łóżko i usiadłem przy niej. Dotknąłem jej czoła, pogłaskałem po włosach lepkich od krwi i wyszeptałem:

- Jennifer...

Przez sen oblizwała usta, a potem powoli zaczęła otwierać oczy. Nie popatrzyła na mnie; spojrzenie utkwiała w ścianie naprzeciwko.

- Czy to już koniec? - zapytała. Pokiwałem głową. Oczy miałem pełne łez.

- Zawołam pogotowie - powiedziałem, ale Jennifer ścisnęła mnie za rękę.

- Nie rób tego - powiedziała.

- Ale przecież wciąż krwawisz.

- Nie chcę żadnych lekarzy.

- Posłuchaj, Jennifer. Musi zbadać cię lekarz. Widziałaś tę bestię? Nie tylko cię zgwałciła, ale też mogła zarazić jakąś chorobą, wirusem, o którym nie masz pojęcia.

- Widziałam bestię! - krzyknęła Jennifer niespodziewanie, histerycznie. - Nie tylko widziałam, ale miałam ją, czułam w sobie. Rozumiesz, co to znaczy? To wstrętne stworzenie wślizgujące się we mnie? Śmierdzące, owłosione, oblaźłe przez wszy? To stworzenie we mnie!

Wpatrzyła się we mnie silnym wzrokiem. Po chwili zwolniła uścisk na mojej dłoni.

- Nie chcę iść do szpitala - powiedziała już spokojnie.

- Potrzebujesz spokoju, odpoczynku, relaksu. Ja nie będę w stanie przez cały czas się tobą opiekować. Nie mam tyle czasu, poza tym lepsza byłaby dla ciebie wykwalifikowana pielęgniarka.

Jennifer zamknęła oczy. Na szyi miała szramę po trzech pazurach. Szeptem, który usłyszałem z wielkim trudem, odezwała się:

- Umyj mnie, proszę cię. Umyj mnie całą. A potem oczyść mnie jakimś środkiem dezynfekującym... tam, wewnątrz.

- Ale co z pościelą? Co z całą tą krwią w pokoju?

- Zawołaj pokojówkę. Powiedz jej, że twoją żonę spotkał nieszczęśliwy wypadek, albo... powiedz, że kobiece sprawy... Powiedz jej, że bardzo ci jest przykro, i wręcz jej dziesięć dolarów. Zrozumie.

Wstałem. Rozejrzałem się w pokoju, po ścianach i lustrach zbryzanych krwią. Miałem nadzieję, że większość tego dam radę zmyć sam.

- Uważam, że tak nie powinniśmy postąpić - powiedziałem.

- Ale ja chcę, żeby tak się stało - odparła Jennifer. - A teraz proszę, umyj mnie, Jack. Ciągłe czuję zapach tego bydlęcia i czuję, że dłużej nie jestem w stanie tego znosić.

- Jesteś zbyt słaba i zbyt fatalnie się czujesz, żeby pozostawać w tym hotelu. Poza tym musi zbadać cię specjalista, który autorytatywnie stwierdzi, czy ta bestia nie uszkodziła cię wewnątrz. Jennifer leciutko się uśmiechnęła.

- Najdroższy - powiedziała. - Przetrwam, przeżyję to. Przetrwam dlatego, bo musze i przetrwam dlatego, bo chcę. Poza tym jestem w takim stanie, że nie zniosłabym w tej chwili niczyich dotyków,

nawet rąk lekarzy. Chcę być tylko czysta.

Stałem przez chwilę, patrząc na nią. Po policzkach pociekły mi łzy.

- Nie płacz - szepnęła Jennifer. - W całej tej grze od początku miałam wyznaczoną swoją rolę i jestem temu tak samo winna jak i ty.

- Och, Boże - powiedziałem. - Jennifer, czuję się tak, jakbym to ja sam cię zgwałcił, a nie ta bestia.

- Nie mów tak. - Jennifer uśmiechnęła się. - Zawsze cieszyłam się, kiedy się ze mną kochałeś i zawsze mi się to podobało. Jesteś doskonałym kochankiem, Jack. Nie wini się za to, co się stało.

Poszedłem do łazienki, aby napełnić wannę wodą. Kiedy włączyłem światło, zobaczyłem w lustrze swoją twarz. Było w niej coś dziwnego, coś przypominającego Davida Soula. Szybko odwróciłem wzrok.

Kiedy wpatrywałem się w wodę wypełniającą wannę, odniosłem wrażenie, że ktoś mnie uważnie obserwuje. Rozejrzałem się dookoła i zobaczyłem jedynie swoją uśmiechniętą twarz odbitą w lustrze, śmiała się do mnie, nieznosnie radosna, odrażająca. Przeraziłem się.

Podszedłem szybko do lustra i przyjrzałem się sobie. Nic nadzwyczajnego tym razem. A więc to było złudzenie. Dotknąłem szkła; było zaparowane i zimne. Zwykłe lustro, w zwykłej hotelowej łazience.

W tym momencie jednak zrozumiałem, że to, co objęło władanie nad Hunterem, dopadło również nas. Jego żonę, przyjaciół, cały sztab, zwolenników i doradców. Za pośrednictwem Huntera rozciągnęło się na cały kraj i manipulując systemem politycznym dla swych własnych korzyści, zyskało mandat narodu w celu szerzenia chaosu i destrukcji w Stanach Zjednoczonych i na całym świecie.

Wszyscy zostaliśmy oszukani, a ja najbardziej. Właściwie to oszukiwałem się sam. Zdawało mi się, że potrafię walczyć, podczas gdy źródło zła zagnieździło się nawet we mnie, wpływając na moje postawy, na sposób reagowania wobec dobra i zła.

Zło zagnieździło się również w Micky, czyniąc ją spokojną i bezwolną. Było w Wallym Greenscheinie, czyniąc z niego nietolerancyjnego jastrzębia. Było w Jennifer. Czyż nie odbierałem wystarczająco wiele sygnałów, że gnieździ się w niej, kontroluje jej poczynania?

Było wewnątrz każdego, kto kiedykolwiek słuchał Huntera, kto udzielił mu swojego poparcia. Odbierało poczucie dobra i zła, odbierało zdolność do rozumienia prawdy.

Było pasożytem umysłu, złem czyniącym zło dla samego tylko zła. Zmuszało ludzi do najgorszych zachowań, do ujawniania najgorszych cech. Nagle zrozumiałem, kim był David Soul. Był drugą, słabszą częścią mojej osobowości. Moim alter ego. Kiedy Hunter posyłał mnie do Kalifornii, żebym zostawił dwa kamienne penisy w apartamencie sióstr Oliver, wcale nie musiał przebierać mnie za kogoś innego. Po prostu wy dobył na wierzch te ukryte, gorsze, mniej przyjemne cechy mojego charakteru.

Wyszedłem z łazienki i rozmyślając, przez chwilę stałem przy łóżku Jennifer.

- Co się stało, Jack? - zapytała. - Czy wszystko w porządku?

- Oczywiście - powiedziałem, przywołując na twarz lekki uśmiech.

Delikatnie dotknąłem jej policzka.

- Może jednak zawołałam pogotowie?

- Nie.

- Jennifer...

- Jack, jestem wciąż w szoku, rozumiesz? Zbyt wielką tragedię przeżyłam, żeby stykać się teraz z kimkolwiek. Nie jestem w stanie na nikogo patrzeć, z nikim rozmawiać, z wyjątkiem ciebie, Jack,

bo tylko ty wiesz, co się naprawdę wydarzyło. Jack, rozumiesz, co mówię?

Ująłem jej rękę.

- Myślę, że tak - powiedziałem. Z trudem wypowiadałem słowa.

- Chcę pojechać z tobą do Connecticut - szepnęła Jennifer. - Chcę pojechać do Allen's Corners i stanąć z tym twarzą w twarz, próbować to zrozumieć, pojąć.

Wbiłem wzrok w podłogę.

- Tak - powiedziałem. Inne słowa nie przychodziły mi do głowy.

ROZDZIAŁ XXII

Po szoku przyszedł czas na złość. Szybko włożyłem dżinsy, brudną koszulę i płaszcz przeciwdeszczowy. Zrobiłem, co mogłem, dla Jennifer i powiedziałem jej, żeby natychmiast telefonowała na policję, gdyby stwierdziła, że dzieje się coś dziwnego, albo złego, gdyby nawet miała najbardziej mgliste podejrzenia, że diabeł powraca. Wyszedłszy z apartamentu, zawiesiłem na klamce kartkę „nie przeszkadzać”.

Na dworze wciąż padało i nie było szansy na taksówkę, ruszyłem więc do Białego Domu pieszo. Kiedy tam się znalazłem, mokre włosy miałem przyklepione do czaszki, a z rzęs i z czubka nosa skapywały mi krople wody. W bramie pokazałem przepustkę, po czym skierowałem się do zachodniego skrzydła. Trząsałem się z zimna, zdenerwowania i wścieklej złości.

Bez pukania wszedłem do gabinetu Wally'ego Greenscheina. Siedział za biurkiem, popijając kawę i dyktując jakiś list swojej nowej sekretarce - młodej blondynce z Teksasu o walorach fizycznych Doiły Parton.

Wally popatrzył na mnie z oburzeniem.

- Dyktuję właśnie list - powiedział odchrząknąwszy. - Czy w Montanie nie uczą, że zanim wejdiesz do czyjegoś pokoju, powinieneś najpierw zapukać?

- Gdzie jest Hunter? - rzuciłem pytanie.

- Chyba śpi. Do siódmej nad ranem obradował z wojskowymi.

- Obudź więc skurwysyna.

Wally nadzwyczaj ostrożnie odstawił na biurko filiżankę z kawą.

- Jack - warknął. - Zdaje się, że zapominasz, iż mówisz o prezydencie Stanów Zjednoczonych.

- Dlatego, że zbałamucił pięćdziesiąt jeden milionów ludzi, którzy głosowali na niego, wcale nie muszę obawiać się nazywać go po imieniu. Obudź skurwysyna.

- Jack, nie zrobię tego. Poza tym, że nie widzę powodu, po prostu nie mogę.

- Możesz i musisz, ponieważ nadszedł czas, żeby ten cholerny skurwysyn usłyszał wreszcie kilka słów prawdy o sobie. Obudzisz go, czy ja mam to zrobić?

Wally ujrzał, że jego sekretarka zrobiła się odrobinę nerwowa i posłał jej jeden ze swoich uśmiechów pod tytułem „nie martw się, kochanie”. A potem powiedział cichym głosem:

- Jeżeli chcesz umówić się na rozmowę z prezydentem, Jack, proponuję ci, abyś obrał powszechnie przyjęty tryb. W tej chwili prezydent śpi i ani ja, ani ty go nie będziesz budził. A teraz, jeżeli się nie uspokoisz, po prostu zawołam strażników. Wystarczy, że po prostu nacisnę mały przycisk i zostaniesz aresztowany.

Przerwał swoją wypowiedź i po chwili dodał:

- Jestem szefem sztabu prezydenta, Jack. Jeżeli gnębi cię coś poważnego, coś bardzo poważnego, w związku z funkcjonowaniem administracji, powinieneś swoje narzekania skierować najpierw do mnie. Po to tutaj jestem, Jack.

- Nic mi nie pomożesz, Wally. To sprawa osobista pomiędzy mną i Hunterem.

- Jesteś pewien, że ci nie mogę pomóc?

- Wally, nie przyszedłem tutaj, żeby sobie porozmawiać. Szukam sprawiedliwości.

- Sprawiedliwości? - powtórzył Wally. - Porozmawiaj więc z Everettem Meekiem, właśnie z Departamentu Sprawiedliwości. Jest wybitnym ekspertem w tej dziedzinie.

- Chcę dostać się do Huntera. Wally z uśmiechem potrząsnął głową.

- Poproś o spotkanie, w normalnym trybie. Tylko tyle mogę ci poradzić. A teraz, pozwól, że powrócę wreszcie do pracy, którą mi przerwałeś.

Przygryzłem wargi. Wally nie dopuścił mnie do Huntera. A może nawet zwolni z pracy i stracę

jedyną szansę wygrania tej nierównej walki z diabłem. Od dnia, w którym został mianowany szefem sztabu prezydenckiego, Wally odnosił się do mnie z wyraźną wyższością i niechęcią. W tej chwili zapewne z nadzieją czeka na jakiś mój fałszywy ruch.

- W porządku - powiedziałem z westchnieniem. - Zajmij się swoim listem. Powiedz jednak Hunterowi, że począwszy od dnia dzisiejszego, korzystam z urlopu. Przez kilka dni będzie mnie zastępował Jim Anderson. Jest we wszystkim dokładnie zorientowany.

Wally podrapał się po nosie.

- W porządku, przekażę mu to. Będę jednak musiał przekazać prezydentowi twoje uwagi w związku z naszą dzisiejszą rozmową.

- A rób, co ci się żywnie podoba.

Wcale jednak nie byłem taki pewny siebie. Boże, żeby mnie tylko jeszcze nie wyrzucił z pracy, pomyślałem. Chcę tu jeszcze pozostać tak długo, dopóki nie dowiem się, jaka siła zawładnęła Hunterem i co mam zrobić, aby wygrać pojedynek z nią. Potrzebuję kilku dni lub tygodni, żeby wygrać pojedynek z demonem, który tytułowany jest „panem prezydentem”.

ROZDZIAŁ XXIII

Jeszcze dwa dni minęły, zanim Jennifer poczuła się na tyle dobrze, aby ruszyć w podróż, ale w tym czasie nie pokazałem się w Białym Domu. Nie ufałem samemu sobie, nie wierzyłem, że potrafię opanować własną gorycz i złość. Jednak na bieżąco kontaktowałem się z Jimem Andersonem i Donaldem Zarowskim, no i czytałem gazety. Za dużo paliłem i piłem, a wieczorami kłóciliśmy się z Jennifer, próbując wykrzyczeć nasz strach, żale, frustracje i napięcie nie do wytrzymania.

- Jak, uważasz, co on miał na myśli, mówiąc, że będę należała do niego? - zapytała mnie Jennifer w wieczór poprzedzający nasz wyjazd do Connecticut.

- Nie wiem. Ale mówił o tobie jako o swojej własności, której ja tylko okresowo dla niego doglądam.

Jennifer zmarszczyła czoło.

- Gzy te zmiany, które we mnie zauważyłeś, wówczas, kiedy wyglądałam jak statua, czy myślisz, że były częścią tego wszystkiego?

- Niewątpliwie statuy są powiązane z tym, co się dzieje. Ale tylko Bóg wie, w jaki sposób.

Potem przez prawie dziesięć minut nie odzywaliśmy się do siebie, aż wreszcie Jennifer odezwała się:

- Chyba uważasz, że oboje jesteśmy szaleni, prawda? Uważasz, że to wszystko, to bzdury, brednie, wytwór chorej imaginacji?

Popatrzyłem na nią. Była bardzo blada, a pod oczami miała ciemne smugi. Nawet nie próbowałem sobie wyobrazić, jak strasznym przeżyciem był dla niej gwałt, którego dokonał demon. Wiedziałem, że tylko ogromnie twardy charakter sprawiał, iż Jennifer jest jeszcze przy zdrowych zmysłach.

Nalałem sobie piwa do szklanki.

- Nie - odpowiedziałem. - Wcale tak nie uważam. Nie sądzę, abyśmy byli szaleni, nie sądzę, abyśmy byli neurotykami.

- A więc o co chodzi tej bestii? Co to znaczy, że będę należała do niego? Powiedział, że ten dzień prawie już nadszedł.

- Tak - westchnąłem. - Pamiętam. Siedziałem z policzkiem podpartym na dłoni, tępo wpatrując się w szklankę piwa. W zasięgu wzroku miałem popielniczkę, po brzegi wypełnioną niedopałkami. Na podłodze porozrzucane były gazety i czasopisma, które już przeczytałem.

Nagle, zupełnie niespodziewanie, na pierwszej stronie „Washington Star” ujrzałem artykuł, który już dwukrotnie dzisiaj przeczytałem. Artykuł o tym, jak dobrze radzi sobie Jim Anderson w Białym Domu. Nie miał dla mnie większego znaczenia, więc czytałem go bez specjalnej uwagi i nigdy nie do końca. A przecież na zakończenie uwypuklono tłustym drukiem: „Prezydent obiecał przywrócenie pozycji USA na świecie”, po czym następowała wypowiedź Jima: „Prezydent Peal wyznaczył już początkową datę wprowadzania w życie nowych założeń w dziedzinie polityki zagranicznej. Założenia te są bardzo daleko idące i stanowcze; sądzimy, że będą stanowiły dla opinii publicznej spore zaskoczenie. Prezydent zamierza jak najszybciej przystąpić do realizacji swych obietnic wyborczych, w tym przede wszystkim do przywrócenia znaczenia Stanów Zjednoczonych jako największej potęgi militarnej i ekonomicznej na świecie”.

Jim Anderson ujawnił też datę: 14 lutego, dzień świętego Walentego.

Podniosłem gazetę z podłogi i przeczytałem wszystko jeszcze raz.

- No właśnie - powiedziałem ciężko.

- Co takiego? Pokazałem Jennifer tekst.

- Być może jestem przewrażliwiony i niepotrzebnie czytam pomiędzy wierszami, ale w zeszłym

tygodniu Hunter mówił mi o sześciu akcjach wojskowych, które zamierza rozpocząć w ciągu jednego dnia. Chodzi o inwazję na Wietnam, bombardowanie Kuby, desant w Angoli i Bóg wie, co jeszcze. Powiedział, że zaskoczy świat. Przez ostatni rok dokładnie poznałem Huntera i wiem, że nie żartował. Zaatakuję 14 lutego, nikogo nie pytając o zgodę. Nie będzie mówić, tylko zacznie działać. Ten artykuł dokładnie tego dowodzi. Hunter przygotowuje Amerykę na szok, a jednocześnie chce przekonać Rosjan, że realizuje jedynie swoje obietnice wyborcze i w gruncie rzeczy im nie zagraża.

- Czternastego lutego? - zapytała Jennifer.

- Tak. Jakie jeszcze inne słynne wydarzenie miało miejsce w historii Stanów Zjednoczonych czternastego lutego? Masakra w dniu świętego Walentego.

- Jesteś tego pewien?

- Nie - powiedziałem, potrząsając głową. - Ale stawiam siedem dolarów przeciwko jednemu, że mam rację.

- I uważasz, że Hunter zechce właśnie czternastego lutego, żeby zaczął należeć do niego, cokolwiek to oznacza?

- Z tego, co mówił, właśnie na to wygląda. Tego właśnie dnia ma się wydarzyć wszystko to, co najgorsze. Rozpocznie się nuklearna wojna, jeżeli do tego dnia nikt Huntera nie powstrzyma. I tego dnia on cię zabierze na zawsze. A przynajmniej spróbuje.

- Mówisz o nuklearnej wojnie? - zdziwiła się Jennifer. - Nie żartujesz? W jaki sposób ktokolwiek może wywołać taką wojnę?

- Hunter nie jest kimkolwiek. Jest demonem albo diabłem. Dostał się na fotel prezydenta Stanów Zjednoczonych tylko po to, żeby wywołać na świecie jak najwięcej nieszczęścia, zła i zamieszania. Jest diabłem z mandatem wielkiego narodu, i to go czyni jeszcze silniejszym, praktycznie niepokonanym.

- Co więc zrobimy?

- Nic. Nie zrobimy nic, dopóki nie dowiemy się, jakiego rodzaju jest diabłem, i co należy zrobić, żeby go pokonać.

- A jeżeli okażemy się bezsilni?

- Na każdego diabła jest sposób. Czyżbyś nigdy nie czytała Biblii?

- Nie.

Wyciągnąłem szufladę z nocnego stolika i wyjąłem z niej hotelowy egzemplarz Biblii. Przez chwilę przewracałem kartki.

- Popatrz na to - powiedziałem wreszcie. - Drugi list Pawła Apostoła do Tymoteusza, 2:26: „I że wyzwolą się z sidła diabła, który ich zmusza do pełnienia swojej woli”.

- Jak to znalazłeś? - zdziwiła się Jennifer.

- Widzisz, w Montanie wszyscy chodzimy do szkoły niedzielnej - odparłem, zamykając księgę.

ROZDZIAŁ XXIV

Następnego ranka w Connecticut padał gęsty śnieg. Niebo było szare, a znad wzgórz Litchfield, od strony Massachusetts, wiał przenikliwy, ostry wiatr. Wylądowaliśmy na lotnisku La Guardia pierwszym porannym samolotem z Waszyngtonu i w dalszą drogę udaliśmy się samochodem wynajętym w „Avisie”. Była to cordoba z czerwonym winylowym dachem, nie wiadomo dlaczego śmierdząca czosnkiem. Być może poprzedniego dnia używała go mafia w napadzie na włoską restaurację w Bronksie.

Powoli jadąc w kierunku Sherman, we wciąż padającym gęstym śniegu, w mrozie i wśród ledwie widocznych kształtów za pobocznymi szosy, prawie się do siebie nie odzywaliśmy. Nasze stosunki siłą rzeczy ochłodziły się, kiedy odkryliśmy, czym w rzeczywistości jest Hunter Peal i co zawładnęło jego duszą; nie było szansy, żebyśmy rozmawiali o kimkolwiek innym jak o Hunterze, nie było też szansy, abyśmy sypiali ze sobą, kochali się, tak długo, jak długo Hunter i jego diabeł będą zagrażać światu.

Niesamowitość tego, co się działo, pogrążała nas w jeszcze większym przygnębieniu. Byliśmy bezradni, bezsilni i coraz bardziej oddalaliśmy się od siebie.

Wreszcie dotarliśmy do Allen's Corners. Stary dom przykryty był białym puchem, a jego trawniki pokrywał nieskazitelnie biały śnieżny dywan. Podjechaliśmy aż pod frontowe drzwi i wreszcie wysiedliśmy z naszej cordoby.

Jennifer wysoko postawiła kołnierz futra ze srebrnych lisów.

- Popatrz na te trawniki - powiedziała. - Nie ma na nich żadnych śladów. Nawet ptaki nie zbliżają się do tego budynku.

Zdjąłem tweedową czapkę i strząsnąłem nią mokry, gruby śnieg z ramion.

- Podejźmy bliżej, popatrzmy przez okna - powiedziałem.

- Jasne.

Powoli ruszyliśmy w kierunku okien. Świeży śnieg skrzypiał pod naszymi butami. Świat dookoła nas, cichy, milczący, pozbawiony był wszelkich kolorów, z wyjątkiem bieli. Przyłożyłem twarz do pierwszej szyby i odniosłem wrażenie, że ten dom wiedział, iż w końcu do niego przyjadę. Stał oto, zadowolony z siebie cichy i chował w sobie swoje sekrety, w tysiącach dębowych belek i w dziesiątkach metrów krętych korytarzy.

Nadzy cherubini przy frontowych drzwiach wpatrywali się we mnie ślepych oczami, niczym martwe, zamrożone dzieci. Podszedłem do jednego z nich i strząsnąłem śnieg z jego głowy. Jennifer tylko mnie obserwowała, stojąc o kilka kroków za mną. I ja przystanąłem bez ruchu i zacząłem nasłuchiwać. Nie miałem wątpliwości, że ten dom posiada coś w rodzaju świadomości, nieważne, jak głęboko ukrytej w jego wręgach, i że wszystko, co obserwował przez dwieście lat, w tej świadomości się utrzymywało, czyniąc budynek bardzo starym i bardzo mądrym. - Czy jesteśmy tu sami? - zapytała nagle Jennifer.

Popatrzyłem na nią. Jej twarz była blada jak mydło. Wciąż padał śnieg, pomiędzy gałęziami drzew huczał natarczywie wiatr i zdawało mi się, że Jennifer i ja jesteśmy w tej chwili jedynymi żywymi ludźmi na świecie.

- Tak - powiedziałem. - Jesteśmy sami.

Obeszliśmy cały dom dookoła. Co jakiś czas przystawaliśmy, żeby zajrzeć do środka przez któreś z okien. Teraz, zimą, większość z nich zasłonięta była okiennicami. Nie zakryto jednak okien do pokoju bilardowego i do oranżerii; zdołałem również zajrzeć do środka przez potrzaskane okiennice na oknach salonu. Dzięki temu dojrzałem klatkę schodową i fragment hallu.

Marmurowe posągi w oranżerii wciąż trwały w swoich pozach, roztańczone, wesołe, albo

smutne. Statuy nimfy, oczywiście, nie było. Wiedziałem, że jest starannie przechowywana w Białym Domu. Przez długą chwilę przyciskałem twarz do chłodnej szyby. Rzecz jasna, nic się nie wydarzyło.

- Zimno mi w stopy - powiedziała Jennifer. - A tobie?

Jeszcze raz obeszliliśmy dom, starając się stawiać nogi na naszych śladach. Wiatr strząsał z dachu płaty śniegu. Poza tym nic się nie działo. Dom pozostawał tajemniczy, enigmatyczny, zadowolony z siebie, obcy.

- Chodźmy już - poprosiła mnie Jennifer. - Zdaje się, że niczego się tutaj nie dowiemy.

Zawahałem się, wciąż przyglądając się budynkowi. W końcu jednak powiedziałem:

- Dobrze. Zapewne masz rację. Allen's Corners raczej nam w niczym nie pomoże.

Oslaniając twarze przed wiatrem, ruszyliśmy w kierunku samochodu. Kiedy do niego dotarliśmy, stwierdziliśmy, że ktoś na nas czeka. Był to wysoki mężczyzna, w rosyjskiej czapce. Palił fajkę i ostentacyjnie lekceważył śnieg, który okrywał jego brwi, osiadł grubą warstwą na czapce i ramionach obszernego płaszcza.

- Dzień dobry - powiedział mężczyzna i wyciągnął do nas dłoń.

- Cześć - odparłem.

- Dzień dobry - dodała Jennifer. Mężczyzna zaciągnął się fajką.

- Zobaczyłem, że bardzo dokładnie oglądacie ten dom. Trochę zimny dzień, jak na taki rekonesans - powiedział.

- To bardzo interesujący budynek - oznajmiłem. - Przynajmniej dla niektórych ludzi.

- Czy zamierzacie go kupić? - zapytał mężczyzna cicho.

- A jest na sprzedaż?

- Oczywiście. Od wielu lat.

Odwrociłem się i popatrzyłem na Allen's Corners.

- Kupiłbym go, gdyby było mnie na to stać.

- Jest stosunkowo tani. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów za dom i jedenaście akrów przyległego terenu.

- Cóż... - Pokiwałem tylko głową.

- Czy jest pan może agentem tej nieruchomości? - zapytała Jennifer.

- Zgadła pani. Nazywam się Charles Easter z „Rural Homes”, spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Mieszkam w Sherman i widziałem, jak tutaj jechaliście.

- Czy zna pan jakieś szczegóły z historii tego domu? - zapytałem. - Chodzi mi, oczywiście, o trochę odleglejsze czasy.

Charles Easter znów zaciągnął się fajką i wydmuchnął dym.

- Jest pan zainteresowany kupnem? - zapytał. Potrząsałem przecząco głową.

- Interesuję się historią. Pracuję w Waszyngtonie dla administracji rządowej i w gruncie rzeczy nie mógłbym się stamtąd wyprowadzić.

Charles Easter zastanawiał się nad czymś przez chwilę, po czym powiedział:

- Skoro jesteście zainteresowani historią Allen's Corners, pozwólcie, że gdzieś was zawiozę. Jedźcie swoim samochodem, a ja pojedę za wami.

Popatrzyliśmy na siebie z Jennifer pytająco, po czym oboje jednocześnie wzruszyliśmy ramionami, a ja powiedziałem do Charlesa Eastera:

- Dobrze, jedźmy. Jest pan bardzo uprzejmy.

Charles Easter uśmiechnął się.

- Cała przyjemność po mojej stronie - powiedział. - Jest zima i zastój w interesach. A poza tym w promieniu dwudziestu mil nie ma chyba nikogo, kto by w taką pogodę chciał złożyć wizytę ojcu

Hillierowi, a ma on przecież najlepszy koniak w całym Connecticut i w dni takie jak ten uważa częstowanie nim za swój duszpasterski obowiązek.

Znów zdjąłem czapkę i otrzepałem śnieg z płaszcza.

- Panie Easter - powiedziałem. - Skusił mnie pan.

Ojciec Hillier mieszkał zaledwie o milę dalej, w kierunku Wanzer Hill, ale śnieg zalegał tak grubą warstwą, a droga była tak śliska, że jej przebycie zabrało nam dobre dwadzieścia minut. Z trudem panowałem nad samochodem. Po naszej lewej stronie, za drzewami, krwawoczerwone słońce chyliło się powoli ku zachodowi, aby za kilkanaście minut skryć się za Pawling Hill i Quaker Hill. Wycieraczki przez cały czas zbierały z przedniej szyby samochodu grube płyty śniegu.

Kiedy Charles Easter wskazał, że mamy jechać w lewo, pozostało nam już tylko kilkadziesiąt metrów wąskiej drogi i wkrótce ujrzelśmy nowoczesny, mały domek, stojący w trójkątnym ogródku, którego granice wyznaczały rzędy sosen. Zaparkowałem przed budynkiem i nacisnąłem klakson. Po krótkiej chwili w drzwiach ukazał się młody, łysiejący człowiek w okularach i w tweedowym swetrze. Pomachał do nas ręką, abyśmy się zbliżyli.

Wysiedliśmy z samochodu i otrząsnąwszy śnieg z butów, weszliśmy do chaty. Było tu bardzo jasno i ciepło, było też dużo przestrzeni. W zgrabnym kominku w salonie wesoło trzaskał ogień. Mój wzrok przyciągały piękne indiańskie dywany i zgrabne włoskie krzesła. Na półkach wzdłuż ścian stały książki, głównie religijne i socjologiczne. Gdzieś tam ponad półkami wisiały obrazy współczesnych artystów, zapewne okolicznych.

Ojciec Hillier okazał się człowiekiem niskim i masywnym. Przypominał mi jednego z bobrów wymyślonych przez Walta Disneya: był wesoły, gawędziarski, sympatyczny, miał duże, szczerze oczy i wprost emanował dobroduszością. Wystarczyło mu pięć minut, aby posadzić nas wygodnie na krzesłach wokół kominka, z kieliszkami koniaku w rękach, rzecz jasna, a samemu wygłosić długi monolog o problemach, które nękają trzódkę jego wiernych w zimowe miesiące.

- Rano pękła jedna z opon w moim samochodzie - powiedział. - Gdyby nie to, nie zastalibyście mnie, bo byłbym w New Milford, z wizytą u chorych. Nie macie pojęcia, jak wiele radości sprawiają im moje wizyty. Większość z nich to ludzie samotni, a samotność szczególnie uciążliwa jest zimą.

- Bóg więc miał na uwadze nasze interesy - powiedział Charles Easter z uśmiechem. Powoli sączył koniak.

- Wasze i moje - dodał ojciec Hillier. - Wasza wizyta u mnie jest wydarzeniem, które wielce doceniam.

- To dobrze, bo chcemy rozmawiać o diable - oznajmiłem.

Ojciec Hillier popatrzył na mnie, a potem na Jennifer. Gadulstwo i dobroduszne usposobienie nie uniemożliwiły mu spostrzeżenia, że coś jest nie w porządku.

- O diable? - powtórzył. - Nie rozumiem.

- Pan Easter powiedział nam, że wie ojciec coś o historii Allen's Corners.

- Tak, to prawda. Tam byliście dzisiaj w południe? Przy Allen's Corners?

- Tak, zresztą nie po raz pierwszy. Przyjechaliśmy z Waszyngtonu, żeby dowiedzieć się jak najwięcej szczegółów na temat tego budynku.

- Z Waszyngtonu?

- Oboje pracujemy dla prezydenta. Nie jestem byle jakim Jackiem Russo, ale właśnie tym najważniejszym Jackiem Russo w Stanach Zjednoczonych, sekretarzem prasowym prezydenta.

- Proszę, proszę. - Ojciec Hillier aż gwizdnął. - Teraz sobie przypominam, że widziałem pana fotografię w „Newsweeku”. To dla mnie zaszczyt, że pana poznałem. Chociaż, jeśli mam być szczerzy,

muszę powiedzieć, że nasz prezydent mnie nie zachwyca, przynajmniej obecnie. Wydaje mi się, hm... odrobinę zbyt agresywny.

- Między innymi dlatego tutaj jestem.
- Nie rozumiem pana. Wyciągnąłem papierosa z paczki.
- Czy ojciec będzie miał coś przeciwko temu, że zapalę?
- Nie, skądże.

- A czy ojciec będzie miał coś przeciwko temu, że zobowiązę go do zachowania w absolutnej tajemnicy naszego spotkania i tego, o czym będziemy rozmawiali. Widzi ojciec, przedmiotem naszej rozmowy będzie urzędujący prezydent i jeżeli gazety albo telewizja by się o tym dowiedziały, wszyscy bylibyśmy skończeni.

Ojciec Hillier na chwilę uniósł wzrok.

- Cóż, skoro mamy rozmawiać o prezydencie, to rzeczą naturalną jest, że musimy tę rozmowę przeprowadzić w tajemnicy. Ma pan moje słowo, że będę milczał.

- A pan, panie Easter? - zapytałem agenta.

- Och, oczywiście - powiedział Charles Easter. Żeby to uczynić, musiał na chwilę oderwać usta od drugiego już kieliszka koniaku. - Cokolwiek usłyszę w tym pokoju, z pewnością zachowam tylko dla siebie.

Zapaliłem papierosa.

- Prezydent Peal przebywał w Allen's Corners przez trzy dni podczas kampanii o uzyskanie nominacji prezydenckiej z ramienia swojej partii. Sądzę, że o tym panowie wiedzą. Nie wiecie jednak, że podczas pobytu w Allen's Corners w osobowości Huntera Peala zaszła gwałtowna przemiana. Zawsze był republikaninem umiejscawianym gdzieś na prawym skrzydle partii. Ale w ciągu jednej nocy w Allen's Corners zamienił się w gwałtownego ekstremistę. Nagle zaczął głosić hasła o konieczności stworzenia nowego Dzikiego Zachodu, gdzie każdy człowiek będzie sam sobie panem. Stał się rasista, imperialistą i burzycielem wszystkiego, co trwałe, stabilne. Zaczął opowiadać o pełnych chwały dniach zimnej wojny, o tym, że wówczas należało zaatakować Rosjan i zetrzeć komunizm z powierzchni ziemi.

- Cóż - westchnął ojciec Hillier. - Niektóre jego wystąpienia oglądałem w telewizji.

- Wystąpienia, przemówienia, nie mówią nawet połowy o osobowości Huntera - stwierdziłem. - Ponieważ poza zmianami poglądów politycznych, prezydent odmienił się emocjonalnie, zmienił się jego stosunek do seksu i upodobania w tym zakresie. Stał się gwałtowny i agresywny. Znieважаł swoją żonę, zaczął zabierać do łóżka młode dziewczyny, stał się agresywny i, powiem wprost, chamski. Poza tym, jak by jeszcze nie było dość, zauważyłem u niego zachowania i dziejące się wokół niego wydarzenia, których źródła nie można szukać w świecie ludzi.

Najkrócej i najspokojniej jak byłem w stanie opowiedziałem ojcu Hillierowi o B-52, o Johnsonie Wilmocie i na końcu o tym, jak Hunter ukazywał się pod postacią demona, chociaż opuściłem tu rolę Jennifer.

Charles Easter niepewnym wzrokiem przypatrywał się ojcu Hillierowi, aby zobaczyć, w jaki sposób duchowny zareaguje na te nadzwyczajne informacje. Ojciec Hillier siedział jednak spokojnie w swoim krześle, milcząc i tylko kiwając głową od czasu do czasu. Gdzieś w głębi domu zegar wybił godzinę trzecią.

W końcu, kiedy skończyłem, ojciec Hillier wstał i podszedł do okna. Śnieg jakby przestał padać, chociaż wiatr wciąż wył z taką samą siłą jak w południe i z furią porywał płaty śniegu. W półmroku wczesnego popołudnia sprawiały wrażenie małych duchów, latających we wszystkich kierunkach.

Ojciec Hillier wyciągnął z kieszeni chusteczkę i głośno wytarł nos.

- Zdaje się, że w ciągu ostatnich miesięcy oboje przeżywaliście bardzo ciężkie chwile - powiedział głosem bez wyrazu. - Nie mogliście do nikogo się zwrócić, nikomu zaufać, bo nawet gdybyście to učinili, nikt by wam nie uwierzył.

- Tak, to prawda. Miałem nadzieję, że pomoże nam obecny wiceprezydent, Leonard Oliver. Jednak w dniu inauguracji stwierdził, że po prostu robimy z niego balona i kazał nam się odczepić. Chyba trudno go za to winić.

- Chyba tak.

- To wszystko o diable, czy to rzeczywiście prawda? - zapytał Charles Easter. - Naprawdę prezydent tak się zachowuje?

- Naprawdę - odpowiedziałem.

- Cholera jasna.

- Doleję państwu jeszcze koniaku - powiedział ojciec Hillier. Wyciągnął z szafki karafkę z rżniętego szkła i podszedł po kolei do każdego z nas, nalewając do kieliszków złocistego płynu. Trudno mi było orzec, czy to rozgrzewa mnie płomień z kominka, czy też wspaniały koniak, rozlewany aż nadto szczerze przez gospodarza.

W końcu ksiądz usiadł i zwracając się do nas powiedział:

- Niech Bóg ma was wszystkich w swojej opiece.

- Będziemy tego bardzo potrzebowali, prawda? - zapytała Jennifer.

Ojciec Hillier poważnie pokiwał głową.

- Niestety, tak. Przynajmniej tak mi się wydaje. Widzicie, nie bardzo wierzę w diabły i demony, chociaż w okolicy ludzie opowiadają sobie o nich aż za dużo historii. Jednak to, co opowiedzieliście mi o prezydencie i Allen's Corners jest zarazem przekonujące, przerażające i... mogę tylko powiedzieć, że zupełnie słusznie boicie się, jesteście w śmiertelnym niebezpieczeństwie. W gruncie rzeczy nie tylko wy, w Waszyngtonie, zagrożony jest cały świat.

Allen's Corners to tylko przekręcona wraz z biegiem czasu nazwa tego starego domu. Kiedy go zbudowano, gdzieś około roku 1780, otrzymał nazwę Hell's End Corners*.[* Hell's End Corners (ang.) w swobodnym tłumaczeniu oznacza Zaulek Piekła (przyp. tłum.)] Człowiek, który go zbudował i mieszkał w nim jako pierwszy, nazywał się Fain i pochodził z Londynu, z Anglii. Niewiele o nim wiadomo, bo był bardzo skryty i zamknięty w sobie. Ktoś, kto wówczas prowadził pamiętniki, napisał o nim: „Prowadzi tajemne życie, a swój dom opuszcza tylko w nocy”.

Jednak Horniman Museum w południowo-wschodnim Londynie dysponuje jakimiś dokumentami na temat mężczyzny o nazwisku Fain, który mieszkał w Depford w połowie osiemnastego wieku i którego podejrzewano o jakieś związki z diabłami i demonami.

- Jakie związki? - zapytała Jennifer. Ojciec Hillier uśmiechnął się.

- Przypuszczano, że wywołuje diabły z podziemnego świata. Pewnemu ubogiemu anglikańskiemu duchownemu powiedział, że wezwał do naszego świata Beliala i zagroził przywołaniem samego Belzebuba, jeżeli ów duchowny go zdradzi.

- Zdaje się, że ojciec całą rzecz dość dokładnie przestudiował - zauważyłem.

- Oczywiście. Żaden duchowny nie powinien zaczynać swej misji, nie zbadawszy dokładnie terenu, na którym pracuje, w tym i jego historii.

- Nie sądzę jednak, żeby ludzie dookoła wierzyli w duchy - powiedziała Jennifer..

- Ci młodszy i ci pochodzący z Nowego Jorku z całą pewnością lekceważą duchy - odparł ojciec Hillier. - Ale starsi, którzy doskonale pamiętają historie opowiadane im przez rodziców i jeszcze przez dziadków, wierzą w nie. Najbardziej przejmującą i wciąż żywą jest historia o tym, co się

wydarzyło w Allen's Corners.

Przełknąłem łyk koniaku. Oto, po raz pierwszy od czasu, gdy rozpoczęliśmy prezydencką kampanię - wiosną ubiegłego roku - ktoś twierdził, że mi wierzy, gdy mówiłem o dziwactwach Huntera, mało tego, dodawał nowe informacje, nowe szczegóły. Jennifer popatrzyła, na mnie z widoczną ulgą w oczach.

A ojciec Hillier kontynuował:

- Wygląda na to, że Fain najpierw pojawił się w New Milford, a dopiero potem w Sherman, gdzie rozpoczął budowę Allen's Corners. Nie wiem, czy od samego początku dom ten otrzymał nazwę Hell's End Corners, czy nie. Prawdopodobnie nie. W tamtych czasach domy nosiły nazwy odwołujące się do personaliów swych właścicieli, najprawdopodobniej więc pierwsza nazwa tego domu brzmiała po prostu „Dom Faina”.

Cóż, jak już wam powiedziałem, Fain trzymał się z dala od reszty społeczności, a w roku 1780, w miasteczku tak niewielkim jak Sherman, wystarczyło to, żeby ściągnąć na siebie podejrzania. Krążyły różne pogłoski o tym, co Fain zwozi do swojego nowego, dużego domu i siłą rzeczy część z nich sugerowała, że jest on czarnoksiężnikiem albo demonem.

Musicie pamiętać, że w owych czasach ludzie z Nowej Anglii byli bardzo rzeczowi i praktyczni i raczej nie podejrzewaliby nikogo o związki z czarną magią, gdyby nie mieli ku temu solidnych podstaw. Procesy czarownic w Salem, w roku 1692, były raczej wyjątkiem niż regułą i w całej Nowej Anglii na przestrzeni dziejów nie stracono z tego powodu więcej niż jakieś dziesięć osób. Palono je na stosie. O wiele więcej po procesach sądowych uniewinniano od zarzutów. W Connecticut czarownice wieszano, jednak były to tylko incydentalne przypadki.

Nie wiadomo, co Fain robił we wczesnych latach Allen's Corners, jednak najwyraźniej były to rzeczy tak niezwykle, że w końcu na dobre zaniepokoiły miejscową ludność. Słyszałem o dziwnych błękitnych blaskach na niebie, nad dachem domu i o niewytłumaczalnych odgłosach, jakie dochodziły z jego wnętrza. Podobno przypominały odgłosy toczących się wagonów, i to nie toczących się po szynach, lecz raczej po bruku. Właśnie ze względu na ten opis zainteresowałem się, kiedy usłyszałem od pana, jakiego hałasu narobił demon, znikając w Los Angeles i w Waszyngtonie. Widzicie podobieństwo, prawda?

Charles Easter, od kilku chwil nerwowo wiercący się na swoim krześle, w końcu nie wytrzymał:

- Ojcie, czy będzie ojciec miał coś przeciwko temu, że naleję sobie jeszcze odrobinę tego wspaniałego koniaku? Ta rozmowa o demonach denerwuje mnie, a koniak jest takim wspaniałym środkiem uspokajającym.

Ojciec Hillier uśmiechnął się.

- Nie musi pan aż tak głęboko uzasadniać swojej ochoty na ten doskonały koniak. Bardzo proszę, niech się pan poczęstuje.

- Czy to było wszystko, co się wydarzyło? - zapytałem ojca Hilliera. - Tylko to światło i hałasy? Ojciec Hillier przecząco potrząsnął głową.

- W żadnym wypadku. Chociaż, gdyby nie pewna dziewczyna o nazwisku Judith Franklin, niewiele wiedzielibyśmy o poczynaniach Faina. Judith była najmłodszą córką lekarza, który zamieszkał w Sherman mniej więcej wtedy, kiedy pojawił się tam również Fain. W roku 1802 albo 1803 miała piętnaście lat, była bardzo ładna i bystra. Wiele czasu spędzała, malując akwarele Sherman i okolic. Przetrwały nawet dwa jej autoportrety, wiemy więc, jak wyglądała.

Ksiądz wstał z krzesła i podszedł do stylowego, nowoczesnego biurka. Ściągnął z szyi kluczyk, zawieszony na srebrnym łańcuszku i otworzył górną szufladę.

- Coś takiego trzyma ojciec pod kluczem? - zdziwił się Charles Easter.

- Tak jest lepiej - odparł ojciec Hillier z uśmiechem.

Wyciągnął z szuflady grubą tekturową teczkę i powrócił na swoje miejsce. Na tezcze napisano: „Fain i Hell's End Corners, początek XIX wieku”. Wyciągnął z niej dwa pomarszczone i wyblakłe portreciki i położył je przed nami na dywanie.

- Oto jest Judith Franklin. Widzicie ten podpis na dole? „Ja, jesienią 1803”.

- Była śliczna - zauważyła Jennifer. Rzeczywiście, Judith Franklin była bardzo ładna. Była piękna. Spoglądała ze swojego autoportretu dużymi, błękitnymi oczami, poważnymi i ufnymi. Można z nich było jasno odczytać, że dziewczyna wie, jak bardzo jest atrakcyjna. Na głowie miała jasnofioletowy czepek, a jej długie włosy złocistymi lokami spływały na szyję. Wokół szyi miała przepasaną znów fioletową, jedwabną wstążeczkę. Aż trudno było uwierzyć, że ta dziewczyna przed ponad stu laty wyrosła na dojrzałą kobietę, a potem staruszkę i umarła. Trawa na jej grobie w Sherman rosła dłużej, niż ja żyłem.

Ojciec Hillier rozłożył na dywanie resztę obrazów. Przedstawiały widoki domów w Sherman, malowane w latach 1803 i 1804 oraz Hell's End Corners, widziany z kilku stron. Jeden z obrazków podpisany był ręką Judith: „Hell's End”.

- Te malunki stanowią bardzo cenne źródło historyczne - odezwał się ojciec Hillier. - Ale jeszcze ważniejszy jest pamiętnik Judith Franklin.

Wydobył mały, szkarłatny notesik, dotąd ukryty w tekturowej tezcze. Na okładce, starannym, szkolnym pismem, napisano: Mój prywatny pamiętnik, Judith Pearl Franklin, 1803.

- Tekst zaczyna się zupełnie zwyczajnie - zaczął wyjaśniać ojciec Hillier. - Mógłby to być pamiętnik każdej nastoletniej dziewczyny, żyjącej w Ameryce na początku dziewiętnastego wieku. Informuje o tym, jakie przeczytała książki, gdzie chodziła na spacer, jacy młodzi mężczyźni podobali się jej, i tak dalej, i tak dalej. Prawie cała stronica poświęcona jest nowej sukience, którą ciotka przesłała jej z Nowego Jorku.

Ale w miarę, jak zbliżamy się do zimy 1803 roku, mniej więcej od października, okresu, kiedy namalowany został śliczny autoportret, cały charakter notatek zmienia się. Pewnego popołudnia spacerowała wokół domu pana Faina, kiedy usłyszała, że jakaś kobieta woła jej imię. Mimo że robiło się już ciemno, Judith podeszła bliżej domu i głośno zapytała, kto i co od niej chce. Resztę przeczytam wam z pamiętnika.

Ojciec Hillier otworzył notes, założył okulary i zaczął czytać:

- „Zastukałam do drzwi tego domu i bardzo głośno zawołałam, kto i czego ode mnie chce. Drzwi otworzyły się i jakiś głos powiedział, żebym weszła do środka, mimo że ja nikogo nie widziałam. Przez chwilę stałam w progu, wahając się, ale zebrałam całą moją odwagę i weszłam do środka. W hallu było nadzwyczaj ciemno, chociaż z piętra dobiegało do mnie odbicie światła o różnych kolorach. Przestraszyłam się i odwróciłam, żeby uciec z tego okropnego miejsca, ale znów usłyszałam głos: - Judith! Judith! - Wołał do mnie tonem tak błagalnym i ufnym, że postanowiłam wejść po schodach do góry, żeby przekonać się, kto tam jest i kto mnie wzywa.

Kiedy znalazłam się na górze, uderzyła mnie nagła cisza. Tak jakby nagle zalepiono mi uszy woskiem. Rozejrzałam się i na końcu korytarza zobaczyłam drzwi. Wyrzeźbione były na nich twarze dwóch piekielnych bestii, a oświetlało je niesamowite bursztynowe światło, gadające przez okno, w którym umieszczony był mały, piękny witraż. Głos znów zawołał: - Judith! Judith! - pobiegłam w tym kierunku, gdyż koniecznie chciałam wiedzieć, kto tak uparcie mnie nawołuje.

Otworzywszy rzeźbione drzwi, znalazłam się wśród ludzi, których obecność śmiertelnie mnie przerażała. W pokoju było dwanaście, a może i więcej osób, mężczyzn i kobiet; niektórych

rozpoznałam, gdyż mieszkali w okolicy, twarze innych były mi zupełnie nieznane. Pokój pełen był jakiegoś słodkawego zapachu, dymu, jakby palono kadzidło. Jeden ze zgromadzonych grał na małych skrzypcach taneczną melodię, jednak w tonacji tak wysokiej, że dreszcze przebiegły moje ciało od samego słuchania.

Najbardziej wstrząsające było jednak to, że wszyscy w pokoju, i kobiety i mężczyźni, byli zupełnie nagi, a ich ciała przewiązane były cienkimi pasami ze skóry. Widziałam już obrazy nagich osób, oczywiście, ale po raz pierwszy w życiu natrafiłam na takie zgromadzenie, ludzi występnych i bezwstydnym. Nieomal zemdlałam.

A jednak po chwili opanowałam się, nie padłam na ziemię, ani nie uciekłam. I kiedy usłyszałam, że wołają do mnie: - Judith! Judith! - uśmiechają się do mnie i wzywają mnie zapraszającymi gestami, nie odmówiłam im i przekroczyłam próg pokoju.

Na podłodze, na deskach, wyrysowane były trójkąty, koła i dziwne symbole i kiedy weszłam do środka i zachęcona uśmiechami i przyjaznymi gestami, aby usiąść, dziewczyna, w której rozpoznałam Charlotte Trench z Kent Furnace, wystąpiła z grupy i uklękła wśród tych znaków. Była naga, tak jak i reszta ludzi, i miała bardzo jasną skórę. Jej towarzysze opuścili głowy i zaintonowali modlitwę. Ja również opuściłam więc głowę, mimo że słowa modlitwy były mi zupełnie nieznane; to sprawił dziwny wpływ, jaki wywarło na mnie zgromadzenie tych ludzi.

Po krótkiej chwili ukazał się pan Fain we własnej osobie. Był ubrany w czarny kapelusz, ozdobiony wielkimi skrzydłami kruka i w długi ciemny płaszcz. Nie miał na sobie niczego więcej. Intymny fragment jego ciała, sztywny i lśniący, sterczał, skierowany wysoko do góry. Byłam przerażona, kiedy ruszył dookoła całego zgromadzenia, w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, i oferował każdemu swojego członka, kobietom i mężczyznom na równi. A wszyscy brali go po kolei i wpychali go sobie głęboko do ust. Kiedy jednak Fain dotarł do mnie, uśmiechnął się, dotknął dłonią mojej głowy i powiedział: - Ty go po prostu pocałuj. - Co też uczyniłam. Odczuwałam wstyd i zbierało mi się na mdłości, muszę jednak przyznać sama przed sobą, że odczułam w sobie dziwne ciepło, którego pochodzenia nie potrafiłam wyjaśnić.

Skrzypce wciąż grały, a pokój wypełniał wciąż ten sam dym. Pan Fain stanął na skraju jednego z kół, rozpostarł ręce i zamknął oczy. Tymczasem Charlotte Trench, wciąż klęcząc, odchyliła się do tyłu i pochylała się do podłogi tak długo, aż dotknęła ją ramionami i tak pozostała, z wysuniętymi, szeroko rozwartymi udami.

Muzyka zawładnęła całym moim umysłem, ludzie zgromadzeni w pokoju zaczęli śpiewać, kołysząc się do rytmu; ich kołysanie, śpiew i muzyka skrzypiec zdawały się pozbawiać zmysłów moje ciało, a w każdym razie odbierać mi zdolność do świadomego przestrzegania chrześcijańskiego przykazania czystości. Gdyby moje ręce poddały się w tej chwili nakazom mózgu, natychmiast rozebrałabym się, naśladując resztę towarzystwa, bez wstydu, jestem tego pewna.

Pan Fain zaczął grać na małym bębenku, wybijając monotony i, wydawało mi się, nieskończony rytm. I nagle, zobaczyłam to moimi własnymi oczami, powietrze w pokoju zaczęło się trząść jak w piecu u kowala i wkrótce nastąpiła zupełna ciemność. Wkrótce ciemność poczęła przybierać kształt i formę, aż po chwili za nagą sylwetką Charlotte ujrzałam przerażającą, wysoką, owłosioną bestię, z rogami i płonącymi oczyma. Każdy w pokoju pokłonił się jej, nawet ja; nasze czoła dotknęły podłogi w absolutnej pokorze. Zanim jednak opuściłam wzrok, ujrzałam, że bestia ma długi, czarny ogon i stąpa po ziemi na kozich kopytach. Spomiędzy jej ud, niemal ukryte wśród cuchnącego futra, zwisały dwa napęczniałe, czarne organy, jeden ponad drugim, a ich główki lśniły czarnym blaskiem niczym trujące owoce.

Teraz Charlotte zaczęła więc się i jęczeć i wyciągać przed siebie ręce, aby skupić na sobie

uwagę bestii. Początkowo zjawa zignorowała ją, raczej woląc stać z wyciągniętymi ramionami, sięgającymi wysoko, aż pod sufit i patrzeć z pogardą na bijącą pokłony gromadę. Lecz w pewnej chwili bestia opadła na swe kolana i pochyliła się nad Charlotte. Widziałam, jak sztywnieją potężne członki bestii.

Bestia całym swym cielskiem przykryła Charlotte leżącą na plecach i wbiła swoje penisy w jej ciało. Charlotte krzyknęła, czy to z zadowolenia, czy też z powodu straszliwego bólu, którego niewątpliwie zaznała. A jednak szarpnęła bestię za futro i pociągnęła ją jeszcze bardziej ku sobie, aby wbić ją w siebie jeszcze głębiej. Musiała odczuć potworny ból, bo straszliwie wrzasnęła, a z jej nosa pociekła krew. Jednak przyjemność, jakiej zaznała, musiała być równie potężna, bo nie pozwoliła bestii wycofać się.

Bestia w końcu z niej zeszła, a Charlotte, strasznie krwawiąca, poturlała się po podłodze. Świadkowie tego widowiska przyglądali się mu w absolutnej ciszy, nic nie mówiąc, ani nie wzdychając, czy to z przerażenia, czy z podniecenia widokiem tego aktu. Bestia tymczasem powstała. Była straszna, śmierdziała, a na jej futrze widniały długie smugi krwi Charlotte. Oczy błyszczały jej i pochrząkiwała z zadowolenia. Nie trwało to jednak długo. W pewnym momencie jej kształty zaczęły się zamazywać, z każdą chwilą coraz bardziej rozmywały się, aż w końcu zniknęła, w taki sam sposób, w jaki się pojawiła.

Charlotte z dzikim płaczem zerwała się z podłogi. Nie chciała dopuścić do tego, aby jej piekielny kochanek odszedł. Z przerażeniem zobaczyłam, że jej łono jest rozerwane, a spomiędzy nóg zwisają jej poszarpane wnętrzności. Jednak usłyszałam jeszcze odgłos, jakby z dachu toczyła się ciężka, masywna belka, a bestii już nie było.”

Ojciec Hillier odłożył pamiętnik i ściągnął okulary.

- Przerazająca rzecz, prawda? Szczególnie, gdy się ma świadomość, że pisało to piętnastoletnie dziecko w 1803 roku, w czasach gdy dzieci w tym wieku, szczególnie te pochodzące z bogobojnych rodzin, nie miały zielonego pojęcia, jak wygląda naga osoba płci przeciwnej. Ale co gorsza, Judith odwiedzała Hell's End Corners kilkakrotnie, a podczas trzeciej wizyty dołączyła do ceremoniału, rozebrawszy się. Z dumą opisuje, jak wzięła do ust członek pana Faina.

Od czasu do czasu Judith nękają wyrzuty sumienia. Napisała po jednej z sesji u pana Faina, że czuje, iż jest przeklęta na wieki i nigdy już nie zostanie przyjęta do nieba. Jednak za każdym razem pokusa jest zbyt silna i Judith wciąż powraca do Hell's End Corners, aby brać udział w diabelskim ceremoniale. I za każdym razem ma nadzieję, że to ona zostanie wybrana przez demona na jego kochankę i że wreszcie zrozumie, w jaki sposób jest on wzywany z piekła.

Popatrzyłem na Jennifer. Była bardzo blada. Trąciłem ją łokciem i zaproponowałem papierosa. Wzięła go ode mnie i czekała, aż go przypalę. Jej ręka trzęsła się jak galareta.

- Czy kiedykolwiek spełniło się życzenie Judith? - zapytałem.

Ojciec Hillier pokiwał głową.

- Myślę, że jednej nocy tak, chociaż relacja z niej w pamiętniku jest ledwie zrozumiała. Trochę przypomina mi listy, jakie otrzymywałem od pewnego schizofrenika, zamkniętego w szpitalu w Rockland. Jest chaotyczna, nielogiczna, wyziera z niej strach, albo więcej, szaleńcze przerażenie. Być może Judith została zgwałcona przez bestię, być może nie. Może jedynie o tym marzyła. Trudno powiedzieć.

- Jak to się wreszcie skończyło? - zapytała Jennifer drżącym głosem.

Ojciec Hillier odłożył notes.

- W końcu matka Judith znalazła pamiętnik w jej pokoju. Przeczytała go i udała się do najbliższego księdza. Rodzina Judith była rzymskokatolicka. Ksiądz zdążył już wcześniej usłyszeć

kilka opowieści o tym, co się dzieje w Hell's End Corners, zabrał więc pamiętnik i pojechał do kardynała Coletiego, do Nowego Jorku. Zabronił matce Judith rozmawiać z kimkolwiek na temat treści pamiętnika swej córki, dopóki kardynał nie zdecyduje, co robić dalej. Stwierdził, że przeciwko piekielnym bestiom trzeba działać przede wszystkim przez zaskoczenie. Wszystko to zapisane jest w dokumentach, które zawierają biblioteki w Hartford i w Nowym Jorku, łatwo jest więc odtworzyć szczegóły tego, co nastąpiło później.

- Aż trudno w to uwierzyć, ojciec - powiedział Charles Easter. - Czuję, jak włosy na mojej głowie siwieją w przyspieszonym tempie.

- A jednak to wszystko prawda - stwierdził ojciec Hillier zdecydowanym tonem. - Skoro od tej prawdy siwieją panu włosy na głowie, cóż, trudno, nic na to nie poradzę. Lepiej mieć siwe włosy, niż umrzeć w nieświadomości, jakie to potężne i straszne siły czają się, aby zawładnąć naszym światem.

- Teraz dopiero mówi ojciec jak prawdziwy ksiądz - zauważył Easter.

- Mówię jak realista - powiedział ojciec Hillier z uśmiechem.

Do końca wychyliłem kieliszek z koniakiem.

- Co postanowił kardynał Coletti? - zapytałem. Ojciec Hillier wygodniej rozparł się w krześle.

- Postanowił użyć władzy, którą, szczęśliwie dla wszystkich wmieszanych w tę historię, osobiście nadał mu sam papież w uznaniu za egzorcyzmy, które odprawił w osaczonym przez diabła klasztorze w Meksyku. Władza ta upoważniła kardynała Coletiego do reprezentowania Jego Świątobliwości, papieża, w każdej sytuacji, kiedy niezbędne będzie odprawienie egzorcyzmów. Oznaczało to ni mniej, ni więcej, że egzorcyzmy kardynała Coletiego mają taką samą moc jak egzorcyzmy papieża.

- Niesamowite - jęknął Charles Easter.

- Tak, tak, to jest ogromna moc - zgodził się ojciec Hillier. - Z tej też przyczyny kardynał Coletti postanowił osobiście pojawić się w Hell's End Corners. Jeżeli ktokolwiek mógł pokonać bestię i ukrócić orgie pana Faina, to mógł to uczynić jedynie kardynał Coletti.

Popatrzyłem na smutny autoportret Judith Franklin. Była bladolica, piękna i niewinna do czasu, gdy została zgwałcona przez jakąś przerażającą kreaturę rodem z piekła. Ucieszyłem się, że nie istnieją autoportrety z czasów po tym gwałcie. A może potem już Judith nigdy niczego nie namalowała?

- Kardynał Coletti przybył do Sherman incognito, trzynastego grudnia 1803 roku - kontynuował ojciec Hillier. - Z pamiętnika Judith Franklin wynikało, że noc na czternastego grudnia będzie nocą kolejnej konwokacji. Wraz z miejscowym księdzem i kilkunastoma uzbrojonymi mieszkańcami Sherman, kardynał ruszył za Judith do Hell's End Corners i czekał na zewnątrz, dopóki migotające niebieskie światła nie zapłonęły na niebie nad domem i dopóki z budynku nie rozległy się jęki i krzyki.

W końcu kardynał Coletti wpadł do środka, pobiegł po schodach na górę i wtargnął do pokoju, w którym odbywała się ohydna orgia. Zobaczył rzeczy gorsze, niż wyobrażał sobie w najstraszliwszych przypuszczeniach. W pomieszczeniu tańczyli nadzy ludzie i nie tylko pan Fain oddawał cześć bestii - zgromadziło się tam całe mnóstwo satyrów, monstrów i nimf z piekła rodem. Otaczali oni kołem bestię, która właśnie niecierpliwie wykorzystywała piękną żonę miejscowego kowala. Kardynał Coletti zaskoczył wszystkich, niczego nie spodziewających się uczestników zgromadzenia. Ale zaskoczony był również sam, ponieważ przenigdy nie przypuszczałby, na kogo się tutaj natknie.

Bestią nie był Belial, Baal albo Belzebub. Nie był to Asmodeusz, Książę Piekła, rozbijający małżeństwa i zawiązujący nieprawie stosunki, nie był to też Gressil, który skłania mężczyzn do zdrady

i nieczystości. Nie był to Balberyt, demon zbrodni i bluźnierstwa.

Nie, diabłem, w obliczu którego stanął biedny kardynał Coletti, był sam Szatan, Lucyfer, absolutny władca piekła. Wobec niego nawet zastępca papieża może znaleźć się w poważnych kłopotach.

Jednak władza papieża była, jak zauważyliśmy, potężna. I mimo że kardynał Coletti nie był w stanie zniszczyć Szatana albo zakazać mu pojawienia się w Sherman kiedykolwiek w przyszłości, potrafił uczynić coś dobrego. Stanął nad Szatanem i przekrzykując wyzwiska, które określił później jako „najstraszliwsze, najbardziej obrzydliwe, najwstrętniejsze z tych, które dotąd słyszał w życiu”, potrafił przerwać ziemski żywot Szatana i życie tych wszystkich, którzy obecni byli na spotkaniu; z wyjątkiem Judith Franklin, którą zabrał do domu, i pana Faina, o którym nigdy już potem nie słyszano.

- Zamienił ich w posągi - powiedziałem głuchym głosem. - Nie był w stanie posłać ich z powrotem do piekła, zamienił ich więc w marmurowe posągi.

Ojciec Hillier pokiwał twierdząco głową.

- Ma pan absolutną rację - powiedział. - Widział pan przecież oranżerię.

Wstałem. Na dworze było już prawie zupełnie ciemno. Tylko mała czerwona luna odznaczała się na niebie tam, gdzie niedawno zaszło słońce.

- A więc wiem już, jak to wszystko się odbyło - rzuciłem. - Kiedy Hunter przyjechał do Allen's Corners, diabeł w jakiś sposób uwolnił się z kamienia. To wtedy właśnie słyszałem odgłosy kopyt i wtedy właśnie tak zaniepokoiły mnie statuy.

- A ciemna postać z kopytami? - zapytała Jennifer. - Co to mogło być?

- Nie mam pojęcia. Być może był to sam diabeł, krążący w przebraniu dookoła Allen's Corners?

- To możliwe - zauważył ojciec Hillier. - Piekielne bestie są bezczelne i śmiałe.

- Ale skoro Huntera posiadał Szatan, wystarczy nam kardynał, który odprawi egzorcyzmy - odezwała się Jennifer. - I wszystkie nasze problemy zostaną rozwiązane.

Ojciec Hillier uważnie popatrzył na nią i zdjął okulary.

- Obawiam się, że to nie będzie takie proste.

- Dlaczego nie? Ojczy, przecież cały świat jest zagrożony, nie wspomnę już o nas. Przecież żaden kardynał nie odmówi odprawienia egzorcyzmów, skoro na szali jest taka stawka.

- Oczywiście, jestem pewien, że nie. Problem jednak tkwi w tym, że obecnie bardzo niewielu kardynałów ma nadaną przez papieża władzę, aby w jego imieniu odprawiać egzorcyzmy. Poza tym nie odprawiano ich już od ponad setki lat. Nie było to konieczne, nie mówiąc już o innych powodach, dla których ich zaniechano.

- Czy musi o tym wiedzieć papież? Czy konieczna jest do tego władza równa jego osobistej potędze? - zapytałem. - Czy kardynał nie może go zastąpić?

Ojciec Hillier przecząco potrząsnął głową.

- Egzorcyzmy tej skali wymagają specjalnej zgody Rady Watykańskiej. Niestety, oznaczają one w tym wypadku nie tylko walkę z Szatanem, absolutnym władcą piekła. Oznaczają też pojedynek z prezydentem Stanów Zjednoczonych Ameryki. Abstrahując od wszystkich elementów, cała sprawa mogłaby wywołać poważne komplikacje międzynarodowe, a nawet ośmieszyć Watykan. Poza tym, jak zareaguje kler protestancki na świecie, dowiedziawszy się, że hierarchia rzymskokatolicka walczy z prezydentem USA. Przecież Hunter jest protestantem, prawda?

- Tak.

- No właśnie. Największą trudnością w tym wszystkim jest jednak fakt, że tylko jeden człowiek ma moc nadaną przez Boga, wystarczającą, żeby posłać Szatana z powrotem do piekła. Jest to

człowiek, który nie zgodzi się przyjechać do Ameryki i odprawić egzorcyzmy za całe złoto z Fort Knox. Człowiek, którego doradcy się na to nie zgodzą, którego sztab się na to nie zgodzi i którego nie da się sprowadzić tutaj w tajemnicy w żaden sposób.

Wytrząsnąłem z paczki ostatniego papierosa.

- Oczywiście, mówi ojciec o papieżu - powiedziałem.

Ojciec Hillier przymknął oczy.

- Tak - odparł. - Mowie o papieżu.

ROZDZIAŁ XXV

Co mogłoby przekonać papieża? - zapytałem ojca Hilliera godzinę później, kiedy w małej, nowoczesnej kuchence, popijaliśmy kawę.

Ojciec Hillier uniósł w górę otwartą dłoń i pomagając sobie palcami ręki, zaczął po kolei wyliczać, jakie przeszkody trzeba pokonać, aby mogło dojść do papieskich egzorcyzmów.

- Potrzebny jest co najmniej jeden niepodważalny dowód obecności Szatana. Niech pan mnie nie pyta, jaki dowód Watykan uzna za niepodważalny, bo po prostu nie wiem. Zapewne musiałby pan im posłać samego diabła w przesyłce pocztowej. Po drugie, potrzebne byłoby zapewnienie, że papież nie zostanie wykorzystany do żadnych politycznych celów. Być może wystarczyłby w tym wypadku list od wiceprezydenta, nie wiem. Po trzecie, konieczna jest gwarancja absolutnego bezpieczeństwa dla papieża i zapewnienie całkowitej tajności egzorcyzmów. I po czwarte, chociaż może w tym wypadku nie byłoby to konieczne, być może niezbędne byłoby przekazanie sporej sumy pieniędzy na działalność i rozwój Kościoła rzymskokatolickiego w Stanach Zjednoczonych.

- Myślę, że potrafimy wypełnić ostatnie trzy wymogi, prawda, Jack? - odezwała się Jennifer. - Sadze, że Leonard Oliver napisze dla nas ten list, jeżeli zda sobie sprawę, że Kościół potraktował wszystko zupełnie serio.

A ty przecież potrafisz nakłonić Deana Moreno z FBI do przedsięwzięcia wszelkich środków bezpieczeństwa.

- Chyba tak - przytaknąłem. - Jednak co z tym dowodem, że Huntera opętał Szatan? Właśnie dlatego aż do dzisiaj zachowywałem się tak spokojnie, bo po prostu nie miałem żadnego dowodu, oprócz tego, co sam widziałem i słyszałem. Nie miałem niczego konkretnego dla policji i FBI, tym bardziej więc nie mam nic dla Rady Watykańskiej.

- Cóż - westchnął ojciec Hillier. - Obawiam się, że bez dowodu niczego nie osiągniemy. Poprę was tak mocno, jak tylko będę w stanie, jednak bez dowodu... Marne szanse przed wami. Jestem tylko prostym księdzem i jeżeli pójdę do kardynała i zacznę namawiać go na doprowadzenie do egzorcyzmów papieskich... Cóż, sami rozumiecie, jak to będzie brzmiało. To tak, jakby prosty policjant z drogówki kazał komisarzowi policji aresztować przywódcę mafii.

- Czy zna ojciec kardynała, który ewentualnie cierpliwie by nas wysłuchał? - zapytałem. - Zawsze to jakaś szansa.

- Och, tak. Chociażby kardynał Newson z Pittsburgha. Sam odprawiał egzorcyzmy w New Ringgold, w Pensylwanii, jakieś jedenaście lat temu. Wówczas dziesięcioletnim dzieckiem zawładnął Karniwan, jeden z demonów wywołujących okrucieństwo i nieprzyzwoite żądze. Pamiętam, że Newson doskonale dał sobie z nim radę, a potem nawet napisał książkę Prawdziwe i wyimaginowane napaści demonów. Ukazała się w bardzo małym nakładzie i jest trudno dostępna. Ja jej nie mam.

- Czy kardynał Newson chciałby nam mimo wszystko pomóc?

Ojciec Hillier wzruszył ramionami.

- Jeżeli przekonamy go, że prezydenta naprawdę opętał Szatan, wówczas... sądzę, że tak.

- Dzisiaj mamy dwudziestego piątego stycznia - powiedziała Jennifer. - Pozostają nam niecałe trzy tygodnie.

- To niewiele czasu - stwierdził ojciec Hillier. - Życzę wam jednak powodzenia.

Dokończyliśmy picie kawy i kiedy Jennifer poszła do łazienki, ojciec Hillier położył dłoń na moim ramieniu.

- Nie chciałem tego mówić przy Jennifer, żeby jej niepotrzebnie nie przestraszyć - odezwał się.

- Myślę jednak, że pan powinien o tym wiedzieć - dodał cicho.

- Co takiego? - zapytałem, marszcząc czoło.

- Chodzi mi o to, co powiedział do niej diabeł, to, że będzie do niego należała. Myślę, że rozumuje pan prawidłowo i Szatan zażąda jej w tym samym dniu, w którym rozpocznie akcję wojсковą, czternastego lutego. Musi pan jednak zrozumieć, co dla dziewczyny oznacza przejście na służbę do Szatana...

- Zaraz, zaraz - wpadłem mu w słowo. - Nie mówiłem nic o Szatanie i Jennifer, nie mówiłem, że ją zgwałcił, nie mówiłem...

- Wiem, wiem. A jednak wiem też, że diabeł ją sobie upodobał.

Popatrzyłem mu prosto w oczy.

- Czy to wynika z jej zachowania, sposobu, w jaki odwraca wzrok, kiedy mówi się przy niej o demonach?

Ojciec Hillier pokiwał głową.

- Właśnie. Być może jestem jeszcze młody, ale wystarczająco długo już jestem księdzem, aby rozpoznać tych, których gnębią siły nadprzyrodzone. Jennifer jest jedną z takich osób.

- A więc, co jej grozi?

- Bardzo nieprzyjemne rzeczy. Kiedy Szatan weźmie sobie dziewczynę za służebnicę, nigdy już nie będzie ona w stanie normalnie, spokojnie żyć. Może nadal egzystować w świecie śmiertelników, ale w każdej chwili, kiedy tylko Szatan zechce odwiedzić swoje ziemskie dominium, musi mu służyć. Nie wolno jej wyjść za mąż. Musi zerwać wszelkie związki ze swą rodziną i przyjaciółmi. A jej ciało musi nosić symbol Lucyfera. Innymi słowy, dziewczyna staje się poddaną Księcia Ciemności, dopóki ten jej nie zabije, albo tak długo, aż sama nie umrze naturalną śmiercią.

Popatrzyłem niepewnie w kierunku drzwi do łazienki.

- I to wszystko może przydarzyć się Jennifer?

- Jeżeli prezydent Peal naprawdę znajduje się we władzy Szatana, wówczas z całą pewnością odpowiadam: tak.

Podszedłem do księdza i ścisnąłem jego rękę.

- Skontaktuję się z ojcem jeszcze - powiedziałem. - Na razie dziękuję za wszystko.

Twarz ojca Hilliera wyrażała głęboką troskę.

- Raczej dziękuj Bogu, synu - powiedział cicho.

ROZDZIAŁ XXVI

Do pracy w Białym Domu powróciłem we wtorek, 27 stycznia, nad ranem. Osiemnaście dni brakowało do chwili, w której miało rozpocząć się piekło. Kiedy wszedłem do swojego gabinetu, za moim biurkiem siedział Jim Anderson, tonąc w stercie nie otwartych kopert oraz setek informacji i oświadczeń dla prasy, poodbijanych na kserokopiarce. Na biurku było jeszcze miejsce tylko dla popielniczki, pełnej popiołu z fajki. Dwa z pięciu telefonów natarczywie dzwoniły, a moja sekretarka, Lisa, cierpliwie siedziała na krześle, z otwartym notesem, oczekując na list, którego od dłuższego już czasu Jim nie miał chyba możliwości jej podyktować.

- Cześć, Jack - powiedział Jim, wstając. - Nie spodziewałem się ciebie przed końcem tygodnia.

Odwiesiłem płaszcz na wieszak stojący w rogu gabinetu.

- Zanudziłbym się na śmierć do tego czasu. A poza tym w Nowej Anglii jest cholernie zimno.

- Chcesz kawy? Potrząsnąłem przecząco głową.

- Od razu mów mi, co się tu dzieje - poprosiłem.

- Och, w zasadzie nic szczególnego. Hunter kazał mi powoli przygotowywać media na czternastego lutego. Tutaj, zobacz, jest większość gotowych już tekstów. Wspomniał też, że zamierza odbyć dłuższą podróż po kraju i rozmawiać z większością gubernatorów i burmistrzów największych miast. To ma być pierwszy etap w jego programie reurbanizacyjnym. Przygotowujemy kilka bardziej osobistych zwierzeń Micky, o tym, jak się zadomowiła w Białym Domu, dla „Redbook” i „Ladies’ Home Journal”. Także o tym, w jaki sposób zamierza ożywić życie towarzyskie Waszyngtonu.

- Lisa - powiedziałem. - Odbierz wreszcie któryś z telefonów, dobrze?

Podniosła słuchawkę.

- Biuro Jacka Russo - odezwała się.

Słuchała przez chwilę, aż wreszcie popatrzyła na mnie.

- To „Houston Star”. Chcą wiedzieć, czy Pierwsza Dama planuje urodzić dzieci podczas pobytu w Białym Domu.

Wzruszyłem ramionami.

- Powiedz im tak: „Micky Peal uwielbia dzieci i zamierza wydawać specjalne przyjęcia dla sierot oraz dzieci upośledzonych i niepełnosprawnych. Jeżeli natomiast chodzi o jej osobiste plany, uważa Amerykę za swoją najwspanialszą rodzinę i jej przede wszystkim zamierza poświęcić swój czas”.

- Cholera, doskonale to wymyśliłeś - stwierdził Jim z podziwem w głosie.

- Wiem, że doskonale. I dlatego właśnie ja jestem sekretarzem prasowym Białego Domu, a ty jedynie moim zastępcą.

Kiedy Jim wyszedł, zatelefonowałem do Huntera. Musiałem czekać prawie dziesięć minut, zanim mnie z nim połączono. Jednak kiedy go wreszcie usłyszałem, wydawał się zadowolony i wyraźnie ucieszony, że znów ze mną rozmawia.

- Jak było w Nowej Anglii? - zapytał.

- Nieszczególnie - odparłem. - Zimno. Czytałem prasę i wiem o twojej wybranej dacie. Dzień Świętego Walentego, co?

- Właśnie. Myślę, że to odpowiednia data. Słuchaj, Jack, tak przy okazji... Przygotowałbyś mi jakiś materiał o wykorzystywaniu energii jądrowej w naszym kraju?

- Jasne. Na kiedy?

- Najlepiej na piątek, wtedy zajęłaby się tym niedzielna prasa. Na początku przyszłego tygodnia chcę pojechać do Kolorado i do Arizony. Trochę pokrzyczę o tym, jak ważny jest rozwój regionalny. Niech Zachód wie, że o nich pamiętam, coś im się należy za to, że poparli mnie w wyborach.

- W porządku, Hunter. Mógłbym cię jeszcze dzisiaj odwiedzić? Może o czwartej po południu?

- Doskonale, czekam na ciebie. Sprawdź tylko jeszcze, czy już ktoś nie zajął tego terminu.

Przez resztę dnia porządkowałem bałagan po Jimie Andersonie. Lisa przyniosła mi na lunch pizzę i gorącą kawę; jadłem i piłem, jednocześnie rozmawiając przez telefon i pisząc. O pół do czwartej miałem gotowy szkic tekstu o energii jądrowej, w dokładnie takim tonie, jakiego używał Hunter, mówiąc o podobnych sprawach. Starannie uporządkowawszy kartki papieru, ruszyłem w kierunku Ovalnego Gabinetu.

Po drodze natknąłem się na Julie Spivak, śliczną młodą brunetkę, którą Hunter zatrudnił krótko przed inauguracją, aby spisywała i porządkowała wszystkie jego notatki, taśmy magnetofonowe i wystąpienia; kiedyś miałyby z tego powstać pamiętnik. Biorąc pod uwagę fakt, że Hunter planował w krótkim czasie nuklearną zagładę świata, wydawało mi się to robotą bezsensowną. Nie miałem jednak na to, oczywiście, wpływu. Nawet w diable siedzi trochę megalomanii i idea stworzenia własnej biografii chyba go pociągała.

- Czy Hunter jest u siebie? - zapytałem. - Umówiłem się z nim na czwartą.

Julie popatrzyła na zegarek.

- Teraz go nie ma. Chyba pojechał do Departamentu Stanu.

- Znosi się, że będę czekał.

Julie otworzyła drzwi do swojego gabinetu i weszła do środka. Stały tutaj najlepsze maszyny do pisania i magnetofony, a na biurkach i stołach walały się stosy papierów.

- Chcesz spróbować zupy grzybowej? - zapytała mnie Julie, gestem wskazując, że mam wejść. - Sama robiłam.

- Jasne - odparłem. - Już cholera mnie bierze na te wszystkie hot dogi, hamburgery i całe to hotelowe żarcie.

- Nie masz jeszcze mieszkania w Waszyngtonie?

- Jakoś nie. Już dwa oglądałem i oba mi się nie spodobały. Mysie nory.

Julie była doskonale zbudowana i ubierała się z gustem. Kołnierzyk przy błękitnej bawełnianej bluzeczce miała tak nakrochmalony, że można by było ostrzyć na nim ołówki.

Nalała zupy do dwóch talerzyków. Jedząc, siedziałem na skraju biurka.

- Męczące, co? - zapytałem, wskazując na piętrzące się taśmy magnetofonowe.

- Większość tak. Hunter Peal kazał zainstalować w gabinecie system, którego działanie uruchamia ludzki głos. Coś takiego miał już prezydent Nixon. Kiedy tylko ktoś się odezwie, od razu włącza się magnetofon i jest to rejestrowane. Nie uwierzyłbyś, czego już się nasłuchiwałem.

- No, cóż - westchnąłem. - Większość polityków ma skłonności do zanudzania i swoich współczesnych i potomnych.

- Niektóre z tych głosów są jednak bardzo dziwne - powiedziała.

- Dziwne? Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie potrafię ich zrozumieć. Kilkakrotnie już rozmawiał z kimś i kompletnie nie potrafiłam zrozumieć tej drugiej osoby.

Odstawiłem talerzyk.

- Może ta osoba mówiła w obcym języku?

- Oby. Ale, niestety, ja takiego języka nigdy w życiu nie słyszałam.

- Może ten ktoś bełkotał, na przykład był pijany. Popatrzyła na mnie dziwnie. Wyciągnęła z pudełka chusteczkę jednorazową i otarła usta.

- To nie był żaden bełkot. Ten ktoś chwilami nawet krzyczał, a ja i tak nic nie rozumiałam. Jak by tego było mało, sprawdzałam u sekretarki prezydenta, kto to mógł być, i dowiedziałam się, że w

tych chwilach prezydent był w gabinecie zupełnie sam. A przecież to brednia, bo sam ze sobą to Hunter Peal nie rozmawiał, z całą pewnością słyszałam dwa głosy. No i nie mam żadnych danych, na podstawie których mogłabym stwierdzić, w jakim języku ten ktoś mówił.

- Czy pytałaś o to prezydenta?

- Któregoś dnia prawie mi się udało, ale kiedy otwierałam usta, akurat zadzwonił jakiś ważny telefon. Poszłam sobie, bo przecież nie jest to takie pilne i może jeszcze poczekać.

Dokończyłem zupę, a potem sięgnąłem do kieszeni po papierosy.

- Mógłbym posłuchać tego dziwnego głosu? Może akurat ci w czymś pomogę?

- Niestety, nie. Nikt nie może słuchać tych taśm, poza mną. Są ściśle tajne. Muszę strzec ich jak oka w głowie i nikomu nie wolno mi ich udostępniać.

- Ale skoro są tam tylko niezrozumiałe odgłosy, jakie to ma znaczenie? A może akurat rozpoznam język, w jakim są wypowiedziane.

- Hmm... - Zaczęła się zastanawiać. Wstałem.

- Posłuchaj - powiedziałem. - Może mógłbym ci zaproponować pracę w biurze prasowym... Rzecz o wiele ciekawsza od tego, co teraz robisz. Jeżeli pozwolisz mi posłuchać tych taśm, z pewnością coś dla ciebie zrobię.

- Chcesz mnie przekupić - stwierdziła. Głowę lekko przechyliła na bok.

- Czy uważasz za przekupstwo propozycję ciekawszej pracy, zgodnej z twoimi zainteresowaniami i umiejętnościami?

Julie rozmyślała jeszcze przez chwile, po czym sięgnęła po taśmę leżącą w rogu biurka.

- W porządku - powiedziała. - Ale będziesz musiał włożyć słuchawki, żeby nikt nas nie nakrył.

Nastawiła taśmę w magnetofonie, a następnie zrobiła mi miejsce za swoim biurkiem, gdyż dalej nie sięgał przewód słuchawek.

- Jesteś gotowy? - zapytała. W odpowiedzi pokiwałem głową.

Pierwsze trzy albo cztery minuty były zapisem nudnej wymiany zdań pomiędzy Hunterem i Wallym Greenscheinem o tym, czy należy ufać, a jeżeli, to na ile; George'owi White'owi.

HP: - Nie wiem. Myślę, że jest nadmiernym oportunistą. Zmienił swoją postawę w sprawie Wietnamu tylko dlatego, żeby ratować skórę. Takie zachowanie nie wzbudza mojego zaufania.

WG: - A jednak, George jest posłuszny i zawsze dokładnie wykonuje rozkazy. W sumie nie interesuje nas, co myśli.

HP: - Jest tanim (tutaj nastąpiło niewybredne przekleństwo). Nie ufam mu i nie cierpię go.

Natychmiast po rozmowie Huntera z Wallym taśma gwałtownie zmieniła się. Ze względu na to, że zapis uruchamiany był głosem ludzkim, nie było żadnej pauzy, żadnej chwili przerwy, żadnego ostrzeżenia. W jednej sekundzie słuchałem nosowego głosu Wally'ego, a w następnej już niemal ogłuszył mnie charkotliwy wrzask, jakby dwóch obłąkańców rozmawiało ze sobą w pustym basenie. Dźwięki, które usłyszałem, niemal uniosły wszystkie włosy na mojej głowie, a skóra zaczęła mi cierpnąć z przerażenia. Popatrzyłem na Julie; pokiwała głową, jakby chciała upewnić mnie, że zdaje sobie sprawę, co teraz przeżywam.

Miała rację. Język tajemniczego osobnika był zupełnie odmienny od tego, czego przywykliśmy słuchać na ziemi. Zdołałem jednak rozpoznać i wyróżnić ostre tony i wybuchy śmiechu. Było to niezrozumiałe, a jednak identyczne z tym, co słyszałem w Allen's Corners za zamkniętymi drzwiami sypialni Huntera.

Słuchałem po raz pierwszy w historii nagranych głosu Szatana.

Charkot i dzikie krzyki trwały przez blisko dwadzieścia minut. Kiedy skończyły się, zdjąłem słuchawki z uszu i siedziałem za biurkiem Julie, kompletnie wytrącony z równowagi.

- No i co? - zapytała Julie. - Przecież tego nie można w żaden sposób przetłumaczyć.

- Nawet nie próbuj - powiedziałem cicho. - Myślę, że to nigdy nie powinno zostać nagrane.

Prezydent, cóż, jak to łagodnie powiedzieć, raczej nie był sobą, kiedy nagrywała się ta taśma.

- Rzeczywiście, powiedziałeś bardzo łagodnie. Uśmiechnąłem się.

- Tak, Julie, bardzo łagodnie. Mam nadzieję, że zechcesz pożyczyć mi tę taśmę.

- Nie ma mowy. Każdego dnia wszystko jest dokładnie komisyjnie sprawdzane i plombowane.

- A masz tutaj jakiś magnetofon kasetowy?

- Oczywiście. Jest w prawej szufladzie.

Otworzyłem szufladę i wyciągnąłem z niej mały magnetofon. Podłączyłem go i zacząłem przewijać taśmę na magnetofonie szpulowym.

- Nie wolno ci tego skopiować - powiedziała Julie.

- Odwróć się, a nie zauważysz, co robię. Zmarszczyła czoło.

- Masz rację - rzuciła i odwróciła się.

ROZDZIAŁ XXVII

Kardynał Newson miał około siedemdziesięciu lat. Był małym, wysuszonym, delikatnym człowieczkiem o skórze barwy zwiędłego liścia. Mówił z przesadną starannością, dobierając słowa powoli i cicho. Dawno już dokonał swojego rozrachunku z tym światem i przygotowany był na podróż do nieba. W bibliotece w jego niedużym domu z czerwonej cegły w pomocnym Pittsburghu, niedaleko od Obserwatorium Allegheny, przesiadywały długowłose koty perskie. Po krótkim przywitaniu kardynał poczęstował nas doskonałą herbatą.

Uważnie wysłuchał kasy z nagraniem Huntera pochodzącym z Owalnego Gabinetu. Podczas gdy bibliotekę wypełniały nieartykułowane wrzaski i wybuchy śmiechu, siedział z przymkniętymi oczami, z dłońmi starannie splecionymi na kolanach. Otworzył oczy dopiero w pięć minut po tym, jak magnetofon automatycznie się wyłączył.

W absolutnej ciszy, wraz z ojcem Hillierem i Jennifer wpatrywaliśmy się w kardynała z uwagą i nadzieją. W wersji dla Białego Domu przebywałem właśnie w Nowym Jorku, przygotowując teksty dla massmediów na temat postawy USA wobec Organizacji Narodów Zjednoczonych oraz Rady Bezpieczeństwa po czternastym lutego. Prawda była natomiast taka, że wcześniej rano poleciałem razem z Jennifer do Pittsburgha. Na lotnisku czekał już na nas ojciec Hillier.

Gdy wreszcie kardynał Newson otworzył oczy, głęboko westchnął, a następnie głośno wytarł nos. Już w drzwiach zdążył nas uprzedzić, że zawsze w styczniu dopada go ciężkie przeziębienie. Teraz spoglądał na zmianę, to na mnie, to na Jennifer i kiwał głową.

- To bardzo przekonujący dowód - powiedział poważnie. - W istocie rzeczy przestraszyliście mnie. Szczerze mówiąc, nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek w życiu był bardziej przestraszony.

- Czy jest to głos Szatana? - zapytał ojciec Hillier.

- Och, tak - odparł kardynał Newson. - To, co słyszałem, jest pradawnym językiem demonów. A przynajmniej jest nim zgodnie z moją najlepszą wiedzą na ten temat, gdyż nigdy w życiu nie słyszałem tej mowy osobiście. Czy próbowaliście powtarzać, któreś z wypowiedzianych tu zwrotów?

- Nie rozumiem - powiedziałem.

- Spróbujcie zagrać to jeszcze raz i poruszać ustami tak, aby wydobywać te same dźwięki, które dochodzą z głośnika. Właśnie tego próbowałem, kiedy słuchałem taśmy. Głosy na niej nagrane są głosami istot z piekła rodem i ludzie nie są w stanie ani ich tłumaczyć, ani powtarzać.

Ojciec Hillier pochylił się do przodu, w kierunku kardynała.

- Czy w takim razie wasza eminencja nam pomoże? Kardynał znów ciężko westchnął. Wysuszoną ręką głaskał szarego perskiego kota, który tymczasem wskoczył mu na kolana.

- Przyznaję, macie dobry dowód obecności Szatana na Ziemi. Ale to o wiele mniej, niż ja miałem, kiedy zwracałem się do Watykanu o pozwolenie na odprawienie egzorcyzmów nad małą dziewczynką w New Ringgold, a sprawa jest przecież o wiele poważniejsza. Rozmawiamy o prezydencie Stanów Zjednoczonych, moi drodzy. Sądzę, że Watykan zażąda tak silnych dowodów, jakich w praktyce nikt nie będzie w stanie zebrać.

- A jeżeli poddamy taśmę jakimś badaniom? - zapytałem. Jeżeli uzyskamy potwierdzenie ekspertów policyjnych, że nagrany przeze mnie głos nie pochodzi od istoty ludzkiej? Albo oświadczenie prezydenckiego stenografa, że taśma jest autentyczna, nie spreparowana?

- To wszystko z pewnością byłoby pomocne - zgodził się kardynał Newson. - A jednak sądzę, że Watykan zażąda przynajmniej trzech „różnych, niezbitych dowodów. Taśma i dokumenty policyjne z pewnością mogą zostać za takowe uznane, ale co jeszcze?

Popatrzyłem na Jennifer.

- Kamienne penisy - powiedziałem. Jennifer rozpięła górne guziki przy bluzce. Kardynał Newson odkaszlnął i zdołał odwrócić wzrok w przeciwnym kierunku, tam, gdzie perski kot akurat skrobał pazurami drewnianą nogę jednego z cennych wiktoriańskich krzeseł. Penisy uderzyły o siebie z głośnym odgłosem, gdy Jennifer zdejmowała je z szyi. Po chwili wyciągnęła je przed siebie, w kierunku kardynała.

Kardynał ujął członki w ręce.

- Tak - wyszeptał. - To jest to. Nie ma wątpliwości, że są to organy Szatana. Mam tutaj książkę, popatrzcie, tutaj... - strącił kota na dywan i ruszył w kierunku półki. - Mam książkę, która zawiera ilustrację Szatana z tymi organami w stanie erekcji.

Odwrócił się na chwilę i uważnie popatrzył na Jennifer.

- Mam nadzieję, że wybaczy mi pani, jednak taki język jest w tej chwili niezbędny.

- Wybaczam, oczywiście - odparła Jennifer. Stękając i mrużąc coś pod nosem, kardynał spędził długie minuty przed półkami, próbując odnaleźć właściwą książkę. W końcu wyciągnął ją - opasył tom oprawny w zieloną skórę - podszedł do nas i położył książkę na stoliku.

- O, tutaj, popatrzcie - powiedział, otworzywszy tom na stronicy, na której widniała reprodukcja drzeworytu. Lucyfer, Książę Piekła, głosił napis pod spodem. -

Popatrzcie na te organy między jego nogami. Widzicie, jakie są wielkie? Jakby je wykuto na kowadło, prawda?

- Tak - powiedziała Jennifer cicho. - Takie właśnie są.

Kardynał Newson zamknął księgę.

- To może już wystarczyć. Ale wspomniał pan jeszcze jedną rzecz, panie... eee... Russo. Wspomniał pan jeszcze o rzeczy, która bardzo by nam pomogła. W kufrze, w którym spoczywa statua, statua, którą prezydent zabrał z Hell's End Corners - przerażająca nazwa, prawda? - znajduje się skóra. Szczeciniasta, włochata skóra.

- Chyba jej eminencja nie zażąda? To znaczy, mam nadzieję, że to nie jest potrzebne.

Stary człowiek wykrzywił twarz.

- Jest potrzebny chociażby mały kawałek. Paseczek. Taki, jaki wystarczyłby, abym mógł przesłać Watykanowi ze słowami, iż przekonany jestem, że mamy do czynienia ze skórą Szatana.

- To będzie bardzo trudne - powiedziałem. - Kufer znajduje się gdzieś w prywatnych pokojach prezydenta i, jak sobie zapewne eminencja może wyobrazić, jest doskonale strzeżony.

- Jeszcze jedno - dodał kardynał, całkowicie zignorowawszy mój protest. - Przydałyby się fotokopie rozkazów dla armii, przygotowywanych na czternastego lutego; to z całą pewnością przyspieszy poczynania kardynałów w Watykanie. Zwykle są bardzo powolni, jeżeli idzie o tego typu sprawy, zapewne doskonale pan wie. W ich normalnym tempie odpowiedź nie nastąpiłaby zapewne wcześniej niż po roku. Może nawet później, dużo później. Tak to jest, gdy Kościołem rządzą Włosi.

- To wszystko musi się odbyć bardzo szybko - powiedziałem z naciskiem.

Kardynał Newson uniósł ręce do góry w geście, który jak przez mgłę przypominał mi prezydenta Huntera Peala.

- Daj mi skórę Szatana, a ja zrobię, co tylko się da.

Ciężko westchnąłem i powstałem na nogi. Przez moment spoglądałem za okno. Na zewnątrz było szaro i ponuro. Północny Pittsburgh w styczniu z pewnością nie był miejscem, gdzie należałoby spędzać urlop.

- Zrobię, co tylko będzie w mojej mocy - powiedziałem kardynałowi.

Potrząsnął moją dłoń.

- Wierzę ci, młody człowieku. I tak wykonałeś już ogromną robotę.

Wychodząc z budynku, dopinając płaszcz w alejce dojazdowej, popatrzyłem w niebo. Rozpoczęła się śnieżycą; dookoła nas już wirowały ciężkie płaty śniegu.

- Głowa do góry - odezwał się do mnie ojciec Hillier. - To nie jest jeszcze koniec świata.

ROZDZIAŁ XXVIII

Hunter miał lecieć do Denver w poniedziałek. Początkowo miałem nadzieję, że kufer pozostanie w tym czasie w Białym Domu, ale Jennifer zamieniła kilka słów z Fredem Fariahem, szefem transportu w Białym Domu, i dowiedziała się, że kufer poleci do Denver nawet jeszcze wcześniej niż sam prezydent. W niedzielny poranek miał być przetransportowany prosto na lotnisko Dullesa.

Taka sytuacja nie pozostawiała nam czasu na włamanie się do pokoi Huntera i odcięcie kawałka skóry. Zresztą, włamanie takie było prawie niemożliwe ze względu na strażę, ciągle bardzo czujne i trzymane w silnej obsadzie, ze względu na ciągle przychodzące do Białego Domu pogróżki wobec Huntera.

W sobotę po południu dwukrotnie dostałem się do zachodniego skrzydła Białego Domu, ale za każdym razem natykałem się na Wally'ego Greenscheina. Za drugim razem powiedział:

- Nie wiem, dlaczego znów cię tu widzę. Hunter wyznaczył naradę dla sztabu towarzyszącego mu w podróży na niedzielę wieczorem. Dzisiaj nie możesz się z nim spotkać.

- Chciałbym uzgodnić pewien szczegół w wystąpieniu na temat inwestycji regionalnych.

Wally ściągnął okulary i popatrzył na mnie uważnie.

- Słucham - powiedział.

- Co, słucham?

- Możesz uzgodnić to ze mną, prawda? Jestem szefem sztabu i doradcą prezydenta.

- Nno... cóż - zacząłem jąkać się. - Problem polega na tym, czy prezydent powinien powiedzieć, że chcemy gwarantować wzrost wydatków federalnych na inwestycje w sektorze przemysłu ciężkiego nad Pacyfikiem kosztem środkowej Ameryki, a ponadto czy powinien prezentować szacunkowe dane liczbowe na ten temat, szczególnie w kontekście wyników poprzedniej administracji i...

Wally Greenschein znów nałożył okulary.

- Rozumiem - powiedział. Udawał, że rozumie i udawał, że się zastanawia. Było to dla mnie oczywiste...- Przypilnuję, żebyś miał okazję porozmawiać o tym z prezydentem jutro wieczorem.

Wróciłem do swojego gabinetu. Ściągnąłem marynarkę, położyłem krawat, a potem usiadłem w fotelu i położyłem nogi na biurko. Po kilku minutach nadeszła Jennifer, z dwoma kubkami kawy i grzankami. Nie musiała pytać mnie, czy tym razem mi się udało. Rezultaty moich dwukrotnych prób niewątpliwie widniały wymalowane na mojej twarzy.

Gryząc grzankę, nagle zapytała:

- A dlaczego po prostu nie poprosimy Micky?

- Co?

- Jest twoją przyjaciółką od dnia, w którym poznałeś Huntera, prawda? Mówiłeś mi, że bardzo jej zależy, aby Hunter znów stał się normalnym człowiekiem. Może więc zatelefonujesz do niej i poprosisz ją o przysługę?

- Nie, bo jej nie ufam. Nie mogę jej ufać. To nie jej wina. Hunter przez cały czas ją hipnotyzuje... ma na jej poczynania decydujący wpływ. Co będzie, jeżeli Micky, wbrew swej woli, zdradzi nas?

- A czy myślałeś o Johnie Smilsonie?

Potrząsałem przecząco głową. John Smilson był jedynym pozostającym na wolności sprawcą afery Watergate, przynajmniej tak sam twierdził. Jennifer spotkała go na przyjęciu w Waszyngtonie w zeszłym roku. Pijany, zadowolony z siebie, opowiedział jej wówczas wiele nieznanych ogólnie szczegółów. Twierdził, że zamówienie na założenie podsłuchu wcale nie przyszło z Białego Domu. Jednak, kiedy powiedział skąd, Jennifer aż nie chciała uwierzyć.

- Nie wchodzi w grę - powiedziałem. - Być może doskonale zakłada podsłuchy, ale za dużo

pije, pomijając, że w tym przypadku miałby kraść. Zbyt ryzykowne.

Wstałem i podszedłem do planu Białego Domu, zawieszzonego na ścianie.

- Widzę to tylko w jeden sposób - odezwałem się. - Najłatwiejszy dostęp do kufra będziemy mieli, kiedy kufer pojedzie na lotnisko. Czy byłabyś w stanie dowiedzieć się od Freda Fariaha, jakie przedsiębiorstwo transportowe zatrudnił tym razem?

Jennifer dłonią odgarnęła włosy z czoła. Na chwilę pomyślałem o nocy, podczas której moją ukochaną gwałcił Szatan, pomyślałem o jej bólu i krwi. Jennifer wciąż jeszcze nie doszła do siebie po tej nocy, ani psychicznie, ani fizycznie. Wiedziałem, że jeżeli zapobiegniemy wojnie nuklearnej, jeżeli zniszczymy Szatana, i tak będzie trzeba jeszcze wielu miesięcy, aby Jennifer stała się ponownie sobą.

- Co zamierzasz? - zapytała.

- Dowiedz się, kto będzie przewoził kufer, a potem ci powiem.

ROZDZIAŁ XXIX

W niedzielę rano znów padał deszcz, jednak gdzieś tak koło ósmej zimny wiatr z północnego wschodu rozgonił ciemne, skłębione chmury i przejaśniło się. Wiatr wysuszył większość kałuż na dziedzińcu Potomac Haulage Inc., z wyjątkiem jednej jedynej, wielkiej i przypominającej kształtem stan Kentucky. Kierowcy i tragarze kręcili się wokół pojazdów, z wysoko podniesionymi kołnierzami ciepłych służbowych kurtek, bijąc się po udach i przytupując dla rozgrzewki.

Podszedłem do błękitnej furgonetki marki chevy. Dwóch mężczyzn w równie błękitnych czapczkach stało przy niej i paliło papierosy w cierpliwym oczekiwaniu na sygnał do odjazdu. Było bardzo zimno, jednak pod ciepłym płaszczem czułem, jak zimne i gorące poty, zraszają całe moje ciało.

- Cześć - powiedziałem do facetów i pokazałem im moją legitymację służbową z Białego Domu.
 - Czy ten samochód ma zabrać rzeczy prezydenta?
 - Zgadza się - odparł jeden z facetów, salutując jak służbista do daszka czapki.
 - Chciałbym zajrzeć do środka. Rozumiecie, bezpieczeństwo i te rzeczy.
 - W każdej chwili mamy ruszać, ale, oczywiście, niech pan sprawdzi nasz ładunek.
- Uśmiechnąłem się krzywo.
- Dużo czasu mi to nie zajmie.

Podszedłem do kabiny kierowców i z ostentacją zacząłem ją przeglądać. Zaglądałem za siedzenia, pod siedzenia, we wszystkie możliwe skrytki i w ogóle, gdzie się tylko dało. Potem obszedłem cały samochód stukając w karoserie i zaglądnąłem pod spód. W końcu otworzyłem ciemne drzwiczki i wszedłem do ciemnego wnętrza przedziału przeznaczonego na ładunki.

Dzięki Bogu, leżały tam jakieś szmaty i pomniejsze pakunki. Gdyby nie to, szybko musiałbym stamtąd wyjść jak niepyszny, gdyż nie miałbym niczego do przeglądania. A tak, kręciłem się dookoła, przekładałem co tylko mogłem z miejsca na miejsce i mruczałem do siebie, ale tak, aby mnie słyszeli faceci z zewnątrz: „wszystko w porządku”, „zdaje się, że z tym pojazdem nie będzie problemów”. Wreszcie musiałem wyjść na zewnątrz. Stałem przed samochodem i zacząłem starannie naciągać rękawiczki.

- W porządku - powiedziałem do kierowcy. - Możecie jechać. Mój samochód stoi przed bramą. Kiedy znajdziecie się na ulicy, pojedę za wami aż do Białego Domu. Do zobaczenia więc.

- Do zobaczenia - mruknął kierowca i wyciągnął do mnie rękę. Nie podałem mu swojej, za to skupiłem się na naciąganiu rękawiczki, która dziwnym trafem opornie wchodziła na moją dłoń. Jennifer spóźniła się. W tej chwili było już ponad dwadzieścia sekund po czasie. Jeżeli nie zobaczę jej teraz, natychmiast, cały misterny plan zawali się.

Kierowca wpatrywał się we mnie, czekając, aż naciągnę oporną rękawiczkę i jednak podam mu rękę.

Gdzie ona, do cholery, się podziewa. Uśmiechnąłem się jak idiota do kierowcy, wciąż walcząc z rękawiczką. W tym momencie zdałem sobie sprawę, że mój czas dobiega końca.

W tej samej chwili jednak, dzięki Bogu, pojawiła się. Wjechała prosto w otwarte wrota ciężkiej bramy z kutego żelaza. Uderzeniu samochodu w bramę towarzyszył zgrzyt rozdieranego metalu i brzęk szkła z tłuczonych reflektorów. Dla zwiększenia efektu Jennifer nacisnęła na klakson i tak zaległa w bramie.

Wszyscy kierowcy ruszyli w tamtym kierunku. I to był właśnie moment, który musiałem wykorzystać. Natychmiast dałem nura z powrotem do furgonetki, ukryłem się wśród ładunku i zaległem bez ruchu. Moje serce waliło jak oszalałe, ciężki kurz zapierał mi dech w piersiach, ale najważniejsze było to, że się udało. Znajdowałem się w furgonetce, która powiezie na lotnisko kufer

Huntera.

Słyszałem jakieś okrzyki i kłótnie za zewnątrz, po kilkunastu sekundach ustał dźwięk klaksonu i przez chwilę zastanawiałem się, jakie szkody Jennifer spowodowała w pinto, które wypożyczyliśmy przed kilkudziesięcioma minutami. Odbierając samochód, zastanawiałem się, czy nie wpisać do formularza podwyższonej stawki ubezpieczenia.

Dopiero po pięciu minutach od mojego wtargnięcia do furgonetki powrócił kierowca. Słyszałem jak pyta kogoś:

- A gdzie się podział ten facet z Białego Domu? - jednak od nikogo nie uzyskał żadnej odpowiedzi. Po chwili usłyszałem, jak ktoś zatrzaskuje drzwiczki i kierowca zapalił silnik. Leżałem w norze, którą zdążyłem sobie wymościć, i modliłem się, żeby to wszystko trwało jak najkrócej.

Zdaje się, że jechałem do Białego Domu przez Delaware Avenue. Samochód trząsał się, podskakiwał i pochylał na boki podczas jazdy. Kiedy dojechaliśmy wreszcie pod boczną bramę do Białego Domu, byłem poobijany, zmaltretowany, krańcowo przerażony i właściwie miałem ochotę wyskoczyć z tej furgonetki z podniesionymi rękami i przyznać się do najgorszych przestępstw.

W końcu jednak samochód dotarł pod mury Białego Domu, otworzyły się tylne drzwiczki i przez małą szparę ujrzałem twarz Freda Fariaha oraz dwóch uzbrojonych strażników. No i, co najważniejsze, sam drogocenny kufer. Bez słów Fred Fariah i kierowcy wymienili pomiędzy sobą papiery i podpisy i kufer został załadowany. Ulokowali go tak, że boleśnie uciskał mnie w prawe ramię.

- Cholera jasna, to gównu waży chyba tonę - powiedział kierowca, po czym zatrzasnął drzwi.

Kiedy tylko samochód ruszył, wydostałem się ze swojego ukrycia i przystąpiłem do pracy. Miałem przy sobie śrubokręt, którym natychmiast zacząłem odkręcać śruby mocujące wieko kufra.

W furgonetce było niemal zupełnie ciemno, trzęsała się, pochylała i podskakiwała na większych dziurach. Jednak zdołałem utrzymać równowagę i po kilku minutach wszystkie śruby spoczywały bezpiecznie w kieszeni mojego płaszcza. Uniósłem wieko od kufra, najpierw w krótkiej modlitwie ubłagawszy Boga, aby w środku nie było niczego żywego ani przerażającego.

Nawet w ciemności blade oblicze statuy było doskonale widoczne. Marmurowy posąg owinięty był w ohydną, wstrętną szczeciniastą skórę szatana. Kiedy dotknąłem jej palcem, zaiskrzyła, jakby była naładowana elektrycznością.

Wyciągnąłem z kieszeni ostry nożyk, otworzyłem jego najdłuższe ostrze i skoncentrowawszy się, szybko odciąłem mały fragment skóry. Schowałem go do kieszeni, a następnie ułożyłem wieko od kufra na swoim miejscu. Resztę podróży spędziłem, przymocowując śruby. W chwili, gdy usłyszałem wysokie tony silników lotniczych i poczułem smród samolotowego paliwa, byłem zupełnie mokry od potu i trząsałem się jak epileptyk. Ale śruby na kufrze były przymocowane. Stwierdziwszy to, włożyłem śrubokręt do kieszeni płaszcza, a sam szybko pogrążyłem się w norze wśród śmierdzących szmat i pakunków.

Wydostanie się z furgonetki było najłatwiejszym punktem zadania. Kiedy tylko wyładowano kufer, pojazd został pozostawiony swojemu losowi na ponad pół godziny, oczywiście z tylnymi drzwiczkami otwartymi tak szeroko jak to możliwe. Po prostu wyskoczyłem więc, wyszedłem przed budynek portu lotniczego, złapałem taksówkę i kazałem się zawieźć do hotelu „Mayflower”.

Jennifer czekała na mnie. Była bardzo spięta i bardzo blada, a jej czoło przecinały zmarszczki.

- Zdaje się, że trochę za mocno przywaliłam w tę bramę - powiedziała. - Tylko w telewizji takie rzeczy wydają się proste.

Sięgnąłem do kieszeni i pokazałem jej skórę szatana. Wpatrywała się w nią przez chwilę, a potem gwałtownie odwróciła głowę.

- Cóż - powiedziałem. - Zdobyliśmy więc na razie to, czego chcieliśmy.
Jennifer milczała, a ja doskonale rozumiałem, dlaczego.

ROZDZIAŁ XXX

Dni mijały. Codziennie o dziesiątej nad ranem prowadziłem konferencje prasowe w związku z planowanym przez Huntera dniem „oswobodzenia”, przygotowując amerykańską opinię publiczną na nie sprowokowany i najbardziej gwałtowny atak agresji od czasów wojny na Filipinach w roku 1899. Mówiłem do dziennikarzy, że „jako naród jesteśmy już gotowi potwierdzić naszą pozycje międzynarodową i ponownie określić nasze cele i dążenia w skali globu ziemskiego”.

Reporterzy wszystko to odnotowywali i zapisywali - nawet najbardziej radykalne bzdury - a następnie drukowali lub puszczali w eter albo na wizje. Nie byłem w stanie zrozumieć, dlaczego nie rzucają się na mnie z dodatkowymi pytaniami, dlaczego nawet nie przypuszczają, co prezydent planuje. Zнали przecież jego obietnice wyborcze. A tymczasem bezkrytycznie przepisywali zapewnienia o rychłym „potwierdzeniu naszej pozycji”, o konieczności „ponownego potwierdzenia układu sił na świecie”, w żadnym momencie nikt z nich nie zastanawiał się, do czego nieuchronnie doprowadzi próba wcielenia tych zapewnień i obietnic w życie.

Chociaż, z perspektywy czasu, muszę powiedzieć, że wizja zaatakowania Wietnamu, zbombardowania Hawany i wylądowania oddziałów marines w Angoli - wszystko w ciągu jednego i tego samego dnia - była tak niedorzeczna, że dziennikarze chyba najzwyczajniej w nią nie uwierzyli. Gdy krążyłem samotnie po Białym Domu i zastanawiałem się nad przyszłością Ameryki, również odnosiłem momentami wrażenie, że funkcjonuję w jakimś nierealnym śnie, który w każdej chwili powinien się skończyć.

Jednak wszyscy najważniejsi członkowie ekipy Huntera dobrze wiedzieli, że okręty Szóstej Floty zmieniły kurs i kierowały się właśnie w stronę Bosporusu, a wydzielone siły Siódmej Floty płynęły ku Morzu Południowochińskiemu. Wiedzieli także, że Baza Sił Powietrznych Clark na Filipinach oraz Baza Sił Powietrznych w Kadenie, niedaleko granicy z Chinami, zostały wzmocnione kilkudziesięcioma myśliwcami F-111 i postawione w stan „najwyższego pogotowia”.

W ciągu trzech tygodni poprzedzających dzień 14 lutego bardzo rzadko widywałem Leonarda Olivera. Hunter trzymał go z daleka od zasadniczych wydarzeń, posyłając go w idiotyczne misje do Oregonu, Waszyngtonu, Montany i Północnej Kalifornii. Mogłem jedynie na bieżąco śledzić miejsca pobytu wiceprezydenta, ponieważ w chwili, w której dowiedziałbym się, że Rada Watykańska podjęła jakieś decyzje w odpowiedzi na prośbę kardynała Newsona o papieskie egzorcyzmy, musiałbym skontaktować się z Leonardelem natychmiast. Watykan, byłem przekonany, zażąda jak najsilniejszych środków bezpieczeństwa oraz wszelkich możliwych gwarancji, w tym i tych dotyczących sytuacji finansowej i prawnej Kościoła katolickiego w USA po przepędzeniu prezydenta - Szatana. Ja, jako Jack Russo, nie byłem w stanie żadnej z tych gwarancji udzielić.

Dziesiątego lutego, o godzinie jedenastej dziesiątej, w chłodny i ponury poranek, zatelefonowałem do ojca Hilliera i zapytałem go, czy ma już jakieś wiadomości.

- Niestety, jeszcze nie - odpowiedział. - Telefonuję do kardynała Newsona tak samo często jak pan do mnie. Twierdzi, że wysyła teleksy i faxy do Watykanu przynajmniej dwa razy dziennie.

Nerwowo przygryzłem wargi.

- Czy to się uda, jak ojciec myśli?

- Możemy się tylko modlić.

- Przepraszam ojcze, ale uważam, że modlitwy to za mało. W sobotę na Ziemi zapanuje piekło.

- Wiem. I nic na to nie mogę poradzić.

Odłożyłem słuchawkę. Popatrzyłem na fotografię Jennifer stojącą na moim biurku. Unosiła w górę kieliszek szampana i uśmiechała się do mnie ze zdjęcia. Uniosłem kubek z kawą i odpowiedziałem jej pozdrowieniem:

- Na zdrowie.

W czwartek, 12 lutego Hunter i Wally Greenschein zamknęli się w Owalnym Gabinetcie na cały dzień, razem z dowódcami wojskowymi, Sekretarzem Stanu i Sekretarzem Obrony. Wewnątrz zmieniali się tylko asystenci i sekretarze, którzy co chwilę wybiegali z gabinetu i pędzili gdzieś jak szaleni, po czym w jeszcze bardziej szalonym tempie powracali na miejsce. Cały sztab Białego Domu trzymano z dala od tej narady i tego dnia nie widziałem w ogóle Huntera, aż do późnego wieczoru, kiedy to niespodziewanie wezwał mnie do Owalnego Gabinetu. Wyglądał na zmęczonego, ale zadowolonego z siebie.

- Wiesz co, Jack? - rozpoczął, wpatrując się we mnie przymrużonymi oczyma. - Zanim zostałem prezydentem, nie przypuszczałem, jak destruktywną potęgą dysponuje nasz naród. Te wszystkie maszyny, artyleria, okręty, samoloty... To jest fantastyczne. Jesteśmy przepotężni i przyszła pora, żeby świat się wreszcie o tym dowiedział. I odczuł to.

- Tak, panie prezydencie. Hunter podrapał się po brzuchu.

- Nie zachowuj się tak formalnie, Jack. Co cię gnębi? Czy naprawdę aż tak bardzo martwisz się przysłą sobotą?

- Skoro chcesz znać prawdę, tak, martwię się. Chyba nie spodziewasz się, że Układ Warszawski nie zareaguje na nasze ruchy?

Hunter przez chwilę uśmiechał się szeroko, po czym pięścią uderzył w swoją otwartą dłoń.

- Nie mają najmniejszych szans. Jeżeli uczynią jeden fałszywy ruch, zgnieciemy ich, zniszczymy, zmieciemy z powierzchni ziemi.

Usiadłem. Zauważyłem, że na krześle leży ciężki żołnierski guzik, który oderwał się od munduru jednego z obecnych tu dzisiaj generałów. Otwarłem notes i zacząłem mówić:

- Hunter, co mam opowiadać jutro na konferencji prasowej? Potrzebuję czegoś świeżego, czegoś zupełnie nowego. Tym, co mówię do tej pory, dziennikarze wydają się już przemęczeni.

Oczy Huntera zabłysnęły. Obnażył zęby w uśmiechu. Jego cień padał na znak pieczęci prezydenckiej. Dziwne, ale odniosłem wrażenie, że symbol ten zmienił kształt i wyraźnie widzę uformowane na nim diabelskie rogi.

- W sobotę, Jack, w sobotę opowiesz im już wszystko.

Spędziłem z Hunterem jeszcze godzinę, po czym poszedłem do swojego gabinetu. Zdaje się, że pomysł papieskich egzorcyzmów nad prezydentem nie miał już sensu. Jeszcze jedna doba i Hunter ogłosi swój holokaust. Popatrzyłem na zegarek akurat w chwili, gdy mijała północ. Następował piątek, 13 lutego. Do tej pory nie byłem przesądny. Ale teraz?

Kiedy otworzyłem drzwi do gabinetu, na aparacie telefonicznym paliła się lampka informująca, że podczas mojej nieobecności na kasecie magnetofonowej umieszczonej w telefonie nagrana została dla mnie jakaś wiadomość. Nacisnąłem guzik, aby ją przesłuchać. Usłyszałem głos telefonistki:

- „Panie Russo, telefonował do pana niejaki pan Newson. Powiedział, że ma dla pana coś pilnego i że powinien pan jak najszybciej do niego zadzwonić. Nie chciał nic więcej powiedzieć.”

Nagie poczułem, że mam sucho w ustach. Natychmiast nacisnąłem na widełki i zacząłem wystukiwać na aparacie numer kardynała Newsona w Pittsburgu. Telefon po drugiej stronie dzwonił kilkanaście razy, zanim ktoś podniósł słuchawkę.

- Newson - usłyszałem cichy głos.

- Tu Russo - powiedziałem. - Właśnie otrzymałem wiadomość.

- Och, to dobrze. Cóż, mam dla pana doskonałe wieści. Bardzo późne, ale doskonałe. Podczas specjalnego posiedzenia przestudiowano zebrane przez pana dowody, a fragment skóry poddany został nawet szczegółowym badaniom naukowym. Dowiedziałem się, że Watykan nie działał tak

szybko od czasu, gdy Hunowie wylądowali na brzegach Tybru.

- No i co? Czy przekonali się, że wszystko, co mówię, jest prawdą?

Kardynał Newson zakaszłał.

- Stwierdzili, że taśma mogłaby być ewentualnie sfałszowana, chociaż wątpiono w to powszechnie. W każdym razie uznali, że nagranie nie przypomina ludzkiego głosu i raczej niemożliwe byłoby, żeby zostało spreparowane za pomocą najdoskonalszego nawet syntezatora dźwięku. Chociaż do końca tego nie wykluczyli.

- Cholera jasna - westchnąłem, zapominając na chwilę, że rozmawiam z kardynałem.

- Musi pan zrozumieć ich naturalną ostrożność - powiedział kardynał Newson. - Muszą strzec i udzielić jak najlepszej rady swojemu papieżowi.

- W porządku. Co dalej?

- Penisy są niewątpliwie przedmiotami pozaziemskiego pochodzenia. Nie wyjaśniono mi, w jaki sposób osiągnięto ten wniosek, ale Rada stwierdziła, że ich szatańskie pochodzenie nie ulega dyskusji. Dowiedziałem się, że podobne fallusy znaleziono w Pompei, a w tajnej bibliotece watykańskiej znajdują się książki, które tym właśnie fallusom przypisują spowodowanie erupcji Wezuwiusza. Fallusy o takim wyglądzie używane były do ośmieszania księży i papieży. Istnieje słynna karykatura papieża Juliusza II, przypisywana Rabelais'mu, przedstawiająca Ojca Świętego z erekcją wywołaną przez te właśnie penisy. Rada Watykańska potwierdziła pańskie przypuszczenie, iż te kamienne członki są sprawcami transmisji Szatana z jednego krańca kontynentu na drugi w ciągu zaledwie sekund. Mimo wielu pytań, które stawiałem, nie dowiedziałem się niczego więcej.

- A skora?

- Niczego o niej nie chcieli mówić, tylko to, że otrzymali ją i starannie ją badają.

- Co teraz? - chciałem wiedzieć. - Przecież pozostała nam już tylko jedna doba.

- W Watykanie także zdają sobie z tego sprawę. Dlatego właśnie polecono mi skontaktować się z panem i przygotować wizytę Jego Świątobliwości w Waszyngtonie. Musi odbyć się w absolutnym sekrecie, papieżowi powinno zostać zapewnione maksymalne bezpieczeństwo i po zakończeniu egzorcyzmów musi mieć możliwość w takim samym sekrecie i bezpiecznie odlecieć z powrotem do Rzymu.

- Porozmawiam z wiceprezydentem. Sam nie dałbym rady przygotować takich środków.

- Cóż - westchnął kardynał Newson. - Życzę panu powodzenia. I bądźmy wdzięczni Bogu, że pozwolił Radzie Watykańskiej dojrzeć niebezpieczeństwo i groźbę, jaka zawisła nad nami wszystkimi.

ROZDZIAŁ XXXI

Leonard Oliver był akurat w Seattle. Zatelefonowałem do niego późno po południu z hotelu i Bóg chyba czuwał nade mną, bo zastałem Leonarda w pokoju hotelowym. Powrócił tam przed chwilą, aby wziąć szybki prysznic i przygotować się do kolejnego ważnego spotkania.

- Leonardzie - powiedziałem. - To wszystko nastąpi już jutro. Musisz mi pomóc.

- O czym mówisz? - zapytał podejrzliwie.

- Czy pamiętasz, co powiedziałem ci o ojcu Hillierze z Connecticut oraz o kardynale Newsonie?

- Pamiętam. Ale posłuchaj, Jack, jeżeli uważasz, że uwierzę w kolejne bzdury, które zechcesz mi zaprezentować...

- Leonardzie! - przerwałem mu. - Na miłość boską, posłuchaj mnie. Na dwadzieścia minut zapomnij, czy chcesz mi wierzyć, czy nie. Po prostu posłuchaj. Kardynał Newson przekazał dowody na to, że Huntera Peala opętał Szatan, Radzie Watykańskiej. A oni powiedzieli, że tak, że dowody są autentyczne i że rzeczywiście naszym krajem rządzi obecnie Szatan. Wyrazili zgodę na papieskie egzorcyzmy.

- Żartujesz.

- Żartuję, że za kilkanaście godzin papież przyleci do Ameryki? Leonardzie, to wszystko prawda. Nawet nie wiem, dlaczego Watykan tak szybko się zgodził na tę akcję. Przesłuchali taśmę magnetofonową, obejrzelni kamienne członki i skórę Szatana, a potem powiedzieli, że tak, papieskie egzorcyzmy są niezbędne.

- Są tak samo szaleni jak ty...

- Leonardzie - powiedziałem cichym głosem. - Pomyśl jeszcze raz o Fay i Gale. Nie o tym, co się z nimi stało, ale o tym, co zagraża podobnym do nich dzieciom na całym świecie, jeżeli nie powstrzymamy Szatana, jeżeli nie zatrzymamy Huntera. Zginie świat, zginą wszystkie dzieci, zginie my, Leonardzie, czy tego nie rozumiesz? Nie rozumiesz, co Hunter zaplanował na jutro? Jeżeli mu pozwolimy na działanie, w poniedziałek najprawdopodobniej nie będzie już naszej Ameryki.

- Hunter zaostrza kurs w polityce zagranicznej, to jest oczywiste i nikt tego nie kwestionuje. Ale przecież nie zniszczy świata!

Potarłem dłonią spocone czoło.

- Czy nikt ci jeszcze nie powiedział? - zapytałem Leonarda. - Hunter planuje inwazję Wietnamu na wielką skalę, lądowanie w Angoli, atak na sowiecką bazę na Spitsbergenie i nalot bombowy na Kubę.

Po drugiej stronie zapadła głucha cisza. Nie mogłem uwierzyć, że nikt z wtajemniczonych nawet słówka nie szepnął Leonardowi o tym, co wkrótce ma się wydarzyć. A jednak to była prawda. Wiceprezydent został przez Huntera skutecznie odcięty od tego, co działo się w Białym Domu, tak skutecznie jak przed kilku laty Richard Nixon izolował swojego wiceprezydenta, Spiro Agnew. Leonard Oliver wiedział zapewne o wiele mniej niż najmniejszy dziennikarzyna z korpusu prasowego Białego Domu.

- Jack - odezwał się Leonard. - Nie wiem... Nie wiem, co teraz powiedzieć.

- Najważniejsze moje pytanie: wierzysz mi?

- Nie wiem, sam nie wiem.

- Leonardzie, nigdy do tej pory cię nie okłamywałem, nie kłamię i teraz.

- Ale na początku nie powiedziałeś mi prawdy o Fay i Gale.

- Wiesz, że miałem powody.

- Jack...

- Leonardzie, jeżeli mi nie wierzysz, zatelefonuj do dowódców wszelkich rodzajów sił zbrojnych. Zapytaj ich, w jakim stanie gotowości znajduje się cała nasza armia. Leonardzie, na miłość boską. Wszystkie nasze bazy w Niemczech i w Wielkiej Brytanii znajdują się w stanie pełnej gotowości do ataku. Druga Flota rozwinięta jest na północnym Atlantyku... I tak dalej, i tak dalej.

Znów długa cisza, po czym Leonard odezwał się:

- Czy Watykan naprawdę wyraził zgodę na papieskie egzorcyzmy?

- Naprawdę. Ale trzeba tutaj, w kraju, przygotować wszystko na jego przyjęcie. Musimy zapewnić bezpieczeństwo i absolutną tajemnicę.

I znów cisza, po której usłyszałem pytanie:

- Która jest godzina? Aha, kilka minut po trzeciej. Posłuchaj, Jack, muszę to przemyśleć. Myślę, że mam w Narodowej Agencji Bezpieczeństwa wystarczająco dużo przyjaciół, żeby przeprowadzić wizytę papieża bez wiedzy Huntera. Ale muszę działać ostrożnie.

- W czym ci teraz pomóc? - zapytałem.

- Myślę, że najefektywniej zadziałamy, jeżeli przywieziemy papieża do Waszyngtonu concordem, o ile nie zechce przylecieć koniecznie własnym SR-71. Zadzwoń do Francois Thierry'ego z francuskiej ambasady, powiedz mu, że pilnie potrzebujemy concorde na dwa dni i zapłacimy wszelkie koszty, jakich tylko sobie zażyczy: kary, ubezpieczenia i tak dalej. Potem zadzwoń do Watykanu, żeby przygotowali rzymskie lotnisko na lądowanie pasażerskiego samolotu ponaddzwiękowego i w tajemnicy załadowali papieża na ten samolot.

- Włoska prasa z pewnością odnotuje fakt lądowania concorde w Rzymie.

- Niech Air France poinformuje prasę, że to próbny rejs. No, Jack, z czymś takim dasz sobie przecież radę, to twoja specjalność. A ja załatwię wszystko na lotnisku Dullesa w Waszyngtonie.

- W porządku - powiedziałem, drapiąc się po głowie. - Jestem wciąż w hotelu „Mayflower”. Leonardzie, telefonuj do mnie, jeżeli napotkasz na nieprzewidziane kłopoty. Albo w ogóle dzwoń i mów mi, jak postępują przygotowania.

Odłożyłem słuchawkę na widelki. Była trzecia dwanaście po południu. Jennifer gdzieś wyszła. Spodziewałem się jej dopiero po piątej. Zdjąłem płaszcz, wyłożyłem na stół paczkę papierosów i sięgnąłem po książkę telefoniczną. Za hotelowym oknem znów zaczął padać deszcz.

ROZDZIAŁ XXXII

Było już dobrze po północy, kiedy zadzwonił do mnie Leonard. Wyglądało na to, że jest wyzbyty ze wszystkich sił. Akurat razem z Jennifer siedzieliśmy wśród resztek kolacji: było to wspomnienie po steku z jajkiem i czarnej kawie, a także po dwóch paczkach wypalonych winstonów. Gdy odezwał się telefon, akurat zamierzałem udać się do lodówki, żeby otworzyć pierwsze tego dnia piwo.

- Jack? To ja, Leonard. FBI przygotowuje około pięćdziesięciu agentów w cywilu oraz nie oznaczony kuloodporny samochód. Jeśli chodzi o lotnisko, concorde może wylądować o godzinie siódmej zero dziewięć nad ranem lub o dowolnej innej porze, byle po tej godzinie. Mamy zgodę na jazdę prosto z samolotu do bramy lotniska. A to oznacza, że Jego Świątobliwość będzie w stanie przybyć do Białego Domu jeszcze przed poranną odprawą Huntera.

Zapaliłem kolejnego papierosa.

- O ile wiem, Hunter nie wyda żadnych rozkazów do ataku przed dwunastą w południe. Zamierza za dnia zdobyć wszystkie przyczółki, a właściwy atak rozpocząć w mroku, stąd taka godzina - powiedziałem.

Leonard odchrząknął.

- Mamy więc co najmniej cztery godziny. Modłę się, żeby papież zdążył na czas. To chyba dziwaczne, prawda? Traktujemy papieża jak siły szybkiego reagowania, pędzące ponad Atlantykiem, aby ocalić Amerykę.

- Leonardzie, jeżeli uważasz to za dziwaczne, przypomnij sobie o swoich córkach.

Leonard przez chwilę milczał.

- Wiem - powiedział głuchym głosem. - Jeszcze później do ciebie zadzwonię.

Rozłączył się.

ROZDZIAŁ XXXIII

W przenikliwym deszczu i silnym wietrze staliśmy na końcu pasa startowego lotniska imienia Dullesa. Była godzina siódma dwadzieścia pięć i concorde linii lotniczych Air France lecący z Rzymu miał już prawie jednaście minut opóźnienia. Szare skłębione chmury toczyły się po niebie od zachodu, a to oznaczało, że ponaddźwiękowy odrzutowiec leciał przeciwko silnemu wiatrowi. Niedaleko parkował szary fleetwood, otoczony przez kilkunastu mężczyzn w płaszczach przeciwdeszczowych i ciemnych kapeluszach. Stali w absolutnym spokoju, jedynie co jakiś czas wymieniali krótkie uwagi pomiędzy sobą.

Kardynał Newson stał obok mnie w długim przeciwdeszczowym płaszczu i czarnym kapeluszu o szerokim rondzie. W nocy przyleciał z Pittsburgha, aby osobiście powitać papieża w Ameryce; wyglądał na bardzo zmęczonego i spiętego. Co chwilę szukał mojego wzroku i uchwyciwszy go, unosił kciuk do góry, jakby chcąc dodać mi odwagi. Jednak jego mina mówiła, że raczej sam potrzebuje wsparcia i dodania mu otuchy. Jennifer stała obok mnie. Sądzę, że nikt z nas nie wyglądał tego poranka najlepiej.

W końcu usłyszałem grzmot o wiele potężniejszy niż normalny huk z silników nadlatujących odrzutowców. A po dwóch albo trzech minutach ujrzałem trójkątny kształt concorde'a, powoli wyłaniającego się spomiędzy chmur, z każdą chwilą bliższego ziemi. Miał już wysunięte podwozie. Z potężnym hukiem silników nastawionych na wsteczny ciąg, wzniesając fontanny szarej wody, samolot osiadł na ziemi i z każdą chwilą tracąc prędkość, podążył do wskazywanego mu przez pilota miejsca postoju.

Nie było, oczywiście, żadnej ceremonii powitalnej, żadnej uroczystości. Dwóch pracowników lotniska, wcześniej, rzecz jasna, zaprzysiężonych, podjechało pod luk pasażerski samolotu ze schodkami. Luk zaraz został otwarty i ukazał się w nim barczysty mężczyzna. Wyciągnął w górę jedną rękę na powitanie.

- To kardynał Vicente - odezwał się do mnie kardynał Newson. - Jest bardzo bliski papieżowi, pełni funkcję kogoś w rodzaju osobistego goryla. No i ma wiele do powiedzenia w Kurii.

Kardynał Vicente szybko zbiegł po schodkach na płytę lotniska i wyciągnął rękę, potrząsając po kolei dłońmi wszystkich osób stanowiących mały komitet powitalny. Prawie nie słyszeliśmy swoich głosów, gdyż silniki concorde'a wciąż pracowały. Fleetwood zbliżył się do samolotu.

- Czy wszystko jest przygotowane? - zapytał kardynał Vicente.

- Zrobiliśmy wszystko, co było możliwe - odparł Newson. - Będziemy wdzięczni, jeżeli jego Świątobliwość zechce się pośpieszyć.

Kardynał Vicente chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował i ruszył schodkami z powrotem do samolotu. Po kilku nieskończenie długich minutach ukazał się nam z powrotem. Tym razem trzymał w dłoni małą skórzaną walizeczkę. Obok niego pojawił się chudy, starszy mężczyzna w długim płaszczu i w kapeluszu o szerokim rondzie. Kardynał podał rękę starszemu człowiekowi i poprowadził go w dół, a potem aż do samochodu.

- Jego Świątobliwość uważa, że skoro musimy się śpieszyć, wstępne przygotowania poczyni w samochodzie, w drodze do miejsca przeznaczenia - wyjaśnił kardynał Vicente.

Wszyscy weszliśmy do samochodu. Papież usiadł w środku, z Vicente po jednej stronie i Newsonem po drugiej, a Jennifer i ja w tylnym rzędzie siedzeń. Przez chwilę nie docierało do mnie to, że ta sytuacja jest realna, naprawdę ma miejsce. Wcale nie z powodu ogromnego znaczenia tej sytuacji dla historii. Do podobnych przeżyć zdążyłem już przywyknąć podczas kilkunastu miesięcy współpracy z Hunterem. Po prostu nie mogłem uwierzyć, że siedzę w jednym samochodzie z papieżem i w chłodny sobotni poranek jadę sobie z nim ulicami Waszyngtonu, jakbym nic innego w

życiu dotąd nie robił.

Kardynał Newson przedstawił mnie i ująłem wyciągniętą rękę papieża. Nie bardzo wiedziałem, czy uścisnąć ją tylko, czy też pocałować. Zdecydowałem jednak, że sytuacja, w której się znajdujemy, nie wymaga pocałunku. Dłoń papieża była słaba, niczym pusta rękawiczka, jednak oczy płonęły silnym blaskiem, a na jego ptasiej twarzy rysowało się napięcie i uwaga.

- Jego Świątobliwość chciałby wiedzieć jak najwięcej szczegółów o prezydencie Stanów Zjednoczonych Ameryki - powiedział kardynał Vicente. - Jeżeli zechce pan powiedzieć mi coś o jego pochodzeniu, nawykach, upodobaniach i tym podobnych, przetłumaczę papieżowi pańskie słowa.

Nie zdejmując wzroku z twarzy papieża, opowiedziałem mu o Allen's Corners, prawyborach, o śmierci Fay i Gale Oliver oraz o iluzjach i trickach Huntera. Papież od czasu do czasu kiwał głową i uśmiechał się, jakby zachęcając mnie, abym nie przerywał.

Kiedy skończyłem, odezwał się kardynał Vicente:

- Jego Świątobliwość zdaje sobie sprawę z dyplomatycznego ryzyka, jakie niesie ze sobą jego dzisiejsza wizyta w Waszyngtonie, zdaje sobie również sprawę z nielegalnej natury tej podróży. Jednak osobiście nadzorował badania nad dowodami dostarczonymi przez kardynała Newsona ze Stanów Zjednoczonych i jest głęboko przekonany, tak jak i są przekonani wszyscy jego doradcy, że mamy do czynienia z Szatanem, Księciem Ciemności.

Pokiwałem głową na znak, że zrozumiałem kardynała, który dodał po chwili:

- Jego Świątobliwość docenia głęboką odwagę, którą wykazał pan, panie Russo, oraz wszystkie współpracujące z panem osoby, i po zakończeniu egzorcyzmów zechce podziękować wam wszystkim za to w bardziej widoczny sposób.

- Dziękuję, Wasza Świątobliwość - powiedziałem. - Nie potrzebujemy jednak żadnych nagród. Największą dla nas nagrodą będzie zwycięstwo nad Szatanem.

Kardynał Newson pochylił się do kardynała Vicente i coś mu szepnął. Usłyszałem jedynie końcówkę: - ...proszę nie słuchać tego młodzieńca, on pochodzi z Butte, z Montany.

Kardynał Vicente uśmiechnął się, jakby zrozumiał, a potem zmarszczył czoło i pogрузzył się w rozmyślaniach.

Do przejechania przez bramę wiodącą do Białego Domu wystarczyła moja przepustka. Powiedziałem strażnikom, że wiozę grupę włoskich dziennikarzy, którzy będą zwiedzać siedzibę prezydenta USA. Potem wysiedliśmy z samochodu i najszybciej, jak tylko się dało, przeprowadziłem papieża i małą świtę korytarzami do mojego gabinetu. Pod drzwiami jednak natknęliśmy się na Wally'ego Greenscheina. Miał nachmurzoną minę, a pod ręką jakiś wojskowy folder. Popatrzył na papieża oraz dwóch kardynałów i zapytał:

- Kim są, do diabła, ci ludzie? Czy nie zdajesz sobie sprawy, że za trzy minuty prezydent rozpoczyna odprawę?

- Och, to przyjaciele - odparłem. - Nie będą się wtrącać.

- Powiedz im jednak, że przez najbliższe godziny będziesz zajęty. Pośpiesz się.

- Tak, Wally.

Wally ruszył w kierunku Owalnego Gabinetu, a ja wprowadziłem gości do mojego zabałaganionego gabinetu. Zdjęliśmy płaszcze przeciwdeszczowe, a kardynał Vicente położył na stoliku skórzaną walizczkę i zaczął rozpinać zamki. W środku, starannie poskładane, znajdowały się żółto-białe szaty. Przetykane były złotymi niemi oraz ozdobione rubinami i szmaragdami. Kardynał Vicente wyjął wszystko na zewnątrz i starannie rozłożył.

- Jakie to piękne - wyszeptała Jennifer.

- To jest święta szata egzorcyzmów - powiedział kardynał. - Papież korzystał z niej dotąd tylko

raz, w 1815 roku, a historia tego egzorcyzmu wciąż jest tajemnicą. Mówi się, że pewien bardzo znany francuski mąż stanu opętany był przez diabła.

W półmroku mojego gabinetu szata lśniła swoim własnym blaskiem. Być może tylko mi się zdawało, ale Wręcz huczała magiczną siłą, niczym generator. Wyciągnąłem rękę, aby jej dotknąć, kardynał Vicente pokręcił jednak przecząco głową.

- To jest święta szata - powiedział - i tylko osoby, które złożyły święte śluby, mogą jej dotknąć.

Pomógł papieżowi nałożyć szatę na prostą białą sutannę, a potem nałożył mu na głowę białą jedwabną piuskę. Z bocznej kieszeni walizeczki wyciągnął zawinięte w plastik kropidło, całe ze srebra i złota. Papież ujął je w prawą rękę.

- Kropidło zawiera świętą wodę ze studni świętego Sebastiana - wyjaśnił kardynał.

Znieruchomiałem, gdy rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi. Okazało się jednak, że to ojciec Hillier, który właśnie przyjechał z Connecticut. Wpadł do pokoju niemal bez tchu, ale kiedy ujrzał papieża stojącego w lśniącej szacie, uśmiechnął się, jakby nagle doznał wspaniałego objawienia. Opadł na kolana, ujął dłoń papieża i pocałował jego pierścień.

- Dzięki Bogu, Wasza Świątobliwość - wyszeptał ochryple. - Jesteś papieżem wspanialszym, niż mogłem przypuszczać w najśmielszych marzeniach.

Ojciec Święty dotknął go i pobłogosławił. Potem przez chwilę wszyscy staliśmy w tym małym gabinecie w Białym Domu, chłonąc umysłami doniosłość i uroczystą powagę chwili. Zdawaliśmy sobie sprawę z wagi naszej misji, z powagi sytuacji, która nakazała papieżowi przylecieć tutaj w pośpiechu, z doniosłości tego, co za kilka chwil ma się wydarzyć.

Z opuszczoną głową papież odmówił głośno krótką modlitwę. Nigdy dobrze nie nauczyłem się łaciny, więc jej nie zrozumiałem, wiercie mi jednak, modliłem się w duchu tak żarliwie jak nigdy przedtem.

W końcu kardynał Vicente powiedział:

- Jego Świątobliwość jest gotowy.

Trząśłem się ze zdenerwowania, prowadząc mój mały orszak korytarzami Białego Domu w kierunku Owального Gabinetu. Pokazałem przepustkę strażnikowi i usłyszałem:

- Pan może przejść. Ale kim są ci ludzie?

- Obserwatorzy. Przybyli do Białego Domu na zaproszenie prezydenta.

Strażnik powoli podrapał się po policzku.

- Przykro mi - powiedział - ale nie mam informacji o żadnych obserwatorach.

Zbliżył się do mnie kardynał Newson i szepnął mi do ucha:

- Vicente mówi, że ma pan kazać strażnikowi, aby otworzył drzwi.

Skinąłem głową.

- Może w takim razie zapytamy samego prezydenta? - zasugerowałem strażnikowi. - Ci panowie są jego osobistymi przyjaciółmi.

Strażnik wyraźnie wahał się przez chwilę, po czym wzruszył ramionami:

- W porządku. Ale poczekajcie tu chwilę.

Otworzył drzwi do Owального Gabinetu i przez szparę ujrzałem Huntera siedzącego za biurkiem ze stopami na blacie, głośno coś mówiącego do Szefa Połączonych Sztabów.

- Przepraszam, że przeszkadzam, panie prezydencie - odezwał się strażnik - ale są tu jacyś ludzie w towarzystwie pana Russo.

Hunter przymrużył oczy.

- Jacyś ludzie? Nie bardzo rozumiem.

- Pięć osób, panie prezydencie. Twierdzą, że mają pańskie osobiste zaproszenie.

- Nikogo tutaj nie zapraszałem - warknął Hunter. Strażnik już miał się odwrócić, gdy do przodu wystąpił papież, gwałtownie mnie odpychając. Odezwał się po włosku, jednak kardynał Newson, który wszystko zapamiętał, przetłumaczył mi później wszystkie słowa papieża, znam więc treść tego, co wówczas powiedział.

- Wysłannik Boga nie potrzebuje twojego zaproszenia - oznajmił Ojciec Święty.

Zapadła cisza tak pełna napięcia, tak straszna, że wyraźnie słysząc było szum urządzeń klimatyzacyjnych i tykanie zegara w gabinecie prezydenta. Ponad ramieniem papieża ujrzałem, jak twarz Huntera ciemnieje i zmienia się. Nagle usiadł prosto na krześle, a jego oczy przybrały tak ostry wyraz, że odnosiło się wrażenie, iż zdolny jest w tej chwili przeciąć stalowy pancerz samym tylko spojrzeniem.

- W imię piekła, kim jesteś? - zawołał Hunter. Jakby nie wiedział. Jakby nie domyślił się od razu, gdy ujrzał Ojca Świętego w uroczystej szacie.

Papież wyciągnął przed siebie rękę i cicho wyrecytował:

- Paulus Joannes; Servus Servorum Dei; Episcopus Romae; Vicarius Jesu Christi; Succesor Principis Apostolorum; Summus Pontifex Ecclesiae Universae; Patriarchia Occidentis; Primas Italiae; Archiepiscopus et Metropolitae Provinciae Romanae; Rector Supremis Status Civitatis Vaticanae.

Hunter wstał i wysyczał:

- Wynoś się stąd. Nie wiem, jak się tu dostałeś, ale się stąd wynoś.

Strażnik chciał szarpnąć za szatę papieża, ten jednak delikatnie uwolnił się z jego uchwytu. Wystąpił na środek Owального Gabinetu, a my wszyscy podążyliśmy za nim.

- Russo! - warknął Hunter. - Russo, to twoja sprawa.

Potrząsnąłem głową.

- Przykro mi, Hunter, ale nie pozostawiłeś mi wyboru.

Prezydent okrążył swoje biurko. Skradał się jak kuguar, lekko przygarbiony, z czujnymi, świdrującymi nas oczkami. Ani na chwilę jednak nie spojrzał na papieża. Podeszedł do fotela, w którym siedział Wally Greenschein i pociągnął szefa swojego sztabu za rękę.

- Wally, posłuchaj. Idź do pokoju operacyjnego i wydaj w moim imieniu rozkazy. Zrozumiałeś mnie? Rozkazy, natychmiast.

- Tak, panie prezydencie.

Plecami zatrzasnąłem drzwi do Owального Gabinetu, dotąd otwarte.

- Nigdzie nie pójdziesz, Wally - powiedziałem. Wally wstał z fotela i odezwał się do mnie z nienawiścią:

- Zejdź mi z drogi, Russo. Czy nie zdajesz sobie sprawy, że Biały Dom jest dobrze strzeżony, że nikt spośród intruzów, których tu przyprowadziłeś, nie ma szansy uniknięcia odpowiedzialności za wtargnięcie do gabinetu prezydenta Stanów Zjednoczonych?

Zbliżył się do mnie, a ja ostrzegawczo wzniosłem do góry pięść.

- Jeszcze krok, Wally - powiedziałem - a tak ci przyładuję, że przez tydzień będziesz biegał po dentystach i wstawiał sobie nowe zęby.

Wally zawahał się i spojrzał na Huntera, oczekując poparcia z jego strony. Ale Hunter wpatrywał się teraz w papieża. Stał daleko od niego, spięty, trzęsący się, świdrujący wzrokiem Ojca Świętego.

Papież uniósł kropidło ze świętą wodą, potrząsnął nią i święte krople poszybowały w powietrze.

- W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen - wyrecytował.

Zobaczyłem, jak Hunter nerwowo przygryza kciuk.

- To szaleństwo - powiedział. - Co tu się dzieje? Czy to jakiś bal przebierańców. Dość tego, Wally, usuń stąd tych szaleńców. Dudley, co się tak gapisz? Dalej, panowie, usuńcie stąd tych zasranych imbecyli.

Dudley Herrick, szef Połączonych Sztabów, zaczął podnosić się z krzesła. Kardynał Vicente podszedł jednak do niego i pchnął go z powrotem na miejsce.

- Na twoim miejscu bym tego nie robił - oznajmił mu do ucha.

Papież tymczasem uniósł w górę obie ręce i spokojnym, dźwięcznym głosem zaczął mówić:

- Hunterze Peal, wiem, kto zagnieździł się W twojej duszy. Wiem, kto rezyduje w twoim ciele i kto używa twojego umysłu oraz twoich mięśni w celu narzucenia temu światu spustoszeń i zniszczenia, które mają pograżyć go w chaosie przeczącym istnieniu Boga.

Przybyłem tutaj, aby wygnać zło, które draży twoje żyły i twoje serce. Przybyłem, aby wygnać zło, które utkwiło w twej głowie. Przybyłem, aby wypędzić z ciebie demona, którym jest Szatan, Księżę Ciemności, władca podziemnego świata.

Dudley Herrick zmarszczył czoło, robiąc nie dowierzającą minę.

- Szatan? - zawołał. - Do cholery, co się tutaj dzieje?

Hunter zaczął krążyć pod ścianą nerwowo, niczym narkoman na głodzie.

- Zabierzcie stąd tego człowieka - mruknął. A za chwilę dorzucił głośniejszym głosem: - Zabierzcie stąd tego człowieka! Zabierzcie go, natychmiast.

Papież nie reagował na zachowanie Huntera. Znow uniósł kropidło do góry i powiedział:

- Rozpoczynam teraz święty obrzęd przepędzenia demona. Składa się on z dziesięciu punktów, znanych od niepamiętnych czasów tylko kardynałom. W imię Ojca i Syna i...

- Zabierzcie go! - wrzasnął Hunter. Jego twarz poczerwieniała od złości, oczy lśniły intensywnym błękitem. Wally Greenschein i Dudley Herrick trwali jak zamurowani, zaskoczeni sytuacją i wciąż nie dowierzający.

- Po pierwsze - powiedział papież - rozpoznaliśmy, iż tkwiącym w tobie diabłem jest Szatan, czyli Lucyfer, czyli księżę Królestwa Demonów. Szatanie, wzywamy cię, żebyś uwolnił ze swych szponów sługę Bożego Huntera Peala.

Hunter przestał wrzeszczeć i zamarł w bezruchu. Zaciskał pięści, z całej jego postaci emanowała furia, wściekłość i ukryta potęga. Zęby obnażył w wilczym grymasie, ale przez długą chwilę nie ruszał się milczący i drżący w ogarniającej go wściekłości.

Nagle uniósł w górę pięści i wykrzyknął:

- Na zawsze bądźcie przekłęci w piekle! Nastąpiła gwałtowna eksplozja i Owalny Gabinet pograżył się w błękitnym świetle. Kardynał Newson nagle zachwiał się i upadł na dywan. Całą twarz miał we krwi. Po chwili nastąpiła kolejna eksplozja i po gabinecie zaczęły, niczym szrapnele, fruwać fragmenty mebli i potłuczonego szkła. Jego kawałek zranił mi wierzch dłoni, a Jennifer otrzymała uderzenie w ramię mosięzną klamką. Dudley Herrick ukrył się za krzesłem, z bladą twarzą i oczyma rozszerzonymi ze strachu.

Papież w żaden sposób nie zareagował. Jego szata zdawała się świecić jeszcze bardziej niż na początku egzorcyzmów. W powietrzu wręcz unosiła się charyzma tego człowieka, niczym uspokajający, ciepły blask jasnej lampy.

A Hunter, dziko wrzeszcząc, rozerwał marynarkę i koszulę na piersiach. Na naszych oczach zaczął nagle rosnąć. Na jego dłoniach wyrastały szpony, a jego twarz zaczęła się wykrzywiać, zmieniać i po chwili obserwowaliśmy już oblicze Szatana - to samo oblicze, które wyrzeźbiono na drewnianych drzwiach sypialni, w której Hunter nocował w Allen's Corners. Oblicze z piekła

rodem.

Na ścianie za Hunterem zaczął wyrastać cień, straszliwy cień, cień istoty z rogami wyrastającymi z głowy, niby cień kata na drzwiach celi śmierci.

Papież znów potrząsnął kropidłem, a następnie uczynił nią znak krzyża. Podniósłszy głos, aby przekrzyczeć wrzaski Huntera, powiedział:

- Po drugie, wyniesiesz się stąd natychmiast i bezwarunkowo, bez nadziei, że zgodzimy się na twój powrót w jakimkolwiek innym czasie w przyszłości.

Hunter uderzył się we włochatą pierś. I nagle w całym Owalnym Gabinetcie zapłonął ogień. Płomienie natychmiast ogarnęły zasłony i drewniane boazerie, a prezydenckie biurko zapłonęło niczym ognisko.

Jennifer krzyknęła, ale, również krzykiem, uspokoiłem ją:

- Nie bój się, to tylko iluzja. To nie może być nic innego, a tylko iluzja.

Nieważne, czy to była iluzja, było coraz goręcej, a płomienie rozszerzały się. Papież musiał wycofać się kilka kroków, kiedy recytował trzeci, a potem czwarty punkt obrzędu. Z trudem słyszałem jego głos. Twarz piekła mnie od gorąca, czułem, że zaczynam się dusić. Kardynał Newson, leżący na podłodze z głęboką raną w głowie, zaczął kaszleć, a ojciec Hillier, który klęczał obok niego, powiedział:

- Powinienem go stąd zabrać. To poważna sprawa.

- Nie ma teraz czasu - zdecydował kardynał Vicente. - Musimy skupić się na diable.

Papież wypowiedział piąty punkt obrzędu. Szatan powinien opuścić Ziemię i nigdy już nie wchodzić w drogę rodzajowi ludzkiemu.

Hunter wręcz szalał, ale odnosiłem wrażenie, że nie jest w stanie wyrządzić papieżowi żadnej bezpośredniej krzywdy, mimo szalejącego wokół ognia. Był to ogień Hadesu, piekący tylko nieszczęśliwych mieszkańców tego przeklętego miejsca.

Papież nagle potknął się i zachwiał. Kardynał Vicente natychmiast zbliżył się do niego i ujął jego ramię, aby go podtrzymać. Ocierając twarz od potu, również podszedłem do papieża i zapytałem:

- Czy wszystko w porządku?

- Ojciec Święty jest słaby. Ma chore serce. Nie wiem, czy jest w stanie kontynuować...

- Musi! Ile punktów obrzędu jeszcze pozostało?

- Pięć. Ale niech pan spojrzy, ta gorączka go zabija. Ojciec Święty z trudem stoi na nogach.

- Podtrzymajmy go więc.

Kardynał Vicente stanął po jednej stronie papieża, a ja po drugiej. Za ścianą ognia diabeł wylł, wrzeszczał i lżył nas, ale my skupialiśmy swoją uwagę jedynie na Jego Świątobliwości. Niech dokończy egzorcyzmy. Niech jeszcze żyje. Na miłość boską, niech uwolni nas od tej obrzydliwej bestii!

Nie słyszałem słów kolejnych czterech punktów obrzędu. Szatan tymczasem przybrał postać wręcz niewyobrażalnie wstrętą i przerażającą. Po każdej jego stronie pojawiły się trzy nagie dziewczyny, z rogami, ogonami i groteskowo obwisłymi piersiami. Długimi palcami zaczęły penetrować swoje pochwy, aż uwolniły z nich duże brązowe gryzonie przypominające szczury. Wydostawszy się z dziewczyn, gryzonie natychmiast popędziły w naszym kierunku. Jeden z nich zaczął gryźć kardynała Newsona, a drugi dopadł do kolana Jennifer. Usłyszałem jej przeraźliwy wrzask, jednak nie ośmieliłem się reagować.

- Precz, piekielne stworzenia! - zawołał papież i potrząsnął kropidłem. Gryzonie natychmiast zniknęły, chociaż rany, które zadały Jennifer i kardynałowi Newsonowi krwawiły, świadcząc o ich

niedawnej obecności.

Nagle w gabinecie pojawił się cały tłum zjaw i potworów. Zgasły wszystkie światła i pozostaliśmy oświetleni jedynie migotającymi płomieniami ognia pożerającego meble. Na moje plecy wskoczyło coś włochatego, jakby wielki pajak. Usłyszałem krzyk ojca Hilliera, pełen bólu. Chciałem sięgnąć ręką w kierunku miejsca, w którym na moich plecach umiejscowiło się coś ohydneho, ale nie dałem rady. Musiałbym puścić papieża, a wtedy z całą pewnością by upadł. Postanowiłem, że oprę się na chwilę plecami o ścianę, nie przestając podtrzymywać papieża. Przyduszona do ściany bestia wreszcie odczepiła się ode mnie.

- Panie Russo! Nie mogę... - usłyszałem okrzyk kardynała Vicente. Pełzały po nim jakieś straszliwe stworzenia i sprawiały wrażenie, że w każdej chwili może puścić papieża.

- W porządku! - odkrzyknąłem. - Dam sobie radę.

Kardynał zdążył jeszcze tylko wydać przerażający krzyk krańcowego bólu i agonii i nagle jego głowa eksplodowała, rozbryzgując się na setki fragmentów, składających się z krwi, kości i cząsteczek mózgu.

Otoczyłem papieża ramieniem i szepnąłem do jego ucha:

- Jeszcze jeden, punkt i będzie koniec. Ojciec Święty, zdołałeś wypowiedzieć dziewięć punktów obrzędu. Na miłość boską, daj radę wygłosić jeszcze jeden, ten ostatni, który ocali świat!

Papież nie był w stanie mówić. Potrząsnął głową i chwycił mnie kurczowo trzęsącymi się rękoma.

A Szatan, odgradzony od nas barierą ognia, krzyknął straszliwym głosem:

- Wszy, marne robaki! Nigdy dotąd mnie nie powstrzymaliście, nie powstrzymacie mnie i teraz! Bękarty! Wszyscy umrzecie, a ja dzisiaj obejmę władzę nad tą planetą!

Jennifer zbliżyła się do mnie i krzyknęła histerycznie:

- Nie! Nie! Nie!

Chciałem powstrzymać ją. Popadła w histerię. Przerazenie wobec tego, co działo się przed jej oczyma, zwielokrotnione ciągle żywym wspomnieniem gwałtu, którego dokonał na niej Szatan, odebrało jej zmysły. Papież opadł na dywan. Próbowałem jeszcze go podnieść, ale w tej samej chwili Jennifer ruszyła ku wielkiej i obrzydliwej sylwetce Huntera. Nagle stałem się bezsilny. Nie mogłem pomóc żadnemu z nich dwojga.

- Oto nadchodzi moja służebnica, jak przepowiedziałem! - wrzasnął Szatan.

Wyciągnął przed siebie szpony i zacisnął je na ramieniu Jennifer. Drugą łapą rozerwał jej bluzkę. Ujrzałem jej blade, nagie plecy z ciągle widocznymi szramami po pazurach Szatana. Ujrzałem jej piersi ugniatane przez Szatana w nieziemskiej, wstrętnej chuci.

Papież zdołał podnieść się na kolana. Byłem tak przerażony, że płakałem i krzyczałem jednocześnie. Słyszałem krzyk Jennifer, ale nie mogłem już jej pomóc. Padłem na kolana, przyłożyłem usta do ucha papieża i wykrzyknąłem błagalnie:

- Proszę, proszę, Ojciec Święty! Proszę o dziesiąty punkt obrzędu!

Szatan zerwał z Jennifer spódniczkę. A potem uniósł ją do góry, niczym nagą lalkę, mimo że wiła się, kopała i krzyczała.

- Moja służebnica! - krzyknął Szatan z radością. - Patrzcie, zrobię z nią, co będę chciał. A mam właśnie ochotę rozerwać ją moimi członkami od krocza, aż po samą szyję. Popatrzcie, jak Szatan traktuje swoje sługi.

Wśród grubego futra ukazały się dwa szybko sztywniejące penisy. Hunter zmusił Jennifer do rozszerzenia nóg i powoli zaczął opuszczać jej krocze ku swoim członkom.

Patrzyłem w osłupieniu na tragedię Jennifer. Chciałem umrzeć, przestać istnieć, świadomy, że

już mojej ukochanej nie pomogę. Podpełznął do mnie ojciec Hillier.

- Straciłem nogę - wyszeptał. - Jest zupełnie zmiądzona.

Patrzyłem na niego niewidzącym wzrokiem.

- On nie powie dziesiątego punktu - wycharczałem. - Nie da rady.

Ojciec Hillier starał się jeszcze skupić swój wzrok na postaci papieża, ale po chwili padł bez czucia twarzą na dywan. Usłyszałem wrzask Jennifer, gdy pierwszy penis wdarł się w jej krocze.

Złożyłem ręce do modlitwy.

- Och, mój Boże - załkałem. - Pomóż mi.

Nic. Słyszałem tylko huk płomieni i wrzask Jennifer. Ale niespodziewanie do tych głosów dołączyło coś jeszcze. Cichy, łagodny głos, drżący, ale uparcie recytujący:

- Punkt dziesiąty. Opuść to miejsce, o, ucieleśnienie wszelkiego zła, gdyż znajdujesz się w świecie, którym rządzi Bóg. W imieniu Jezusa z Nazaretu, w imieniu Matki Boskiej, Najświętszej Marii Dziewicy, w imieniu błogosławionych aniołów wzywam cię, żebyś opuścił to miejsce.

Papież zamknął oczy i milczał przez chwilę. Wreszcie wyszeptał:

- Amen.

Nastąpił odgłos, jakiego nigdy dotąd nie słyszałem. Jakby sto lokomotyw spadło nagie z wysokiego wiaduktu. Jakby pięćdziesiąt odrzutowców pojawiło się nagle nisko na niebie. Jakby eksplodowało piekło.

A potem nastąpiła ciemność, ciemność i nic innego tylko ciemność. Poczułem, że opuszcza mnie jakiś wielki ciężar, pozostawiając tylko zimną, straszliwą pustkę. Nagle rozbłysły światła. Zamrugałem oczami. W Owalnym Gabinetcie panowała cisza. Ojciec Hillier leżał cały we krwi, kardynał Vicente był martwy, kardynał Newson ranny i w szoku. Wally Greenschein wychodził spod stołu, zdezorientowany, a Dudley Herrick strząsał potłuczone szkło z klap munduru.

Blady papież leżał na dywanie w swej wspaniałej złoto-żółto-białej szacie i byłem pewien, że jest martwy. Wyglądał jak święty w katedralnym grobie.

Wstałem i przeszedłem przez pokój. Tam, gdzie ostatnio znajdował się Hunter, dywan był wypalony. Jennifer, zwinięta w kłębek, leżała pod ścianą, naga, drżąca, niemalże bez zmysłów.

Kiedy zbliżałem się do niej, ujrzałem but, wystający spod prezydenckiego biurka. Rozpoznałem go natychmiast. Po chwili rozpoznałem również jego właściciela. Nie żył. Po fizycznej i duchowej walce, którą stoczył, wcale mnie to nie dziwiło. Jego twarz sprawiała wrażenie, jakby właściciel tego oblicza na krótko przed śmiercią znalazł spokój, spokój, o którym stary Hunter Peal zawsze marzył.

Zdjąłem marynarkę i otoczyłem nią nagie ramiona Jennifer. Była zbyt zszokowana, żeby się ruszać. Zrozumiałem, że natychmiast potrzebny jest jej lekarz.

- Wezwij służbę medyczną - powiedziałem do Wally'ego. - Nikogo innego tutaj nie wpuszczaj. Potem zadzwoń do Seattle, do wiceprezydenta. I, na miłość boską, nikomu nie waż się opowiadać, co się tutaj wydarzyło!

Wally rozejrzał się dookoła. Na moment przygryzł wargi.

- A niby co mam mówić? - zapytał. - Sam nie wiem, co tu się stało.

ROZDZIAŁ XXXIV

Leonard działał szybko i bardzo inteligentnie. Po pierwsze, polecił mi poinformować dziennikarzy, że zapowiadane na dzień dzisiejszy strategiczne decyzje prezydenta zostały „przesunięte w czasie” i że prezydent udał się do Camp David, aby tam w spokoju przestudiować najnowsze raporty wywiadowcze. Następnie zatelefonował do Watykanu i powiedział, co się wydarzyło. Mimo szoku, jaką wywołała wiadomość o śmierci papieża, nie doszło do żadnych dyplomatycznych nieporozumień na tym tle. Po około godzinnych naradach kurialiści doszli do wniosku, że nie ma podstaw, aby negocjować, iż papież zmarł w trakcie egzorcyzmów. Zmarł jak na żołnierza krzyża i dzielnego sługę Bożego przystało.

Jeszcze tego samego popołudnia ciało papieża przetransportowane zostało samolotem do Rzymu i natychmiast złożone w jego łóżku. Następnego ranka, w niedzielę nad ranem, „znaleziono” je z książką w dłoniach. Wyglądało, jakby papież zmarł poprzedniego wieczoru na atak serca, podczas wieczornej lektury.

„Catholic Herald” napisał o nim: „Znaliśmy go jako papieża przez tak krótki okres, że nie zdołaliśmy poznać go tak głęboko, jak on sam by tego pragnął. Jednak na zawsze zapamiętamy go łagodnym i uśmiechniętym człowiekiem, który swoje życie poświęcił służbie Bogu i Kościołowi.”

Jennifer, ojciec Hillier i kardynał Newson zostali natychmiast przetransportowani do centrum medycznego sił zbrojnych. Jennifer długo nie odzyskiwała świadomości. Noga ojca Hilliera była w tak fatalnym stanie, że amputowano mu ją, gdy tylko znalazł się na stole operacyjnym.

Reszta, to znaczy ja, Wally i Dudley Herrick, została jedynie dokładnie zbadana i opatrzona, gdyż mieliśmy tylko drobne skaleczenia. Lekarzom wyraźnie nakazano, żeby nie zadawali żadnych pytań, a jednak widziałem po ich twarzach, jak bardzo są zaciekawieni. No bo co ci faceci robili w Białym Domu, że wyglądają jak ofiary lepszej bójki?

Hunter... Cóż, kiedy Leonard powrócił z Seattle postanowiliśmy, że podtrzymamy Huntera jeszcze oficjalnie przy życiu przez cztery dni. Prasie mówiłem, że prezydent źle się czuje, odpoczywa w Camp David, a jego lekarze zgadzają się jedynie, żeby wykonywał „lekkie prace”. Nie mogliśmy sobie przecież pozwolić, aby ktokolwiek na świecie skojarzył, że śmierć papieża i śmierć prezydenta Stanów Zjednoczonych mają ze sobą jakiś związek. I wszystko pozostawało w tajemnicy do czasu, gdy Komitet Lehmana rozpoczął śledztwo w sprawie okoliczności towarzyszących wyborowi Huntera Peala na prezydenta Stanów Zjednoczonych oraz w sprawie zabójstwa bliźniaczek Oliver.

Teraz, oczywiście, nie ma już znaczenia, kto zna prawdę. Możecie mi wierzyć albo nie, ale wszystko odbyło się dokładnie tak, jak to opisałem. Mam nadzieję, że z tej historii Ameryka potrafi wyciągnąć dla siebie kilka lekcji. Na przykład o tolerancji, o uczciwości i o tym, w jakim właściwie celu przychodzimy na ten świat.

Po miesiącu od śmierci Huntera pojechałem do Montany. Nie miałbym nic przeciwko pracy dla Leonarda Olivera, miałem jednak dosyć polityki. A poza tym bez problemów powróciłem do swojego poprzedniego zajęcia.

Od czasu do czasu powracam jeszcze myślami do tamtych wydarzeń. Rozmyślam o Jennifer, która powróciła do rodziców, do Connecticut, ale wciąż wymaga stałej opieki lekarskiej; wciąż jest w szoku, a o stanie jej umysłu można by napisać cały podręcznik dla neurologów. Rozmyślam o Micky, która pojechała do Europy i wyszła za mąż za jakiegoś nudnego Niemca. Teraz mieszka gdzieś w Westfalii i pewnie czasami w dłużące się dni wygląda przez okno i rozmyśla o Hunterze, o tym prawdziwym, zanim wstąpił w niego Szatan.

Najczęściej jednak powracam myślami do tego starego, drżącego papieża, który w ostatniej chwili ocalił świat przed zagładą. Mam nadzieję, że niebiosa mu to wynagrodzą. Myślę też o Duke’u

Willitsie, czarnym mężczyźnie, który zamierzał zastrzelić Huntera podczas prawyborów w Oregonie.

Jak pamiętacie, Duke Willits miał ukryty w kieszeni płaszcza list. List ten Leonard znalazł później w dokumentach Huntera i dał mi na pamiątkę. Niedoszły zabójca napisał w nim:

„Do wszystkich, którzy zechcą przeczytać. Chcę, abyście wiedzieli, że jestem pewien, iż ten facet, Hunter Peel (sic) jest diabłem wcielonym. Zrozumiałem to w momencie, gdy po raz pierwszy na niego spojrzałem. Dlatego muszę to zrobić, muszę go zabić. Przykro mi, ale tak musi być. Nie jestem zabójcą. Ale wobec diabła nie mam wyboru. Wierzę w Boga i wiem, że istnieje tylko jeden sposób, w jaki mogę moją wiarę udowodnić.”

In God We Trust